

Józef Franciszek Wójcik

Cząstka z pamiętnika

© Copyright by Józef Franciszek Wójcik

Korekta: tylko autora

Projekt okładki ze zdjęć autora: Jolanta Gajda

Informacje w Internecie:

<http://www.jfwojczik.prv.pl> oraz sppgdansk.pl

Wydanie książki dzięki wsparciu Instytutu Literatury w ramach projektu Tarcza dla literatów 2021



Finansowe wsparcie udzielił też
Urząd Miasta Gdynia



Gdynia: 2021

ISBN 978-83-929056-3-9

Druk i oprawa: Drukarnia Optima s. c. Gdynia, ul. Orańska 6A

Spis treści

Od autora	4
Mały Franek	5
W ogólniaku	19
Do Marynarki Wojennej	30
Na okrętach RP	44
Wykładowca Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni	60
Obce bandery	69
Wspomnienia z Daru Młodzieży	168
Trzy wielkie sztormy w jednym rejsie i jeszcze hurrican.....	255
Rolnik, murarz, cieśla... ..	267
O polityce	273
Pisarz, wydawca, dziennikarz	299
Epilog	368

Od autora

Zróznicowanie tematyczne pozwala na zaszeregowanie „Cząstki z pamiętnika” do kilku rodzajów książek. Z pewnością jest to książka biograficzna, podróżniczo-przygodowa o bardzo wielu wątkach marynistycznych i bez wątplenia jest zapisem historycznym z życia Polaków od zakończenia II wojny światowej do końca 2020 roku.

Tak, to tylko mała cząstka, cząsteczka z pogmatwanego życiorysu, choć każdy życiorys jest przecież niepowtarzalny, najważniejszy i jedyny dla każdego. Chyba jednak jest niewielu, którym życie od kołyski przez dziesiątki lat ciągle gotowało tak niezwykle doświadczenia. Dla większości osób jestem Józek, choć niektórzy mówią Frank. Z nazwiskiem jeszcze większe komplikacje – do ukończenia szkoły podstawowej Strzelczyk, od początków ogólniaka Wójcik, a tak naprawdę po ojcu powinno być Pogoda. Pamiętam, jak w dzieciństwie wołano na mnie Pogoda, choć nosiłem nazwisko matki Strzelczyk, a ojca nigdy jeszcze nie widziałem. Wspomnienia są zbiorem spójnych faktów uszeregowane chronologicznie lub pogrupowane tematycznie.

Najpierw opowiem Wam i sam sobie o zapamiętanych wydarzeniach z dzieciństwa, bo ten okres chyba najbardziej kształtuje osobowość. Opowiadam sobie i sobie zadaję pytania, tak dla przypomnienia, ale też dlatego, że to wygodne i przydatne w budowaniu ciekawej narracji. Ponieważ mam na imię Józef Franciszek więc niech mały będzie Franek, co ładniej brzmi niż mały Józiu. Czasem żartowałem, że gdybym swym życiorysem obdarzył kilka osób, to i tak wszyscy mieliby ciekawe życiorysy. Na bierzmowaniu otrzymałem trzecie imię, Stanisław, więc dlaczego nie wykorzystać go jako Stan, skoro przyszło mi wykonywać tyle diametralnie różnych zawodów. U Anglików i Kanadyjczyków dodatkowo namieszali, bo Józef zmienili na Joe.

Ta „Cząstka z pamiętnika” obejmuje wspomnienia z całego świata, ze wszystkich kontynentów i dziesiątków krajów. Z trzynastu moich książek tylko sześć to tematyka historyczna, a

siedem opartych na własnych przeżyciach, zapisanych tak różnorodnie, że niekiedy spotykałem się z opinią, że to nie mógł napisać ten sam autor. W dodatku jestem matematykiem z zamiłowania, nawigatorem z wykształcenia i dyslektykiem polonistą. Pomimo napisania tytułu książki nadal nie jestem w stanie opanować ortografii, więc piszę dalej. Często też żartuję: „piszę za pokutę, bo robię błędy ortograficzne i chciałbym to pokonać”. Dawno temu Andrzej Gwiazda i Ania Walentynowicz po raz pierwszy przedstawiali mnie jako „człowiek renesansu”. To określenie definiuje człowieka wielu profesji i zawodów z różnych dziedzin w których „człowiek renesansu”, a więc człowiek wielu zawodów, potrafi zrobić wszystko, na co przyjdzie mu ochota.

Najważniejsze walory tej książki:

- jest to autentyczny zapis historii życia w Polsce od pierwszych lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku do 2020 r., widzianych i odnotowanych przez człowieka, który wbrew zamiłowaniom został uwikłany w polityczną rzeczywistość,
- niezwykle wydarzenia z całego świata,
- opisy z życia na morzu oraz przyrody ze wszystkich kontynentów,
- łatwy język narracji, często jednak zawoalowany i zmuszający do myślenia.

Wprowadzenie trzech imion i trzech postaci było też rodzajem kamuflażu, bo mając podwójną rodzinę nikogo nie chciałem urazić. Teraz, kilka lat po śmierci rodziców, w „Cząstce z pamiętnika” zdejmuję już te zasłony.

Mały Franek

Franek urodził się na Podkarpaciu w wiejskim, starym domu mającym ponad sto lat, gdy w Bieszczadach i w pobliskich górach milkły ostatnie strzały, gdy komuna w Polsce już okrzepła. Zapamiętane obrazy z dzieciństwa czasem podobne są do przerwane go snu. Często nie mają początku ani końca i nigdy nie wiadomo, dlaczego mają taki a nie inny przebieg. Czasem są to oderwane, zamazane wspomnienia, których chronologii trzeba się domyślać. W przypadku Franka pierwsze wyraźnie zapamiętane przeżycia z dzieciństwa nie należały do przyjemnych obrazków.

...

Franek musiał mieć nie więcej jak czternaście, piętnaście miesięcy. Był ładny, wiosenny dzień. Dziadek w dobrej wierze wziął na ręce wyjątkowo wcześnie umiającego chodzić pierwородnego wnuka i postanowił pokazać mu krowy w oborze. Otworzył drzwi do wiekowej stajni. Przykry zapach obory uderzył w nos malca. Krowa na wprost drzwi nie za bardzo przejęła się faktem, że jest pierwszym dużym zwierzęciem z bliska oglądanym przez Franka, bo podniosła ogon i spokojnie zaczęła załatwiać swoje fizjologiczne potrzeby. Kłapnięcia kolejnych placków i dodatkowa porcja przykrej woni spowodowały wymioty u małego rolnika. Pokaz dużego zwierzęcia szybko się zakończył. Dziadek, jako przedwojenny wojskowy, nigdy smykałki do rolnictwa nie miał, więc zawyrokował: „rolnika z Franka nie będzie”.

Ani krowa, ani nikt z osób obecnych wtedy w oborze nie zdawał sobie sprawy, że ten prozaiczny obrazek pozostanie w pamięci dziecka do końca życia jako pierwszy zapamiętany.

...

Drugi zapamiętany obrazek z tego samego roku też miał podobny charakter .

Pod koniec lata malec bawiący się w ogrodzie znalazł śliwkę. Degustacja wypadła nader pomyślnie, więc zapragnął powtórzyć swój wyczyn. W trawie znalazł właśnie coś w kształcie i kolorze śliwki, może tylko trochę bardziej wysuszonej. Z zapalem zabrał się

do degustacji. Rozgryziona „śliwka” w ustach dziecka zaczęła robić się coraz bardziej śliska, wydając przy tym niesamowity smród, podobny do tego, jaki czasem pozostawia za sobą spacerująca po trawniku kura. Wymioty znów się powtórzyły utrwalając drugi obrazek z dzieciństwa. Na trzecie i czwarte utrwalone wydarzenia trzeba było poczekać jeszcze z rok.

...

Franek mając niespełna dwa i pół roku zaczął chodzić do przedszkola ze starszym o rok Wieśkiem. Szkoła i przedszkole mieściło się w drewnianym baraku pokrytym papą. Było upalne lato. Z dachu baraku kapła roztopiona smoła zastygając na ziemi w różnych kształtach. Bawiącego się Franka mocno zaczęły intrygować plastyczne, czarne i błyszczące sople leżące pod okapem. Odezwała się żyłka odkrywcy - zbieracza. Na kolanach pracowicie szukał coraz to nowych czarnych skarbów, lokując je w kieszeniach. Zadowolony z siebie z kieszeniami pełnymi skarbów wyszedł z cienia budynku na słońce, by rozprostować nogi. Upał był duży. Po ciężkiej pracy, jak na zbieracza przystało, co rusz przecierał spocone czoło brudnymi rączkami, które coraz bardziej jakoś się lepily. Musiało go to mocno zastanowić, bo pilnie zaczął się rękoma przyglądać. Były czarne, pokryte błyszczącą, lepką mazią. To samo było z kolanami.

Ta maź wygląda podobnie do moich skarbów - pomyślał.

Wsadził rękę do kieszeni, by sprawdzić jej zawartość. Ręka przykleiła się do tego stopnia, że nie mógł jej z powrotem wyciągnąć. Próbując wyswobodzić uwięzioną rączkę, drugą złapał z zewnątrz za spodnie, które też zaczęły przesiąkać na czarno i rozpoczął zmagania z rozklejaniem. Bardzo wysoka, szczupła przedszkolanka musiała zauważyć tarapaty nieszczęsnego chłopca i z wystraszoną miną podeszła do niego.

- O Boże! Coś ty narobił!

Malca to jeszcze bardziej przestraszyło. Zaciskając poklejone dłonie gorączkowo rozmyślał o swym nieszczęściu.

Tego samego popołudnia obaj chłopcy wracali z przedszkola, schodzącą w dół koło cmentarza piaszczystą ścieżką z mnóstwem żółtego piasku po bokach. Smoły chyba w przedszkolu nie

wywabili, bo kieszenie i ręce nadal się kleiły. Franek odkrył, że zmieszana z piaskiem czarna maź przestaje się kleić i nawet częściowo daje się kruszyć.

Trzeba doprowadzić się do porządku, żeby w domu nie dostać lania - pomyślał rezolutnie i dalejże pakować piasek do kieszeni.

Od strony szkoły jechał rower, a na nim wysoka przedszkolanka w okularach.

- Kryjmy się, nasza pani jedzie - zauważył w porę Franek i ciągnąc za sobą Wieśka skoczyli w gąszcz akacji.

Kryjówka okazała się skuteczna, bo pani w okularach przejechała i nic nie zauważyła. Przejęty i zaabsorbowany maskowaniem Franek zaczął gramolić się z zarośli przy przejmującym bólu. Z wielu miejsc na całym ciele ciekła krew. Miał ponabijanych wiele akacjowych kolców. Trochę starszy Wiesiek był tylko nieznacznie podrapany.

Te wydarzenia mocno zapisały się w pamięci Franka, utrwalając przy tym pewne maksymy:

- przykre sprawy pamięta się długo, a przyjemne znacznie szybciej się zapomina,
- najbardziej skuteczna nauka jest na własnych błędach,
- przykrości uczą ostrożności.

...

Rok później, już jako pełnoprawny przedszkolak - bo ukończył trzy lata - mały Franek prowadzony za rękę przez mamę wchodził na podwórko szkolne. Popołudniowe słońce oświetlało czerwone, wysokie mury nowo wybudowanej szkoły, nad którą górowała z tyłu wieża wielkiego kościoła. Z prawej strony sterczały złowieszcze kikuty nie rozwalonego jeszcze baraku starej szkoły, której smołowany dach sprawił kiedyś tyle przykrości. Serce chłopca kołatało na myśl spotkania z wysoką panią w okularach. Franek z mamą mijali właśnie bramkę na boisku piłkarskim, gdy od strony drzwi wejściowych na ich spotkanie wychodziła młoda, uśmiechnięta pani.

- O, jest już mój przedszkolak! Zapiszę cię pod pierwszym numerem.

A potem jeszcze dodała uśmiechając się do Franka:

- Jesteś pierwszym przedszkolakiem i pierwszym dzieckiem, które zaczyna uczyć się w tym nowym budynku.

Franek słuchał uważnie słów nowej pani. Odetchnął z ulgą, bo wywnioskował, że nie będzie tej wysokiej, szczupłej pani w okularach, która przypominałaby mu o smole i akacyjowych kołcach. Ta uśmiechnięta będzie jedyną przedszkolanką.

Dobrze, że ta pani w okularach gdzieś odeszła - pomyślał zadowolony.

Nowa przedszkolanka rozmawiając z mamą skarżyła się, że woda z niedawno wykopanej studni jest wodą podskórną, która nie nadaje się do użycia.

- Są w niej robaki - wskazywała pani na znajdującą się przy studni balię.

To bardziej zaciekało chłopca od rozmowy kobiet, więc Franek dalszą swą uwagę skupił na larwach komarów, które pływając w wodzie zabawnie zwijały się i rozkurczały.

...

Przeglądając film z dzieciństwa zapisany w swojej pamięci Franek czasem nie bardzo wiedział, dlaczego niektóre obrazy tak ostro się zapisały. Wyraźnie widział trzy, być może przedstawione chronologicznie.

Pewnego razu dziadek idąc do swego znajomego, z którym lubił rozmawiać o polityce, zabrał ze sobą wnuka. Dorośli zajęci swoimi sprawami pozostawili w kuchni trójkę dzieci: - najstarszego Franka, o rok młodszego od niego syna gospodarza i o dwa lata młodszą córkę. Dziewczynka o czarnych włosach w długiej, ciemnej sukience, prawie do ziemi, od czasu do czasu potykała się jeszcze i padała na pupę. Dzieci bawiły się pieczętkami, na których były wizerunki różnych zwierząt: kotka, koguta, świnki i pieska. Franek skrupulatnie na kartce odbijał sobie kolejne rzędy zwierzątek. Jakies dwie pieczętki w łapkach trzymała mała dziewczynka. Wtem brat wyrwał jej obie pieczętki, by uzupełnić kolekcję kolegi. Mała „Baba Jaga” (tak w ciepłym znaczeniu myślał o niej Franek) zaczęła płakać, przecierając oczy pulchnymi rączkami, umorusanymi w czerwonym i niebieskim tuszu. Franek wziął wszystkie pieczętki i

zaczął wkładać Danusi do rączek. Umorusana twarzyczka z czerwono-niebieskimi smugami od spływających łez pomieszanych z tuszem, przyjaźnie uśmiechała się tak jakoś miło i ciepło. Kartka z rzędami zwierzątek długo jeszcze była przechowywana w kolekcji skarbów malca.

Gdy po kilkunastu latach Franek wracał ze szkoły średniej i przechodził przez wiszącą kładkę rozciągniętą nad korytem Wisłoki, pośrodku zobaczył dziewczynę z czarnym warkoczem idącą naprzeciw. Rozpoznał w niej Danusię. Jakoś odruchowo przeszedł na lewą stronę, zostawiając miejsce z prawej. Dziewczyna w granatowym mundurku spieszyła się do szkoły. Gdy się mijali, Franek grzecznie uklonił się. Ogorzała od wiatru twarz dziewczyny zarumieniła się jeszcze bardziej. Trochę zmieszana odpowiedziała „dzień dobry”. Gruby, czarny warkocz zwisał jej aż do bioder. Wtedy Franek przypomniał sobie umorusaną twarz małej „Baby Jagi” sprzed lat, która nakładała się na twarz tej dziewczyny z grubym warkoczem. Przez następnych parę lat znów jej nie widywał, ani o niej nie myślał.

...

Z wieku przedszkolnego w pamięci Franka zachowały się jeszcze dwa obrazy być może przedstawione w kolejności. Żenił się brat matki. Od przyszłej ciotki z Krosna Odrzańskiego przyjechało dwóch chłopców. Starszy z nich opowiadał o łapaniu ryb, co Franka mocno zafascynowało. Rozpoczęli więc z drutu robić haczyki. Zabrane babci białe nici miały służyć za żyłkę, a ucięty z wikliny kij za wędzisko. Długo chłopcy moczyli swoje wędki w Wisłoce, ale żadna ryba się nie złapała.

- Tu wcale nie ma ryb - stwierdził któryś z przyjezdnych chłopców.

- Nieprawda! Nie widzisz, jak się pluskają? Ryby nie są takie głupie, żeby przywiązywać się do nitki - oburzył się Franek.

Ta pierwsza nieudana wyprawa na ryby jednak sprawiła, że od tego czasu problem łowienia na dobre chłopca zainteresował.

...

Około świąt Bożego Narodzenia na parę dni przyjechał wujek. Było sporo śniegu i trzymał tęgi mróz. Franek z wujkiem

wybrali się nad Wisłokę. Kępy z wikliny rozciągały się wzdłuż obu brzegów rzeki niekiedy na kilkaset metrów szerokości. Wszędzie było pełno śladów zwierząt.

- Te dwa obok siebie na poprzek i potem dwa obok siebie wzdłuż, to ślady zająca - tłumaczył wujek. - Te tworzące jakby sznurek i kluczące po krzakach, to ślady lisa. Ponieważ lis ma długi ogon i jest ostrożny, to ogonem trochę zaciera ślady.

Buszowali jakiś czas po zaroślach, dalej tropiąc ślady. Po chwili wujek odkrył ciekawy trop.

- Tu lis gonił zająca! Ślady są równoległe, zobacz, jakie zając dawał susy.

Chłopiec był podekscytowany. Wujek opowiadał o myśliwych, o traperach łowiących w sidła i co rusz pokazywał jakieś ślady.

Następnego dnia Franek nie chciał odstąpić wujka ani na krok. Bezustannie dopytywał się o traperów i o sposoby polowań. Koniecznie chciał złapać zająca lub lisa, a najlepiej jedno i drugie. Biedny wujek musiał w końcu ustąpić natrętnemu brzdącowi. Wieczorem znów poszli w kępy nad Wisłokę zabierając ze sobą trochę cienkiego miedzianego drutu. Wujek zrobił trzy sidła, ponieważ chłopiec koniecznie chciał złapać dwa zające i jednego lisa. Wujek spełnił życzenie malca. Dwa zastawił na równoległych wydeptanych ścieżkach, twierdząc, że to ścieżki zający i jedno trochę z boku na lisa.

- Lis zawsze chodzi swoimi ścieżkami - tłumaczył wujek - a przy tym ma bardzo dobry węch. Jak zobaczy lub poczuje, że tu złapały się dwa zające, to na pewno skręci w bok.

To naiwne wyjaśnienie chłopiec przyjął całkiem serio. Wujek w nocy wyjechał, ale malec prawie wcale nie mógł zasnąć. Pamiętał o tajemnicy, że nikomu ani mru, mru. I rzeczywiście była to jego głęboka tajemnica. Malec długo rozważał każdą ewentualność:

- Z zającami prosta sprawa, złapią się za szyję, robią susa i po nich - tak przynajmniej mówił wujek - ale co z lisem?

- Lis jest bardzo cwany, nie taki głupi, jak zające, żeby skakać. Albo będzie stał do rana, albo odgryzie kij i się odwiąże.

Rozważaniom nie było końca.

- Nie, nie odgryzie. Wujek przecież przywiązał drut do dwóch patyków. Na pewno będzie stał. Muszę być przygotowany, żeby mnie nie ugryzł - doszedł do wniosku.

Gdy babcia wstała, żeby iść na rotaty, zdziwiła się, kiedy zobaczyła kręcącego się po kuchni wnuczka. Z podniecenia był aż rozpalony.

- Może jesteś chory? – zapytała z troską.

Gdy wyszła, chłopiec ciepło się ubrał. Znalazł w komórcie pusty jutowy worek i był prawie gotów. Koło pieca wybrał kawałek drewna, które dobrze trzymało się w ręce – tak, by w razie czego przyrznać nim lisowi - owinął go workiem i cichutko wyszedł na dwór.

Było bardzo zimno, śnieg trzaskał pod bucikami. Rozgwieżdżone niebo jakby różowiło się od wschodu, ale jednak nadal było ciemno. Starając się, by nikt go nie zauważył, chłopiec chyłkiem przebiegł drogę i skręcił na ścieżkę w stronę kęp przy Wisłoce, wydeptaną poprzedniego dnia.

Na niebie gwiazdy coraz bardziej bledły, okrągły księżyc ani myślał zachodzić i wciąż świecił z wysoka. Gdy chłopiec znalazł się w upragnionych krzakach i zbiegł w dół, zrobiło się jakby ciemniej. Drzewa rzucały duże cienie. Krzewy, kępy zeszlęch stokroci i jeżyn przybierały niesamowite kształty. Z duszą na ramieniu mały Franek skręcił do Godkowej kępy. Nagle, nie wiadomo skąd, zaczęły przychodzić mu do głowy opowiadania o różnych strachach, serce kołatało mocno. Malec w końcu znalazł się przy swoich siódlach. Były puste! Chciało mu się płakać.

Niedobre, paskudne, głupie zajęcie - myślał ze złością.

Z iskierką nadziei dalej pilnie się rozglądał. Zrobił parę kroków w bok, ale lisa też nie było. Zawrócił w stronę domu. Cały czas biegł chyłkiem, by nikt go nie zauważył. Wciąż było jeszcze ciemno. W domu przywitał go głos mamy:

- Co ty tak wcześniej wyleciałeś na podwórko? Jest duży mróz, że aż skrzypi. Przeziębisz się!

- Mamusiu, właśnie chciałem zobaczyć skrzypiący mróz - odpowiedział rezolutnie, by mama o nic więcej nie pytała.

Gdy na drugi dzień, koło południa, Franek wyrwał się, żeby sprawdzić swoje sidła, dwóch „na zające” już nie było. Do tego, które pozostało trochę z boku, wsadził patyk i szarpnął. Bez trudu się urwało. Dopiero po latach Franek zrozumiał, że wujek biorąc pierwszy lepszy miedziany drucik, tylko zaspakajał jego zachciankę. Wujek nie sądził jednak, jak bardzo mocno i na serio podchodził do tego mały traper.

...

Rozpoczęcia szkoły Franek nie zapamiętał. Dopiero druga, trzecia klasa przynosi wyraźny obrazek - znalezienie topielca.

Około dziesięć dni wcześniej w górnym biegu Wisłoki wojsko przeprowadzało się przez rzekę. Po opadach w górach wody rzeki niosły dużo mułu. Nie był to wysoki stan wody, ale gruntu nigdzie nie można było złapać, woda przypominała swoim kolorem kawę z mlekiem. Przy przeprowadzeniu jeden z żołnierzy zaginął. Kapryśna rzeka poniosła biednego wojaka i mimo wielu poszukiwań topielca nie wyłowiono.

Deszcze ustąpiły, woda wróciła do niskiego stanu i zrobili się duże upały. Wszyscy, a szczególnie dzieci, gdy tylko mieli czas, chodzili kąpać się do rzeki. Franek, kąpiąc się powyżej Godkowego wygonu, po drugiej, bardziej dzikiej stronie rzeki, rozglądał się za rybami. Przy tym brzegu krzaki wikliny wchodziły wprost do wody, tworząc naturalne zapory, bo niekiedy wystawały nawet na kilka metrów.

Franek z kolegami właśnie trenował nurkowanie strzałką, gdy ręce ugrzęzły mu w czymś śliskim i nieprzyjemnym. Wyswobodził ręce, stanął obok i zaczął sprawdzać, co sprawiło takie dziwne wrażenie. Coś czarnego, wzdętego, z resztkami ubrania pływało pod krzakiem. Rozpoznał człowieka. Musiał chyba krzyknąć lub w jakiś inny sposób zaalarmować o swoim znalezisku, ale obraz czarnego, rozpadającego się ciała i wrażenie śliskich rąk było tak silne, że wszystko inne zatarło się w pamięci.

Chyba drugiego lub trzeciego dnia po tym wydarzeniu mama podała do jedzenia kaszanekę. Czarny kolor kaszanki z popękana skórka przy smażeniu, na nowo przypomniał Frankowi obrazek

topielca. Szybko odszedł na bok czując mdłości. Wymiotami po raz któryś utrwalił obrazek z dzieciństwa.

...

W czwartej klasie nastąpił jakiś przełom. Przybyło wielu nowych. Prawie połowę chłopców stanowili teraz uczniowie drugorocznicy, a niektórzy mieli do tyłu dwa, a nawet trzy lata. Ci starsi i przerośnięci, po trochu chuligani, byli bardzo silni, co spowodowało, że Franek utracił dotychczasowe przywództwo w grupie. Brak zainteresowania piłką nożną coraz bardziej odsuwał Franka na bok od kolegów. Nie bez znaczenia na kształtowanie psychiki było również zamążpójście mamy. Wolny czas, którego niewiele było, chłopiec najchętniej spędzał na włóczeniu się po kępach i lasach. Coraz bardziej uciekał w samotność. Książki Londona, Curwooda, Manna już pod koniec czwartej klasy miał przeczytane w całości. Z pasją zaczął wgłębiać się w Hemingwaya. „Rzeka dwóch serc i inne opowiadania” była prywatną lekturą czytaną po kilka razy.

W okresie jesienno-zimowym, gdy skończyły się prace polowe (Franek najczęściej pracował z babcią), wolnego czasu było znacznie więcej. Wtedy Franek z upodobaniem przemierzał odludzia nad dziką rzeką. Przeważnie szedł w górę biegu, gdzie od wałów do koryta było po kilkaset metrów i bardzo daleko do jakichkolwiek zabudowań. To dzikie odludzie było porośnięte różnego rodzaju wikliną, poprzerastane ostrężynami i stokrocią, czasem tworząc prawie dżunglę nie do przebycia. W przeszłości niesforna rzeka musiała wielokrotnie zmieniać koryto pozostawiając wiele parowów i dołów, w których woda po wiosennych wylewach stała niekiedy przez cały rok. Mniejsze doły wysychały znacznie wcześniej i zawsze odkryte w porę, pozwalały na łatwe połapanie ryb.

...

Franek kończył szóstą klasę, rodzice rozpoczynali wtedy budowę domu. Były to biedne czasy i wcale niełatwe dla budownictwa. Niewielkie gospodarstwo zaledwie pozwalało wiązać koniec z końcem. Tatusz Franka (ojciec od trzech lat, którego chłopiec bardzo polubił i starał się być dla niego dobrym synem) pracował w tym czasie tylko dorywczo, lecz tuż przed rozpoczęciem

budowy nadarzyła mu się okazja na lepsze zarobki. Budowy domu za niezbyt wysoką cenę podjął się domorosły murarz, który wcześniej wymurował dom dla siebie. Pożyczony z banku pieniądze starczały ledwie na podstawowe materiały budowlane i brakowało ich na wynajęcie pomocnika. Przez pierwsze dwa tygodnie do pomocy przyjechał brat mamy i razem z Frankiem obsługiwali murarza.

Zbliżały się żniwa. Ponieważ murarz też miał niewielkie gospodarstwo rolne, więc prace przy żniwach wzięły górę nad budową. W tym czasie zboże koszone tylko kosą. Wujkowi skończył się urlop, więc wyjechał. Już poprzedniego roku Franek trochę próbował kosić, ale teraz, gdy tatuś od rana do wieczora ciężko zarabiał brakujące na budowę pieniądze, chłopiec sam skosił całe zboże. Po żniwach kontynuowano budowę. Jedyńm pomocnikiem został Franek.

W pobliżu rodzinnego domu ani w okolicy nie było żadnej żwirowni. Od niepamiętnych czasów żwir dostarczała Rio Borno. Był on „łapany” sitem przytwierdzonym do długiej żerdzi z łodzi o specjalnej konstrukcji, nazywanej krypą. Krypa zazwyczaj miała wymiary około pięć metrów na ponad półtora, jej burty często były zrobione z jednej długiej i szerokiej dechy. Cała konstrukcja trochę przypominała wielką szufladę, lekko zwężoną i podniesioną z przodu, co nosiło dumną nazwę dziób. Właśnie do progu na dziobie na kilkumetrowym łańcuchu była przymocowana kotwica.

Najczęściej kryptę obsługiwały dwie osoby, ale zdarzały się większe z czterosobową obsadą, i mniejsze jednoosobowe. Oprócz sita do łapania żwiru (nazywanego tu „miszanką”) na krypie standardowym wyposażeniem były również szufle do jego przesypywania i wyładowywania. Jako napęd służył długi drąg (loska), którym odpychano się od dna. Przy wielkiej wodzie szufle pełniły rolę wiosel.

Praca przy łapaniu „miszanki” nie należała do łatwych. Łapiący żwir stał w wodzie, która z łapanym piachem wylewała się z sita i co jakiś czas należało ją usuwać. Brodząc w wodzie w gumowych butach, z mokrymi rękami, pracujący na krypie ludzie byli narażeni na przeziębienia i choroby reumatyczne. Żwiru nie

łapało się tylko wtedy, gdy była wielka woda lub gdy rzekę skuły lody. W jesieni i w zimie zapotrzebowanie na żwir też było niewielkie, więc łapiący go mężczyźni z reguły zatrudniali się do wyrębu kępy. Tatusz Franka wykonywał właśnie takie prace.

Z nadejściem mrozów tatusz rozpoczynał pracować na wyrębie. Franek po przyjściu ze szkoły brał mniejszą siekiere i również szedł na wyrąb do pomocy. Płaca była akordowa, zależna od ilości zrobionych wiązek bądź palików, więc razem z ojcem mogli więcej zarobić. Wyrąb trwał do wiosny, gdy drzewa dostawały pierwsze pąki. Jeszcze przed zakończeniem sezonu wycinki ojcu udało się załatwić pracę palacza w Zakładach Ceramicznych i przez ostatnie dwa tygodnie na wyrębie pracował tylko Franek.

Z nastaniem wiosny w kępach zaczynała się praca dla kobiet przy sadzeniu i okopywaniu wiklin bądź topoli. Konieczność spłacania pożyczki na budowę sprawiła, że mama Franka podjęła się tej pracy. Małą siostrę odprowadzano do babci, a Franek po powrocie ze szkoły musiał zajmować się gospodarstwem. Najwięcej problemów stwarzało mu dojenie krowy. Mama wracała z pracy po piętnastej i dopiero wtedy mogła zabrać się za przyrządzanie obiadu. Franek kilka razy sam próbował robić obiad, ale to zajęcie wyraźnie mu nie leżało. Gdy przychodził ze szkoły wcześniej, wolał podmieniać mamę przy sadzeniu, niż zajmowaniem się małą siostrą i domem. Brygadzistka stwierdziła, że chłopakowi robota w kępie dobrze idzie i bez problemu aprobowała takie podmiany. Gdy nadeszły wakacje, przy okopywaniu z kobietami z reguły pracował już tylko Franek, a mama pozostawała na gospodarstwie.

...

Po wakacjach Franek zaczął uczęszczać do szkoły średniej znajdującej się po drugiej stronie Wisłoki, trzy kilometry w dół jej biegu. Nazwisko Wójcik pierwszy raz pojawiło się na świadectwie ze szkoły podstawowej (wtedy 7 klas) i już do niego się przyzwyczaił. Nim jednak został przyjęty do LO-26 w Mielcu, niewiele brakowało, by tak się nie stało.

Franek już oficjalnie po adoptowaniu przez Tatusia jako Józef Franciszek Wójcik wypisał dokumenty o przyjęcie do

ogólniaka i zgodnie z wytycznymi kierowniczkii Szkoły Podstawowej w Książnicach, szkoła wysyłała dokumenty dalej. Gdy przyszedł na egzaminy wstępne na wywieszonych czterech listach do egzaminu nie dostrzegł swego nazwiska, ani tego do tej pory Strzelczyk, ani nowego Wójcik. Opiekunowie grup na egzaminie kolejno sprawdzali obecność na swych listach i zabierali kandydatów do poszczególnych klas. Po odhaczeniu obecności na ostatniej z list Franek pozostał sam jako ten nieodczytany, więc od razu zwrócił się do nauczycielki, że został pominięty. Nauczycielka z ostatniej grupy dopisała go ołówkiem i zabrała go na salę egzaminacyjną do czasu sprawdzenia w sekretariacie szkoły, co się stało z dokumentami.

Na szczęście był to pisemny z matematyki, której Franka uczyła przedwojenna nauczycielka z powołania. Gdy spostrzegła, że chłopiec jest uzdolniony matematycznie i że od niego inni odpisują, więc gdy dawała trudne zadania problemowe wybiegające ponad program, sadzała Franka przy stoliku nauczycielskim. Najczęściej efekt był taki, że tylko on jeden z klasy rozwiązywał poprawnie najtrudniejsze zadania.

Po około pół godzinie podeszła nauczycielka, która dopisała Franka ołówkiem do listy egzaminowanych i spoglądając na jego kartkę z zadaniami ostro zakomunikowała: – W sekretariacie dokładnie sprawdzili, dokumentów nie ma. Proszę wyjść.

Chyba Opatrzność sprawiła, że była to profesor od matematyki, bo spoglądając przez ramię chłopca na zapisaną kartkę z rozwiązanymi zadaniami w tak krótkim czasie, zapytała z nutą zaskoczenia:

– Już wszystko zrobione?

Zdziwiona wzięła kartę egzaminacyjną i dokładnie sprawdziła, co jest na niej napisane.

- Co się mogło stać z tymi papierami? – zastanawiała się z troską w głosie. Poleciała, żeby Franek udał się teraz do sekretariatu, by to wyjaśnić. – Proszę dodać, że rozwiązane zadania ja już sprawdziłam i nie znalazłam błędu. Po skończeniu czasu pisania też tam podejść.

Po wyjaśnieniu chłopca, że szkoła podstawowa wysyłała dokumenty i po telefonie do Książnic okazało się, że nadal tam są i że nie zostały wysłane. Po przyjeździe pani profesor od matematyki zapadła decyzja, że mam dostarczyć dokumenty przed jutrzejszymi egzaminami.

Gdy w końcu zostały wywieszane listy przyjętych i nieprzyjętych Franek na liście przyjętych do stojącego na wysokim poziomie LO-26 był dopisany ołówkiem. Kierowniczką Szkoły Podstawowej w Książnicach powód niewysłania dokumentów wyjaśniła mamie chłopca następująco:

- Syn powinien iść do technikum, a nie ogólniaka i tam chciałam wysłać jego papiery. Ogólniak przygotowuje na studia, a jak on może studiować, gdy nawet jednego zdania nie potrafi napisać bez kilku błędów ortograficznych?

W ogólniaku

(W ogólniaku po raz pierwszy wyczytywano mnie po nazwisku Wójcik, tak jak Tatusia, Stanisława Wójcika. W dokumentach do dziś w rubrykach imię ojca wpisują Stanisław, bo tak oficjalnie zostało zapisane po adopcji)

Franek najczęściej chodził pieszo na skróty wałem biegnącym wzdłuż rzeki, a czasem jeździł rowerem. Przy dużych mrozach, które przeważnie na dwa miesiące skuwały rzekę lodem, często do szkoły jeździł na łyżwach zamarznąłą rzeką.

Rzeka wyglądała wtedy niezwykle. Przypinając łyżwy przy wodospadzie, zaledwie 100 m od nowego domu, Franek jechał w dół korytem rzeki. Lewy brzeg początkowo ciągnął się wzdłuż stromego klifu, który spadał do wody z prywatnych kęp wioski. Gdzieniedzie sędziwe wierzby i topole, podmyte podczas wielkiej wody, zwisały zawieszono wysoko na korzeniach z wierzchołkami pogrążonymi w lodzie. W innych znów miejscach częściowo osunięta ziemia jeżyła się drzewami i krzakami, rosnącymi zupełnie poziomo, które czasami daleko sterczały w stronę środka rzeki. Prawa strona, bardziej płaska, bo na wewnętrznym łuku meandra, porośnięta była gęstymi zaroślami, jakby wyrastającymi wprost z wody skutej teraz grubym lodem. Brzeg rzeki z tej strony był łagodny i po nim z łatwością można było wchodzić do góry.

Wszędzie biel śniegu uzupełniana szadzią na drzewach i cisza, której w głębokim korycie rzeki zdawało się nic z zewnątrz nie mącić. Zakłócał ją jedynie chrzęst Frankowych łyżew i od czasu do czasu trzepot podrywającego się do lotu bażanta, spłoszonego z przybrzeżnych zarośli przez niespodziewanego łyżwiarza. Lód na Wisłocze w większości pokryty był śniegiem, na ogół szorstki i chropowaty od kry, która go formowała podczas zamarzania. W wielu jednak miejscach, w wyniku przybierania lub opadania, woda przez pęknięcia w lodzie wypływała na wierzch i znów zamarzając tworzyła świeże i gładkie tafle. Po nich najlepiej się jeździło.

Przy rodzinnej wiosce śnieg i lód na rzece był mocno wydeptany i rozjeżdżony łyżwami. Całymi popołudniami grano tu przecież w hokeja lub jeżdżono na łyżwach, ale po kilkuset metrach

nie było już w pobliżu żadnych zabudowań i żadnych śladów. Koryto rzeki prostowało się i po obu brzegach były już tylko szerokie i dzikie kępy. Od czasu do czasu, najczęściej przy brzegach na bystrym nurcie, dymiły parującą wodą nie zamrożone odparzeliska.

Teraz Franek miał co oglądać. Na łagodniejszych brzegach duże krzaki popłątanych wiklin często były pokryte zwałami niesionych przez wysoką wodę śmieci. Przy letnich powodziach były to całe drzewa, gałęzie, kopki siana i całe dziesiątki snopków zboża, które kapryśna rzeka porywała z gór. Pozostałości tych niesionych rzeczy ciągle tkwiły na większych kępach krzaków. Teraz pokryte dodatkowo śniegiem tworzyły niewyobrażalne widoki.

Dla jadącego na łyżwach i patrzącego z dołu Franka spod białych czap wyłaniały się jakby jaskinie, prymitywne chaty, najprzeróżniejsze baldachimy lub wielkie nory po części przykryte. Biel śniegu dodatkowo podkreślała każdą ciemną plamę i każdą dziurę, do których śnieg nie docierał. Pewną tajemniczość, a nawet baśniowość scenerii dodatkowo stwarzały liczne, dymiące na porannym mrozie odparzeliska. Tworzyły one siną mgiełkę, której kolor i intensywność zależała od wielkości mrozu. Im większy mróz, tym bardziej dymiły w ciemnych i ponurych kolorach. Nieśmiało przeciskające się przez konary drzew słońce iskrzyło tysiące śniegowych gwiazdek, dawało długie cienie i dopełniało niepowtarzalność obrazu. Możliwość wpadnięcia pod lód i odludność okolicy odciętej gąszczem szerokich kęp i zarośli powodowało, że niewielu śmiałków korzystało z tej zimowej drogi. Na zamrożonej rzece najczęściej krzyżowały się jedynie tropy zajęcy i lisów. Przy miasteczku ludzkich śladów na nowo zaczynało przybywać. Przy niedawno wybudowanej, wiszącej kładce, gdzie wcześniej na drugą stronę była przeprawa promem, Franek odpinał łyżwy i krótką ulicą Rzeczną trafiał wprost do szkoły „pod zegarem”.

Ze szkoły Franek zawsze się spieszył. Szybko jadł obiad i z siekierą na ramieniu szedł do kępy ciąg faszynę (popularnie fasinę). Poprzedniej zimy tylko pomagał tatusiowi przy wyrębie, ale teraz,

gdy ojciec był zatrudniony w Zakładach Ceramicznych, pracował już na swoje konto. Była to praca akordowa i wcale niełatwa.

Na kilkunastoarowej działce każdy z pracujących wycinał wiklinę, robiąc z niej paliki, fasinę i sztangle (wiązki prostych kijów bez sęków) . Pracowało się do zmroku, już często po ciemku układając paliki lub stawiając kopy z wiązek. Co jakiś czas należało podostrzyć siekiere. Nawet przy dużych mrozach pracowało się bez rękawic - raz, że ich nie było, a dwa, że zakręcenie witki w rękawicach było niemożliwe. O gałęzie i ostrężyny często kaleczyły się ręce, które i tak najczęściej były popękane od wody i topniejącego śniegu. Pod koniec miesiąca następował komisyjny odbiór jakości i przeliczenie ilości sztuk do zapłaty. Ponieważ Franek był nieletni, oficjalnie do zapłaty figurowało nazwisko wujka, co wcale nadzorcom i inspektorom nie przeszkadzało. Komisja zawsze bez problemu przyjmowała wykonaną przez chłopca robotę.

Wiosenne sadzenie i okopywanie było znacznie przyjemniejsze. Praca na dniówkę w kępach, które wybuchały bujną roślinnością oraz wypełniały się śpiewem słowików i skowronków była dla Franka prawdziwą przyjemnością. W odludnych terenach wprawdzie trudno było kontrolować ilość wykonanej pracy, ale brygadziści mieli na to różne sposoby. Ponieważ Franek uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego, więc musiał pracować w różnych godzinach pracy. Pogodzenie jednego i drugiego nastęrczało niekiedy wiele problemów. Czasem przychodził wcześniej ze szkoły i pracował razem z kobietami do końca ich czasu pracy, a następnie zostawał dłużej, sadząc lub okopując w wyznaczonej przez brygadzystkę działce. Czasem wstawał skoro świt, pracował ze dwie, trzy godziny przed zajęciami szkolnymi, a kończył dniówkę po powrocie ze szkoły. Często zdarzało się, że miał zapisywane tylko pół dniówki.

...

W ósmej klasie, wiosną, rzeka dzieciństwa zafundowała Frankowi bardzo miły prezent:

W sobotnie popołudnie od rzeki dolatywał dziwny szum i głucho dudnienie. Chłopiec bez namysłu pobiegł pod wodospad.

Właśnie ruszały lody, które całą szerokością z głuchym łoskotem spływały w dół. Duży zakręt rzeki i gwałtowny spadek przy wodospadzie powodował, że wielkie pola lodowe pękały łamiąc się na drobne kawałki. Woda przybierała w oczach i szybko zaczęła występować z koryta. Pod wieczór woda podeszła pod szczyt wału, zalewając całe kępy aż po konary drzew.

Nazajutrz rano Franek ubrał gumowe buty i poszedł nad rzekę. Woda znów była w korycie pozostawiając między drzewami grube tafle lodu. Jakież było zdziwienie chłopca, gdy w krzakach przy wodospadzie dostrzegł krypę. Stała ona częściowo na wodzie, częściowo na błotnistym mule i była mocno przechylona. Krypa nie była uszkodzona, wyglądała zdrowo, a resztki łańcucha bez kotwicy świadczyły, że gdzieś w górze rzeki musiał ją zerwać spływający lód. Franek resztką łańcucha przywiązał krypę do krzaków, zepchnął ją na wodę, a potem przeciągnął do niewielkiej zatoczki i rozradowany biegiem ruszył do domu. Świeży muł rozpryskiwał się na wszystkie strony spod gumowych butów. Gdy wpadł na podwórko, ojciec właśnie zatrząskkiwał bramkę, wychodząc ubrany do kościoła.

- Tatuś! Tatuś! Zacekój! - krzyczał Franek.

Ojciec zatrzymał się i z powrotem wrócił do bramki.

- Co się stało? – zapytał, bacznie przyglądając się przybranemu synowi.

Na schody zaalarmowana krzykiem wyskoczyła mama.

- Rany boskie! Jak ty wyglądasz! Co się stało? – dopytywała się mama.

- Tatuś pocekój, złapołem krypę. Przywiązałem ją pod wodospadem ale mało łańcucha. Musimy ją zabezpieczyć, bo woda spodo! - krzyczał podniecony Franek.

Jego roześmiana gęba musiała i mamę trochę uspokoić, bo już znacznie spokojniej powiedziała:

- Szalony chłopaku, śniadania nie zjodeś, czas do kościoła, a ty cały jesteś utatłany w błocie. Wyglądasz jak nieboskie stworzenie.

Franek dopiero teraz przyjrzał się swojemu ubraniu.

Rzeczywiście. Wszystko miało jeden kolor, kolor mułu, który grubą warstwą oblepiał całą odzież. Emocje trochę minęły i już spokojnie powiedział o swoim znalezisku.

- Tatuś chodź, krypa może się zerwać, bo woda opodo. Musimy wziąć szufle, loske i łańcuch z kłódką. Potem razem pójdziemy do kościoła na sume – zaproponował.

Brodząc po świeżym mule Franek z tatusiem dotarli do krypy, która spokojnie kołysała się na wodzie. Ojciec przyglądał jej się bacznie.

- Jest mniejsza i węższa od naszych. Ma bardziej podniesiony dziób - stwierdził. - Musiała z daleka przyjść, bo wygląda mi to na góralską budowę.

Franek tymczasem zabrał się za odlewanie szuflą wody. Później zamocowali ją do grubego drzewa rosnącego na tamie i zamknęli na kłódkę.

- Tu będzie stać spokojnie, może ktoś po nią się zgłosi - powiedział ojciec.

To stwierdzenie zmartwiło Franka, bo tak bardzo chciał mieć własną krypę, a ta węższa z podniesionym dziobem wyjątkowo mu się spodobała.

Przez następne dni chłopiec żył w niepewności.

A nuż się ktoś znajdzie, komu krypa uciekła – myślał z trwogą.

Z czasem okazało się jednak, że nikt krypy nie poszukiwał. Żaden ze znajomych ojca do trzydziestu kilometrów w górę rzeki mających krypy nie słyszał, aby komukolwiek łódka poszła z lodami. Krypa została więc przy Franku.

Poniżej wodospadu, gdzie kończyła się kępa rodziców, było niewielkie zakole z wystającym do góry na jakieś trzy metry czarnym, przedpotopowym dębem. Od domu było to z dwieście metrów. Ta właśnie zatoczka na zakolu na najbliższe trzy lata stała się miejscem zacumowania krypy, a czarny przedpotopowy dąb był oryginalnym, niezwykłym polerem. Młody właściciel był dumny z tej pływającej jednostki i zawsze dbał o jej wygląd.

...

Dwa dni po Wszystkich Świętych grupka mężczyzn stojąca pod kościołem przywołała Franka. Chłopiec często chodził z nimi na ryby, a po przeprowadzeniu się do nowego domu, który stał trochę na uboczu i najbliżej rzeki, Franek stał się głównym łącznikiem do łapania ryb. To u niego zostawiano saki i podrywki. Wśród dojrzałych mężczyzn zajmujących się od czasu do czasu rybaczeniem Franek był jedynym podrostkiem, którego zabierano na wyprawy i traktowano na równi ze wszystkimi. Posiadanie przez chłopca krypy jeszcze to utrwaliło.

Na Wisłoce w tych czasach ryby w zasadzie łowiło się przez cały rok na wiele sposobów:

- Gdy woda przybierała gwałtownie, zmieniając barwę na kawę z mlekiem, niosąc przy tym duże ilości piany, śmieci, a nawet powyrywanych z korzeniami drzew, łapało się na podrywkę. Ryby szły wtedy w spokojniejsze zakola i niewielkie zatoki. Przytwierdzoną do długiego drąga sieć opuszczano w tych spokojnych miejscach, a następnie podrywano do góry co jakiś czas. Ta metoda dawała bardzo dobre efekty. Na podrywce niejednokrotnie trzepotało się po kilka sztuk, szczególnie, gdy łowiący natrafił w podchodzące pod brzeg ławice cert lub świnek, ale łapały się również szczupaki, leszcze, duże okonie, a nawet lubiące bystre wody brzany, których najwięcej było przy wodospadzie, którego lewy brzeg był kępą Wójcików o około 150 metrów od nowego domu.

- W lecie najczęściej łapano na sak. Często był on zrobiony ze spiętej w trójkąt podrywki, przymocowanej do wiklinowych widełek. Jedna osoba podkładała sak pod krzaki wchodzące do wody, pod zwały podwodnych kamieni lub splątane korzenie, a jedna lub dwie osoby naganiały ryby, tłukąc pałami w pobliżu tych miejsc.

- Latem popularne również było łapanie ryb gołymi rękami. W ręce najczęściej można było złapać zalegające w kamieniach czarne miętusy.

W tych stronach i w tym czasie ryby na wędkę łapano tylko wtedy, gdy inne sposoby ze względu na głęboką, albo na zimną wodę były niemożliwe.

Stojący pod kościołem mężczyźni wielokrotnie byli już współnikami Franka przy połowach. Ładna jesienna pogoda i niewielki stan wody zachęcał wszystkich do łapania ryb na sak z krypy. Ustalono, że za godzinę wszyscy spotykają się przy wodospadzie i krypą udadzą się daleko w górę rzeki, za Niemiecki Wygon, gdzie od lata nikt ryb nie łowił. Jeszcze przed południem czterech mężczyzn i kilkunastoletni chłopiec płynęło w górę dzikiej w tych miejscach Wisłoki. Łapanie rozpoczęło dopiero kilkaset metrów za Niemieckim Wygonem. Po jakiejś godzinie, gdy ryb było już sporo, jeden z mężczyzn przystawiał sak za dużym krzakiem tkwiącym w wodzie. Inny, idąc od dziobu krypy, uderzeniami laski płoszył i naganiał ryby do saka. Znow podjechano dalej. Za kolejnym krzakiem wszyscy zauważyli leżącego na brzegu człowieka. Jego gumowe buty prawie po cholewy były zanurzone w wodzie. Leżał na prawym boku, jakby próbując się jeszcze wdrapać na stromy brzeg. Podniesione nad głowę ręce kurczowo trzymały się pęków traw. Szadź na tkwiącej w ręku trawie i na ubraniu wskazywały, że dawno nie żył. Wszyscy bez trudu rozpoznali nieboszczyka.

- To Baflo (*faktyczne nazwisko Bawół i dziś w 2020 r. mogę to napisać*) - stwierdził któryś z mężczyzn, zanim jeszcze Franek zdołał go rozpoznać.

Łowienie pospiesznie zakończono.

- Nic nie dotykać. Trzeba zawiadomić policję - zauważył inny.

Krypa z poskładanym sprzętem niesiona prądem płynęła w dół rzeki. Mężczyźni na różny sposób komentowali wydarzenie. Baflo mieszkał z trzysta metrów od Franka i miał czwórkę dzieci. któryś z mężczyzn przypominał sobie, że widział go w piątek rano, gdy szedł w stronę Wisłoki.

Frankowi przeszedł chłód po plecach. Wracał myślą do wąwozu z lisimi jamami, gdy właśnie w piątek rano zakładał tam

sidła. Ten wąż był w pobliżu, może z 20 metrów od brzegu z nieboszczykiem. Chłopcu z tej wyprawy nagle wszystko stanęło przed oczami. Pamiętał dokładnie spłoszone kaczki, które poderwały się z wody kilkadziesiąt metrów od niego, choć to nie on je spłoszył, bo był od koryta rzeki zasłonięty wzniesieniem. Przez moment nawet zastanawiał się, dlaczego tak gwałtownie się poderwały.

Chyba spłoszyłem lisa, a on uciekł na tamę (brzeg rzeki) i wystraszył kaczki – doszedł wtedy do wniosku.

Teraz Franek nie miał wątpliwości - Bafla je spłoszył, dokonując samobójstwa. W tym właśnie czasie chłopiec był nieopodal tragedii, nic o tym nie wiedząc. Wąż od nieboszczyka znajdował się tak blisko!

Krypa dopływała do wodospadu. Mężczyźni ustalili, że najlepiej niech policję powiadomi Franek. Jest nieletni i cała okolica wie, że włóczy się często łódką po rzece. Był na przejażdżce, zauważył trupa i to wszystko.

- Po co niepotrzebne dochodzenia i przesłuchania na policji tylu osób - zdecydowali mężczyźni.

Tak też się stało, Franek wszystko wziął na siebie.

...

Policyjny samochód i sanitarka zatrzymały się przed domem chłopca. Na drodze stała grupka osób i komentowała wydarzenie. Gdzie jest ciało, oficjalnie wiedział tylko Franek.

Dojechać w to miejsce nie było łatwo. Do Niemieckiego Wygonu okrężną drogą było ze trzy kilometry, dalej po przejechaniu przez wał przeciwpowodziowy pozostało jeszcze ze dwa kilometry bezdroży. Jadący w pierwszym samochodzie Franek był pilotem. Podjechali najbliżej, jak tylko się dało. Gdy wszyscy wyszli z samochodów, do przejścia przez płataninę chaszczy i zarośli pozostało kilkaset metrów. Chłopiec szedł na czele i pokazywał drogę. Chyba nikt inny nie mógłby tego zrobić, bo nikt nie znał lepiej tych dzikich ostępów jak on.

Minęli lisi wąż (być może dawne koryto rzeki), w którym trzy dni wcześniej chłopiec zakładał sidła, gdzie spłoszyły się kaczki i gdzie jeszcze dziś z samego rana w sidle szamotał się lis. Nim Franek do niego doszedł, drut się zerwał i lis uciekł. Teraz, gdy kilka

godzin później podczas łowienia ryb znaleziono ciało tak blisko, gdy z całą ekipą dochodzeniową był zaledwie o kilka kroków od tego miejsca, chłopcu przed oczami stawało wszystko. W głowie kotłowały się wspomnienia z trzech dni, nawet pomyślał, że lis albo zwietrzył nieboszczyka, albo ominął go leżącego na skarpie za wzniesieniem. Prowadząc musiał uważać, by nie zauważono miejsca, gdzie szamotał się z rana lis i by nie było po drodze jego wnyków. Rozmyślał też gorączkowo, jak wytłumaczyć policji i ekipie dochodzeniowej, że sam dał radę wyjechać w górę rzeki pod prąd aż tak daleko. A przecież obiecał całej piątce dorosłych w średnim wieku, że tak zrobi, by nie ciągnano ich na przesłuchania, gdy łowienie ryb w ten sposób chyba też nie spełniało wymogów prawa. Ryba tak tu łowiono tu od wieków, a że w środowisku chłopca władze PRL uważano za oszukańcze, więc oszukać oszusta w pewnym sensie było obowiązkiem i powodem do dumy.

Grupa policyjno-dochodzeniowa, z Franiem jako przewodnikiem na czele, skreśliła z dzikiego wąwozu w stronę brzegu Wisłoki. Znaleźli się na tamie (tu skarpa koryta rzeki o wysokości 3-5 metrów) o parę kroków od nieboszczyka, którego w żaden sposób nadal nie można było dostrzec. Franek był jednak całkowicie pewny, że są bardzo blisko, bo w lisim wąwozie tylko on dostrzegł miejsce, skąd zerwał się lis. W końcu rzeczywiście udało się odszukać zwłoki. Robiono zdjęcia, a Franek był jedyną miejscową osobą, by rozpoznać denata. Gdy przewrócono nieszczęśnika na bok z ust popłynęła mu ropna krew. Wrażliwego nastolatka aż to zemdliło, bo twarz Bafla ze strony na której leżał na skarpie była zniekształcona i trudna do rozpoznania.

Grupa dochodzeniowa na środku rzeki znalazła bagniet, którym nieszczęśnik usiłował ugodzić się w serce. Ostrze bagnetu przeszło jednak kilka centymetrów obok. Sekcja wykazała, że w żołądku samobójcy znajdował się również jakiś środek trujący na owady, który wypił jeszcze w domu. Słuchając tego wszystkiego, ciarki przechodziły chłopcu po plecach. Zdawał sobie sprawę, że w momencie samobójstwa znajdował się od desperata najwyżej 50 metrów. Spłoszone dzikie kaczki i ustalony przez policję czas wyjścia Bafla z domu nie budził wątpliwości. W momencie

samobójczego ciosu Franek znajdował się nieopodal od nieszczęśnika, a w promieniu co najmniej dwóch kilometrów rozciągała się jedynie dzika głusza.

Co by było, gdybym się natknął na niego na tym bezludziu? – rozmyślał z przerażeniem chłopiec. – Skoro wcześniej wypił środek trujący na owady, a potem przebił się bagnetem, musiał bardzo cierpieć i być bliski obłędu. Przecież mógł zrobić wszystko. Czy przy takiej desperacji nie chciałby również pozbyć się przypadkowego świadka swej tragedii?

Gdyby nie łapanie ryb z łódki, ciało Bafla leżałoby prawdopodobnie do wiosennych roztopów i wielkiej wody. Być może wcześniej na tym odludziu zaopiekowałyby się nim lisy lub wrony.

Po tym wydarzeniu amatorów łowienia ryb z łódki już nie było. Franek ciął jeszcze fasinę przez dwie zimy. W sprawie Bafla kilka razy wzywali go na policję, lecz dotrzymał słowa, że krypą płynął sam i nikogo nie wydał.

...

Wczesną wiosną, przed maturą, Franek przyszedł ze szkoły. Wisłoka była jeszcze skuta lodem, ale słońce operowało już dość mocno. Wziął siekiere i postanowił obrąbać dookoła z lodu swoją krypę, by nie zerwały jej ruszające lody. Prawie doszedł na miejsce i stanął na wysokim brzegu. Przez chwilę z góry przyglądał się zamrożonej rzece. Stała cicha i uśpiona. Właśnie zamierzał już schodzić w dół, gdy usłyszał jakiś szum dochodzący z górnego biegu. Odwrócił głowę i spojrzał na prosty odcinek rzeki. Lodowe tafle powoli zaczęły się poruszać. Przy krypie lód jeszcze ciągle stał, ale sprawa była już przesądzona. Łódka drgnęła i wolno sunęła z całym polem lodowym. Łańcuch zamocowany do czarnego dęba coraz bardziej się naprężył. Krótki trzask i świst wystrzelonego w górę urwanego łańcucha wyjaśnił wszystko. Nieujarzmiona rzeka odebrała Frankowi swoją własność, którą mu pożyczyła przed trzema laty. Na zakręcie za Godkowym Wygonem krypa zaczęła powoli nikać z oczu. Spływające lody unosiły gdzieś daleko ulubioną łajbę po brzegi wypełnioną wspomnieniami. Duże, ciepłe łzy potoczyły się po policzku chłopca. Stojące, bezwietrzne

powietrze wypełniało dudnienie spływających lodów. Frankowi przyszło na myśl, że być może jest to jego ostatnia wiosna spędzona nad rodzinną rzeką. Przybierająca gwałtownie woda stawała się coraz bardziej mętna i pachniała rybami.

Do Marynarki Wojennej

(Jest to fikcyjne opowiadanie przedstawiające najprawdziwsze fakty, rozmowa samego z sobą, czyli z osobami moich dwóch następnych imion, Frankiem i Stanisławem (Stanem), która toczy się na fikcyjnych wyspach. Została zapisana w 1995 r., gdy nie wszystko mogłem pisać wprost. Teraz wiele zostało już odkryte, choć koncepcja narracji nie została zmieniona. Pojawia się też imię Joe, bo tak właśnie nazywali mnie wcześniej Anglicy, a później Kanadyjczycy).

Ostatnia klasa ogólniaka to czas decyzji o kierunku studiów. Wybierałem się do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, na leśnictwo. Jeszcze przed maturą przyjechał do naszej szkoły na agitację jakiś oficer z wojska. Jeden z kolegów namawiał mnie, żebym zdawał z nim do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. Mieszkając na południu Polski, nie bardzo w tym czasie odróżniałem Marynarkę Wojenną od handlowej. Ponieważ egzaminy do WSMW były miesiąc wcześniej niż na inne uczelnie, a w dodatku miałem za darmo przejazd nad morze i jeszcze wyjazd do Krakowa na badania lekarskie w Instytucie Lotniczym, więc w końcu dałem się namówić. Z SGGW wcale jednak nie zrezygnowałem, a wręcz odwrotnie. Wyjazd nad morze potraktowałem jako przygodę. Wszystkie dokumenty złożyłem na SGGW, a na maturę wybrałem do zdawania wymaganą tam biologię, a nie fizykę, z której były egzaminy w WSMW. Do podjęcia takiej decyzji ostatecznie przekonał mnie argument kolegi:

- A byłeś nad morzem?

- Nie.

- Więc co ci szkodzi, zrobią ci szczegółowe badania i za darmo będziesz miał wycieczkę nad morze.

Nad morzem nigdy wcześniej nie byłem. Kolega, który był inicjatorem naszego wyjazdu, odpadł na badaniach lekarskich w Krakowie, a ja zostałem jedynym kandydatem z Mielca. Na egzamin – wycieczkę, wyjechałem tydzień wcześniej nie zabierając nawet zeszytu, a ostatnią noc przespałem na dworcu w Gdyni, bo już zabrakło mi pieniędzy.

Egzaminy i badania lekarskie też miały trwać tydzień. W pierwszym dniu moja grupa, do której byłem przypisany, miała

egzamin z zagadnień międzynarodowych (dokładnie nie pamiętam, jak to było sformułowane) i testy psychologiczne. Potwornie zmęczony, w trampkach i dżinsach sfatygowanych tygodniową włóczęgą i nieprzespaną nocą na ławce dworcowej w Gdyni, pragnąłem, by jak najszybciej odpocząć i mieć to z głowy. Po informacji, że indywidualnie do egzaminów będą wywoływać według listy alfabetycznej padło jeszcze pytanie:

- A może ktoś zgłasza się jako pierwszy do egzaminu?

Zgłosiłem się bez wahania.

Następnego dnia był pisemny z matematyki. Nie miałem problemów i jako pierwszy z grupy oddałem kartę sporo przed czasem. Dziś nie pamiętam, którego dnia był ustny z matematyki, ale dokładnie zapamiętałem jego przebieg: - każdy losował karteczkę z trzema pytaniami, na które będzie odpowiadał, trzy osoby się przygotowywały, a jedna odpowiadała przed egzaminującymi. Po przeegzaminowaniu jednej osoby, na salę wchodziła następna.

Wylosowałem swą kartkę z trzema pytaniami i usiadłem jako trzeci z przygotowujących się. Zapoznałem się z pytaniami i znałem na nie odpowiedź. Ponieważ był to egzamin ustny, na kartce papieru napisałem obok numerów 1, 2 i 3 tylko jakieś wzory uzasadnienia. Kartkę odłożyłem na bok i ze spokojem przysłuchiwałem się odpowiedzi pierwszej osoby egzaminowanej. Widziałem, że się gubi, jest podenerwowany i ma trudności. Ktoś z komisji, polecił mu, by w spokoju przez chwilę się zastanowił. Ponieważ ja w tym czasie siedziałem z ręką podpartą pod brodę i odłożoną kartką, od stołu egzaminatorów podeszła do mnie pani z osób egzaminujących (już jako student poznałem, że była to matematyczka dr Hajdas). Wzięła do ręki prawie czystą kartkę, popatrzyła i powiedziała krótko:

- Dziękuję. Proszę wyjść.

Nie zrozumiałem, dlaczego każe mi wyjść, bo przecież byłem pewny, że doskonale potrafię odpowiedzieć na wszystkie wylosowane pytania.

- Ja znam odpowiedź na te pytania i dlatego nic więcej nie pisałem. Chcę odpowiadać... - zaprotestowałem.

- Ja też to wiem. Na pisemnym pan oddał kartkę w jednej trzeciej czasu. Zadania były rozwiązane bezbłędnie, a to co jest na tej kartce mógł zapisać tylko matematyk znający zagadnienie. Dziękuję, matematyka zaliczona na piątkę.

Tak więc z matematyki na egzaminie ustnym nawet nie odpowiadałem. Fizyka pisemnie poszła mi słabiej, ale ustnym się wybroniłem. Na próbie sprawności fizycznej byłem wręcz bezkonkurencyjny, bo kto z moich rówieśników mógł przez cztery lata pracować przy wyrębie i pracować również jako jedyny pomocnik murarza.

Jeszcze raz były badania lekarskie, po których do egzaminów zostało czterech kandydatów na jedno miejsce. Dopiero w chwili ogłaszania wyników serce zabiło mi mocniej. Spodobały mi się marynarskie mundury, okolice Trójmiasta i Gdyni.

A może jednak dobrze byłoby tu zostać? – pomyślałem z niepewnością i przez chwilę nawet żałowałem, że tak lekko potraktowałem egzaminy, choć przyznam, że przy moim matematycznym uzdolnieniu i dużej sprawności fizycznej poszło mi wcale nieźle.

Byłem przyjęty, odetchnąłem z ulgą. Tak więc o moim przyszłym losie miał zdecydować czysty przypadek.

- To nie przypadek, lecz przeznaczenie. Fatum zgotowało ci ten los, Joe, i co ono jeszcze przyniesie, nie odgadniesz. Niezwykle jesteś na nie podatny – z zadumą wtrącił Stan. – By do nas dotrzeć, musiałeś zostać marynarzem.

- Niewiele brakowało, a wcale bym nim nie był – odparłem, nie zastanawiając się nad słowami Stana. - Zamiast leśnej głuszy miało być morze, ale nim do tego doszło, na przeszkodzie stanęły względy polityczne mojego pochodzenia.

- Opowiadaj dalej.

- Otrzymałem zaświadczenie, że zdałem do WSMW i zostałem przyjęty. Z egzaminów na SGGW zrezygnowałem i wybrałem się z namiotem, a właściwie z kawałkiem brezentu, na kilka dni w Bieszczady. Wytyczyłem sobie najdłuższą trasę. Po Myczkowcach forsowałem rusztowania budującej się tamy w Solinie. Pamiętam, że po drugiej stronie, gdzie miał być przyszły

zbiornik, cała dolina wyglądała jak po kataklizmie. Poburzone i opuszczone domy, obok nich powycinane sady i zagajniki. Płonęły dziesiątkami ognisk, tworząc niepowtarzalne obrazy i niezwykłą atmosferę. Przygotowywano dno przyszłego jeziora wypalając i wycinając wszystko. Potem szedłem wzdłuż potoku przez Terkę, Prysłup, Wetlinę... Stamtąd też mam wspomnienia, które do dziś pozostały.

- Opowiadaj Joe.

- W leśnej głuszy, obok brzegu jakiegoś strumyka – chyba była to Wetlinka - przed wieczorem zatrzymałem się na obozowisko. Jako namiot rozpiąłem brezent (plandekę) i wyciąłem kilka gałęzi świerkowych na postanie. Gdy odgarniałem podłoże i zeszcłe gałązki nagle w ręku coś mi się poruszyło. Zobaczyłem, że jest to żmija i natychmiast wyrzuciłem ją do strumyka. Jeszcze kijem dołożyłem jej w wodzie, by mnie więcej nie straszyla. Zapaliłem ognisko, w garnku gotowałem kilka ziemniaków, bo nic więcej nie miałem oprócz jakiejś puszki z gulaszem. Zjadłem wszystko z apetytem i choć nadal mógłbym coś zjeść, byłem zadowolony. Robił się mrok, na niebie w górze strumienia pojawiły się błyskawice, wkrótce wielka ulewa. Brezent już niewiele chronił mnie przed deszczem, ale to było najmniej ważne. Strumień przybierał z minuty na minutę, Z tyłu miałem górę, a tylko gdzieś daleko po drugiej stronie dostrzegłem światła elektryczne z jakiegoś budynku. Deszcz nadal padał, a woda strumienia przybrała w każdej chwili. Pospiesznie zwinąłem obóz – oprócz brezentu, jako namiotu niewiele miałem i po pas w wodzie przeszedłem na drugi brzeg. Do światła w oddali, przez chaszcze i zarośla, w nocy trudno znaleźć przejście, było ze dwa kilometry. Gdy dotarłem do gospodarstwa, zastukałem do drzwi i opowiedziałem resztę. Poprosiłem o nocleg. Gospodarze poczęstowali mnie pierogami z jagód, a gdy zjadłem łączywie dostałem jeszcze dokładkę. Powiedzieli, że do spania znajdą może coś w domu, ale stwierdziłem, że wystarczy mi stodoła z sianem i na tym zostało. Byłem im bardzo wdzięczny z przyjęcie, bo otrzymałem od nich również koc do przykrycia.

- Po prostu trudno w to uwierzyć – skomentowała żona Franka

Opowiadałem dalej:

- Wróciłem do domu trzy dni przed wyjazdem na szkolenie unitarne i rejs kandydacki, ale karty wcielenia do wojska jeszcze nie nadesłali, jak wcześniej obiecywano. Pojechałem więc do Wojskowej Komendy Rejonowej w Dębica po skierowanie, książeczkę wojskową i kartę wcielenia do wojska. Okazało się, że nic z tego. Do WSMW nie mogę iść, ale dlaczego, nikt nie chciał mi powiedzieć. Jakieś wyższe racje przemawiają za tym, że się tam nie nadaje – odczytałem z rozmowy między wierszami.

- Przecież zdałem egzaminy i zostałem przyjęty - protestowałem.

- To nic. W ogóle nie powinniśmy wysyłać was tam na egzaminy - usłyszałem szorstką odpowiedź.

- Ale teraz jest już po egzaminach na wszystkie uczelnie. Więc co mam zrobić? Będę miał stracony rok - argumentowałem grzecznie.

Wszystkie argumenty okazały się bezskuteczne. Chyba raczej na odczepne usłyszałem:

- Niewiele jest szans, ale może do innej szkoły oficerskiej was przyjmą.

Zaproponowałem szkołę lotniczą.

- Nic z tego! Nie ma mowy o WSMW, o Oficerskiej Szkole Lotniczej ani o Wojskach Ochrony Pogranicza. Inne też są pod znakiem zapytania, ale może jeszcze da się coś zrobić – znów usłyszałem w odpowiedzi.

- Na inne to ja nie reflektuję - odparłem stanowczo.

Wyszedłem przed budynek WKR-u i zdałem sobie sprawę, że mam stracony co najmniej rok, a gdy powołają mnie do wojska, to być może studia i całe życie. Nie mogłem się poddać. Zamiast pociąg do Mielca, wybrałem pociąg do Rzeszowa. Jechałem do Sztabu Wojewódzkiego, zastanawiając się, dlaczego mam takie kłopoty?

Wysoki, szczupły podpułkownik był zastępcą komendanta i to on mnie przyjął. Przedstawiłem mu sytuację i powiedziałem:

- Panie pułkowniku, jadąc pociągiem zastanawiałem się dlaczego nie mogę iść do WSMW. Doszedłem do wniosku, że

chodzi o rodzinę za granicą. Czy za to, że wojna porzuciła Polaków po całym świecie, mają ponosić konsekwencję następnego pokolenia? Polacy wstępowali do polskiego wojska nie pytając najczęściej, który z koalicjantów udzieli mu poparcia. Wiele osób przelewając krew i tracąc życie walczyło tylko o Ojczyznę. Oprócz tego, tu w Galicji, prawie w każdej rodzinie można znaleźć ludzi, którzy wyjeżdżali na zachód za chlebem. Jak już tak dobrze sprawdzaliście, to na pewno wiecie, jaką ja mam rodzinę. Do czwartej klasy wychowywałem się u dziadków. Ojciec, ojczym, adopcja, zmiana nazwiska i ciężka praca. Niech pan popatrzy na moje ręce, one o wszystkim najlepiej świadczą. Dlaczego mam mieć stracony rok, a może i całe życie za to, że ktoś, kogo nawet nie znam, jest za granicą?

Pułkownik zadzwonił do WKR-u z sąsiedniego pokoju. Gdy wrócił wyjaśnił krótko:

- Niestety, nic nie mogę zrobić.

- Panie pułkowniku, a co ja mam robić? Czy znów muszę cierpieć za niepopelnione winy? Czy w trzecim pokoleniu mam odpowiadać za to, że ktoś z rodziny walczył o Ojczyznę w szeregach Wojska Polskiego na Zachodzie? Dla zwykłych Polaków Polska była wtedy jedynym dobrem i większość nad polityką nawet się nie zastanawiała. Dlaczego ja mam pokutować za to, że dziadek przelewał krew za Ojczyznę? On był prostym żołnierzem i wielkim patriotą i nie miał innej drogi.

Dziś wiem, że trafiłem na uczciwego człowieka i dobrego Polaka. Na jego twarzy widać było zatroskanie i że chce mi pomóc.

- Niestety, nic nie mogę zrobić, takie są przepisy - odparł ze smutkiem.

- A co ja teraz zrobię? Przecież jest już po egzaminach na wszystkie uczelnie – mówiłem, zastanawiając się nad swoim losem.

Stałem załamany i nie wiedziałem, co mam począć. Pułkownik podszedł blisko i ściszym głosem powiedział poufale:

- Mogę tylko doradzić prywatnie. Niech pan spróbuje jakoś się przemycić. Ma pan przecież zaświadczenie o przyjęciu do WSMW. My karty wcielenia wydać nie możemy. Niech pan

pojedzie na własny koszt. Jak się pan tam przemyci, to po unitarce i rejsie kandydackim może jakoś się uda.

Nie miałem innego wyjścia. Alternatywą w najlepszej sytuacji był stracony rok i całe życie.

Po dwóch dniach wsiadłem do pociągu i pojechałem do Gdyni. Bosman, który wydawał sorty mundurowe, przed wydaniem zabierał karty wcielenia do wojska i książeczki wojskowe celem dokonania stosownego wpisu. Gdy przyszła moja kolej, podałem zaświadczenie „zdał egzamin, został przyjęty”. Moje nazwisko figurowało też na wszystkich listach pierwszego rocznika WSMW.

- Dajcie kartę wcielenia i książeczkę wojskową - ostro zażądał bosman.

- Nie otrzymałem. W wukaerze powiedzieli, że wyślą pocztą. Jestem z południa, z rzeszowskiego, może tam nie wiedzieli, że należy dać mi dokumenty do ręki - odpowiedziałem skruszonym i zmartwionym głosem.

- Proszę iść do oficera dyżurnego i wyjaśnić – szorstko zakomenderował bosman.

Wyszedłem na dziedziniec szkoły, usiadłem na ławce i spojrzałem na zegarek. Po kilkunastu minutach wróciłem do stolika i energicznie, głośno wyrecytowałem:

- Obywatelu bosmanie! Melduję, że dokumenty będą przysłane. Oficer dyżurny kazał wydać sorty mundurowe.

Tym sposobem, będąc cywilem nie wcielonym do wojska, rozpocząłem nielegalną służbę wojskową.

Minęło szkolenie unitarne, rejs kandydacki i zaczął się pierwszy rok studiów. Nie miałem żadnych dokumentów wojskowych. Pierwszy semestr zaliczyłem jako jeden z pierwszych i awansowano mnie na starszego marynarza. Po drugim semestrze awansowałem na mata. Miałem tylko jeden problem – nadal nie posiadałem książeczki wojskowej i nie było gdzie wpisywać, ani złożenia przysięgi, ani awansów. Formalnie nadal byłem cywilem nie wcielonym do wojska. Ciągle musiałem używać różnych forteli, by jakoś z tego wybrnąć. Praktyka morska na ORP „Iskra”, z rejsem do Sztokholmu i Tallina zakończyła pierwszy rok studiów. Miałem

wiele szczęścia, bo nikt tego nie odkrył, że nadal byłem cywilem w mundurze.

...

Przyjechałem na wakacje. W domu właśnie leżało zawiadomienie, by stawić się na komisję poborową celem odbycia służby wojskowej. Niedawno była reorganizacja i od paru miesięcy funkcjonował WKR w Mielcu i nie trzeba było już jechać do Dębicy. W elegancko odprasowanym mundurze, w wyznaczonym dniu, stawiłem się na komisję. Trzymając w ręku zawiadomienie, służbowo wyrecytowałem: „Mat podchorąży Wójcik melduje się na komisję poborową!”.

Przy komisyjnym stole zapanowała konsternacja. Podając zawiadomienie, by zgłosić się na komisję poborową, mówiłem pretensjonalnie, ale łagodnie dodałem: „Macie u siebie jakiś bałagan. Ja już od ponad roku jestem w wojsku - jak widać mam stopień podoficerski - a wy wzywacie mnie na komisję poborową. Książeczka wojskowa miała być dostana rok temu i jeszcze do WSMW nie dotarła. Ja ciągle mam tylko legitymację studencką”.

Legitymacja studencka i karta do poboru wędrowały z rąk do rąk.

- To wszystko przez tę reorganizację. WKR w Mielcu jest dopiero od paru miesięcy. To Dębica musiała coś nabałaganić - tłumaczył ktoś zza stołu.

- Tak też przypuszczałem - odrzekłem pojednawczo, na pozór całkowicie udobruchany.

Mój mundur marynarski na dalekim południu nawet w wukaerze wzbudził duże zainteresowanie. Pytali, jak sobie radzę na uczelni i co słyhać w Gdyni.

- Wystawimy panu książeczkę wojskową i poprawimy wszystko w papierach. Na komisję lekarską już nie będziemy pana ciągać – zdecydował przewodniczący komisji.

Tym sposobem cywil, który awansował do stopnia podoficera, stał się wreszcie osobą wcieloną do wojska.

- Twój los nadzwyczaj mocno tkwi w rękach Opatrzności – znów ze skupieniem zauważył Stan.

- Czy już na tym skończyły się twoje polityczne kłopoty? – zapytał Franek?

- Ależ skąd. Dopiero się zaczęły. Na pierwszym roku studiów wszystkich automatycznie zapisano do Koła Młodzieży Wojskowej. Miesięczna składka wynosiła 50 groszy. Przez parę pierwszych miesięcy składki regularnie płaciłem, a później jakoś zapomniałem. Gdy po wakacjach byłem już legalnie w wojsku, przy zbieraniu składki powiedziałem półzartem, półserio:

- Nikt mnie nie pytał, czy chcę należeć do KMW, czy nie. Nie mam pieniędzy. Proszę mnie skreślić i nie zwracajcie mi głowy!

Po jakimś czasie znów zbierano składki. Nawet nie przypuszczałem, że mnie skreślili, więc zapytałem:

- Ile ja mam teraz zaległości? Chyba z dychę.

- Nie. Jesteś skreślony - otrzymałem odpowiedź.

- I chwała Bogu - odrzekłem.

Tym sposobem byłem jedynym podchorążym, który nie należał do KMW i jak widzicie, teraz mam problem: - Należałem w życiu do jakiejś organizacji społeczno-politycznej, czy nie? Do KMW należałem przez pierwszy rok pobytu w wojsku, ale wtedy do wojska nie byłem jeszcze wcielony, formalnie byłem cywilem. Kiedy byłem legalnie w wojsku, do KMW już nie należałem.

- To rzeczywiście ciekawa sprawa – wtrącił Franek.

Dalszych dziewiętnaście lat służby wojskowej było równie fascynujące, jak pierwszy rok studiów, ale to może sobie podarujemy. Mam przecież tłumaczyć te papiery.

- Joe, opowiadasz ciekawe rzeczy, więc mów dalej. Żeby zrozumieć papiery, ważniejsze jest najpierw zrozumieć człowieka, którego one dotyczą. Bądź spokojny, papiery poczekają.

- Niestety, Stan, bo tych rzeczy jest zbyt dużo. Jeśli tylko zasygnalizuję najciekawsze wydarzenia, to i tak będzie tego sporo.

- Może Józek trochę sobie odpocznie, a ja tymczasem podam kolację – niespodziewanie przyszła mi w sukurs pani domu.

- Dobry pomysł, Kasiu - poparł ją Franek.

...

Po kolacji wróciłem do opowiadania.

- Postaram się skracać. Tego jest za dużo, a szczegóły są tak nieprawdopodobne, że nawet trudno uwierzyć, iż są prawdziwe.

Po trzecim semestrze dostałem awans na bosmanmata, jako przodownik nauki i dyscypliny, i już od tej pory w mojej książeczce wojskowej wszystkie wpisy były jak należy. Wczesną wiosną odbywał się sprawdzian z wychowania fizycznego - marszobieg na pięć kilometrów w masce i z kałasznikowem. Na moim roczniku było dwóch biegaczy z WKS „Flota”, którzy od samego startu byli bardzo pewni swego. Ich zadufanie we własne umiejętności i kondycję wręcz mnie sprowokowało. Przyłożyłem się do tego biegu i tak dołożyłem obu biegaczom, że na zakręcie sto metrów od mety nawet nie było ich za mną widać. Przy okazji pobitem rekord szkoły na tym dystansie, z wynikiem około 15 i pół minuty. Od tego czasu zaczęła się moja sportowa przygoda. W następną niedzielę, już jako reprezentant „Floty”, startowałem w biegu przełajowym o puchar „Głosu Wybrzeża”, a tydzień później w biegu przełajowym na osiem kilometrów w Kartuzach. Zupełnie przypadkowo stałem się sportowcem, biegającym na średnich i długich dystansach. Startowałem również w Mistrzostwach Polski.

- Nieprawdopodobne, wszystko przez przypadek – bąknął pod nosem Stan.

- I tak to już w życiu jest, chyba z każdym człowiekiem. Ty, Stan, już kilka razy mówiłeś dziś o Opatrzności. Może masz rację, że ona odgrywa ważną rolę w życiu człowieka, ale Opatrzność tylko wtedy poda ci rękę, gdy ty ją do niej wyciągniesz. Oprócz możliwości musisz mieć wolę realizacji, a tego nikt już za ciebie nie zrobi. Ciągłe stykamy się z różnymi możliwościami, mamy do wyboru wiele rozwiązań, ale w gruncie rzeczy to od nas zależy, jaką pójdziemy drogą.

- Z tym się zgadzam, Joe, ale przyznasz, że najważniejsze jest to, by w odpowiednim czasie znaleźć się w odpowiednim miejscu.

- Z tym się zgadzam – przytaknąłem.

- I to jest właśnie rola Opatrzności. Niekiedy jest to dobrodziejstwo, a czasami potworne fatum.

...

Po krótkiej dyskusji znów musiałem o sobie opowiadać. Zacząłem inny temat:

Na drugim roku studiów nawiązałem kontakt z ojcem w Warszawie, z którym do tej pory widziałem się ze dwa razy w życiu. Do Polski przyjechał właśnie dziadek z Anglii i to on chciał mnie poznać. Dziadek przed wojną mieszkał na Kresach, między Lwowem i Brodami. W Jasionowie - bo tak nazywała się ta miejscowość - rodzina Pogodów miała spory majątek, więc ich posiadłość nazywano Pogodówką. Część rodziny ze strony ojca mieszkała w chutorze w sąsiednich Kadłubiskach. Po 17 września większość rodziny była zesłana na Sybir, aż 24 osoby, a z tych, których nie zesłano, 16 osób zostało później zamordowanych. Po porozumieniu Sikorski-Majski wszyscy, którzy przeżyli Syberię, znaleźli się w Armii Andersa i z nią zostali porzuceni po całym świecie, od Nowej Zelandii, przez RPA, na Wielkiej Brytanii kończąc. Po wojnie nie mieli gdzie wracać, bo dom rodzinny znalazł się w Związku Radzieckim, a jak już ktoś przeszedł Sybir, to na zimne dmuchał i wołał być jak najdalej od ZSRR. Dziadek, Michał, dużo opowiadał o swych przeżyciach. Dla mnie były to niezwykle ciekawe historie, o których nawet nie miałem pojęcia. W zasadzie dopiero teraz zaczynałem poznawać losy rodziny, która przed wojną mieszkała w województwie tarnopolskim.

- Więc część rodziny poznałeś dopiero na studiach? – zapytała zaskoczona Kasia.

- Tak się złożyło. Dopiero wtedy poznałem rodzinę ze strony ojca.

- Niesamowite!

Nie chciałem drażnić tego tematu. Po kilku zdawkowych słowach zacząłem zupełnie coś innego:

- Z WSMW dwa razy chcieli mnie dyscyplinarnie wyrzucić. Za pierwszym razem rzeczywiście trochę narozrabiałem i powody były. Wniosek politycznego opiekuna poparł również aktyw KMW - do której jak pamiętacie - jako jedyny podchorąży nie należałem. Mój pobyt w uczelni wisiał już na włosku. Wniosek trafił do Komendanta Wydziału, komandora profesora Szpituna. Ten zacny człowiek wezwał mnie jedynie na rozmowę. Wiedział, że jestem

dobrym studentem, a może wiedział też i więcej, bo stwierdził „póki ja jestem komendantem, włos wam z głowy nie spadnie”. Zaocznie, bez stawiania do raportu służbowego, dla pro formy ukarał mnie dziesięcioma dniami zakazu opuszczania koszar. Ale na zawody sportowe i tak mnie puszczała.

Profesora Szpituna usunęli z WSMW i już po absolutorium, gdy jedynie została mi do napisania praca inżynierska, niewiele brakowało, a wyleciałbym ze szkoły na dobre. Pretekstem było przedłużenie o trzy dni urlopu, w dodatku załatwione całkiem legalnie.

Po wszystkich egzaminach miałem zaległych pięć dni urlopu za jakieś zawody sportowe. Pojechałem do Mielca. Pod koniec urlopu otrzymałem trzy dni zwolnienia lekarskiego, więc przedłużyłem go na WKR, zgodnie z obowiązującymi przepisami. Gdy wróciłem do Gdyni, któryś z moich „opiekunów” w tajemnicy poszedł z tym zwolnieniem do uczelnianego lekarza. Lekarz z numeru choroby odszyfrował - nieżyt gardła i nosa. Ja pytany o powód przedłużenia urlopu mówiłem, że zatrucie i biegunka. Lekarz był porządnym człowiekiem i mnie o tym powiadomił.

Wola dyscyplinarnego wyrzucenia mnie z uczelni była tak duża, że do Mielca celem sprawdzenia potajemnie pojechał dowódca kompanii. Komandor Pieregut w upale tłukł się pociągami w mundurze przez całą Polskę, by to sprawdzić. Tam w przychodni, w książce u lekarza rozpoznanie było takie, jak mówiłem. Lekarz w Mielcu doskonale mnie pamiętał, więc tylko, za omyłkowe wpisanie złego numeru, opieprzył pielęgniarkę:

– Co za bzdury pani tam napisała, bo ja marynarza z zatruciem doskonale pamiętam.

Kmdr Pieregut wrócił z niczym i nic dziwnego, że był wściekły. Była wielka wola ukarania mnie, choć nie było żadnych podstaw. Tym razem zostałem już postawiony do raportu służbowego przed nowym komendantem wydziału. Presja na wyrzucenie musiała być duża, bo profesor Urbański ukarał mnie, mimo że formalnie nie było podstaw. Za „niewinność” dostałem dziesięć dni aresztu.

- To nieprawdopodobne! Za taką błahostkę siedziałeś 10 dni w więzieniu? – nie mogła uwierzyć Kasia.

- Nie w więzieniu, lecz w areszcie wojskowym, a to jest pewna różnica – sprostowałem.

- Niesamowite – mimo to nie mogła pogodzić się z tym gospodyni.

- Może nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Profesor Urbański ukarał mnie, bo chyba musiał to zrobić, ale dopisał, iż powinienem w dzień przebywać na uczelni i w związku z pracą dyplomową muszę mieć możliwość korzystania z Ośrodka Obliczeniowego. Tak też i było. Codziennie przed ósmą byłem przyprowadzony z aresztu przez podoficera dyżurnego. Prowadzono mnie do uczelni pod bronią, bez sznurówek i krawata, jak jakiegoś przestępcę. O osiemnastej w ten sam sposób odprowadzano mnie do aresztu. Swoją pracę inżynierską od początku do końca napisałem w areszcie. Gdy wyszedłem, była gotowa do obrony i przy tym ani razu nie kontaktowałem się z promotorem.

- Niezwykły sposób pisania pracy dyplomowej. Jeszcze się z takim nie zetknąłem. Czego dotyczyła twoja praca inżynierska, Joe? – dopytywał się Stan.

- Moja praca była oparta na analizie sieciowej PERT. Do obliczeń ścieżki krytycznej używałem komputera „Odra 1013”. Komputer zajmował kilka pomieszczeń, co dziś może wydawać się to śmieszne, bo jego możliwości były w sumie niewielkie, ale wtedy był to szczyt techniki obliczeniowej.

Zrobiłem program. Nim „Odra” zaczęła liczyć, program musiał być sprawdzony przez samego szefa ośrodka. Niejaki komandor Reszczyński (tytułów naukowych nie pamiętam), choleryk z charakteru, zaczął sprawdzać moje oprogramowanie i według niego znalazł w nim jakiś błąd. Nanosząc poprawkę, zaczął mi wyjaśniać moją pomyłkę. Niestety, ja byłem pewny swego, więc nie mogłem się na to zgodzić. Tłumaczyłem w spokoju jakieś zależności matematyczne, ale nie mogłem go przekonać. Musiał mnie chyba widzieć, jak prowadzili mnie z rana pod bronią, bo nie mając argumentu krzyknął: „Kryminalista nie będzie mnie uczył cybernetyki!”. Zrobiło mi się przykro. Mimo to glucho odrzekłem:

„To, co pan wprowadził do komputera, jest nielogiczne, ale pan decyduje. Maszyna na pewno stanie i odrzuci program”.

Maszyna zaczęła wykonywać skomplikowane obliczenia i po chwili rzeczywiście stanęła i odrzuciła program. Na wydruku jasno widać było błąd - miałem rację. Pan Reszczyński wziął wydruk, pobiegł po jakieś książki, coś tam sprawdził i podchodząc do mnie z uwagą zaczął słuchać mojego rozumowania. Pomiędzy matematyczne kwestie wrzucił jednak najważniejsze wtedy dla mnie słowo – „przepraszam, że tak pana nazwałem”.

Jeszcze kilka osób z mojego rocznika wykorzystywało „Odrę” do obliczeń w pracach dyplomowych. Pan Reszczyński sam poprawiał program, lub przysyłał kolegów do mnie. Gdy ktoś przyszedł i powiedział, że ja robiłem korektę programu, obliczenia bez sprawdzenia wędrowały wprost do maszyny.

Swoją pracę dyplomową broniłem w pierwszym dniu obrony, w kolejności jako trzeci student, nie obawiając się, że ktokolwiek na pracy może mnie zagiąć. Tak też i było. Jak się później okazało, byłem na roczniku jedynym studentem, który nigdy w czasie studiów nie poprawiał żadnego egzaminu, ani nawet kolokwium.

- Ano tak – zastanawiał się Stan. – Swoją biografią rzeczywiście mógłbyś obdzielić ze trzy osoby i u każdej z nich byłaby ona ciekawa. A co było po studiach?

- Znów dużo gadania – zachnąłem z niechęcią.

Tego dnia jednak jeszcze wiele opowiedziałem.

Na okrętach RP

Jako młody podporucznik trafiłem na okręty desantowe w Świnoujściu. Dostałem przydział na okręt ORP „Bzura”, który właśnie poszedł na stocznię do Gdyni. Na swoją jednostkę mogłem jednak iść dopiero po zdaniu egzaminów u flagowych specjalistów na samodzielne dowodzenie i pełnienie wachty. Do zdania wszystkich egzaminów czasowo zostałem zaokrętowałem na okręt „894”. Na Brygadę Okrętów Desantowych z mojego rocznika trafiło wyjątkowo dużo, bo aż dwanaście osób. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w Gdyni, więc ostro zabrałem się za zaliczania. Gdy nadchodziły święta Bożego Narodzenia miałem dokładnie drugie tyle więcej wpisów w indeksie, niż cała jedenastka razem wzięta. Do kompletu brakowało mi tylko jednego mało ważnego wpisu, ale to dlatego, że oficer, u którego można było to zaliczyć, najpierw gdzieś wyjechał służbowo, a następnie był na urlopie. W Wigilię Bożego Narodzenia miałem służbę oficera dyżurnego okrętu 894. Wcześniej odczytano rozkaz zastępcy dowódcy brygady do spraw politycznych, który zabraniał wnoszenia i ubierania choinek na okrętach.

- Niesamowite! To na okrętach w Wigilię nie wolno było mieć nawet choinki? - z niedowierzaniem przerwała Kasia.

- Dokładnie tak. Był to rok 1969. Rozkazem zabronione było na okrętach posiadanie choinki i uroczyste obchodzenie Wigilii. Załoga zapytała mnie, co sądzę o tym rozkazie. Zgodnie z przekonaniem odparłem, że jest to najgłupszy rozkaz, jaki mógł być wydany. Rozkaz sprzeczny z polską tradycją.

- A co pan porucznik zrobi, gdy będzie na okręcie choinka? - dążył któryś z marynarzy.

- Nic. Dokładnie nic. Będę tylko przekonany, że zgodnie ze skrótem ORP, okręt jest rzeczywiście polski - odparłem.

Około osiemnastej delegacja załogi zaprosiła mnie do pomieszczenia marynarskiego, gdzie czekało na mnie ponad dwudziestu marynarzy. W rogu pomieszczenia wisiała niewielka choinka, chyba przyniesiona ukradkiem pod pazuchą. Była ozdobiona dwoma bombkami, kolorowymi gałgankami i

wycinankami z kolorowego papieru. Opłatka było za to dużo, bo wszyscy w listach go otrzymali. Połamaliśmy się opłatkiem. Ten zawsze nastrojowy wieczór, tym razem wielu ścisłał za gardło. Niektórym grzała gdzieś głęboko w piersi głos przy składaniu sobie życzeń. Większość pierwszy raz w życiu, i ja też, spędzała Wigilię poza domem. Była zakazana choinka i zakazane łamanie się opłatkiem, a na uroczystą kolację był jedynie najzwyczajniejszy bigos, bo taki jadłospis był odgórnie na ten dzień zatwierdzony.

Kończyliśmy właśnie jeść, gdy cztery natarczywe dzwonki trapowego informowały o przybyciu ważnej osoby z dowódczego szczebla, nakazujące zgodnie z tradycją, wyjść oficerowi dyżurnemu na powitanie. Któryś z marynarzy złapał za choinkę, by ją ukryć.

- Proszę ją zostawić! Choinka jest i będzie, bo taka jest polska tradycja - zakomenderowałem zdecydowanie.

Pośpiesznie ruszyłem w stronę trapu. Na okręt wchodziła właśnie inspekcja politruków, z zastępcą dowódcy brygady na czele. Kontrolujący skierowali się prosto na pomieszczenie marynarskie. Starszy pomieszczenia recytował służbowy meldunek, a okrętowa choinka dumnie tkwiła na widocznym miejscu. Wydawało się, jakby jeszcze urosła. Na pewno, mimo swych niepozornych wymiarów, była wielka, potężna i najważniejsza.

- Obywatelu poruczniku, tu jest choinka - zwrócił się do mnie najgłośniejszy z kontrolujących, z miną wskazującą zdziwienie i oburzenie.

Stałem na baczność i trzasnąłem „kopytami” najgłośniej jak potrafiłem i jeszcze głośniej ostro zameldowałem:

- Tak jest, obywatelu komandorze! Zgodnie z polską tradycją!

Nastąpiła konsternacja, którą przerwał politruk.

- Chodźmy do mesy oficerskiej, obywatelu poruczniku – rozkazał.

Szedłem tuż za nim, a dopiero za mną dwie lub trzy dalsze osoby z kontrolujących. Gdy drzwi mesy się zamknęły, usłyszałem:

- Był rozkaz zabraniający wnoszenia choinek na okręty, a u was jest choinka...

Nie czekałem na dalsze wywody, lecz gwałtownie wszedłem w słowo:

- Obywatelu komandorze, część załogi wyjechała do domów i tam ma choinkę. Dla tych, którzy pozostali, domem jest okręt. Nie widziałem, jak choinka była wnoszona, ale teraz jest i będzie, bo ja nie wydam rozkazu, żeby ją zdjąć - meldowałem szybko, głośno i zdecydowanie. - Dziś w każdym polskim domu jest choinka. Pan ją też ma!

Zrobiłem małą przerwę. Kontrolujących mój gwałtowny atak prawie zamurował. Na chwilę zaniemówili. Nie czekając, aż dojdą do siebie, już trochę łagodniej kontynuowałem:

- Niech obywatel komandor nie protestuje. Dziś choinka jest w każdym polskim domu, bo taka jest narodowa tradycja, niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący, czy nie, ma taki czy inny światopogląd. Jutro ta choinka może być rozebrana, ale nie dzisiaj, chyba że obywatel komandor sam pójdzie i wyda rozkaz, by ją zlikwidować.

Po gwałtownym i gniewnym wystąpieniu młodego podporucznika o bardzo zdecydowanej postawie, kontrolujący niewiele mieli już do powiedzenia. Podniesiony głos podporucznika mimo zamkniętych drzwi mesy było słycać na całym okręcie.

Chyba zdryfowali, bo mówiąc o niesubordynacji dzisiejszego wieczoru główny politruk powiedział:

- Jutro skontrolujemy, czy choinka jest, czy nie.

Kontrolujący opuścili okręt. Wróciłem na pomieszczenie marynarskie.

- Panie poruczniku, ale pan im dał popalić. Całkiem zbaranieli!

- To wyście wszystko słyszeli?

- Przecież pan na nich ryczał – odpowiedział starszy pomieszczenia ze Śląska. Drzwi na dole mają krotki wentylacyjne, więc wszystko było słycać. Uciekali jak zmyci. Jutro na pewno przyjdą i będą chcieli pana ujaić. Natno się, bo choinkę skoro świt rozbierzemy - przekrzykiwał jeden drugiego (*około połowy załogi stanowili Ślązacy*).

Po przygnębieniu samotnością na początku Wigilii, teraz zapanowała euforia radości. Legalnie mieliśmy choinkę, która piękniała z każdą chwilą. Niektórzy zaczęli kłaść na niej i pod nią zdjęcia najbliższych i sympatii. Rozpocząłem kolędę „Wśród nocnej ciszy”.

Później ktoś zapytał:

- Wypije pan z nami lampkę wina, panie poruczniku?
- Lampkę tak, bo to też tradycja, ale nie więcej. Mam przecież służbę.

Wrócił trapowy, którego podmienił ktoś z kolegów.

- Panie poruczniku, choinka jest tylko na naszym okręcie! Koledzy z innych okrętów w to nie wierzą. Czy może wejść do nas kilku marynarzy z innych okrętów?

- Dlaczego nie. Przecież teraz mamy ją legalnie, a goście na Wigilię to tradycja. Ale winem się nie chwalcie, bo niektórym byłoby to być może bardzo na rękę.

- Bez obawy, panie poruczniku! - odrzyknęło naraz kilka osób.

Zostałem jeszcze chwilę w marynarskim pomieszczeniu, bo sam byłem również ciekaw, co jest na innych okrętach.

Przyszło kilku obcych marynarzy, meldując się służbowo, ale nasza swojska atmosfera szybko im się udzieliła. Bez skrupowania opowiadali, co się dzieje na innych jednostkach:

- U nas kontrola znalazła choinkę w szafie u marynarza. Będzie stawał do raportu służbowego razem z podoficerem dyżurnym okrętu.

- U nas nic nie znaleźli, bo oficer wcześniej choinkę zarekwirował - mówił inny.

- A u nas choinkę znaleźli pod łóżkiem i też będą stawiać służbę do raportu służbowego - informowali marynarze z sąsiednich okrętów.

- Na naszym okręcie choinka stoi i będzie stać, i nikt nie staje do raportu. Prawda, panie poruczniku? - chępnili się moi podwładni.

Obcy patrzyli z niedowierzaniem.

- Tak, to prawda - potwierdziłem. - I prawidłowo, że waszych przełożonych chcą ukarać. Stają do raportu za to, że choinę

chowali do szafy lub pod łóżko, bo zgodnie z polską tradycją ona powinna być na honorowym miejscu, tak jak u nas - odpowiedziałem z uśmiechem i wkrótce wróciłem do swojej kabiny.

- Trafnie odpowiedziałeś, ale czy później nie miałeś za to nieprzyjemności – dopytywał się Franek.

- Wyobraźcie sobie, że nie. Kontrola rzeczywiście była następnego dnia, ale choinki już nie było. Marynarze sami ją wcześniej rozebrali. Na innych okrętach były raporty i kary dyscyplinarne.

- Chyba nie powiesz, że się ciebie bali? – wtrącił Stan.

- Nie, tego nie powiem. Albo uszanowali moje zdecydowanie, albo może rzeczywiście uważali, że choinka nie powinna być chowana pod łóżko. Tak czy inaczej, w ten pamiętny wieczór, by na własne oczy zobaczyć legalną choinkę, na nasz okręt tłumnie przychodzili marynarze z kilkunastu jednostek stojących w porcie wojennym w Świnoujściu.

...

Przed Nowym Rokiem przyszedł jakiś podoficer, informując mnie, że mam iść na szkolenie na trałowce. Okazało się, że to nie szkolenie, lecz wyjście w morze, a z młodych podporuczników byłem jedynym, który wszystko zaliczył na samodzielne pełnienie wachty. Nie było czasu wrócić po moleskin i ciepłą bieliznę. Przez trzy dni chodziliśmy tam i z powrotem po Zatoce Pomorskiej, by wyrobić przyznane na rok „motogodziny”. Jeśli ich nie wypływamy, to w przyszłym roku obetną normę. W fatalnych warunkach pogodowych kręciliśmy się bez celu, całkowita paranoja. Pełniąc wachtę na odkrytym mostku, na wietrze i w zalodzeniu, pokutowałem za pośpiech w robieniu samodzielnego dowodzenia. Przemarzałem jak nigdy w życiu i musiałem to odchorować, a wyjazd do Gdyni i przejmowanie obowiązków na ORP „Bzura” władze ciągle odkładały.

...

Nieprzyzwyczajony do chorowania zbagatelizowałem grypę i ją przeziębilem. Choroba i złe samopoczucie przeciągało się. Wzmocniona herbatka, która do tej pory była jedynym skutecznym

lekarstwem na wszelkie dolegliwości, jakoś nie działała. Coraz bardziej traciłem apetyt i coraz częściej chciało mi się sikać. Złe samopoczucie i częste oddawanie moczu połączone z pieczeniem zmusiło w końcu, by pójść do lekarza. Młody lekarz po wysłuchaniu objawów, ani na chwilę nie odrywając się od jakichś papierów, rzucił tylko pytanie:

- Kawaler?

- Tak - odparłem, w ogóle nie kojarząc sobie, o co mogło chodzić lekarzowi.

- Siostró, delbetę¹! - krzyknął lekarz w stronę drugiego pokoju, a po chwili dodał - proszę zgłosić się do kontroli za trzy dni.

Po otrzymaniu bólaącego zastrzyku wróciłem na okręt. Wieczorem było trochę lepiej, a przez następne dwa dni prawie wszystko minęło. Gdy trzeciego dnia zgłosiłem się do kontroli lekarz zapytał:

- Jest wyciek?

- Czuję się lepiej, prawie dobrze. Jaki wyciek, panie doktorze?

- Wysięk z tego, czym się siusia - szorstko odparł lekarz.

- Nie, nie ma żadnego wysięku – odpowiedziałem ze zdziwieniem.

- Niech pan opuści spodnie i pokaże „to-to” - rozkazał lekarz.

Po wykonaniu polecenia doktor oglądając męski atrybut i zawyrokował:

- Proszę się ubierać. Jest pan zdrowy.

W ciągu następnych dni częste oddawanie moczu i pieczenie szybko powróciły i zaczęły jeszcze bardziej dokuczać. W międzyczasie dowiedziałem się, o co chodziło doktorowi. Delbeta przy schorzeniu wenerycznym służyła za wskaźnik, powodowała wysięk. Nie wiedziałem jeszcze, że delbeta również skutecznie łagodzi stany zapalne. Po przejściowej poprawie objawy powróciły

¹ *Lekarstwo powszechnie stosowano kiedyś w wojsku. Delbeta wprawdzie dość skutecznie leczyła wszelkie stany zapalne, ale sam zastrzyk był tak bolesny, że generalnie miał odstraszać od chodzenia do lekarza. Ten zastrzyk w wojsku rzekomo najbardziej leczył „symulantów”.*

ze wzmożoną siłą. Złe samopoczucie i ból nie pozwalał nawet zasnąć. Ponownie udałem się do lekarza wojskowego jednostki.

- Panie doktorze, jest jeszcze gorzej. Oprócz częstego oddawania moczu połączonego z pieczeniem, w moczu czasem jest krew.

- Pokazać „to-to” - rozkazał lekarz.

Opuściłem spodnie i pokazałem "to-to" doktorowi mówiąc:

- Panie doktorze, to nie jest schorzenie weneryczne, ja to wyklużam. To musi być jakieś zapalenie.

- Jak pan jest lekarzem, to po co pan do mnie przychodzi – cynicznie odparował lekarz.

- Nie jestem – bąknąłem przybity chorobą.

Lekarz oglądnał "to-to" wydając werdykt:

- Ja tu nie widzę żadnego schorzenia - po czym głośno dodał w stronę otwartych drzwi do drugiego pokoju: - Siostra! Niech siostra tu przyjdzie zobaczyć. Mam zdrowego chłopca, który przychodzi tylko, by mu „to-to” pooglądać. Mówi, że ma napalenie.

Zanim lekarz wypowiedział ostatnie słowa, młoda siostra stała obok niego przyglądając się genitaliom. Szybko podciągając spodnie warknąłem:

- Przyszedłem do internisty, a nie do skórno-wenerycznego. I na badania, a nie do cyrku - dodałem z wściekłością.

- Pfi. Jaki nerwowo - z rozkapryszą miną odrzekła siostra, zakręciła się na pięcie i wróciła do swojego pokoju.

Lekarz na powrót usiadł za biurkiem, które stało obok otwartych drzwi gabinetu siostry. Odwracając się w jej stronę lekarz usiadł w rozkroku zakładając ręce na kolana.

- To co, siostra, zapiszemy pacjentowi? - pytał patrząc w stronę otwartych drzwi.

W przeszklonym regale za plecami doktora Franek zauważył podrygującą w mini spódniczce pielęgniarkę pokazującą coś rękami. Doktor z błogą miną wodził za nią wzrokiem, niewiele uwagi zwracając na pacjenta.

- Tu trzeba zrobić jakieś badania krwi. Potwornie się czuję i mam straszne bóle. Panie doktorze... - przerwałem sielankę przygnębiony i zrozpaczony.

- A zrobimy, zrobimy - nie odwracając się machinalnie odparł lekarz, dalej wodząc wzrokiem za siostrą. W przeszklonej szybie widać było, jak pielęgniarka przeciągnęła się znudzona i usiadła za biurkiem.

- Piszemy, siostrzo, skierowanie na WR, plus...

Wprawdzie nie zapamiętałem nazwy drugiego badania, ale doszedłem do wniosku, że chyba oba mają podobny cel. Tę wątpliwość do końca rozwiązał lekarz, który podając książeczkę ze skierowaniami w środku, dodał:

- Z wynikami proszę się zgłosić do poradni skórno-wenerologicznej.

To stwierdzenie przybiło mnie do reszty.

- Panie doktorze, potwornie przemarzłem. Miałem grypę. Strasznie się czuję. Naprawdę potrzebuję pomocy - mamrotałem z rozpaczą.

- Jestem internistą i nie będę zajmował się czymś ch... - gburowato odparł doktor i machając ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy, wskazał drzwi.

Niemoc i bezradność przerodziła się w wściekłość.

- Pieprzony konował! - krzyknąłem wzburzony do najwyższego stopnia. - To jest burdel, a nie przychodnia! Złożę skargę!

- Skargę do Pana Boga, do Pana Boga - drwiąco sztydził lekarz wskazując drzwi.

Ostatkiem siły woli złapałem za klamkę. Ręce drżały z oburzenia i bezradnej wściekłości. Całą złość wyładowałem na drzwiach. Trzasnąłem nimi za sobą i wybiegłem przed przychodnię. Z tyłu słychać było trzask tłuczonej szyby, która wypadła z przeszklonych drzwi gabinetu.

Po kilku minutach trochę się uspokoiłem i zacząłem rozważać, co dalej. Musiałem coś zrobić, bo czułem się fatalnie. Zobowiązany byłem chodzić do lekarza jednostki. Miasteczko Świnoujście też w tym czasie nie dawało dużych możliwości w wyborze lekarza, a w dodatku wcale nie byłem w tej materii obeznany.

Badanie na WR, to wiem, ale to drugie może rzeczywiście wskazać jakieś zapalenie lub inną cholerę, która mnie męczy - rozważałem. - Konował konowałem, ale chyba coś go nauczyli? Może w laboratorium mi doradzą - zdecydowałem niepewny swego.

Zapaliłem papierosa. Od czasu rozpoczęcia dolegliwości paliłem coraz więcej.

Przez to cholerne choróbsko i tego konowała ja już na dobre palę –rozmyślałem, kierując się do laboratorium.

Pani laborantka niezbyt chętnie wyjaśniła, że to drugie badanie dotyczy podobnych spraw, co WR.

Byłem zdruzgotany. Mówiłem, że przeziębieniem grypę i chyba ma jakieś zapalenie. Prosiłem, by mi zrobiła również inne, ogólne badanie krwi, które robi się przy zapaleniach. Wszystko na próżno. Laborantka stwierdziła, że robi tylko te badania, które są w zleceniu. Doradzała udać się z powrotem do lekarza.

Całkowicie wykończony wróciłem na okręt. Wziąłem tabletki przeciwbólowe, dwie aspiryny i położyłem się do łóżka. O spaniu nie było mowy. Po paru godzinach tortur w końcu na krótko zasnąłem. Gdy się obudziłem, był już wieczór. Ubrałem się i wyszedłem do miasta. Postanowiłem udać się do znajomych i zwierzyć ze swych kłopotów. Gdy dotarłem na miejsce, zastałem całe towarzystwo grające w brydża oraz jeszcze jakieś dwie obce osoby, których nie znałem.

- Co się z tobą dzieje? Strasznie zmizerniałeś. Chyba jesteś chory? - dopytywali się znajomi.

- Przeziębieniem grypę i już z miesiąc nie mogę dojść do siebie.

- Z grypą nie ma żartów. Gdy się ją przeziębi, mogą być różne powikłania - mówiła jakaś kobieta, siedząca z gospodynią domu z boku na wersalce.

- Właśnie jakieś powikłania mi się przyplątały, ale nie wiem co – odpowiedziałem z nadzieją na poradę.

- Koniecznie trzeba pójść do lekarza.

- Tak, wiem. Byłem już trzy razy, ale lekarz też nie wie, co mi jest.

- U którego pan był? - dopytywały się kobiety.

Gdy wyjaśniłem, u którego, ktoś z grających rzekł:

- Do tego konowała szkoda, żebyś chodził. On się nawet na weterynarza nie nadaje.

- U tego pan był? - dziwiła się nieznajoma kobieta. - To wstrętny świntuch, a nie lekarz.

- A gdzie miałem pójść? To przecież nasz lekarz dywizjonu, a do cywilnej przychodni mnie nie przyjmą, bo nawet nie jestem tu zameldowany – próbowałem się usprawiedliwić.

Posiedziałem jeszcze chwilę i pożegnał towarzystwo. Idąc pustymi uliczkami czułem potworny ból i kręciło mi się w głowie. Plusem wizyty u znajomych było to, że dowiedział się gdzie mieści się pogotowie. Było w pobliżu. Po drodze cały czas chciało mu się sikać i robiłem to, co rusz, gdy była tylko okazja. Najczęściej wylatywało parę kropel piekającej, czerwonej cieczy.

Stałem gdzieś z boku, by znów to zrobić. Przy przejmującym bólu z cewki moczowej wyleciało kilka skrzepów krwi. Poczul zawroty głowy. Słaniając się na nogach dotarłem na pogotowie. Musiałem źle wyglądać, bo ktoś podtrzymując mnie pod ramię prowadził prosto do gabinetu. Doktor z niedowierzaniem kręcił głową, gdy wypytywał, jakie miałem robione badania. Z troskana pielęgniarka podawała tabletki przeciwbólowe.

- To za słabe, siostró, zrobimy zastrzyk przeciwbólowy.

Po wyszukaniu odpowiedniego preparatu doktor sam zrobił zastrzyk, a następnie wypisał, jakie badania krwi i moczu należy jak najszybciej zrobić.

Ktoś wzywał pogotowie. Doktor musiał wyjechać na interwencję, ale jeszcze przed wyjazdem wręczył fiolkę jakichś żółtych tabletek.

- Nie mogę pana wypuścić w takim stanie. Niech pan weźmie dwie tabletki i posiedzi tutaj. Jak wrócę, zobaczymy, co da się zrobić.

Franek pozostał na pogotowiu. Wziął dwie żółte tabletki i zaczął bacznie przyglądać się zleconym badaniom krwi. Ani jedno nie pokrywało się ze zleceniem wojskowego konowała. Wkrótce karetka wróciła i doktor prosto od drzwi skierował się w moją stronę.

- Jak się pan czuje? – zapytał, bacznie się przyglądając.
- Znacznie lepiej, panie doktorze. Ten potworny ból prawie już minął. Gdy szedłem do pana, to z bólu aż robiło mi się ciemno w oczach. Szedłem jak pijany - z widoczną ulgą dzieliłem się swoimi przeżyciami.

Lekarz osłuchiwał jeszcze i zbadał tętno.

- Tak, te badania musi pan zrobić zaraz z rana. Dopiszę jeszcze na skierowaniu „pilne”. Z wynikami natychmiast proszę się jednak zgłosić do swojego lekarza.

- Panie doktorze, do tamtego na pewno już nie pójde. Czy mógłbym przyjść do pana? Może prywatnie?

- To nie jest tylko sprawa przyjścia. Panu potrzebne jest zwolnienie lekarskie, a może szpital. Ta kwestia jest w gestii waszych lekarzy. Przecież nie musi pan iść do lekarza przy zakładzie. Może pan pójść do Przychodni Główniej. Proszę się tam zgłosić do doktora... Znam go dobrze. Napiszę na kartce parę słów, co panu podałem. Wyników wprawdzie nie mam, ale już teraz podam panu antybiotyk. Doktor sam później zdecyduje, na co zmienić.

To mówiąc pocziwy człowiek wyszperał gdzieś słoik drażetek oxyteracyny i polecił kierowcy pogotowia odwieźć mnie do portu wojennego.

Tej nocy po raz pierwszy od dłuższego czasu spałem twardym snem. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Przyszedł oficer służbowy z wiadomością:

- Józek, pakuj się! Jedziesz na swój okręt do Gdyni.

Ta wiadomość nadeszła całkiem niespodziewanie i od dawna o to się starałem.

Co teraz mam zrobić? Iść na te badania? A jak mnie zatrzymają albo zostawią w szpitalu? Wtedy z wyjazdu nici, a przecież tak bardzo mi na tym zależy – rozważałem gorączkowo.

Pójde do lekarza w Gdyni, mam tam wielu znajomych - zdecydowałem.

Przeliczyłem tabletki. Żółtych było sporo, ale oxyteracyny niewiele. W aptece kupiłem jeszcze jedno opakowanie i szykowałem

się do drogi. Miałem mało bagaży, ale samo rozliczenie zajmowało sporo czasu.

...

Po przyjeździe do Gdyni zwałił się cały nawał obowiązków. Trochę głupio było zaczynać pracę na nowym miejscu od chorowania. Dwie fiołki antybiotyku i jedna tabletek o działaniu aseptycznym i przeciwzapalnym zrobiły swoje. W miarę dobre samopoczucie i natłok zajęć powodował ciągłe przesuwanie wizyty u lekarza. Po pierwszych dwóch, trzech tygodniach względnie dobrego samopoczucia sytuacja zaczęła się pogarszać. Teraz zaczęły się jakieś bóle w okolicy kręgosłupa. Poszedłem do przychodni, która opiekowała się nowym miejscem pracy. Przyjmujący lekarz zlecił badania krwi i moczu, takie same, jak doktor z pogotowia w Świnoujściu. Też pojawił się dopisek „pilne”.

W laboratorium na Oksywiu niezwłocznie pobrano próbki. Gdy z wynikami zgłosiłem się ponownie do lekarza, ten długo je przeglądał. Złapał za słuchawkę i przedzwonił do laboratorium.

- Pani Krysiu, czy nie pomyliła się pani z OB w tym zleceniu „pilne”?

- Nie, panie doktorze. 110 na 122 wydawało mi się prawie niespotykane, więc sprawdziłam jeszcze raz. Tak było.

Doktor podziękował laborantce i zaczął coś pisać. Ponownie złapał za telefon, ale nie mógł się dodzwonić.

- Kieruję pana do Szpitala Marynarki Wojennej w Oliwie. Chciałem ich uprzedzić, ale nie mogę się dodzwonić. Tu jest skierowanie na oddział, a tu są pańskie wyniki. Zaraz wezwę karetkę, żeby pana odwieźli - tłumaczył doktor.

Byłem wyraźnie zaskoczony takim obrotem sprawy.

- Panie doktorze, muszę wpaść na okręt i powiadomić, że idę do szpitala. Muszę też zabrać jakieś rzeczy, przynajmniej maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów. Poza tym nie czuję się tak źle, żeby aż wieźć mnie karetką. Sam pojedę.

Doktor po namyśle zgodził się na takie rozwiązanie.

Powiadomiłem dowództwo, że idę do szpitala, zabrałem najpotrzebniejsze rzeczy i pojechałem komunikacją miejską. Na Izbie Przyjęć dyżurny lekarz rzucił okiem na skierowanie.

- W tych przychodniach całkiem powariowali. Mamy remont Oddziału Wewnętrzznego, a oni przysyłają mi tu pacjentów. Nie mogę pana przyjąć teraz na oddział, może dopiero za dwa, trzy tygodnie - skwitował lekarz.

- Panie doktorze, w przychodni doktor wiedział o remoncie, ale nie mógł się dodzwonić. Chciał mnie wieźć karetką.

Doktor jeszcze raz zaczął przyglądać się skierowaniu. Zirytowanie na twarzy ustąpiło, pojawiło się zakłopotanie.

- Pan ma takie OB i takie wyniki badań? - zapytał.

- Chyba tak, bo doktor w przychodni też się dziwił i kazał laborantce sprawdzić jeszcze raz.

- Proszę poczekać, pójde zorientować się na oddział. Siostró, niech pani zaopiekuje się pacjentem.

Gdy doktor wrócił, miał zafrasowaną minę.

- Niestety, jesteśmy całkowicie przeładowani. Te parę pomieszczeń, które nam zostawili, pęka w szwach. Poszukam dla pana miejsca w szpitalu wojskowym na Helu i karetką pana odwieziemy.

W ruch poszedł telefon. Po chwili prawie wszystko było załatwione. Znalazło się miejsce na półwyspie, odległym o około sto kilometrów, ale problem wysłania karetki, przy ośnieżonych drogach na tak dużą odległość okazał się nie do pokonania. W końcu lekarz dyżurny znalazł kompromisowe rozwiązanie. Karetką wyekspediował mnie na dworzec autobusowy, gdzie właśnie miał odjeżdżać ostatni autobus. Gdy wyjeżdżałem z Gdyni, robił się już zmierzch.

Ośnieżone drogi były przejezdne, ale śnieg ciągle padał. Po wyjechaniu na wysoczyznę za Redą opady jeszcze się wzmogły i zaczął wiać silny wiatr. Autobus raz po raz z trudem forsował tworzące się zaspasy. Możliwość dojechania zawisła na włosku. Ponieważ zawrócenie do Gdyni również nie dawało szans na dojazd, autobus jechał dalej popychany co jakiś czas przez pasażerów na większych zaspach. Po paru godzinach autobus wreszcie dotarł na miejsce. Zatrzymał się przy Domu Rybaka. Padający gęsty śnieg i wiatr unieruchomiły taksówki.

- Niech pan przenocuje u mnie w Domu Rybaka. W dzień znajdzie pan szpital, a nie teraz po nocy. Kilku kolegów wyjechało i są wolne miejsca - zaproponował pasażer siedzący obok.

Z ulgą przyjąłem propozycję. Szalejąca zamieć nie zachęcała do szukania drogi.

...

W szpitalu pozostałem na półtora miesiąca. Przewlekłe odmiedniczkowe zapalenie nerek było wynikiem zaniedbania i nie podjęcia leczenia na czas zapalenia cewki moczowej. Urografia wykazała zmiany w nerkach, a wysokie trzycyfrowe OB obniżyło się do 50 dopiero po miesiącu.

- Gdyby pana leczono na zapalenie cewki moczowej zaraz od początku, skończyłoby się na kilku dniach zwolnienia i w ogóle nie doszłoby do zapalenia nerek. Stan jest bardzo przewlekły, zaniedbany, ale młody, zdrowy organizm z tym sobie poradzi - pocieszał doktor. - Wie pan, dlaczego ja jestem lekarzem? Gdy zbliżał się czas na podjęcie decyzji, co będę robił w życiu, zachorowała mi mama. Jeździliśmy z ojcem do lekarza, który ją leczył na wszystko, tylko nie na to, na co była chora. Matka zmarła na prostą chorobę. Leki, które dostawała, tylko ją dobijały. Ten przypadek zdecydował, że zostałem lekarzem. Ja też spotkałem w swoim życiu konowała - wyznał doktor.

- I dlatego jest pan bardzo solidnym lekarzem - wyszeptałem w zamyśleniu.

Pobyt w szpitalu przeciągał się. Pomału nadchodziła wiosna, a wyniki badań ciągle były złe. Któregoś wieczoru przypomniała mi się mała dziewczynka z dzieciństwa. Leżąc w półśnie wyraźnie widziałem ją w ciemnej sukience do samej ziemi, gdy małymi rączkami wycierała umorusaną buzię. Widziałem, jak przyjaźnie się uśmiechała, gdy wkładałem jej do rączek pieczątki ze zwierzętami. Obraz małej dziewczynki nakładał się na obraz dziewczyny z rumianą buzią i długim, grubym, czarnym warkoczem spadającym na granatowy mundurek, którą mijał na kładce Wisłoki.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. W głowie kłębiły się różne myśli: Co robi teraz ta dziewczyna? Czy jeszcze czeka? Może jest

mężatką? - Chyba nie - myślałem po chwili. - Jak teraz wygląda? A może nie jest za późno, może jeszcze czeka?

Myśli same przychodziły do głowy, ale nie mogłem znaleźć na nie odpowiedzi. Niepokój narastał. Pobyt w szpitalu stawał się nie do zniesienia.

Gdy pędziłem pociągiem z Helu do Gdyni, z niepokojem szukałem odpowiedzi na nurtujące pytania, które wracały jak natrętna mucha.

...

Do domu rodziców nad Wisłoką przyjechałem na urlop w sobotę. Pytając mamę o różne rzeczy i osoby, już po godzinie od przyjazdu wiedziałem, że dziewczyna z czarnym warkoczem jeszcze nie jest mężatką. Odetchnąłem z ulgą.

W niedzielę po dziewiątce wyszedłem z kościoła i stanąłem zaraz za bramą, którą powinna wychodzić dziewczyna. Rozmawiałem z jakimś kolegą, bacznie obserwując. W pewnej chwili w tłumie mignęła twarz, której wypatrywałem. Serce zabiło mocniej.

Tłum i murowany filar na nowo zasłonił dziewczynę. Wzrok skierowałem na wychodzących na ulicę. Nie pomyliłem się. Z bramy wychodziły trzy dziewczyny i przechodziły parę kroków obok. Najwyższa w środku był tą, której wypatrywałem. Gdy dziewczyny zaczęły się oddalać, wróciłem do rzeczywistości, bo przecież stałem i rozmawiałem nie wiadomo o czym ze swoim dawnym przyjacielem.

- Chodźmy już, po drodze porozmawiamy - zagadnąłem w pełni świadomie do kolegi.

Trzy dziewczyny szły kilka kroków z przodu. Najwyższa w środku tym razem nie miała ciemnej sukni do samej ziemi, nie miała też granatowego mundurka, na który spadał czarny warkocz. Jasny, krótki płaszczyk kontrastował ze wspomnieniami. Nakrycie głowy zakrywało włosy i nie było widać grubego warkocza. Po niespełna dwustu metrach dziewczyny skręciły w lewo w boczną drogę. Idąc do domu z kolegą musieliśmy iść prosto.

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Po południu, pod pretekstem pożyczenia książki od brata dziewczyny, poszedłem

ją zapoznać. Na drugi dzień bez pozorów umówiliśmy się na spotkanie w Mielcu, a na trzeci już byłem gotów się oświadczyć.

Pobraliśmy się po paru miesiącach, mając przeciw sobie wiele intryg, oszczerczych listów do obu stron i nieprzychylność teściów. Było już wiadomo, że schodzę z ORP Bzura i zaczynam pracę jako wykładowca Studium Wojskowego Wyższej Szkoły Morskiej. Zaraz po ślubie wyjechaliśmy ze swoim skromnym dobytkiem, który mieścił się w dwóch walizkach i zamieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu w Gdyni.

Wykładowca Wyższej Szkoły Morskiej

Po wyjściu ze szpitala wróciłem na okręt ORP „Bzura”, który stał na Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni jeszcze przez całe lato i jesień. Okazało się, że ORP „Bzura” jest przerabiany jako prototyp, by na jego podstawie budować następną serię okrętów desantowych. Zamontowali prototypowy maszt, kilka nowych urządzeń i wiele razy wychodziliśmy na próby w morze z Ośrodkiem Badawczym. Moja współpraca z nimi układała się bardzo dobrze i może dlatego szef jednego z zakładów widział mnie na stałe w swoim zespole. Zrobił nawet przesunięcie etatów, by mieć dla mnie miejsce. Zachęcano, że w ramach różnych badań będę mógł robić doktorat. Napisałem prośbę do Szefa Kadr Marynarki Wojennej o przeniesienie do Ośrodka Badawczego Marynarki Wojennej. Miałem miejsce i zapewnienie, że mnie tam potrzebują.

Nadal staliśmy w Gdyni. Po wielu dniach zostałem wezwany do Szefa Kadr Marynarki Wojennej. Komandor Grodzickiego zainteresowała moja znajomość j. francuskiego, rozważał potrzeby na jakimś ataszacie w placówce dyplomatycznej, ale przeglądając moje papiery szybko z tego się wycofał. Zamiast do Ośrodka Badawczego otrzymałem propozycję przejścia do Studium Wojskowego Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni. Wtedy nawet nie wiedziałem dobrze, co to za instytucja, jaki jest tam etat i charakter pracy. Nie mogłem tak od razu w ciemno zdecydować, by tam pójść, tym bardziej, że przecież w Ośrodku Badawczym zrobili dla mnie przesunięcie wewnętrzne. Taką też dałem odpowiedź. Szef kadr MW polecił mi więc, bym udał się do Studium Wojskowego zapoznać się z warunkami pracy.

Pojechałem do Wyższej Szkoły Morskiej, choć nie zależało mi na tej pracy. Pod nieobecność kierownika Studium przyjął mnie jego zastępca. Powiedziałem bez ogródek:

- W kadrach otrzymałem propozycję pracy jako wykładowca Cyklu Nawigacyjnego. Nie wiem, jaki jest etat, jakie obowiązki i charakter pracy. Bardzo proszę mnie z tym zapoznać.

Zastępca kierownika Studium, żołnierz frontowy od Lenino do Berlina, Sybirak - jak się później dowiedziałem - zesłaniec z Sarn w 1940 r. popatrzył na mnie z rezerwą. Wyczuwałem, że traktuje mnie jak intruza lub osobę protegowaną, która bardzo się stara o tę posadę.

- My też mamy coś do powiedzenia, kogo przyjmujemy do pracy - usłyszałem dwuznaczną odpowiedź. – Znajomości czy coś podobnego to nie wszystko.

Takie słowa padły zapewne dlatego, że w WSM pracowała żona kolegi z roku, z Wydziału Mechanicznego, też ppor. mar. woj. o tym samym nazwisku Wójcik, który był zięciem niedawno zmarłego Dowódcy Marynarki Wojennej admirała Studzińskiego. Nie wiedziałem o tym. Poczuję się urażony, bo nie dość, że nie miałem żadnej protekcji, to jeszcze chcieli mnie przenieść w zupełnie nieznane i niechciane miejsce.

- Ja wcale nie chcę tutaj przyjść. Proszę mnie zapoznać ze wszystkim bez owijania w bawełnę. Najpierw ja muszę chcieć tu przyjść, żeby można było cokolwiek dalej mówić - odparłem szorstko i zdecydowanie.

Moja postawa chyba spodobała się staremu wiarusowi, bo zmienił ton na bardziej przyjazny. Zapoznali mnie ze wszystkim, a mnie nawet tam się podobało. Gdy wróciłem do kadr, jednak powiedziałem:

- Jeśli jest konieczność skierowania mnie do Studium Wojskowego, nie będę protestował. Zostaję jednak przy swoim, wolałbym do Ośrodka Badawczego.

Przez dłuższy czas zupełnie nie wiedziałem, gdzie mnie przeniosą. Było tylko wiadomo, że schodzę z okrętu ORP „Bzura”. Przyszedł już na moje miejsce nowy dowódca działów pokładowych, wyjechałem na miesięczny urlop, żeniłem się i ciągle nie wiedziałem, co ze mną. W Mielcu zastały mnie wydarzenia grudniowe. Gdy zaraz po sylwestrze wróciłem do Gdyni, dowiedziałem się, że idę jednak na wykładowcę do WSM w Gdyni.

Studium Wojskowe okazało się zbiorowiskiem bardzo ciekawych osób, również pod względem politycznym:

- Kierownik Studium, komandor hr. Leszczyński i jego zastępca, hr. Czerwiński byli przedwojennymi oficerami, uczestnikami kampanii wrześniowej.

- Kierownik Cyklu Mechanicznego do wojska został wcielony w czasie konfliktu koreańskiego, chyba był po Politechnice, ale za to duchem najbardziej wojskowy ze wszystkich, bezpartyjny. Jego zastępcą był Polak wychowany we Francji, Jan Peksa, który po skończeniu szkoły średniej przyjechał do Polski zaraz po wojnie, znając wtedy lepiej język francuski niż polski - autentyczny komunista, krytyczny również wobec systemu totalitarnego. Mimo, że byliśmy dokładnie po przeciwnej stronie pod względem przekonań, zawsze mieliśmy do siebie szacunek i zawsze można było znaleźć wspólny język.

- Kierownik Cyklu Ogólnowojskowego - wspomniany zesłaniec na Sybir po 17-tym września z Sarn - do Polski wrócił z I Armią, idąc od Lenino do Berlina, kmdr Joryn, również bezpartyjny.

Wykładowcą szkolenia politycznego był Polak pochodzenia żydowskiego, który do Polski wrócił z Zachodu na pokładzie ORP „Błyskawica”. Wyrzucony z Marynarki Wojennej w czasie tak zwanego „procesu komandorów”, jako Żyd nie został skrócony o głowę, lecz jedynie zwolniony z wojska, od r. 53 do 56 redaktor gazety na Wybrzeżu, po przewrocie w 56 roku z powrotem został przyjęty do wojska. Pełnił funkcję Zastępcy Dowódcy MW od spraw techniki, a następnie po wydarzeniach w 1968 r. został odesłany na boczny tor właśnie tu, do Studium. Człowiek, który mimo pełnionej funkcji politruka i nagonki na Żydów w 68 roku, cieszył się autentycznym szacunkiem.

Bezpośrednim moim przełożonym był kmdr Śledziowski, który po siedmiu latach spędzonych na okrętach podwodnych do Studium trafił ze względu na stan zdrowia. Wspaniały człowiek i fachowiec.

Przy sąsiednim biurku siedział kmdr Komorowski, więziony w Wilnie po wkroczeniu Armii Czerwonej przez Rosjan, stryj późniejszego ministra, marszałka i prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, pasjonat historii i spraw politycznych, bezpartyjny. Gdy dołożę jeszcze łącznościowca, również przedwojennego oficera

i bosmana Dakało, który w czasie wojny był internowany na okręcie w Szwecji, to łatwo zauważyć, że moja edukacja polityczna w tym gronie była pełna i wszechstronna. W Studium Wojskowym w tym okresie stykały się epoki, opcje polityczne i światopoglądy, przy pełnej tolerancji i wzajemnym szacunku. Wspanialszych kolegów z pracy trudno sobie nawet wyobrazić.

Jak się wkrótce przekonałem w tym czasie Studium Wojskowe WSM w Gdyni było w pewnym sensie „zesłaniem dla osób niewygodnych i niepewnych politycznie”. Z czasem to się zmieniło na miejsce bardzo pożądane. Polubiłem zawód nauczyciela akademickiego, po latach jako starszy wykładowca pracowałem jako cywil na innym wydziale. WSM było wspaniałym miejscem pracy.

...

Nigdy nie byłem fanatykiem religijnym, ale mój stosunek do kościoła zawsze podkreślałem. Niekiedy była to podwójna manifestacja. Z jednej strony pokazywałem mundurowym kolegom, że nie należy poddawać się presji, lecz postępować zgodnie z wiarą i sumieniem, a z drugiej strony łamałem stereotyp, że oficerowie to ateści i partyjniacy.

W pełnej gali, w mundurze brałem ślub w kościele. Zaraz po urodzeniu się pierwszego dziecka, żeby nie było wątpliwości, zwróciłem się do sekretarza partyjnego, by zawiózł mnie na chrzest do kościoła (wtedy mało kto miał samochód). Będąc w stopniu komandora podporucznika asystowałem biskupowi Przykuckiemu przy bierzmowaniu, jako chrzestny dla około 70-ciu osób, gdy „komuna” była nadal mocna.

- I nie miałeś przez to nieprzyjemności - zapytał Stan.

- Nie, nie miałem. Być może byłem tylko czasem pomijany przy rozdzielaniu nagród.

- Albo byłeś dobrym i nieszkodliwym fachowcem, albo się do ciebie przyzwyczaili, Joe.

- Może jedno i drugie. W innych sprawach też mieli ze mną kłopot. Prawdą jednak jest, że do partyjnego poparcia często uciekali się ludzie słabi lub karierowicze. Dojście do jakiegoś stanowiska dla

bezpartyjnych z reguły było ciężkie, a nawet wręcz niemożliwe, ale do pewnego pułapu można było jednak dojść i awansować.

...

- Opowiedz coś jeszcze, Joe. Jutro zajmiemy się polityką, ale nie odbiegaj zbyt daleko od tych tematów - nalegał Stan.

- U nas w Polsce cały czas była farsa wyborcza. Na wybory z reguły nie chodziłem, ale czasem na farsę odpowiadałem farsą. Pamiętam, raz poszedłem na wybory w grupie dużej liczby osób wracających z popularnej mszy w kościele. Otrzymałem karty wyborcze, stanąłem na środku dużej sali i wyjąłem z kieszeni czerwony mazak. W skupieniu czytałem nazwiska i głośno popluwając na mazak, żeby lepiej pisał, starannie kreśliłem na filarze, na oczach wszystkich, jedno nazwisko po drugim. Z namaszczeniem i powagą poskładałem starannie karty i wrzuciłem do urny. Siedząca wtedy w komisji wyborczej sąsiadka przez dwa tygodnie nie odzywała się później do mnie z oburzenia. Byłem wtedy chyba w stopniu kapitana Marynarki Wojennej.

...

Obszernym tematem jest „Sierpień” i stan wojenny. Przy bramach stoczni można było wtedy spotkać wielu znajomych. Miłym zaskoczeniem było dla mnie, gdy napotkany szef jednego z oddziałów Marynarki Wojennej entuzjastycznie do mnie powiedział: „przyprowadziłem pod stocznnię dwóch synów. Niech tu się uczą prawdziwej lekcji historii”.

W stanie wojennym siedem razy chodziłem do rektorów w obronie represjonowanych studentów. Udało mi się wybronić wszystkich, z wyjątkiem przewodniczącego NZS, Jacka Boronia, który został uwięziony z grupą działaczy „Solidarności”.

...

Na 1 Maja w stanie wojennym, zgodnie z rozporządzeniem rektora WSM, był obowiązkowy udział w pochodzie dla wszystkich studentów i pracowników szkoły.

- Co pan na to, panie komandorze? - pytali mnie studenci podczas zajęć.

- Totalna bzdura. Pochód 1 Majowy to spontaniczna manifestacja, to poparcie istniejącej rzeczywistości. Udział w

pochodzie jest w tej sytuacji poparciem dla stanu wojennego. Manifestacja na rozkaz jest niczym innym, jak perfidnym zakłamaniami - odpowiedziałem.

- Ale zgodnie z zarządzeniem rektora będą wyciągane konsekwencje.

- Proszę panów, jeśli mi potracą z pensji, to się dowiem, za ile się chodzi na pochod, a jeśli mnie wyrzucą z pracy, to będzie znaczyć, że moje kwalifikacje są głównie warte - wytłumaczyłem dosadnie.

Wicie, jaki był efekt? Na drugi dzień sprzątaczkę chodziły się tłumaczyć, dlaczego nie były na pochodzie, ale mnie nikt nie pytał. Chyba już znali moją odpowiedź. Wtyczki były wszędzie.

...

W okresie pierwszych wyborów po stanie wojennym miałem zgodę rektora na pół roku praktyki w PLO. Gdy poszedłem do inspektorów od mustrowania, okazało się, że prawie wszyscy kiedyś byli moimi studentami.

- Panie komandorze, dla pana wszystko. Dostanie pan statek oraz linię, jaką pan będzie tylko chciał - zapewniali.

Uzgodniłem, że w podróży do Australii będę na stanowisku drugiego oficera, a ktoś przez ten czas wykorzysta sobie urlop, a po powrocie zdążę jeszcze zrobić rejs do Ameryki Południowej jako trzeci oficer. Wszystko miałem dopięte na ostatni guzik. Czekałem tylko na zgodę władz wojskowych. Wtedy właśnie zbliżały się wybory.

Wybory po stanie wojennym miały wyjątkowo dużą otoczkę propagandową. Przez opozycję były bojkotowane. Wracając z kościoła koło lokalu wyborczego żona, a następnie starsza córka, namawiały mnie, bym poszedł głosować.

- Tatus - mówiła córka - może jednak idź na te wybory. Oni wszystko notują i wysyłają do zakładów pracy. Przez to nie puszcza cię na ten rejs.

Zatrzymałem się na chwilę i zwróciłem do córki.

- Córeczko, jeśli tatuś pójdzie na wybory wbrew swojemu przekonaniu, a tylko dlatego, by coś zyskać lub ze strachu, to już

nigdy się nie ogoli, bo nie będzie mógł spojrzeć sobie w lustro. Czy ty chcesz, żeby tatuś do końca życia się nie golił?

- Masz rację, tato. Chodźmy - odpowiedziała córka i biorąc mnie pod ramię, pociągnęła w stronę domu.

Przewidywania się sprawdziły. Zgody na rejs od „wyższych władz” nie otrzymałem, ale za to mogłem się golić.

...

W 1985 roku po 20-tu latach służby wojskowej odchodziłem do rezerwy. W krótkim czasie odchodziło aż 12 osób. Zaczęło się od inspekcji wojskowej, która przyjechała do nas z odpowiednim nastawieniem. Kierownictwo Studium musiało dostać dwóję za „niezdecydowaną postawę w stanie wojennym”, bo to właśnie Studium Wojskowe należało do najbardziej „reakcyjnych” komórek uczelni. Mnie udało się wprawdzie dostać czwórkę, ale to i tak nic nie zmieniało. Osiągnąłem wszystko, co jako bezpartyjny mogłem w wojsku osiągnąć, a wcześniejsze kłopoty zdrowotne jeszcze przyspieszyły decyzję. Już było pewne, że idę do cywila.

Na mojego szefa przyszedł kolega z roku, który, gdy ja miałem przodownictwo za naukę, on za naukę o mało co nie wyleciał ze szkoły. Z mojego wypustu szkolnego w Studium było nas już czterech. Tylko ja z tej czwórki byłem bezpartyjny. Właśnie nadszedł czas awansowania na wyższe stopnie. Wszyscy czterej jednakowo mieliśmy „wychodzony” czas w stopniu, ale tylko mnie nie awansowano, mimo że na inspekcji właśnie ja otrzymałem najlepsze oceny.

Życie jest jednak pełne niespodzianek. Przypominam sobie, jak jeden z kolegów z naszej czwórki, przeciwnik Wałęsy, serdecznie witał się z panią od nauk politycznych, która w tym czasie - jak mówili studenci - za samo zapytanie o Katyń stawiała dwóję. Kolega i pani doktor mówili sobie po imieniu jak starzy kumple. Owa pani przeszła następnie do Komitetu Wojewódzkiego PZPR jako sekretarz, a mój kolega do ministerstwa. Tak, życie jest pełne niespodzianek. Ja z człowieka broniącego Wałęsę, w wielu sprawach stałem się jego przeciwnikiem, ową panią prezydent Wałęsa mianował profesorem, a kolegę admirałem. Pani profesor nadal siedzi w szkole i zajmuje się wychowaniem i mniemam, że z

ateistki stała się prawie zakonnicą. Mówię „mniemam”, bo taka jest prawidłowość. Znam oficera, który wcześniej za komuny karał, stawiał przed sąd koleżeński oficerów chodzących do kościoła, a dziś, o dziwo, również pozbawia premii i nagród osoby, które nie chodzą do kościoła. Z ateisty stał się prawie ministrantem biskupa Głódzia.

- Nic dziwnego, że w Polsce jest małe zaufanie do władzy i spadły notowania Kościoła - zauważył Stanley.

- Masz rację, ale co zrobić?

- Analizując głębiej, słaba władza lub władza nie stosująca czystych reguł gry, zawsze opierała się na ludziach – chorągiewkach lub tych, dla których najważniejszy jest koniec własnego nosa. Ludzie o kilku twarzach idący z prądem byli od zarania ludzkości. Robili kariery przykrywając zakłamaniem swój brak umiejętności, ale z reguły niewiele wnosili w rozwój państw i cywilizacji. Jeśli ustawianie się „z wiatrem” nie jest połączone z gorliwością i fanatyzmem, pół biedy. Często jednak zmianie frontu towarzyszy nadgorliwość, z jednej skrajności wpada się w drugą. Neofita stara się zawsze być świętszy od papieża. Trudno coś zrobić i dać jednoznaczny receptę - kontynuował dalej Stan - sądzę jednak, że kłamstwo ma krótkie nogi. Konkurencja i demokracja w znacznym stopniu eliminuje takich ludzi, ale przykrym jest, że nie z polityki.

...

Na początku lat siedemdziesiątych poznałem architekta Krzysztofa Dowgiałło, zapalonego alpinistę i zdecydowanego przeciwnika komunistycznego systemu. Później, po latach, Krzysztof zaprojektował mi dom. Był też moim kierownikiem budowy. To od niego często otrzymywałem podziemne wydawnictwa. Po „Sierpniu” Krzysiek był jednym ze znanych działaczy, autorem tekstu piosenki: „Janek Wiśniewski padł”. Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany. Gdy wyszedł, działalności politycznej nie przerwał ani na chwilę i cały czas był zaangażowany w wydawanie „bibuły”. Stan wojenny był jeszcze zawieszony, więc w mundurze łatwo było unikać kontroli. Byłem wtedy w stopniu komandora podporucznika. Pewnego razu

umówiliśmy się z Krzysztofem na mieście, a następnie pojechaliśmy na Grabówkę. Stałem samochodem na uboczu pilnując, czy nikt nas nie obserwuje. Krzysztof z jakimś kolegą wnieśli paczki i pojechaliśmy na Obłuże. Przejechałem blok, który był celem naszego kursu i znów zaparkowałem trochę dalej, sprawdzając, czy „droga czysta”. Towar został zabrany. Jeszcze tego wieczoru pojechaliśmy do Rumi obejrzeć mój dom, który wtedy był w stanie surowym. Krzysztof z kolegą rozważali awaryjną lokalizację do drukowania „bibuły”. Niewykończony, stojący na uboczu dom miał plusy, ale i wiele minusów, głównie, że obce osoby za bardzo rzucałyby się w oczy. Dom pozostał jednak miejscem awaryjnym drukarni, a moja Syrena Bosto, z mundurowym kierowcą, była do dyspozycji w wypadku awaryjnej ewakuacji drukarni. O nic więcej nie pytałem.

Z pływania pod obcymi banderami

(Zróznicowany język - opowiadania, reportaże literackie i felietony z całego świata, a wszystko tylko fakty. Większość z prezentowanych była drukowana w prasie. Zapisy kursywą mówią o miejscach i przybliżają sytuacje).

Po odejściu ze Studium Wojskowego, bez dnia przerwy w zatrudnieniu, przeszedłem już jako cywilny wykładowca do Ośrodka Szkolenia Ratownictwa Morskiego WSM. Dom nadal stał niewykończony, bo brakowało pieniędzy. Miałem dyplom oficera Polskiej Marynarki Handlowej i książeczkę żeglarską, więc postanowiłem pójść zarabiać na statki zagraniczne. Niestety, był potrzebny paszport służbowy. Przez dwa i pół roku odmawiali wydania mi go. Robiłem kilka odwołań, ale bezskutecznie. Mimo że pływałem w tym czasie na statkach szkolnych, posiadałem Książeczkę Żeglarską i wielokrotnie wypływałem na Zachód, paszportu nie dostałem. Dwa razy w tej sprawie wzywali mnie do Wojskowych Służb Wewnętrznych i proponowali bliżej nieokreśloną współpracę, ale moja stanowcza odmowa powodowała, że nawet jej nie precyzowali. Odmowa na wystawienie paszportu była również zdecydowana. Przestałem robić odwołania. Po dwóch latach napisałem nowy wniosek. Gdy późną jesienią przyplłynąłem z Lubeki, w domu czekało na mnie powiadomienie, że mam przyznany paszport. Po trzech dniach miałem propozycję zamustrowania na tankowiec „Athenian Venture” pływający w Zatoce Perskiej. Nie byłem jeszcze zmustrowany z „Horyzonta” i nie chciałem iść tam, gdzie była wojna. Odmówiłem. Telewizja w tym czasie co rusz pokazywała płonące po atakach rakietowych statki w Cieśninie Ormus.

Po dwóch tygodniach otrzymałem następną propozycję: „Athenian Xenophone” - Bombaj. Propozycję przyjąłem i 13 grudnia 1987 r. wyleciałem do Indii.

„Athenian Xenophone” z Indii wrócił na Zatokę Perską zmienić właśnie „Athenian Venture”. W wojennej strefie pływałem do końca marca, przeżywając również atak lotniczy między wyspami Ormus i Larak. Pamiętam, jak siekierami cięliśmy cumy,

by jak najszybciej odejść od burty ogromnego tankowca-matki. Paliły się wtedy trzy inne tankowce trafione raketami.

Ja byłem w czasie wojny na Zatoce Perskiej, natomiast „Athenian Venture” wypłynął na północny Atlantyk, przełamał się w czasie sztormu i 33 osoby spaliły się żywcem.

- Miałeś wielkie szczęście, Joe.

- Ja tak, ale moja rodzina przez pięć godzin przeżywała tragedię mojego rzekomego spalenia się.

- Dlaczego?

- I żona, i sąsiadka wiedziały, że miałem iść na „Athenian Venture”. Sąsiadka pierwsza usłyszała wiadomość o tragedii. Przybiegła do żony rozhisteryzowana: „Danusia, wiesz, co się stało? Tankowiec, na którym jest Józek, spalił się. Wszyscy zginęli!”

Wtedy nie było jeszcze komórek i do Warszawy trudno było się dodzwonić. Przez pięć godzin żona z sąsiadką wydzwaniały do Polserwisu, by uzyskać jakąś wiadomości. Dopiero po pięciu godzinach wyjaśniło się, że spalił się „Athenian Venture”, na którego miałem zamustrować, a nie „Athenian Xenophon”, gdzie aktualnie pływałem. Zmyliła zbieżność nazw, a wcześniej w domu obie były wymieniane. Gdy wróciłem, rodzina na tankowce położyła szlaban. Chociaż miałem wszelkie uprawnienia na te statki, nie wolno mi było na nie wrócić.

- Nie dziwię się twojej żonie, ja bym to samo zrobiła. Takie pływanie musi być straszne dla rodziny - rozważała Kasia.

- Oderwanie od rodziny i najbliższych na kilka miesięcy na pewno nie należy do przyjemności. Same postoje w obcych portach też na ogół są bardzo krótkie, chociaż ja miałem szczęście do ciekawych i długich postojów. Gdy zamustrowałem na jeden ze statków norweskiego armatora, był na nim marynarz, z którym już wcześniej pływałem. Mirek w mesie marynarskiej (na statkach często oddzielnie jest mesa marynarska i mesa oficerska) tak mnie przedstawił:

- Z nowym chiefem pływałem wcześniej już na dwóch statkach. Nie będziemy się nudzić, bo ma farta do ciekawych sytuacji i potrafi pod obcymi banderami dbać o załogę.

WSPOMNIENIE WIGILIJNE

(z Bombaju - drukowane nie tylko w prasie żeglarskiej, ale nawet w kościelnej)

Ten najbardziej w całym roku rodzinny dzień pięć razy spędzałem daleko od domu i najbliższych, i za każdym razem w innych okolicznościach. Była Wigilia z zakazaną choinką na polskim okręcie, była choinka bez Kolacji Wigilijnej wśród Murzynów i Wigilia z choinką wśród fiordów na Kręgu Polarnym.

Ten niezwykle dzień utrwaląłem na taśmie wideo i pisałem o nim w książce, ale Wigilia bez choinki z Wieczerzą utrwałała się sama.

Było to w roku 1987. Cały tydzień spędziłem w luksusowym apartamencie w Bombaju, nie mając nic innego do roboty oprócz włączenia się po mieście. W tej ogromnej aglomeracji tylko ludność slumsów oceniana jest na cztery miliony mieszkańców. Dla przeciętnego Polaka obraz nędzy, jaki można tam spotkać, jest niewyobrażalny. Najgorsza polska psia buda, trochę powiększona, mogłaby uchodzić w slumsach za komfortową willę.

Po tygodniu oglądania kontrastów niezwyklej biedy i luksusu, przez sześć godzin, zmieniając po drodze motorówki, płynąłem do stojącego daleko na redzie greckiego tankowca. Załogę stanowiło dwudziestu dwu Polaków i dwóch Greków. Niestety, nikogo tam wcześniej nie znałem.

Statek był duży. Mostek o wymiarach 8 na 26 metrów, zatłoczony automatyką i urządzeniami, mieścił się na siódmym piętrze i był obsługiwany przez jedną osobę. Było to miejsce mojej przyszłej pracy. Następnego dnia, dzień przed Wigilią, zacumowaliśmy przy terminalu na wyspie odległej o pół godziny drogi motorówką od Bombaju. Załoga w wolnym czasie mogła płynąć do miasta, gdzie motorówka miała przystanek przy Bramie Indii. Po tygodniu wałęsania się po tym mieście odczuwałem już przesyt. W wolnym czasie, właśnie w przeddzień Bożego Narodzenia, po rannej wachcie i obiedzie postanowiłem spędzić czas na łonie przyrody.

Asfaltowa droga wzdłuż rurociągów prowadziła na drugi koniec wyspy do ogromnych tanków na ropę i jej produkty. Po obu stronach drogi rozciągała się tropikalna dżungla. Wyspa była niezamieszкана. Pracowników terminalu i załogi statków dowożono na łąd motorówkami.

Co kilka kroków tabliczki ostrzegały: „uwaga kobry”. Wszędzie było widać kopce, podobne do krecich i obok nich ich nory. Przy jakiś ruinach zszedłem z drogi. Przeszedłem splecione lianami zarośla i koło skalistego pagórka, z którego bujnych traw sterczały ogromne kamienie i nagie skały, doszedłem na kamienistą plażę. Wracając wdrapałem się na jedną z wyższych skałek pagórka. Wysepka była niewielka, ale jednak za duża by ją obejść dookoła. W jej środku, na wzgórzu, widać było jakieś budowle z wieżyczkami.

Gdy tam doszedłem, przeciskając się przez plątaninę zarośli, zobaczyłem niezwykle widok. Wśród tropikalnej roślinności, na zboczu niewysokiej góry, stały koło siebie trzy świątynie: buddyjska pagoda, meczet i katolicki kościółek. Wszystko zadbane, czyste, z pięknymi alejkami wijącymi się wśród egzotycznych roślin i przepięknych kwiatów. Droga łącząca terminal z tankami biegła poniżej. Oglądałem wszystko. Pomodliłem się w kapliczce Madonny Fatimskiej i postanowiłem wyruszyć w drogę powrotną.

Dookoła nie było żywej duszy. Alejki kipiały od kwiatów, przesycając powietrze różnorodnym, niezwyklej aromatem.

Chyba jestem w raju - pomyślałem.

Z pobliskiego krzewu o długich zielono-czerwono prążkowanych listkach, z drobnymi białymi kwiatkami na długiej łodyżce ułamałem niewielką gałązkę.

„To będzie moja tropikalna choinka” - zdecydowałem.

Po Wieczerzy Wigilijnej, po łamaniu się oplatkiem, ale bez statkowej choinki, na krótko przed czekającą mnie jeszcze wachtą, wróciłem do mojej przestronnej kabiny. Miałem tam przecież swoje żywe drzewko. Było już wiadomo, że statek płynie w rejon wojny w Zatoce Perskiej, gdzie kilka miesięcy wcześniej został trafiony rakietą. Zginęły wtedy trzy osoby. Usiadłem przy swojej choince. Myślami byłem daleko w Polsce, wśród rodziny. Obrazki z domu mieszały się z wrażeniami ostatnich dni, a było ich niemało. Wyleciałem z Polski 13-go grudnia, w samolocie nad Himalajami, na moich rękach zmarł człowiek, któremu wcześniej robiłem sztuczne oddychanie. Później niezwyklej tydzień w Bombaju i teraz

w samotności ta prywatna tropikalna choinka. Stałem nad moim drzewkiem i kładąc pod nie zdjęcia najbliższych, byłem mocno roztkliwiony. Płynąca po policzku łza upadła na małą odnózkę gałązki.

Po kilku dniach, na wojennych wodach Zatoki Perskiej, odłamałem tę małą odnózkę z mojego drzewka i wsadziłem do słoika z wodą. Po kilku tygodniach miała już niewielkie korzenie. Na pustyni w okolicach Bahrajnu znalazłem trochę zeschniętej ziemi, gdzie po przygotowaniu wsadziłem mój zroszony wigilijną łzą zaszczepkę. Mały krzewik jedenaście miesięcy wędrował ze mną przez dwadzieścia osiem państw na czterech kontynentach nim samolotem z Wysp Kanaryjskich, przez Madryt, dotarł do Rumi.

Do dziś stoi w salonie, wypuszczając przed Świętami Bożego Narodzenia niepozorne białe kwiatuszki, które przypominają w wigilijny wieczór odległe kraje. Tylko długie, wąskie listki, z braku tropikalnego słońca przebarwiły się na jednolity zielony kolor .

Najsmutniejsza Wigilia w życiu

(z angielskiego statku, wspominam jako Franek)

Przy dobrej widoczności „Coral Sea” płynął spokojnie i bez zagrożeń. Największe przewężenie pozostało z tyłu. Franek rozłożył mapę generalną całego Kanału Angielskiego.

Ile już razy tędy płynąłem? - zastanawiał się przez chwilę.

Nie! Nie sposób to zliczyć. Nawet nie pamiętam nazw portów, do których tu wchodziłem.

Przekręcając gałkę potencjometru trochę zwiększył jasność światła oświetlającego mapę. Począł się jej przyglądać, zaczynając od Dover. Przypominał sobie nazwy latarni, rakonów i miejscowości licznie rozsianych wzdłuż Kanału. Wzrok odruchowo zatrzymał się na Dungeness. Przeczytał kilka nazw małych portów znajdujących się na zachód od tego półwyspu.

W żaden sposób nie mógł sobie jednak przypomnieć, w którym z nich spędził przed laty najsmutniejszą Wigilię w swoim życiu. A przecież teraz tak dokładnie przypominała mu jej przebieg. Wszystko miał przed oczami, jakby to było dosłownie wczoraj:

Widział ranne wejście do portu przy wysokiej wodzie, betonowe nabrzeże w środku miasteczka, i świąteczną dekorację na ulicach rozrywaną przez silny wiatr i zacinający deszcz. Następna woda wysoka, o której statek mógł wyjść, była koło dwudziestej.

- Przy tej pogodzie na pewno nas nie rozładują. Może nawet nie będą zaczynać. Boże Narodzenie spędzimy w Anglii i wyjdziemy dopiero po świętach. Zobaczysz, mate, jak przyrządzę świątecznego indyka - mówił do Franka kapitan George Peck.

Stary angielski kapitan był dobrym i lubianym człowiekiem. W portach, do których statek często pływał, zawsze serdecznie był witany. Nawet Francuzi i Irlandczycy, z rezerwą odnoszący się do Anglików, do Georga przykładali inną miarę. Znający go piloci, cumownicy, agenci i różni przedstawiciele władz portowych z pobłażaniem odnosili się do jego głośnego i krzykliwego sposobu bycia. Krzyków w wydaniu Pecka nikt nie poczytywał jednak za wadę.

- Chyba dobrze ci się pływa z Georgem? Ma otwartą gębę i jeszcze bardziej otwarte serce - żartobliwie pytał kiedyś Franka szef rozładunku w La Rochel.

I była to prawda. Wiedzieli o tym nawet rybacy Kornwalii i Południowej Irlandii, którzy często w morzu dochodzili do burty statku. George jednym dawał tytoń, innym karton papierosów, a jeszcze innym karton piwa lub butelkę whisky. Zawsze wiedział, co który rybak bardziej woli.

W zamian na statek wciągano skrzynkę ryb lub worek krabów, eskalopów, krewetek, szrimsov i innych owoców morza. Były łososie, halibuty, flądry, makrele, ostroboki, belony i inne gatunki ryb. Kucharze z Cap Verde i sam Peck wiedzieli dobrze, co jak przyrządzić i robili to z ochotą. Zdarzały się też klopstersy (langusty). Wielu nazw bez polskich odpowiedników, Franek nie był w stanie nawet zapamiętać. Było pewne, że nigdy w życiu, nawet na południowych morzach, nie jadł tak wspaniale i tak różnorodnie przyrządzonych owoców morza.

Z rana nic nie wskazywało, że ta Wigilia będzie tak makabrycznie ponura. Nadchodziły trzy świąteczne dni i oprócz

fatalnej pogody, która była dodatkowym gwarantem na postój statku w porcie, atmosfera była dobra. Wszyscy Anglicy na statku byli pewni świątecznego postoju.

Jeszcze przed śniadaniem kapitan zwolnił na świąteczny wyjazd do domu drugiego mechanika, który mieszkał blisko Szkocji, a nawet zgodził się na wyjazd do Rotterdamu kucharza, który miał tam siostrę. Ponieważ następny port to właśnie Rotterdam, więc zaraz po świętach kucharz Roy miał się dowiadywać, kiedy statek wypłynie do portu i miał czekać na kei.

Prognozy pogody ostrzegały przed silnym sztormem o sile do 12-tu stopni w skali Beauforta.

- Anglicy nie będą pracować przy takiej pogodzie, może tylko zaczną, a na pewno nie będą robić dzisiaj w nadgodzinach - mówił przy śniadaniu George.

Jak na złość koło dziewiątej przestało padać. Silny wschodni wiatr pędził nisko wiszące chmury, jakby starał się je rozwiać. Trzy dźwigi z dużymi grejbami zawisły złowrogo nad statkiem. Kilka długich wywrotek, z wysokimi, krytymi burtami stanęło w pobliżu. W wielkim tempie rozpoczęto rozładunek.

Duże grejby łapały w swe żarłoczne paszcze poolejowe wytloki z rzepaku, podnosiły je nad ładownie statku i balansując w powietrzu przenosiły je nad wielkie ciężarówki. Otwierając się wysypywały całą swą zawartość. Silny wiatr unosił ogromne ilości sypkiego, lekkiego ładunku i tumanami kurzu niósł go prosto na nadbudówkę i dalej na basen portowy i nabrzeża.

- Co za marnotrawstwo! Wicher tak dużo porywa. Ale to w końcu ich ładunek, nie nasz - komentował Peck.

Po dobrej godzinie zaczęło padać.

- Zamykamy ładownie! Ten ładunek nie może przecież zamknąć - zwrócił się do Anglika Franek.

- Oczywiście! Pójdę jeszcze z nimi uzgodnić, co dalej - odpowiedział George i wyszedł do szefa zajmującego się rozładunkiem, czy też do samego właściciela ładunku. Franek z Murzynami przygotowywali ładownie do zamknięcia. Kapitan wrócił wściekły. Już z daleka słychać było jego krzyki:

- Ci pieprzeni idioci chcą tylko częściowo przymknąć luki i robić w deszczu. Tylko przy intensywnych opadach zamykamy całkowicie!

I zaczęło się. Franek z Murzynami, to zamykał, to otwierał ładownie. Deszcz nie mógł się zdecydować, czy padać silnie, czy też nie. Chief i jego czarna załoga czasem zamykali ładownie częściowo, czasem całkowicie, by po chwili znów ją otwierać. Tumany pyłu zmieniły się w brunatną, lepką i śliską maź, która oblepiała wszystko dookoła.

Przemoknięte, niebieskie kombinezony marynarzy z Cap Verde i Franka zmieniły się na błotnisto brązowe. Nawet czarne twarze Murzynów i biała Polaka wyglądały tak samo brązowo, oblepione mokrym mulem rzepakowej mąki. Trzej Anglicy na pokładzie, którzy kierowali pracą dźwigowych, wyglądali podobnie.

W przerwie obiadowej Franek tylko się wykapał i zmienił kombinezon. Przerwa „lunch time” na angielskich statkach miała niewiele wspólnego z tradycyjnie pojmowanym przez Polaków obiadem. Według kuchni angielskiej była to zawsze zupa z torebek z wyglądu przypominająca raczej budyń. Smaki i kolory były różne, ale konsystencja zupy zawsze taka sama. Polak tylko zajrzał do garnka. Tym razem „sup lupi de lup”, jak mawiał nieobecny drugi mechanik Pat Levis, pachniała wprawdzie grzybami, ale wyglądała dokładnie tak samo jak maź oblepiająca wszystko dookoła.

Do mesy jak bomba wpadł George Peck.

- Ci idioci chcą jeszcze robić w nadgodzinach przy takiej pogodzie! - wrzeszczał.

Kapitan był również przemoknięty i oblepiony brązowym błotem. Kłął na swych rodaków, machał rękami i biegał po mesie tam i z powrotem. Gdy wyczerpał całą swą bogatą wiązanekę angielskich przekleństw, cały spocony, nie bacząc na oblepiające go rzepakowe błoto, ciężko dysząc usiadł na mesowym fotelu.

Chief inżynier, Terry Snowly, rówieśnik Georga, który cały czas ustępował z drogi miotającemu się po mesie kapitanowi, odetchnął z ulgą i wyszedł bliżej środka.

Wyładowując swój gniew na wiązanecę przekleństw, George co jakiś czas nie żałował również kuksańców swemu staremu,

serdecznemu koledze. Terry dobrze znał kapitana. Wiedział, że jego kolega szybko się zmęczy i po chwili będzie innym człowiekiem. Teraz na środku mesy, naśladowując zachowanie się kapitana, zaczął się nabijać z dyszącego ciężko, wyczerpanego kumpla.

Zapieniona przed chwilą, brudna twarz Georga uśmiechnęła się zza błotnistej mazi. Zwrócił się w stronę Franka i wesoło, jakby wrócił z najlepszego ubawu, wypowiedział swe sakramentalne:

- „I have a good idea" /Mam dobry pomysł/

- Tak, to jest dobry pomysł - odpowiedział śmiejąc się Polak.

I wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Takim powiedzeniem Anglik zawsze zwracał się do Polaka, gdy chciał go poczęstować piwem. Zwracając się do Terrego, George udawał, że jest jeszcze zły. Podniósł rękę gotową do kuksańca i z groźną miną komenderował:

- Szybko! Natychmiast!

Terry podskakując otwierał lodówkę i wyciągał po butelce piwa. Nadal nikt nie wierzył, że rozładunek może się dziś zakończyć.

Po przerwie Franek z Murzynami znów otwierał, zamykał i przesuwał klapy luków w zależności od intensywności deszczu i potrzeb operatorów dźwigów. Interwencje i awantury Georga na nic się nie zdały. Chyba tylko jeszcze bardziej rozsierdziły miejscowych notabli, bo podnieśli stawki dla dokerów, jeśli uda im się tylko skończyć rozładunek i zwolnić statek przed wodą wysoką.

Nadgodziny poszły kilkakrotnie w górę. Przy ogromnym marnotrawstwie ładunku, roznoszonego przez wiatr, angielscy dokerzy pracowali, jakby powariowali.

Wigilia - słowo, które tak ciepło i serdecznie zaprzętało myśli Polaka jeszcze z rana, w miarę upływu dnia nabierało goryczy i coraz bardziej ścisnęło za serce. Ten serdeczny dzień, najbardziej rodzinny ze wszystkich dni w roku, dzień, który w każdej polskiej rodzinie upływa na strojeniu choinki i przygotowaniach do wigilijnej wieczerzy, w gwarze rodziny i ciepłej atmosferze domowego ogniska, stawał się teraz jednym z najsmutniejszych dni w życiu Franka. Wszystkie nieszczęścia zwały się naraz.

Przemoczony i oblepiony błotem przed południem, po przerwie obiadowej na wierzch założył żółty, wodoodporny sztormiak z plastiku. Po niespełna godzinie był już jednak cały brązowy od

rzepakowego mułu. Ponieważ kaptur na głowie utrudniał słyszalność, musiał często go odpinać, aż w końcu kaptur z jednej i drugiej strony był cały w błocie. W dodatku zgubił ściągający go sznurek. Brudna woda zmieszanego z opadami kurzu powoli ściekała po głowie i kołnierzu do środka sztormiaka. Parując wewnątrz, zmieszana z potem i zamknięta plastikiem powodowała, że cała odzież na powrót stawała się mokra. Wszystko było potwornie śliskie.

Ciągłość przesuwania klap na lukach ładowni zmuszała do przechodzenia z jednej ładowni na drugą. Za każdym razem trzeba było schodzić po jakieś dwa metry w dół i w górę po stalowych drabinkach.

Przed poobiednią przerwą na kawę na śliskim, rzepakowym błocie Frankowi osunęła się noga i wpadła pomiędzy stalowe pręta drabinki. Dobrze, że zawisł na rękach i jakoś udało mu się wygramolić. Gdy w przerwie ściągnął spodnie sztormiaka i gumowe buty, okazało się, że noga cała jest zakrwawiona. Skóra na kości piszczelowej, od kostek poczynając, aż prawie do kolana, była obtarta, a miejscami pozrywana i krwawiła.

George tego nie darował. Wezwał lekarza i poszedł z awanturą do biura, że praca w takich warunkach zagraża bezpieczeństwu załogi. Wszystko na próżno. W odpowiedzi kapitan usłyszał, że utrudnia pracę dokerów. Jeśli z winy statku rozładunek się przeciągnie, to koszty postoju w porcie w czasie świąt, plus karę, będzie ponosił statek. Peck był zdruzgotany i całkowicie bezsilny, by cokolwiek zmienić.

Lekarz założył Frankowi opatrunek i znów wszystko zaczęło się od nowa. Tylko zamiast gumowych butów założył adidasy, by cholewa gumiaków nie sprawiała dodatkowego bólu.

George próbował jeszcze powiadomić o anormalnej sytuacji armatora w Hull. Kapitanowi bardzo nie podobała się prognoza pogody. Nie chciał się zgodzić na wyjście w morze, nawet gdy wyładunek się zakończy, przy zapowiadającym sztormie o sile dwunastu stopni Beauforta. Też na próżno.

Po drodze, już na śliskim pokładzie, George sam się przewrócił, nabijając sobie wielkiego guza. Gdy kapitan wreszcie znalazł się w

mesie, zauważył kłęby dymu wychodzące z kuchni. W piekarniku palił się ośmiokilogramowy indyk i nie dało się go już uratować. Zdruzgotanego Pecka próbował pocieszyć Terry. George nigdy nie pił innego alkoholu niż piwo, ale tym razem ugiął się pod pasmem nieszczęść i namową swego przyjaciela mechanika.

Zapadający zmierzch znów przypomniał Polakowi o Wigilii. Odruchowo spojrzął w niebo. Pomyślał o wigilijnej gwiazdce, której zawsze wypatrywał w dzieciństwie. Przypominał sobie, że alarmował wtedy, iż czas już na kolację. Pomyślał też o najbliższych i zrobiło mu się jeszcze bardziej smutno. Tym razem na pokrytym chmurami niebie nie było widać żadnej gwiazdki. Reflektory statku i pracujących dźwigów oświetlały upiorny obraz.

Statek zdawał się tonąć w błotnistej mazi. Światło odbijało się od brązowego mułu, po którym poruszało się kilku szarpanych wichrem skazańców. Trzech pracujących na pokładzie Anglików zmieniało się co jakiś czas, ale Franek z Murzynami pozostawali ciągle.

Wszyscy jednak wyglądali jednakowo, oblepieni grubą warstwą rzepakowego błota hojnie powiększaną przy każdym otwarciu stalowych paszcz chwytników. Wiatr, rzepakowy pył i zacinający deszcz robiły swoje.

Jak galernicy z „Nędzników” - pomyślał Wójcik patrząc na pracujących koło siebie ludzi.

Przypomniało mu się oglądane jesienią więzienie na Ile de Re. Stary polski Żyd Meyer Kuźjański był wtedy szczęśliwy, że może sobie porozmawiać w języku ze swego dzieciństwa i z chęcią obwoził Polaka po całej wyspie. Franek z tego samego powodu, że może z kimś pogadać po polsku też był zadowolony, bo na statku Timrix pod banderą angielską był jedynym Polakiem.

- Tu jest słynne więzienie opisane w „Nędznikach”, dziś muzeum - tłumaczył Żyd.

Teraz, w Wigilijny wieczór, Franek patrząc na najbliższe, pracujące koło siebie osoby, przypomniał sobie obraz z muzeum. Obszarpani skazańcy, ubrudzeni błotem wlekli za sobą łańcuchy spinające ich nogi. Stalowe klamry powyżej kostek spływały krwią z otwartych ran. W myśli zobaczył jeszcze jakiś obraz pędzonych w

niehumanitarnych warunkach Sybiraków. I spojrzął na swoją prawą nogę, która też krwawiła obtarta od stali. Otrząsnął się, chcąc odrzucić kosztowne obrazy.

Nie jestem niewolnikiem, galernikiem ani zesłańcem - pomyślał. Patrząc jednak na otaczającą rzeczywistość nie mógł odsunąć od siebie obrazu z „Nędzników”. Otoczenie dookoła dokładnie do niego pasowało.

Niewolnicy pieniądza? - rozmyślał Franek. - Nie! Na pewno nie! Dla pieniędzy nie tarzałbym się w błocie w samą Wigilię. Murzyni też nie. Ale Anglicy? George robił przecież wszystko, co tylko mógł.

A może niewolnicy ludzkiej głupoty i czyjś brak wyobraźni? - Też nie! Na pewno bym się sprzeciwił. To coś innego - rozmyślał dalej próbując znaleźć wytłumaczenie.

Trzeba było kryć poczciwego Georga. Nie mogło wyjść na jaw, że część załogi puścił na święta.

Franek usiłował odsunąć od siebie dręczące go myśli, ale one wracały. Patrzył na kosztowny obraz, który w podświadomości go otaczał, bo myśli znów wracały:

Na pewno jest to wina jakiegoś dupka siedzącego za biurkiem. Głupiego, chciwego człowieka bez wyobraźni - myślał.

To ci trzej Angole na burcie i dźwigowi są niewolnikami pieniądza. - A my, załoga, to co? - Nie! To coś innego. Dla statku nie ma kalendarza. Pływa zawsze, niezależnie od świąt, a w porcie musi być podporządkowany władzom portowym i rytmowi pracy portu. Poczciwy George! Dobrze, że chociaż część załogi puścił na święta. Musimy go kryć. Nie mogą pieprzone gnoje zganiać na nas i George'a, że to wina statku.

Franek szukał w myśli określenia na swoje postępowanie. Wyglądał przecież jak galernik lub zesłańiec, a koszmar ciągle jeszcze trwał.

Nawet niewolnicy lub nędznicy z Ile de Re, chyba w Wigilię tak nie byli traktowani - pomyślał.

Już wiem! Niewolnicy morza uwikłani w ludzką głupotę, wkręceni w tryby pracy współczesnej cywilizacji. W dodatku solidarni z poczciwym Georgem, który przynajmniej niektórym

pozwoili święta spędzić w domu - podsumował w końcu swoje myśli.

Rozładunek się skończył po 19-tej, ale nie skończyły się kłopoty. Przed zamknięciem luków i wyjściem w morze, musiały być jeszcze umyte ładownie. Przy sztormie w morzu byłoby to niemożliwe.

Rzepakowe błoto zapychało studzienki ssące pomp. Nawet woda zaburtowa puszczone węzem strażackim pod dużym ciśnieniem, w żaden sposób nie mogła ich przepchnąć. Zmieniona przed świętami załoga nie miała doświadczenia i nie rozumieli dobrze poleceń polskiego chiefa ani po angielsku, ani po francusku.

Franek znów był zmuszony założyć buty gumowe na bolącą nogę. Chcąc jak najszybciej skończyć męczarnie sam złapał za prądnicę i zaczął płucać ładownie. Murzyni pomagali, na ile potrafili. Ciągnęli, podłączali węże, przepychali zatykające się bildże i latali do Terrego z poleceniami chiefa, jak ma przestawiać pompy. Przy studzienkach zbierało się dużo wody. Pompy nie mogły sobie poradzić z ogromną ilością pozostawionego rzepakowego błota i zapychały się. W pewnej chwili przez cholewy gumiaków wlała się Frankowi woda. Rana zalana słońą morską wodą mocno dawała się we znaki.

O dwudziestej pierwszej z minutami statek odbijał od niegościnnego nabrzeża. Już w trakcie odbijania zamykano pośpiesznie luki.

Jakby tego było mało, morze przywitało niepełną załogę, poturbowaną przez los i całkowicie wykończoną trudami dnia, dużą sztormową falą. Zrzucając przemoczone ubranie Franek ze zgrozą przypatrywał się swojej prawej nodze. Odchodziły całe płyty skóry wybielonej przez morską wodę i sól. Z trudem brał prysznic na tańczącym w sztormie statku.

I jeszcze Wigilia. Miał przecież przysłany z domu opłatek. Trzymał go w szufladzie włożony między białą kartkę papieru. Otworzył szufladę. Jedno spojrzenie na białe zawiniątko przeniosło myśli gdzieś daleko, do rodzinnego domu.

I biegał jako dzieciak, wypatrując pierwszej gwiazdki. Biel śniegu, skrzypiący mróz i oczekiwanie na Wigilię. A potem sianko

na stole przykryte białą serwetką, rodzinna modlitwa, łamanie się opłatkiem, życzenia i cały ceremoniał wnoszenia kolejnych potraw. - Jakie były pyszne! Tak, jakby były gotowane tylko raz w roku. Nawet te najprostsze. Czuł niepowtarzalny zapach barszczu z grzybami, ziemniaków ze smażoną na oleju cebulą, kapusty z grochem, kaszy. I jeszcze różne pierogi, ale obowiązkowo zawsze te z suszonych śliwek. Pod koniec jeszcze ryby. Też różne gatunki, przyrządzane na różne sposoby. A wszystko przynoszone oddzielnie, po kolei, w półmiskach lub salaterkach, stawiane na opłatku leżącym na serwetce okrywającej sianko.

Przylepi się opłatek, czy nie przylepi? Jaki będzie urodzaj w nadchodzącym roku? - przypominał sobie polskie zwyczaje Franek, patrząc na kartkę z opłatkiem. - Jeszcze dodatkowe nakrycie, gdyby zjawił się ktoś w potrzebie i cały ceremoniał kolejności nakładania na talerz.

Obrazy z dzieciństwa przeplatały się z dorosłym życiem, z jego własną rodziną. Wszystko było prawie tak samo. W całości zachował tradycje, zarówno mieszkając w bloku, jak i we własnym domu. Tylko prezentów pod choinką przybywało z każdym rokiem.

Powracało ciepło domowego ogniska, radość, wspólne śpiewanie kolęd i choinka. Pięknie zawsze przystrojona, pachnąca lasem. Migocząca świecidełkami odbijanymi od kolorowych bombek, łańcuchów i anielskich włosów.

Otrząsnął się. Jakby chciał zrzucić z siebie resztki rzepakowego mułu. Ze wzruszeniem wyciągnął białą kartkę papieru z opłatkiem w środku i zaczął schodzić do mesy.

Ale przecież na statku pozostało nas tylko pięć osób. George jest na mostku, a Terry w maszynie - myślał schodząc. - Z kim się połamię opłatkiem? Tony zna tylko portugalski, a Santos angielski ledwo kaleczy. Jak wytłumaczę Murzynom, co to opłatek?

Przez otwarte drzwi mesy Polak zauważył krzątającego się w kuchni Terrego. Jedna osoba do Wigilii więcej - pomyślał i odetchnął z ulgą.

- Odrzewam dla ciebie i załogi kolację - wołał z daleka Anglik. - Po spaleniu się indyka George naprędce przyrządził śledzia w śmietanie. Ci idioci w porcie chyba powariowali. Tak późno na tym

statku kolacji jeszcze nigdy nie było - wyjaśniał Anglik, nie odrywając się od naczyn.

- A przecież mamy dzisiaj Wigilię - odparł Franek, spoglądając na wiszący zegar. Było już po 22-giej. Uzmysłował sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie jadł tak późno wigilijnej kolacji.

- To straszne - westchnął Anglik, krzątając się przy kuchence mikrofalowej i dorzucił kilka przekleństw pod adresem swoich rodaków.

- Terry! Dzisiejszy wieczór jest obchodzony w Polsce szczególnie uroczyście. Zgodnie z tradycją wszyscy łamią się opłatkiem i składają sobie życzenia. To jest opłatek, zobacz - pokazywał Franek trzymany w ręku delikatny, biały prostokąt. Odłamał kawałek opłatka i podał go Anglikowi.

- To jest taka komunia? - zapytał Anglik, przyglądając się trzymanemu w ręce opłatкови.

- Nie. To nie jest komunia. Komunia w kościele jest tylko podobnie zrobiona. To nazywa się „opłatek” i jest w polskich domach przed wieczerzą Wigilijną. Każdy z domowników otrzymuje po takim kawałku opłatka, a następnie wszyscy składają sobie życzenia, odłamując go sobie po kawałeczku.

Franek próbował przybliżyć Anglikowi polską tradycję, ale Terry zajęty mikrofalówką, po odłamaniu części opłatka i skosztowaniu, co to jest, resztę położył na stole, mówiąc:

- Fucken komunia.

Polak był zdruzgotany. Wprawdzie Terry słowa „fucken” używał jako przerywnika przy każdej okazji, ale w stosunku do komunii i opłatka w uszach Franka zabrzmiało to jak bluźnierstwo.

Coś podobnego! Mówić na wigilijny opłatek pieprzona komunia - pomyślał rozgoryczony i przesłała mu całkowicie chęć do tłumaczenia polskiej tradycji.

W sąsiedniej mesie pojawił się Tony z Santosem. Terry wyciągał trzy talerze z odgrzanymi ziemniakami i śledziem w śmietanie, gdy odezwała się sygnalizacja alarmowa z maszynowni i odwołała go do wyjścia.

Franek został z Murzynami. Przytrzymując talerze, by nie pospadała z nich zawartość przy mocno rozkołysanym statku, przeszli do mesy załogowej.

Może przynajmniej z nimi połamię się opłatkiem, a potem pójde do Geoga na mostek – pomyślał z nadzieją Polak.

Na razie nie było jednak na to żadnych szans. Statek tylko pod balastem miotał się niesamowicie na sztormowej fali. Z przytrzymywanego z trudem talerza stopniowo wysypywała się jego zawartość na tańczący stół. Trzeba było szybko jeść, nim w ogóle coś jeszcze zostanie na talerzu. Robiony naprędce śledź okazał się bardzo słony. Nawet duża ilość śmietany, której nadmiar stopniowo rozlewał się po stole, nie mogła złagodzić przesolenia. Na domiar złego Terry do mikrofalówki powkładał wszystko. Gorące były i ziemniaki, i śledź z cebulą w śmietanie.

Tony wyraźnie źle się czuł. Był pierwszy raz na statku w sztormowej pogodzie i morską chorobą zaczęła go męczyć. Jego czarna jak smoła skóra dziwnie jakoś zbladła i zszarzała. Zmętniały nawet białka oczu i jakby nabiegły krwią. W pewnej chwili pół zawartości talerza, nieumiejętnie przytrzymywanego przez Tonego, wylądowała na ubraniu Murzyna, który jak poparzony wyskoczył na środek mesy, krzycząc coś po portugalsku. Franek zrozumiał, że Murzyn ma dość takiego statku i chce wracać do domu.

- Tony like go home - próbował tłumaczyć Santos.

Potężny Tony po krótkim napadzie złości, w której na chwilę jego skóra znów przybrała czarny jak sadze kolor, a oczy zabłyszczały gniewnie w świecących dużych białkach, szybko się jednak uspokoił. Na powrót jego skóra zszarzała, przybladły oczy i zaczął płakać jak dziecko. Jego atletyczne barki drgały szarpane szlochem. Polak usiłując go pocieszyć również podniósł się zza stołu. Szarpnięty falą statek podrzucił oba nie trzymane talerze, które z łoskotem wylądowały na podłodze. Kawalki porcelany i niedojedzone śledzie zaczęły latać po gwałtownie przechyłanej podłodze mesy. Tony zaczął wymiotować. Na podłodze wszystko się mieszało z rozbitą porcelaną, śledziami, cebulą i śmietaną, dopełniając makabryczny obraz wigilijnego wieczoru.

- Tony, połóż się do łóżka, będziesz czuł się lepiej. Przyzwyczaisz się - mówiłem, starając się pocieszyć chorego.

- Santos tłumacz! – krzyknął ze śmiechem, jakby chciał w ten sposób przenieść energię na zrezygnowanego drugiego z Murzynów.

- Ludzie w Polsce mówią, że jak się tłucze szkło, to na szczęście. Szczególnie dzisiaj wszystkie życzenia się spełniają. Mamy przecież Wigilię.

- Yes chief. Good, good - mówił cicho Tony, podając posłusznie rękę podtrzymującemu go Polakowi.

Santos przy ścieraniu podłogi również dostał torsji.

- To nic, chief. Ja to wszystko pościeram i też się położę. Talerze zbiły się na szczęście - próbował żartować, ale jego twarz wyglądała, że nie jest mu do śmiechu.

- Okey Santos! Nie martw się, jutro będzie lepiej. Ja pójdę jeszcze do kapitana na mostek. Wszystkiego najlepszego z okazji Wigilii - powiedział na odchodne Franek.

Na mostku przechyły były jeszcze większe. Dopiero z góry dobrze było widać cały obraz rozszalałego żywiołu. Gnane wichrem fale z wściekłością uderzały o dziób statku, przelewały się przez pokład i podrywane wiatrem uderzały o nadbudówkę. Białe grzywy wokół dymiały odrywaną wodą, która niesiona wichrem tworzyła prawdziwą wodną zamieć.

- Mamy sztorm około dziesięciu, a co chwilę ostrzegają o nadchodzącej dwunastce - odezwał się w półmroku George i rozjaśnił słabe światło, oświetlające mapę.

Frankowi od razu rzucił się w oczy duży guz na czole kapitana, który teraz zrobił się bardziej rozległy i cały fioletowy. Zwykle pogodna twarz Georga wyglądała teraz na zmęczoną.

- Mam 65 lat, pływam od szesnastego roku życia, ale coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. Pieprzeni idioci, smrodliwe dupki, zasrani biurokraci i ... - Długo jeszcze wyliczał Anglik zalety swych rodaków, obsypując ich sownie przekleństwami. Po wyrzuceniu z siebie całej goryczy, ubranej w wiązkę niewybrednych epitetów, twarz Georga, napięta przed chwilą gniewem, gwałtownie się rozluźniła. Oczy ciskające groźne spojrzenia, nagle zaczęły się przyjaźnie uśmiechać do Polaka.

- I have a good idea! Poczekaj, zaraz przyniosę.

- To nie jest wcale taki dobry pomysł. Mamy przecież Wigilię i chciałem się przynajmniej z tobą połamać opłatkiem - powiedział po polsku Franek.

- Co mówiłeś?

- Nic! Powtórzyłem tylko po polsku, to co ty mówiłeś przed chwilą o tych z portu - odparł zrezygnowany Polak.

- Ach tak! Zrobiłeś to bardzo delikatnie - zauważył George, schodząc do swojej kabiny.

Po chwili zjawił się z dwoma butelkami piwa.

- Good idea? - zapytał uśmiechając się wesoło, co przy ogromnym guzie i niewątpliwym zmęczeniu zjednało mu jeszcze większą sympatią Polaka.

- Good idea! Masz rację – z uśmiechem odpowiedział Franek. - Wszystkiego najlepszego w Wigilię!

- Mery Christmas! Jest już po północy - sprostował Peck.

Nim dopili piwo, Franek opowiedział jednak o polskiej wigilijnej tradycji. Połamali się jeszcze opłatkiem, nie zważając na szalejący sztorm, mimo że było to już Boże Narodzenie i że zamiast kolacji była tylko butelka piwa.

- Idź spać. Jesteś o wiele bardziej zmęczony wczorajszym dniem niż ja. Jak twoja noga?

- Tak jak twoja głowa - zaśmiał się Polak, zadowolony, że wreszcie mógł sobie z kimś serdecznie pogadać i złożyć sobie nawzajem życzenia.

- Obudzę cię, gdy poczuję się zmęczony - powiedział na zakończenie Anglik.

Chief po niezwykle męczącym dniu i smutnych przejściach, wyczerpany fizycznie i psychicznie zasnął twardym snem. Nie czuł sztormu i bolącej nogi. Gdy otworzył oczy, był biały dzień.

O Boże! George mnie nie budził. Może coś się stało? - pomyślał zaniepokojony i natychmiast pobiegł na mostek.

Anglik był na miejscu cały i zdrowy.

- Dlaczego mnie nie budziłeś? Aż się przestraszyłem, gdy zobaczyłem biały dzień. Czy coś się stało?

- Wszystko dobrze! Chciałem, żebyś się wyspał i tak jak mówiłem, nie jestem jeszcze zmęczony.

George starał się uśmiechać maskując zmęczenie, ale jego twarz mówiła coś innego. Czarny, duży siniak na jego czole jeszcze się powiększył. Peck wyglądał na zmęczonego do granicy możliwości, zmaltretowanego człowieka. Jakby się postarzał o kilka lat.

- Jesteśmy przy Dungeness. Półwysep trochę nas osłania od wiatru, ale nie całkiem - pokazywał chiefowi stary angielski kapitan.

Polak spojrział, co dzieje się wokół. Statek był bardzo blisko brzegu niewielkiego, niskiego półwyspu, z potężną budowlą przy nasadzie. Kurs prowadził prosto na plażę przy cyplu i wydawało się, że statek lada moment zaryje dziobem w piach. Mimo bliskości brzegu fala zaledwie się łamała na piaszczystej łasze cypla i pędziła prosto wzdłuż linii kursu, tuż po prawej stronie.

Częściowa osłona nie pozwalała na utrzymanie się wysokiej fali, ale mimo to woda przelatywała przez pokład. Lecąca od cypla wichura porywała grzbiety fal i rzucała je z całą siłą prosto na nadbudówkę. Woda wokół kipiała. Wyglądała, jakby ją gotowano i zasypywano zamiecią. Tylko bardzo blisko brzegu, z lewej strony, było trochę spokojniej.

- To jest elektrownia jądrowa Dungeness - odezwał się George. - Bardziej w lewo nie możemy iść, bo za płytko, a kotwicy nie możemy rzucić, bo nie da się przejść na dziób. Poza tym, w tym wielkim sztormie, nawet by nas nie trzymała.

Franek jeszcze raz spojrział na potężną budowlę, która doskonale mogła chronić przed wiatrem, jednak płytka woda z lewej nie pozwalała na całkowite wejście za osłonę. Brakowało kilku metrów.

- Steruj na wiatr, dobierając obroty silnika tak, by nie wyrzuciło cię na brzeg i nie cofnęło do tyłu poza tą częściową osłonę. Ja idę spać. Weź sobie coś jeszcze do jedzenia i picia, bo później będzie się trudno wyrwać - doradzał George.

Polak dobrze zapamiętał ten dzień i to miejsce. Całe Boże Narodzenie trzymał kurs na ogrodzenie, przy południowej ścianie kompleksu budynków elektrowni jądrowej Dungenes. Walczył z wiatrem i falą jedną ręką trzymając na przyciskach steru, a drugą na manetce obrotów. Sprawdzał odległość na radarze i głębokość na

echosondzie. Niekiedy na krótko włączał sterowanie automatyczne, ale automat nie chciał słuchać. Gubił się przy zwariowanych podrygach tańczącego w sztormie statku.

ARESztOWANIE ROWERU

(wspomnienie z Casablanki, które zawsze wracało, gdy tam bywałem)

W Maroku ziemniaki sadi się późną jesienią. Tysiące ton sadzeniaków drogą morską przywozi się głównie z Francji. Na niemieckim statku „Lark” przydarzył mi się właśnie taki ładunek.

Ziemniaki były francuskie, firma eksportująca i właściciel z Francji, ale załadunek dla odmiany odbywał się w Antwerpii. Belgijscy dokerzy jak zwykle pracowali sprawnie i dokładnie. Palety z poukładanymi na nich workami ładowali szczelnie jedna przy drugiej, żeby w razie przechyłów przy sztormowej pogodzie nie przesunęły się w ładowni.

Przewoziliśmy około pół miliona worków, więc i palet były tysiące. Układano je w kilku warstwach. Francuzi do swego towaru odnosili się z wielkim szacunkiem. Pod ich czujnym okiem belgijscy dokerzy ładowali wyjątkowo ostrożnie uważając, by nie uszkodzić palet i nie porozrywać worków. W przeciągu doby statek załadowano, zostawiając w wierzchniej warstwie jeden rząd palet ze slingami (zawieszami) dla ułatwienia początku rozładunku. Zostawili dodatkowo cztery paczki jutowych worków, na wypadek jakiegoś uszkodzenia w trakcie rozładunku.

Ponieważ kapitan Kustak – Niemiec z byłej NRD – niewiele mi pomagał w załadunku, bo w żaden sposób nie mógł się dogadać z Francuzami, mówiącymi tylko w swoim języku, więc stałe przebywałem na pokładzie. Obiecałem właścicielom ziemniaków, że w morzu będę starał się wentylować ładownie i jak tylko pozwoli na to pogoda, to nawet pootwieram do nich zejściówki dziobowe i rufowe. Zadowoleni z dobrej współpracy Francuzi obdarowali mnie

na pożegnanie kilkoma butelkami wina Beaujolais i wyszliśmy w morze.

Pogoda nam sprzyjała. Rejs do Casablanki minął bez kiwania, nie zapomniałem też o dobrej wentylacji przewożonych ziemniaków. Ładunek został odebrany w idealnym stanie i wkrótce po tym rozpoczęto rozładunek.

- Coś nieprawdopodobnego! - oburzaliśmy się

Na pokładzie i w ładowni pojawiło się dziesiątki ludzi. Jeden przeszkadzał w pracy drugiemu. Całkowity bałagan!

Stałem z Francuzem, który był przedstawicielem właściciela ziemniaków przy komiksie (zrębica ładowni) obserwując przebieg pracy. Już na wstępie, przy podciąganiu palety na zostawionym przez Belgów slingu, operator źle wychylił ramię dźwigu, szarpnął i rozerwał paletę, uszkodził przy tym kilka innych. Mimo to usiłowano jednak podnosić ją do góry dodatkowo nie zabezpieczając. Próba okazała się fatalna w skutkach. Część worków spadła od razu, a reszta z dwu- trzech metrów, przy czym dwa całkowicie się porozrywały, dodatkowo uszczelniając wolne miejsca między paletami.

Podczepiono sąsiedni sling, ale przy próbie podniesienia do góry blokada porozrzucanych worków i uszkodzenia przez pierwszą paletę okazały się tak poważne, że i ta się rozsypała. Po naszej interwencji dostarczono nowe podkłady i rozpoczęto przekładać na nie blokujące worki.

Dwa inne ganki (zespoły przeładunkowe) rozpoczęły pracę z przodu i z tyłu ładowni. Tam również wystąpiły problemy z podkładaniem slingów pod palety, więc przeszliśmy z Francuzem sprawdzić co się dzieje.

Mój sąsiad aż pobladł! Na dziobie dwie osoby usiłowały wkładać pod palety taśmy zawiesi, a kilkanaście stało wokół wykrzykując coś po arabsku i dając wskazówki pracującym. Niektórzy trzymali w rękach ostre haki do chwytania worków i rozrywali nimi każdy, który tylko przeszkadzał w swobodnym przekładaniu slingu między paletami. Operator podnosił porozpruwane chwytaki, z których wysypywały się ziemniaki, znacząc drogę przesuwania się ramienia dźwigu.

Na szczęście moje zaangażowanie emocjonalne było niewielkie. Statek miał podpisane dokumenty – „ładunek został przyjęty bez uwag, w dobrej kondycji. Uszkodzeń nie stwierdzono”. Nie mogłem jednak patrzeć na marnotrawione dobro. Wielokrotnie wchodzenie do afrykańskich i arabskich portów nauczyło mnie, że grzecznością nic się tu nie wskóra.

-Stop! Stop! Ty pieprzony leniuchu, dlaczego rozrywasz ten worek? – wrzasnąłem na najbliższego z hakiem. - Stop wszyscy! Natychmiast zawołać tu formena.

Okazało się, że nadzorujący brygadę był w „tłumie robotników”.

- Kto będzie płacił za te porozrywane worki? Ty, czy twój szef? Kto? – pytałem ostro udając złość większą niż to było faktycznie.

Słyszając awanturę, na dziobie pojawi się Kustak i począł nas wspierać. Oczywiście, Arab zarzekał się, że tego nie widział i obiecywał, że będzie bardziej uważał.

- Ja w dokumentach mam ładunek przyjęty bez uszkodzeń i zaraz pójdę ze skargą na ciebie do twojego szefa. Zobacz ile worków jest już porozrywanych? Będziesz płacił! – straszyl Niemiec brygadzystę, który nie widział żadnego problemu iż worki się „czasem rozrywają”.

- Same się nie rozrywają, bo widziałem jak ten je rozrywał – wskazałem na Araba z hakiem.

Winowajców było znacznie więcej, ale ten oberwał kilka ciosów kopniaków od swego pryncypała, chyba bardziej na pokaz, niż było to w rzeczywistości. Przy dźwigu środkowym i rufowym w międzyczasie również przybyło uszkodzonych worków. Zastopowaliśmy rozładunek do nadejścia głównych szefów.

Zobaczyli, upomnieli formenów i jeszcze raz podpisali statkowe dokumenty, tym razem z naszą uwagą, że uszkodzenia powstające w trakcie rozładunku są z winy rozładujących.

Sytuacja poprawiła się jednak na krótko.

Wydałem dwie paczki nowych worków dostarczonych w Antwerpii, do których tłumy robotników rozpoczęły zbierać rozsypane ziemniaki i układać je na paletach. Gdy jednak trzeba

było podnieść pełny worek ziemniaków, który albo wpadł między sztaple w trakcie pierwszych unosów, albo został osunięty przez gromady chodzących po wierzchu pracowników, to haki nadal szły w ruch by go rozerwać.

Dwóch Arabów, łapiąc jeden pięćdziesięciokilogramowy worek, wołało go najpierw rozerwać, by tylko połowę podnieść o kilkadziesiąt centymetrów wyżej. Nic dziwnego, że w tej sytuacji podkładanie slingów sprawiało coraz większe kłopoty, a stopniowo stawało się zupełnie niemożliwe.

- Chief, nie przejmuj się tym. Nie nasz cyrk i nie nasze małpy – skomentował Kustak.

Niezależnie od całodobowej wachty marynarzy, któryś z nas cały czas przebywał na statku, ale zarówno Niemiec jak i ja nie braliśmy sobie zbyt do serca pracy tutejszych robotników. W Casablance staliśmy jeszcze dziewięć dni.

Obraz nabrzeża koło statku stawał się coraz bardziej makabryczny. Wszystko było zasłane ziemniakami. Na drodze do pobliskiego magazynu jeździły po nich samochody. Koło statku rozgniatały się pod butami. Arabowie raz je zbierali, gdy ktoś z ich szefów ich do tego pogonił, a za chwilę beztrzesko patrzyli jak się rozsypują, z zapewne porozrywanych wcześniej hakami worków.

- To są wasze ziemniaki i wasze nabrzeża, ale na burcie nie mogą leżeć pod nogami, bo za to my odpowiadamy i na taki bałagan nie pozwalamy – ostro zaprotestowaliśmy.

W efekcie tego burty statku wyglądały w miarę porządku. Jakiś robotnik co pewien czas je zbierał do worka, lub nogą kopał za burtę.

Ładownia wewnątrz wyglądała jak po tajfunie. Gdzie były wcześniej sztaple, gdzie palety trudno było się rozeznąć. Całkowity bałagan z tłumem ludzi, w którym jedni zbierali rozsypane ziemniaki, a inni rozpruwali pełne worki nie chcąc się przemęczać ich podnoszeniem.

Pierwszego dnia wybrałem się wieczorem na przejażdżkę rowerem. Tak bez celu, dla zwykłego relaksu, by odpocząć od zgiełku i rozsypywanych ziemniaków.

Mój wehikuł był wyjątkowo charakterystyczny. Kupiony przed paroma miesiącami w Anglii za pięć funtów wyglądał prawie jak złom. Na statku zalewany słoną wodą i poobijany gdzie się tylko dało zardzewiał całkowicie. Z wyjątkiem opon, siodełka i plastikowych uchwytów na kierownicy wszystko było czerwone od rdzy. Aż dziw, że jeszcze jeździł. Często smarowany chodził jednak nadal wyjątkowo lekko. Miał jeszcze tą zaletę, że nie był pokusą dla złodziei, co w tej części świata było wyjątkowo istotne, ale i tak dwa razy ledwo się udało udaremnić jego kradzież.

Po minięciu bramy portowej skierowałem się w szeroką aleję, z rzędami palm i szerokim spacerowym deptakiem pośrodku. Aleja palmowa nieznacznie pięła się w górę. Na jej końcu było duże rondo, obszerny plac porośnięty klombami i ozdobną, gustownie dobraną, tropikalną roślinnością. Na wszystkich ulicach z lewej strony placu znalazło swą siedzibę wiele banków, luksusowych hoteli i nowoczesne biurowce. W prawo natomiast bazy, wyroby ze skóry i dziesiątki różnych straganów, coraz uboższych w miarę oddalania się od ronda.

Pojechałem lekko w prawo, w uliczkę na skraju bazaru. Ostatnie promienie słońca oświetlały tłumy ludzi w pośpiechu kończących zakupy.

Przede mną powstało jakieś zamieszanie. Trzech mężczyzn mocno biło jakiegoś faceta. Zatrzymałem się kilka kroków przed nimi. Jeden z napastników pchnął napadniętego nożem.

Arab upadł trzy kroki przed moim rowerem. Krwawił z ust i z rany po ciosie. Widać, że już nie żył.

Stałem chwilę oparty o kierownicę, patrząc na leżącego i obchodzących go przechodniów. Napastnicy zmieszali się z tłumem.

Odsunąłem się trochę na bok nadal obserwując zajście.

Ludzie omijali denata, by na niego nie nadepnąć. Okoliczni sprzedawcy pośpiesznie zamykali swoje stragany. Pojawiła się policja.

Zawróciłem przygnębiony w stronę ronda i skręciłem na plac z parkowymi alejkami. Prowadziłem mój wehikuł.

Jakiś malec podbiegł do mnie coś szczebiocąc i pokazywał na mój rower. Po doznaniach sprzed kilku minut radość dziecka

sprawiła mi wielką przyjemności, była ukojeniem. Pozwalała chociaż na chwilę zapomnieć koszmary dzisiejszego dnia.

Dwie młode, dobrze ubrane Arabki uśmiechając się zapewne tłumaczyły zachowanie dzieciaka.

- Pewnie chcesz się przejechać? – zagadnąłem i zapytałem jego opiekunki czy mogę posadzić malca na siodełku.

Siedział krótko podtrzymywany przeze mnie i swoją mamę. Rozpromieniona buzia dziecka i przyjazne zachowanie jego opiekunek powoli zamazywały twarz leżącego przy straganach. Kobiety odeszły w stronę ronda machając wesoło na pożegnanie.

Przeszedłem jeszcze parę kroków i zatrzymałem się w miejscu z najlepszym widokiem. Zapadający zmrok, tropikalna roślinność, zapach kwiatów mieszały się z odgłosami czteromilionowego miasta. Stałem oparty o kierownicę.

Z zadumy wyrwał mnie głos jakiegoś człowieka. Krótka rozmowa po francusku szybko przeszła na angielski, w którym czułem się znacznie pewniej. Mój przygodny znajomy doskonale znał oba języki. Przedstawił się, że jest inżynierem telekomunikacji.

Rozmowa przebiegała dość przyjemnie. Wyjaśniał mi marokańskie realia, tłumaczył dlaczego Casablanca jest stolicą ekonomiczną, a Rabat administracyjną i sam był również ciekaw polskich spraw.

- Dobrze mi się z tobą rozmawia, może pójdziemy na piwo? – zaproponował Ażdi.

- Nie mam ochoty. Wybrałem się tylko na spacer, tak dla relaksu. Nawet nie zabrałem z sobą pieniędzy – odparłem.

- Jesteś moim gościem, ja cię zapraszam i ja płacę – odpowiedział obruszony, wyciągając na potwierdzenie plik pieniędzy.

- Ja naprawdę wybrałem się tylko na przejażdżkę. Może innym razem – powiedziałem dla świętego spokoju.

- Jest już ciemno. Skoro jeszcze długo będziecie stać, to jutro możesz wpaść do mnie do pracy i do domu. Zobaczysz jak się u nas żyje. Przecież na chwilkę możemy usiąść. Kawiarenka jest tuż obok.

Wskazał na drugą stronę placu, na przedłużeniu palmowej alei. Duża reklama fanty nad wejściem i ruchliwość miejsca

całkowicie uspokoiły moją podejrzliwość. Ażdi rzeczywiście wyglądał na wykształconego człowieka.

W portach afrykańskich byłem świadkiem wielu kradzieży i zawsze wychodząc wieczorem, zabierałem z sobą niewiele pieniędzy. Przy sobie miałem dwadzieścia szwedzkich koron, co w zupełności wystarczyłoby na cztery piwa, które w Maroku były w butelkach o pojemności 0,25 litra. Nie miałem się więc czego obawiać.

Weszliśmy do zupełnie przyzwoicie wyglądającej knajpki. Większość stolików na dole była zajęta, ale na półpiętrze było ich jeszcze sporo. Mojego kompana znali po imieniu, serdecznie go witając.

- Siądziemy na półpiętrze. Stamtąd jest ładny widok na cały plac - grzecznie zaproponował, polecając kelnerowi, by zwracał uwagę na mój rower zamknięty na kłódkę nieopodal wejścia.

Ażdi zamówił dwa piwa. Towarzyska rozmowa nadal przebiegała bez jakiegokolwiek niepokoju.

- Jestem numizmatykiem, nie masz jakichś monet? – zapytał Arab.

- Mam, ale na statku. Dam ci jutro.

- A może masz? Sprawdź.

Nie musiałem sprawdzać, bo wiedziałem co mam w kieszeniach. Stałem się jednak bardziej podejrzliwy.

- Zobacz! Mam tylko dwadzieścia koron i nic więcej.

Wsadziłem ręce do kieszeni wyciągając pieniądze. Było dokładnie tyle, a wiedziałem, że nie jest to kusząca suma. Piwo kończyło się, więc „inżynier telekomunikacji” przywołał kelnera prosząc o dwa następne.

- Kelner jeszcze po jednym, ja płacę.

„A może jestem zbyt podejrzliwy” - zastanawiałem się przez chwilę słysząc zdecydowaną deklarację wobec kelnera. – „Tak czy inaczej, to na cztery jeszcze mi wystarczy”.

- Banknoty też zbieram. Mogę zobaczyć?

- Proszę bardzo. Skoro płacisz piwo, to możesz nawet sobie wziąć.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę spokojnie rozmawiając. Ażdi wyciągnął papierosa i zaczął szukać zapalek.

- Nie masz ognia? – zapytał, wiedząc wcześniej, że nie palę. Gdy zaprzeczyłem postanowił wyjść i kupić tuż obok.

- Nie obraż się! Wiesz, że jestem doświadczonym człowiekiem, który zna twoich rodaków. Ty jesteś inżynier, te dwadzieścia koron jest twoje, ale dam ci je dopiero po powrocie. Tak na wszelki wypadek. Gdyby kelner koniecznie chciał zapłaty nim wrócisz, bo nic więcej nie mam.

- Ależ nie ma problemu. Zaraz wracam.

Siedziałem dopijając swoje piwo. Butelka Ażdiego była prawie nietknięta, a on więcej się nie zjawił. Przyszedł natomiast kelner i domagał się zapłaty, ale nie za cztery piwa, w dodatku zamówione przez swojego kumpla, lecz za osiem.

- O nie! Za nic nie będę płacił, bo ja nic nie zamawiałem. Nie będziesz mnie naciągał. Gdzie twój szef?

Teraz musiałem już pójść na całość. Nie mogłem się pogodzić, że Arabowie chcą mnie oszukać, na wszystko nie miałem pieniędzy, a gdybym nawet miał, to nie wiadomo, czy rachunek znów się nie podwoi. Byłem zły, że dałem wciągnąć się w pułapkę.

Awantura rozpoczęła się dopiero na dole. Gdy przy barze głośno domagałem się rozmowy z szefem, okazało się, że obsługiwał nas nie kelner, lecz barman. Przy sali pełnej gości szef musiał się pojawić i udając uprzejmego wysłuchiwał relacji co się stało. Barman kłamał jak z nut:

- Ten klient z kolegą ze statku wypili osiem piw i nie chce za to zapłacić.

Nie byłem gorszy:

- To nie mój kolega, lecz kolega barmana Ażdi, który wziął ode mnie sto koron na zapłacenie rachunku – prostowałem stosując arabską metodę.

Osoby siedzące przy stoliku naprzeciw barku były już tam, gdy wchodziliśmy do lokalu. Byłem pewny, że widzieli jak Ażdi witał się z barmanem mówiąc sobie głośno po imieniu. Spozrzegłem, że całe towarzystwo nam się wtedy przyglądało.

Zwróciłem się do nich:

- Ten kolega barmana wziął na zapłacenie za cztery piwa sto koron, to jest około czterdziestu dolarów i ulotnił się. Barman z czterech, zrobił osiem i w dodatku twierdzi do swego bosa, że to mój kolega.

Rozróżba zaczęła się na całego. Jakaś kobieta stwierdziła, że Ażdi to kolega barmana. Jeden z mężczyzn przyznał mi rację, ale szef zmienił język na arabski i przestałem rozumieć o czym mówią.

- To jednak twój kolega ze statku, który tu już wcześniej był i dlatego barman go znał. Musisz zapłacić – ponownie po francusku odezwał się szef. Odniosłem jednak wrażenie, że wolałyby już sprawę zakończyć.

„No to Arabi mnie załatwili” – pomyślałem.

- To skandal! Nie chcę mieć z wami nic do czynienia, bo jesteście złodzieje i kłamcy. Wypiłem dwa piwa, mogę jeszcze raz zapłacić za cztery i do widzenia. Nie mam poza tym, ani grosza więcej.

Sprawa prawdopodobnie na tym by się zakończyła, bo szef już wyciągał rękę po dwadzieścia koron, ale barman mówiąc coś po arabsku wskazał na mój rower.

- Zarekwirujemy rower. Jak przyniesiesz pieniądze to ci go oddamy – powiedział bos, aprobując wstawianie pojazdu na zaplecze.

- Zawołam policję, bo dodatkowo kradniecie mój rower.

- To zawołaj – odpowiedział właściciel nie przejmując się moimi pogrozkami.

Kilkanaście kroków od lokalu zobaczyłam policjanta i wróciłem razem z nim. Niewiele to jednak dało, bo właściciel i barman przekonali go do swojej wersji.

- Trzymasz stronę naciągaczy! Jaki jest twój numer służbowy? Złożę skargę na ciebie i barmana na Główną Komendę Policji! – odgrażałem się wściekły z bezradności. Nie zamierzałem się jednak poddawać.

Koło ronda stało dwóch młodych policjantów, rozmawiając przez radiotelefon. Najpierw ich zapytałem, gdzie się mieści Główna Komenda Policji, a następnie opowiedziałem, co się stało.

Ponownie wracałem do kafejki, tym razem w towarzystwie dwóch policjantów, a po chwili zobaczyłem poprzedniego stróża porządku.

- To ten policjant trzyma stronę naciągaczy – wskazałem zaskoczonego obrotem sprawy stójkowego, który zaczął się tłumaczyć, że źle zrozumiał czyim kolegą jest Ażdi.

Gdy wchodziłem z trójką policjantów, lokal szybko pustoszał, a nawet rozpoczęto zaciągać żaluzje. Dwójka młodszych wyraźnie nie trzymała strony naciągaczy, a znacznie starszy stójkowy bał się o własną skórę.

Pokazałem miejsce mojego roweru na zapleczu i kluczykiem wyjętym z kieszeni otwarłem kłódkę przy tylnim kole. Policjanci wezwali radiowóz, który zjawił się niebawem.

Zakuty w kajdanki barman został pchnięty mocno do samochodu. Pierwszy policjant, przepaszając mnie za nieporozumienie pomagał włożyć rower do radiowozu. Z ciężko wystraszonym barmanem i z dwoma płaczącymi kobietami, które wewnątrz były wcześniej, jechałem złożyć zeznania na Główny Komisariat Casablanki.

Był to ogromny gmach, z holem jak wewnątrz dużego dworca kolejowego. Eskortujący policjant, który nas przywiózł, przekazał straży barmana i kobiety, którzy popychani wkrótce znikli za bocznymi drzwiami. Jakiś mundurowy wyprowadził rower, kierując się z nim do jeszcze innego wejścia. Poproszono mnie bym poczekał.

Rozglądałem się z zainteresowaniem. Długą ścianę holu wypełniały przeszklone kabiny, jak okienka na poczcie, jedna przy drugiej. Funkcjonariusze po cywilnemu dokonywali tam przesłuchań świadków i zatrzymanych. Zdziwiłem się. Około osiemdziesiąt procent zatrzymanych to kobiety! Wiele z nich płakało.

Nie czekałem długo. Złożyłem zeznanie, spisali moje dane z Książeczki Żeglarskiej i przeprosili za doznane przykrości. Funkcjonariusz z rowerem czekał na mnie przy wyjściu.

Wracałem zadowolony jak nigdy nućąc sobie wesoło. Miałem przecież powody.

Nie tylko, że nie dałem się Arabom naciągnąć na straty, ale wręcz odwrotnie, to oni je ponieśli. Barman wylądował za kratkami, Ażdi chciał mnie oszukać, to sam został oszukany, bo wątpię, by mu szef uwierzył, iż nie wziął stu koron, a jeszcze musiał zapłacić za dwa piwa, na które mnie zaprosił.

Komenda Główna była gdzieś na końcu miasta. Kilka razy pytałem napotkanych policjantów o drogę do portu. Do ronda i palmowej alei dojechałem dopiero koło pierwszej w nocy. Przy zejściu do podziemnego przejścia zobaczyłem „inżyniera telekomunikacji”. Stał z dwoma kumplami. Zwolniłem.

- Ażdi! Twój kolega jest już za kratkami! Policja teraz ciebie poszukuje! – krzyknąłem w jego stronę.

Uciekał po schodach ile sił w nogach. Chyba do końca życia będzie pamiętał, razem z barmanem, jeśli ten jeszcze nim będzie, żeby Polaków więcej nie naciągać.

Po powrocie na statek nikt z załogi nie chciał jednak do końca pobytu w Casablance pożyczać mojego roweru. Był za bardzo znany i niebezpieczny. Następnego dnia na bazarze owocowym poznał mnie jakiś Marokańczyk.

- Dobrze im zrobiłeś, bo to szajka złodziei - mówił patrząc na rower. - Chcieli ci go ukraść? – zapytał, po czym zaczął opowiadać coś po arabsku do kumpli stojących obok. Domyślałem się, że komentowali wczorajsze zajście.

Rowerowi przejażdżka do aresztu wyszła na dobre. Mirek, który najczęściej z niego korzystał dla niepoznaki solidnie go odmalował, ale Niemiec i tak się obawiał jeździć nim po Casablance.

BEZ WYJŚCIA

(Z Casablanki dwa i pół roku później od „Aresztowania roweru”. W tej relacji posłużyłem się moim drugim imieniem, Franek, i pierwszym nazwiskiem, Strzelczyk, a cały przebieg zdarzenia w 100% zgodny z faktami, które tu się wydarzyły. Miałem propozycję zamustrowania na niemiecki statek „Coral See” ale ze względów osobistych na niego nie zamustrowałem. Wykorzystałem jego

dźwięczną nazwę, obsadziłem załogą z autopsji, jaką chciałem, i płyniemy tam, gdzie mam wspomnienia).

- Stacja pilotowa Casablanka! Stacja pilotowa Casablanka! „Coral Sea” prosi! - wołał chief przez radiostację pod koniec swej popołudniowej wachty.

- Tak „Coral Sea”! Tu stacja pilotowa! - usłyszał w głośnikach UKF za którymś kolejnym wywołaniem.

- Podaj czas przybycia i swoje dane – polecał, zakłócany trzaskami, głos w odbiorniku.

- Good afternoon pilot! „Coral Sea” z Agadiru pod balastem do Casablanki po złom. Za trzy godziny będziemy przy stacji pilotowej. Mój sygnał wywoławczy P3UN-8. Jak mnie słycać?

- Okey P3UN-8. Za trzy godziny przy pilocie. Podaj jeszcze swoje dane.

Po podaniu przez Polaka danych statku i nazwy agencji obsługującej go w porcie z głośnika znów dobiegł przerywany zakłóceniami głos:

- Stand by! (poczekaj)

Dopiero po kilku minutach Franek otrzymał wiadomość, że pilot będzie czekał, by go wprowadzić oraz polecenie, żeby godzinę przed przybyciem ponownie zgłosił się przez radiostację.

Dobrze, że to już z głowy i wszystko załatwione - pomyślał w duchu. - Nie będę musiał zastanawiać się, czy drugiemu oficerowi uda się wywołać stację pilotów, czy nie i co nas dalej czeka.

Zupełnie odruchowo spojrział na zegarek, utwierdzając się w tym, o czym doskonale wiedział, że tylko kilkanaście minut zostało mu do końca wachty. Bez pośpiechu rozpoczął wypisywanie dziennika nawigacyjnego.

A to ciekawe – pomyślał, odkładając na bok prawie zupełnie już wypełniony dziennik – zawsze, gdy prosto z morza wchodziłem do Casablanki bez czekania na redzie, to później był długi postój w porcie. Ciekawe, czy teraz też tak będzie?

Wejście zmiennika przerwało samotne refleksje.

- Cześć chief! Jakie wieści? - dopytywał się drugi, przyglądając rysującym się w oddali kształtom miasta.

- Bardzo dobrze Stasiu! Trzy z plusem. Wchodzimy do portu prosto z morza, bez czekania i zanosi się na dłuższy postój – odpowiedział, śmiejąc się Franek.

Drugi z zaciekawieniem popatrzył na Strzelczyka, ale widząc jego kpiącą minę zapytał z niedowierzaniem:

- Skąd wiesz, że zanosi się długi postój?

- Tak tylko myślę, nie wiem, po prostu prawo serii - i już bardziej poważnie mówił dalej:

- Do Casablanki wchodziłem wiele razy i wyobraź sobie, że ilekroć wchodziłem prosto z morza, to później długo byliśmy w porcie. I na odwrót. Raz po dwóch dniach czekania na redzie w porcie staliśmy zaledwie kilka godzin.

- To tylko takie gdybanie, nic pewnego.

Strzelczyk kończył wypisywanie dziennika i przekazanie wachty.

- Gdy będziesz zgłaszał się do pilota godzinę przed, to nie zapomnij go zapytać, z której strony przygotować sztormtrap i którą burtą będziemy cumować – dodał, opuszczając mostek.

Dzwonki na manewry przywołały wszystkich na swoje miejsca. Chief po minięciu falochronu skierował wzrok na koniec pierwszego basenu, bo tu znajdowały się stanowiska do załadunku złomu. Keja była zajęta. Dwa prawie wynurzone statki pozwalały sądzić, że załadunek na nie dopiero się rozpoczął. W rogach po lewej i prawej stronie stały dwa inne, też nie załadowane.

Płynęli do wolnego miejsca przy dużym magazynie.

- A jednak będziemy czekać, bo oba stanowiska załadunku są zajęte – skomentował jakby do siebie Strzelczyk. - Mirek, zaraz po manewrach weź Jana i Andrzeja i pozakładajcie szczurołapy na wszystkie liny – powiedział głośniejszym głosem, zwracając się do A/B (*able bodied seamen – u nas odpowiednik starszego marynarza*).

- Chief obawia się, że wejdą szczury? – zapytał odruchowo starszy marynarz.

- To jest więcej jak pewne, tu są ich całe watahy! A nie wystrasz się, gdy wieczorem na jakiegoś nadepniesz, wracając na statek lub, że któryś przeleci ci po nodze. I jeszcze jedno, pozamykać na kłódki wszystkie włazy i zbędne wejścia. Przez całe dwadzieścia cztery

godziny, na zmianę, jeden z marynarzy trzyma wachtę i pilnuje przed złodziejami i blindziarzami – polecał chief.

- Podobnie jak w Agadirze? – dopytywał się A/B.

- Agadir to pestka w porównaniu do Casablanki, tu pod tym względem jest znacznie gorzej.

Manewry cumowania przerwały dalsze uwagi. Po podaniu wszystkich lin i po zamocowaniu trapu, na statek weszła cała gromada osób z odprawy. Byli celnicy, imigration, policja portowa, statkowy agent i jakieś osoby z Kapitanatu Portu. Przyszli też watchmani, których zadaniem była ochrona statku przed miejscowymi złodziejami.

- No to stary będzie miał kogo obdzielać podarunkami – zauważył starszy marynarz.

- Srodze się zawiodą, bo od Koeniga nic nie dostaną. Nawet nie poczęstuje ich papierosami.

- To co będzie? Przecież przez to mogą się do nas czepiać o różne sprawy – zaniepokoił się marynarz.

- A masz coś nie w porządku?

- Niby co miałbym mieć nie w porządku? Wszystko mam okey! – obruszył się A/B.

- To dlaczego się boisz?

- Nie boję się. Ale wiesz, chief, że kapitanowie, i to nie tylko u nas, przeważnie zawsze dają jakiś bakszysz i wtedy nikt nie szuka dziury w całym.

- Tak się utarło na Wschodzie, że do jakiegokolwiek władzy należy się przymilać i na wszelki wypadek lepiej dać jej coś w łapę. W żadnych przepisach nie jest to jednak zapisane. Gdy pływałem u Anglików, to też nie zdarzało się, by celników lub kogoś z kontroli granicznej kiedykolwiek czymś częstowano. Nasz Niemiec nie cierpi Arabów i na pewno nie będzie im się przymilał podarunkami. Jak go znam, to nawet nie pozwoli im u siebie zapalić ich własnych papierosów.

Załoga pokładowa „Coral Sea” kończyła ostatnie prace związane z cumowaniem, gdy kucharz powiadomił Strzelczyka, że ma pilnie zgłosić się na odprawę do salonu kapitańskiego.

- Nie wiesz, o co tam chodzi? – zapytał Franek.

- Nie wiem, chief. Kapitan powiedział tylko, że to bardzo pilne – odparł kucharz.

Strzelczyk ruszył do salonu. Już na korytarzu, przez otwarte drzwi, zobaczył tłum arabskich urzędników i stojącego między nimi kapitana.

- Chief, na załadunek będziemy czekać trzy dni, ale dla ciebie mam złe wieści. Straż graniczna twierdzi, że dla Polaków nie ma wyjścia w Casablance, bo są komunistami. Dodatkowo celnicy chcą skontrolować kabiny u ciebie i u starszego mechanika. Próbowałem im wytłumaczyć, ale nic z tego. To jakaś paranoja! – mówił podenerwowany Koenig.

- Co takiego? Polacy komunistami? A kto obalił ten pieprzony system? Are you crazy? Coś wam się pokręciło! – wkurzył się Strzelczyk.

Między Arabami rozgorzała hałaśliwa dyskusja. Widać było, że wymieniają między sobą wiadomości i jakieś uwagi do słów Polaka.

- To wszystko wiemy. Ale teraz znów macie komunistyczny rząd i wasz prezydent też jest komunistą – odpowiedział po naradzie najstarszy funkcją Arab.

- Zupełny absurd! W Polsce mamy teraz rząd prawicowy z premierem Buzkiem na czele, wspierany właśnie przez „Solidarność”, która obaliła komunizm. Wcześniej rządziła wprawdzie socjaldemokracja, ale wtedy nie robiliście żadnych przeszkód z wychodzeniem na ląd. Dwa i pół roku temu bardzo często wpływałem do Casablanki i nie było problemu. Dlaczego jest teraz? Naprawdę coś wam się pokręciło – perswadował Franek, całkowicie przekonany o zaistnieniu pomyłki.

- Sprawdźcie, bo to jest dyskryminacja i łamanie praw człowieka – wspierał Polaka Niemiec.

Arabowie znów zaczęli gadać coś po swojemu, a jeden z nich przez łoki-toki sięgnął po informację z zewnątrz.

- Ten zakaz wychodzenia do miasta Polaków obowiązuje już ze dwa lata i nadal jest aktualny. Jest to od czasu, jak jeden z waszych przywódców oddawał w Madrycie Hiszpanom nasze ziemie. Do tej pory nikt z waszego rządu tego nie sprostował – wyjaśnił ten sam starszy Arab.

Rozwścieczony Franek poczuł swoją bezradność.

- To dyskryminacja! – protestował. - Jaki związek z załogami statków mają prywatne opinie polityków? Czy ktoś mnie o coś pytał? Ja, jeśli chcecie, mogę wam dać nawet pół Afryki. Czy Hiszpanie mieliby przez to prawo, by nie wypuszczać polskich marynarzy na ląd?

Trud Polaka był daremny. Z załogi „Coral Sea” tylko Niemiec otrzymał przepustkę, by mógł wychodzić poza bramę portu.

- Chief, chcemy skontrolować twoją kabinę – odezwał się jeden z celników.

- Do tego macie prawo. Idziemy! – gniewnie przytaknął Strzelczyk i w towarzystwie dwóch celników poszedł do swojej kabiny.

- Wszystko, co należało zgłaszać, jest wpisane w deklarację. Więcej nic nie mam! - powiedział Polak, gdy byli już w środku. - Możecie rozkręcać co wam się podoba, ale uprzedzam, że nie podaruję żadnej śrubki, której nie dokręcicie. Po kontroli ma wszystko wyglądać tak samo jak teraz! – dorzucił ze złością.

Celnik spojrział w deklarację.

- Masz wpisaną butelkę alkoholu i karton papierosów – zauważył Arab.

- Tyle wolno mieć i tyle mam! – ostro odpowiedział Polak.

Drugi z celników otworzył szafę z ubraniami, zaglądał na półki z odzieżą.

- Gdzie są te rzeczy zapisane w deklaracji? – zapytał Marokańczyk.

A, oto wam chodzi! Nie dla psa kiełbasa – pomyślał Franek i wskazał na szafkę koło biurka.

Starszy z celników wyciągnął butelkę whisky i nie rozpoczęty jeszcze karton papierosów, który bez skrupułów zaczął rozrywać.

- Co ty robisz! To są moje papierosy i nie waż ich się tknąć! – krzyknął z wściekłością Strzelczyk. – Natychmiast połóż je na biurku!

Arab przerwał rozrywanie i posłusznie położył karton na wskazanym miejscu, ale butelkę nadal trzymał. Ostry ton Polaka zbił go z tropu, bo łagodnie zaczął przymilać się z uśmiechem:

- My nie chcemy tobie nic kontrolować, po co się zaraz złościysz. Chciałem tylko zapalić. Ten Niemiec, wasz kapitan, to straszny gbur i nic nam nie dał, ale tak nie może być. Ty jesteś chief i ty musisz nam coś dać. My bardzo lubimy Polaków...

- Tak lubicie, że nawet na ląd nie pozwalacie Polakom wyjść – wtrącił Franek.

- To inne sprawy. Z polityką my nie mamy nic wspólnego. Ja lubię Polaków i ty jesteś w porządku. Zatrzymam tę butelkę jako prezent od statku i wszystko będzie dobrze – przekonywał celnik.

- Nic z tego, bo to jest moja butelka, a nie statkowa – zdecydowanie odparł Strzelczyk.

Do Araba zdawało się to wcale nie docierać. Bezceremonialnie rozpiął kurtkę i zaczął wkładać butelkę do kieszeni.

- Natychmiast połóż to na biurku! – wrzasnął Polak. – Taki z ciebie muzułmanin! Do Allacha się modlisz i alkoholu ci się zachciewa? Koran przecież zabrania picia whisky. Ja chcę być w zgodzie z Allachem i nie dam ci tej butelki. Natychmiast ją połóż!

Te argumenty wyraźnie dotarły i celnik potulnie postawił flaszkę na biurku obok kartonu papierosów.

- To daj mi papierosy, to też jest dobry prezent – nie rezygnował Arab.

- Ty chyba zwariowałaś. Na ląd mnie nie wypuszczasz i jeszcze chcesz, żeby ci za to dawać prezenty.

Nie zwracając uwagi na słowa Franka, celnik tym razem do kieszeni zaczął wpychać papierosy. Nachalność Marokańczyka jeszcze bardziej podenerwowała Polaka. Franek stanął naprzeciw Araba i wydawało się, że za chwilę złapie go za kołnierz i wyrzuci z kabiny.

- Pracujesz tak samo jak ja. Dlaczego ty nie przyszedłeś do mnie z prezentem? – wycodził Strzelczyk przez zaciśnięte zęby. – Jesteś urzędnikiem, czy żebrakiem?

Celnik stanął jak zamurowany, nadal trzymając karton z papierosami.

- Jeśli jesteś żebrakiem, to stań z czapką koło trapu, a wtedy zastanowię się, czy wrzucić do niej jakieś papierosy. Ale teraz połóż to! Natychmiast!

To poskutkowało i karton na powrót znalazł się na biurku. Arabowie zlorzcząc coś po swojemu opuścili kabinę, a Strzelczyk zamknął za sobą drzwi na klucz i wyszedł na rufę, gdzie reszta Polaków czekała na zakończenie odprawy.

- Jakie wieści przynosisz? – zapytał starszy mechanik.

- Niezbyt dobre. Chcieli cię kontrolować celnicy, lecz po kontroli u mnie chyba ci odpuścili. Na ładunek czekamy trzy dni, ale dla Polaków nie ma wyjścia na miasto.

- Chief mówi poważnie? – zdziwił się któryś z marynarzy.

- Jak najbardziej – burknął Franek.

- A dlaczego nie ma wyjścia?

- Dlatego, że Cimoszewicz czy Kwaśniewski, chcąc przypodobać się Hiszpanom, powiedział podczas wizyty w ich kraju, że Ceuta i przyległe tereny na afrykańskiej ziemi są nierozłącznym terytorium Hiszpanii. Gospodarzom oczywiście ten gest się spodobał, ale Marokańczycy w Casablance już drugi rok nie wypuszczają za to Polaków na ład – wybuchnął poirytowany Strzelczyk.

- Ale co ja mam z tym wspólnego? Nawet nie wiem, o co chodzi – protestował Mirek.

- Teraz już masz coś wspólnego, nie będziesz za karę wychodził na ład – ironicznie wtrącił chief.

- Przecież nie jest naszą sprawą rozstrzygnięcie granicznych sporów w Afryce – upierał się przy swoim marynarz.

- Może nasze władze strzeliły gafę, ale Arabowie też nie powinni stosować zbiorowej odpowiedzialności i dyskryminować wszystkich Polaków. To jest naruszanie praw człowieka – głośno zastanawiał się mechanik.

- Przed chwilą Koenig to samo powiedział do imigracji. Niemiec protestował przeciw dyskryminacji Polaków – potwierdził słowa Franek.

- To może nas wypuszczą do miasta?

- Nie, Mirek, nie wypuszczą. Taki protest musieliby złożyć przedstawiciele naszego rządu. Przynajmniej ambasador lub konsul.

- Chief, to dlaczego od dwóch lat jeszcze tego nie zrobili? Przecież do Maroka, na statkach różnych bander, przyplývają rocznie setki polskich marynarzy.

- Mnie o to nie pytaj. Może o tym nasze władze po prostu nie wiedzą.

- Akurat, nie wiedzą! Jak zwykle o Polaka nie ma się kto upomnieć – sarknął A/B.

Przycinek marynarza, mimo że dotyczył przedstawicieli polskich władz, w pewnym stopniu dotknął również Strzelczyka, który tu na statku był przełożonym marynarzy, w dodatku Polaków pod obcą banderą. Na tym punkcie Franek był wyraźnie przeczulony, dbanie o swoich ludzi uważał za święty obowiązek. Mógł nie upomnieć się o swoje, ale w interesach podwładnych nigdy nie popuścił, nie bacząc, że przez to często narażał się swoim zwierzchnikom. Nieraz zastanawiał się nad tym, czy jest to jego cecha charakteru, czy wpływ słów dziadka: - „Rób tak, żebyś zawsze każdemu mógł spojrzeć prosto w oczy, ale zawsze musi to być zgodne z twoim sumieniem” oraz „W swoich sprawach możesz podarować wszystko, ale w czyichś nigdy, nawet brudu za paznokciem”. Ostatnie słowa marynarza wyraźnie uderzyły w tę sferę jego osobowości.

- Spróbuję interweniować w tej sprawie u przedstawicieli polskich władz w Maroku i postaram się dodzwonić do naszego konsulatu lub ambasady. Może o tym nie wiedzą – powiedział po namyśle.

- Ależ, chief, daj spokój! Szkoda nerwów.

- Nie, Mirek, nie! Przecież przed chwilą narzekałeś, że o Polaka nie ma się kto upomnieć – odparł zdecydowanie Strzelczyk i ponownie skierował się w stronę kabiny Koeniga.

- Ja tak tylko powiedziałem. Ja ... – usiłował wycofać swoje słowa A/B.

Franek już ich jednak nie słuchał, energicznie wchodził do nadbudówki. Przypomniiał sobie, że jeden z funkcjonariuszy imigration (służby granicznej) miał telefon komórkowy i postanowił z niego skorzystać.

Tłok w salonie kapitańskim zdawał się być jeszcze większy. Przedstawiciele różnych służb portowych grzebali w najdrobniejszych dokumentach, na próżno usiłując w ten sposób skłonić kapitana, by - dla świętego spokoju - okupił się jakimiś prezentami. Natręctwo Arabów było jednak bezskuteczne, odnosiła wręcz odwrotny skutek. Niemiec stawał się jeszcze bardziej zawzięty i z tym większą pogardą traktował natrętnych urzędników.

- Chief! Dobrze, że jesteś. Ci celnicy chcą jeszcze węszyć po statku. Dopilnuj, by dokładnie dokręcili każdą śrubkę, którą odkręca. Pamiętaj, że z mojego polecenia nikomu nie wolno na statku palić! W żadnym miejscu! – komenderował ostro, rozsierdzony Koenig.

Zrezygnowani celnicy potulnie wyszli za Frankiem na korytarz.

- Co za straszny kapitan, on jest jeszcze gorszy od ciebie. Co za straszny statek. Nie może tak być, żeby nic nie dostać – jęczyli zawiedzeni.

Polak zatrzymał się przy schodach.

- Co chcecie jeszcze kontrolować?

- Pójdziemy do starszego mechanika.

- Na próżno. On wam nic nie da. Butelkę już wypił w morzu, a papierosów, to już absolutnie nie da. Pali tyle, że przez te kilka dni postoju w Casablance jeszcze mu braknie.

Celnicy popatrzyli po sobie z powątpiewaniem.

- Ale ja mogę wam dać, jak mi coś załatwicie – zaczął wolno Strzelczyk.

Błysk radości w oczach Arabów i zainteresowanie, które wyraźnie pojawiło się na ich twarzach, ucieszyło Franka. Jednak, jakby od niechcenia, ciągnął dalej:

- Chciałbym skorzystać z telefonu komórkowego waszego kolegi z imigration, by powiadomić polską ambasadę lub konsulat o tym, że polscy marynarze są dyskryminowani w Casablance. To jest jakaś pomyłka i nasze władze powinny to sprostować. Przecież dla was zabranianie marynarzom wychodzenia na ląd nie jest żadnym interesem, wręcz odwrotnie.

Celnicy z ożywieniem wymienili kilka uwag po arabsku, zrezygnowali z kontroli u starszego mechanika i wrócili do salonu

kapitańskiego po swoich kolegów. Ku zadowoleniu Koeniga, funkcjonariusze obu służb wreszcie podpisali statkowe dokumenty i wyszli za Strzelczykiem na pokład. Teraz była to już tylko ich prywatna sprawa.

Uzgadnianie ceny za wyszukanie numeru do polskiej placówki i użyczenie telefonu trwało dość długo, gdyż każdy z piątki mundurowych Marokańczyków chciał wyciągnąć z tego korzyść dla siebie. Polak wiedział jednak, że nie może dać poznać po sobie, iż zależy mu na odbyciu tej rozmowy.

- Dasz karton papierosów za fatywę dla celników, karton za naszą pomoc i butelkę whisky za koszty połączenia – zaproponował wyglądający na szefa funkcjonariusz Emigration.

- Zwariowałaś? To całkowicie odpada. Ja nawet nie mam tyle papierosów.

- To niech będzie to, co masz, karton i butelka – zdecydował starszy z celników.

- Ale przecież możesz jeszcze, dla każdego po paczce, pożyczyć sobie od swoich kolegów – dorzucił któryś z młodszych Arabów.

- Kawalarz z ciebie – zaśmiał się Franek, zwracając się do młodziana. – Ja już byłem tyle razy w Casablance, że wcale na tym wyjściu do miasta aż tak mi nie zależy. Wiem też, jakie są ceny. Ty chyba kpisz ze mnie. Za kilka dolarów kupię sobie kartę telefoniczną na terenie portu, zadzwonię do ambasady i jeszcze zostaną mi jednostki na rozmowę z domem. Rezygnuję z mojej propozycji, bo traktujecie mnie jak durnia.

Franek zakreślił się na pięcie, jakby chciał odejść.

- Chief, to ile dasz za to połączenie? – zapytał starszy celnik.

- To jest warte ze trzy paczki papierosów, ale dla was jestem przyjacielem i każdemu z was mogę dać po paczce i jedną gratis za połączenie. Ale temu nie dam, bo ze mnie drwi – odpowiedział Polak, wskazując palcem na młodziana, z którym ostatnio rozmawiał.

Teraz propozycja Arabów, wyraźnie niezadowolonych z takiego obrotu sprawy, ograniczyła się tylko do jednego kartona papierosów.

- No dobrze, ale go dam, jeśli otrzymam połączenie z ambasadą lub konsulatem. Gdy nie dojdzie do rozmowy, to nie dostaniecie nic.

Widząc zdecydowanie Polaka Arabowie na to przystali, bojąc się ryzykować utraty obiecanych papierosów. Słuchawka telefoniczna w ręce Franka znalazła się jednak dopiero po dłuższej chwili, potrzebnej na ustalenie numeru polskiej placówki.

- Sekretariat konsula RP – odpowiedział po polsku dźwięczny kobiecy głos, gdy tylko Strzelczyk zdążył się przedstawić. – Pan w jakiej sprawie?

Franek, w dobrej wierze, że przedstawicielstwo być może nie zna zagadnienia, przedstawiał problem z wychodzeniem Polaków na ląd.

- Przecież nic się nie stanie, jeśli nie wyjdziecie do miasta – odparła beztrąsko sekretarka.

Ta odpowiedź Frankiem aż zatrzęsała, jednak, bez tonu oburzenia w głosie, poprosił o połączenie z konsulem.

- Nie będę taką błahą sprawą zabierała cennego czasu pana konsula – zabrzmiała w słuchawce odpowiedź, już nie tak dźwięcznie, jak na wstępie.

- Więzienie w porcie od dwóch lat kilkuset polskich marynarzy pani nazywa błahą sprawą? – wybuchnął Strzelczyk. – Jeśli dyskryminacja tak wielu Polaków jest wam obojętna, to po co wy jesteście w Maroku?

- Ta sprawa jest nam znana i wie o tym również pan ambasador. Nic na to nie poradzimy – odparła cynicznie sekretarka.

- Może jednak połączy mnie pani z konsulem – nalegał Franek, który całą siłą woli starał się stłumić targające nim wzburzenie.

- Szef jest w terenie! Chyba nie sądzi pan, że ambasador lub konsul będzie się narażał w sprawie wyjścia na ląd jakichś marynarzy?

- Teraz już nie sądzę! Pani mnie całkowicie przekonała, że oprócz własnego tyłka nic więcej was nie interesuje – wycedził przez zaciśnięte zęby Strzelczyk i oddał słuchawkę Marokańczykowi.

Arabscy funkcjonariusze o nic już nie pytali, chyba po tonie rozmowy oraz wzburzeniu Polaka całkowicie zrozumieli jej treść. Zadowoleni jednak, że mimo to otrzymali karton papierosów, szybko opuszczali statek.

- Don't worry (nie martw się), Franek – pocieszał Polaka Niemiec, który po wyjściu na pokład usłyszał ostatnie zdanie telefonicznej rozmowy.

Chief wrócił do swojej kabiny i ociężale położył się na kanapce.

- Co za mała? Jaka cholerna baba! Dla niej setki tułających się za chlebem rodaków, uwięzionych w portowej twierdzy, to sprawa „jakichś marynarzy” – mówił cicho sam do siebie, nie mogąc opanować oburzenia.

Leżał krótko. Po chwili podniósł się i podszedł do niewielkiego okna swojej kabiny, wychodzącego na rufę statku.

Dobrze powiedziałem. To rzeczywiście jest portowa twierdza – pomyślał, wyglądając na zewnątrz, bo obraz nie był kojący:

Gruby, biało tynkowany mur, wysoki na kilka metrów, z kilkoma rzędami kolczastego drutu na szczycie, przebiegał zaraz za składowiskiem złomu. Tak potężne umocnienia, odgradzające port od miasta, trudno było gdziekolwiek spotkać. Ogrodzenie i zasieki wyjęte niczym z filmu, pokazującego mury wokół zakładów karnych o zastrzonym rygorze, które całkowicie izolowały od świata na zewnątrz. Armia brudnych i nędznie ubranych robotników szwendała się po złomowisku. Po każdym uniesieniu w górę kolejnej partii złomu dudniły spadające z chwytaka elementy, które dodatkowo, po uderzeniu w żelazne rumowisko przeróżnych odpadów, unosiły całe kłęby kurzu. Po otwarciu grejby nad ładowanym statkiem było jeszcze gorzej. Pojawiał się istny obłok rdzawego pyłu, z którego wypadają stalowe elementy. Ich huk po spadnięciu do ładowni natychmiast podrywał nowe tumany kurzu, które długo jeszcze unosiły się nad statkiem. Wydawało się, że upał i prawie stojące powietrze, jakby same podrywały pył.

Muszą już brać prawie ze spodu hałdy, skoro z grejby wypada aż tyle piachu i kurzu – rozważał Strzelczyk.

- Głupia baba – burknął pod nosem. – Będzie mówiła – „przecież nic się nie stanie, jak nie wyjdziecie do miasta”.

Pewnie, że nic się nie stanie! Ciekawe, co by ta pindzia powiedziała, gdyby to ją, po dniach zamknięcia w stalowej skorupie statku, uwięzić teraz w tak parszywym miejscu? – pomyślał rozgorzyczony.

...

Franek zamknął dokładnie lufcik, by kurz nie dostawał się do środka i wyszedł na pokład. Tu nie było już jednak nikogo z załogi. W okolicy trapu siedział jedynie arabski watchman, którego zadaniem było pilnowanie statku przed miejscowymi złodziejami.

Na widok zbliżającego się Polaka Arab podniósł się niezwłocznie i już z daleka zaczął kłaniać się unieźnionie, kierując swe kroki na spotkanie z Frankiem.

- Ja dobry watchman. Nikogo nie wpuszczę i ani oka nie zmruję przez całą noc. Chief, czy kucharz może dać coś zjeść, ja bardzo głodny. Dużo jeść to dużo siły, wszyscy się bać – sepleniał mocno podstarzały wartownik.

Arab zaczął machać dużą drewnianą pałą i robiąc groźne miny, demonstrował swoją sprawność.

- I pies też pilnuje – powiedział z dumą, wskazując na równie wychudzonego wilczurę, który leżał obok trapu na nabrzeżu. – On nie lubi Arab – cmoknął z uznaniem.

Strzelcykowi zrobiło się żal starego człowieka, którego wyniszczona postać i zapadnięte policzki były najlepszym świadectwem, że naprawdę jest głodny.

- Kucharz zaraz da ci coś zjeść. Idę mu to powiedzieć.

- I dla psa, i dla psa – prosił watchman.

- Dla psa też dostaniesz. Poczekaj chwilę.

Franek wszedł do przylegającej do kuchni mesy załogowej. Siedzieli tam prawie wszyscy Polacy.

- Wojtek, daj coś do jedzenia watchmanowi i przygotuj też coś dla jego psa.

- Co mam mu dać?

- Obojętnie co, byle dużo. I pies, i pan wyglądają, jakby od tygodnia nic nie jedli. Może zostało ci coś z obiadu?

- Zostało, ale wieprzowiny Arabi nie jedzą. Kielbasa też jest wieprzowa. Co mu dam? – z pretensją w głosie pytał kucharz.

- Daj co masz, byle szybko i dużo! Ten zje wszystko – ponaglał Franek.

- Wojtek, nie marudź, tylko rób! – włączył się z poparciem mechanik.

- Idę, idę! Wcale nie marudzę – oponował kucharz.

- I co powiesz, chief? Nic z tego nie wyszło? – nieśmiało zagadnął Mirek. – Koenig mówił nam, że ten telefon bardzo cię zdenerwował.

- Dobrze mówił! Świętego by to ruszyło. Do końca postoju siedzimy w porcie, bo ktoś tam nie chce się narażać – padła szorstka odpowiedź.

Franek nie chciał teraz opowiadać szczegółów, więc udał się za kucharzem. Na szczęście w kuchni została jeszcze kasza i sporo pieczeni z obiadu.

- Na ten pęknięty talerz, który miałem właśnie wyrzucić, nałożę trochę kaszy dla psa i te tłuste kawały mięsa, a chudszą wieprzowinę podam na drugim dla watchmana – zdecydował cook.

- Bardzo dobre rozwiązanie – pochwalił chief.

Po kilku minutach oba kopiaste talerze z jedzeniem znalazły się w sąsiedztwie trapu na rufie, gdzie znajdowała się solidna drewniana ława, a płaska obudowa urządzeń spełniała funkcję stołu przy kawie na pokładzie.

- Ten talerz jest dla ciebie, a to daj swojemu psu. Tylko nie wpuszczaj go na pokład, lecz daj mu na nabrzeżu – wskazał wartownikowi Strzelczyk.

Arab przysunął oba talerze do siebie i łąpczywie popatrzył na ich zawartość.

- To jest krowa, czy świnia? – zapytał niepewnie.

- To krowa! Muuu, muuu – objaśniał Polak, przykładając sobie ręce do głowy, z wysuniętymi palcami, które miały demonstrować rogi.

Arab uśmiechnął się w pełni usatysfakcjonowany.

- Psu dam później – stwierdził watchman i ochoczo zabrał się za jedzenie.

Franek postanowił jeszcze raz sprawdzić zacumowanie i bezpieczeństwo na pokładzie. Skierował się w stronę dziobu. Szybko zachodzące słońce nie dawało już spiekoty, a świeża bryza od morza zwiewała w przeciwną stronę od „Coral Sea” tumany

kurzu i pyłu z ładowanych obok statków. Jedyne łoskot spadającego złomu, po każdym otwarciu grejby, zdawał się być coraz bardziej donośny. Po upewnieniu się, że marynarze o wszystkim pamiętali, uspokojony wracał na rufę. Gdy tylko wyszedł zza nadbudówki, zaintrygowało go zachowanie Araba. Wartownik, trzymając w brudnych rękach kawały tłuszczu z psiego talerza, pożerał je łapczywie, a tłuszcz spływał mu po palcach i brodzie.

- Dobra krowa, dobra krowa, muuu, muuu – powtarzał, widząc Polaka i uśmiechał się radośnie. – To jest za dobre dla psa. Wystarczy mu kasza, ale jak okłamałeś, że to krowa, to ty masz grzech u Allacha - dodał.

Franek spędził jeszcze chwilę koło watchmana, ustalił, w jaki sposób ma on alarmować, gdyby zaszła konieczność i na powrót skierował się w stronę mesy.

W środku siedzieli wszyscy, łącznie z Koenigiem.

- Udał się nam ten wartownik – zwrócił się w stronę kapitana Strzelczyk. – Zajadał całe kawały słoniny przeznaczone dla psa i chwalił, że dobra krowa.

Polak opowiedział, jak ta sytuacja wyglądała.

- Stary cwaniak, próbuje oszukać Allacha, ale dobrze wie, że to wieprzowina – spuentował Niemiec.

- Być może, ale bez wątpienia był bardzo głodny – zgodził się Franek.

- To co chief, wyznaczamy wachty całodobowe na pokładzie, tak jak wtedy, gdy byliśmy tu razem na poprzednim statku – polecał pojednawczo Koenig.

- Tak, to jest sprawdzony sposób – przytaknął Polak i po chwili dodał: – Teraz kontrola będzie jeszcze pełniejsza, bo i tak, oprócz ciebie, nikt nie ma wyjścia.

- Więc nic w ambasadzie nie wskórałeś? – zapytał Niemiec, jakby od niechcienia.

- Nie w ambasadzie, lecz w konsulacie – sprostował Polak. - Ale to nie ma większego znaczenia. Powiedzieli, że my nie musimy wychodzić, bo oni nie chcą się narażać. Coś w tym stylu.

Koenig ze zrozumieniem pokiwał tylko głową.

- Władza dla ludu – bąknął pod nosem i dodał głośno: – Chief, ustal wszystko z wachtami, a ja idę zatelefonować i na krótki spacer. Szkoda, że nie ma twego słynnego roweru, bo po tak długim czasie już chyba w Casablance o nim zapomnieli. Mógłbym teraz na nim spokojnie jeździć – żartował na pożegnanie Johann.

Chyba zapomnieli – zadumał się Franek, przypominając sobie aresztowanie roweru.

...

Na „Coral Sea” pozostali tylko Polacy i miejscowy watchman w sąsiedztwie trapu. Po ustaleniu wacht wszyscy jakiś czas siedzieli w mesie i z rozgoryczeniem komentowali swój przymusowy pobyt na statku.

- A może wybierzemy się na spacer po porcie? Czy jest ktoś chętny? – zaproponował Franek. – Może spotkamy jakichś Polaków?

Pomysł z zadowoleniem przyjął tylko główny mechanik. Zelent postanowił napisać wreszcie list do żony, a marynarze spacer odłożyli na jutro.

- Wychodzi na to, że nam, jako najstarszym wiekiem, najbardziej jest potrzebny wieczorny spacer – zaśmiał się mechanik.

Strzelczyk z chiefem inżynierem (przełożonym wszystkich mechaników) przeszli na nabrzeża sąsiedniego basenu, w którym ruch był znacznie większy. Tu odbywały się bowiem przeładunki cytrusów, zbóż, kontenerów i różnorodnych ładunków paletyzowanych, z których się nie kurzyło tak, jak w ich basenie.

Chłodniejsza wieczorna pora wyzwalała jakąś dodatkową energię. Po dziennej spiekocie w znacznie większym stopniu dopingowała do działania. Nie zawsze była to jednak wydajna i zorganizowana praca. Wielu miejscowych robotników swój przyływ energii spożytkowywało na wzmożone dysputy, przekrzykiwania lub demonstrowanie jakichś czynności, najlepszych według nich na wykonanie pracy, którą w końcu najczęściej wykonywał zupełnie ktoś inny.

- Ruch jak w mrowisku – zauważył starszy mechanik.

- Józek, masz rację, ale w wielu miejscach jest to raczej ruch w mrowisku po włożeniu kija. Spójrz chociażby na tę hałdę cytrusowych skrzynek przed chłodnicowcem.

Chief mechanik popatrzył we wskazanym kierunku.

W wielkiej pryzmie z wysoko poukładanych skrzynek przewrócił się cały bok i z dziesiątek opakowań rozsypały się owoce. Tłumy ludzi z krzykiem i w chaosie zbierały porzucane pomarańcze, zapewne z poleceniem uporządkowania placu i zabezpieczeniu pryzmy przed przewracaniem następnych warstw. Z każdą chwilą plac przypominał jednak coraz większe pobojuwisko. Przewracały się nowe sterty, a góra rozsypanych owoców i połamanych skrzynek, zamiast się zmniejszać, ciągle się rozszerzała. Coraz bardziej wzrastał również krzyk i rwetes w tej części nabrzeża. Jakby było mało tego zamieszania, to jeszcze nadjechały dwie ciężarówki wypełnione po brzegi policjantami. Ubrani w kolorze khaki stróże prawa rozpierzchli się po pobojuwisku, co natychmiast zaowocowało jeszcze większym poziomem decybeli arabskiego krzyku.

- Co tu jest grane? Popatrzmy chwilę – zaproponował mechanik.

- Dobrze, ale na wszelki wypadek odsuńmy się bardziej na bok – zgodził się Franek.

Polacy odeszli kilka kroków i zajęli dobry punkt obserwacyjny. Obraz zniszczenia był przerażający.

- Co tu jest grane? – ponowił pytanie główny mechanik.

- To, co widać. Jedni mają polecenie zbierać i zabezpieczać owoce, drudzy im pomagają w nadziei otrzymania przy tym zatrudnienia, inni ich pilnują, a jeszcze inni podprowadzają towar na bok. Najciekawsze jest to, że to zamieszanie wszystkim jest na rękę.

- Przecież to ogromne marnotrawstwo!

- Marnotrawstwo jest, bez wątpienia, ale z tych na placu każdy pozornie na tym zyskuje:

Dla robotników przy załadunku wydłuża się czas pracy, przez co więcej zarabiają, a dodatkowo jest okazja do podprowadzenia pomarańcz i najedzenia się do woli.

Dla setek bezrobotnych, którzy każdego dnia są wpuszczani do portu jako rezerwa do pracy na każde zawołanie, jest to możliwość

zatrudnienia, bo w przeciwnym razie nie otrzymają żadnego wynagrodzenia.

Są też i tacy, którzy nie liczą ani na jedno, ani na drugie, a ich zainteresowanie sprowadza się wyłącznie do szmuglu i kradzieży. Czy tacy mogą mieć lepszą po temu sytuację niż ta?

- No dobrze, Franek, ale co tu robi policja? Jest jej tak dużo! Dlaczego wpuszczają do portu aż tyle postronnych osób? Tego zupełnie nie rozumiem! Zobacz, w tym zamieszaniu na placu trudno jest teraz rozróżnić, kto jest kto.

- Tu wszyscy mają swój interes. To ciekawa sprawa, zadziałało bowiem swoiste prawo Parkinsona. Okazało się, że dla policjantów ta kraksa ze skrzynkami też jest na rękę. Strażnicy porządku również na tym zyskują...

- Coś tu nie gra. To paranoja! Chyba ci się pokręciło? – przerwał głośno mechanik.

- Nic mi się nie pokręciło. W tym wielkim porcie czteromilionowego miasta zatrudnionych są setki policjantów. Każdy taki przypadek tylko dobitnie uzasadnia potrzebę ich funkcjonowania. Przy okazji, z tej wywrotki na placu, do nich też trafiają pomarańcze, chociaż akurat jest to najmniej istotne. Ważniejsze jest, że wielu z tych, co szabrowali lub pomagali w przewracaniu skrzynek, będzie musiało teraz zapłacić bakszysz. Nie zawsze muszą to być pieniądze. To są wzajemne zależności i powiązania dające wszystkim jakieś profity, mimo że ekonomicznie rzeczywiście jest to paranoja. Poza tym, tu jest zupełnie inna mentalność.

Pierwszy przyłot do Buenos

(wspomnienie po wylądowaniu w Buenos Aires)

Wracając z Antarktydy wylądowałem w Buenos, był wczesny. Gdy tylko odebrałem bagaże i przeszedłem przez kontrolne wieczór bramki, od razu dostrzegłem wywieszkę: „Józef

Wójcik zgłoś się do Biura Informacji”. Była też strzałka, gdzie iść. Dziś już nie pamiętam, czy było to po polsku, czy po angielsku. Na pewno nie było to po hiszpańsku.

Szedłem we wskazanym kierunku. Po drodze widziałem jeszcze kilka tych samych ogłoszeń, było również przy samym biurze. Podeszedłem do okienka i wskazując na ogłoszenie powiedziałem, że ja jestem tą wymienioną osobą. Ponieważ przedstawiłem się po angielsku, również w tym języku otrzymałem odpowiedź:

- Wszystko wiem. Zadzwońię po kierowcę, który na pana czeka.

Po krótkim czasie zjawił się jegomość w dostojnej, służbowej liberii. Po kilku słowach z panią z offisu przedstawił się, że jest kierowcą prof. Jose Skowrona i że ma zawieźć mnie do hotelu. Nie pozwolił, bym niósł swoje bagaże, wziął je i poszliśmy do samochodu. Była to elegancka limuzyna.

Z lotniska do hotelu jechaliśmy ponad pół godziny. Po drodze w rozmowie z kierowcą dowiedziałem się reszty:

Boss przysłał mnie po pana z Montevideo, bo sam nie mógł przyjechać. Mam teraz zawieźć pana do hotelu i wracam z powrotem do Urugwaju. Boss ma zarezerwowany apartament obok i przyjedzie jeszcze dziś koło północy lub najpóźniej jutro z samego rana.

Przyznam, że byłem tym wszystkim zaskoczony od samego początku. Najpierw te wywieszone informacje na lotnisku, gdzie mam się zgłosić, potem kierowca w dostojnej liberii i luksusowa limuzyna, ale najbardziej zdziwiło mnie, że samochód przyjechał po mnie aż z Urugwaju.

-To wcale niedaleko – wyjaśniał kierowca. – Trzeba tylko przejechać promem przez La Platę.

- Ale to jest z dwieście kilometrów – zauważyłem.

- Trochę więcej, bo po skosie – uzupełnił kierowca kuzyna. – W Buenos miałem jeszcze kilka spraw do załatwienia.

To ostatnie stwierdzenie trochę mnie uspokoiło, bo nigdy nie lubiłem przysparzać komuś kłopotów.

...

Portier w hotelu był uprzedzony o moim przyjeździe. Z wielką uprzejmością zabrał prawie wszystkie moje bagaże i windą podwioził do pokoju i dał mi klucze. Zanim zjechał na dół, wskazał sąsiednie drzwi i wyjaśnił, że tuż po sąsiedzku apartament w hotelu na stałe wynajmuje Jose Skowron i że będzie tu przed północą. Spojrzałem na zegarek; było dopiero po dziewiątej, więc miałem jeszcze sporo czasu.

Najpierw się rozlokowałem, powyciągałem z bagażu to, co będzie potrzebne i wzięłem prysznic. Wieczne widoki z okna, z palmami i bujną zielenią, w rozświetlonym iluminacjami wielkim mieście, po trzech kolejnych wyprawach na Antarktydę wprost nie pozwalały usiedzieć w hotelowym pokoju. Nadal do spodziewanego przyjazdu kuzyna było trochę czasu, więc nie chciałem go marnować na czekanie.

Zjechałem windą na dół. Po krótkiej rozmowie z portierem w recepcji, jak to w zwyczaju bywa, chciałem zostawić klucz, ale portier poradził, bym go miał przy sobie.

- Jakże mógłbym zapomnieć, że kuzyn Jose Skowrona wyszedł na miasto. Gdy tylko pan profesor przybędzie, natychmiast go o tym powiadomię – uprzejmie informował pan z recepcji. – U nas po angielsku ciężko się dogadać, ludzie Anglików nie lubią, więc na breloczku klucza jest nazwa hotelu. Gdyby się pan zgubił, lepiej zaznaczyć: „I am Polaco. Where is this Hotel?”

- Oki doki – uśmiechnąłem się do życzliwego Argentyńczyka – Na wszelki wypadek w nocy będę się pytał o drogę najpierw po francusku.

- Niech pan najpierw zaczyna po polsku, bo śp. papieża Jana Pawła II wszyscy u nas poważają, a Polaków lubią. Potem to już język nie ma znaczenia.

Po wyjściu przed hotel najpierw rozglądałem się w około, by zapamiętać miejsce. Utwierdziłem się, że nazwa na breloczku zgadza się z tą nad wejściem. W prawo trochę pod górę biegła gęsto zabudowana ulica, raczej boczna. Z kolei w lewo, lekko w dół, tuż za rogiem biegła szeroka aleja z rzęsiście oświetlonym placem. Tam się skierowałem. Po ponad dwóch miesiącach w klimacie

subarktycznym i arktycznym, który też mnie zachwycał czymś niezwykle, czymś, czego trudno sobie wyobrazić, teraz oddychałem letnim polskim powietrzem. Nawet palmy nie wydawały mi się obce. Z zadowoleniem odetchnąłem pełną piersią.

Rzeczywiście jest tu takie dobre, jakby europejskie powietrze. Nie na darmo nazwa Buenos Aires – pomyślałem - takie prawie polskie wieczorne powietrze w pełni lata.

Ale u nas jest już grudniowa zima – zaskoczyłem po chwili.

Mój wieczorny spacer nie był jednak zbyt długi. Mimo że przed wyjściem podałem portierowi hotelu mój numer komórki, by natychmiast dzwonił po przyjeździe Józefa Skowrona, to jednak byłoby nietaktem z mojej strony szwendać się w tym czasie po mieście. Po około pół godzinie byłem z powrotem w recepcji. Pod nieobecność innych hotelowych gości portier był skory do rozmowy. W zasadzie to ja mu odpowiadałem skąd, co i w jakich okolicznościach tu się znalazłem, ale sam również wiele się dowiedziałem. Portier dobrze znał mego kuzyna i był pewien, że za kilkanaście minut powinien już być.

Z Józefem Skowronem do tej pory nigdy się nie spotkałem. Wprawdzie mama mówiła, że kilka razy był w Polsce na Targach Poznańskich i w Książnicach, ale dziwnym trafem mnie wtedy nie było. Wiedziałem tylko, że to najmłodszy syn wujka Antoniego. Michała już wcześniej poznałem i to do niego dzwoniłem z Ushuai, że odwiedzę go w Buenos. Z dawnych rozmów zapamiętałem, że Michał miał tu jakiś herbaciany biznes. Dokładnie nie wiedziałem, czy było to przetwórstwo herbaty, składy, czy jakieś biura. Zapamiętałem jedynie, że na dachu tej herbacianej firmy było lądowisko śmigłowców i że Michał jako pilot latał helikopterem między Buenos i Campo Viera, gdzie miał dużą hacjendę. Przyznam, że ten przelot helikopterem gdzieś tam do miejscowości w okolicy Obera był dla mnie mocno kuszący. Michał podał mi numer telefonu i adres mailowy do brata Józefa i powiedział, że to właśnie brat odbierze mnie po przylocie. Po niespodziankach na lotnisku, informacjach od kierowcy i portiera hotelu z ciekawością oczekiwałem na to spotkanie. Koło jedenastej najpierw zadzwonił hotelowy telefon:

- Józef, nie śpisz jeszcze? – po głosie poznałem kuzyna.
- Jakbym mógł spać, czekałem na twój przyjazd.
- Jestem na dole w recepcji i zaraz będę u ciebie...

Po kilku minutach po raz pierwszy bezpośrednio twarzą w twarz poznałem drugiego kuzyna urodzonego w Argentynie. Jose przyniósł butelkę dobrego wina i jak się wkrótce okazało, był nie tylko znawcą w tej branży, ale też eksporterem win na cały świat z Argentyny, Urugwaju i Brazylii. Po raz kolejny od wylądowania w Buenos byłem zaskoczony, bo wcześniej o tym nic nie wiedziałem. W rozmowie na odległość tysięcy kilometrów najczęściej nie wiadomo, o co pytać, a ja nie lubiłem być wścibskim. Teraz przy butelce wina w spokoju można było porozmawiać i nawzajem się poznać.

- Byłem profesorem historii na Uniwersytecie w Buenos, początkowo nawet lubiłem tę pracę, ale gdy Michał pozrywał kontrakty z Angolami i ich sojusznikami, gdy zgłosił się jako pilot w wojnie o Malwiny, postanowiłem mu pomóc i wesprzeć go albo nawet na jakiś czas zastąpić w biznesie herbaty. To było znacznie więcej pieniędzy niż na Uniwersytecie. Tak się zaczęło, a potem już do pracy na uczelni nie wróciłem ...

- To podobnie jak ja. Przez siedemnaście lat byłem wykładowcą w Akademii Morskiej, a potem za dobre pieniądze poszedłem pływać pod obce bandery ...

Długośmy jeszcze rozmawiali, aż w końcu doszliśmy do wniosku, że z rana wypoczęci powrócimy do rozmowy.

Tango Argentina

(też z pierwszego pobytu w Buenos Aires podczas powrotu z Antarktydy)

Hotelowy portier poinformował mnie przez telefon, że za około pięć minut przyjedzie samochód, by zabrać mnie do Tango Argentina. W zasadzie byłem już gotowy, więc zaraz windą

zjechałem na dół. Po kilku zdaniach zamienionych z portierem do recepcji podszedł młody człowiek z jakąś listą. Był to kierowca niewielkiego busika, który przyjechał po mnie. W następnym hotelu zgodnie z listą dosiadło się małżeństwo ze Szwajcarii, a w następnym kierowca zabrał jeszcze dwie Amerykanki, bo ich mężowie mieli czekać przy wejściu Tango Argentina. W tej krótkiej kilkunastominutowej trasie zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić i każdy wiedział, kto jest skąd. Z opinii, głównie moich współpasażerek, wynikało, że jedziemy na wspaniały spektakl do takiej perełki Buenos, którą będąc tu koniecznie należy zaliczyć. Dla jakby trochę rozeznanego w realiach zacytowałem słowa kuzyna: „Tango Argentina jest tym w Buenos, co karnawał w Rio de Janeiro”. Amerykanki ochoczo to potwierdziły.

Dojechaliśmy na miejsce. Z rozpiski kierowcy wynikało, że siedzimy wspólnie, bo po zakończeniu imprezy łatwiej będzie nas razem pozbierać i odwieźć do sąsiednich hoteli. Wyglądało na to, że na cały wieczór będę miał do rozmowy to towarzystwo, w którym wiekowo byłem raczej dinozaurem.

Przed okazałym budynkiem z wielką nazwą **Tango Argentina** było już tłoczno. Mimo że słońce ledwo co skryło się za sąsiednimi budynkami, działały iluminacje świetlne. Mężowie moich amerykańskich sąsiadek pojawili się elegancko ubrani i „pod muchami”. Dużo par wchodziło też w eleganckich kreacjach. Znaczna część była jednak ubrana tak jak ja – turystycznie i po sportowemu.

Do wejścia, gdzie sprawdzano dokumenty rezerwacyjne listy gości podeszliśmy całą naszą grupką. Amerykanom obecność odhaczyli, Szwajcarom też, a mnie zatrzymali. Na liście byłem, ale wpłaty w papierach nie mieli odnotowanej i zażądali, bym zapłacił sto kilkadziesiąt dolarów.

- Ja tę sumę zapłaciłem w hotelu – odparłem.

- Nie jest zapłacone i albo pan płaci, albo nie wejdzie.

Moi znajomi przysłuchiwali się rozmowie i przez chwilę na mnie czekali. Widząc ich miny zwątpienia poczułem się upokorzony i wściekły. Zażądałem, by natychmiast zadzwonili do hotelu. Chcąc nie chcąc powstała afera. Do „bramkarzy” podszedł jakiś facet z

kierownictwa. Wyjaśniłem mu sytuację i powiedziałem, że to dla mnie upokorzenie i obelga, bo moje międzynarodowe towarzystwo weźmie mnie za krętacza i człowieka, któremu nie można ufać.

Po telefonie do hotelu zostało potwierdzone, że taką sumę zapłaciłem.

- I'm very sorry if Tango Argentina upset you ... (bardzo przepraszam, że Tango Argentina pana upokorzyło)

Należę do niepokornych ludzi, więc te urzędowe przeprosiny mi nie wystarczyły.

- Ale co pomyślą o mnie Amerykanie i Szwajcarzy, z którymi przyjechałem?

- Nadrobimy to i przeprosimy – padła odpowiedź.

Zostały odnotowane moje dane, które podałem w mix języku: Jozef Franczesko Wojcik, Polaco.

Przywołana stewardesa zaprowadziła mnie do towarzystwa, z którym tu przyjechałem. Opowiedziałem im o tej pomyłce i w zasadzie nadal wszystko było w porządku. Siedziałem z Amerykanami przy dużym stole na sześć osób, a obok przy mniejszym byli Szwajcarzy.

Na ogromnej sali zastawione stoły, wino, muzyka i pierwsze występy. Profesjonalni tancerze prezentowali argentyńskie tango, śpiewali soliści i grali wirtuozi na narodowych instrumentach. Po prostu muzyka, taniec i śpiew przy suto zastawionych stołach. Po prezentacji profesjonalistów za chwilę miał się odbyć krótki kurs nauki argentyńskiego tanga. Przez mikrofony na tej wielkiej sali padły słowa: „w przeproszeniu za nieporozumienie z biletem na scenę zapraszamy: Jozef Franczesko Wojcik, Polaco” (cytat z pamięci).

Wstałem i pokazałem się, gdzie jestem. Tancerka zbiegła ze sceny i podeszła, by mnie tam ze sobą zabrać. Amerykanki aż otwały buzie z wrażenia, co sfotografował Szwajcar. Szkoda, że te zdjęcia przepadły, gdy w Internecie padł fotoalbum eu, ale na szczęście kilka zdjęć jeszcze się zachowało.

Nie spodziewałem się tak oficjalnych przeprosin.



Przyznam, że gdy znalazłem się w reflektorach na dużej scenie, przed wielką międzynarodową publicznością, jako adept do nauki argentyńskiego tanga, to w pierwszej chwili zwątpiłem w słuszność tych przeprosin. Na szczęście tancerz „mojej partnerki” poprosił jakąś dziewczynę z sali, więc nie byłem sam do tego tanecznego eksperymentu.

I zaczęło się! Najpierw wyjaśnienie rytmu: - wolny, wolny, szybki, szybki, wolny, szybki, szybki, wolny. Na całość liczenia składają się trzy takty.

Profesjonalna para tancerzy w zwolnionym rytmie zademonstrowała kroki. Początkowo nie mogłem tego liczenia załapać, ale obserwując moją partnerkę starałem się dostosować. I chyba zaskoczyłem, bo dziewczyna kręciła ewolucje „to tu, to tam”, a ja wcale nie deptałem jej po nogach, a wręcz odwrotnie. Tancerka kokietowała mnie swoimi wdziękami i umiejętnościami, a ja w ekspresji zauroczenia jakbym zastanawiał się, gdzie ją porwać. Nie dostrzegałem już dziesiątków oczu na wielkiej sali.

Prezentacja nauki się skończyła. Przy rześzystych brawach tancerka odprowadziła mnie do stolika.

- Ja bym chyba posikała się z wrażenia przy takiej publiczności – pierwsze słowa przy stoliku usłyszałem od pyskatej

Amerykanki – Ta dziewczyna z sali całkiem się pogubiła, a ty pokazałeś klasę naszego stolika.

- Jak to możliwe, że światła reflektorów i występ przed tak liczną publicznością potrafiłeś opanować? – zapytał mąż drugiej Amerykanki.

- Hmm – uśmiechnąłem się, bo rzeczywiście byłem bardzo zadowolony z tego, co się stało. – Jestem kapitanem marynarki handlowej. Teraz wracam do domu po trzech wyprawach na Antarktydę, gdzie jako staff captain na kanadyjskim statku pasażerskim w ekstremalne warunki wiele razy musiałem występować na różnych imprezach w observation lounge przed międzynarodową publicznością pasażerów. Czasem również tańczyć...

- Łał! – tak mogę przetłumaczyć to, co usłyszałem od Amerykanów i Szwajcarów, którzy już dostawili krzesła do naszego stołu.

Tak naprawdę to dopiero teraz zaczynały się główne występy w Tango Argentyna. Występowali soliści z przepięknymi głosami, wirtuozi gry na tradycyjnych instrumentach, a przede wszystkim były popisy grup tanecznych z różnymi wersjami tego narodowego tańca. Na scenie można było odczytać taneczne kłótnie małżonków i namiętne tańce kochanków, którzy szukali miejsca, gdzie by tu oddalić się w zapomnienie. Na sali co rusz odzywały się wielkie, wielkie brawa.

Suto zastawione na początku stoły nie wymagały, by jeszcze coś donosić do jedzenia. Kelnerska obsługa dbała jednak, by nie brakowało wina i przekąsek w myśl zasady - wino, taniec, muzyka i śpiew. Nasze towarzystwo z racji mojego występu było jakby pod specjalnym nadzorem. Jeden z naszych Amerykanów zachwycony sytuacją doszedł do wniosku, że tak wspaniały wieczór należy uczcić czymś mocniejszym i ekstra zamówił butelkę z najwyższej półki.

Gdy grubo po północy wracaliśmy busikiem do naszych hoteli, wszyscy mieli szampańskie nastroje i lekko w czubie.

Z Gwinei, Gambii i Sycylii

(Tu rozmowa samego z sobą: Józek, Franek i Stanley, a że w tej wymyślonej rozmowie przedstawiającej fakty ze wspomnień uczestniczy żona Franka, więc niech będzie Kasią)

Parę lat temu płynęliśmy w górę wielkiej rzeki w Gwinei. Szeroko rozlana rzeka była też bardzo głęboka, bo mając 11 metrów zanurzenia szliśmy po niej z prędkością cała naprzód. Płynęliśmy do portu Kamsar, którego w ogóle nie można było znaleźć na mapach. Jak się później okazało, był to tylko terminal do załadunku rudy żelaza wydobywanej tam z odkrywki oraz kilka potężnych zbiorników Shella. Płynąc w górę rzeki po obu stronach widziałem rozciągającą się dżunglę, bez śladów jakichkolwiek osad. Pod koniec podróży po prawej stronie z mostka zauważyłem niewielkie pagórki pokryte kokosowymi palmami. Gdy zacumowaliśmy przy terminalu, dowiedziałem się, że Kamsar to małe miasteczko leżące jeszcze z pięć kilometrów w górę rzeki. Gdy wyszedłem na ląd, postanowiłem dojść do tych porośniętych palmami wzgórz. Mając na uwadze uprzednie doświadczenia z Banjul w Gambii, gdzie dla zegarka i paru dolarów złodzieje pokiereszowali całe przedramię ochraniającego nas policjanta, udając się w dżunglę kamery nie zabrałem.

- Czy wychodząc w tej Gambii musieliście aż brać ochroniarzy? - zapytała Kasia.

- Nie my, lecz statek, może źle się wyraziłem. W większości państw afrykańskich - i nie tylko - przeważnie tam, gdzie jest duże złodziejstwo, statki dodatkowo są ochraniające przez jednego, a większe i przez trzech stróżów-policjantów. Poprawna nazwa to watchman lub policeman-watchman. Niekiedy są to policjanci mundurowi. W Banjul właśnie ochraniało nas trzech mundurowych uzbrojonych w długie, ozdobne pały z twardego jak stal i ciężkiego drzewa.

- I można takim czymś uderzyć? To prawie jak maczuga - wtrącił Stan.

- Rzeczywiście. Nie na darmo służy jako uzbrojenie.

- Wyobrażam sobie takie uderzenie. Od razu połamane kości – dorzucił Franek.

- Zacząłem od Gwinei, a utknąłem w Gambii – wtrąciłem z uśmiechem.

- Teraz już musisz dokończyć o tym policjancie, a potem wrócimy do dżungli – zdecydowała Kasia.

Nie protestowałem.

- Niech będzie i tak – kiwnąłem głową.

Po krótkim zastanowieniu ciągnąłem dalej:

- W tym Banjul, po obiedzie, mimo ostrzeżeń wziąłem kamerę i z radiooficerem poszliśmy trochę połązić. Jak na stolicę państwa przystało, znaleźliśmy nawet jeden supermarket o standardzie europejskim, oczywiście ze strażnikami wewnątrz. Chcąc wziąć koszyk i wejść do środka, należało zostawić wszelkie siatki i bagaże. Ponieważ żądali również zostawienia torby z kamerą, i nie wiadomo co by dalej z nią się stało, z zakupów zrezygnowaliśmy. Na głównej arterii stolicy można było spotkać tyle samo samochodów, co spacerujących kur. Boczne ulice przypominały mi slumsy z Bombaju. Na końcu głównej ulicy znajdował się piękny egzotyczny park, z masywnym ogrodzeniem wewnątrz i liczną strażą. Była tam siedziba władz. Pałac prezydencki mieścił się pomiędzy asfaltową drogą i rozległą plażą, rozlanej na kilka kilometrów rzeki Gambii, której drugiego brzegu prawie nie było widać.

- Co do wielkości czwarta rzeka świata – uzupełnił Stan.

Poszliśmy dalej asfaltową drogą, a po minięciu ogrodzeń prezydenckiej rezydencji skręciliśmy na plażę, skąd dochodziło się do luksusowego kompleksu hotelowego „Atlantic”. Rzeczywiście było tam pięknie: wspaniała plaża, korty tenisowe, baseny z błękitną wodą otoczone murzyńskimi chatkami i bary. Po skwarze tropiku z przyjemnością chłodziliśmy się w klimatyzowanej restauracji, popijając zimne piwo. Po powrocie na statek nasze opowiadanie o klimatyzowanym barze z europejskim standardem musiało być sugestywne, skoro grecki kapitan, który w zasadzie piwa nie pijał, po roztoczonej przez nas wizji klimatyzowanego baru zdecydował się pójść w nasze ślady. Jednemu z pilnujących nas policjantów

poleciał, by przywołał mu taksówkę. Od burty statku do szerokiej bramy portowej wychodzącej wprost na główną ulicę Banjul było zaledwie kilkadziesiąt metrów. Tropikalne słońce właśnie tonęło w nurtach wielkiej rzeki, gdy Grek w towarzystwie ochroniarza wychodził do taksówki. Wróciłem do mesy. Po kilku minutach za plecami usłyszałem podniecony głos kapitana:

- Mate, come and help this policeman (Kolego, chodź, pomóż temu policjantowi).

Odwrociłem się i zobaczyłem kapitana podtrzymującego mocno zakrwawionego policjanta.

- Co się stało? - zapytałem.

Dochodząc do taksówki Grek i policjant zostali napadnięci przez trzech zbirów. Jeden ze złodziei ciosem noża w przedramię policjanta udaremnił mu użycia ciężkiej pały. Drugi przyłożył nóż do gardła kapitana, a trzeci, dodatkowo asekurując się nożem, obszukiwał kieszenie i odpiął zegarek. Na szczęście cwany Grek zabrał tylko pięćdziesiąt dolarów i stary zegarek, a wartościowego Rolexa zostawił w kabinie.

Pokrwawionego Murzyna zabrałem do statkowego szpitala. Przemylem i zdezynfekowałem obrażenia. Przedramię było szeroko rozcięte nożem i wymagało szwów. Zamierzałem wezwać lekarza z lądu, ale gdy strażnik to posłyszał, gwałtownie zaprotestował. Obawiał się utraty pracy. Nie było innego wyjścia, tylko samemu trzeba było zabrać się za zakładanie szwów. Na statku, jako drugi oficer, pełniłem funkcję oficera sanitarnego. Wyposażenie medyczne było dobre i mieliśmy nawet salę operacyjną z całym kompletnym narzędzi. Znalazłem potrzebne materiały i przystąpiłem do zakładania szwów. Założenie kilku „ścigów” poszło mi dość sprawnie. Czarna nitka na czarnej skórze wyglądała zupełnie przyzwoicie. Nie wiem tylko, jakie były dalsze losy pacjenta, bo następnego dnia wyszliśmy w morze.

Tego wieczoru jeszcze jedna osoba wracając na statek została obrabowana z pieniędzy i zegarka, ale na szczęście obeszło się bez skaleczeń.

- Ja bym się nie odważył zszywać komuś rany - głośno rozważał Franek.

- Gdyby nie byłoby innego wyjścia, na pewno byś się odważył. Ja wtedy nie miałem wyboru. Z opatrywaniem różnych ran miałem już wcześniej do czynienia. Trzeciemu mechanikowi na Oceanie Indyjskim zszywałem ucho, potem w morzu wyciągałem mu szwy. Niekiedy takie są realia statku. Człowiek nie będąc lekarzem, jedynie po niewielkim przeszkoleniu medycznym, czasem musi borykać się z różnymi przypadkami.

- Jeśli na statku nie ma lekarza, to powinna przynajmniej być pielęgniarka - zauważyła Kasia.

- O tak, z całą pewnością! I to nie tylko z czysto medycznych powodów - odpowiedziałem z uśmiechem.

- Ja mówiłam zupełnie poważnie.

- Prawda. Ja też całkiem poważnie na to odpowiedziałem.

- Ach, z tymi mężczyznami – machnęła ręką gospodyni.

Zapanowało krótkie milczenie.

- Zaczynałeś od dżungli – przypomniał Stan.

- No tak, od Kamsar, bo na tym utknęło moje opowiadanie. Mając właśnie w pamięci świeże wspomnienia z bandyckich napadów w Gambii, wychodząc samotnie w dżunglę, nie odważyłem się na zabranie kamery, w myśl zasady - przezorny zawsze ubezpieczony. Wziąłem ze sobą jedynie: stary elektroniczny zegarek, który pokazywał tylko górną połowę cyfr i w zasadzie godziny trzeba było się domyślać, najtańszy aparat fotograficzny „Smiena” i pięć dolarów. Do niewielkiej torby przez ramię włożyłem szczyryk, trochę sznurka, coś do zjedzenia i picia oraz na wszelki wypadek parę upominków, takich jak: mydło, maszynka i krem do golenia, parę żyletek. W sumie niewielka torba była prawie pusta.

Skierowałem się w dół rzeki i najkrótszą drogą przez dżunglę starałem się dojść do wzgórz. Z trudem pokonałem płataninę chaszczy, ale jakieś bagna i rozlewiska wodne po około dwudziestu minutach zagroziły mi drogę. Wycofałem się, na powrót zbliżając do rzeki. Grzbietem między bagnami wyraźnie przebiegała niewielka ścieżka. Na mule zauważyłem ludzkie ślady, które nie wyglądały jednak na świeże. Mała ich ilość świadczyła, że ścieżka wykorzystywana była sporadycznie. Na pagórku dostrzegłem kopce

termitów. Zrobiłem kilka zdjęć i poszedłem dalej. Znow byłem blisko bagien. W płytkiej, mulistej wodzie roiło się od różnego rodzaju krabów, które zakopywały się w mule, gdy się zbliżałem. Ścieżka prowadziła skrajem bagien, miejscami po piaszczystych łąkach, ale śladów stóp już nie zauważyłem, musiały je zmyć padające wcześniej deszcze. Niezbyt wysokie bagienne zarośla z lewej strony i wysokie na suchym terenie z prawej w końcu ustąpiły, odsłaniając mi rozległe ryżowiska. W oddali zobaczyłem porośnięte palmami wzgórze. Ścieżka biegnąca groblą między ryżowiskami prowadziła właśnie w ich stronę.

- No to miałeś nosa - wtrącił Stan.

- Ja bym się w życiu nie odważyła sama iść w dżunglę - dorzuciła Kasia.

- I słusznie, gdybym był kobietą, też bałbym się ludożerców - zażartowałem.

- Masz rację, Joe. Tacy, gdyby kobietę złapali, to nie wiadomo, co by mogli zrobić, ale zjeść mogliby na pewno - wsparł mnie Stan.

- To nie są żarty. A gdyby coś się stało lub jakieś ukąszenie, to co wtedy? - obstawała przy swoim Kasia.

- Na szczęście nic się nie stało i główną groblą zbliżałem się do wzgórz. Dziurami w grobli od czasu do czasu przelewała się woda i sącząc się między trawami pozostawiała uwięzione tam duże ilości kolorowych rybek, które trzepocząc się próbowały przepłynąć z jednego poziomu na drugi. Stada różnych ptaków polujących na nie wskazywały każdą dziurę. Pola sprawiały wrażenie opuszczonych. Między palmami zauważyłem okrągłe murzyńskie chaty.

Szedłem dalej. Ścieżka wchodziła pomiędzy chaty zrobione z liści palmowych. Zatrzymałem się na skraju i głośno krzyknąłem po angielsku: „Jest tu ktoś”? Cisza. Powtórzyłem to samo po francusku i też nic. Postąłem chwilę nasłuchując odpowiedzi lub ujadania psów. W ręce trzymałem mocny kij, który wyciąłem zaraz w pierwszych zaroślach po opuszczeniu statku. Panującą ciszę zakłócał tylko śpiew ptaków.

Przeszedłem między chatami do końca wioski. Kilkanaście palmowych domków wyglądało na niezamieszkałe. Drewniane klatki służące za kurniki też były puste. Na nowo zawróciłem w głąb wioski. Odchylając wejściowe maty po kolei wchodziłem do kilku domków. Oprócz palenisk, miejsc do spania i do siedzenia nie zawierały niczego. W niektórych chatach stały jeszcze gliniane naczynia, wisząca tu i ówdzie pajęczyna wskazywała, że dawno nikogo tu nie było. Na otaczających wioskę palmach wisały całe grona dojrzałych orzechów. Kilka kęp bananowców ugięło się od owoców. Pośrodku wioski stała chata trochę większa od innych. Na drewnianej ławie pozostawiłem zabrane prezenty i dopiero wtedy spokojnie zabrałem się do degustacji bananów. Były niezbyt duże, ale za to bardzo słodkie. Penetrując dalej wioskę znalazłem dwie krótkie drabiny. Związałem je razem i przystawiłem do najniższej palmy, ale mimo to drabina dostawała tylko do długich zwisających liści. Wchodząc po potężnym liściu udało mi się w końcu dostać do kokosów. Odciałem kilka orzechów i tą samą drogą zszedłem na dół, by w spokoju uraczyć się mleczkiem kokosowym. Po pożywieniu obfotografowałem wioskę. Obchodząc ją w koło znalazłem jeszcze małą rzeczkę, która przepływała obok wioski i wciągniętą na brzeg łódź.

Kokosami wypełniłem torbę i wkrótce rozpocząłem powrót. Niczego się nie obawiałem, bo przecież pozostawiłem prezenty. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego wioska była opuszczona. Bardzo żałowałem, że nie zabrałem jednak kamery, bo było co utrwać.

- Wiedziałem, że jesteś turystą, Joe, ale nie wiedziałem, że aż do tego stopnia - podsumował Stan na skończenie opowiadania.

- Po prostu staram się wykorzystać mój zawód. Myślę, że teraz właśnie powinienem już wracać na statek.

- Masz jeszcze czas, nie martw się, Franek cię odwiezie. Opowiedz jeszcze jakąś historię, gdy nie brałeś kamery - nalegała Kasia.

W rzeczywistości nie musiałem się spieszyć.

- No dobrze, ale tylko jedną i krótką - zdecydowałem.

...

Staliśmy na Sycylii. Piękna słoneczna pogoda zachęcała do spaceru. Na wyspie oprócz czynnych wulkanów w wielu miejscach przez pęknięcia skalne na zewnątrz wydostaje się dym. Z daleka wygląda to tak, jak gdyby ktoś palił ognisko w pieczarze, używając pęknięć skalnych za komin. Już wchodząc do portu, wysoko na zboczu góry zauważyłem dym. Sycylijski pilot potwierdził, że to dymi ziemia. Następnego dnia postanowiłem zobaczyć to zjawisko. Widząc z dołu wysokie góry i strome zbocza, kamery nie zabrałem.

Zaraz po obiedzie wyruszyłem w stronę owego dymu. Zbocze góry porośnięte było dużymi kolczastymi kaktusami. Wszedłem prawie w kaktusową dżunglę. Ogromne, wysokie na kilka metrów kolczaste gąszcze otaczało mnie ze wszystkich stron. Przeciskając się pomiędzy kolcami dotarłem do pionowej skały. Do wydobywającego się z wnętrza ziemi dymu było już niedaleko, ale pionowej skały w żaden sposób nie mogłem sforsować. Starając się ją obejść krążyłem w kaktusowej gęstwinie, ale na próżno, bo wejścia do góry nie znalazłem. Na domiar złego zgubiłem drogę powrotną i co rusz trafiałem na przepastne urwiska również w dół. Z godzinę błądziłem po kaktusowym lesie i byłem już w strachu, bo zbliżał się zmierzch. W końcu udało mi się znaleźć jakieś przejście, ale dymiąca ziemia pozostała dla mnie zagadką. Wieczorem, cały podrapany przez kaktusowe kolce, wróciłem na statek.

Śmierć Mamusi

(Wspomnienie, którego nigdy nie zapomnę, byłem wtedy na norweskim statku)

Są zdarzenia niezwykle i nie do wytłumaczenia. Śmierć Mamy też to potwierdza.

Przez mój umysł przeleciało wspomnienie pamiętnej nocy na Zatoce Biskajskiej wiosną 2008. Były to dziwne słowa, które dźwięczą mi w uszach do tej pory.

- Matko boleściwa – usłyszałem, gdy ze snu poderwał mnie sygnał telefonu komórkowego.

Te dziwne słowa smutnym głosem wypowiadała moja Mama. Nie miałem wątpliwości, że to Ona. Zapytałem odruchowo:

- Mamusia?

- Matko boleściwa – bardziej ciężkim głosem padła ta sama odpowiedź. Zatrwożyłem się trochę, bo Mama nigdy w ten sposób nie mówiła. Pomyślałem, że Mama może słabo mnie słyszy.

- Mamusiu, bardzo dobrze Cię słyszę! Mów, co u Ciebie. – zapewniałem głośno. - Jak się czujesz?

- O Matko Boleściwa – ze smutkiem westchnęła Mama i rozmowa się urwała.

Chciałem od razu oddzwonić na ten sam numer, ale gdy zacząłem poszukiwać go w komórce, moje palce przebierały tylko w powietrzu, bo przy uchu wcale nie miałem telefonu. Dopiero teraz to sobie uzmysłowiłem. Rozglądałem się po kabinie. Światło z przedśionka do toalety delikatnie rozświetlało półmrok. Siedziałem na swojej koi balansując rękami w powietrzu za telefonem, który spokojnie leżał na biurku. Byliśmy tak daleko od brzegów, że o zasięgu sygnału nie mogło być nawet mowy. Sprawdziłem, która godzina i zapisałem ją na kartce.

Potem zacząłem się modlić. Ocierając łzy odsuwałem z myśli „wieczne odpoczywanie”, które ciągle w głowie się kotłowało. Modlitwa o zdrowie nie wiadomo dlaczego, wydała mi się jakoś nie na miejscu.

- Pani Jasnogórska, Mateńko kochana, miej w opiece moją biedną Mamę, szeptałem, a łzy kapały na podłogę. - W Twojej intencji modlę się, Mamusiu. Bądź dzielna – wybrałem między „wieczne odpoczywanie” a prośbą o zdrowie, bo to wydało mi się najbardziej właściwe.

Po przyjeździe na wachtę opowiedziałem o tym wydarzeniu. Podczas obiadu dyskutowała o tym już cała załoga, bo wszyscy wiedzieli, że kilka dni wcześniej moją Mamę, gdy jechała na rowerze, potrącił pijany kierowca i że czeka ją operacja.

Po trzech dniach zbliżaliśmy się do Gibraltaru. Z niepokojem wyczekiwałem na wejście w zasięg komórki. Było już po południu, gdy w telefonie pojawił się słaby sygnał z Maroka. Był coraz mocniejszy i po chwili dodzwoniłem się do siostry w Mielcu.

- Co u Mamy? – zacząłem od pytania.

Siostra powiedziała, że godzinę temu właśnie zakończyła się ceremonia pogrzebowa.

- Mama zmarła trzy dni temu. Byłeś na oceanie, nie było z tobą kontaktu, więc nie przesuwalimy pogrzebu...

Byłem zdruzgotany tą wiadomością, bo jeszcze się łudziłem, że ten dziwny telefon mógł oznaczać wybudzenie się z pooperacyjnej narkozy.

- O której Mama zmarła?

- Nad ranem. Powiadomili nas przed ósmą...

- Ja wiedziałem wcześniej przed wami. Dokładnie o trzeciej siedemnaście...

- Skąd wiesz?

- Mama skontaktowała się ze mną na pożegnanie. Zadzwoiła do mnie.

- Niemożliwe! Przecież była w śpiączce...

- A jednak możliwe – odparłem przez łzy.

Łamiącym się głosem pokrótce opowiedziałem siostrze o tym dziwnym telefonie. Rozkleiłem się na dobre i niewiele mogłem już więcej powiedzieć.

- Przecież Mamusia nigdy nie była na oceanie. Jak Ona znalazła mnie na Biskajach? – łkałem wtedy, nie mogąc powstrzymać wzruszenia.

PRZEMYCENIE ŻONY

(Żona była zemną na kilku statkach. Ta sytuacja zdarzyła się w Szczecinie, siedem lat po transformacji, na niemieckim statku ze szwedzkim kapitanem, gdzie ja byłem chiefem)

Po długim pobycie w morzu każde wejście do polskiego portu oczekiwane jest z utęsknieniem przez wszystkich marynarzy. Na statkach pod obcą banderą nie często się to zdarza. Ja „na saksach” jakoś nie miałem szczęścia w zawijaniu do ojczystego kraju. Jednak te trzy razy na przestrzeni prawie dziesięciu lat

zapamiętałem dobrze. Gdy je sobie przypominam, jest mi wstyd, z pokorą zwieszam głowę. I choć nie brak było elementów komicznych, nigdy nie było mi do śmiechu. Może dlatego, że to samo życie - nasza polska rzeczywistość.

Moje rozstanie z rodziną nie było jeszcze zbyt długie, zaledwie dwa miesiące, ale dla niektórych było znacznie dłuższe, ponad pół roku. Po jesieni i zimie spędzonej głównie w Zachodniej Afryce i na Morzu Śródziemnym statek wpłynął na Bałtyk. Już w portach niemieckich czuliśmy się jak w domu i większość załogi najbliżsi odwiedzili. Jednak prawdziwy najazd rodzin zapowiadał się dopiero na Szczecin.

Wreszcie przyszedł upragniony czas. Płyniemy do Polski!

Po informacji kapitana Westermana telefony poszły w ruch. Rodziny zostały dokładnie poinformowane o dniu wejścia do portu i orientacyjnym czasie zacumowania. Musieli być wcześniej, bo rozładunek kamienia trwał krótko, a każde spóźnienie to strata cennego czasu spotkania.

- Musimy jak najszybciej wysłać do władz portowych listę osób, które przyjdą do załogi w odwiedziny. Bez niej na bramie nikogo nie wpuszczą – przestrzegali ci, którzy wchodzili w ubiegłym roku do polskiego portu.

- To u nas jeszcze takie praktyki są stosowane? – zdziwiłem się zaskoczony.

Po dziesiątkach europejskich portów, gdzie wszędzie można było wchodzić bez problemów, nasze zarządzenia wydawały się co najmniej anachroniczne. Nawet za miedzą, w portach po byłej NRD, słynących z najlepszych zasieków i kontroli, dawno już zlikwidowano wszystkie utrudnienia. Rodziny bez żadnych problemów podejżdżają tam samochodami pod sam statek, co najwyżej pytając, gdzie stoi.

W siedem lat po transformacji systemu ani na krok nie odeszliśmy od komunistycznych nawyków – zastanawiałem się, robiąc listę. Jeszcze nie wiedziałem, że tamte praktyki zdążyliśmy znacznie udoskonalić w złym kierunku.

- Chief, wpisuj każdą osobę, która prawdopodobnie może przyjechać. Lepiej niech na liście będzie więcej osób, niż żeby ktoś

jechał przez pół Polski i później stał na bramie – uprzedzali doświadczeni w temacie.

Po skończeniu lista członków rodzin była obszerna.

Jak ja to wytłumaczyć Szwedowi? – zastanawiałem się idąc do kapitana. – Co mu powiem? Że zrobiłem listę na zapas, bo poza nią nikogo z rodziny nie wpuszczą? Nawet żony Andrzeja, jeśli tylko zdecyduje się ona przyjechać z południa Polski!

Westerman rzeczywiście był mocno zdziwiony. W pierwszej chwili nie uwierzył, że w Polsce mogą być takie zarządzenia.

- Chief, pewny jesteś, że taka lista jest wymagana na dobę przed wejściem statku? – zapytał Szwed niedowierzająco.

- Ja jeszcze nigdy nie wchodziłem do portu handlowego w Szczecinie statkiem pod obcą banderą, ale takie były wymagania w ubiegłym roku - odpowiedziałem, sam mając wątpliwości, czy to możliwe.

Dla pewności kapitan poprosił na mostek starszego mechanika. Był on ze Szczecina i już kilka razy wchodził wcześniej na tym statku do polskiego portu.

- Takie uregulowania były w ubiegłym roku – potwierdził zdecydowanie mechanik.

Kapitan niezwłocznie skontaktował się przez radiotelefon ze statkowym agentem. Zaskoczenie okazało się jeszcze większe, bo okazało się, że lista powinna być przesłana faksem.

- My na statku nie mamy tego urzędnika i w kamieniołomach w Loten też mogą być trudności - przekonywał Szwed.

Agent w tej sytuacji zgodził się na podyktowanie listy przez radiotelefon. Kłopoty kapitana z wymową polskich nazwisk sprawiły, że robiłem to sam.

- Co za idiota wymyślił coś takiego? I jeszcze przesyłać faksem! - zapytałem agenta na zakończenie.

- Ja tego nie wymyśliłem. Takie są w porcie zarządzenia, a faks w dobie postępu to żaden problem – odpowiedział polski agent.

- Panie! Takiego biurokratycznego postępu nie widziałem nawet u Arabów! – odpowiedziałem oburzony. Przypomniałem

sobie, że ostatni raz listę załogi dawałem strażnikowi na bramie właśnie w którymś z państw arabskich.

Kapitan znalazł faks w Loten i dodatkowo wysłał jeszcze listę do Szczecina wraz z innymi informacjami.

Dochodziliśmy do szczecińskiego portu, z utęsknieniem wypatrując naszych najbliższych.

- Na nabrzeżu nie ma nikogo! – denerwował się Andrzej. Jego żona miała przyjechać aż z rzeszowskiego. Nie widział jej od siedmiu miesięcy.

- Może czekają za magazynem albo na bramie mylnie podali im nabrzeże – pocieszałem nie tylko podenerwowanego marynarza, ale i siebie, bo też wypatrywałem własnej żony.

Zacumowaliśmy na mocno, został podany trap, a tu ciągle pustki. Załoga rozglądała się wypatrując najbliższych w coraz większym zdenerwowaniu.

- Co się mogło stać? – pytał jeden drugiego.

Podjechanie pod statek trzech samochodów - Straży Granicznej, celników i agenta – było nadzieją na szybkie wyjaśnienie sytuacji.

- Rodziny czekają na bramie – zakomunikował agent. – Zostaną wpuszczeni, jak tylko dostarczę strażnikowi listę po zakończeniu odprawy statku.

Cała wataha osób weszła do salonu kapitańskiego na odprawę, a na statek po trapie zaczęli również wchodzić dokerzy, by rozpocząć rozładunek.

Byliśmy zbulwersowani!

- Ta banda na odprawie musi się najpierw za darmo najeść, napić, potem sobie zapalać, a my będziemy czekać jak idioci! – złościł się Andrzej. – Takie coś może być tylko w Polsce! Chief, załatw coś! – ponaglał podekscytowany marynarz.

- Zaraz się tym zajmę, ale wpierw wyjaśnię to nieporozumienie

z dokerami. – odpowiedziałem niemniej poirytowany od kolegi.

Żądania ekipy rozładunkowej doprowadzały mnie do szału. Brygadzysta zakomunikował mi, że w kontrakcie mają zagwarantowane, iż należy im się od statku trzy butelki wódki.

- Chief, nie zaczniemy robić, jak nam tego nie zagwarantujesz! – wręcz szantażował mnie brygadzysta, a cała ekipa jego ludzi usiadła spokojnie na rufie.

- Niech te flaszki od razu przyniesie, bo inaczej nie robimy – doradzał któryś z dokerów.

- Co za humoryści! Może zamówić wam jeszcze orkiestrę i dziewczynki do tańca? Wyście to słyszeli? - zwróciłem się do swoich marynarzy.

- Dla mnie możecie nic nie robić! – wrzasnąłem na brygadzystę, dorzucając kilka słów oburzenia najbardziej zrozumiałych w porcie.

Brygada niewiele tym się przejęła. Twardo stali na stanowisku, że trzy butelki mają zagwarantowane umową.

- Nie ma flaszek, to nie robimy i czekamy na agenta – postanowili zgodnie.

- I bardzo dobrze! Przynajmniej dłużej postoiemy w polskim porcie. To mi się nawet podoba – odparłem śmiejąc się ironicznie. – Mirek! Jak panowie będą chcieli pospać, to dajcie im stare materace – powiedziałem wesoło do starszego marynarza.

Postanowiłem tę sprawę wyjaśnić z agentem, który nadal siedział u kapitana. Przy okazji chciałem również przypomnieć mu o wpuszczeniu rodzin.

Agent potwierdził, że brygada trzy butelki wódki ma zagwarantowane przez Niemców, bo dla nich ten kamień jest rozładowywany. Ta informacja najbardziej zmartwiła Szweda.

- Mate, skąd ja im wezmę trzy butelki? Mam tylko jedną. Może zorganizujesz mi te dwie wśród załogi? – zapytał mnie Westerman.

- Nie będzie problemu - odpowiedziałem. – Przyciśnij tylko agenta, by jak najszybciej udał się na bramę, bo rodziny załogi nadal tam czekają. Marynarze niepotrzebnie się denerwują, a ja najpierw muszę rozmówić się z dokerami.

W obecności celników i funkcjonariuszy Służby Granicznej ponagliłem agenta w sprawie wpuszczenia rodzin. Zapewnienie, że wkrótce wchodzi na statek odebrałem całkiem dosłownie. W pośpiechu udałem się więc na rufę rozstrzygnąć problem z

dokerami. Ponieważ na statku odpowiadałem za koordynację rozładunku, dlatego szybkie jego rozpoczęcie pozwoliłoby mi na zajęcie się innymi sprawami i powitanie z żoną.

- Proszę panów! – odezwałem się głośno do dokerów. – Wprawdzie agent potwierdził, że obiecał wam trzy flaszki wódki, ale na statku kapitan ma tylko jedną i wybijcie sobie z głowy, że ją dostaniecie przed skończeniem pracy!

- To granda! Nam się należą trzy! – krzyknął robotnik siedzący na rufowym polderze.

- Zrobimy jedną trzecią, a resztę zostawimy – zaproponował inny.

- Za jedną butelkę, to zostawimy panu tyle kamienia w ładowni, że załoga przez trzy dni się z tym nie wyrobi – znów próbował szantażować brygadzista.

- Przestań pan pierdolić! – odezwałem się ostro, przekleństwem podpierając wagę wypowiedzi. – Nie robi pan żadnej łaski! Za wyładunek dostaje pan pieniądze i macie zapłacone za wyładowanie każdego kamyka! Wszystko w ładowni należy do Niemca, który was wynajął. Ja pański szantaż mam daleko w dupie! Jeśli cokolwiek w ładowni zostanie, to będziecie robić tak długo aż skończycie! Wcześniej nie będzie podpisany żaden dokument. Najwyżej nie dostaniecie zapłaty, a pracę dokończy kto inny.

Szemrania wśród dokerów i nietęgę miny, do niedawna tak dzielnych pracowników, przekonały mnie o zbliżającym się porozumieniu.

- Flaszkę, a nawet trzy, bo dwie Szwed mi odda, możecie dostać dopiero po sprzątnięciu wszystkiego. Ładownia musi lśnić dokładnie pozamiatana. Panie – zwróciłem się do brygadzisty – niech pan mnie nie straszy, bo jak nie będzie dokładnie ładownia sprzątnięta, to nie dostanie pan nic. Żeby dostać pieniądze za wyładunek, to musi pan pozbierać co do kamyka. Trzy flaszki to możecie panowie dostać dopiero, jak będzie elegancko posprzątane i jak ja to sprawdzę.

- A może da nam pan choć jedną na początek? Będzie się lepiej robić – przymilał się któryś z robotników.

- Panie brygadziście! Żadnej flaszki teraz nie będzie, bo ja nie mam zamiaru odpowiadać za wasze bezpieczeństwo. Chcecie mieć pieniądze, to kamienie musicie pozbierać, a zamiatać wcale nie musicie. Za trzy flaszki, a nawet za jedną, elegancko pozamiata w morzu załoga – dodałem zdecydowanie.

Teraz nie było już żadnej dyskusji. Któryś z pracowników zapytał tylko z obawą w głosie:

- Ale jak będzie elegancko posprzątane, to pan da te trzy butelki?

- Tak! Dam, ale jak będzie elegancko posprzątane – powtórzyłem za dokerem.

Ruszył wyładunek. Teraz całą energię mogłem skierować na sprawę rodzin nadal czekających przed bramą.

- To skandal! Oni tam wszyscy muszą czekać, aż agent dostarczy listę opieczętowaną przez celników po zakończeniu odprawy. Chief, załatw to jakoś, bo ta odprawa nadal siedzi spokojnie u kapitana i mają wszystko gdzieś – denerwował się Andrzej, który na rowerze wrócił właśnie spod bramy, odległej o jakieś pół kilometra.

- Przyjechała twoja żona? – zapytałem, wiedząc jak bardzo Andrzej przeżywał jej wizytę, bo pierwszy raz w życiu miała zobaczyć statek.

- Tak! Przyjechała! – odkrzyknął uradowany, jakby zapominając, że wciąż stoi przed bramą.

- A moją żonę widziałeś? – zapytałem niepewnie.

- Tak, widziałem. Też czeka.

Z furią wpadłem do kapitańskiego salonu.

- Sorry captain. Crew family all the time waiting near the gate because customs keep this fucken list. One moment! – przeprosiłem kapitana za nagłe wtargnięcie, wyjaśniając pokrótce jego powód.

- Panowie, czy wy nie macie sumienia?! Żona jednego z marynarzy jechała przez całą Polskę, aż z rzeszowskiego, by zobaczyć się z mężem po siedmiu miesiącach, a teraz jak głupia czeka na bramie, bo na jakiejś liście nie ma waszej pieczętki. Czy załatwienie tego jest aż tak wielkim problemem?

Było problemem. Teraz dopiero okazało się, że lista jest w sekretariacie placówki celnej, której budynek było widać z kapitańskiego salonu. Ponieważ przez ponad pół godziny odprawiający nie zdążyli jeszcze podpisać żadnego dokumentu, pijąc w spokoju kapitańskie piwo i musieli jeszcze to zrobić, więc dla przyspieszenia podjąłem się pojechać rowerem po listę do sekretariatu, a następnie na bramę.

W sekretariacie pani odesłała mnie do jakiegoś szefa, temu znów musiałem wyjaśniać dlaczego ten pośpiech i przy okazji dowiedziałem się, że takie trudności są dlatego, że w porcie giną metale kolorowe.

- Panie naczelniku, to śmieszne! Czy sądzi pan, że żona do męża z południa Polski, albo moja z Gdyni jedzie po to, by kraść w porcie miedziane kable?

Jak już go przekonałem, odesłał mnie do jednego z młodszych celników, który dopiero wyszukał listę i zaczął ją stemplować. Ja dalej ponaglałem podając powody.

- Niepotrzebnie aż tyle zdenerwowania – odpowiedział spokojnie celnik. – Dałyby strażnikowi po pięć złotych od łebka i już dawno byłyby na statku.

I jakie to proste! – pomyślałem. – Przecież jesteśmy w Polsce.

Ponad godzinę po zacumowaniu, zmęczone podróżą i bezsensownym czekaniem przed bramą, kobiety i dzieci wreszcie szczęśliwe znalazły się na pokładzie.

Były też i łzy radości:

- Andrzej – szlochąca młoda kobieta z rzeszowskiego – już myślałam, że przyjechałam i cię nie zobaczę. Tak bardzo się bałam! Nawet na bramie, jak cię zobaczyłam, to jeszcze nie mogłam uwierzyć. Tak szybko odjechałeś na tym rowerze. To była cała wieczność!

Słowa te usłyszałem mimochodem, witając się z własną żoną. Młoda kobieta nie była w stanie ukrywać swego uczucia, a jej szloch i łzy ciekące po uśmiechniętej twarzy, tylko na chwilę zaabsorbowały moją uwagę. Rozumiałem wszystko.

Danusia też tak się zachowywała, gdy po ośmiu miesiącach rozłąki witaliśmy się przed laty w Burgas – pomyślałem, patrząc na swoją żonę i mocno wtuliłem ją w ramiona.

Tylko porozmawialiśmy o najważniejszych sprawach. Danusia przyjechała z zamiarem popłynięcia do Loten, więc mieliśmy dużo czasu. Spokojnie zaczęła urządzać się w mojej kabinie, a ja mogłem wrócić na pokład i doglądać wszystkiego. Andrzeja do końca postoju zwolniłem od wszelkich prac, a Mirek z Darkiem byli na zmianę do dyspozycji. Zanośli się w sumie na około sześć godzin rozładunku.

Sądziłem, że po problemach z dokerami i listą na bramie, teraz wszystko pójdzie jak z płatka. Nawet przez moment nie przypuszczałem, ile rzeczy może się jeszcze wydarzyć. Rzeczywistość przerosła najśmielsze oczekiwania.

Najpierw wynikła sprawa śmieci:

Nie było ich wiele, zaledwie jeden lekki worek, wyłącznie plastikowych opakowań. Krótkie przejścia morzem i nieliczna załoga nigdy nie powodowały kłopotów z odpadami. W portach zawsze gdzieś na nabrzeżu można było znaleźć kontener na śmiecie, a w morzu resztkami z kuchni dokarmiono ryby. Bardzo przestrzegałem jednak, by za burtę nigdy nie wyrzucano żadnych plastików. Cała załoga była na to mocno wyczulona. Ponieważ plastikowe śmiecie przez dziesiątki lat nie rozkładają się, to każde ich wyrzucenie zaśmieca morze nawet dla prawnuków.

Wysłałem Darka, by rozglądnął się po nabrzeżu, gdzie jest kontener na odpady.

- Chief, tu nigdzie nie można wyrzucać śmieci. W porcie nie znalazłem żadnego śmietnika – zameldował po powrocie marynarz.

Statki, które dłużej stoją i mają liczne załogi, zamawiają kontener, ale my mamy tylko jeden worek. Co z nim zrobić? – rozważałem. – Ktoś z miejscowych na pewno będzie zorientowany.

Zapytałem brygadzystę, ten z kolei przywołał z lądu jakiegoś robotnika.

- To jest człowiek zajmujący się śmieciami – przedstawił brygadzista. – On panu wszystko powie co i jak.

Pan od śmieci wszedł na pokład, a ja przedstawiłem mu całą sprawę.

- Nie ma problemu, zaraz przyślę kontener. Będzie kosztowało sto dolarów!

- Zwariował pan! Ja mam tylko jeden lekki worek!

- To pana sprawa, ile jest śmieci. Cena usługi wynosi sto dolarów – pouczał starszy śmietnikowy.

- Zupełny dom wariatów! – zwróciłem się do Darka. – Moja córka jako lekarka w Akademii Medycznej w Gdańsku, z dodatkiem dla pracownika naukowego, dostaje za miesiąc pracy sześćset złotych, a on chce trzysta pięćdziesiąt za wyrzucenie worka śmieci! Całkowita parodia! – mówiłem oburzony. - Z tego wynika, że miesięczna praca lekarza w Polsce nie jest warta nawet dwóch worków śmieci!

- Panie! Za sto dolarów to któryś z marynarzy z chęcią wyniesie worek do śmietnika w centrum Szczecina. W dodatku cała załoga będzie zadowolona, bo wróci z workiem piwa, które kupi za połowę tej ceny – przedstawiałem obrazowo.

- Chief, co się znów stało – zapytał kapitan, który przechodząc w pobliżu dostrzegł moje wzburzenie w rozmowie z pracownikiem portu.

- Nic strasznego. Chcą sto dolarów za podstawienie kontenera po worek śmieci – wyjaśniałem Szwedowi.

- Ten worek mogę wyrzucić za karton piwa – łamaną angielszczyzną przymilał się Polak od śmieci.

- Chief, możesz mu dać za to sześć piw, jeśli masz. Ja ci oddam, bo wszystko co miałem, wypili celnicy na odprawie – skwitował Westerman.

- Słyszał pan jak zdecydował kapitan?

- Panie chief! Dziesięć i zaraz podjeżdżam taczka – próbował jeszcze targować się szczecinianin.

- Ten worek marynarze wyrzucą za dwa dni na śmietnik w Szwecji. Do widzenia panu – odpowiedziałem zdecydowanie.

Facetowi od śmieci chyba żal się zrobiło straty nawet tych sześciu piw, więc polecił na skargę do kapitana, że chief nie chce mu wydać obiecanych przez niego butelek.

- Mate, jak masz, to daj mu te sześć piw i niech ucieka, bo inaczej to ja go wyrzucę! – zwrócił się do mnie podenerwowany natrętnym żebractwem Westerman.

Gdy taczka z workiem i sześcioma piwami odjechała znów trochę się uspokoiło.

Mam chwilę wolnego czasu, to może pójdę do Urzędu Celnego i na wszelki wypadek sprawdzę, czy nie trzeba wypełnić jakichś dodatkowych formalności na zamustrowanie żony – pomyślałem.

Wziąłem od Danusi paszport i ponownie udałem się do budynku celnego. Urzędnik ledwo wziął do ręki paszport, tylko zerknął na okładkę i zawyrokował:

- Żona nie może z panem popłynąć, bo ma stary paszport.

- W paszporcie jest pieczętka z datą ważności do 1997 – grzecznie oponowałem.

Urzędnik zwrócił paszport okładką w moją stronę.

- Nie widzi pan, że orzeł nie ma korony?

Orzełek rzeczywiście nie miał korony, ale przypomniałem sobie, że żona płynęła ostatnio ze mną do Szkocji z koroną oficjalnie doklejaną w paszporcie przez Urząd Paszportowy.

- Korona była doklejana i może się odkleiła. Zupełnie tego nie zauważyłem – tłumaczyłem pokornie.

Urzędnik otworzył dokument.

- Paszport jest nieważny, jest już w środku przedziurkowany i żona na pewno otrzymała nowy – stwierdził pokazując wnętrze.

Byłem zdruzgotany, urzędnik miał rację.

- O Boże – westchnąłem. – Musiała kobieta tego nie zauważyć.

- Popłynie innym razem – odparł beztrząsco urzędnik.

- Ale gdyby nie te dwie dziurki i korona, to paszport byłby ważny – łapałem się ostatniej deski ratunku.

Do pomieszczenia wszedł młody celnik, którego wcześniejsza uwaga „daliby strażnikowi po pięć złotych ...” świadczyła, że nie jest formalistą. Dostrzegłem cień nadziei i do niego dodatkowo zwróciłem się po poradę.

- Paszport jednak zdecydowanie jest nieważny – zawyrokowali obaj celnicy. – Wprawdzie pieczętka ważności rzeczywiście jest do 1997, ale do państw Demokracji Ludowej, a tych już nie ma.

To mnie jeszcze bardziej dobiło.

- Proszę panów, my płyniemy w zasadzie ze Szczecina do Szczecina, po drodze dobijając tylko do szwedzkiej wyspy na której nawet nie widziałem domów. Przecież ten zapis o Państwach Demokracji Ludowej nie przeszkadzał, by w ubiegłym roku żona płynęła z Niemiec do Szwecji, następnie Szkocji i znów do Niemiec. Wtedy był to jedyny oficjalny paszport. Czy nikt tego nie może załatwić? – zapytałem bezradnie.

- My nie, bo to do nas nie należy. Jeśli Straż Graniczna zgodzi się i da jakieś zaświadczenie, to żaden problem.

Znów zaświtał cień nadziei!

Co sił w nogach pedałowaliśmy do głównego budynku straży granicznej aż przy moście na Odrze, byle tylko tą sprawę załatwić.

Wojsko powinno mi pójść na rękę. Przecież w końcu też jestem starszym oficerem rezerwy – rozważałem. – Byle tylko zdążyć!

Przedstawiłem się oficerowi dyżurnemu i podałem cel wizyty. Skierował mnie do kapitana odpowiedzialnego za właściwy dział. Zziębnięty tłumaczyłem, o co chodzi.

- Ależ nie ma problemu! Już panu wypisuję co trzeba, panie komandorze.

Odetchnąłem z ulgą. Za chwilę poczułem jednak, jak ktoś wylewa na mnie cały ocean zimnej wody.

Do pomieszczenia zupełnie przypadkowo wszedł szef przyjaźnie nastawionego kapitana, a ten beztrząsowo powiedział mi w jakiej jestem sprawie. I to był koniec! Szef okazał się wielkim formalistą i doszedł do wniosku, że rok przed emeryturą nie będzie nadstawiał głowy, by robić coś, czego papiery dokładnie nie precyzują. Znów byłem zgubiony!

Kapitan odprowadził mnie przepaszając:

- To jest straszny służbista. Mogłem to przewidzieć i wypisać po jego wyjściu. Ale teraz już nie mogę, bo będzie sprawdzał. Taki już jest. Przepraszam.

Pędziłem z wściekłością w stronę statku, aż powietrze świstało.

- Że też musieli go diabli nasać! – kląłem pod nosem.

Przy skręcie do nabrzeża spotkałem młodego celnika.

- I co, załatwili panu? – dopytywał się zaciekawiony.

Wzburzony sytuacją opowiedziałem wszystko.

- Jakby pan od razu przyszedł do mnie, to za flaszkę byłoby wszystko załatwione – zawyrokował. – Niepotrzebnie pan jeździł, bo ja będę na odprawie waszego statku.

- No widzi pan! A ja się tak denerwowałem, z flaszką nie ma problemu – poddałem się zrezygnowany.

- O nie! Teraz już za późno, wszyscy o tym wiedzą. W Urzędzie aż huczy, bo poruszył pan niebo i ziemię. Za duże ryzyko, będą sprawdzać.

Co za czasy, już dwa razy miałem prawie załatwione! – bełkotałem do siebie ciężko wchodząc po trapie.

Rozładunek już się kończył i zaraz za mną zajechał pod trap samochód dostawczy polskiego shipchandra. Westerman miał zamówioną dużą ilość trunków i papierosów podobnie jak w Niemczech. Musiałem ściągnąć całą załogę do noszenia kartonów z zaopatrzeniem

O Boże! Ja przez te wszystkie załatwienia z żoną prawie jeszcze nie rozmawiałem, a statek wkrótce wypływa! – pomyślałem zrozpaczony.

Danusia stała na górnym pomoście nie mogąc się doczekać mojego powrotu.

- Już myślałam, że coś się stało, bo tak długo cię nie było! Stało się coś? – zapytała zaniepokojona widząc moją niewyraźną minę.

- Nic się nie stało, zabrałaś po prostu stary paszport. Musiałem to wyjaśniać – odpowiedziałem najspokojniej jak tylko umiałem i podałem jej przedziurkowany w środku dokument.

- O Boże! I co będzie?

- Nie denerwuj się. Cały czas to załatwiałem i wszystko będzie dobrze. Tylko zwołam załogę do rozładunku zaopatrzenia kantyny i zaraz wracam.

Marynarze i kucharz szybko zabrali się do rozładunku. Niewielka ilość kamienia w ładowni zapowiadała rychły koniec postoju. Rodziny musiały już powoli szykować się do opuszczenia statku.

A niech to szlak trafi! – pomyślałem rozgoryczony. – Co za potworny bezsens!

Miałem dość naszego ludowego państwa, doklejanej korony, robotniczej demokracji i pazernego kapitalizmu. Nie rozumiałem skąd nagle u Polaków tak mocno rozplenił się rumuńsko – arabski zwyczaj wyciągania ręki.

Żonę i tak zabiorę! I niech pan pułkownik nadal trzęsie portkami, a celnik niech sobie nawet język przydepcze z pragnienia, to i tak flaszki nie dostanie. Załatwię to jedynie z Westermanem – postanowiłem rozgoryczony.

Uprzedziłem kapitana o swojej decyzji. Szwed nie był formalistą i wiedział, że kłopoty mogą być tylko w Polsce. W Szwecji żona miała już być oficjalnie na liście zamustrowania.

- Mate, u mnie i zagranicą wszystko będzie legalnie, a u was musisz sobie radzić sam. W razie czego, to mnie do tego nie mieszaj.

- O to możesz być spokojny – zapewniłem Westermana.

Wreszcie wróciłem do żony pełen optymizmu. Danusia wystraszyła się trochę, że będzie przemycana w łazience statkowego szpitalika, ale jakoś udało mi się ją przekonać. Otuchy jednak najbardziej dodał jej sam kapitan. Przechodząc koło nas tylko się uśmiechnął i powiedział: - Everything will be good!

- Zobacz. Jak obcokrajowiec potrafi być życzliwy. A nasi by cię w łyżce wody utopili! – powiedziała Danusia już całkiem uspokojona.

Teraz i ja na luzie mogłem organizować resztę. Wszystkie rzeczy żony na powrót trafiły do neseserka i opuściły moją kabinę. Żona Mirka z Dowodem Osobistym Danusi miała

odpisać ją na bramie, a jakby się dało, to dopiero siebie w następnej kolejności. Ja z nowymi siłami wróciłem na pokład.

Rozładunek zakończył się.

- Chief, ładownia elegancko sprzątnięta i pozamiatana! Niech pan sprawdzi. Czekamy na te trzy flaszki – zameldował służbiście brygadzysta.

- Teraz to jest inna mowa. Aż się serce raduje jak ładnie to żeście zrobili. Chodź pan po premię! - żartowałem wesoło.

Rodziny opuściły statek i zaczęła się odprawa. Celnicy i Służba Graniczna już po drodze pytali mnie, czy moja żona wyjechała.

- Swoimi głupimi pytaniami nawet panowie mnie nie denerwujcie. A co miała robić?! – odpowiedziałem z niekłamanym oburzeniem.

Za jakiś czas zjawił się w mojej kabinie młody celnik. Badawczo rozglądał się wokół próbując coś zauważyć.

- Na pewno odesłał pan żonę do domu? – zapytał z nutą wątpliwości.

- Jak widać. A co miałem robić, jak pan się na mnie wypiął? Przynajmniej pańska flaszka mi została.

Celnik coś tam jeszcze pomruczał o odpowiedzialności i wyszedł. Wkrótce odprawa się skończyła.

Statek opuszczał tak bardzo oczekiwany port, który jednak dostarczył tyle przykrości i tyle stresów, że wystarczyłoby na obdzielenie kilku portów, nawet afrykańskich.

Na koniec też nie odbyło się bez zgrzytu. Młody cumownik na brzegu, na prośbę Andrzeja, by mu popchnął z dołu trap, gdyż coś tam się zaczepiło, zażądał dwa piwa.

- To ja mam lecieć na dół do kabiny, żeby przynieść dwa piwa za twój jeden ruch ręki? Bądź poważny! – perswadował Andrzej.

- Mnie za to nie płacą! – odpowiedział cumownik.

Jak to usłyszałem, natychmiast skoczyłem do pomocy. Jedno szarpnięcie i było po wszystkim.

- Masz rację, młody człowieku. Za uprzejmość na pewno ci nie płacą i pewnie nawet nie wiesz, co to znaczy. Minałeś się

chłopcze z powołaniem. Zamiast cumownikiem powinieneś być żebrakiem! Rękę po jałmużnę już umiesz doskonale wyciągać!

Nie mogłem uwierzyć, gdzie ja jestem. Ze zwieszoną głową spoglądałem na oddalające się nabrzeże.

Danusia mogła już wyjść ze szpitalikowej łazienki, ale do opuszczenia polskiej granicy nadal byliśmy czujni. Kłopoty skończyły się na dobre po opuszczeniu wód terytorialnych i wypłynięciu na otwarte morze. Dalej wspólny rejs odbywał się całkiem legalnie i żona figurowała na liście zamustrowanych osób. Byliśmy szczęśliwi, że plan powrotu do Szczecina spalił na panewce. Statek pływał dalej pomiędzy Szwecją a Niemcami i żadnej kontroli nawet nie przeszło przez myśl zwracanie uwagi na doklejaną koronę. Również bez najmniejszych przeszkód odbyło się zmustrowanie w którymś z niemieckich portów.

DZIWNY KAMIEŃ OD MAŁEJ MADONNY

(Zdarzyło się to w Irlandii na całodniowej wycieczce rowerowej.)

Minęło sporo lat i dziś już nie bardzo pamiętam, czy Dunmore jest na wchodzie, a Tramore na zachodzie, czy na odwrót. Chyba jednak jechałem wtedy rowerem na zachód z Waterford, najpierw do Tramore. Była sobota, koniec lipca. Po wejściu statku do portu, w piątek zdążyli rozładować zaledwie około tysiąca ton wytlóków rzepakowych. Reszta rozładunku miała rozpocząć się w poniedziałek.

- I chwała Bogu! Przy pięknej pogodzie wolny weekend zapowiadał się obiecująco.

W Irlandii, podobnie jak w Anglii, większość portów leży w głębi ujść rzek, a nawet strumieni, które spiętrzane i wypłukiwane pływami o wysokości często powyżej sześciu metrów, tworzą głębokie i szerokie rozlewiska. Ujście najmniejszego strumyka przy przyplwywie wygląda na ogromną rzekę. W ciągu doby, w

przybliżeniu, są dwie wody wysokie i dwie wody niskie. Rwęce nurty płyną raz w jedną, raz w drugą stronę, podrywając muł, jak w naszych górskich rzekach po silnych opadach. Wody nawet ogromnych zatok, na przykład Bristolska czy ujście Tamizy, gdzie przeciwnego brzegu wcale nie widać, są mętne jak kawa z mlekiem i zamulone tak, że jakakolwiek kąpiel jest nieprzyjemna i prawie niemożliwa. W Waterford było podobnie. Mętna woda po odpływie pozostawiała grubą warstwę jasnobrązowej mulistej mazi. Czysta woda mogła być tylko nad otwartym oceanem.

- Będzie weekend, jest piękna pogoda, gdzie się najlepiej wybrać na plażę? - zapytałem pracujących na statku dokerów. Wiedziałem, że przy skalistym wybrzeżu Irlandii, znalezienie piaszczystej plaży może nastęrczać wiele problemów.

- Najlepiej do Dunmore lub Tramore - usłyszałem w odpowiedzi wraz z poradą, jak tam dojechać autobusem i jakie są odległości.

Ponieważ jechałem rowerem, wybrałem bliższą miejscowość, Tramore, tym bardziej że któryś z Irlandczyków twierdził, iż są tam największe wydmy w Europie.

Przecież wszystkie przewodniki piszą tak o naszej Łebie! - zastanawiałem się prawie oburzony taką informacją.

Rano w sobotę zjadłem wcześniej śniadanie, zabrałem kilka kanapek, najpotrzebniejszy ekwipunek i wyruszyłem w trasę. Po minięciu baszty obronnej z dziewiątego wieku, drogowskaz na obrzeżu miasta upewnił mnie, że jadę w dobrym kierunku i pokazywał odległość dwanaście kilometrów.

To nie jest wcale tak daleko – pomyślałem, rozglądając się po okolicy. Ranne rześkie powietrze i soczysta zieleń dookoła działała kojąco jak cudowny balsam. Po dniach spędzonych w morzu piękny pogodny ranek wśród pól i łąk był prawdziwym relaksem. Spokojne powietrze początkowo zakłócał tylko pęd roweru przy zjazdach z niewielkich wzniesień i z rzadka przejeżdżające samochody, których jednak przybywało wraz z podnoszeniem się słońca na bezchmurnym niebie. Dobra ścieżka rowerowa na poboczu pozwalała mi jednak prawie ich nie zauważać. Jechałem wolno, chłonąc pełną piersią zapachy kwiatów,

których woń rozsiewało w obfitości ranne powietrze, a otaczające widoki jeszcze bardziej wprawiły mnie w dobry nastrój.

Zjechałem w szeroką dolinę z długą błyszczącą taflą wody pośrodku, w której poranne słońce odbijało się oślepiająco, jak od ogromnego zwierciadła rozłożonego wśród otaczających pagórków.

To zatoka czy jezioro? - zastanawiałem się, patrząc z daleka na spokojną wodę zamkniętą zielenią wzgórz. Dopiero gdy znalazłem się w pobliżu, zauważyłem ślady odpływu, co przekonało mnie, że to jednak zatoka morska, mająca gdzieś pomiędzy pagórkami połączenie z morzem.

Do Tramore jechałem jeszcze z pięć kilometrów. Ta na wskroś turystyczna miejscowość pod względem położenia przypomina jakby połączenie naszej Łeby i Władysławowa, a z charakteru i wielkości podobna raczej do Rewy.

Gdy dojechałem na miejsce, w miasteczku zaledwie rozpoczynał się pracowity weekendowy dzień. Pierwsi mieszkający tu letnicy byli już na plaży, a przyjezdne samochody z wolna zaczęły się pojawiać. Rozpoczynający się odpływ z każdą chwilą powiększał szerokość plaż.

Dobrze utrafiłem z pływaniami, bo woda niska będzie koło południa. Przy największym skwarze będą odsłonięte najszerokie plaże, a teraz z rana, gdy nie ma jeszcze dużo ludzi, można pobuszować po plaży w poszukiwaniu ładnych muszli, które być może pozostaną po odpływie - pomyślałem zadowolony ze szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Najpierw obejrzałem Tramore. Nie zabrało mi to jednak zbyt dużo czasu. Niewielkie miasteczko podobne jest do większości irlandzkich miejscowości, z tak samo pięknymi i rozległymi ogrodami, których mogą pozazdrościć Irlandczykom wszystkie inne nacje. Przydomowe ogrody, często prawie rozległe parki, zachwycały mnie w wielu miejscach Irlandii, a niektóre z nich bez przesady można by przyrównać do „rajskich ogrodów”. Tak zresztą powiedziałem niedawno emerytowanemu kapitanowi w Kinsale, którego posiadłość całkowicie mnie zauroczyła:

- „Chyba Pan Bóg po stworzeniu świata odpoczywał w Irlandii, w takim właśnie miejscu! Jeśli miałbym sobie wyobrazić

Raj, to trudno byłoby cokolwiek tu zmienić. Chyba tak by wyglądał”.

Chodząc po Tramore przypominały mi się tamte słowa i tamte obrazy. Może dlatego tutejsze ogrody nie wywarły już na mnie większego wrażenia i wydały się zupełnie normalne.

Jechałem lekko w dół do nasady półwyspu. Woda zatoki z lewej i otwartego oceanu z prawej znacznie się już obniżyła. Teraz jednak wyraźnie rzucały się w oczy pozostałe nadal wysoko tafle wody z lewej strony. Tam właśnie się skierowałem.

Inteligentnie to wszystko urządzili - pomyślałem patrząc na dość spore jezioro przy nasadzie półwyspu. Wąski skrawek zieleni, rosnącej na długim wale, wyraźnie odcinał się od żółtobrazowego piachu, którego rozległe powierzchnie powiększały się wraz z odpływem, odsuwając coraz dalej i coraz niżej wodę w zatoce. Oprócz sporego jeziora były jeszcze niewielkie oczka wodne z wysepkami. A wszystko było połączone dość szerokim kanałem w jeden kompleks wody słodkiej, która przy odpływie górowała o kilka metrów nad wodą morską po obu stronach półwyspu. Pośród sztucznego labiryntu kanałów i oczek wodnych prowadziły wyłożone płytkami alejki.

Gdy dojechałem bliżej, właśnie ruszał na przejażdżkę pierwszy mini pociąg kolorowych wagoników ciągnionych przez baśniową lokomotywę, która sycząc mrugała kolorowymi światłami, wydawała zabawne odgłosy zachęcające malusińskich do przejażdżki, a dorosłych, by na zdjęciach uwieczniali popisy swoich pociech. Potwory z zamierzchłych epok i postacie z Disneylandu były dodatkową atrakcją. Pomysłowo wkomponowana infrastruktura gastronomiczna zaspokajała pozostałe wymogi.

Przecież bardzo łatwo podobnie dałoby się zagospodarować podmokłe łąki i bagna koło Władysławowa, tuż przy nasadzie Półwyspu Hel - pomyślałem rozglądając się po okolicy. - Wystarczyłyby nawet niewielkie środki, spych i koparka, a powstałyby podobne cuda - zastanawiałem się, wjeżdżając na półwysep.

Koło Tramore półwysep przy wodzie wysokiej był wąski, najwyżej kilkadziesiąt metrów. Wyraźnie pokazywały to

pozostawione przez morze glony i wodorosty, zalegające gdzieś kamieniste plaże. Odpływ poszerzał je z każdą godziną o nowe dziesiątki metrów zarówno na otwarty ocean, jak i w stronę zatoki, kurczącej się do niewielkich rozlewisk. Tylko wody jeziora pozostawały z tyłu niezmiennie wysoko.

Jechałem po dość szerokiej żwirowej ścieżce, prowadzącej do z daleka widocznych wzgórz. Podobnie do Helu półwysep i tu się rozszerzał. Kamienistą plażę od strony morza stopniowo zastępował bardziej drobny piasek.

Daleko tym plażom do naszego wspaniałego, drobnusieńkiego i suchego piasku - myślałem patrząc w obie strony. - A może da się jechać wzdłuż wody?

Zjechałem w prawo, ale szybko musiałem zsiąść z roweru i prowadzić go po plaży, która w miarę przybliżania do oceanu stawała się jednak bardziej mokra i ubita tak, że bliżej wody z powodzeniem dawało się po niej jechać. Na świeżo osuszonym piasku tam i ówdzie morze pozostawiało wiele glonów, muszli i różne żyjątka, z których wiele pospiesznie zakopywało się w piasku, a inne na znane dla swego gatunku sposoby przystosowywały się do przetrwania kilku godzin bez wody i w skwarze słońca. Nieliczni jeszcze na plaży ludzie pozostawali stopniowo w tyle. Jechałem szybko, by jak najprędzej znaleźć się na dziewiczym terenie, na którym moje stopy i ślady roweru będą pierwsze po odpływie. Po osiągnięciu tego celu zwolniłem, bacznie rozglądając się na wszystkie strony. Jak grzybiarz, chodzący po lesie, zacząłem kluczyć, szukając wodnych zastoin, jakichś niewielkich pagórków lub małych strumyczków wypływających z pozostałych po odpływie rozlewisk. Jednak pozostawione przez odpływ muszle i żywe stworzenia nie były tak ciekawe, jak w tropikalnych wodach. Tylko rzadko schylałem się, by coś podnieść i schować do podręcznej torby.

Zaferowany szukaniem morskich trofeów, niepostrzeżenie znalazłem się na wysokości wydm. Wcale nie przypominały tych z Łeby. To wysokie i strome wzniesienia, z których każde było niezbyt rozległe i szerokie. Przypominały raczej duże kupy piachu, usypane przez jakichś zamierzchłych gigantów. Prawie porośnięte

wydmową roślinnością, nie zdradzały najmniejszych oznak, że żyją własnym życiem i że proces ich tworzenia trwa nadal. W porównaniu do łebskich wyglądały jak martwe góry piachu.

Całkiem przesadzili, że są największe w Europie! Ani się nie umywają do naszych. A może są jednak najwyższe w Europie? - zastanawiałem się, patrząc na ich spore wysokości. - To może być prawdą, że są najwyższe - skonstatowałem po dłuższym namyśle.

Już się nie spieszyłem. Teren po odpływie stawał się coraz węższy, przybliżając mnie jeszcze bardziej do wydmowych wzgórz.

Dno oceanu spada bardziej stromo - zauważyłem.

Wydmę znalazły się blisko. Minąłem pierwsze wzniesienia, nadal idąc, a czasem jadąc po mokrej plaży. Postanowiłem zatrzymać się na dłużej przy ostatnim najwyższym wzniesieniu, by odpocząć, połażyć trochę po wydmach i pokapać się w morzu. Rower i podręczne rzeczy zostawiłem na styku plaży, przy pierwszych kępach wydmowej trawy. Spokojnie oddałem się relaksowi.

Leżałem na suchym i ciepłym piasku, patrząc w niebo na bezchmurny błękit. Po tygodniach spędzonych w morzu i w portowym zgiełku teraz na tym pustkowiu poczułem się szczęśliwy.

Człowiek jest jednak przystosowany do życia na lądzie, a nie do pływania po wodzie - pomyślałem mimochodem, prawie leniwie, tak od niechcenia.

Zmieniłem pozycję, kładąc się na brzuchu. Podparty rękami pod brodą rozglądałem się po okolicy, dając upust beztroskim myślom.

A jednak wracasz na morze i pływasz. Zostawiasz ten ląd „do którego jesteś przystosowany” - znów skądś sama przyszła myśl, która jak natrętna mucha nie chciała się odczepić. Zupełnie bezwiednie, jakby bez kontroli, w umyśle sama zrodziła się odpowiedź: - „To twój zawód i to lubisz”.

Te przyszłe znikąd przypadkowe refleksje zmusiły mnie do zadumy. Myśląc leniwie, starałem się dać sobie na to odpowiedź.

To jest jeden z twoich zawodów i na pewno nie jest to twoja pasja - już świadomie rozmyślałem. - I nie tylko jest to źródło

dochodów dla rodziny, bo to też lubisz - potwierdzałem w duchu przyszlę znikąd refleksje.

Wspomnienie rodziny starałem się jednak odsunąć na plan dalszy. Przy tak dużej odległości i przy tak odległym czasie do końca kontraktu byłyby to tylko niepotrzebne stresy. By w zdrowiu przeżyć rozłąkę, musiałem minimalizować skutki rozstania, a eliminowanie uczuć i wspomnień bliskich było w tym wypadku najskuteczniejszym lekarstwem.

Ale czasem morze jest miejscem ucieczki i zapomnienia - znów zaatakowała mnie natrętna, samowolna myśl.

Musiałem jakoś temu zaradzić. By odsunąć przychodzące do głowy troski, przerwałem beztroskie leżenie. Podniosłem się z piachu i biegiem ruszyłem na szczyt wydmy.

- Widok był wspaniały!

Piaskowe góry wydały mi się jeszcze potężniejsze, a ich wysokość bardziej imponująca. Było ich zaledwie kilka i prawie każda stała oddzielnie. Łyse żółte plamy sypkiego piachu nie zdradzały jednak efektu erozji wiatrowej i czynnego życia wydmy. Najwyraźniej to wchodzący ludzie tak utrwalili swoją wspinaczkę, wydeptując skąpą wydmową roślinność, która i tak w porównaniu do naszej wyglądała na bardziej różnorodną. Szczególnie zaskoczyła mnie duża ilość pięknych kwiatów, które jak różnobarwne kobierce pokrywały miejscami na ogół ciemnozielone zbocza wydmy. Szeroki pas zieleni u podnóża piaskowych wzniesień kurczył się stopniowo w wąską zieloną kreskę przy Tramore. Zielony pasek przechodził przez środek ogromnej pustyni mokrego piasku pozostałego po ustąpieniu morza. W całej ogromnej zatoce błyszczało w słońcu kilka niewielkich bajorek i sączące się z nich strumyki tworzyły niewielką rzekę wijącą się wśród osuszonego terenu. Odpływ daleko odsunął od Tramore niebieski ocean. Tylko bardziej zielona woda jeziora przy nasadzie półwyspu ciągle trwała niezmiennie wysoko.

U nas takie zmiany poziomu wody w morzu trudno sobie nawet wyobrazić – pomyślałem, kierując wzrok w stronę niedawnej zatoki.

Wśród pozostałych po odpływie bajorek, w zamulonych obniżeniach, co jakiś czas widać było poszukiwaczy małż i krabów,

konkurujących z ptakami w poszukiwaniu morskich smakołyków. Górzące z prawej zielone wzgórza, które daleko na horyzoncie zamykały błotnisto - piaszczystą krainę, przybliżyły się prawie do góry, na której stałem. Za ledwie wąski przesmyk, teraz podobny do rzeki, oddzielał wydmy od uprawnych pól po drugiej stronie.

To tędy wlewa się i wypływa woda do tej szerokiej zatoki. Tak jak w szkockim Montros - zastanawiałem się, patrząc na prawie osuszoną zatokę. - Ale u Szkotów podobna zatoka była wpisana na listę światowych rezerwatów przyrody. Dlaczego tu nie? Ta przecież jest jeszcze większa, a w dodatku ten półwysep i wydmy? – rozważałem, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. - Może dlatego, że w Montros zatoka jest zupełnie okrągła, jak krater po wulkanie, a tak samo wąskie połączenie z morzem jest bardzo długie.

- Tamtą zatokę objechałeś dookoła. Tu też przepraw się na przeciwny brzeg i wracaj z drugiej strony. Kto to widział, żeby wracać tą samą drogą? - kuśił mnie jakiś wewnętrzny głos.

Zszedłem na dół. Zabrałem swoje rzeczy i przenieśliem się na sam koniec półwyspu. Szeroka na kilkanaście metrów plaża o doskonałym suchym piasku była za ledwie niewielką półką przy bardzo stromym zboczu wysokiej wydmy, która w tym miejscu wyjątkowo była pozbawiona jakiegokolwiek roślinności. Płaski stopień plaży jeszcze bardziej stromo opadał w stronę wody. Po pozostawionych przez nią śmieciach i glonach szacowałem, że obniżyła się już o kilka metrów. Dopiero teraz, stojąc nad samym brzegiem przesmyku, mogłem ocenić jego prawdziwą szerokość. Była ona znacznie większa niż wyglądało to ze szczytu, sporo ponad sto metrów. W dodatku woda była bardzo głęboka i leniwie płynęła w stronę morza, co zapowiadało, że po zatrzymaniu się nurtu wnet zacznie płynąć w drugą stronę, na nowo wypełniając zatokę.

Jak tu się przedostać na drugi brzeg? Płynąć z rowerem? - zastanawiałem się, uważnie lustrując wypływającą z zatoki wodę. - To jest cała rzeka! W najlepszym przypadku sto, sto pięćdziesiąt metrów. Może ze dwa kilometry w stronę środka zatoki dałoby się przejść, może jest płytko, ale czy mogę ryzykować? Nim dojdę, prowadząc po mule rower, przypyływ znów zacznie wypełniać płycizny.

Gdy tak się zastanawiałem, zobaczyłem niespodziewanie niewielką łódź rybacką, która z gromadką dzieci na pokładzie, wyraźnie zbliżała się do mnie.

Dzieciaki, krzycząc radośnie, rozpiechły się po rozgrzanym piasku. Tylko stary rybak pozostał na miejscu. Zauważyłem, że szykuje się w drogę powrotną.

- Czy pan wraca na drugą stronę? – zapytałem, podchodząc do łodzi.

- Tak, wracam. Najpierw jadę zapalić świeczkę naszej Madonnie, a potem za cypel po resztę plażowiczów.

- Czy zechciałby pan zabrać mnie na drugą stronę?

- Oczywiście.

- Ale mam ze sobą rower. Tam na plaży - wskazałem na widoczny kilka metrów wyżej pojazd.

- Jaki problem? Poczekam! - odkrzyknął stary rybak, pochylając się nad silnikiem łodzi, by coś w nim podregulować.

Rower umieściłem na dziobie, tak by nie przeszkadzał i pomogłem staremu wciągnąć wyrzuconą na brzeg kotwicę. Z rybakiem zamieniłem zaledwie kilka zdań i już dobijaliśmy po drugiej stronie. Jakże to był inny brzeg.

Z trudem wbijałem niewielką kotwicę w kamienisto - gliniaste podłoże bez śladu piasku. Po jeszcze bardziej stromym korycie przesmyku wdrapaliśmy się na kamienistą drogę u podnóża wzgórz. Porastająca ją trawa i ledwo wyjeżdżone koleiny wskazywały, że nieczęsto ktoś nią jeździ.

To jest ta sama wysokość od wody, co plaży przyklepionej do wysokiej wydmy – pomyślałem, patrząc uważnie to na jeden, to na drugi brzeg.

- Jesteśmy przy Madonnie - odezwał się rybak, przechodząc na drugą stronę drogi, gdzie łagodnie opadające zielone wzgórze tworzyło gwałtowny uskoki odsłaniający nagą, czarną skałę.

Położyłem rower i przybliżyłem się do Irlandczyka. Dopiero teraz, w niedużej grocie tuż przy samej ziemi, zauważyłem niewielką figurkę Matki Boskiej. Stała na wysokości moich kolan wtulona w niszę naturalnej skalistej wnęki. Była taka malutka w porównaniu z otaczającymi ją wzgórzami i wysokimi wydmami.

Taka niepozorna na tle oceanu i sięgających po horyzont mulistych przestrzeni zatoki. Miała nie więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów wysokości.

Stary rybak przyklęknął na jedno kolano i zaczął zeskrobywać wosk z kamiennego stopnia przed Madonną. Wyciągnął z kieszeni świeczkę, zapalił i odrobiną rozgrzanego wosku przytwierdził ją do uprzątniętej skały. Przez chwilę modlił się w milczeniu. Stałem z boku. Gdy wstał z klęczek, zapytał życzliwie:

- A może przyjechać po ciebie i zabrać cię z powrotem na drugi brzeg? Z tej strony do Waterford jest droga daleka i okrężna. Najpierw trzeba dojechać prawie do Dunmore.

- To nic. Do wieczora daleko. A co to za przyjemność wracać tą samą drogą?

Stary uśmiechnął się tylko i skierował w stronę łodzi.

- Pomogę ci wciągnąć kotwicę – powiedziałem, idąc za nim.

- Tam, gdzie te krzaki, jest ścieżka pod górę, którą dojdziesz do pierwszych zabudowań i do asfaltowej drogi - wskazał przyjaźnie Irlandczyk. - Uprzedzam jednak, że do portu jest daleko, bo ta szosa wcale nie prowadzi do Waterford. Pamiętaj, zapytaj jeszcze po drodze, gdzie skręcić - doradzał wyciągając dłoń na pożegnanie.

- Dziękuję za pomoc i wszystkiego najlepszego.

- Wszystkiego najlepszego dla ciebie! - odpowiedział rybak, przekrzykując pracę silnika.

Zostałem sam. Wróciłem pod skałę, by w spokoju dokładnie przyjrzeć się figurce i całej okolicy.

Świeczka nadal paliła się, lecz jej słaby płomyk dawał jedynie nikły blask w silnym południowym słońcu. Nisza w czarnej skale wokół małej figurki Matki Bożej przywołała polskie skojarzenia: naszą Czarną Madonnę i Tę ze Swarzewa, której figurka też jest mała i rodzinę.

Nigdy nie lubiłem „klepania pacierzy”, ale teraz zapragnąłem gorąco pomodlić się za moich najbliższych. Patrząc na Madonnę zacząłem odmawiać „Pod Twoją obronę”. Po kilku słowach modlitwy złapałem się jednak na tym, że myśli gdzieś mi uciekły i nie wiem, co odmawiałem. To wytryskujące ze skalnej szczeliny źródółko poniżej stóp figurki tak zaabsorbowało moją uwagę.

- Wybacz, łaskawa Pani – wyszeptałem, od nowa zaczynając „Pod Twoją obronę” i całkowicie skupiłem wzrok na małej postaci.

Była taka malutka i tak niepozorna, przytłoczona i zagubiona w ogromie przyrody! Ze swej niewielkiej grotki patrzyła na wysokie góry wydm, sama stojąc prawie na ziemi przy równie potężnym wzgórzu. Wypływający spod jej stóp niewielki strumyczek krystalicznej wody kierował swą wątłą strugę do potężnego oceanu.

A jednak Ty tu jesteś najważniejszą Panią, Madonną z Tramore. - pomyślałem mimo woli, na nowo gubiąc słowa modlitwy. - Nie! Nie może być z Tramore, bo miasteczka prawie nie widać, a figurka stoi na bezludziu po drugiej stronie zatoki - szybko sprostowałem swoje myśli, na nowo odkładając odmówienie „Pod Twoją obronę”.

- Przepraszam Cię, Matko, że taki jestem przy Tobie rozkojarzony, że nie mogę się skupić i że ciągle gubię modlitwę. Aż tyle mi przypominasz! - wyszeptałem.

Rozglądnałem się wokoło. Na moim brzegu nie było żywej duszy.

- Stoisz tak daleko od wszystkich i patrzysz na bezkresne morze. I jesteś taka samotna, jak marynarz na wachcie. A może zamiast zdrowasiek wolisz trochę porozmawiać? - zapytałem cicho.

- Myślę, że na pewno wolisz! Bo przecież te poukładane paciorki znasz już dawno na pamięć. Więc po co je bezmyślnie klepać? - sam odpowiedziałem na swoje pytanie.

- Stojąc na tym pustkowiu, Ty jedna potrafisz zrozumieć, czym jest rozstanie z najbliższymi, co to tęsknota, rozłąka i marynarska samotność. Więc pozwól, Matko, że trochę z Tobą posiedzę. Razem będzie nam weselej.

Ciche pluskanie wody ze źródła zdawało się szemrać potakująco. Twarz Madonny, taka trochę zadumana, wręcz zachęcała do rozmowy. Jej kolorowe pastelowe szaty, kontrastowały z czernią grotki.

- Ciekawe, jak Cię tutaj nazywają? A wiesz, to jest niesamowite! Tu są wydmy, góry i morze. Możesz być i Gaździńką, jak Nasza z Podhala, i Kaszubska Białka, jak Ta ze Swarzewa. A na dodatek jesteś Panią z Wydm!

Popatrzyłem za wzrokiem figurki na bezkresny ocean, na wysokie wydmy po drugiej stronie przesmyku i na dużą zatokę bez wody zamkniętą wzgórzami. Na kilometry plaż i ogromne połacie piachu po odpływie. Tu się wszystko łączyło.

- Już wiem, jak powinnaś się nazwać w tym miejscu. Pani Gór, Wydm i Bezkresnych Oceanów! Nie gniewaj się Pani. Tu nie możesz być Naszą Królową, ani Gaździną, ani Kaszubską Białką. Polska jest jedna i to tak daleko! Chcesz? Trochę poopowiadam Ci o niej. Opowiem Ci też o Domu i o moich bliskich. Co oni teraz robią? Może sprzątają dom przed niedzielą? A wiesz....

I wysłuchiwała Pani z Wydm wszystkich trosk zagubionego w Irlandii marynarza.

- Ten bukiet kwiatów u twych stóp przywiadł trochę od słońca. Może Ci go zwilżę w źródelku? I sam też się napiję, bo zrobiło się tak gorąco.

Czysta kryniczna woda była bardzo zimna. Znakomita na pragnienie przy spiekocie południowego słońca. Nawet bukiet kwiatów trochę odżył i ociekający wodą na powrót znalazł się u stóp Madonny.

- Rybak zapalił Tobie świeczkę, ktoś przyniósł Ci kwiaty, a co ja biedny Ci dam? Nic nie mam. Nie mam nawet polskiego pieniążka na pamiątkę! Bo przecież nie potrzebujesz scyzoryka, a tym bardziej starego roweru. Już wiem! Jak na marynarza przystało, zrobię Ci bukiet z morskich wodorostów.

Na stromym, kamienistym zboczu przesmyku to tu, to tam widać było pozostawione przez odpływ glony. Te wyżej były już mocno podsuszone, ale na dole zupełnie świeże. Zszedłem nisko, prawie nad wodę rozglądając się za wodorostami. Z ładną wiązaną glonów wracałem do miejsca, gdzie po stromym brzegu sączyła się między kamieniami woda ze źródelka. Tuż nad samą wodą cieśniny mój wzrok przykuł jakiś kamień.

Co za dziwny kamień? Cały pomarszczony jak płaty mózgu! A w dodatku jest tak samo czarny jak grot Madonny. I przepływa koło niego Jej źródelko! – pomyślałem, biorąc go do ręki.

Z kamieniem znalazłem się przy figurce.

- Przyniosłem Ci Pani morski bukiecik. Przyjmij go od polskiego marynarza. Bo cóż ci mogę dać więcej? Chociaż tak! Mogę! Mogę Ci oddać siebie. Przyjmij i mnie w swoje bezwarunkowe władanie.

Zapadła cisza, której na tym bezludziu nikt nie przerywał.

- Pozwól Matko, że ten czarny kamień wypłuczę w Twoim źródelku i zabiorę go sobie na pamiątkę. Przecież jest on z Twojej skały i z Twojego strumyczka! Niech on będzie pamiątką rozmowy z Tobą.

Umyty starannie kamień podniosłem do góry, by mu się dokładnie przyjrzeć. Wielkością przypominał główkę dziecka i było w nim kilka otworów prowadzących do środka.

Wysypię z nich morski piasek - pomyślałem i gwałtownie potrząsałem kamieniem. Zagrzecotało jak w dziecinnej grzechotce. Oprócz piasku z otworów wypadł nieduży krabik i niezdarnie poruszając się bokiem czmychnął do szczeliny w skale przy Madonnie.

- Ucieka pod Twoją obronę - wyszeptalem wzruszony.

No właśnie, „Pod Twoją obronę...”, a ja ciągle nie mogłem się skupić na odmówieniu tej modlitwy - pomyślałem zawstydzony.

I odmówiłem ją wtedy tak żarliwie, jak jeszcze nigdy w życiu. Cichemu szeptowi modlitwy towarzyszył cichy plusk źródelka i delikatny szum morza w dole. Tylko mała Madonna patrzyła cicho i spokojnie w dal na wzgórza, wydmy i morze. Jakby zadumana rozważała rozmowę z polskim marynarzem.

- Nie gniewaj się Pani Gór, Wydm i Bezkresnych Oceanów. Już późno i muszę wracać. Zobacz, już morze też zawraca, by wypełnić Twoją zatokę i by się przybliżyć do Twych stóp. To ono za chwilę będzie Ci szeptało morskie opowieści. A może i o moim statku kiedyś też coś Ci opowie? Gdybyś słyszała koło niego ryk rozszalałego żywiołu, to powiedz morzu, by się trochę uciszyło. Stojąc tu, sama najlepiej wiesz, jakie morze jest czasem nieprzyjemne, gdy się o coś złości.

Powoli podniosłem rower, kierując go w stronę wskazaną przez starego irlandzkiego rybaka. Jeszcze się odwróciłem na pożegnanie.

- Do widzenia, Śliczna Panienko! Jeśli możesz, przekaż Czarnej Pani w Polsce, by opiekowała się rodziną. O to jedno Cię proszę. Do widzenia!

...

Podróż powrotna trwała dłużej niż przypuszczałem i wcale nie była łatwa. Droga wiała się pośród pól i łąk pagórkowatego wiejskiego krajobrazu. Liczne, dość strome podjazdy co rusz zmuszały mnie, bym zsiadał z roweru, a gdy już go wprowadziłem na szczyt wzgórza, to przy zjeździe musiałem mocno hamować.

Jechałem wolno, rozglądając się na boki. Letni popołudniowy upał nie nastrojał do pośpiechu, a poza tym nie miałem się gdzie spieszyć. Trochę zgłodniałem po wykończeniu wszystkich zapasów i tylko to było powodem, by jak najszybciej znaleźć się na statku.

Patrzyłem na rozsiane po okolicy gospodarstwa, uprawne pola i zielone łąki. Pasące się stada krów często zastępowały gromady owiec, które gdzieniegdzie na stokach bielily się niczym porozrzucane obłoczki.

Irlandzkie pola są zupełnie podobne do angielskich, może tylko gospodarstwa są bardziej od siebie oddalone – myślałem, rozglądając się za jakimś sklepem, bo pragnienie coraz bardziej mi dokuczało.

Niestety, domów było niewiele i napotkany czasem sklep był zamknięty z powodu przerwy obiadowej lub weekendu.

No trudno! Muszę wstąpić do jakiegoś domu i poprosić, żeby mi dali coś do picia. Przy okazji zapytam, jak mam dalej jechać do Waterford, bo droga wyraźnie skręca nie w tę stronę - zdecydowałem.

Pierwszy napotkany dom z ładnym ogródkiem kwiatowym i z siedzącymi pod dużym słonecznym parasolem domownikami zdawał się do tego prawie zachęcać.

- I miałem szczęście!

Gospodarz, nauczyciel w pobliskiej szkole i jego żona, specjalistka w przetwórstwie ogrodniczym, okazali się nad wyraz gościnni i serdeczni. Po krótkiej rozmowie, z której ja dowiedziałem się o drogę do portu Waterford, a na pytanie gospodarzy, skąd

jestem, padła odpowiedź, że marynarzem z Polski, w rodzinie zawrzało jak w ulu. Nim się spostrzegłem siedziałem pod dużym parasolem na poczęstunku, w gronie całej rodziny z dziećmi i dziadkami włącznie.

Nauczyciel pytał, jak przebiega u nas transformacja po odejściu komunizmu, dzieci przekrzykiwały się nawzajem, gdzie jest Polska i jak długo tam trzeba płynąć, a dziadek zaczął sobie przypominać, z iloma Polakami stykał się w życiu. Właściwie to chyba dzięki dziadkowi stałem się prawie niezwykle osobą, szczególnie dla trójki dzieciaków, które na dobre zostawiły zabawę i z zaciekawieniem przysłuchiwały się rozmowie.

- W czasie wojny walczyłem wspólnie z Polakami przeciw Niemcom. Ależ to byli żołnierze! Jacy waleczni! - wspominał dziadek. - A po wojnie jeszcze tylko dwa razy rozmawiałem z Polakami. I to więcej jak czterdzieści lat temu! Ale żeby Polak był w naszej miejscowości? To chyba nigdy? - zastanawiał się dalej, pytając spoglądając po domownikach.

- Jedno jest pewne, nasz marynarz jest bez wątpienia pierwszym Polakiem, który przejeżdża rowerem przez naszą wioskę z Tramore do Waterford, bo to jest trzykrotnie dłuższa droga. Nawet chyba żaden Irlandczyk nigdy tak nie jechał - śmiejąc się wtrącił nauczyciel.

- To jak przejechałeś rowerem przez morze? - dopytywał się najstarszy wiekiem chłopiec, który najwyraźniej dobrze wiedział, gdzie leży Tramore.

- Ale ty jesteś Patryk niemądry - skarciła go młodsza siostra. - Przecież wiesz, że marynarze umieją jeździć po morzach - dodała rezolutnie, ku uciesze całej rodziny.

W sumie przesiedziałem pod dużym słonecznym parasolem ponad godzinę, rozmawiając wesoło z niezwykle życzliwymi gospodarzami. Po serdecznym pożegnaniu z irlandzkim nauczycielem i jego przemiłą rodziną, syty i zrelaksowany z zapalem kontynuowałem podróż.

Nadal w większości droga wiła się wśród pagórkowatych pól i łąk, ale biegła też koło niewielkiego jeziora, jakichś bagien i

zadrzewionych miejsc. Pedalując w miarę równo, radośnie rozglądałem się po okolicy.

W końcu jestem pierwszym Polakiem, który tędy przejeżdża. A już na pewno rowerem - śmiałem się w duchu przypominając sobie słowa nauczyciela.

Wątki ostatniej pogawędki krzyżowały się w myślach z wcześniejszymi rozmowami z Irlandczykami, których tak wiele odbyłem w portach Zielonej Wyspy.

Jak dużo jest podobieństw Polski i Irlandii! – rozmyślałem, rozglądając się wkoło, na próżno szukając polskich krajobrazów. - Tak samo katolicki kraj, stulecia utraty niepodległości, zsyłki, prześladowania i ogromna emigracja polityczna i gospodarcza na wszystkie kontynenty. Może tylko ich „Syberia” porozrzucana po całym nowo odkrywanym świecie była bardziej romantyczna i klimatycznie łaskawsza od naszej - porównywałem gehenny obu narodów. Ale za to ich zabory były dłuższe, a prześladowania bardziej krwawe i okrutne. A nawet niepodległość uzyskali później od nas - zauważyłem po chwili.

Przypominały mi się różne irlandzkie obrazy:

- Głowa biskupa Drokhedy, ścięta, gdy z posłannictwem przebywał u Cromwella, która wróciła z powrotem do miasta i została wbita na pał, a którą mimo prześladowań zachowano w katedrze do dziś.

- Sale tortur z najbardziej wymyślnymi urządzeniami oraz krwawe historie pacyfikacji i prześladowań.

- A nawet dzieje licznych fortów i warowni, których tak wiele pozostało na całym wybrzeżu wyspy, że prawie przy każdym wejściu do irlandzkiego portu wysłuchiwałem jakichś historycznych opowieści.

O czym to opowiadał pilot, gdy płynęliśmy do Waterford? - zastanawiałem się zainspirowany wspomnieniami. - Już wiem! Wyjaśniał, kiedy były budowane forty wzdłuż akwenu prowadzącego do portu. Chyba mówił, że ten po lewej był z czternastego wieku, a po prawej, budowany przez angielskiego króla Charlesa, z szesnastego. To on powiedział, że po wojnie żyło na wyspie prawie dziewięć milionów, a teraz jest zaledwie połowa.

Jeszcze dodał: - Wcześniej przez wieki Anglicy wywozili nas do Ameryki i Australii, a w latach czterdziestych i pięćdziesiątych emigrowaliśmy z nędzy i głodu w te same miejsca, by żyć.

To się zgadza! Takie same liczby mieszkańców wymienił kiedyś właściciel pięknego ogrodu w Kinsale. Pytałem go wtedy, ile płaci podatku gruntowego od tak ogromnego ogrodu, od rozległego, prywatnego parku. Boże, jakież oni mają piękne ogrody!

- U nas za grunt nic się nie płaci, nie ma od tego żadnego podatku!

Powiedział, że zniesiono podatki, by zachęcić Irlandczyków do powrotu do kraju i aby zahamować emigrację.

I pomyśleć, że tylko w USA żyje około 10 milionów Irlandczyków. Podobnie jak Polaków. A do tego ponad trzydzieści procent pracuje w rolnictwie. Ile tych podobieństw? - dziwiłem się.

Ten kraj wygląda jednak zupełnie inaczej niż Polska. Bardziej przypomina Anglię - rozmyślałem od niechcienia, tak jak zwykle robi to człowiek pozostawiony własnemu towarzystwu.

Dojechałem do kolejnego skrzyżowania. Tym razem zobaczyłem nazwy znajomych miejscowości: Waterford - Dunmore

No wreszcie jestem w domu - pomyślałem zadowolony.

Jednak do statku wcale nie było blisko, ale czując koniec tak wyczerpującej i bogatej we wrażenia wycieczki jeszcze żwawiej naciskałem pedały.

Gdy ochłonałem po dotarciu na miejsce, wyciągnąłem mój czarny pomarszczony kamień z wieloma otworami. Prezent od Pani Gór, Wydm i Bezkresnych Oceanów. Gdy go płukałem pod bieżącą wodą, wypadł jeszcze jeden krabik i razem ze spływającą wodą zniknął w rurze ściekowej.

- Zginiesz marnie. Dlaczego nie uciekłeś „Pod Twoją obronę”? - wyszeptąłem.

Czarny kamień, po przejechaniu jeszcze wielu portów Europy i Zachodniej Aryki, przybył ze mną do domu. Nawet jego ciężar, przy ograniczonej wadze bagaży w samolocie, nie był przeszkodą, bo przez Paryż i Warszawę wylądował w Rębiechowie i trafił do Rumi. Do dziś leży pod kominkiem i ciągle grzechocze, gdy

się nim potrząśnie. Tak samo jak przy małej figurce. Przypomina samotną Madonnę i szmerzące źródółko u jej stóp.

OBRAZEK Z MORZA

Rozpoczął się dzień, a wraz z nim wchodził normalny morski rytm życia. Na pozór monotony i jednolity, prosty jak przepis na gotowanie jajka. W rytmie tym wszystko jest określone, podobnie do rozkładu jazdy pociągów:

Dla załogi określony jest czas śniadania, rozpoczęcia pracy, przerwy na kawę, pracy, przerwy obiadowej, pracy, znów przerwy na kawę, jeszcze raz pracy i czas kolacji.

U wielu armatorów po kolacji jest jeszcze praca w godzinach nadliczbowych.

Dla oficerów przepis jest jeszcze prostszy. Wachta przerwa, wachta przerwa... Jeśli dwóch to: sześć, sześć, sześć... Przy trójce oficerów jest już pełny komfort. Cztery godziny na wachcie, osiem przerwy, cztery...

Codziennie ten sam rytm, to samo zajęcie. Przy dłuższych przelotach zacierają się dni tygodnia i data w kalendarzu staje się pustą liczbą. U Greka w czwartek i w niedzielę było po butelce piwa do obiadu. Duże ułatwienie! Można było pomylić niedzielę z czwartkiem, ale przynajmniej było wiadomo, że nie jest to inny dzień tygodnia.

Ramy rozkładu dnia dodatkowo ograniczają ramy przestrzeni statku i tego samego towarzystwa, bez możliwości jego powiększania i wyboru.

Ograniczoność stalowej, kołyszącej się powierzchni, dla kontrastu otaczają bezmiary wód, które tylko pozornie wydają się być takie same. W rzeczywistości są jak rozkapryszone dziecko:

Czasem są puste i gładkie dookoła horyzontu, czasem pomarszczone lub poorane bruzdami. Są też i białe grzywy, dymiące groźnie góry i zamiecie białej piany z powyrywaną wodą, która niekiedy zakrywa wszystko.

Zmieniają się też kolory. Jest jasna i ciemna zieleń, błękit i granat, czerń nocy przy zachmurzonym niebie i srebro poświaty księżycy w pełni, który odbija się w spokojnej gładzi lub drobnych zmarszczkach. Kolory czasem zmieniają się powoli, a niekiedy są poodcinane ostro występującymi prądami i zawirowaniami, tworząc całe przeplatanki.

Są i kolorowe łąki glonów o przeróżnych barwach, czasem pocętkowane ogromnymi meduzami i poprzeplatane ich zwisającymi welonami. Przeorane śrubą statku łąki, niekiedy mogą zmieniać barwę, znacząc za rufą innym kolorem szeroką drogę na kwitnącym polu.

Często w tropiku taka przeorana nocą droga świeci tysiącami małych świetlików, które gasną stopniowo w miarę oddalania się od rufy. Wtedy wyrzucenie za burtę nawet najmniejszego przedmiotu powoduje powstanie fosforyzującej plamy. Morze „zapala się” przy każdym podmuchu wiatru. Franek dobrze znał takie obrazki.

Ludzki przepis na „gotowanie jajka” jest przez naturę urozmaicany na wiele sposobów:

- A to przez wyskakujące ponad wodę stada delfinów, które z upodobaniem baraszkuje przed dziobem statku, idą w zawody, kto jest szybszy. Biała piana z wytwarzanej przed statkiem fali jest dla nich zabawką. Jak gromadka kąpiących się urwisów skaczą przed falą i konkurują, kto wyżej i dalej. Czasem skaczą grupowo, wykonują śruby i przewroty, jednocześnie na komendę jak dobrze wytrenowany zespół. Dopiero znudzone zabawą odpływają w sobie znaną stronę i radosnymi podskokami zaznaczają jej kierunek. Są mniejsze i ciemniejsze z mórz południowych i duże na północy, jakby oszronione mrozami Grenlandii, które wraz z lodowymi górami spływają na Atlantyk.

- Lub przez latające ryby w tropiku, które jak błyszczące strzały szybują ponad wodą, które srebrzą się w słońcu i ciemnieją przy gwałtownych zmianach kierunku, które, niczym stado szpaków odlatujących jesienią, całą chmurą robią jednoczesny zwrot na wydane przez przewodnika polecenie, by później znów, jak srebrne strzały, szybować kilkadziesiąt metrów dalej, nim na powrót

pograżą się w wodzie. Robią to i te mniejsze, jak dłoń, i te dłuższe, prawie po łokieć.

- Czasem w oddali pojawi się potężne cielsko wieloryba z pióropuszem wyrzucanej fontanny, czarno-biała orka lub wężę morskie, które poruszają się jak kolorowe wijące się wstążki, lecz nieodmiennie zawsze budzą grozę gorących mórz.

- I jeszcze bogactwo ptaków:

Jedne spadają ze znacznych wysokości jak pociski i robią plusk niczym duży kamień. Inne szybują nisko pomiędzy grzbietami fal, nikną na chwilę w dużych bruzdach, by znów się pojawić za białą grzywą.

Są takie, dla których morski żywioł jest naturalnym siedliskiem i tylko dla urozmaicenia siadają na pokładzie, i te zabłąkane, zmęczone, dla których statek jest jedynym ratunkiem. Zmęczonych ptasich pasażerów marynarze najczęściej dokarmiają troskliwie i ciesząc się, że mogą być pomocni jakiemuś żywemu stworzeniu, które dzieli z nimi samotność. W tym bezmiarze wód dbają o wystawianie słodkiej wody, by ta słońca nie zabijała ich spragnionych skrzydlatych przyjaciół. Niektóre okazy łapią, by chronić je przed zazdrosnymi mewami, nim wypuszczą je blisko brzegów. Często są to gołębie, ale zdarzają się dziesiątki innych, niekiedy bardzo kolorowych ptaków, których określenie nazwy mogłoby sprawić trudność nawet ornitologowi.

Dla jednych ptaków statek jest schronieniem i miejscem leczenia ran, dla innych miejscem zguby. Najczęściej giną ptaki nocne, jak chociażby te szaro-żółte ptaszki z długim dziobkiem, których setki, a może tysiące osobników usiłuje dokonać inwazji na statek. Latają z piskiem dookoła, rozbijają się o olinowanie i jak ćmy uderzają w pałace się światła. Uderzają nawet w zwabionego krzykiem, obserwującego ich człowieka. O świcie można ich wiele znaleźć, roztrzaskanych koło nadbudówki. Podobnie zachowują się też ptaki z wyglądu przypominające skowronka. Zdarza się też, że czasem zabłąka się nocna sowa i przycupnie gdzieś, szukając schronienia.

Z Daru Młodzieży

(To są fakty, które można sprawdzić w archiwach i w zapisach z „Dzienników okrętowych”. Moje wrażenia są tylko dodatkiem z czteroletniego pobytu na Darze Młodzieży, które poszerzają urzędowo wymagane zapisy.)

NIEZWYKŁY ŁAŃCUSZEK

(Ceuta, Gibraltar, Japonia)

Rzeczy drobne i powszechne stają się niezwykłymi, jeśli przywołują ważne i ciekawe wspomnienia. Rzadko się jednak zdarza, by dwa małe przedmioty, pochodzące z różnych części świata, tworzyły jedną niepowtarzalną całość, a razem przypominały dużo, dużo więcej.

Wszystko zaczęło się w Ceucie, choć tak na dobrą sprawę, to chyba znacznie wcześniej. Do dzisiaj tego dokładnie nie wiem, kiedy i dlaczego.

Z torbą przewieszoną przez ramię, w której znajdowała się duża kamera i najpotrzebniejszy ekwipunek, udałem się za miasto. Samotnie szedłem w stronę granicy z Marokiem, która znajdowała się na otaczających wzgórzach. Coraz wyżej i wyżej. Kończyły się powoli zabudowania mieszkalne, rozciągnięte wzdłuż drogi, ustępując miejsca jednostkom wojskowym i zalesionym, czasem skalnym grzbietom górskim.

Przy rozłożonej po lewej stronie szosy jednostce wojskowej z dużą ilością sprzętu, wartowniami i krzątającymi się wszędzie żołnierzami, postanowiłem dla pewności zasięgnąć języka. Miałem wątpliwości, czy można iść dalej, aż do pasa granicznego, czy nie, i jak to jeszcze daleko.

W bramie zastopował mnie wartownik. Po francusku i angielsku usiłowałem wytłumaczyć młodemu Hiszpanowi cel swojej wizyty, ale co do skutku moich argumentów wcale nie miałem pewności. Chyba nie bardzo zrozumiał, o co mi chodzi. Na szczęście

znajdujący się w pobliżu sierżant podszedł, by sprawdzić z jakim to problemem przybył cudzoziemiec.

Przedstawiłem się, podając, że jestem oficerem stojącego w porcie polskiego żaglowca „Daru Młodzieży”. Ta informacja wyraźnie zainteresowała mojego rozmówcę, który jak przyznał, przejeżdżał koło statku i czytał o nas w gazecie. „Dar” wywarł na nim duże wrażenie.

Po krótkiej rozmowie podałem cel mojej wizyty. Powiedziałem, że chciałbym, jeśli to możliwe, dojść do samej granicy z Marokiem, a po drodze, z jakiegoś wzgórza sfilmować Ceutę i Gibraltar.

Decyzja nie leżała w kompetencji życzliwie do mnie nastawionego sierżanta. Zgodził się jednak zaprowadzić mnie do oficera dyżurnego. Na szczęście, jak się później okazało, oficera dyżurnego spotkaliśmy na niewielkim placyku za budynkami. Stał obok gazika i rozmawiał z jakimś innym oficerem w mundurze i osobą po cywilnemu.

Sierżant, niezrozumiałe dla mnie, bo po hiszpańsku meldował cel mojej wizyty. Z zachowania oficera starałem się wyczuć jaka będzie decyzja. Wydawało mi się, że sprawy nie wyglądają dla mnie zbyt wesoło. Dla pewności, próbując przechylić szalę na swoją stronę, włączyłem się do rozmowy:

- Bonjour mes amis! Comandore rezerwe Marine Militare de Pologne - przedstawiłem się po francusku, witając z gospodarzami. Wiedziałem, że tu na granicy z Marokiem język ten będzie im znacznie bardziej znany niż mnie.

- Obecnie drugi oficer, nawigator z „Daru Młodzieży”, Polska Marynarka Handlowa – dodałem dla pełnej informacji, wyciągając legitymację, w której polskie słowa obok zdjęcia; komandor rez. były również zrozumiałe dla Hiszpanów.

Dalsza rozmowa przebiegała już w przyjacielskiej atmosferze. Z pozwoleniem na udanie się pod samą granicę nie miałem najmniejszych trudności.

- Dobrze się składa, bo porucznik – wskazał oficer dyżurny na najmłodszą osobę po cywilnemu – będzie jechał gazikiem do najdalszego posterunku granicznego, więc możesz z nim pojechać.

Na pewno z chęcią wszystko ci pokaże, a pieszo do granicy jest jeszcze kawał drogi.

Kilka minut później jechałem zupełnie pustą szosą, pnącą się coraz wyżej.

- Droga łącząca Ceutę z Marokiem jest poniżej, właśnie tam – porucznik wskazał szosę w obniżeniu między dwiema górami. – Ten asfalt jest tylko do naszych jednostek na granicy i do starej twierdzy.

Zatrzymaliśmy się w zalesionej dolinie, z której dobrze było widać mury obronne nad urwiskiem i starą warownię wystającą ponad nimi.

- Z wjechaniem do środka byłyby kłopoty, ale za to podjedziemy do punktu widokowego, z którego najlepiej widać Ceutę i Gibraltar – wyjaśniał uprzejmie i z ochotą. Młody porucznik mówił z pasją, z której przebijała miłość do gór i przyrody, widać było dobrą znajomość terenu. Jego francuski był nienaganny, mój natomiast sprawiał mi wiele problemów. Znacznie bardziej wolałem posługiwać się angielskim, ale tu z kolei Hiszpan miał trudności. W sumie jednak, w języku angielsko – francuskim dogadywaliśmy się bez trudu.

Skręciliśmy w leśną dróżkę i zatrzymaliśmy się po kilkuset metrach. Po krótkim przejściu wśród zarośli ukazał się przed nami nagi, skalisty grzbiet.

- Z wierzchołka jest piękny widok, zobaczysz! Dziś mam wolne, więc mi się nie spieszy. Z przyjemnością pójdę z tobą – wyjaśniał sympatyczny przewodnik.

Weszliśmy na nagi szczyt. W dole rozciągał się cały półwysep i miasto Ceuta. W miniaturowych zarysach portu z trudem wypatrzyłem sylwetkę „Daru Młodzieży”.

- Tam, hen za Gibraltarą jest mój dom rodzinny – wskazał w lewo młody porucznik.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Daleko na horyzoncie bez trudu rozpoznałem lekko przymgloną skałę Gibraltarą. Zapanało krótkie milczenie.

- Skąd jesteś? – zapytałem po chwili.

- Z Toledo. Tam też jest moja dziewczyna - mówił z utopionym w dal wzrokiem.

W milczeniu patrzyliśmy na widoczny na północy skrawek kontynentu europejskiego.

- Żołnierska służba, już ponad rok tu jestem – mówił cicho. - Tu płacą lepiej, ale i tak niebawem wracam na kontynent i wtedy się ożenię.

Nie przerywałem zadumy. Tylko słaby wiatr z lekka zakłócał ciszę, panującą na nagim szczycie.

Popatrzyłem bardziej w prawo od miejsca, gdzie Hiszpan wskazywał położenie Toledo, gdzie powinna być Polska.

- A gdzieś tam daleko – wskazałem po chwili – jest Gdynia i Rumia. I też za kilka dni będę wracał. Może z Port Saidu?

- A mówiłeś, że płyniecie do Japonii? Wasz rejs przecież dopiero się zaczął - zdziwił się porucznik i ożywienie zajaśniało na jego twarzy.

- Tak! Ale nie muszę płynąć do końca. Mogę zejść wcześniej - odparłem, nie chcąc wyjaśniać powodów „myślenia na głos”.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że udzielił mi się nastrój zadumy mojego młodego przyjaciela.

Odwróciliśmy się.

- Tu, pasmem tych wzgórz biegnie granica i są nasze posterunki. A tam, widzisz? – pokazał palcem – jest najwyższa góra na naszym terenie. Ale widoki są gorsze niż stąd – stwierdził ze znanstwem.

Przez chwilę przyglądałem się wskazanym miejscom.

- Do tej wysokiej góry też bezpośrednio nie da się dojechać. Tak jak tu - uzupełniał informację sympatyczny przewodnik – Ale jeśli chcesz?...

- Ja najchętniej poczekałbym na ciebie tu, do twego powrotu, gdy załatwisz swoje sprawy. Chciałbym uwiecznić to miejsce na video, a jak widzisz, to nie wyciągnąłem nawet kamery – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Ale to mi zajmie co najmniej pół godziny – odparł Hiszpan – chcesz tak długo czekać?

- Nie będzie problemu, nawet gdyby była to godzina.

Porucznik odjechał, zostawiając mnie na nagim szczycie. Pofilmowałem trochę i kamerę pozostawiłem w skalnym zagłębieniu. Sam natomiast usiadłem w najbardziej wygodnym miejscu na wierzchołku góry i przyglądałem się wspaniałej panoramie rozciągającej się naokoło. Po zlustrowaniu wszystkiego, wzrok prawie mechanicznie, z powrotem przeniósłem na Skałę Gibraltaru.

„Toledo. Dom. „Dar Młodzieży” – przeglądałem w milczeniu obrazy.

Jak Arab modlący się w stronę Mekki, tak i ja patrzyłem w dal, poza błękit wody biegnący do horyzontu, do samego Domu. W ciszy zastanawiałem się nad decyzją wcześniejszego powrotu.

„Kiedy zdecydowanie zgłosić, że dalej nie płynę i proszę o przysłanie zmiennika w najbliższym porcie? Nawet na mój koszt” – rozważałem z goryczą w sercu. Miałem już wszystkiego dość.

I to nie dlatego, że się stęskniłem, bo i kiedy? Nie dlatego też, że ciężka praca, niebezpiecznie albo że nie wiedziałem, co robić, bo przecież bywałem w stokroć trudniejszych sytuacjach.

A jednak sytuacja na „Darze Młodzieży” była dla mnie nie do zniesienia. Na zagranicznym statku już dawno bym to wszystko rzucił i zszedł. Tu tymczasem przyszedłem do pracy dla przyjemności, ze stratą kilkudziesięciu dolarów dziennie, a doświadczam tylko zgryzoty i upokorzenia. Zastanawiałem się, co zrobić, przywołując ponure wspomnienia ostatnich tygodni.

- Ale dlaczego? Czyżby polskie piekło? – A może polskie układy? – pytałem siebie w duchu.

Siedziałem samotnie na swej łysej górze, spoglądając na Afrykę i Europę, oddzielone błękitnym morzem. Myślami czarnymi jak atrament wracałem do początku, do Gdyni. W pamięci przesuwało się wszystko: telefoniczna propozycja zamustrowania na „Dar”, rejs ze Szczecina do Gdyni, potem rejs do Hamburga, powrót, decyzja o rejsie do Japonii, dziwna zmiana komendantów i kompletowanie załogi.

Tu zacząłem się zastanawiać:

„Z oficerów pokładowych nikt nie chciał płynąć, szczególnie gdy stało się wiadome, że będzie dwóch komendantów i jakich” –

myślałem, siedząc na skale. „Popełniłem wielki błąd. A przecież mnie ostrzegano, że atmosfera będzie nie do zniesienia. I to tyle osób! A ja, stary dureń, byłem taki naiwny, uważałem, że wszystko się jakoś ułoży”. - Nie chciałem dłużej o tym myśleć. Ale jak można podjąć poważną i ciężką decyzję, żeby jej dogłębnie nie rozważyć?

Więc rozważałem - dlaczego jest tak, jak jest?

Przecież nigdy wcześniej nie spotkałem się na statku z głównym komendantem. Więc skąd te uprzedzenia do mnie, od samego początku? Gdyby byli oficerowie chętni, by popłynąć w tym rejsie, to na pewno dla mnie nie byłoby miejsca. Mimo że komendant w oczy mi tego nie powiedział, a wręcz odwrotnie, zapewniał o swojej dobrej woli i życzliwości w stosunku do mojej osoby, wiedziałem, że to blef przykryty nieszczerym uśmiechem. Wiedziałem to od Działu Kadr, od wielu wykładowców i oficerów. Na tydzień przed planowanym wypłynięciem w kilkumiesięczny rejs do Japonii było zamustrowanych dwóch komendantów, ale ani jednego oficera! Mimo że od miesiąca byłem chętny na rejs, mustrowałem trzy dni przed Wigilią, na prośbę władz szkoły, bo chciałem już z rejsu i z „wodzenia mnie za nos” zrezygnować.

W ostatniej chwili, po usilnych namowach z Kadr i w obawie, by nie stracić mieszkania w Hotelu Asystenckim, jako starszy oficer mustrował Waldek Synak, rezygnując z dobrego kontraktu. Musiał również zmienić plany Jarosław Cydejko, stały pracownik WSM, który planował zmienić mnie w Osace. Jednak zgodził się płynąć tylko do Suez.

„Dar Młodzieży” wypływał z Gdyni 28 grudnia z wakatem pierwszego i trzeciego oficera, mając dwóch komendantów, dwóch drugich oficerów i paskudną atmosferę na pokładzie.

Rozważałem dalej, nadal nie wiedząc, dlaczego jest tak, jak jest.

„ A może postawiłem mu dwóję, gdy był moim studentem? Hmm! Kiedyś coś u mnie poprawiał? Nie! Chyba nie byłby aż tak pamiętliwy?”

„Więc co? - Książka? Krytykowałem w niej ludzi-chorągiewki, podnosiłem wiele spraw, ale to mój pogląd”.

„Moja znajomość żagli też nie wchodzi w rachubę, bo dopiero teraz, w Ceucie, po raz pierwszy od wyjścia z Gdyni zostały rozsejzinguowane żagle rejoye na żaglowcu”.

Na próżno się głowiłem, nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Ale co ja mam teraz zrobić? - odpowiedź musiałem znaleźć sam, rozważając ten problem na odludnej górze.

Dobijały mnie wspomnienia Sylwestra, najsmutniejszego w całym moim życiu.

„Czy zrobiłem coś nie tak?” – starałem sobie przypomnieć wszystko dokładnie. - „Nie! Postąpiłem zupełnie normalnie. Czy mogłem uczynić coś innego?”

O północy kończyłem wachtę na mostku, zmieniał mnie Waldek. Też witał Nowy Rok, składał wszystkim życzenia w salonie. To całkiem zrozumiałe, że zmiana się opóźniła, a ja musiałem stać na mostku o ponad dziesięć minut dłużej. Po zmianie, prosto z wachty wszedłem do salonu zostawiając za drzwiami sztormiak. Nie było już czasu na przebieranie się w mundur galowy i nie tylko ja byłem tak ubrany.

Więc wszedłem, stanąłem na środku, skłoniłem głowę w stronę stołu komendantów i złożyłem głośno życzenia – „Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku”.

Zapanowała cisza. Wszyscy patrzą to na mnie, to na komendantów, a tu nic. Niektórzy dyskretnie kiwają i robią dla mnie miejsce, ale dla komendantów oficer schodzący z wachty jest powietrzem.

Czas wydawał się wiecznością, powiększał nieprzyjemny policzek.

Już chciałem się zakręcić na pięcie i opuścić salon kapitański, bo gospodarz nie zdobył się na żaden gest, gdy od stołu komendantów podniósł się Niemiec z Bremenhaven, Hans Rummel i podszedł do mnie.

- Jozef, szczęśliwego Nowego Roku – witał mnie serdecznie, składając Noworoczne Życzenia. By złożyć życzenia oficerowi schodzącemu z wachty, na flagowym statku Polskiej Marynarki Handlowej, musiał pomyśleć aż Niemiec!

Dopiero po chwili główny komendant podniósł się ociężale i z nieszczerym uśmiechem wyciągnął rękę

– No to sekund, najlepszego w Nowym Roku.

Komendant–dubler, który siedząc tyłem do środka salonu, nie widział jak wszedłem (co częściowo go usprawiedliwia), przechylił tylko lekko tułów i nie wstając, wyciągnął rękę do tyłu!

Zmaltretowany psychicznie, nie wiedząc, co z sobą począć, przysiadłem się do pierwszego z brzegu stolika i z goryczą wypilem przydzielowy kieliszek szampana. Pocieszany przez załogę, z której co poniektórzy klęli w żywy kamień atmosferę Sylwestra, składaliśmy sobie życzenia.

Salon szybko pustoszał, by drętwą i sztywną atmosferę zmienić jak najprędzej na normalną i szczerą we „własnym gronie”, które tworzyło około 90 procent załogi. Ale nawet słyszane zewsząd szczerze i przyjazne zaproszenia „przyjdź do nas”, lub „wpadnij do mnie” nie były w stanie zlikwidować mego przygnębienia.

To jednak można by było wybaczyć i zapomnieć, jak zapomina się koszmarny sen, gdyby nie codzienna, równie ponura i smutna rzeczywistość, która powtarzała się każdego dnia.

Obaj komendanci, by przekonać siebie i wszystkich dookoła o niezbędności na statku aż dwóch wodzów, może z nudów, a może po prostu, mając wyrzuty sumienia, żeby za darmo nie brać pieniędzy, również pełnili wachty na mostku dublując oficerów.

To też nie byłoby jeszcze tragiczne, gdyby pierwsi po Bogu nie uwierzyli, że sami są bogami, że są nieomylni.

Właśnie to, szczególnie dla mnie było przykre. I to wcale nie dlatego, że czasem mam rogowatą duszę. Nie dlatego też, że zawsze na czarne mówiłem, że czarne, a na białe - białe. A nawet nie ze względu na może naiwną, szczerą i otwartość.

- Przykre było, że wynikało to z mojej znajomości akwenu, po którym właśnie płynęliśmy i bagażu posiadanych doświadczeń.

Pływając dziesiątki razy rutami Morza Północnego na zagranicznych statkach, często we mgle, w sztormach, niekiedy przy słabym wyposażeniu nawigacyjnym i najczęściej nawet bez sternika, teraz tu, na „Darze Młodzieży”, tylko na silniku, w dodatku przy niezłej pogodzie i przy wspólnym wyposażeniu, przy którym

nawet bardziej inteligentna małpa mogłaby być nawigatorem, czułem się jak kierowca na dobrej autostradzie o małym ruchu, po której często jeździłem.

Mimo woli nie zwracałem uwagi na rzeczy nieistotne dla statku, tak, jak kierowca nie zwraca uwagi na nieinteresującą go reklamę przy szosie.

I dlatego czasem „podpadałem”.

- Sekend! Co to za światło? – Usłyszałem od mojego „anioła stróża”.

- Które?

Jeśli po pokazaniu kierunku, do ledwo co widocznego przez lornetkę światełka od obiektu, do którego radar wyliczył, że nie może się on zbliżyć na odległość mniejszą jak cztery, pięć mil powiedziałem:

- Nie widzę tego światła - wtedy od razu reprimenda:

- Ja widzę, a pan nie widzi? To co to za oficer?

Siedziałem nadal na skalnym grzbiecie, wpatrzony w przestrzeń i morze i cofałem się myślami do niedawnej rzeczywistości. Zdawałem sobie sprawę z tego, że każda moja decyzja, jaką teraz podejmę, będzie miała dla mnie przykre następstwa. Decyzja bez złotego środka.

- Ta ostra wymiana zdań, na wysokości Portugalii, też zaczęła się od jakiegoś nieistotnego obiektu – przypominałem sobie.

- Oczywiście! Tak mi się wymknęło przy jakiejś uwadze starego: „ten obiekt mnie nie interesuje”.

I zaczęło się.

- Na morzu nie ma dla oficera przepływających statków, które go nie interesują. Wszystko musi pana interesować....

- Oczywiście! Ale ten statek przechodzi obok nas w odległości aż pięciu mil i dlatego nie ma dla nas żadnego znaczenia. Może źle się wyraziłem – uściśliłem wypowiedź.

I to był powód?

- Ja pana cały czas obserwuję ... - i tu cała litania śmiesznych uwag: Gdzie to oficer powinien stać. Kiedy chodzić od skrzydła do skrzydła, a kiedy patrzeć w radar. Przykładać trójkąt i przenośnik,

czy przesuwac dwa trójkąty nawigacyjne? Czy instruktor ma być na mostku, czy na pokładzie? ... Zwykła dziecinada.

Najzabawniejsze w tych beznadziejnych uwagach było to, że jednego dnia coś było tak, a drugiego zupełnie na odwrót. Na dodatek, to co zalecał jeden komendant, to u drugiego mogło być „przestępstwem”. Wszystko razem sprowadzało się do problemu - czy do zupy wrzucić 8777 ziarenek soli, czy może wystarczy 8775 ?

Wyprowadziło mnie to z równowagi

- Nie ma pan racji, bo.... – odpowiadałem prosto z mostu na każdy bezsensowny zarzut.

Głupie gadanie, które i świętego by ruszyło! A przecież mimo to, mówiłem bardzo grzecznie i spokojnie – rozważałem dalej, siedząc na wierzchołku łysej góry, na styku dwóch kontynentów.

- I jeszcze ta odzywka – „Jak pan dalej będzie tak samo pełnił wachty, to się rozstaniemy w najbliższym porcie. Dla mnie to żaden problem pana zmustrować. To ja decyduję, czy mi się ktoś podoba, czy nie, a mogę zrobić wszystko”.

Wcale się tym nie przejąłem, a nawet odwrotnie. Cała sytuacja stawała się śmieszna w swej głupocie. Odpowiedziałem, tak jak czułem:

- To, że pan jest komendantem, wcale nie świadczy, że ja będę robił z siebie durnia. Od początku szuka pan dziury w całym i nic więcej. Ja też się zastanowię, czy nie poprosić w najbliższym porcie o zejście. Cały czas zastanawiam się, kiedy ja nadepnąłem – (tu nazwisko) - na odcisk, ale niestety nie mogę sobie tego przypomnieć. Może pan mi to przypomni.

Trochę zdryfował i zaczął się robić dobrodusznym i bardzo przychylnie nastawionym, który tylko... Dla dobra statku... Bezpieczeństwo ponad wszystko...i cała gęba frazesów.

- Która to już jest godzina? Miguel chyba powinien zaraz być? – przypomniało mi się na marokańskiej górze, odrywając mnie od problemów „Daru”.

Hiszpański porucznik nadal nie nadjeżdżał i dopiero po dłuższej chwili usłyszałem warkot gazika na leśnej ścieżce u podnóża mojej góry. Wstałem i pozbierałem swoje rzeczy. Miguel pojawił się niebawem.

W drodze do jednostki wojskowej na skraju Ceuty zapomniałem do reszty o brzydkich układach międzyludzkich na „Białej Fregacie”. Po dojechaniu na miejsce przemili gospodarze zaprosili mnie na kawę. Serdeczna pogawędka wprowadziła mnie w całkiem dobry nastrój.

Na „Dar Młodzieży” wróciłem samochodem osobowym z Miguelem, jeszcze jednym porucznikiem i jego narzeczoną. Pokazałem im statek. Młoda para kochanków szybko jednak się ulotniła, a my w dwójkę zeszedliśmy do mojej kabiny.

Rozmowa młodego hiszpańskiego porucznika ze znacznie starszym komandorem ppor. rezerwy Polskiej Marynarki Wojennej przebiegała bardzo serdecznie. Przy szklaneczce whisky oglądaliśmy zdjęcia naszych najbliższych, i tych daleko w Rumi, i tych trochę bliżej w Toledo.

Wszystko jednak ma swój koniec. Zbliżał się czas rozstania. Młody, przecież niedawno co zapoznany przyjaciel – chyba mam prawo do takiego określenia – zdjął z szyi błyszczący łańcuszek.

- Jozef, niech to będzie na pamiątkę naszego spotkania – powiedział wręczając mi go w prezencie.

Spojrzałem na trzymany mały przedmiot. Bez trudu rozpoznałem, co to jest. Był to wojskowy łańcuszek, z owalną blaszką łatwą do przełamania w pół, na której był wygrawerowany numer identyfikacyjny żołnierza i jego grupa krwi. Gdyby był ranny, to blaszka informowała jaka grupa krwi jest potrzebna do transfuzji i komu. Gdyby natomiast zginął, to odłamaną połówkę wysłano by rodzinie.

- Ależ Miguel, nie mogę tego przyjąć! To jest twoja najbardziej osobista i niezbędna rzecz. Ty to musisz nosić!

- Nie przejmuj się, Josef. Napiszę oświadczenie, że mi zginęła i muszą mi zrobić nową. Zatrzymaj to na pamiątkę Ceuty, naszej miłej rozmowy i porucznika z Toledo, który tęskni do swojej dziewczyny.

Trzymałem w ręku bardzo osobisty przedmiot, gorączkowo się zastanawiając, czym mogę się zrewanżować. Nie miałem nic porównywalnego, ba, nie miałem żadnej rzeczy, która by mogła przypominać Polskę, polskiego oficera, lub „Dar Młodzieży”. I tu

zaskoczyłem. Przecież mamy na statku talerzyki ze złożonymi obwódkami, ładnym wzorkiem i sylwetką naszego żaglowca. Taki mały talerzyk podarowałem Miguelowi.

Sympatycznego gościa odprowadziłem aż na nabrzeże. Już po uścisku ręki na pożegnanie hiszpański porucznik powiedział uśmiechając się:

- Gdy ty będziesz dopływał do Japonii, to ja się będę żenił. Nie zapomnij tam w Japonii wznieść toast za moją pomyślność.

- Na pewno nie zapomnę – odpowiedziałem równie zaskoczony jak wtedy, gdy wręczał mi łańcuszek.

Zostałem w dziwnym nastroju. Po powrocie do kabiny szybko się jednak pozbierałem. Jeszcze raz wziąłem do ręki ten niezwykły podarek. Na jajowatej blaszce z jednej strony było wygrawerowane ESPANA poniżej i powyżej nacięć na przełamanie, a na drugiej w kwadracikach i prostokącie C, B, +, A4, AQ23 po obu stronach przełamania.

Decyzja, którą rozważałem na skalistej górze, podjęła się sama. Pozostawiony łańcuszek miał mi o tym przypominać. Miał przypominać, że muszę wytrwać do Japonii, by tam wypić zdrowie młodej pary z Toledo, która z kolei, w dalekiej Hiszpanii miała wznieść toast za pomyślność naszych regat.

„Nie będę sobie brał do serca tych głupich, małych intryg, skoro można spotykać ludzi tak przyjaznych i tak wielkiego serca – rozmyślałem wkładając łańcuszek w bezpieczne miejsce do szafki. – Przecież przyszedłem na „Dar”, by poznać, jak się na nim pływa. Dla wrażeń i przygody, a nie dla pieniędzy. Przecież rzeczywistość, nieważne smutna czy wesoła, przechodzi najśmielsze oczekiwania. Tego nawet w książkach bym nie wyczytał!”

Postanowiłem ze spokojem robić wszystko, by osiągnąć porozumienie z niezyczliwymi mi ludźmi, ale nie za wszelką cenę. Jeszcze się łudziłem, że rozsądek i dobra wola zwycięży uprzedzenia i głupotę. Jakże się wtedy co do tego myliłem!

Łańcuszek długo musiał leżeć w szafce, nim rejs „Daru Młodzieży” dopisał do niego dalsze niezwykle zdarzenia. Pierwsze z nich miało miejsce w Kagoshimie, a drugie dopiero po kilku miesiącach, gdy „Dar” wrócił do Gdyni.

W tym czasie zmieniali się na statku wykładowcy, przyleciał trzeci oficer Przemek Dziula, a do kraju wrócił Jarek Cydejko. Zmieniały się morza i porty, a stosunki międzyludzkie ciągle pozostawały takie same.

Początek regat w Hongkongu przyniósł nowe emocje. Zaczął się ostatni etap w rejsie statku.

Do Naha na Okinawie przyleciał rektor Duszpasterstwa Ludzi Morza ojciec Edward Prac. Jak się okazało, był nie tylko dobrym kompanem na wycieczkach i podczas zwiedzania, ale i dobrym organizatorem. Tę wycieczkę na drugi koniec Kagoshimy, a ściślej do podmiejskiej miejscowości Taniyama, on właśnie zorganizował.

Ojciec miał zanotowane adresy parafii Redemptorystów w całej Japonii i przy pomocy mapy wyszukał najbliższą z nich. Przez telefon uzgodnił czas naszej wizyty i dowiedział się jak dojechać.

Z „Daru” wyszliśmy koło południa. Oprócz przewodnika wycieczki, księdza Edwarda, w eskapadzie uczestniczyli: Gienek Stankiewicz, Leszek Smolarek, Zdziszu Mirecki i ja. Tramwajem, który miał pętlę o kilka minut marszu od naszego statku, jechaliśmy aż do ostatniego przystanku linii, skąd pieszo było również kilka minut drogi. W okolicy kościoła byliśmy jeszcze przed umówionym czasem wizyty.

- Te kilkanaście minut pochodzimy po sklepikach przedmieścia – zadecydowaliśmy jednym chórem.

W Japonii jest dużo pamiątek i bardzo ciekawych wyrobów z porcelany. Podczas gdy koledzy udali się do sklepów elektronicznych, ja zapamiętałe buszowałem w składzie porcelany i różnych pamiątkowych wyrobów. Po kupieniu kilku drobnych przedmiotów w pośpiechu wyszedłem na ulicę.

Targowa ulica biegła wzdłuż linii klejowej do Kagoshimy, przechodzącej na znacznym odcinku obok naszego tramwaju. Kościółek znajdował się po drugiej stronie torów. Nie mogłem się dopatrzeć nikogo z naszej grupy. Do przejścia kolejowego prowadziły dwie krótkie uliczki.

- Którędy oni poszli? – zadawałem sobie pytanie, rozglądając się wokół. – Jaka różnica, zaraz spotkamy się przy kościółku –

zadecydowałem, skręcając w najbliższą mnie uliczkę prowadzącą w stronę torów.

Szedłem samotnie, dokładnie się rozglądając. W pobliżu był przystanek kolejowy, obok którego stało dziesiątki, a może setki rowerów.

„Nawet w Zachodniej Europie trudno zobaczyć w jednym miejscu aż tyle rowerów” – pomyślałem przechodząc obok.

Po naszych ani śladu. Na placyku przed świątynią byłem siedem minut przed umówionym czasem. Zauroczony otoczeniem, wyciągnąłem z torby kamerę. A było co filmować.

Kościółek otaczała parterowa zabudowa domków jednorodzinnych z pięknymi ogródkami kwiatowymi, prawie śródziemnomorską roślinnością i niezwykle charakterystycznymi drzewkami bonzaji, jak zwykle fantazyjnie poprzycinanymi. Placyk przed świątynią fascynował jednak najbardziej.

Gdyby nie wieża z krzyżem, niezbyt mocno górująca nad parterową zabudową otoczenia, na pierwszy rzut oka trudno byłoby zgadnąć, co się kryje wewnątrz. Pewne jedynie było to, że budynek, a ściślej zespół budynków tonący w drzewach i kwiatkach, musi spełniać jakieś funkcje społeczne. Duża ilość rowerów, mniejszych i większych, niedbale pozostawianych obok podestu prowadzącego do szerokich drzwi, świadczyła dodatkowo, że wewnątrz jest wiele osób. Na podeście stały szeregiem kolorowe dziecinne buciki.

„Chyba jeszcze trwa lekcja religii. To dlatego podano nam godzinę spotkania” – pomyślałem spoglądając na zegarek. „Lekcja zaraz powinna się skończyć”.

Korzystając z nieobecności kolegów i spokoju wokół, filmowałem najbardziej charakterystyczne miejsca. Obiektów niezwykłych dla mnie było tak dużo, że nie byłem w stanie uwiecznić wszystkiego, a o zastanawianiu się co jest co, w ogóle nie było mowy.

Placyk przypominał rajski ogród. Pod dużą rozłożystą palmą widać było krzewy o przepięknych kwiatkach, a jeszcze niżej całe ich klomby buchające tysiącem kolorów. Jakies niewielkie skałki, glazy, pluszcząca fontanna i niewielkie jezioro, zapewne sztuczne, ale niezwykle naturalnie wkomponowane w skały i kwiaty. I te dziwne

drzewa, kamienna rzeźba Madonny z Dzieciątkiem pod niewielką palmą o intensywnie zielonych, woskowatych liściach.

Musiałem przerwać filmowanie. Zjawili się koledzy i zapraszani przez gospodarzy weszliśmy do środka budynku przyległego do kościoła.

Proboszczem parafii był stary zakonnik niemiecki, mający do pomocy japońskiego wikariusza. Siedzieliśmy przy dużym, długim stole, przy którym wystarczyłoby miejsca dla dwudziestu osób. Częstowani miejscowymi delicjami i napojami poznawaliśmy realia Kościoła w Japonii, stosunek do wiary, zwyczaje i wierzenia Japończyków.

Rozmowa była długa i interesująca. Dowiedzieliśmy się, że parafia jest pod wezwaniem Św. Ducha i liczy 480 wiernych. W rejonie Kagoshimy jest ich około 9 000. My byliśmy pierwszymi Polakami w kościele, a ojciec Edward pierwszym polskim Redemptorystą w parafii.

Niezwykle interesujące było to, że w lekcjach religii uczestniczą dzieci buddyjskie i „wierzeń japońskich”, oraz że w kościele odbywają się śluby według wzorów katolickich Japończyków niekatolików.

Po kościele i wszystkich przyległych pomieszczeniach wprowadzali nas nasi gospodarze. Wszystko z sobą się łączyło, tworząc jedną bryłę architektoniczną, spełniającą jednocześnie funkcje kościoła, szkoły, sali gimnastycznej, ośrodka kultury, wypoczynku, rekreacji, a nawet - jak potrzeba - również dużej sypialni. Była też salka ze sceną widowiskową, z zasuwaną kurtyną i fortepianem. Aż trudno było uwierzyć, ile funkcji spełnia ten niepozorny przybytek i gdzie się to wszystko mieści.

Główna nawa kościoła - w porównaniu do Polski raczej średniej wielkości - była znacznie niższa niż u nas, miała wystrój prosty i surowy, a jednocześnie bardzo oryginalny. Ołtarz tworzył ogromny leżący pień drzewa, obciosany z dołu i z góry, który pomimo to dawał blat Stołu Pańskiego na normalnej wysokości, jaką się spotyka w naszych kościołach. Chrzcielnica po lewej stronie była wyżłobiona również w pniu, ale dla odmiany w stojącym pionowo.

Ta prostota oparta na naturze, dziwnie zgadzała się z nowoczesnością i lekkością architektury całego pomieszczenia. Duża ilość przeszklonych powierzchni, dawała dużo światła, powodowała jednocześnie uczucie lekkości i swobody.

W przeszklonym prawym rogu świątyni, pomiędzy stacjami Męki Pańskiej, widać było poprzez tafle szkła stoły pingpongowe i całą gamę sprzętu sportowego, a w salce obok, leżące na podłodze materace.

Oglądaliśmy wszystko. Były salki do różnych uroczystości, towarzyskich spotkań, rozwijania różnych zainteresowań, a nawet do zwykłego spotkania, żeby poplotkować. Była wypożyczalnia książek, czytelnia, kiosk z dewocjonaliami i wystawa dziecięcych malunków. Pomieszczeń w sumie nie było aż tak dużo, ale niektóre, w zależności od potrzeb, spełniały różnorodne funkcje. Na pierwszy rzut oka było widać, że parafia tętni życiem.

Już prawie przy wyjściu kupiłem niewielki medalik. Stary zakonnik powiedział, że szkaplerzyki są sprowadzone z Niemiec. Na miejscu, specjalnie dla mnie, poświęcił mi go zakonnik japoński. Ojciec z Japonii miał ponad trzydzieści lat, był jedynym katolikiem w rodzinie, a został ochrzczony, mając dwadzieścia sześć lat!

Wyszliśmy wszyscy na zewnątrz, do „rajskiego ogrodu”, po którym uganiało się kilku malców, jakby potwierdzając funkcje rekreacyjne obiektu.

- Kto to wszystko utrzymuje w tak wzorowym porządku i czystości? Przecież jest was tu tylko dwóch zakonników – pytaliśmy z niedowierzaniem.

- Mamy dobrych parafian – odparł śmiejąc się Japończyk.

Gospodarze zaskoczyli nas jeszcze jedną niespodzianką. To co stało przy sadzawce z rybami, przy chlupiącej, wyciekającej ze skałki wodzie, a co my wzięliśmy za normalną kaplicę, okazało się cmentarzem.

Kaplica, bo mimo informacji w żaden sposób nie mogłem porównać jej do cmentarza, była w środku okrągła, z mnóstwem drzwiczek na ścianie dookoła, rozłożonych w kilku rzędach. Niemiec otworzył jedno z nich.

- Tu jest miejsce na urnę z prochami, a tu miejsce na ołtarzyk – pokazywał proboszcz.

- I bez problemu można wszystkie drzwiczki otwierać? – z niedowierzaniem pytał Zdzichu, widząc, że ksiądz uczynił to bez żadnego kluczyka.

- To jest jeszcze „niezamieszkaną” – wyjaśniał dalej niemiecki duchowny. - Zauważcie, że na jednych drzwiczkach są tabliczki z nazwiskami, a na innych nie. Te z urnami są zajęte, mają na drzwiczkach nazwiska i tylko rodzina ma do nich kluczyki.

Dopiero teraz zauważyłem tą niewielką różnicę.

- Tu nad urną rodzina kładzie zdjęcie, czasem stawia kwiaty, a zdarza się, że niektórzy stawiają nawet kieliszek sake – wyjaśniał dalej ojciec. - Jest to taki mały, prywatny ołtarzyk, przy którym rodzina czasem się spotyka, modli i wspomina zmarłego.

Wszystko to było dla nas bardzo interesujące. Kaplica – cmentarz była ostatnim obiektem zwiedzania kościoła Redemptorystów w Japonii. Bez ojca Pracza nigdy ta wyprawa nie doszłaby do skutku.

Po powrocie na statek rozpakowałem i schowałem pamiątki dzisiejszego dnia. Wszystko było pozawijane, w kartonikach i popakowane z japońską dokładnością. Tylko niewielki medalik był luzem.

- Podepnę go do łańcuszka z Ceuty – pomyślałem.

Wyjąłem z szafki pamiątkę od hiszpańskiego porucznika z Toledo. Przypomniała mi się łysa góra i rozmowa na statku.

- Ojej! Miguel! Przecież jeszcze nie wzniosłem twego toastu za zdrowie młodej pary - przypominałem sobie.

Rozpiąłem żołnierski łańcuszek i założyłem na niego medalik obok blaszki z numerem identyfikacyjnym porucznika. Całość ładnie się prezentowała.

- Będzie to podwójna pamiątka niecodziennych sytuacji – pomyślałem, przyglądając się zdublowanej wersji niezwyklej pamiątki.

Łańcuszek jednak zostawiłem na uprzątniętym biurku do spełnienia obietnicy z Ceuty.

- Pamiętaj Boziu, bym nie zapomniał wznieść toast za Miguela – powtarzałem zamykając drzwi kabiny.

I nie zapomniałem. Wypiłem zdrowie młodej pary i „wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia”, a nawet przez głośniki ogromnego cyrkowego namiotu, wypełnionego po brzegi, zaśpiewałem jeszcze wesoło „Meksykanę”, zyskując tym wielu przyjaciół z meksykańskiego żaglowca „Cuauhtemoc”, mówiących przecież po hiszpańsku. Od japońskich organizatorów w nagrodę za mój „występ artystyczny” dla polskiej grupy sprezentowali 4 litry sake. Studenci po tym moim występie nieśli mnie na ramionach, oczywiście popijając sake.

Przed wypłynięciem w morze znów musiałem schować do szafki moją cenną pamiątkę, by nie zginęła przy przechyłach.

Dziwny łańcuszek wraz z niezwykle medalikiem musiał jeszcze raz poczekać kilka miesięcy, nim życie i „Dar Młodzieży” dopisały do niego trzecie i chyba ostateczne znaczenie.

Z Osaki do kraju wróciłem samolotem w ponad stuosobowej grupie załogi i studentów w pierwszy dzień maja. Zmienili się praktykanci i znaczna część załogi.

Jak zawsze przy powrocie z rejsów, rozpakowywanie prezentów i pamiątek budziło wiele emocji u moich najbliższych. To normalne, że każdy najpierw ogląda swoje, a potem wszyscy się chwala tym, co dostali. Zawsze są też jakieś rzeczy dla domu, którym również poświęca się sporo uwagi. Łańcuszek był jednak moją osobistą pamiątką, więc odłożyłem go dla siebie, tylko pokrótce wyjaśniając skąd jest.

Żona pierwsza dopatrzyła się funkcji użytecznej mojej niezwykłej pamiątki.

- Gdyby odpiąć tą blaszkę z numerkami, to miałbyś ładny łańcuszek z medalikiem. Taki w sam raz dla mężczyzny – stwierdziła zdejmując żołnierski identyfikator.

- To dla mnie niezwykła pamiątka. Jeszcze zginie...

- Pamiątka pozostanie pamiątką. Numerki zachowasz oddzielnie, a łańcuszek oddzielnie. Dlaczego miałby zginąć?

Kobieca praktyczność wzięła górę, ale i tak oba elementy wylądowały po kilku dniach w kartoniku. Przy częstych wyjazdach

na plażę lub nad jeziora podczas tak ciepłego lata nie chciałem ryzykować zgubienia łańcuszka w czasie kąpieli. „Dar Młodzieży” tymczasem powoli zbliżał się do kraju.

Schodząc po trapie w Osace do autobusu, wiozącego nas na lotnisko, szedłem z przekonaniem, że więcej już nigdy na „Dar” nie zamustruję. Miałem serdecznie dość atmosfery, która była fatalna od początku do końca mego pobytu.

Takie lub podobne odczucia miała też cała załoga.

- Obyśmy się doczekali, że „Dar Młodzieży” będzie normalnym statkiem – stało się częstym zwrotem powtarzanim przy pożegnaniu, a nawet częstym toastem we własnym gronie używanym przez załogę.

Oprócz komendantów – też nie do końca obydwóch - i pana „Wachowskiego” – który stojąc ponad wszystkimi i ponad prawem, nic jednak wspólnego ze słynnym Mieczysławem nie miał – cała załoga nie mogła się pogodzić z tą nienormalną sytuacją, w której główna funkcja całego statku sprowadzała się do budowania prywatnej kariery. Rola załogi i studentów sprowadzała się do zwykłych śmieci, którymi można pomiatać.

Komendant wszakże miał poparcie u niektórych wykładowców ze szkoły i to tylko u tych, którzy czasowo brali udział w rejsie. Oni to z reguły siedzieli przy jego stoliku. Mając pozycję „potrzebnych”, stykali się z niezwykle uprzejmością „skromnego wodza”. Słuchając miodem płynących opowieści i narzekań, zapewne mu współczuli, jakich to ma złych oficerów i załogę, a mimo to jak wspaniale sobie radzi.

Do Japonii przyleciał Rektor Wyższej Szkoły Morskiej prof. Przybyłowski i pomału „zaczęło wychodzić szydło z worka”. Już przy tablicy rankingowej, oceniającej całą załogę statku, którą sporządzili kończący praktykę studenci, pan Rektor zastanawiał się, dlaczego komendant Daru znalazł się na ostatnim miejscu z dorobkiem minus dwadzieścia osiem punktów, a dlaczego drugi oficer - na pierwszym - z dorobkiem plus trzydzieści dwa?

Po powrocie z Osaki pierwsze dni spędziłem z dala od gwaru i zgiełku, nawet w najmniejszym stopniu nie zaprzatając sobie głowy sprawami „Daru” i z morza. Zamierzałem na jakiś czas

zawiesić pływanie, może aż do zimy, by dokończyć napisane już w połowie „Siódme morze” oraz by zająć się sprawami osobistymi i pomieszkać trochę w domu.

Sprawy nieoczekiwanie potoczyły się dość szybko w przeciwnym kierunku. Najpierw telefon ze szkoły z propozycją zamustrowania na statek szkolny „Zenit”, na dwa krótkie rejsy do Lubeki.

- Jeśli zamierzam siedzieć w domu do zimy, to co za problem wyskoczyć w morze na te dwadzieścia kilka dni – rozważałem. – Pieniądze też się przydadzą – zadecydowałem w końcu.

Odwiedziłem zaprzyjaźnione od lat załogi statków „Zenit” i „Horyzont” i uzgodniłem szczegóły zamustrowania. Wracając wstąpiłem do redakcji „Kuriera Morskiego”.

- Dlaczego od Ceuty nie przysyłał nam pan żadnych materiałów? – pytał redaktor naczelny.

Musiałem się wytłumaczyć, gdyż jeszcze przed wypłynięciem „Daru Młodzieży” obiecałem przysyłać relacje z rejsu.

- Nie mogłem lukrować ponurej sytuacji, jaka była na statku, a o przykrych rzeczach nie chciałem pisać wierząc, że się poprawią, dwa - były za bardzo bulwersujące, a trzy - to nawet nie wiem, czy byście je wydrukowali – odpowiedziałem w ramach sprawiedliwienia.

Podzieliłem się pokrótce wrażeniami z rejsu. Do skompletowania materiału na czerwcowy numer gazety zostało dwa dni. Obiecałem napisać relację z przebiegu regat i dostarczyć ją na czas.

Zdążyłem! W artykule „Z prądem i z wiatrem”, opierając się na suchych faktach, delikatnie uchyliłem rąbka tajemnicy naszego zwycięstwa.

Naszego zwycięstwa, bo regaty wygrał „Dar Młodzieży” pod takim a nie innym dowództwem, wraz z całą załogą i studentami, przy dużej dozie szczęścia i z Bożą Opatrznością!

Artykuł nie miał nic wspólnego ze zmianą komendantów, nie był nawet przysłowiową kropką nad „i”, bo nim się ukazał w druku, decyzja już była podjęta. Na pewno też nie spowodował tego

znacznie wcześniejszy artykuł Murawskiej „Niedzielni kapitanowie”, lecz skargi, relacje załogi i studentów do władz uczelni.

Po dwóch krótkich rejsach na „Zenicie” zmustrowałem z zamiarem wykorzystania dłuższego pobytu w domu. Wiedziałem, że „Dar Młodzieży” wraca pod dowództwem nowego komendanta kpt. Leszka Wiktorowicza, który wcześniej długo dowodził Białą Fregatą i uchodzi za świetnego żeglarza.

Moją sielankę znów przerwał telefon z uczelni z propozycją zamustrowania na „Dar Młodzieży” - z chwilą, kiedy wróci do Gdyni.

I zgodziłem się zamustrować do końca kampanii „Daru” w myśl opinii do dwóch poprzednich komendantów: - was usunęli, ale ja tu wracam.

...

Postój żaglowca w Gdyni miał być krótki i znów dwa rejsy zagraniczne. Żona jak zwykle pomagała mi pakować rzeczy do zabrania na statek. Zawsze wkładała mi też ten sam święty obrazek, który już miał nawet nazwę „Bozia Podróżna”.

Tym razem ja sam wziąłem jeszcze jedną rzecz. Założyłem sobie na szyję mój niezwykły łańcuszek, nie jako pamiątkę z „Daru...”, ale jako dobry amulet. Tak na szczęście i pod opiekę cudownego medalika.

W tych ostatnich podróżach „Dar Młodzieży” rzeczywiście okazał się normalnym statkiem ze zdrową atmosferą. Kapitan Leszek Wiktorowicz, wspaniały żeglarz i solidny człowiek, mimo że pierwszy po Bogu, wcale nie dopatrywał się u siebie cech boskości. Na Darze Młodzieży „zasiedziłem się” jeszcze na ponad trzy lata. Gdy już na dobre zdecydowałem się zejść ze statku wcale się z tego nie cieszyłem, że niebawem ze względów osobistych będę chciał zmustrować i pożegnać się ze wspaniałą załogą. Gdy to zgłosiłem kapitan Wiktorowicz był niepokieszony:

- „Józiu, jak ty schodzisz, to ja nie wypływam”.

I znów „Dar...” dopisał nowe, jakże inne znaczenie małego przedmiotu. W jedną całość połączył trzy wspomnienia, tak różniące

się od siebie, jak różne były miejsca na świecie, z których one pochodziły.

Zawsze jednak mój niezwykley łańcuszek wraz z cudownym medalikiem będzie przypominał mi cztery lata spędzone na Białej Fregacie i tak jak w tych ostatnich podróżach, będzie moim amuletem.

Z PRĄDEM I Z WIATREM

(moja relacja z regat Honkong - Osaka wydrukowana w Kurierze Morskim)

Z Hongkongu 28 marca wystartowały regaty „Sail Osaka’ 97”. Żaglowce z całego świata zacumowane przy Ocean Terminal zaczęły odbijać od nabrzeża zaraz po dziesiątej, szykując się do parady. Otwierały ją największe jednostki z klasy A. Zacumowanie rosyjskiej „Pallady” do burty polskiego „Dar Młodzieży” zadecydowało, że ona pierwsza musiała odejść, a dopiero po niej „Dar”, który wcześniej był planowany jako statek otwierający paradę.

Konkurencja tych dwóch siostrzanych statków, budowanych w Stoczni Gdańskiej, zdawała się budzić największej emocji.

Trochę mglista pogoda, zaciągnięte chmurami niebo i przeciwny wiatr w paradzie po Hongkong Fairway, nie pozwoliły na rozwijanie żagli rejowych.

Idąca na czele „Pallada”, za nią „Dar Młodzieży” i meksykański „Cuauhtemoc” ograniczyły się do postawienia sztaksli. Grała orkiestra na indonezyjskim „Dewaruci” i kobzy u nie mniej egzotycznych, rozbawionych żeglarzy omańskich z „Shabab Oman”. Następnie płynęły „Ji Fung”, „Kaisei”, „Akogare”, holenderski „Oosterschelde” i wiele mniejszych żaglowców z klasy C.

Na „Darze Młodzieży” rozsejzowano żagle rejowe, które podebrane dobrze na gordingach zwiwały tuż przy rejach mocno szarpane przeciwnym wiatrem. Paradzie pomiędzy Hongkong Island i Kowloon towarzyszyło wiele statków i łodzi motorowych, tłoczących się na wodzie wokół żaglowców.

Ślizgały się po wodzie pontony o potężnej mocy silników i kolorowe statki wycieczkowe, stylizowane na chińskie dżonki, z zięjącymi ogniem smokami na dziobie i mostkiem w kształcie pagody. Hałas był ogromny.

Łoskot śmigłowców wojskowych i cywilnych, krążących ponad żaglowcami wznagały przy Eastern Fairway samoloty startujące bądź lądujące w odstępach jedno-, dwuminutowych. Pobliskie lotnisko zbudowane na falochronie, położone w cieśninie wśród wysokich wzgórz, było dziwnym tłem.

Eleganckie i romantyczne statki o konstrukcjach z minionej epoki, płynące wzdłuż pasa startowego ruchliwego lotniska i startujące w dwudziesty pierwszy wiek potężne odrzutowce tworzyły ciekawy kontrast i niezapomnianą scenerię.

Jumbojety wznoszące się ponad wysokimi masztami dużych żaglowców, zmuszały do zadumy i refleksji. Wszystkich przytłaczał natłok wrażeń.

Przy pozycji startu było już spokojniej. Wystartowali równo. Na linię startu żaglowce wchodziły pod pełnymi żaglami, stopując maszyny odstawiały je do końca pierwszego etapu regat z Hongkongu do japońskiego Naha na wyspie Okinawa.

„Dar” wystartował pomiędzy rosyjską „Palladą” a meksykańskim „Cuauhtemoc”. Było ciasno. I tu miły gest Rosjan - odbili w prawo, robiąc nam miejsce. Zaczęło się! Do pokonania wiele mil ciekawej trasy.

- Kto będzie lepszy? Do kogo uśmiechnie się szczęście? - zastanawiali się wszyscy.

Już pierwsze godziny pokazały wspaniałe możliwości skonstruowanych w Polsce i zbudowanych w Gdańsku żaglowców. „Pallada” z „Darem” szła łeb w łeb, albo lepiej bukszpryt w bukszpryt, pozostawiając za sobą wszystkich konkurentów, których już po trzech godzinach nie było widać. Pozostali widoczni tylko na radarze.

Na zdanie mojej pierwszej po starcie wachty „Dar” miał około mili przewagi nad „Palladą” i bardzo dobry, bojowy nastrój załogi. Statek pokazał swoje walory i duże możliwości.

Gdy wróciłem na mostek po ośmiu godzinach, sytuacja wyglądała całkiem inaczej. Instruktor pierwszej wachty - Tomek i drugiej - Artur, którzy w regaty wkładali całe serce i dużo emocji, przywitani mnie mocno zdenerwowani.

- Panie poruczniku! Mamy osiem godzin do tyłu! Zaraz po pana wachcie wiatr zaczął kręcić w prawo i z NW przeszedł na E. Wszystkie statki zmieniły hals i zostały na północy, a my kręcąc z wiatrem, idziemy na południe i oddaliśmy się od Tajwanu, a nawet się cofamy, bo mamy już ponad 190 stopni zamiast 90 i wiatr prawie siadł.

Spojrzałem na mapę elektroniczną. Kolorowa kreska, pokazująca wykres drogi w ostatnich godzinach rzeczywiście biegła prosto na południe, a nie na wschód w stronę Japonii. Sytuacja zdała się potwierdzać słowa instruktorów.

Po chwili na mostek przyszedł komendant i zdecydował, że będziemy zmieniali kurs na przeciwny hals. Ale wiatru prawie nie było i w dodatku ciągle się zmieniał. W tej sytuacji ogłoszenie alarmu do żagli zawisło w powietrzu. Jak się później okazało, nie było aż tak źle. Statki na północy jeszcze wcześniej straciły wiatr i daleko nie odskoczyły. Jak to często w życiu bywa, powiedzenie „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, szybko zaczęło się spełniać.

Już się rozwidniało, gdy zaczęło padać. Wkrótce po tym przyszedł nagły szkwał. W niesamowitej ulewie, przy siekącym wodą wietrze i dużym przechyle kadłuba cała załoga poderwana alarmem zwijała górne żagle. Prędkość „Daru” wzrosła prawie do czternastu węzłów.

I było dobrze! Płynęliśmy w stronę Japonii już bez szkwału, ale z wiatrem przesuwanego się frontu atmosferycznego. Z meldunków do statku koordynującego regatami dowiedzieliśmy się, że na północy nie wieje. Wysuwamy się do przodu. Powróciły dobre humory.

Wiatr na całym Morzu Południowo-Chińskim ustalił się na NE. By minąć Tajwan od południa, wszystkie statki w regatach muszą halsować. Długim halsem dochodzimy aż do Filipin, a potem idziemy na północ.

Drugiego kwietnia, jeszcze przed szóstą rano, wiatr skręcił na SE i idąc ostro do wiatru, możemy mieć kurs nad dnem około 40 stopni. Właśnie tyle nam potrzeba, by bezpiecznie minąć Tajwan. Jesteśmy trzydzieści trzy mile na południe od wschodniego krańca wyspy.

„Pallada” jest od nas dwadzieścia mil na zachód i około trzy mile bardziej na północ. Niewiele w stosunku do trasy regat, ale jednak dużo. Nam kurs ostro do wiatru pozwala minąć Tajwan, a im nie.

Wchodzimy w Kuro Shio. Ważą się losy regat. Silny prąd spycha nas bardziej w lewo, dając kurs o kilka stopni mniejszy. Zachodzi obawa, że gdyby taki pozostał, to Tajwanu nie da się wyminąć. Mimo że do wyspy jest ponad trzydzieści mil, komendant chce zmieniać hals i zawracać.

Jest taka duża szansa na przejście, a do wyspy tak daleko! Szukam z instruktorami Arturem i Tomkiem argumentów na przekonanie komendanta, by iść dalej tak jak idziemy. Jest ich wiele.

W locji znajdujemy kierunki układania się prądów w tym rejonie na kwiecień. Kuro Shio płynie dwoma nurtami, po wschodniej i zachodniej stronie Filipin i Tajwanu, zostawiając pomiędzy wyspami strefę bez prądów. Mówimy z przekonaniem i z wiarą w zwycięstwo:

- Z mapy wynika, że za kilka, kilkanaście minut powinniśmy już być w tej strefie, a wtedy Tajwan minimy przy tym wietrze z dużym zapasem bezpieczeństwa.

- Zawrócić spokojnie to możemy nawet za dwie godziny, a przez ten czas będzie tak samo bezpiecznie.

- Gdyby było jakieś zagrożenie, przecież zawsze możemy włączyć silniki - argumentowaliśmy jeden przez drugiego, byle tylko odwieść komendanta od decyzji zawracania.

Niestety! Argumenty nie zostały przyjęte. Pozostała decyzja, że o szóstej będzie alarm do żagli i zawracamy na przeciwny hals. Byliśmy zdruzgotani.

Instruktorzy z bosmanem poszli budzić załogę i studentów oraz ogłosić przygotowanie do alarmu. Dla mnie o szóstej zostało

tylko naciśnięcie dzwonka alarmowego. Nie mogłem się z tym pogodzić. Jeszcze próbowałem przekonywać. Na próżno!

Komendant wyszedł na skrzydło. Podeszedłem do sternika sprawdzić, jaki trzyma kurs. Uciekł mu kilka stopni w stronę Tajwanu. Zaświtała mi podstępna myśl. Nie argumenty, ale otucha i nadzieja z jednej strony, a z drugiej - bezsens i obawa.

- Tak trzymaj! - powiedziałem cicho do sternika i wyszedłem na skrzydło do komendanta wiedząc, że będę mógł poprawić kurs do wartości, która uciekła sternikowi.

Popatrzyłem w górę na żagle.

- Panie komendancie! Wiatr skręca i możemy chyba trochę odbić w prawo - powiedziałem radośnie i krzyknąłem głośno do sternika:

- Trzymaj więcej o dwa stopnie w prawo!

Po chwili powiedziałem głośno niby sam do siebie:

- Wiatr całkiem kręci na południe. Chyba za mało wyostrzyłem?

Patrząc na napięte wiatrem żagle krojca znów głośno wydałem komendę sternikowi:

- Sternik! Dołóż jeszcze dwa stopnie!

- Tak jest panie poruczniku! - usłyszałem w odpowiedzi.

- Chyba rzeczywiście wiatr skręca - potwierdził w zakłopotaniu komendant.

Podeszedłem do mapy elektronicznej. Widząc, że jest kurs 35 stopni według GPS, zameldowałem zdecydowanie:

- Panie komendancie! Prąd też już maleje! Kurs nad dnem z 28 stopni wzrósł do 35. Jeszcze trochę a dojdzie do 40 i więcej.

Widząc zwątpienie na twarzy komendanta, mówiłem dalej:

- Może się pan ze mną zgodzić albo nie, ale szczerze radzę panu z głębi serca - niech pan jeszcze chwilę poczeka. Mamy wielką okazję i szkoda jej zmarnować, a oprócz tego - zawracanie w tej chwili jest niebezpieczne i bardzo niekorzystne.

- A to dlaczego?

- Bo zawracając teraz na najsilniejszym prądzie, wspieranym jeszcze przez wiatr z tego samego kierunku, musimy przecież

sprzątnąć część żagli i zostaniemy prawie bez prędkości. Będzie nas dryfować prosto na Tajwan.

- To tylko kilka minut i będziemy po zwrocie...

- Ale mimo to odrzuci nas mocno na północ, a żeby wyjść z prądu, musimy wracać na zachód i automatycznie jesteśmy za „Palladą”. Szkoda tracić szansę. A gdyby wiatr siadł, to co? Niesie nas z drugiej strony Tajwanu i regaty z głowy.

Czułem, że argumenty trafiły. Wyszedłem na skrzydło, patrzyłem na żagle. Były napięte, więc można było jeszcze bardziej wyostrzyć kurs.

- Sternik! Dokładamy pięć stopni w prawo!

- Trzymać więcej o pięć stopni - potwierdził komendę student za sterem, a po chwili zameldował:

- Leży o pięć stopni więcej! Kurs wyrecytował dokładnie.

Patrzyłem w górę na żagle, które ani myślały łopotać. Wiatr rzeczywiście kręcił w prawo. Na mostek przyszedł asystent chiefa, a na pokładzie zjawiała się załoga i studenci obudzeni przygotowaniem do alarmu do żagli. Dzwonek alarmowy nadal milczał, a ja jeszcze ze trzy razy dokładałem ochoczo po dwa stopnie w prawo.

Na mostek przyszedł bosman Stankiewicz, który budził załogę.

- Co z tym alarmem? - zapytał.

Widziałem, że już minęliśmy pierwszą odnogę prądu i w dużej odległości miniemy Tajwan.

- Gienek! A kto ci kazał robić alarm? Komendant tylko głośno myślał, a ty od razu budzisz ludzi.

- Ale będą źli, że na darmo zostali obudzeni – oburzył się Stankiewicz.

- To wiadomo, że na ciebie, bo ich niepotrzebnie obudziłeś. Ktoś musi być winny i wiadomo, że bosman – żartowałem, ciesząc się, że wreszcie skończyło się halsowanie i że nasza przewaga będzie nie do utracenia.

Komendant nie miał innego rozsądnego wyjścia, więc uśmiechem zaaprobował żartobliwą odpowiedź. I chwala mu za to.

Już pod koniec wachty zbliżyliśmy się do drugiej odnogi prądu Kuro Shio - niósł nas prosto do Japonii. Nagle, przed obiadem wiatr dokładnie siadł, nie dając przez następną dobę żadnych szans na minięcie linii Tajwan – Filipiny. Ale prądy, a później również sprzyjające wiatry, niosły nas prosto do mety. Zostało jednak wiele mil i ciekawych sytuacji.

Jeszcze tego samego dnia po alarmie zapowiedzianym o szóstej rano, ale nie ogłoszonym, załogę i studentów zaskoczyły cztery bardzo dziwne alarmy do żagli.

Pierwszy o godzinie 15.25.

Jesteśmy na prądzie Kuro Shio, wiatr ESE (1-2, czyli prawie flauta), a tu zwrot przez rufę, by pójść ostro do wiatru, którego prawie nie ma. Przy silnym prądzie z SSE, mając postawione wszystkie żagle, płyniemy do tyłu. Kiedy o szesnastej zaczynam wachkę na mostku, dziób statku skierowany jest na południe, a „Dar” płynie z prądem prawie na północ.

O 16.58 ponowny alarm do żagli, znów zwrot przez rufę i wracamy na poprzedni kurs. Teraz jest dobrze. Z silnym prądem i niewielkim wiatrem, ale w tę samą stronę płyniemy ponad pięć węzłów i statek jest sterowny. Moja wachta ma skończyć się o dwudziestej.

Niestety! Po dziewiętnastej na mostku komendant i komendant dubler - sytuacja kuriozalna, której do dzisiaj nie mogę zrozumieć - zaczęli uzgadniać, co robić dalej. Efekt zaskoczył wszystkich! Znow będziemy zawracać pod prąd! Temat przerabiany bezskutecznie w poprzednim alarmie. Dlaczego?

A to dlatego, że komendanci obawiają się iść pomiędzy wysepką Lii Tao i oddalonym o czternaście mil Tajwanem!

Pod nieobecność komendanta dublera zwracam się do komendanta głównego próbując go nakłonić do zaniechania tego zamiaru.

- Panie komendancie, niech pan nie robi tego zwrotu, bo jest to niezasadne i niebezpieczne... - zacząłem spokojnie przekonywać.

- Niebezpiecznie to jest iść pomiędzy te wyspy, bo może nas wyrzucić na brzeg. Jest za wąsko. - przerwał mi komendant.

Nie dawałem jednak za wygraną.

- Między wyspami jest czternaście mil głębokiej wody, bez żadnych przeszkód nawigacyjnych, dokładnie to sprawdziłem. Idąc środkiem z prądem, a przy tym wietrze statek słucha steru, będziemy mieć do brzegów aż po siedem mil. Sytuacja całkowicie bezpieczna.

- Ale gdyby wiatr siadł, to prąd może nas na wyspę wyrzucić - ripostował komendant.

- Panie kapitanie, prąd płynie między wyspami, a nie przez wyspę. Gdyby siadł, to ten zwrot tym bardziej nie ma sensu, a tak to mamy statek sterowny. W razie czego dla bezpieczeństwa można uruchomić silniki. Można je nawet trzymać na stand by.

- To się tak tylko panu wydaje, panie drugi.

- Wcale nie! Jestem tylko o tym głęboko przekonany. Chciałbym też, żebyśmy te regaty wygrali...

- Wszyscy tego chcemy - odparł komendant i począł iść w stronę skrzydła.

- To, na pewno - mówiłem wolno i spokojnie, ale przy tym wietrze może trochę na wschód odejdziemy, a może i nie, ale gdyby wiatr siadł, to dopiero może być niebezpieczna sytuacja. Nawet bardzo niebezpieczna! Bo możemy być blisko wysepki i całkiem niesterowni. To jest tylko moja opinia, ale pan jest komendantem i pan decyduje.

- No właśnie! Ogłaszać alarm – zarządził komendant.

O godzinie 19.28 ogłosiłem alarm do żagli. Przy wietrze SE-2, na silnym prądzie mniej więcej z tego samego kierunku robiliśmy zwrot przez rufę, by odbić na wschód.

Po skończonym alarmie i zdaniu wachty nie było mi dane, żeby się wyspać. O godzinie 23.30 dzwonki i głośniki poderwały wszystkich.

- Alarm do żagli! Alarm do żagli!

Robiliśmy zwrot na poprzedni kurs, by jednak przejść pomiędzy Lii Tao i Tajwanem. Po raz drugi przerobiliśmy bezskuteczne zawracanie pod prąd, ostro do bardzo słabego wiatru!

Tym razem sytuacja stała się już bardzo niebezpieczna, bo statek jednak trochę na wschód odbił i znaleźliśmy się prawie poniżej wyspy, a nie pośrodku prądu.

Z uruchomionymi silnikami, w każdej chwili gotowymi do zasprzężenia, z trudem przechodziliśmy koło Lii Tao. W efekcie straciliśmy co najmniej sześć godzin, pieniądze na paliwo i nadgodziny za dodatkową pracę w czterech alarmach oraz wiele trudu.

Wysepka została z tyłu a przed nami sporo mil, nim rozpoczną się Wyspy Sakisima. Jak je obejść? Czy od północnego zachodu, czy od południowego wschodu? Odległość do Naha w obu przypadkach jest taka sama. Rozkład prędkości Kuro Shio to: - na północnym zachodzie trzy czwarte, a na południowym wschodzie jedna czwarta.

Rozważania komendanta, któredy mamy iść, na szczęście załatwiła opatrność! Przy nadal słabym wietrze i dwóch nieudanych próbach odbicia na wschód w alarmach poprzedniego dnia, nie było innego wyjścia, jak iść tym samym halsem, który dawał możliwość na przejście razem z silnym prądem.

Już na trawersie pierwszej wysepki z Archipelagu Sakisima zmienił się wiatr. Dmuchało zdrowo od SW. Z prędkością ponad dziesięć węzłów płynęliśmy prosto do mety, czasami nawet zwijając niektóre żagle. Meta pierwszego etapu już niedaleko!

Z komunikatów dowiadujemy się, że nasi konkurenci z klasy A ciągle jeszcze mają problem z minięciem Tajwanu. Nie mają wiatru.

My idziemy jak burza - zupełnie nie zagrożeni. Tylko mniejsze jednostki i jachty płyną z nami, a niektóre są już na mecie.

Czwartego kwietnia o godzinie 23.48 alarm „do żagli” podrywa całą załogę „Daru”. Czasami w niesamowitej ulewie do godziny 04.58, przemoknięci do suchej nitki walczymy z żaglami, kręcąc nimi na wszystkie strony, bo przestało wiać. Na szczęście trochę niesie nas prąd. Byle tylko zmieścić się w bramkę! Co będzie jak zdryfuje nas obok?

Mijamy linię mety!

„O dziwo, po zakończeniu tego etapu na pokładzie nie było widać entuzjazmu. Zaciśnięte usta i błyskawice w oczach mówiły wszystko...” – zanotował w kronice „Daru” student Radosław Osiński („Kurier Morski” 1997 nr 5)

- Tak! To było gorzkie zwycięstwo! Bardzo gorzkie!

Wszyscy z załogi pokładowej i studenci wiedzieli dobrze, że gdyby nie dwukrotne zawracanie przy Lii Tao, gdyby nie paniczne ściąganie żagli przy każdej chmurce, to nie byłoby takiego horroru na mecie. Mogliśmy ją przekroczyć o dobę wcześniej. Nic dziwnego, że na tym etapie utarło się żartobliwe powiedzenie „kroczące wyspy”, a na widok chmury powszechnie wołano: „Uwaga szkwał! Ściągać żagle!”

Piątego kwietnia, jako zwycięzcy, zacumowaliśmy w Naha. Dumnie nosząc kurtki z napisem „Dar Młodzieży” z ciekawością słuchaliśmy meldunków radiowych z regat.

Nasi konkurenci z klasy A wreszcie dostali wiatr! Ale przeciwny, bo z NE! Walczyli halsując po stronie południowej Archipelagu Sakisima. Półtorej doby po nas dziwnym szwindlem - płynąc pod wiatr - dotarł do portu indonezyjski „Dewaruci”. Pozostali nadal halsowali.

Po trzech dniach naszego pobytu w porcie było wiadomo, że duże żaglowce nie mają już szans na dojście na czas do mety i regaty przerwano. Reszta naszych konkurentów przyplłynęła na silnikach z ogromnymi stratami.

Etap z Naha do Kagoshimy, krótki, z dużym zapasem czasu, był etapem towarzyskim, bez wpływu na klasyfikację. Można było płynąć na żaglach bądź silniku. Wszystkie jednostki, z wyjątkiem pływających pod banderami wojennymi, zostały zaproszone do odwiedzenia pięknych wysp Kamami Gunto. Ale tylko na zdjęciach oglądaliśmy ich wspaniałą przyrodę i rajskie widoki. Ku wielkiemu rozgoryczeniu jako jedyni nie skorzystaliśmy z zaproszenia. Oficjalne tłumaczenie - „nie mamy dobrych map” - było tylko parawanem bez pokrycia.

- Niebezpiecznie kroczące wyspy - komentowali studenci.

Ten krótki etap okazał się bardzo dziwny. Najpierw przez dwa dni, mając dobry wiatr z rufy, płynęliśmy, wcale nie po najkrótszej linii, na kilku żaglach, by prędkość nie była większa od pięciu węzłów. Potem przyszedł sztorm z przeciwnego kierunku i przez następne dwa dni płynęliśmy na silniku „cała naprzód”, podkreślając maksymalnie obroty, by zdążyć na czas.

Przy braku, już od trzech portów, pieniędzy na zapłatę dla załogi, takie nieprzemyślane topienie pieniędzy wielu bulwersowało. Tym bardziej, że w ciągu wachty zużycie oleju napędowego sięga sześćset kg.

W Kagoshimie przybyło żaglowców w klasie A. Oprócz pięciu, które wystartowały w Hongkongu przybyły dwa duże żaglowce japońskie, czteromasztowe „Nipon Maru” i „Kaiwo Maru” oraz Argentyńczycy i Hiszpanie.

Start do etapu Kagoshima - Osaka nastąpił dwudziestego drugiego kwietnia o godzinie 11.00. Liczył się indywidualnie dla wszystkich żaglowców, które wystartowały w Kagoshimie i łącznie z pierwszym etapem, dla wszystkich, którzy byli od początku regat.

Wiatr z NE, przeciwny do trasy regat. Wystartowaliśmy bardzo dobrze. Szliśmy minimalnie za „Cuauhtemocem”, patrząc z dumą jak nasz „Dar” wyprzedza Meksykanów i coraz bardziej zostawia wszystkich pozostałych. Tylko „Pallada”, która trochę pogubiła się na starcie, nie traciła do nas dystansu, potwierdzając klasę konstrukcji ze Stoczni Gdańskiej. Płyniemy na SE.

Nim „Cuauhtemoc” został z tyłu, załogi długo się wzajemnie pozdrawiały. Była i fala, i śpiewy, okrzyki Mechico, Mechico, i Polonia, Polonia. Robiono zdjęcia, kręcono kamerami video.

Tuż przed popołudniową wachtą ogłoszono alarm „do żagli”. Wybiegłem na pokład rozglądając się dookoła. Wiatr ledwo wieje, robimy zwrot przez rufę. Prawie wszystkie duże żaglowce znów są obok siebie. Po kilku godzinach żeglugi jesteśmy w gorszej sytuacji niż przed startem, bo jesteśmy o cztery mile na zachód od linii startu i mamy przeciwny wiatr.

Wszyscy nasi konkurenci zostali na SE, nie zawrócili, ale na szczęście dla nas nie mają wiatru. Stoją!

My mamy, ale cały czas przeciwny. Próbujemy przechodzić od północy. Dwudziestego trzeciego kwietnia o godzinie 07.00 jesteśmy dokładnie w tej samej pozycji co wczoraj o godzinie 13.20.

Nie idziemy już na SE, by obejść grupę wysp wulkanicznych od południa, gdzie duże żaglowce nadal nie mają wiatru, lecz halsując, chcemy minąć te wysepki od północy.

Na południu konkurentom też zawiąło i wysepki mają z głowy, ale od nas jest bliżej do mety.

Wiatr cały czas jest przeciwny! Halsując niewiele przybliżamy się do mety, na którą dopłynęło już kilka małych jednostek.

Wiatr nadal przeciwny i nie chce się zmienić w żadną stronę.

Dwudziestego czwartego kwietnia, cztery mile przed naszym dziobem jest „Pallada” i cały czas pozostaje na radarze, nawet gdy halsujemy przeciwnymi burtami. Do mety ciągle bardzo daleko.

Nie ma szans, by którykolwiek z wielkich żaglowców mógł ukończyć regatę w terminie.

Dwudziestego piątego kwietnia, decyzją organizatorów, Sail Osaka’ 97 przerwano. Pozycje w chwili zawieszenia regat decydują o zajętych miejscach.

Przed nami minimalnie, bo około dwie mile, jest „Pallada” i znacznie bardziej wysunięty do przodu „Deworuci”, który jest podejrzewany o używanie silnika. Sumarycznie po dwóch etapach mamy ogromną przewagę nad wszystkimi oprócz Indonezyjczyka, który tak jak i my ukończył pierwszy etap, teraz jest na przedzie i ma lepszy przelicznik.

„Deworuci”, posądzany na naradzie kapitanów o stosowanie silnika, by sprawy oficjalnie nie nagłośniono, sam wycofał się z regat. „Dar Młodzieży” w tej sytuacji został jedynym dużym żaglowcem, który ukończył pierwszy etap, zaś na drugim został minimalnie wyprzedzony przez „Palladę”. Bezkonkurencyjnie więc jest pierwszy za całość regat.

Szkoda młodych, sympatycznych i wesołych żeglarzy z Indonezji, że chore aspiracje ich dowódców i łamanie zasad fair play splamiło ideę regat i rzuciło cień na ich statek. Nie byłoby przed nami, może nie pokonaliby „Pallady”, ale z honorem mogli być na trzecim miejscu.

Słuchając i czytając polskie informacje o regatach, odnoszę wrażenie, że też tu coś nie gra, że brak zrozumienia dla tej wspaniałej imprezy. Imprezy, która nie jest zawodami sportowymi.

W regatach wielkich żaglowców jest duma z zajęcia pierwszego miejsca i radość z samego uczestnictwa. Jest to wielki

festyn młodzieży żeglarskiej (i nie tylko młodzieży) z całego świata, wspólna zabawa, mieszanie się kultur i bratanie ludzi różnych ras.

Jest to radosna impreza integrująca narody. Tak normalnie, w zwykłej rywalizacji i zabawie, pokazuje kulturę bycia, cywilizację i zwyczaje wszystkich jej uczestników.

Po prostu jest to wielki spektakl! Szkoda, że w naszych publikatorach ten obraz trochę fałszowano, próbując sprowadzić go do iluś tam startujących, dwu lub trzykrotnie przesadzając liczbą.

Jestem dumny, że nasi młodzi chłopcy z Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni dobrze zaprezentowali nasz kraj w tym tyglu różnych nacji, pokazując radość życia, prawość zachowań i kulturę osobistą.

Chwała im za to.

Z PLŻAY LEGII CUDOIESKIEJ W DŻIBUTI

W Dżibuti zaraz po skończonej o godzinie ósmej wachcie wybrałem się na poszukiwanie muszli i koralowców. Po doświadczeniach w Adenie przed kilkoma laty wiedziałem, że tutejsze wody są bardzo bogate w duże ilości ciekawych okazów. Studiowałem wcześniej mapę i najdogodniejszy do tego celu wydał mi się półwysep, na którym była rozlokowana Legia Cudzoziemska. Ich plaże, niedostępne dla tubylców, dodatkowo stwarzały najlepsze zabezpieczenie przed rozbojem i kradzieżami. Mając zapewnienie od legionistów, że na bramie mnie wpuszczą i dodatkowo wizytówkę sierżanta pełniącego właśnie służbę, nie musiałem się niczego obawiać. Ale nie chciało mi się iść po rozgrzanym asfalcie rozwleczonego portu.

- Pójdę na skróty wzdłuż brzegu – postanowiłem.

Była to dobra decyzja. Przy niezwykle dokładnie kontrolowanym wejściu na teren portu i przy niedostępnym dla tubylców obszarze Legii Cudzoziemskiej przejście wzdłuż wody z

jednego miejsca na drugie było prawie odludne. Nikt tu nie chodził, mimo że rozgraniczenie nie nastręczało większych trudności, by go ominąć. Dla czarnych tubylców pracujących w porcie wejście na teren bazy wojskowej było zbyt ryzykowne, a dla legionistów kawałek przyportowej plaży był zupełnie nieatrakcyjny.

Po ciężkim pobiciu na mieście trzech legionistów, z których jeden zmarł po dwóch miesiącach nie odzyskawszy przytomności, wojskowi wzięli srogi odwet i „spacyfikowali” wszystkie knajpy w mieście. W pojedynkę jedni obawiali się drugich, ja natomiast nie bałem się ani jednych, ani drugich. Bez obaw wszedłem na teren Legii.

Skończyła się woda wysoka i morze obniżało się, odsłaniając coraz większe obszary dna dużej i płytkiej zatoki. Z każdą godziną przybywały setki metrów odsłoniętego piachu i kamieni. Odkrywany w dole obszar, poniżej ogrodzenia składów i magazynów, był pełnym pustkowiem. Bo co za idiota by tu wchodził dla szukania muszli?

Daleko na plaży jednostki ledwo majaczyły nieliczne sylwetki ludzi. Wśród ogromnych głazów zostawiłem swoje rzeczy i zabrałem się za poszukiwania. Nie było z tym żadnych trudności. Cofając się morze zostawiało przepiękne okazy.

Były tu muszle niespotykane na naszych wodach. Piękne duże porcelanki, kolorowe stożki i grube powywijane muszle różnych ślimaków. Szukałem tych pustych, porzuconych przez właścicieli lub zamieszkanymi wtórnie przez niewielkie kraby dające łatwo się usunąć.

Koło południa upał stawał się nie do zniesienia. Brodząc w wodzie coraz częściej decydowałem się na kąpiel w głębszych miejscach, by po chwili znów wyjść na płyciznę. Niespodziewanie wychodząc właśnie z takiej kąpeli zapędziłem na płytką wodę ogromną langustę. Znalazła się na rozległej płyciźnie i dziwnie się poruszała pływając między kamieniami.

„Ale jak ją upolować?” – zastanawiałem się gorączkowo. Nie miałem nic stosownego pod ręką. Nie mogłem się zdecydować, by chwycić ją gołymi rękami. Krabów i ich szczypców się nie obawiałem, łapałem je już nieraz, ale langusty?

Moje niezdecydowanie zostało szybko wykorzystane przez uwięzionego na płyciźnie dziesięcionoga, który odnalazł przejście między kamieniami i jak odrzutowiec poszybował w głąbiny.

Już było po obiedzie, gdy obładowany jak wielbłąd wróciłem na statek z trofeami rannej eskapady.

- Gdzie ty się podziewasz? Czas na kawę – usłyszałem w drzwiach głos Gienka chwilę po wejściu do kabiny.

Opowiedziałem, gdzie byłem, pokazałem dwa wiadra z muszlami i koralowcami. Potem przy kawie zastanawialiśmy się, gdzie warto byłoby pójść. Upał i opowieści o wspaniałej wodzie i kilometrach odsłoniętego odpływem piachu zachęcił bosmana Stankiewicza do wycieczki. Gienek nie musiał zbyt mocno mnie namawiać na ponowny powrót nad wodę. Wyszliśmy niezwłocznie, by zastać jeszcze wodę niską.

Po częściowo osuszonym dnie zatoki szliśmy daleko aż do cypla półwyspu, kąpiąc się po drodze w głębszych zalewach. Pod koniec do brzegu dochodziliśmy wraz z przybierającą wodą. Mimo wcześniejszej opalenizny i odporności na upały dawały mi się we znaki trudy całodniowego pobytu na słońcu w tym, jak niektórzy twierdzą, najgorętszym miejscu Afryki.

Na półwyspie oprócz architektury koszarowej, potężnych radarów i innych obiektów wojskowych były całe ulice luksusowych willi i pięknych ogrodów. Nie zatrzymywani przez nikogo przeszliśmy wszystkie bramy, mając za jedyną przepustkę kolor naszej skóry. Musieliśmy jednak wyglądać na bardzo poważnych legionistów, skoro na głównej bramie sprawdzający kogoś wartownik wyprężył się, zasalutował i przepuścił nas bez słowa.

- Tres bien mon vieux! – pochwaliłem go za to dobroduszenie.

Przez miasto przeszliśmy spacerem spotykając po drodze grupki naszych studentów i kilka osób z załogi. Już dobrze po ciemku wróciliśmy na „Dar” solidnie kontrolowani na bramach portowych.

Na statku wieści rozchodzą się szybko i trudno cokolwiek ukryć. O moich porannych trofeach już wszyscy wiedzieli. Nic więc dziwnego, że kilku kolegów przyszło zobaczyć, co to ja znalazłem. Amatorów wyprawy na osuszone odpływem dno zatoki było wielu.

Niektórzy ubolewali tylko, że mają jutro służbę lub zajęcia i nie będą mogli pójść. Zebrała się i tak spora grupa.

Z „Daru Młodzieży” wyszliśmy przed wodą niską. Oprócz naszej wczorajszej dwójki był Piskórz, Tymański, dr Jakusz i sanitariusz Wieteska. Woda ciągle jeszcze odpływała, więc spokojnie skierowaliśmy się w stronę otwartego Oceanu Indyjskiego. Morze pozostawiło za sobą całe kilometry osuszonego piachu aż po horyzont.

Gdzieniedzie w obniżeniach pozostała woda tworzyła jakby jeziorka, z których płynęły małe rzeczki tak gorące, że aż parzyło w nogi. Idąc wzdłuż strumyków natrafialiśmy na największą ilość odkrywanych przez wodę muszli. Jeden z nich wpływał do głębokiej zatoki połączonej z otwartym Oceanem. Ta głębia wyryta wśród płycizn i morza piachu, który teraz podczas wody niskiej rozciągał się bardzo daleko, była niesamowita. Byliśmy w środku od odległych teraz plaż i ledwo co widocznego oceanu. Ta zatoka wśród osuszonego odpływem morskiego dna okazała się niezwykle interesująca. W wodzie były widoczne skały porośnięte koralowcami, pionowo opadające w dół. Kamienie, wśród których poruszały się złowrogo czarne jeżowce, straszące swymi jadowitymi kolcami. Były też miejsca, w których spływające z łąch piachu strumyki tworzyły podwodne wydmy miękkiego piachu. Czysta, wspaniała woda przynosiła ulgę rozgrzanej skórze i była znacznie chłodniejsza od tej pozostałej wyżej w zagłębieniach.

Wybraliśmy dogodnie podejście do głębokiej wody, bez złowrogich jeżowców nie opodal wpływającego strumyka parzącej wody. Po wczorajszej podwójnej eskapadzie na osuszone dno odczuwałem pieczenie skóry nawet przez koszulę, której już nie zdejmowałem. Najgorzej odczuwałem jednak pieczenie nóg. Każde przymusowe przejście przez płytkie bajorka lub gorący strumyk, niosący resztki pozostawionej po odpływie wody, stawał się coraz większą katorgą.

Głęboka woda zatoki przynosiła prawdziwą ulgę. Kąpaliśmy się, chłodząc rozgrzane ciała, rozglądaliśmy się za ładnymi niewielkimi koralowcami i kolorowymi rybkami. Przy okazji udało

mi się wyrzucić na piach dwa duże kraby, które polowały na pożywienie niesione przez gorący strumyk.

Wspaniałą wodą najbardziej zachwycił się Krzysztof Piskórz. Chwaląc eskapadę, nurkował za koralowcami, których już cały zbiór spoczywał na rozgrzanym piachu.

Nasza służba medyczna odłączyła się już na łąkach koło strumienia, ale teraz całkowicie straciliśmy ich z oczu. My natomiast postanowiliśmy pozostać jak najdłużej w tym pięknym miejscu.

Idąc później wzdłuż brzegów zatoki po pozostawionym przez odpływ dnie, wyszukiwaliśmy ciekawe obiekty podwodnego życia. Zatoczyliśmy duży łuk. Przelewająca się woda wskazywała na początek przyływu.

- Musimy wracać do swoich rzeczy i pomału kończyć imprezę – powiedziałem do kolegów.

Gienek stwierdził jednak, że woli płynąć w poprzek zatoki. Ponieważ każdy z pozostałej trójki miał w ręku jakieś trofea, więc bosman płynął sam. Gdy był w połowie drogi, usłyszeliśmy jego krzyk.

- Żółw! Żółw! Ale mnie nastraszył. Widzicie go? – wrzeszczał w wodzie Stankiewicz.

Pomimo sporej odległości jeszcze było widać tuż przed Gienkiem pancerny wielki żółw pośpiesznie zanurzającego się w wodzie. Trudno powiedzieć, kto w tym spotkaniu był bardziej wystraszony, bo od żółwia nikt nigdy się tego nie dowie, ale Gienek po dopłynięciu miał niezbyt tęgą minę. Bądź co bądź najpierw zobaczył wynurzający się tuż przed nim dziwny łeb, prawie prehistorycznego potwora, a dopiero potem pancerny żółw. Jak na taką zjawę, to i tak jego reakcja była spokojna.

Wszystkim pozostało po tej wycieczce sporo morskich okazów, ale Gienkowi zderzenie z żółwiem utkwilo w pamięci do końca życia.

Ja również przez wiele następnych dni zbierałem owoce tej wyprawy. Spalona słońcem skóra, szczególnie na nogach, piekła jak nigdy dotąd. Opuchły mi całe stopy i okolice kostek aż po kolana. Na dodatek na jednej z nóg zrobiła się jakaś rana, która długo nie chciała się zagoić. Nie wiedziałem, czy był to wynik ukłucia przez

jeżowca, jakieś ugryzienie, czy też poparzenie parzydełkami przy brodeniu po płycznach. Doktor Jakusz twierdził, że było to zapalenie żył.

Długo jeszcze trwało porządkowanie trofeów z Dżibuti. Należało je starannie oczyścić, wytrawić w sodzie kaustycznej lub fosolu i dokładnie wysuszyć na słońcu. Długie przejście do Singapuru stwarzało ku temu wiele możliwości, a dla doktora Piskórze zajęcie to okazało się bardzo pasjonujące.

Mimo tej pracy i nawału sprawdzianów z matematyki Krzysztof znalazł jeszcze czas na „logiczne sprawdzenie” pierwszych czterech rozdziałów „Siódmego morza”, całkowicie przekonując mnie do słuszności powiedzenia – „z dobrego matematyka zawsze może być dobry humanista, ale odwrotnie nie zawsze”.

Nim jednak Krzysztof i Klemens wyjechali do kraju, zapamiętałem jego jedną „regułę matematyczną” bardzo przydatną na statku i w życiu: - „Czy to książkę, czy podstoli, gdy jest głupi, to nawet gdy opierdoli, to nie boli”.

Wspomnienia z LIZBONA EXPO '98

Zmustrować z „Daru Młodzieży”, czy jeszcze zostać? A jeśli tak, to jak długo? – zadawałem sobie te pytania zaraz po Nowym Roku 1998.

Miałem wiele argumentów za, nawet bardzo wiele: Chyba najważniejszym było moje dobre samopoczucie na żaglowcu przez ostatnie miesiące. Lubiłem pracę z młodzieżą, utrzymywałem przyjazne kontakty z całą załogą i nie brak mi było sportowego zacięcia, które w pobycie na żaglowcu jest nieodzowne. Po zmianie komendanta, gdy był nim kapitan Wiktorowicz polubiłem „Dar” na

dobrze. Życzliwa i serdeczna atmosfera powodowała, że ciągle odwlekałem termin zejścia.

Do końca roku ważyły się też losy przyszłorocznych rejsów. Jubileusz Australii przeplatał się z Wystawą Światową Lizbona EXPO '98 i z regatami. Ponieważ w grę wchodziły pieniądze od sponsorów, to decyzje ciągle się przeciągały.

Mnie kuśił zarówno rejs do Australii, jak i do Lizbony.

Po rozstrzygnięciu - gdy Australia odpadła – na pewno pozostało EXPO '98 . Doszedł jeszcze jeden powód do pozostania na żagłowcu. Zbliżały się wybory samorządowe, które tak bardzo mnie interesowały. Zamierzałem kandydować w wyborach, a częste pobyty „Daru” w Polsce dawały mi możliwość śledzenia niestabilnej sytuacji.

Argument przeciw pozostaniu był tylko jeden – pieniądze. Na większości zagranicznych statków mogłem zarobić trzykrotnie więcej, w dodatku przy mniejszym wysiłku. Dobre kontakty z biurami do mustrowania i z zagranicznymi kontrahentami zaowocowały kilkoma interesującymi propozycjami. Górę jednak brała Lizbona i wybory, ku niezadowoleniu rodziny.

Decyzję czy wziąć udział w rejsie na EXPO, czy nie, odkładałem kilkakrotnie. W końcu kłamka zapadła!

...

Czternastego maja, po szesnastej, „Dar” odcumował od Nabrzeża Pomorskiego w Gdyni. Studenci Wydziału Nawigacyjnego WSM realizowali swoją praktykę morską na zakończenie drugiego roku studiów, ale oprócz tego, Biała Fregata miała uświetnić swoją obecnością naszą narodową ekspozycję w Lizbonie. Na „Darze Młodzieży” miała być specjalna wystawa, która na blisko 60-metrowym ciągu barwnych fotogramów, przybliżała gościom tradycje, teraźniejszość i przyszłość „Polski nad Bałtykiem”. Poza tym, 2 czerwca – w Dniu Polskim na EXPO '98 – zaplanowano na pokładzie żagłowca uroczystości z udziałem najwyższych władz państwowych.

Wiosenne popołudnie przyciągnęło na Skwer Kościuszki tłumy znacznie większe niż zazwyczaj. Rodziny załogi i studentów, znajomi i przyjaciele, a także wielu mieszkańców Trójmiasta i

turyści ciasno wypełnili nabrzeże. Wśród żegnających było dużo dziewczyn, te najbardziej spontanicznie i z zaangażowaniem przeżywały moment rozstania. Przyszły odprowadzić swoich chłopców wypływających w morze. Czy to będą ich pierwsze długie rozłąki?

Gdyńskie nabrzeże zostawało coraz dalej i dalej. Powoli zacierają się postacie, milkły ostatnie okrzyki pożegnania. Chłopcy tracili z oczu swoje dziewczyny, które biegły do samego końca nabrzeża, by przesłać gorące całusy. Nawet ich wymachiwanie kolorowymi chusteczkami, okrzyki i podskoki dla lepszego zwrócenia uwagi, też zginęły w oddali.

- Statek w morze wychodzi tylko na półtora miesiąca, a tyle krzyku – skomentował któryś ze starych marynarzy.

Przez dwa tygodnie było morze i żagle.

„Dar” zacumował przy nabrzeżu Wystawy Światowej EXPO w sąsiedztwie portugalskiego żaglowca „D. Fernando II e Gloria”.

Byłem ciekaw, jak wypadnie podsumowanie dorobku cywilizacyjnego mijającego wieku, a zarazem całego tysiąclecia! Przypominała mi się czytanka o Wieży Eiffela z książki do nauki francuskiego. To był też koniec wieku, dokładnie sto jeden lat temu – pomyślałem. – 320-metrowa Tour Eiffel była wtedy symbolem potęgi stali, nieugiętej siły i wielkiej mocy. W dodatku stanęła na Polu Marsowym. I co przyniósł vingt des siecles? – zastanawiałem się, przypominając sobie historię.

Rzeczywiście przyniósł dużo stali! Zrodził kult potęgi i siły, totalitaryzm i straszne wojny. Stal czołgów, ogromnych dział i wielkich okrętów prześcigała się w wielkości niszycielskiej mocy - rozważałem, przebierając się w kabinie z obowiązkowego, podczas manewrów, munduru. - Gloryfikowanie siły starło potęgę kolonialne, zbudowało totalitarne, a i te nie oparły się potędze postępu i rozumu – konkludowałem zadowolony.

Co najbardziej frapuje ludzkość dziś, jakie są wizje dwudziestego pierwszego wieku i trzeciego tysiąclecia? Czy Lizbona da mi na to odpowiedź? – rozważałem. - Spróbuję poszukać!

Najpierw jednak postanowiłem pobieżnie rozeznąć się po terenie wystawy.

Czy może być do tego celu coś lepszego niż rower? – pomyślałem.

Wyciągnąłem swój pojazd i po sprawdzeniu u służby porządkowej, czy mogę się nim poruszać po terenie EXPO, wyruszyłem na rekonesans. Był to dobry pomysł, gdyż bez zbędnej straty czasu zorientowałem się w układzie przestrzennym całego miasteczka.

A było gdzie jeździć!

Infrastrukturę wystawy zbudowano na 320 hektarach, z czego około 70 hektarów pod dachem. Oprócz pawilonów narodowych ze 144 państw było wiele innych obiektów: - Stadion video na 12 tys. osób, pawilon „Utopia”, gdzie kilka razy w ciągu dnia prezentowano multimedialny rozrywkowy show dla 10 tys. widzów i delfinarium, najnowocześniejsze na świecie, z 15 tys. morskich stworzeń, przewidziane na 60 tys. zwiedzających dziennie. Był pawilon poświęcony wykorzystaniu wody, pawilon przyszłości „Futura” i kolejka linowa, której wagoniki jeździły po wysoko rozpiętych linach, wzdłuż całego pięciokilometrowego nabrzeża terenów EXPO.

To już nie miasteczko, a spore miasto – myślałem, jeżdżąc po uliczkach między pawilonami.

Na głównej ulicy zauważyłem dziwny korowód niezwykłych pojazdów, jakichś maszyn i urządzeń. Szykował się interesujący spektakl.

Zająłem miejsce na jakimś podwyższeniu.

Przy dziwnych dźwiękach zbliżał się jeszcze dziwniejszy pojazd - jakaś ażurowa konstrukcja, ze stworami skaczącymi po czymś, co przypominało glob. Nim zdążyłem zgłębić wszystkie zagadki konstrukcji pierwszego pojazdu, nie odgadłem, co robią ludzkie stwory ze smoczymi ogonami i czubami na głowach, a już pojawiały się następne wehikuly, cały korowód nieposkromionej wyobraźni.

Na platformie rybo-motyła, z ogonem wieloryba, była ogromna szklana kula. Uwięziony wewnątrz człowiek zmagał się ze

śnieżycą, a może był pod wodą i walczył z nacierającymi strumieniami? Jedno jest pewne, walczył wykonując dziwny taniec.

Następny pojazd był jeszcze większy, jakby powalony wielki krzyż z belek i krat, po którym z krzykiem, przy diabelskiej muzyce skakały czerwone Belzebuby. Jacyś przebierańcy odgrywali surrealistyczne przedstawienie.

Piskliwe krzyki sygnalizowały następną inscenizację. Znow przejechało kilka dziwnych pojazdów, przeszło kilka korowodów.

Po stalowej platformie z żelaznymi makietami żołnierzy pięciometrowej wysokości z przodu i z tyłu maszerowali groźni żołdacy. Dudniły podkute buty w takt dźwięków przerażającego marsza. Ich sylwetki zakute w rycersko-kosmiczne zbroje wyglądały złowrogo.

Człowiek toczył trzymetrowe drewniane koło, obok jechał wózek - krokodyl z mnóstwem poplątanych kolorowych stworów i wielkie białe pudło.

Coś fascynującego! Jechały piękne ogrody z jakąś dziwną kabiną. Ale co to? Wewnątrz trupio błada kobieta iska manekina. Co za dziwny śpiew? Jakie niezwykle dźwięki? Do tego przedstawienie mimów. Zatrzymali się przy mnie! Przedstawienie trwało. Dolatywała chwytająca za serce melodia, jakby z innego świata.

I rzeczywiście! Melodia dobiegała z następnej sceny. Nadjeżdżała drewniana wieża. Wysoko na balkonie jakiejś dziwnej platformy młoda, ubrana na biało kobieta, śpiewała rzewną pieśń. Niżej, pod nią w dwóch poziomach, grały na trąbkach i fanfarach też ubrane na biało osoby. Rzewna pieśń jakby zmieniała nastrój, przechodziła w pieśń zwycięską, w pieśń chwały.

Co za znakomite operowanie dźwiękiem i obrazem, konstrukcją i formą. Do tego jeszcze człowiek, kostium i przedstawienie – rozważałem zachwycony.

Jechały: pojazd przypominający korkociąg, wielka głowa z wystawionym językiem, bocianie gniazdo wysoko nad dziwną ludzką rzeczywistością, motyl z mimami na skrzydłach i jakieś wielkie zębate koła, kręcone nogami człowieka, który leżał na wznak i czytał gazetę. W dodatku coś się dymi, syczy i pada sztuczny śnieg.

Nie wiedziałem, co było bardziej niezwykle: dźwięki, pojazdy, czy spektakl. Wszystko fascynowało, było niesamowite i przyprawiało o mocniejsze bicie serca.

Zaprzagnąłem jeszcze raz przyjrzeć się temu dziwnemu korowodowi. Podjechałem pod „Utopię” i na powrót włączyłem się w tłum. Tam odbywała się kulminacja przedstawienia. Zatrzymały się wszystkie sceny i pojazdy.

Zupełnie inny spektakl i inne melodie. Dobrze że tu wróciłem – pomyślałem.

Właśnie odbywał się jakiś pokaz mimów, przy dźwiękach i melodii przenikających do szpiku kości. Akcja narastała, dramaturgia prawie mroziła krew w żyłach. A później dzikie piski dziwnie poubieranych ludzi. - Czy ludzi?

- Dom wariatów, maskarada, a może jacyś kosmici?

Przedstawienie trwało nadal. – Nieludzkie dźwięki, niezwykła melodia, niesamowite zachowanie!

Szalony taniec dziwnych stworów zamierał. Podniecało ogłupiające napięcie, wirowała wyobraźnia. Uliczny pokaz oszałamiał każdym środkiem wyrazu. Fascynował i zmuszał do refleksu. - Ale jakiego?

Nierealny bezsens, szalony taniec, pomieszanie z poplątaniem!

Nie, tego nie da się wyrazić żadnym innym środkiem. To trzeba przeżyć – rozważałem.

Stałem zafascynowany grą kolorów, form, ruchu, a nade wszystko niesamowitych dźwięków. Sceną było całe otoczenie i wszyscy uczestniczyli w spektaklu.

...

By ochłonać podjechałem do pobliskiego parku.

Tu też jest dziwny świat – zauważyłem, po powrocie do równowagi.

Wśród palm i kwiatów płynął wartki strumyk. Wysoka biała żyrafa przeglądała się w lustrze, a na wielkim placu dymiła para jakichś gejzerów.

Były też jeziora z poukładanymi przez nie ścieżkami, klomby kwiatów, bambusowe zarośla i maszyno-rzeźby, które przy

kręceniu wydawały dźwięki ptaków. Śpiew był tym donośniejszy, im mocniej się kręciło. Korbą uruchamiało się również trąby wodne, dziwne lustra i tryby. W zachodzącym słońcu połyskiwało śmigło wiatraka.

Może uda mi się oglądnąć jeszcze kilka pawilonów, nim je pozamykają. Chociaż te najbliższe statku, szkoda czasu – pomyślałem.

...

Miałem dobry układ wacht 24 na 48 wolnego. Dobry dlatego, że byłem oficerem wachtowym, gdy na „Darze” odbywały się najważniejsze uroczystości, a wolne, gdy główne atrakcje odbywały się gdzie indziej.

Następnego dnia od rana wybrałem się na zwiedzanie pawilonów narodowych. Zaliczałem jeden po drugim, bo wszystkie były interesujące, każdy przedstawiał inny kraj, promował inną kulturę i wykorzystywał inne środki wyrazu. Przeplatały się kontynenty, kolor skóry mieszkańców, ich kultura i obyczaje. Przewodnim hasłem całej wystawy EXPO '98 było: - „Oceany – dziedzictwo dla przyszłości”. To hasło przewijało się w różnych formach w wielu pawilonach. Szerzej rozwijane eksponowało ochronę środowiska, ekologię i problematykę zanieczyszczeń, niekoniecznie mórz i oceanów.

W ekspozycjach państw morskich w mniejszym lub większym stopniu temat ten się przewijał, w lądowych zazwyczaj wcale go nie było. Wiele państw biedniejszych ograniczało się wyłącznie do promowania własnego kraju, ale i tu rozwiązania były zaskakujące.

Bardzo ciekawie do tematu podeszła Szwajcaria. Jej ekspozycja zatytułowana „Switzerland – Water Reservoir of Europe”, powiązała rezerwy czystej ekologicznie wody z walorami turystycznymi. Trzeba przyznać, że zrobili to efektownie i pomysłowo.

Zachęcony występami na zewnątrz meksykańskiego pawilonu, wszedłem do środka. Przechodziłem przez tunel, o ścianach jakby w podwodnej jaskini. Półmrok rozjaśniały pełzające po skałach światelka, migotały niczym cienie pluskającej na

zewnątrz wody. Wkomponowane w skalne otwory ekrany, rozjaśniały się dziesiątkami obrazów. Wydawało się, że w tej podwodnej grocie przez szybę obserwuję naturalne zachowanie morskich zwierząt, że słyszę ich odgłosy, prawie mogłem je dotknąć. Ryczały słonie morskie, głucho nawoływały się wieloryby, słychać było całą gamę głosów podwodnych stworów, którą nawet trudno sobie wyobrazić.

Multimedialna kompozycja zaskakiwała na każdym kroku. Poruszały się modele, pełzały po skałach wirtualne stwory, uginały się glony pod stopami i z boku.

Tunel rozszerzał się, wchodziłem niczym w morską otchłań. Ogromna makieta wieloryba poruszała swój wielki ogon, z boku, jak w toni, pływały różnej wielkości sztuczne ryby, wirtualne rekiny młoty niespokojnie krążyły po suficie, który nad głową wyglądał niczym powierzchnia wody o zmroku.

Ogromna ściana ekranu dzieliła się na dziesiątki mniejszych, przedstawiała jeden, zmieniający się obraz. Wirował świat, przesuwały się zabytki i żyły obrazy wybrzeża. Nawet posągom Azteków towarzyszył z tyłu ryk podmorskich zwierząt.

I jeszcze człowiek w dziwnej scenerii. Chyba poluje? Łazi po wielkich głazach, skrada się, w ręku trzyma jakieś narzędzia. Resztę dopełnia wirtualny świat, prześliczne kolory i niesamowite efekty.

Wychodzę na ekspozycję handlową. W dwóch sporych pomieszczeniach można kupić wiele meksykańskich wyrobów i pamiątek: od tekili, po sombrero.

Po wyjściu z meksykańskiego pawilonu skierowałem się do następnego.

Arabia Saudyjska – przeczytałem nad wejściem. Tu, jak na kraj ten przystało, wszystko zaczyna się od Mekki i Medyny. Szczególnie zachwyciła mnie Mekka. Tak wiernie i z przepychem sporządzonej makiety jeszcze nie widziałem.

Tu też przejście przez tunel z efektami dźwiękowymi, a dalej ekspozycja rozległa i bogata. Wszędzie wirtualne efekty, zmieniające się kwiaty, jakaś wielka meduza, wieże wiertnicze i pustynia. Wirtualne kino przedstawiało arabską sztukę, pejzaże,

folklor i zwykłych ludzi. Obdarowany folderami i pamiątkami opuściłem tę bogatą wystawę.

...

Santo Tome y Principe – widniał napis nad wejściem do jednego z pawilonów.

Co to za kraj? Zupełnie nie wiem! – pomyślałem zaskoczony.

Wszedłem do środka.

Kładka z drewnianych bali przebiega koło wiejskiej chaty, obok wzgórze z naturalnym wodospadem. Wśród tropikalnej roślinności woda z pluskiem wpada do jeziora obok chaty, za którą rozpoczyna się właściwy pawilon.

Obszerne wnętrza wypełniało wiele drewnianych rzeźb, narodowe produkty i duże kopce ziarna kakao i kawy. Na kilku ekranach były prezentowane walory turystyczne.

Podszedłem do pięknej czarnej dziewczyny w narodowym stroju, ozdobionym muszelkami.

- Przepraszam, czy możesz mi coś powiedzieć o swoim państwie? – zapytałem.

- Państwo leży na dwóch wyspach na samym równiku i liczy 140 tys. mieszkańców – usłyszałem w odpowiedzi.

Nim wyszedłem z tego pawilonu śliczna dziewczyna podarowała mi kilka świeżych ziaren kawy i kakao.

...

Przeszedłem jeszcze wiele pawilonów, by odpocząć wybrałem się do „Utopii”.

Już z zewnątrz ten budynek odróżniał się od innych i z daleka rzucał się w oczy. Swoją konstrukcją przypominał trochę wielki grzyb. Stał na podwyższeniu, w centralnym miejscu Światowej Wystawy, naprzeciw chyba najnowocześniejszego w świecie kompleksu dworców komunikacyjnych. Schodami o szerokości kilkudziesięciu metrów, po których jednocześnie mogły wchodzić setki osób, wszedłem na obszerny plac, z którego wyrastała cała budowla. Przestrzeń i rozmach konstrukcji był imponujący. Po wejściu do środka wrażenie to jeszcze bardziej się

potęgowało. Wewnątrz stał jakby drugi budynek, do którego w dwóch poziomach prowadziły dziesiątki drzwi.

Półkolista przestrzeń pomiędzy ścianą zewnętrzną a wewnętrzną to ogromna poczekalnia – jeśli takie określenie można tu zastosować. Widoczna tu jak na dłoni, cała konstrukcja budynku sama w sobie przyprawiała o zawrót głowy. Wszystko było wykonane z ogromnych belek prasowanego drewna, a dopiero na tym rozciągał się lekko przepuszczający światło plastik zadaszenia.

Budynek wewnętrzny wyglądał jeszcze bardziej imponująco. Tu cała widownia przypominała kryty stadion piłkarski, o wysokich trybunach z trzech stron.

Zacząło się przedstawienie, w którym gra aktorów stanowiła tylko jeden z elementów sztuki. Reszta to multimedialna kompozycja. Grało wszystko: światło, kolor, dźwięk i technika, która „wyczarowywała” najbardziej niezwykle efekty i obrazy.

Żywy człowiek poruszał się po nich, tańczył, skakał, unosił się i znikał. Najbardziej wyszukana dramaturgia i najbardziej zaskakujące wydarzenia. Fascynujące widowisko!

...

Po obiedzie znów kontynuowałem zwiedzanie.

Zacząłem od ekspozycji Chile, tak zachwalanej podczas obiadu przez prorektora Krasowskiego.

Intrygował mnie oryginalny posąg z Wyspy Wielkanocnej. Stał przed wejściem do długiej sali ze szklaną podłogą, położoną na mapie państwa i niebieskim skrawku przylegającego oceanu.

Wędrowkę po Chile zacząłem od Ziemi Ognistej. Namalowane dwie stopy, oddalone o krok, opatrzone były napisem: 100 kilometrów.

Wyruszyłem więc na północ po tym długim kraju, robiąc po 100 km za każdym krokiem. Patrzyłem na topografię ładnie podświetlonej mapy i odczytywałem mijane miejscowości. Długie ściany po bokach stanowiły duże ekrany, a nad głową miałem prawie prawdziwe niebo.

Zatrzymałem się w okolicy Santiago, była noc. Nad głową roziskrzone niebo, mrugały gwiazdy, dochodziły odgłosy nocnych ptaków i zwierząt. Byłem w środku dżungli! Płatanina drzew po obu

stronach, wysokich na kilka metrów, zdawała się to potwierdzać. Obrazy ciągle się zmieniały.

Powoli szedłem dalej.

Przechodziłem przez pustynie, byłem nad morskim brzegiem, wysoko w górach, oglądałem tropikalne kwiaty i wspaniałe wodospady. I byłem tam w środku!

- Czy naprawdę?

- Hmm. Myślę, że tak. Przy każdym krajobrazie słyszałem ryki zwierząt i śpiew ptaków, które występują w tych rejonach. Nad morzem o wschodzie słońca wyraźnie słyszałem plusk fal i krzyki mew, a na łące cykały świerszcze. Tylko kwiaty jakoś nie pachniały.

Szkoda, że nie da się zatrzymać czasu – pomyślałem po wyjściu. – Z chęcią pospacerowałbym jeszcze po bezdrożach Chile.

...

Dla odmiany poszedłem do Makao.

Ten pawilon był zupełnie inny niż pozostałe. Stał oddzielnie przy głównej ulicy, z wielkim złotym smokiem na froncie. Zbudowany w kształcie litery L i ogrodzony do zamknięcia w prostokąt, w środku mieścił niewielki park, jezioro, fontanny, a nawet niewielki wodospad. Jeśli ktoś nie widział prawdziwych chińskich ogrodów, to z powodzeniem był to ich przedsmak. Z labiryntem ścieżek, mostków z poręczami i rzezbami.

Kolejka przed drzwiami najlepiej informowała, że warto tam wejść.

Więc wszedłem.

Od razu po wejściu otrzymałem zapakowany w kopertę pieniążek z Makao.

Świetna pamiątka – pomyślałem.

Zwiedzanie zaczynało się od góry. Zachwycały wirtualne obrazy i multimedialna technika na każdym kroku, ale tego było już do przesytu. Aż kręciło mi się w głowie. Widoczny co jakiś czas z tarasów chiński ogród, kwiaty, jezioro i tropikalna roślinność – a tak, zadbali i o to – przyciągała jak magnes.

Niestety, by tam dojść, musiałem obejrzeć całą, wspaniałą skądiną ekspozycję.

Tu, do budynku, jeszcze wrócę – postanowiłem.

Długo siedziałem na ławeczce nad jeziorkiem i wśród kwiatów. Rozkoszowałem się świeżym powietrzem. Podziwiałem występy akrobatyczne i taneczne, grupy dziewcząt i chłopców ubranych w chińskie stroje. Oni prezentowali swój show na czerwonym dywanie, a ja odpoczywałem.

Tego dnia zwiedziłem jeszcze kilka pawilonów. Byłem w państwach znanych i tych, które trudno znaleźć na mapie.

Uważnie śledziłem zegarek, by przed zamknięciem o dwudziestej dotrzeć do polskiego pawilonu.

...

Polska ekspozycja znajdowała się w północnej części terenów wystawowych, natomiast „Dar” był zacumowany zupełnie na południu. Bezpłatne autobusy kursowały nieustannie i nie było najmniejszych problemów z poruszaniem się po terenie Wystawy, jednak około pięć kilometrów odległości przy atrakcjach co krok, robiło swoje.

Północna część terenów EXPO miała zupełnie inną, bardziej nowoczesną i bogatszą architekturę. Oczywiście nie było podziału, że w tym rejonie są państwa bogate, a w południowej części biedniejsze, czego dowodem chociażby jest, że tak bogate państwa jak USA i Japonia miały swoje ekspozycje bardzo blisko „Daru”, a w pobliżu polskiego pawilonu były wystawy Litwy, Łotwy, Estonii, Bułgarii i Słowacji.

Gdy znalazłem się w pobliżu polskiej wystawy, najpierw postanowiłem obejrzeć kilka pobliskich pawilonów.

Przeszedłem przez państwa skandynawskie, oglądałem pawilon Rosji i Szwajcarii, dokładnie przyjrzałem się pawilonom republik nadbałtyckich, Ukrainy i Korei.

Dłużej zatrzymała mnie ekspozycja Chin. Przepiękne makiety rejonów Chińskiego Muru i jakiegoś górskiego pejzażu były wykonane tak precyzyjnie, tak naturalnie oddawały rzeczywistość, że nie sposób było się nie zatrzymać. Również świat morza, w ogromnych akwariach bez wody, tak dokładnie przedstawiał faunę i florę, że trudno było uwierzyć w sztuczność roślin i zwierząt. Wyprawione, zasuszone i spreparowane okazy

były jak żywe. Ryby jakby pływały, murena czaiła się do ataku, a wielka langusta uciniała sobie drzemkę w gąszczu morskich glonów.

Była jeszcze ogromna łódź z kości słoniowej, posągi mandarynów i cała grupa urządzeń chińskiego przemysłu do sputnika włącznie. W dużym stoisku handlowym był bardzo bogaty wybór pięknych i niedrogich pamiątek.

Pawilon Niemiec, ze względu na długą kolejkę przed wejściem zostawiłem sobie na inny dzień.

...

Z planu wiedziałem, że nasza ekspozycja jest niewielka. Zajmowaliśmy przestrzeń jednej czwartej kwadratu obok Sri Lanki, która miała pozostałe trzy części. Włochy, sąsiad z lewej, samodzielnie zajmowały cały kwadrat.

Poland, napis tej samej wielkości, co i na innych pawilonach, a jednak wchodziłem z biciem serca. Wiedziałem, że nasza wystawa jest zatytułowana „Polska – Bursztynowe Wybrzeże”, ale jak zostało to pokazane? Tak bardzo chciałem, by mnie coś zaszokowało, ścięło z nóg i przyćmiło wszystkie inne pawilony!

Uspokój się! Czy nie oczekujesz za dużo? – pomyślałem dla przywołania rozsądku. – Przecież jakości ekspozycji nie mierzy się ilością zajmowanej powierzchni. To nieważne, że Mauritius, Lesoto, Malawi, czy jakieś tam 140 tysięczne Santo Tome y Principe mają obszarowo większe pawilony.

Byłem w środku.

Przywitała mnie polska muzyka. Dochodziła skądś z lewa, gdzie na dużym ekranie właśnie był pokazywany program z Krakowa. W środku sali uwagę przyciągała gra świateł, to wirtualne obrazki przesuwwały się po wysokim szklanym stożku, umieszczonym na podwyższeniu. Przeszklona ściana z prawej przedstawiała stylizowaną mapę Europy z orłem w obrębie naszych granic.

Minimum środków, maksimum efektów – pomyślałem w pierwszej chwili.

Uprzejma i uśmiechnięta Polka zapraszała do środka.

Wszedłem dalej.

Pomysłowo wykonane gabloty z naturalnym bursztynem i wszelkimi wyrobami z niego, połyskiwały zachęcająco. Najciekawsze okazy stanowiły ekspozycję, ale wiele wyrobów można było też kupić. Najbardziej interesujące kawałki bursztynu znajdowały się wokół wirtualnego stożka. Umieszczone w szklanych tubach o różnej średnicy, odpowiednio podświetlone, pozwalały w powiększeniu obserwować różne żyjątka zatopione w tej prehistorycznej żywicy. Gra światła i kolorów stwarzała tajemniczy nastrój.

Gustownie to wszystko wykonane i pomysłowo zrobione – pomyślałem i lżej zrobiło mi się na sercu.

Kilka multimedialnych telewizorów komputerowych pod mapą, pozwalało na indywidualny wybór informacji z następujących dziedzin: współpracy międzynarodowej, udziału polskiej nauki w badaniach oceanów, gospodarki i szkolnictwa morskiego, sportu i kultury w środowisku morskim oraz promocję całej polskiej gospodarki.

Zmęczony po całym dniu wróciłem autobusem na statek. Jutro czekał mnie męczący dzień służby w porcie.

Służba oficera wachtowego na „Darze” zawsze jest uciążliwa i męcząca, ale w Lizbonie, przy 60 metrowej ekspozycji plansz i fotogramów, przy tysiącach zwiedzających osób i dużej ilości wizyt ważnych osób, była szczególnie ciężka.

Widoczna z daleka sylwetka żaglowca, zacumowanego w dobrym punkcie, przyciągała jak magnes. Ekspozycja pod żaglami, to już zupełne zaskoczenie. Ta najbardziej oryginalna wystawa na pokładzie przyciągała tłumy większe niż pawilon Niemiec, Brazylii czy Makao. Jeszcze przed otwarciem ustawiały się kolejki. Gdyby „Dar Młodzieży” stał przez cały czas trwania Wystawy Światowej, to nasza ekspozycja razem z pawilonem, zajęłaby pierwsze miejsce we wszystkich rankingach oglądalności.

Organizatorzy też chyba to zauważyli, bo podczas mojej wachty odwiedziła nas cała świata najważniejszych prezesów Wystawy i wysokich urzędników z Lizbony. Długo oprowadzałem ich po ekspozycjach i widać było, że są bardzo zainteresowani.

Postawieni przez organizatorów specjalni licznicy, na swych elektronicznych liczydłach odnotowywali każdą zwiedzającą osobę. Do dwudziestej, gdy kończyło się oficjalne zwiedzanie, naliczyli aż 4988 osób.

Kapitan Wiktorowicz, widząc bardzo długą kolejkę przed trapez, polecił nadal wpuszczać chętnych do zwiedzania. Dopiero, gdy organizatorzy Wystawy doszli do wniosku, że wszystkie ekspozycje powinny być zamknięte bez wyjątków, zwiedzanie przerwano. Ilu ludzi było po tym czasie trudno powiedzieć, gdyż licznicy pracę zakończyli punktualnie o dwudziestej.

Wystawa „Polska nad Bałtykiem” dawała bardzo dużo informacji o naszym kraju. Ciekawie skomponowane fotogramy przedstawiały barwne zdjęcia z nadmorskich miast, polskie wybrzeże i obiekty turystyczne. Opisy w języku angielskim dostarczały reszty niezbędnych informacji.

Były też całe działy poświęcone historii Polski, morskiej tradycji, szkolnictwa morskiego i przemysłu stoczniowego. Nie zabrakło perspektyw rozwoju i spojrzenia na przyszłość.

Portugalczyków bardzo interesowały widoki polskiego wybrzeża, prawie wszyscy zatrzymywali się też przy ekspozycji historycznej. Mapa Europy z okresu Polski Jagiellonów i tereny zajęte przez Maurów na Półwyspie Iberyjskim w tym okresie, wywoływał najwięcej dyskusji.

...

Następnego dnia, pomimo zmęczenia, znów wyruszyłem na zwiedzanie pawilonów Wystawy. Żał mi było na odpoczynek każdej wolnej chwili między służbami. Uwagi kolegów dostarczały dodatkowych informacji, gdzie na pewno warto się wybrać i czego nie wolno ominąć.

Wiele pochwał u kolegów zyskała ekspozycja Brazylii. Profesor Holec i dr Tymański nawet dziwili się, że tam jeszcze nie byłem. Może dlatego pierwsze kroki skierowałem właśnie tam.

Zaraz po wejściu zobaczyłem przed sobą ścianę z kryształowych kawałków zawieszonych na sznurach, które w grubej warstwie zwisały jeden przy drugim i całkowicie zasłaniały wejście. Stwarzały wrażenie ściany wodnej, tym bardziej, że wchodziło się

po jakiejś szybie, pod którą widać podświetlone morskie kamienie i słychać było dźwięk chlapiącej wody.

Wszedłem niczym do podwodnej jaskini, która prowadziła w morskie głębiny.

W ogromnej sali wirtualne i multimedialne zastosowanie środków okazało się wręcz niewyobrażalne!

Chodzisz po obrazach, jesteś w obrazie, a wszystko ciągle się zmienia.

Nie wiem na co patrzeć i w którą stronę skierować wzrok. Dzieje się coś dookoła, nad głową i pod nogami!

Mogę krążyć między obrazami wielkimi jak ściany mieszkalnych bloków, takimi na kilka metrów lub normalnymi, do których jestem przyzwyczajony. One przychodzą do mnie ciągle nowe i świeże. Czasem mam ochotę pogłaskać delfina, zaszyć się w dżunglę Amazonii lub pospacerować po Buenos. Sięgam po kwiaty lub pozwalam, by one mnie przykrywały. Oglądam wschód słońca na równinach pampasów, w dzień siedzę w dżungli wśród Indian, a wieczorem mogę być nad wodospadem wielkiej rzeki i Bóg wie jeszcze gdzie.

Długo oglądałem brazylijski świat, ale cykl się nie powtarzał. Po morskich kamieniach wróciłem do rzeczywistości.

Nie odszedłem daleko. Tak mi się spodobała południowo-amerykańska przyroda, że wstąpiłem jeszcze do Panamy. Zresztą, czy mogłem odmówić dwóm pięknym dziewczynom w ludowych strojach, które tak uroczo zapraszały?

Również jest wirtualne kino, latynoska muzyka, piękne morskie plaże i wspaniałe wodospady. Latają barwne motyle, oglądam niezapomniane efekty zachodzącego słońca.

Robię sobie zdjęcie przy pięknej dziewczynie, która siedzi na podłodze w swej rozłożonej w duże koło kolorowej sukni, druga tańczy pod wirtualną egzotyką.

Aż szkoda wychodzić!

- A może dla odmiany do Południowej Afryki? – Dlaczego nie!

Tu też wirtualny tunel, ale spływa prawdziwa woda po rybach z metaloplastyki, chlapią niewielkie fontanno-wodospady.

Piękne rzeźby, wirtualne obrazy konkurują z metaloplastyką i z wyprawionymi, jakby żyły, zwierzętami. Mistyfikacja przeplata się z rzeczywistością.

Tak wiele pawilonów mi jeszcze zostało – pomyślałem. – Ale koniecznie muszę jeszcze pójść do niemieckiego, wszyscy tak go polecają.

...

Ponad pół godziny stałem w kolejce, zanim znalazłem się w pawilonie naszych sąsiadów, a po przekroczeniu drzwi, jeszcze odczekałem kilkanaście minut, nim mogłem zająć miejsce w kabinie podwodnego pojazdu „Atlantis”.

Czekanie wewnątrz nie było jednak bez celu. Niemka w mundurku stewardesy zaznajamiała gestami - tak jak robi się to w samolocie - gdzie znajdują się środki ratunkowe i o technice zakładania maski, by w razie awarii wypłynąć na powierzchnię.

Nic dziwnego! Za chwilę zanurzamy się 100 metrów pod wodę!

Czekam cierpliwie, zanim wypłynie kabina „Atlantis”. Zaznajamiam się z licznie zgromadzonymi środkami ratunkowymi i przeglądam plansze.

Pojazd podwodny już jest! Jego dziwna ciemna sylwetka wygląda trochę tajemniczo, otwiera się właz. Stewardesa odlicza kolejną dwudziestkę, która może wejść.

Wreszcie wchodzę do „Atlantisa”!

Drzwi się zasuwają i w półmroku zanurzamy się w morskie głębiny. Elektroniczne wskaźniki pokazują kolejne metry głębokości, czuję zmianę ciśnienia, niewielkie kołysanie pojazdu, a nawet lekki zawrót głowy. Migają jakieś stwory pomiędzy którymi opadamy w dół, aż głębokościomierz pokazuje cyfrę 100. Pojazd zatrzymuje się. Za chwilę wyjdziemy do podwodnej stacji centrum badawczego.

Właz się odsuwa, wychodzę.

Ciemnym korytarzem z jakimiś urządzeniami i zaworami przechodzę do większego pomieszczenia. Tu jest już więcej światła, a rozliczne iluminatory pozwalają mi na obserwowanie różnych miejsc w morskich głębinach. Są też podwodne lunety, gdzie po

pokręceniu zaworami można regulować zasięg obserwacji tego podwodnego świata. Komputerowe monitory dają komplet informacji.

Ten świat jest jakiś prehistoryczny. A może z innej planety? - zastanawiam się, rozglądając po pomieszczeniu stacji.

Pracują tu jakieś maszyny i urządzenia. Dziwna pompa zanurza w wodzie swój tłoko-talerz, są niespotykane silniki starych niemieckich firm.

Przez specjalną rampę przechodzimy do następnego pojazdu.

Kabina jest zupełnie inna. Teraz polecimy rakietał w przestworza!

Zajmuję miejsce i mocno się trzymam, tak jak poleca stewardesa. Jest szarpnięcie, są przeciążenia i dokładnie widać gdzie lecimy. Duża panoramiczna szyba z przodu pozwala dostrzec każdą przeszkodę.

Lecimy nad miastem. Czuć turbulencję powietrza, trochę szarpie, zbliżamy się do jakichś wieżowców. Pilot wchodzi między nie ostrym łukiem, aż nas zarzuciło. Do tego wieżowca z lewej zbliżamy się na niebezpieczną odległość! Pilot jeszcze mocniej skręca, kabina się przechyla. Ależ on manewruje!

Sytuacja się uspokaja, zniżamy lot nad ulicę z tłumem ludzi. Lecimy w stronę wielkiego transparentu: - EXPO 2000 Hannover.

Ależ te podróże mogą działać na wyobraźnię! – pomyślałem, wychodząc z niemieckiego pawilonu. Nie żałowałem, że tyle czasu stałem wcześniej w długiej kolejce.

- Czy po takim pokazie mogło jeszcze coś zaszodzić? – Tak! Ale były to już zupełnie inne środki wyrazu.

U Japończyków siedziałem w laserowym kinie trójwymiarowym. Ryby podpływały tu pod sam nos, a morska głęбина była realistyczna w każdym calu. Aż się przestraszyłem, gdy jakieś większe morskie zwierzę podpływało bezpośrednio do mnie. Myślałem, że potwór chce mnie pożreć!

...

W niedzielę 31maja wybrałem się z dwudziestoosobową grupą studentów do Fatimy. Dzień Zielonych Świątek był dodatkową zachętą, tym bardziej że połączenie autobusowe z

Lizbony było bardzo dobre, a koszt biletu w obie strony zamykał się kwotą piętnastu dolarów.

Autobus do Fatimy jechał około półtorej godziny i przy okazji tej pięknej wycieczki można było oglądać portugalskie krajobrazy. W miarę zbliżania się do celu podróży zalesione i bardziej górzyste tereny urzekały swoim pięknem, ale ciągłe opady deszczu znacznie ograniczały widoczność.

Deszcz towarzyszył nam podczas całej wycieczki i w znacznym stopniu utrudniał poruszanie się po okolicy. Na szczęście było dość ciepło i nie zwracaliśmy na to większej uwagi.

Sanktuarium tonęło w strugach deszczu, zgromadzone podczas mszy tłumy przysłaniał dywan parasoli. Do bazyliki weszliśmy dopiero po zakończeniu nabożeństwa.

Przy sporej ilości czasu, którym dysponowaliśmy i przy lepszej pogodzie mógł to być jeden z przyjemniej spędzonych dni. Ale i tak, z pamiątkami i pełni wrażeń, zadowoleni wracaliśmy na statek. Przy okazji, dla wielu osób, sam przejazd autobusem i metrem przez prawie całą Lizbonę pozwolił trochę poznać miasto.

...

Przed niektórymi pawilonami można było napotkać interesujące występy również na ulicy. Każde państwo miało na Wystawie swój Dzień Narodowy. Szczególnie wtedy zjeżdżały się różne zespoły, przybywały głowy państw, a przed ekspozycjami odbywały się pokazy artystyczne. Występowały zespoły estradowe i folklorystyczne, a nawet odbywała się degustacja narodowych potraw.

2 czerwca - w Dniu Polskim na EXPO - uroczystości odbywały się na „Darze Młodzię”. Nie zapomnę tego dnia. Miałem wtedy służbę oficera wachtowego statku, najbardziej męczącą i zwariowaną ze wszystkich dotychczas.

Już od ósmej zaglądałem w każdy kąt, by statek należycie wyglądał. Raz, że o dziesiątej zaczynało się normalne zwiedzanie, a dwa, że na statku był istny najazd gości: dwóch wojewodów, trzech rektorów uczelni, tłumy redaktorów, dziennikarzy, sponsorów naszej ekspozycji, osób przygotowujących występy artystyczne i

funkcjonariuszy zabezpieczających przybycie prezydenta Kwaśniewskiego. Kogo tam jeszcze nie było?

Zwiedzanie wystawy pod żaglami rozpoczęło się punktualnie o czasie otwierania wszystkich pawilonów. Długa kolejka oczekujących wróżyła duży tłok.

Studenci wolni od zajęć i służb już wcześniej wypuściłem na ląd, by nie było dodatkowego zamieszania, ale wachta służbowa musiała uwijać się jak w ukropie. Praktykanci doświadczeni mnogością uroczystych imprez w regatach do Osaki stanęli na wysokości zadania. Na statku cały czas był wzorowy porządek i nawet na nabrzeżu przed „Darem” w mig dyskretnie znikał każdy wyrzucony śmieć i niedopałek papierosa. Zawsze byli gotowi do udzielenia informacji, oprowadzania i do natychmiastowego zwiększenia ilości trapowych, przy uroczystym powitaniu osób na wysoko zajmowanych stanowiskach.

Wizyta prezydenta Kwaśniewskiego odbywała się w godzinach popołudniowych. Odpowiednio wcześniej zarządzono przerwę na zwiedzanie i statek był gotów do przyjęcia ważnych osobistości.

Przybyło ich wielu. Oprócz Aleksandra Kwaśniewskiego i jego żony było kilku ministrów, ambasador RP w Portugalii, wojewodowie i cała świta osobistości ze świata polityki i biznesu zarówno Polski jak i gospodarzy. A wszystkich jako oficer wachtowy należało przywitać przy trapie z odpowiednimi honorami. Po przybyciu Prezydenta jeszcze bardziej zwiększyły się tłumy osobistości, a atmosfera zagęściła. Prezydent oficjalnie przeciął wstęgę, oficjalnie otwierając ekspozycję pod żaglami i wygłosił przemówienie.

To chyba taki dyplomatyczny obyczaj z tym przecinaniem wstęgi – pomyślałem, wiedząc, że na „Darze” wisi już tablica informacyjna o wyjściu statku w morze za dwa dni.

Prezydent jak zwykle ładnie przemawiał, a pani prezydentowa elegancko i pogodnie się uśmiechała.

Starłem się być czujny, by nic nie zakłócało prezydenckiego wystąpienia. Nieopodal przy burcie jakaś niewysoka kobieta zawzięcie trajkotała ze swoją koleżanką.

Co za brak wychowania, nawet nie uszanuje prezydenckiego przemówienia – pomyślałem i czym prędzej przecisnąłem się do niej, by ją nieco uciszyć.

Chyba zrobiłem to dość stanowczo, bo natychmiast zamilkła i odwróciła się, przepraszając. Dopiero teraz ją rozpoznałem, była to pani minister Labuda, a rozmówczynią Hanna Banaszak.

Po popołudniowej wizycie Aleksandra Kwaśniewskiego wieczór zapowiadał się jeszcze bardziej tłoczny. Na statku bowiem odbywało się oficjalne przyjęcie wydane przez Prezydenta dla około dwustu osób i były przewidziane występy artystyczne. Przybył również Premier Portugalii.

Śpiewał Wodecki, przygrywała góralska kapela, a nawet studenci zrobili paradę wantową i weszli na reje.

Czuwanie nad wachtą, nad porządkiem, bezpieczeństwem, organizacją, witaniem i odprowadzaniem gości oraz całością rozkładu dnia studentów niezwykle mnie zmęczyło. Po wachcie byłem całkowicie wyczerpany, chciałem trochę odpocząć, ale z przemęczenia nawet nie mogłem zasnąć.

...

Była jeszcze jedna impreza, na której musiałem być: - nocne multimedialne widowisko w zatoczce koło „Utopii” i pokaz sztucznych ogni. Do tej pory fragmenty tego spektaklu częściowo oglądałem z pokładu żaglowca, ale około dwukilometrowa odległość rzeczywiście pozwoliła dostrzec jedynie fragmenty.

Spektakl rozgrywał się codziennie koło północy.

Od razu poczułem się zaskoczony ogromną ilością osób, oczekujących na przedstawienie. Duży plac, nabrzeża, ławeczki na bulwarze i schody zapełniały tłumy ludzi. Jedni siedzieli, gdzie się da, czasem na gołej ziemi, a inni stali bądź spacerowali.

Zaczynało się nocne widowisko.

Na zatoce między delfinarium i „Utopią” pojawia się jajo wysokie jak wieżowiec. Jajo kręci się, a wypełniające światło rozświetla go jak ogromny ekran. Obraz jest wyraźny, ostry. Ale co to jest?

Niezwykła muzyka i dźwięk wypełniają całą zatokę.

Obraz cały czas się kręci, widać jakby łuski, coś podobnego do oka. Tak jest, duże oko. Rodzi się życie!

Zmieniają się obrazy i muzyka.

Słysząc jakby dźwięk syreny, zapalają się światła na wieżach, które nagle pojawiają się wokół jajo-ekranu. Promienie przeszywają czerń nieba.

Pojawia się człowiek, obrazy się dzielą, w okienkach gadające głowy.

Wielki kulturysta pręży swoje mięśnie, wiruje muzyka.

Obraz na chwilę zanika. Kręci się gołe jajo.

Znów jakieś głowy różnych ras, dziwna muzyka i jeszcze dziwniejsze obrazy.

Słysząc jakby leciał samolot. Obraz kołysze się w przestworzach, wybucha kolorami.

Słysząc gwar wielu ludzi, jakieś krzyki, migają światła.

Wzrasta napięcie.

Nagle wybuchy wielkich płomieni na świetlnych wieżach, takie długie i syczące, jak płomienie „świeczki” w rafinerii.

Człowiek i głosy, migocą obrazy. Słysząc detonacje i muzykę, blednieje gołe jajo.

Jakieś krzyki, lamente, kolorowy dym i dudnienie.

Jajo się kurczy, maleje, marszczy, a spod niego coraz więcej czerwonego dymu. Muzyka jakaś inna, jakaś już spokojna i przenikająca.

Z czerwieni dymu oddziela się inny, zabarwiony zielenią. Jak embrion oddala się od sflaczałego jaja.

To nie embrion, to jakaś kula w której kroczy człowiek. Idzie w stronę oceanarium. Tam migocą światła.

Nagle, za świetlną kulą z kroczącym człowiekiem, detonuje cała zatoka, wylatują dziesiątki złotych rac.

Pierzaste race wybuchają w różnych miejscach, widać błyskawice. Przepiękna kompozycja światła i dźwięku.

I znów jednoczesny wybuch wielu rac, są już inne. Wylatują pionowo w górę, by się rozpaść deszczem gwiazd. Duże brawa zgromadzonych osób!

Byłem pod wrażeniem.

...

Długo jeszcze chodziłem ulicami Światowej Wystawy. Przecież była to już ostatnia noc.

Po spektaklu pustoszał rejon „Utopii”, ja starałem się pozbierać myśli. Ten występ jakoś mnie przygnębił.

Nie! To jest tylko czarny scenariusz nocy – pomyślałem. – W dodatku rozgrywał się na placu koło „Utopii”. Cała wystawa na zakończenie wieku jest jednak inna w swojej wymowie.

Czułem się zagubiony. Z daleka odczytałem napis Santo Tome y Principe.

Jakie tam wszystko jest proste - pomyślałem

Przechodziłem koło ekspozycji brazylijskiej.

Co za wirtualny świat – westchnąłem.

Szedłem koło arabskiego świata Mekki, ale akurat przyszła mi do głowy ekologia.

To człowiekowi jest poświęcona ta wystawa. Dobrze, że na progu trzeciego tysiąclecia ludzie patrzą w przyszłość i chcą chronić życie - rozważałem. - Nie tak jak Tour Eiffel avec 15 000 pieces metaliques, które są też tworzywem bomby.

Byłem coraz bliżej „Daru”. Jeszcze tylko zakręt koło pawilonu meksykańskiego i prosto na statek.

Tu wszystko jest w tunelu – przypominałem sobie. – A swoją drogą tunel był bardzo często stosowanym motywem na tej Wystawie. I taki wirtualny!

...

4 czerwca „Dar Młodzieży” opuszczał nabrzeże EXPO '98. Zmęczeni wrażeniami wracaliśmy do Gdyni.

Przed odejściem szczęśliwy zbieg okoliczności, przepływały koło nas wielkie baśniowe pływające maszyny – stwory zwane Olharapusami – dzieło nieposkromionej fantazji artystów.

Po odcumowaniu stawiamy wszystkie żagle. Znów trochę szczęścia, bo z wiatrem w żaglach przechodziliśmy pod mostem, obok którego stoi wysoki na 51 metrów pomnik Chrystusa Króla.

Kapitan Wiktorowicz zaliczył jeszcze jeden most po Sydney, pod którym przeszedł na żaglach. Oświetleni blaskiem słońca byliśmy widoczni dla połowy Lizbony. Aż serce rośnie!

...

Podróż na EXPO '98 była ze wszech miar ciekawa również pod względem praktyki morskiej.

Przełynęliśmy 2328 mil, z czego aż 2185 na żaglach, w dodatku pod żaglami przez dwie stolice państw, bo i w Kopenhadze też sprzyjały wiatry. Silnik główny był wykorzystywany tylko przez 25 godzin i 45 minut. Największa prędkość pod żaglami, którą odczytałem wynosiła aż 15,9 węzła.

Studenci, którzy rok wcześniej płynęli ze mną na regaty do Japonii wreszcie mogli zaznać prawdziwego smaku białych żagli.

RATOWANIE ŻYCIA

(jeden z rejsów, gdzie reżyserem planu było samo życie)

20 kwietnia „Dar Młodzieży” wrócił ze stoczni „Remontowa” w Gdańsku na Skwer Kościuszki z nowym, pięknym pokładem i ze wszystkimi drewnianymi elementami lśniącej nowością irokowego drzewa. A było tego sporo!

800 metrów kwadratowych pokładu, 312 mb relingów, około 60 mb poręczy i 88 mb nagielbanków, których solidna konstrukcja i grubość 19 cm x 8 cm wymagały sporej ilości materiału.

Statek stał gotów na zamustrowanie praktykantów i do podróży. Zgodnie z planem rocznym miał to być rejs do Cork w Irlandii i do Barcelony ze studentami drugiego roku Wydziału Nawigacyjnego i drugiego roku Wydziału Radioelektronicznego.

Już na początku postoju na stoczni przebąkiwano o możliwości zmiany trasy rejsu i o wypadnięciu z planu wejścia do Barcelony. Pod koniec remontu było całkiem pewne, że z Cork „Dar Młodzieży” ma wrócić, by robić tło podczas papieskiej wizyty w Sopocie.

W tym zmienianym do ostatniej chwili planie była nadal jedna niewiadoma. Skoro studenci mają realizować praktykę z astronawigacji i ma być tylko jeden port, to niech zamiast Corku będzie jakiś inny, bardziej na południu, gdzie jest większe

prawdopodobieństwo dobrej pogody. Propozycja zawinięcia na Madere miała najwięcej zwolenników. Jak się później dowiedziałem, taka też propozycja wypłynęła z Dziekanatu Wydziału Nawigacyjnego i wstępnie została zaakceptowana przez Rektora uczelni.

Gdy statek 30 kwietnia wypływał w morze, było już prawie wszystko wiadomo: postój w Cork w dniach 10-11 maja, powrót na redę Sopotu 5 czerwca, a po papieskiej paradzie dalsze kontynuowanie rejsu i zacumowanie w Gdyni 18 czerwca.

Na pokładzie „Daru Młodzieży” chyba nie było ani jednej osoby zadowolonej z takiego harmonogramu.

- Dziwny plan – komentowali oficerowie i pozostała załoga.
– Na zachód, skąd przeważnie wieją wiatry, jest zaplanowany czas prawie trzykrotnie krótszy niż na powrót. Powinno być raczej na odwrót.

- Panie Józiu, nawigatorzy po drugim roku realizują praktykę z astronawigacji. O tej porze roku na Morzu Północnym i koło Irlandii z pogodą różnie bywa. Jeśli będzie duża ilość dni pochmurnych, to mogą być trudności ze zrealizowaniem programu praktyki. Przecież to jest rejs szkoleniowy – martwił się kierownik praktyki, profesor Holec.

Praktykanci z obu wydziałów z utęsknieniem, długo jeszcze po wypłynięciu, pytali mnie o Barcelonę i Madere:

- Panie poruczniku, mama dała mi na podróż hiszpańskie pieniądze na drobne wydatki, bo taki był program praktyki wywieszony u nas na wydziale. Do końca nie wiedziałem, że coś się zmieniło. Tak mocno przeżywałem mój pierwszy rejs – zwierzał się któryś z radioelektroników.

- Ja swojej dziewczynie obiecałem wysłać ładną pocztówkę z Barcelony lub Madery i też tego nie zrobię – dorzucił jakiś nawigator.

Jest tak jak jest, płyniemy tylko do Cork. Być może, po zrobieniu tła dla wizyty Papieża, wejdziemy jeszcze do Kilonii, ale to wcale nie jest pewne.

Ograniczeni czasem na dojscie do Irlandii, przy przeciwnych wiatrach, przepływamy Bałtyk na silniku. Na Morzu Północnym

mamy więcej szczęścia, możemy postawić żagle i wyłączyć silnik. Wieje nawet od wschodu! I tak jest prawie do samej Irlandii. Przy maksymalnym wykorzystaniu wiatru większość trasy przepływamy jednak na żaglach. Na Morzu Celtyckim sztormowa pogoda. W Cobh, na przedmieściach Corku, ze względu na fatalne warunki meteorologiczne stoimy o dzień dłużej. Studenci, nie zważając na ulewy i wichurę, wykorzystują każdą chwilę na zwiedzanie. Dla większości jest to pierwszy pobyt w Irlandii, a dla wielu pierwszy rejs w życiu i pierwszy port, do którego wpływają.

Wychodzimy w morze przy niewiele lepszej pogodzie. Tym razem mamy sporo czasu i duże prawdopodobieństwo sprzyjających wiatrów, by wrócić na Zatokę Gdańską. Ze dwa tygodnie w zapasie do zagospodarowania.

Jak do tej pory, większość dni była pochmurnych i deszczowych. Zgodnie z polskimi zasadami wypełniania Dziennika Nawigacyjnego, gdzie cyferką od 1 do 4 określa się stan zachmurzenia, w większości wacht wpisywałem 4. Sucha cyfra niewiele obrazuje. Aż mnie ręka świerzbiała, by użyć formy opisowej, tak jak robi się to w większości obcych bander. Przypominało mi się, jak w Dzienniku Okrętowym angielskim taki stan pogody odnotowywałem zwykle „overcast” (ponuro, posepnie).

Cyferka 4 – całkowite zachmurzenie – nie spodobała się również studentom i nazwali to po swojemu „pogoda upierdliwa”. Lekarz statkowy, jak twierdził, przyjął termin medyczny „pogoda do dupy”.

Korzystając z zapasu czasu, by pomóc kierownikowi praktyki zrealizować program z astronawigacji, kapitan Wiktorowicz w nadziei na mniejsze zachmurzenie polecił płynąć na południowy zachód, na otwarty Atlantyk. Dość silny wiatr pozwalał osiągać dobre prędkości na żaglach i chmur zaczęło się robić znacznie mniej. Praktykanci po drugim roku nawigacji już zaczęli odmierzać, jak daleko jest jeszcze do Azorów. Nikt jednak nie spodziewał się, że tak nagle będziemy zmuszeni zmieniać ten kurs.

17 maja o godzinie 15.20 z rozgłośni statkowej rozległa się informacja:

- Przygotowanie do alarmu do żagli! Przygotowanie do alarmu do żagli! Alarm planowany na godzinę 15.45.

Akurat piłem wtedy kawę w świetlicy załogowej. Po chwili zaniepokoił mnie odgłos uruchamianego silnika głównego.

Coś się musiało stać – pomyślałem zaniepokojony.

Zostawiłem nie dopity kubek i pospiesznie udałem się do swojej kabiny. Musiałem odpowiednio się ubrać, już na wachtę, bo po alarmie na pewno będą moje godziny pracy. Sprawdziłem czy w kieszeni mam gwizdek i zabrałem ukaefkę. Z ciekawością wyglądałem przez bulaj.

Ten sam dobry wiatr. Dlaczego nagle zmieniamy kurs? – pomyślałem jeszcze bardziej zaniepokojony.

Akurat miałem popsuty telefon w kabinie, więc czym prędzej wyszedłem na pokład, by czegoś się dowiedzieć.

- Wiesiu, co się stało? – zapytałem żaglomistrza, którego pierwszego z załogi zobaczyłem przy włazie.

- Mamy jakiegoś chorego studenta, którego pilnie musimy przekazać do szpitala. Ale nie wiem, co mu jest – usłyszałem w odpowiedzi.

Do dzwonekó w na alarm było sporo czasu. Zdecydowałem się wejść jeszcze na mostek.

- Jakiś student jest podejrzany o skręt kiszek i musi być niezwłocznie operowany. Będziemy płynąć do Hiszpanii. Komendant właśnie ustala sytuację, bo to wynikało dopiero po piętnastej – wyjaśnił mi kończący wachtę I oficer kpt. Zenon Leks.

Dzwonki na alarm i wszystko potoczyło się teraz błyskawicznie: zbiórka wacht pod swoimi masztami, przebrasowanie rei, zwrot na odpowiedni kurs i klarowanie lin. Właśnie zaczynał się czas mojej wachty. Poleciałem mojemu instruktorowi i bosmanowi, by dopilnowali dokończenia porządkowania pod grotem i niezwłocznie udałem się na mostek.

- Płyniemy tu, do najbliższego portu – wskazał mi na mapie komendant „Daru Młodzieży” kpt. Wiktorowicz. – Józiu sprawdź dokładnie odległość i rozkręcaj maszynę do pełnych obrotów. Ja idę do radiostacji poinformować kogo trzeba – polecił komendant.

Skontrolowałem wszystkie wskaźniki i urządzenia, a w Dzienniku Nawigacyjnym oprócz danych cyfrowych zanotowałem: „Przy pełnych obrotach silnika i na żaglach kurs do najbliższego portu La Coruna”.

Sprawdziłem na mapie odległość. Do hiszpańskiego portu w momencie zwrotu było dokładnie 383 mile morskie. Powoli dowiedziałem się szczegółów zaistniałej sytuacji:

Do statkowego lekarza zgłosił się z bólem brzucha student Marcin Radwański. Doktor Wiktor Panfilowicz zatrzymał chorego w statkowym szpitaliku, podał stosowne leki, a po badaniach i obserwacji rozpoznawał niedrożność jelit, popularnie określaną jako „skręt kiszek”. Około godziny piętnastej doktor zgłosił do komendanta „Daru”, że w szpitalu przebywa student podejrzanym o niedrożność jelit, że stosowane leki nie pomagają i zachodzi konieczność hospitalizacji. Kapitan Wiktorowicz szybko skontaktował się przez radiostację z Radio Medical, które również zaleciło hospitalizację. Nim o szesnastej przyszedłem na wachtę, komendant zdążył jeszcze przeprowadzić rozmowę z Morskim Ratowniczym Centrum Koordynacyjnym Finisterre.

Wiktorowicz zareagował błyskawicznie i natychmiast podjął trafne decyzje – pomyślałem z uznaniem.

Do końca mojej wachty i przez następną nic się nie zmieniło. Przy silnym sprzyjającym wietrze i przy całej naprzód płynęliśmy na wschód w stronę Hiszpanii.

Gdy o czwartej rano ponownie przyszedłem na mostek, I oficer przekazał mi na wstępie: „stan chorego się pogorszył i istnieje możliwość zagrożenia życia. Idziemy z podwójną naprzód, jak nigdy dotąd! Na wskaźniku obciążenia silników brakło już skali! Pan na mostku i oficer w siłowni musicie być na to wyczuleni i przygotowani na natychmiastową reakcję”.

Rozejrzałem się dookoła i aldisem oświetliłem maszty i olinowanie. Wszystko było w najlepszym porządku. Wiatr o sile sześć do siedem w skali Beauforta z kierunków zachodnich powodował, że żagle pracowały mocno, bo niektóre przy sprzyjającym i silnym wietrze też pomagały. Wszedłem na mostek i zadzwoniłem do maszyny.

- Drugi mechanik – natychmiast usłyszałem w słuchawce.
- Cześć Zdzisiu, Józek. Jak tam u ciebie? Czy wyrobimy z tą nastawą?

- Już brakło skali! Tego jeszcze nigdy nie było. Wyciskamy z silników wszystko, co dała fabryka. Na razie jest w porządku. Gdyby coś nie grało, to cię powiadomię i wtedy natychmiast zjedź nastawą do całej naprzód.

- Czy temperatury nie przekraczają normy? – zapytałem zaniepokojony.

- Są na górnej dopuszczalnej granicy. Powinno być wszystko dobrze – uspokajał mnie mechanik.

Ledwo położyłem słuchawkę, zaraz zadzwonił telefon.

- Drugi oficer! – przedstawiłem się służbowo.

- Kapitan. Co Józiu u ciebie słyhać?

- Dookoła spokój i żagle pracują dobrze. Przed chwilą dzwoniłem do maszyny. Mechanik stwierdził, że temperatury są w granicach dopuszczalnych i że z tymi obrotami sobie poradzą.

- Gdyby było coś nie tak, natychmiast do mnie dzwoń. Jestem na stembaju. Stan chorego się pogorszył. Teraz czuwa przy nim doktor z intendentem. Po północy łączyłem się z MRCC Finisterre z prośbą o pomoc helikoptera. Oni mają zasięg 150 mil. Czy Zenek przekazał ci pozycję spotkania z helikopterem?

- Tak, przekazał. Jest naniesiona na mapie.

- To dobrze. Ja spróbuję się chwilkę zdrzemnąć. Wszystko wiesz?

- Tak jest! Wszystko wiem.

Wachtę skończyłem o ósmej bez żadnych niespodzianek. Gdy przyszedłem na śniadanie, spotkałem w mesie zmęczonego intendenta. Mimo widocznego znużenia Sobierajski jak zwykle nie tracił humoru.

- Ale jaja! Wiesz, jak doktor panikował? Biedny Wiktor tak się wystraszył o stan chorego, że nie mógł się pogodzić, że śmigłowiec może tylko przylecieć na 150 mil. Chodził w kółko i powtarzał: „To co ma większy zasięg? To co ma większy zasięg?”. Poradziłem mu, że okręt podwodny. Wyobraź sobie, że poleciał z tym do starego i powiedział: „stan chorego jest bardzo ciężki. Panie

kapitanie, niech pan natychmiast zamawia do pomocy okręt podwodny!”. Jaja jak berety – chichotał Leszek.

Spotkanie z helikopterem na wyznaczonej pozycji z kalkulacji wychodziło około godziny trzynastej. Byliśmy tam w przewidzianym czasie. Ponieważ maszty i duża ilość olinowania, jaką posiada „Dar Młodzieży”, uniemożliwia ewakuację przez śmigłowiec wprost ze statku, MRCC Finisterre – na podstawie danych i sylwetki przekazanych ze statku faksem – zdecydował się na podjęcie chorego ze statkowej szalupy. Duża martwa fala i silny wiatr o sile 6-7 stopni w skali Beauforta dodawał dramaturgii przeprowadzanej akcji.

Komendant dobrał z załogi najsprawniejszą obsadę szalupy, powierzając mi nad nią dowództwo, jako byłemu doświadczonemu wykładowcy ratownictwa morskiego.

...

Ostatnie ustalenia i oczekiwanie na sygnał. Wzrost napięcia! Mocne kołysanie żaglowca przysparza lekarzowi dodatkowych trosk o chorego. Zachodzi konieczność podania najsilniejszych środków przeciwbólowych. Do ostatniej chwili wykorzystujemy podwójną naprzód i żagle. Jesteśmy na pozycji!

Teraz wszystko toczy się błyskawicznie. Zwięźle zostało odnotowane to w Dzienniku Nawigacyjnym:

„13.00 alarm do żagli. Szerokość 44° 28,4 ' N, długość 011° 30,3' W.

13.10 sprzątnięto żagle rejowe po morsku na gejtawy, gordingi. Kursy zmienne wg poleceń kapitana. Przygotowanie szalupy nr 3 do opuszczenia na wodę. Szalupa opuszczona do pokładu, mocno. Oczekiwanie na helikopter”.

Mam dwie ukaefki. Jedną do łączności z kapitanem na mostku, a drugą nastawioną na kanał łączności z helikopterem. Komendant przez radio rozmawia z Hiszpanami. Coś się komplikuje. Czekamy. Dowiadujemy się, że hiszpański śmigłowiec ratowniczy się zepsuł i na razie nie wystartuje. Może będzie inny, ale na razie nie ma.

Ponownie zapis w Dzienniku Nawigacyjnym:

„13.40 szalupa podniesiona do pozycji stałej, mocno. Oczekiwanie na helikopter”.

- Niech załoga szalupy będzie w gotowości! Jak tylko otrzymam informację z MRCC, że śmigłowiec startuje, to akcję wznawiamy – poleca kpt. Wiktorowicz.

Oczekiwanie się wydłuża. Statek, byle szybciej, płynie w stronę lądu. Wreszcie dobra informacja - startują.

Znów zapis z Dziennika:

„15.25 opuszczono szalupę nr 3 do wysokości pokładu. Statek w oczekiwaniu na helikopter”.

Ponownie ze śmigłowcem coś się komplikuje. Wzrasta zdenerwowanie. Oprócz doktora i chorego reszta obsady siedzi w szalupie. Zgodnie z zasadami opuszczania statku wszyscy są dobrze ubrani. Wyjrzało słońce i robi się gorąco.

Po chwili informacja, że lecą w naszym kierunku. Lekarz widząc, że rozmawiam przez ukaefkę, podchodzi do mnie i pyta zdenerwowany:

- Jakie wieści? Jakie wieści?

- Już wystartowali i teraz będzie dobrze. Jak będą bliżej kapitan powiadomi, żeby wsiadać. A jak chory?

- Dostał silny narkotyk przeciwbólowy, jest spokojny. Będzie dobrze – odpowiedział doktor, sam również znacznie uspokojony.

Przez ukaefkę słyszę rozmowę komendanta z helikopterem. Są już blisko. Kapitan poleca, by doktor i chory siadali do szalupy. Pomagam im zająć odpowiednie miejsca.

Wszystko przebiega bez zakłóceń. Sprawnie odczepiamy haki odrzutowe, odrywamy się od burty i oddalamy od statku na odległość bezpieczną dla przebiegu akcji.

Łodzią ratunkową fale miotają jak łupinką. Na szczęście długa oceaniczna fala pozwala sprawnie nią manewrować. Już słychać helikopter. Widać go!

Pomny pokazowej akcji ratowniczej koło nadmorskiego bulwaru w Gdyni, gdzie przed laty również dowodziłem podobną szalupą, z której podejmowano chorego, wyczulałem na podrywanie wody przez pracę śmigłowcowego wirnika i na możliwość utraty

sterowności łodzią. Hiszpańska załoga helikoptera manewruje jednak wspaniale i moje obawy okazały się zbędne.

Spuszczana ze śmigłowca linka dotknęła wody.

To dobrze – pomyślałem – bo woda pozbawi ją ładunku elektrostatycznego.

- Łapać linę! Jest już uziemiona! – krzyknąłem głośno, by przekrzyczeć huk pracujących nad nami silników i sam również staram się przechwycić naprowadzaną ze śmigłowca linę w stronę szalupy.

Mamy ją! Gestem OK w stronę śmigłowca pokazuję, że wszystko jest w porządku. Opuszczanie w dół ratownika całkowicie potwierdza, że mnie zrozumieli.

Hiszpan jest już w łodzi. Mimo miotania szalupy przez fale na wszystkie strony, przyjęliśmy go sprawnie. Huk pracy zawieszono nad nami helikoptera zakłóca możliwość porozumiewania się, ale pojedyncze słowa i gesty wystarczają dla ludzi znających problem.

Choremu, w postawie stojącej, wspólnie z ratownikiem podczepiam szelki i mocuję je do liny nośnej. Hiszpan daje znak kolegom na górze, by rozpoczęli wciąganie do śmigłowca. Sam jest też gotów.

Stoję w rozkołysanej łodzi i wraz z ratownikiem podtrzymuję chorego, który również musi stać z opuszczonymi rękami. Trzymam go za szelki, by były mocno pod pachami i żeby dobrze przylegały. Sekundy do uruchomienia wciągarki wydają się być wiecznością. Zroszony potem student, mimo podania morfiny kontaktuje dobrze, ale jest osłabiony. Trzymam go bardzo mocno. Tomek, a może Mirek, przypina jeszcze plecak z najpotrzebniejszymi rzeczami i z dokumentami. Teraz już wszystko jest w porządku.

- Bardzo panu dziękuję, panie poruczniku – słyszę słowa chorego studenta, którego nadal trzymam w gotowości do podnoszenia z podrzucanej przez fale o kilka metrów w górę i w dół szalupy.

Lina nośna jest już wybierana. Ratownik z chorym unoszą się ponad nami i dużym wahnięciem lecą kilka metrów w bok ponad falami. Z żaglomistrzem trzymamy za linkę pomocniczą i

asekurujemy ich jeszcze, by wyeliminować wahania przy wciąganiu. Szczególnie mocno robimy to, gdy są już blisko wjazdu śmigłowca. Odciągamy ich ile siły.

Szczęśliwie są już w środku. Gest od załogi helikoptera to potwierdza. Wydajemy resztę liny i kierujemy się w stronę statku. Jeszcze patrzymy za oddalającym się śmigłowcem.

- Ale buja naszym „Darem” – wskazuje na statek motorzysta Bogdan Koss.

Spoglądam w stronę żaglowca, który kołysany dużą falą, raz ma burtę prawie całkowicie zakrytą wodą, by po chwili odsłonić ją prawie aż do stępki. Podchodząc z kursem statku, obserwujemy, jak rufa nurza się w morskiej toni, by wkrótce wystrzelić wysoko w górę, jakby żaglowiec chciał nam pokazać, że ma również pracującą śrubę.

Szalupa jest już przy burcie. Podrzucani przez fale o kilka metrów łapiemy talie i wczepiamy haki. Załoga na pokładzie sprawnie podnosi nas do góry.

- Skręciła się talia! – krzyknąłem i przeszedłem w stronę rufy, by pomóc Tomkowi przekręcić blok.

Jest już dobrze i wracam na swoje miejsce w środku szalupy. W tym momencie duże kiwnięcie, aż tracę równowagę. Odruchowo złapałem za pokrywę silnika łodzi. Szarpnęło mnie do tyłu i całym ciężarem na powrót nacisnąłem na klapę, przykleiszczając sobie dwa palce lewej ręki. Koło paznokci leje się krew.

Ale pech! – pomyślałem. – W ostatnich sekundach, już prawie po całej akcji, dałem się zaskoczyć.

Byłem zły na siebie, bo to tylko moja nieuwaga. Nie pokazując, co się stało, zgłaszam zakończenie akcji i cała obsada łodzi wychodzi na pokład. Wychodzę ostatni, patrząc na kapiące krople krwi.

Natychmiast zadźwięczał dzwonek alarmowy.

- Alarm do żagli! Alarm do żagli! – rozkrzyczały się głośniki na całym statku.

- Tomek! Masz ukaefkę i słuchaj poleceń kapitana. Idę na mostek powiadomić komendanta, że ty dowodzisz pod grotem, a ja

muszę iść do ambulatorium, żeby doktor zabandażował mi palce – zwróciłem się do instruktora Leśniewicza, pokazując mu swoją rękę.

- Kiedy to się stało, panie poruczniku? – zaniepokoił się Tomek.

- Już przy burcie. To przez tą cholerną klapę od silnika.

Pośpiesznie udałem się na mostek, zwracając uwagę, by krew nie kapała po pokładzie. Zwięźle przedstawiłem komendantowi, co się stało.

- Kości są całe? – zapytał kapitan Wiktorowicz.

- Pewnie, że tak! To tylko zdarta skóra – odpowiedziałem z uśmiechem, bagatelizując sprawę i przesunąłem oderwany jej kawałek na właściwe miejsce.

Po zdezynfekowaniu, z założonym na oba palce opatrunkiem, wróciłem na mostek. Alarm do żagli właśnie się już kończył i żagle mocno napięte pracowały na lewym halsie. Komendant przez telefon powiadamiał mechanika o odstawieniu silników, przestawiając manetki w położenie „stop”.

- Już jestem po opatunku – zgłosiłem swoje przybycie.

- I co? – zapytał komendant.

- Wszystko w porządku. Mam tylko Jacusia i Agatkę – odpowiedziałem wesoło, podnosząc do góry zabandażowane palce.

- Bo nie miałeś rękawiczek! A ja zawsze zwracam na to uwagę – głośno skarcił mnie Wiktorowicz, ale zadowolenie, które malowało się na jego twarzy, najlepiej świadczyło, że zrobił to dla zasady.

- Tak jest! – odkrzyknąłem wesoło.

Kilka uwag. Przekazanie wachty odbyło się zwięźle i krótko.

- Józiu, zapisz wszystko do Dziennika, a ja idę do radiostacji powiadomić Szkołę. W brudnopisie masz odnotowane czasy akcji – polecił komendant przed zejściem z mostka.

Po chwili przepisywałem do Dziennika:

„16.20 helikopter nad szalupą, do łodzi opuszczony ratownik.

16.26 ratownik wraz z pacjentem podnoszeni liną do helikoptera.

16.28 ratownik i chory w helikopterze, odlot do bazy.

16.45 Szalupa na burcie. Alarm do żagli”.

Teraz, już tylko na żaglach, płyniemy w stronę domu. Z niepokojem oczekujemy wieści o chorym. Wstępna wiadomość o szczęśliwym dotarciu do szpitala i opiece Polskiego Konsulatu niewiele jeszcze wyjaśnia. Ta właściwa informacja dotarła rano następnego dnia: - „Chory po wstępnych badaniach został przygotowany do operacji.

Operację przeprowadzono bez powikłań. Stan chorego Marcina Radwańskiego po zabiegu zadowolający”.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Diagnoza doktora Wiktora Panfilowicza była trafna, a zdecydowana i szybka decyzja kpt. Wiktorowicza właściwa.

Dalsze informacje o przebiegu akcji ratowniczej i jej podsumowanie było tylko ciekawostką:

„W sztormowej pogodzie, przy wzburzonym morzu i dużej fali, hiszpański śmigłowiec ewakuował z polskiego żaglowca „Dar Młodzieży” do szpitala w La Corunie chorego członka załogi” – informowała miejscowa prasa.

Przy pośrednictwie satelitarnym przeprowadzono 18 rozmów telefonicznych oraz wysłano telex i fax, co dało łączny koszt 312,25 USD.

Zużycie paliwa w silniku głównym na dojście do miejsca ewakuacji wyniosło 4220 kg.

- Co za ulga, że wszystko zakończyło się szczęśliwie – zwierzał mi się lekarz. – Gdyby moja diagnoza była niewłaściwa lub nawet spóźniona – nie daj Boże - to przy tym całym zamieszaniu i przy tych kosztach chyba by mnie wszyscy zjedli.

- Kto by tam chciał cię zjeść? Najwyżej kapitan wyrzuciłby cię za burtę – odpowiedziałem żartem.

- To na jedno wychodzi, bo wtedy zjadłyby mnie rekiny – podsumował doktor.

...

Do zacumowania w Gdyni został nam jeszcze równy miesiąc, ale wcześniej mamy być jeszcze koło Sopotu, gdy będzie Papierz. To i tak bardzo dużo czasu. Żeglarska pogoda pozwala nam osiągać dobre prędkości, nawet po kilkanaście węzłów, a w dodatku

płyniemy w dobrym kierunku. Nikt z tego powodu nie jest jednak zachwycony:

- nawigatorzy nadal mają problemy ze zrealizowaniem zajęć z astronawigacji, bo jest duże zachmurzenie;

- bombram reja krojca jeszcze leży na pokładzie, gdyż - by wciągnąć ręcznie przy pomocy lin i bloczków kilkaset kilo na wysokość około pięćdziesięciu metrów – na to też potrzeba w miarę spokojnego morza.

Na Bałtyk i tak nie możemy wcześniej wejść, bo limituje nas czas przejścia Cieśnin Duńskich. To dziwne i niezrozumiałe! Wymowny relikwiarz czasów komunistycznych, którego do tej pory nie ma kto sprostować, funkcjonuje jak przed laty. „Dar Młodzieży” nadal jest traktowany jak okręt wojenny w szpiegowskiej misji! Droga dyplomatyczna podaje się dużo wcześniej czas przejścia, który później ściśle obowiązuje. Powiadamy się służby graniczne i biada statkowi, jeśli nie przechodzi w czasie lub wejdzie na wody terytorialne Szwecji czy też Danii. Ponieważ „Dar” jest tak charakterystyczny i jego sylwetkę trudno jest pomylić z innym statkiem, to od razu idą protesty o naruszeniu wód terytorialnych przez polski okręt wojenny. Statków handlowych takie rygory nie obowiązują.

- Coś ta nasza przynależność do NATO szwankuje albo niezły mają tam bałagan, skoro nadal nie wiedzą, że „Dar Młodzieży” jest statkiem handlowym – komentował przy kawie ktoś z załogi.

- Coś ty! Myślą, że szpiegujemy dla KGB – zaśmiał się szef kuchni.

- Przynajmniej ktoś ma przy okazji pracę i jest bardzo potrzebny. Może wysyłać pisma, faksy i wykonywać masę niepotrzebnej biurokracji. Niby po co ten ktoś ma się pozbawiać ciepłej posady? Ja obcokrajowcom się nie dziwię. Dlaczego Duńczycy mają za nas to prostować? Im jest wszystko jedno, czy „Dar” jest okrętem, statkiem państwowym, na którym pływają Bóg wie jakie służby, czy statkiem szkolnym Wyższej Szkoły Morskiej. Przecież nie muszą wiedzieć, że WSM jest marynarką handlową – ironizował bosman Jarek.

- To jest rzeczywiście relikw „zimnej wojny” i to po każdej stronie. Poza Europą faktycznie traktują nas jak statek handlowy. Robili tak nie tylko Japończycy – starałem się dołożyć do dyskusji swoje trzy grosze.

- Bo tam nikt nie wysyłał specjalnych powiadomień, żeby nas utajnić – wtrącił Tomek.

- Nie znają japońskiego – podchwycił Jarek.

- Może i tak – kontynuowałem przerwana myśl. – Prawdą jest też, że oni nie byli przyzwyczajeni do procedur „zimnej wojny”. Jakiś duński służbista z Coast Guardu, gdy braliśmy paliwo z bunkierki koło Kopenhagi, zwracał mi uwagę, że nie wolno nam się zatrzymać, bo tego nie ma w zgłoszeniu. Aż musiałem wołać komendanta! Kapitan Wiktorowicz długo mu tłumaczył, że wprawdzie jesteśmy statkiem państwowym, ale jest to szkolny statek Marynarki Handlowej, a nie Marynarki Wojennej. Służbista ustąpił dopiero wtedy, gdy kapitan podał mu numer i datę teleksu, w którym Szkoła Morska kilka dni wcześniej zamawiała bunkierkę – kończyłem swoje wywody.

- To byłby cyrk, gdyby nas zaaresztowali lub nie dali brać paliwa – z wesołością zauważył kucharz.

- Szczególnie chodzi tu o paliwo, za które w Danii płacimy ponad dwukrotnie mniej, niż w Polsce – dorzucił Tomek.

- Wtedy na pewno nie byliśmy w Irlandii i ktoś by wreszcie pomyślał – podsumował bosman.

Kanał La Manche, Morze Północne i Skagerrak minęły szybko. Przy znacznie mniejszej fali i w miarę dobrej pogodzie stanęliśmy na kotwicy zaraz po wejściu do Kattegatu.

- Jutro powinno całkiem się uciszyć, więc będzie okazja wciągnąć na maszt bombram reje – stwierdził Wiktorowicz, gdy rzucaliśmy kotwicę podczas mojej poobiedniej wachty.

- Do awizowanego czasu przejścia mamy jeszcze ponad tydzień, a tu nie ma gdzie halsować, bo jest za wąsko – dodałem.

Pogoda rzeczywiście zrobiła się typowo letnia i zupełnie bezwietrzna. Nadszedł wreszcie czas na wciągnięcie najwyższej rei krojca i na generalne malowanie kadłuba. Pomimo intensywnych

prac konserwacyjnych i monotonnego obstukiwania rdzy humory znacznie się poprawiły.

- Blżej domu, to i pogoda lepsza – cieszyli się nie tylko studenci, nadrabiając zaległości w opalaniu.

Staliśmy poza wodami terytorialnymi Danii, około 10 mil od Skagen. Nieduże głębokości i mieszanie się wód z Morza Północnego i Bałtyku było dobrą okazją do wędkowania, które skwapliwie wykorzystywałem w wolnym czasie między wachtami. Przez dwa razy udało mi się utrafić w przepływające ławice dorszy. Pierwszym razem, przez około półtorej godziny, wyciągnąłem ich aż 52, a następnego dnia, w podobnym okresie czasu 47, co okazało się absolutnym rekordem podczas moich połowów dorszy.

Ponieważ na tych wodach były również makrele, więc do typowego zestawu makrelowego z piórkami na 6 haczyków, zamiast ciężarka zastosowałem ciężki norweski błysk dorszowy. W ławicy efekt okazał się nadspodziewany. Raz wyciągnąłem 5 dorszy jednocześnie, trzy razy było po 4 sztuki i kilkakrotnie po 3!

Steward kapitański, Michał Liberadzki, który pożyczał ode mnie wędkę, gdy byłem na wachcie, stwierdził, że jest to najszcześniejszy zestaw. Jemu, który w zasadzie nie wędkuje, też udało się wyciągnąć raz 3 sztuki jednocześnie i kilka razy po dwie. Ryb było tak dużo, że kuchnia całkowicie się nimi zatkała. Cała załoga i studenci, którzy też zaszczepili się pasją wędkowania zajadała się świeżą rybką. Dużo zamrożonych i wypatroszonych (było dużo miejsca w chłodniach, bo droga powrotna) przywiozłem sobie do domu – w sumie z 50 kilogramów.

Po czterech dniach zaczął wiać sprzyjający silny wiatr.

- I tak nie da się malować. Podpłyniemy bliżej Helsingoru i najwyżej przed zwężeniem znów rzucimy kotwicę. Chyba, że zgodzą się przepuścić nas wcześniej – stwierdził kapitan.

I tak się stało.

Na mojej rannej wachcie – znów miałem szczęście, że to właśnie na mojej (Wiktorowicz lubił zemną współpracować) – wkrótce po piątej zbliżaliśmy się do wód terytorialnych. Kpt. Wiktorowicz przyszedł na mostek spróbować, czy może uda się wywołać Duńską Straż Graniczną i uzyskać od nich zgodę na wcześniejsze wejście na

Bałtyk. Kilkakrotne wywoływanie Coast Guardu było bez odpowiedzi.

- Chyba śpią albo są poza zasięgiem – stwierdził kapitan, a po krótkiej rozmowie dodał:

- Józiu, staraj się ich wywołać, a ja pójdę wykąpać się i ogolić. Gdyby się zgłosili, to mnie powiadom. Najwyżej znów rzucimy kotwicę.

Zostałem sam – może nie tak całkiem sam, bo na mostku jak zwykle był sternik i dwie osoby na „oku” – i kilkakrotnie, co jakiś czas, wywoływałem Duńczyków przez ukaefkę. Na próżno. Czas nagle, bo wody terytorialne były coraz bliżej.

A może spróbuję dowiedzieć się przez radiostację brzegową, co z tym Coast Guardem. Dlaczego nie odpowiada? – pomyślałem.

Wybrałem kanał Lengby Radio i poprosiłem ich o pomoc. Jakiś uprzejmy operator bezinteresownie połączył mnie drogą telefoniczną, transmitując rozmowę przez radio. Po przedstawieniu się i po wyłuszczeniu naszej prośby operator kazał chwilę czekać na podjęcie decyzji swoich przełożonych. Zadowolony, że udało mi się załatwić sprawę, zadzwoniłem do komendanta.

- Tylko się ubiorę i już przychodzę – odpowiedział.

Odkładając słuchawkę, usłyszałem w ukaefce zniekształconą nazwę „Dar Młodzieży”. Zgłosiłem się zgodnie z procedurą.

- „Możecie dzisiaj swobodnie przechodzić. Taka jest decyzja przełożonych” – informował operator”.

Kapitan, który w tym momencie właśnie wchodził na mostek, jeszcze usłyszał wyrażanie zgody. Przejął mikrofon i dodatkowo podziękował Duńczykom.

- To ci się udało! Józiu, na wszelki wypadek odnotuj to w rubryce 39 (DN – wpisy dodatkowe) – pochwalił mnie usatysfakcjonowany.

Zadowoleni, z marszu i przed czasem, mineliśmy Cieśniny Duńskie. Na Bałtyku mogliśmy spokojnie żeglować i po długim czasie być wreszcie w zasięgu polskiej telewizji. Zbliżała się wizyta Papieża, w której bez wchodzenia do portu „Dar” miał służyć jako tło na redzie Sopotu.

Jeszcze przed udziałem w papieskiej paradzie znów konieczność przekazania chorego do szpitala. Tym razem turecki praktykant Murat Eren, już stażysta, który za praktykę prywatnie zapłacił, ma silne bóle. Doktor rozpoznaje – „rodzi kamienie nerkowe”.

Mocno nadszarpnięty na Atlantyku przy skręcie kiszek statkowy zapas środków przeciwbólowych szybko topnieje. Na szczęście Murat jest ubezpieczony. Doktor daje mu zwolnienie, a ponieważ jechał ze mną na wachcie, jako mój asystent, więc idę go odwiedzić. Turek poci się i zwiija z bólu. Zapada decyzja, że zostaje w szpitalu w Gdyni.

I znów akcja ratunkowa z wykorzystaniem szalupy. Mam ponowne doświadczenie. Tym razem, przy spokojnym morzu, z „Daru Młodzieży” zakotwiczonego pół mili od gdyńskiego falochronu, transportuję chorego do szpitala tą samą szalupą ratunkową. Chorego Turka z nabrzeża basenu jachtowego zabiera następnie karetka.

PAPIEŻ Z MORZA

(dwukrotnie, gdy nasz Papież był w Gdyni, a następnie w Sopocie, stałem na statkach szkolnych na redzie. W Gdyni nie pozwalano się nawet zbliżyć na 5 km od falochronu, a w Sopocie byliśmy jako morskie tło)

Czy pamiętacie – oczywiście Wy, którym kalendarz na to pozwala – dzień wyboru Jana Pawła II? W jakiej sytuacji dotarła do Was o tym informacja i co wtedy robiliście?

Ja zapamiętałem nie wszystko z jednakową ostrością. Niektóre sytuacje zasnuła już mgła czasu, lecz pewne fragmenty zostały nadal ostre. Bez wątpliwości, najbardziej pozostała mi w pamięci atmosfera tych dni i słowa komentarza pewnego politruka, które usłyszałem po kilku dniach od wyboru Polaka na Stolicę Piotrową. Podczas wizyt Papieża na Wybrzeżu dwukrotnie z morza

śledziłem ich przebiegi i zawsze wtedy przypominał mi się właśnie ten zupełnie nietrafiony komentarz w tych okolicznościach:

- Długo płynęliśmy „Darem Młodzieży”, by piątego czerwca stanąć milę od sopockiej plaży. Po wyjściu z irlandzkiego portu i akcji ratowniczej blisko Hiszpanii mieliśmy na to aż trzy tygodnie. Wolny czas między wachtami, gdy zamknięta przestrzeń statku sprzyja wewnętrznym rozważaniom, spowodował napływ myśli o Papieżu. W końcu przecież po to wracaliśmy na Bałtyk, by robić morskie tło Jego wizycie.

Któregoś dnia, przy padającym deszczu i wietrznej pogodzie, leniwie leżałem w koi w czasie poobiedniej drzemki. Do wachty o szesnastej miałem jeszcze sporo czasu. Myśli przyszły same. W półśnie przesuwają się obrazy i wspomnienia sprzed lat: - Jestem u mamy, w Książnicach koło Mielca i właśnie wróciłem znad Wisłoki, której kapryśne, górskie wody przepływają tuż za domem. Byłem nad rzeką, by przed powrotem do Gdyni popatrzeć jeszcze na wodospad i wielkie spustoszenia, jakich rzeka dokonała po książniczej stronie. Woda wyrwała na zakolu dziesiątki metrów kępy, poszarpała brzeg, który jak żywo przypominał klif w Redłowie. Dzika, nieregulowana rzeka rozlewała się szeroko poniżej wodospadu, bo zabierając lewy brzeg, niewiele dosypywała po stronie Mielca.

Leżałem w koi „Daru Młodzieży” na wodach Atlantyku i przez zamknięte powieki oglądałem dalej obrazy z południa Polski sprzed dwudziestu lat.

Nie było już śladu po wielkim, przedpotopowym czarnym dębie poniżej wodospadu, do którego w dzieciństwie przywiązywałem swoją krypę. Stara wierzba, która rosła w naszej kępie kilka metrów od brzegu, teraz zwisała z poszarpanego urwiska z korzeniami do góry. Nim zawróciłem do domu, posłuchałem jeszcze szumu wody skaczącej po kamiennej katarakcie i popatrzyłem w dół rzeki, która dalej spokojnie toczyła swoje wody. Teraz płynęła leniwie i sennie, jakże niepodobna do mętnej i rozwścieczonej po dużych opadach.

Wisłokę zaliczyłem, więc mogę wracać do Gdyni – pomyślałem, zamykając furtkę za domem.

- Józek, chodź szybko! Wolna Europa właśnie podaje przez radio relację z wyboru papieża. Zgadnij kto został wybrany? – krzyczała z daleka siostra.

- Polak, biskup krakowski Wojtyła – odpowiedziałem prawie bezwiednie.

- Skąd wiesz? Słuchałeś radia? – zapytała z niedowierzaniem Wandzia.

- Nie wiem. Tak jakoś mi się powiedziało, przecież byłem nad Wisłoką – odparłem, sam zaszokowany informacją siostry i własnym skojarzeniem. – Mówisz prawdę? – zapytałem, dopiero teraz w pełni świadomie.

- Pewnie, że tak! Cicho! Teraz posłuchaj. W Mielcu na starówce chyba słychać dzwony – obruszyła się Wandzia.

Zaczęliśmy nasłuchiwać, ale głośnie okrzyki mamy „Polak papieżem, Polak papieżem”, które dobiegały zza otwartych drzwi, na moment zagłuszyły wszystko. To mnie całkowicie przekonało do słów siostry.

Popatrzyłem w stronę północy, gdzie powinien być widoczny mielecki kościół, ale wielkie topole w kępach nad Wisłoką nie pozwalały go dojrzeć. Wyraźnie za to dobiegał głos dzwonu.

- Ale u nas jeszcze nie dzwonią. Chyba kościelny nie wie, co się stało. Trzeba go szybko powiadomić – komentowała głośno mama z siostrą.

Ich głosy przerwał dźwięk dzwonów książnickiego kościoła. Najpierw słabo zadzwonił najmniejszy, jeszcze nieśmiało zawtórował mu ten średni, a potem rozkołysały się wszystkie i każdy zaczął mocno wydzwaniać swój dźwięk. Mama płakała, krzyczała i skakała z radości.

Musiałem i ja podskoczyć na swojej koi, bo twarde uderzenie o szot uzmysłowiło mi wspomnienia, a że w rzeczywistości jestem na statku.

Chyba musiałem zasnąć, a to mi się śniło – rozważałem już całkowicie przytomny, rozglądając się po kabinie.

Sen-wspomnienie tak mi się spodobał, że ponownie zamknąłem oczy, by znów zapaść w półsen. Błogie obrazy nie

chciały jednak powrócić. Dalej tylko kołatały się nieskładne myśli sprzed lat. Próbowałem je uporządkować:

Przecież było już niewiele czasu, by zdążyć do pociągu – myślałem. – Prawie w biegu obejrzałem w telewizji obraz z czarnym i białym dymem z Watykanu i obwieszczenie, że papieżem jest Karol Wojtyła.

Usiłowałem sobie przypomnieć, co mówili w telewizyjnych wiadomościach, ale oprócz suchych faktów nic nie przychodziło mi do głowy.

To chyba dlatego, że zaraz wyjeżdżałem – zdecydowałem po namyśle. – Ale za to doskonale pamiętam drogę do pociągu. Długo były dzwony na Podkarpaciu, a ludzie samoistnie kierowali się w stronę kościoła. Zbierali się, by wspólnie świętować tą radosną nowinę. Czy mogło być inaczej?

Przypominały mi się radosne okrzyki na drodze od znajomych, których spotykałem i wielkie poruszenie w pociągu i na wszystkich dworcach. A była to długa podróż. Jechałem przez wiwatujący Kraków i rozmodloną Częstochowę, w której nawet sporo po północy wysiadało wielu ludzi, którzy zmierzali podziękować Naszej Pani.

- Ty jednak jechałeś wtedy na północ, w drugą stronę. Jak zwykle w odwrotną stronę, bo gdy pojechałeś na południe, do Włoch i Watykanu, to Papież wyjechał wtedy do Polski na Światowy Zlot Młodzieży w Częstochowie. Jeszcze z bliska nie możesz Go zobaczyć – przemknęła jakaś zabłąkana i natrętna myśl.

Nadal usiłowałem przypomnieć sobie szczegóły rozmów z tej podróży w pociągu w dniu wyboru. Wszystko jednak jakoś się pozacierало. Pozostały ostro zarysowane wspomnienie euforii wśród pasażerów i dwa najczęściej poruszane tematy:

Na pewno wszyscy, którzy dosiadali, mówili o biciu dzwonów i skąpych informacjach w naszych środkach masowego przekazu - rozważałem. Zaraz, zaraz – przypomniało mi się - jakiś starszy pan, który wysiadał w Gdańsku, powiedział wtedy bardzo poetycko: „, dziś w całej Polsce rozdzwoniły się dzwony. Biją tak mocno, że skruszą skały ludzkich serc i w proch obrócą najgrubsze mury komunizmu”.

- I miał rację, chociaż, czy dzwony wszystko skruszyły?

Po chwili przypomniały mi się wywody politruka na zajęciach ze szkolenia politycznego z oficerami, które odbyły się wkrótce po moim powrocie do Gdyni. Poczuję się wyraźnie wesoły.

Trafił, jak kulą w płot! – pomyślałem, śmiejąc się sam do siebie. – Jakbym dziś słyszał te słowa.

- Towarzysze, dla Partii i PRL wybór kardynała Wojtyły na papieża jest dobrym wyborem. Będziemy mieli z nim wreszcie spokój. Zamknięty za murami Watykanu przestanie nam w Polsce mieszać. Byłoby znacznie gorzej, towarzysze, gdyby ten zaciekły wróg klasowy, ta zakąła, która niedawno bratała się z Niemcami, został po Wyszyńskim Prymasem Polski. Gdyby został w Polsce, to dla PZPR byłby to znacznie trudniejszy orzech do zgryzienia.

Jak to śmiesznie dzisiaj brzmi - myślałem. - Papież nie tylko wyszedł spoza murów Watykanu, ale przy okazji zburzył wszystkie mury, z Murem Berlińskim włącznie. W międzyczasie w proch obrócił się cały komunizm.

Zadumałem się chwilę.

A swoją drogą, ten politruk to kawał głąba. Aż dziw, że zajmował tak wysokie stanowisko. Przecież kiedyś jeździł po jednostkach wojskowych, razem z cyrkowym magikiem i nazywając duchownych szamanami i czarownikami, demonstrował sztuki cyrkowe, które miały być rzekomymi cudami.

- Zobaczcie – mówił na prelekcjach - to są lepsze cuda niż te, o których opowiadają wam czarni czarownicy. Ci szamani tylko opowiadają, a tu możecie te cuda zobaczyć na własne oczy!

- To nie groteska, to była smutna rzeczywistość!

Dalej leżałem leniwie na koi, w oczekiwaniu na nadejście wachty. Posępna pogoda i przechyły żaglowca sprzyjały pozostaniu w pozycji odpoczynku. Nadal nie mogłem jednak zasnąć.

Tak niedawno – skojarzyło mi się - wspominaliśmy o tym „szamanie” z Komorowskim. Antek był zaszokowany, że on teraz stał się bardzo pobożny i często przystępuje do komunii. Antek wie, bo go zna od lat i są w jednej parafii. To dziwne! Chyba nie popadł z

jednej skrajności w drugą. Najwyraźniej musiał się nawrócić, bo dawno jest już na emeryturze i nie musi pajacować dla awansu.

To okropna mentalność! Nie ma nic gorszego, niż popadać z jednej skrajności w drugą.

Wraz ze zbliżaniem się do Polski przybliżał się dzień wizyty Papieża i nasz udział w paradzie koło Sopotu. Któregoś dnia, przy kawie u starszego bosmana Stankiewicza, zaczęliśmy rozmawiać na ten temat.

- Już drugi raz będę obserwował z morza wizytę Ojca Świętego na Wybrzeżu – mówiłem do Gienka. – Poprzednim razem, podczas spotkania z Papieżem na Skwerze Kościuszki, byłem na pokładzie statku szkolnego „Horyzont”. Staliśmy na redzie Gdyni.

- A ja byłem w kościelnej służbie porządkowej i miałem szczęście być blisko Papieża. Wyobraź sobie, że przechodził koło mnie na wyciągnięcie ręki. Fakt, że już prawie nóg nie czułem, bo od wczesnego ranka cały czas na nogach. Fantastycznie było wszystko zorganizowane – wspominał Gienek.

- Tak, znam szczegóły, bo żona w podobny sposób uczestniczyła w zabezpieczeniu medycznym jako pielęgniarka. Też była w tych bliskich sektorach. Dokładnie mi opowiadała.

- No widzisz. Szkoda, żeśmy się wtedy jeszcze nie znali, bo być może dyżurowaliśmy w pobliżu. Dla mnie to niezapomniane przeżycie. Papież przechodził tak blisko – twarz bosmana rozpromieniła się radośnie.

- Ja też tej wizyty nie zapomnę, ale zupełnie z innego powodu. Nie widziałem nic, zupełnie nic, oprócz wody.

- Jak to, przecież mówiłeś, że staliście na redzie! Wy zawsze stoicie blisko falochronu i powinno być wszystko bardzo dobrze widoczne – zdziwił się Stankiewicz.

- Ano właśnie – westchnąłem - może dlatego tak dobrze to zapamiętałem. Wróciliśmy wtedy z Lubeki i jeszcze przez dwa dni, po skończeniu wizyty, mieliśmy stać na redzie, a wiesz, że zawsze stoimy blisko. Kapitan Witkowski wybrał dobrą pozycję: pół mili od falochronu, na przedłużeniu Skweru. Pierwszy kontakt radiowy z Kapitanatem całkowicie rozwiązał naszą euforię. „Nie wolno kotwiczyć i podchodzić bliżej, niż na pięć mil”.

- Mówisz poważnie? A to dlaczego? – z niedowierzaniem zapytał Gienek.

- Jak to dlaczego? Wiesz przecież, że Papież nie był wtedy przez władzę mile widziany. Dla PZPR byłoby najlepiej – chociaż dziś mam co do tego duże wątpliwości – by papież był zamknięty za murami Watykanu.

- Ale im się to nie udało – wtrącił Gienek.

- W Zatoce zalegało troszeczkę mgły i z naszej pozycji nie widzieliśmy nawet falochronu. Obserwowałem jedynie samoloty, podchodzące do lotniska Babie Doły i przez lornetkę starałem się wyszukać samolot papieski.

- No to przykre – znów wtrącił bosman.

- Miałem wręcz pecha! Na dodatek, gdy Papież był na Skwerze, miałem jeszcze wachtę i nawet lokalnej transmisji nie mogłem wysłuchać. Początkowo zmartwiłem się tym, ale okazało się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W mesie były jakieś kłopoty z odbiorem transmisji - nie powiem ci, czy nie transmitowali na żywo, czy mieli słabą antenę – ale jak dziś pamiętam, że ktoś podał na kanale bezpieczeństwa, by słuchać transmisji z uroczystości na kanale 10. Promyk radości! Do dziś nie wiem, czy ktoś w tłumie miał ukaefkę, czy było to robione z jakiegoś kutra przy falochronie.

- Kaszubi to Kaszubi – odezwał się rozradowany Gienek.

- Dzięki temu słyszałem każde słowo Papieża. Mało tego, na mostek zbiegło się z pół załogi, gdyż okazało się, że mam najlepszą transmisję. Potem to nawet przełączyłem na dodatkowy odbiór tego kanału w mesie, bo tam też chcieli tego słuchać.

- Szkoda tylko, że nie mogłeś nic zobaczyć, przynajmniej zza falochronu. Udział w takiej pielgrzymce to niezapomniane przeżycie – rozważał Stankiewicz. – Ale masz pecha – odezwał się po chwili z uśmiechem. - Teraz znów będziesz na redzie i znów wizyta na hipodromie wypadnie podczas twojej wachty. Będziemy jednak znacznie bliżej i może zobaczysz coś przez lornetkę.

- Teraz, gdyby głębokości pozwalały, to zapewne wpłynęlibyśmy aż na hipodrom, ale nasze zanurzenie nie pozwoli nam na podejście mniej niż milę od plaży.

- Coś może będzie jednak widać. Wprawdzie od strony morza jest dużo drzew, ale ołtarz powinien być dobrze widoczny – zastanawiał się Gienek.

- Mam nadzieję. Skoro Papież i tłumy pielgrzymów mają nas oglądać, gdy dla wizyty tworzymy morskie tło, to i my też ich zobaczymy. W końcu przecież płyniemy po to aż z drugiego końca Europy.

Do tej rozmowy już więcej wprost nie nawiązaliśmy. Każdy z nas chyba skomentował to oddzielnie na swój sposób.

Gdy stanęliśmy na wyznaczonym miejscu kotwiczenia, nie było już żadnych wątpliwości. Przez lornetkę z trudem dało się rozróżnić jedynie zwieńczenie dachu nad ołtarzem, które słabo rysowało się pośród drzew.

Mam pecha – pomyślałem. – Dwanaście lat temu, kiedy z pokładu „Horyzontu” można byłoby wszystko dokładnie widzieć, to ze względów politycznych nie wolno było blisko podejść. Teraz na odwrót, płyniemy „Darem Młodzieży” z daleka i znów nic. Nawet przez najlepszą lornetkę nie można dojrzeć choćby zarysu papieskiego ołtarza.

Na szczęście uroczystości były dokładnie transmitowane i przynajmniej przez radio mogłem wysłuchać słów Papieża, a po skończeniu wachty o dwudziestej, obejrzeć bogate relacje telewizyjne.

Studenci, z charakterystyczną dla młodości wrażliwością, wszystko przeżywali bardziej impulsywnie.

- Czy pokazywano nasz statek w telewizji – pytał któryś z moich wachtowych swojego zmiennika.

- Były dwie ładne migawki.

- Jakiś burak w radiu podał, że na redę przyplłynął „Dar Pomorza” – wtrącił ktoś inny. – Ale żeby wybrzeżowa rozgłośnia nie odróżniała jednego „Daru” od drugiego to skandal – dodał z oburzeniem.

Następnego dnia wachta od czwartej do ósmej dostarczyła mi wielu wzruszeń. Prowadząc nasłuch na obowiązującej częstotliwości usłyszałem nawoływanie się rybaków. Po wywołaniu przeszli na

kanał 10. Ja znów, jak przed laty, zacząłem dodatkowo słuchać na tym kanale.

To płynęli rybacy z Kuźnicy, a do nich dołączały kutry z Półwyspu, Zatoki Puckiej i Gdyni. Jakżeż inne, niż zwykle, były ich rozmowy. Twardy język kaszubskich rybaków, ubarwiany na co dzień soczystymi przerywnikami, brzmiał teraz łagodnie. W rozmowach było tyle zrozumienia, zgody i wzajemnej troski, że słuchałem tego z zapartym tchem. Rybacy uzgadniali prawidłowe uformowanie krzyża z poruszających się łodzi, co zrobić, by ten krzyż zachował swoją figurę po rzuceniu kotwic i jak rozwiązać sprawę ołtarza, do mszy na wodzie.

Ani jednego niecenzuralnego słowa, jaka serdeczność – myślałem w duchu.

Najczęściej wywoływali się po imieniu. „Niech bandze pochwołony” i „z Błegiem” rozpoczynało i kończyło każdą rozmowę.

Cała Polska kocha Papieża, ale najwięcej serca i miłości wkładają jednak Kaszubi i Górale – pomyślałem dogłębnie wzruszony.

Morska msza i błogosławieństwo miało się odbyć koło dziewiątej. W tym bowiem czasie odlatywał Ojciec Święty z sopockiego hipodromu. Po skończonej wachcie szybko zjadłem śniadanie, wziąłem kamerę i wszedłem na maszt grotu. Postanowiłem z bramsalingu sfilmować to wydarzenie.

Z kilkudziesięciometrowej wysokości było widać znacznie lepiej, niż z pokładu. Kutry, których niewielkie zanurzenie pozwoliło im podejść pod samą plażę, były jednak dość daleko, by dostrzec odprawianie mszy. Za to sylwetka krzyża z kilkudziesięciu zakotwiczonych jednostek widoczna była wyraźnie.

Wśród sopockiej zieleni z wysokości masztu również nie znalazłem luki, by dojrzeć jakiś fragment hipodromu. Nie rozróżniłem nic.

No tak! Podczas pierwszej wizyty widziałem tylko mgłę, a teraz górny kawałek dachu nad ołtarzem – pomyślałem ze smutkiem. – Dla mnie jednak dobrze, że wróciliśmy na Bałtyk, bo

przynajmniej będziemy w zasięgu polskiego radia i telewizji, co pozwoli na bieżąco przeżywać papieską wizytę.

Zza zieleni drzew zaczęły podrywać się śmigłowce, które kierując się na południe, jeszcze długo przelatywały nad rozciągniętą zabudową Gdańska. Odlatywało ich osiem lub dziewięć. Któraś z ostatnich maszyn odbiła w stronę zatoki, przeleciała nad morzem, nad kutrowym krzyżem kaszubskich rybaków i dopiero później poleciała na południe.

- Może właśnie w tym śmigłowcu jest Papież – westchnąłem zamyślony.

Trzy wielkie sztormy w jednym rejsie i jeszcze hurrican

W hucie koło Oulu – Finlandia blisko Koła Podbiegunowego - moim pierwszym ładunkiem po przybyciu na statek były różne blachy, płyty stalowe i kolia (duże rulony blach). Ładowaliśmy przy temperaturze minus 15-20 stopni, z przeznaczeniem do trzech portów w Irlandii. Przejście na drugi kraniec Europy przez Bałtyk, M. Północne i Pentland w okresie jesiennym z reguły nie wróżyło dobrej pogody. Do ciężkiego ładunku stali zawsze odnosiłem się z rezerwą. Był to ładunek niebezpieczny przy złej pogodzie, który powodował krótkie gwałtowne i nieprzyjemne kołysanie statku. Przy przesunięciu takiego ładunku najczęściej dochodziło do przewrócenia jednostki i szybkiego zatonięcia. Szałowanie robiła załoga pod nadzorem kapitana Norwega lub moim. Na szczęście, jak się później okazało, załadunek rozpoczynał się na mojej wachcie.

- Wystarczy, jak dobrze zamocujemy górne warstwy. Dolne będą się trzymać pod dużym ciężarem górnych. Szałujemy tylko na topie (na samej górze) - mówił Norweg.

- Nie zgadzam się z tym. To jest okres jesienno-zimowych sztormów, cholerna oblodzona stal i drugi koniec Europy. Należy ształować każdą warstwę - zaprotestowałem gwałtownie już na wstępie naszej współpracy.

Z Karlsonem znaleźliśmy się z poprzedniego statku i wiedział, że nie ustąpię gdy chodzi o bezpieczeństwo, więc odparł pojednawczo:

- A rób, jak uważasz na swojej wachcie. Ja na swojej będę robił po norwesku.

Zamówiłem więcej drewna do ształowania i załatwiłem u Finów pożyczkę ręcznej piły motorowej. Przez sześć godzin wspólnie z marynarzami ciąłem drzewo, wbijałem kliny i dokładnie mocowałem każdą warstwę stalowych płyt i sztapli blach. Gdy podmienił mnie Norweg, ształował tylko górną warstwę. Na swojej zmianie wachty znów wróciłem do załadunku po swojemu.

Norweg był dziwnym człowiekiem. Fanatykiem morza i zawsze się spieszył. Nigdy na ogół ze statku nie wychodził i byłby

szczęśliwy, gdyby statki do portów wcale nie zawijały. Nie było dla niego nigdy złej pogody i nawet wtedy, gdy wszystkie inne statki chroniły się przed sztormem lub starały się opóźnić wypłynięcie, on zawsze poganiał, by szybciej wyjść w morze. Osoby, które wcześniej z nim pływały, opowiadały niesamowite historie, jakie im się zdarzały. Dwie podróże przed moim przyjściem na statek wychodzili w morze w sztormowej pogodzie z czterdziestoma domkami kempingowymi zamocowanymi na pokładzie. Drewniane domki z kompletnym wyposażeniem wylatywały w sztormie jeden po drugim. Niektóre były wręcz przecinane przez mocujące je liny. Ładunek był ubezpieczony i straty dla armatora nie było, ale załoga najbardziej żałowała telewizorów i pralek automatycznych, które były zainstalowane w domkach. Na statku sprzęt ten był w nie najlepszej kondycji i nawet dla załogi nic nie dało się uratować.

Nasz ładunek do Irlandii był już w komplecie. Z załogą pokładową mocowaliśmy ostatnie partie stali, gdy Norweg zaczął już wołać marynarzy do zamknięcia ładowni.

- Jeszcze nie jesteśmy gotowi. Mamy do zaszałowania kilka sztapli. Musimy to szybko dokończyć, a ja przed wypłynięciem muszę jeszcze oddać motorową piłę do ofisu - zaprotestowałem.

Norweg zrezygnował z wołania marynarzy, ale również postawił na swoim. Sam zaczął zamykać ładownię. Nie przeszkadzało nam to wcale, bo i tak przy dwugodzinnym czasie światła dziennego wszystko było robione przy oświetleniu elektrycznym. System hydrauliczny pozwalał wprawdzie na zamknięcie ładowni przez jedną osobę, lecz nie dawało to pełnej kontroli. Po skończeniu mocowania oddałem piłę i już przy rzucanych cumach wchodziłem na statek.

Płynęliśmy kursem na południe przy wzmagającym się wietrze od wschodu. Na mojej nocnej wachcie była już szóstka, a komunikaty radiowe natarczywie ostrzegały o szybko zbliżającym się sztormie 10 do 12 stopni w skali Beauforta. Gdy kładłem się spać o szóstej rano, statkiem już mocno rzucało na boki.

Obudziłem się przed jedenastą. Boczna fala z lewej burty powodowała gwałtowne i nieprzyjemne przechyły. Zewsząd dochodziło skrzypienie i trzaski przewracanego sprzętu. Był to mój

pierwszy ładunek na nowym statku i w dodatku niezbyt bezpieczny. Coś mnie tknęło. Ubrałem się ciepło i zszedłem do ładowni. Rzeczywistość była przerażająca.

Przy każdej fali woda całymi wodospadami wlewała się przez łączenia klap. Były oblodzone, gdy Norweg zamykał je i mocował w pośpiechu. Na przejściu morzem zalewające pokład fale roztopiły i wypłukały lód, a strugi wody, które przedostawały się przez powstałe nieszczelności, spadając z kilku metrów w zamkniętym pomieszczeniu powodowały huk sporego wodospadu. Niektóre partie ładunku były opakowane w ciekłą ocynkowaną blachę i to właśnie na niej niesamowicie dudniły spadające strugi. Gwałtowne przechyły dodatkowo uzupełniły odgłosy przelewającej się z burty na burtę wody, której już sporo nagromadziło się w ładowni. Na domiar złego partie ładunku nadzorowane przez kapitana były przesunięte o dwa, trzy metry i porozwalane. Każda następna większa fala mogła doprowadzić do katastrofy. Lodowata woda, sztorm i mało uczęszczana trasa dawały nikłe szanse na ratunek. Na szczęście partie ładunku ładowane pod moim nadzorem trzymały się mocno. Pobiegłem na mostek.

- Mamy przesunięty ładunek i przez klapy wlewa się woda - zameldowałem.

- Wysłałem Leszka na sprawdzenie. Mówił, że jest dobrze – ze spokojem odparł Norweg.

- Kapitanie! Ja wracam prosto z ładowni. Mamy przesunięcie ładunku i wlewa nam się woda – powtórzyłem z naciskiem.

- Ale Leszek...

- Ja jestem chiefem na tym pieprzonym statku, a nie Leszek! Idź sprawdź, a potem porozmawiamy. Zostaję na mostku. Go! Go! - powiedziałem ostro.

Norweg poszedł do ładowni. Widocznie wcześniej poczuł przesuwanie się ładunku i wysłał na sprawdzenie Leszka, marynarza który pływał wcześniej na rybakach. Leszek być może nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, a może wtedy sytuacja nie wyglądała jeszcze tak źle. Kapitan wrócił błąd jak ściana.

- My nie możemy dalej płynąć w takiej sytuacji - powiedział pokornie.

- Mamy szczęście, bo na lewym trawersie są Wyspy Alandzkie, które mogą nas osłonić. Już zacząłem kręcić pod wiatr - informowałem w spokoju.

Płynęliśmy tak, jak zacząłem. Kapitan na mapie i w spisie światła szukał najbliższego portu. Przez radiostację meldował o sytuacji i prosił o pilota. Najbliższy port, w stronę którego płynęliśmy, nazywał się Mariehamina. Domyślałem się znaczenia tej nazwy, ale jeszcze zapytałem dla pewności:

- Ty jesteś Norweg. Może wiesz, co oznacza ta fińska nazwa portu?

- Przystań Marii - usłyszałem w odpowiedzi.

Serce podeszło mi do gardła, zwilgotniały oczy. Bez słowa opuściłem mostek.

Prowadzeni przez pilota weszliśmy na dobrze osłoniętą od wiatru redę Mariehaminy. Całe popołudnie i w nocy, aż do rana, mocowaliśmy przesunięte partie ładunku. Jeszcze raz domykaliśmy klapy. Dobrze, że był spory zapas drzewa, ręczne piły i dużo łańcuchów ze ściągaczami, które wykorzystaliśmy do dodatkowej asekuracji. Gdy byłem już na mostku, przyszli do mnie marynarze, by zorientować się, co dalej i koło jakiego portu stoimy.

- Gdyby był poprzedni chief, to byłoby po nas. On nigdy staremu się nie przeciwstawił. Na pewno mocowanie byłoby tylko na topie i cały ładunek by poleciał - mówił Jurek.

- I ta kontrola ładowni - dodał Leszek. - Miałeś chief nosa.

- Przy tej piździawie i zalodzeniu nie ma szans - rozważał Roman ze Zblewa. - Dobrze, że przyszedłeś, chief, bo byłoby po nas. Gdzie teraz jesteśmy? - zapytał podchodząc do mapy.

Lubiłem z nim rozmawiać, więc z chęcią wyjaśniłem:

- Nie dane ci jeszcze było zginąć. Zapamiętaj Roman tę nazwę, w tłumaczeniu znaczy to Przystań Marii - mówiłem pokazując na mapie. - Ja na ten statek wcale się nie wybierałem, a wręcz odwrotnie. Trafiłem tu dziwnym zbiegiem okoliczności.

Roman wpatrywał się w mapę.

- To mój pierwszy kontrakt - mówił cicho. - Mam czwórkę dzieci. Przystań Marii...

Po policzku pracowitego Kaszuba spłynęła duża łza.

...

Płynęliśmy dalej przy względnej pogodzie, kierując się ku brzegom Szkocji i Orkadom. Na Morzu Północnym wiatr zmienił kierunek i na powrót częste komunikaty ostrzegały o zbliżającym się silnym sztormie z wiatrem południowo-zachodnim, a więc znów z burty.

Na kilka godzin drogi od Pentlandu sztorm rozszalał się na dobre. Przepłynięcie przez niebezpieczną cieśninę, w której prądy dochodzą do dwunastu węzłów stało się niemożliwe. Za wszelką cenę staraliśmy się podejść pod brzegi Szkocji, by mieć osłonę przed wiatrem. Kontrole ładowni potwierdzały, że nasze mocowanie koło Mariehaminy trzyma i że stal pozostaje w niezmiennym przesunięciu.

Norweg chciał podejść jak najbliżej cieśniny kursem około 270 stopni. Niewielkie załamanie linii brzegowej nie wróżyło w tym miejscu dobrej osłony, a przejście przy wietrze południowo-zachodnim powodowało za duże przechyły. Awaryjne mocowanie na Wyspach Alandzkich w każdej chwili mogło puścić i mogło dojść do tragedii. Należało kurs bardziej wyostrzyć na wiatr i sztormując schronić się w rozległej Zatoce Cromerty. Komunikaty meteorologiczne ostrzegały o wzrastającej sile wiatru. Znów doszło do spięcia z kapitanem, ale tym razem Norweg nie oponował. Mruczał tylko coś pod nosem po swojemu i od czasu do czasu kłął na Anglików, że zawyżają w prognozach siłę wiatru.

Rzeczywistość jednak szybko potwierdziła słuszność angielskich ostrzeżeń i mojego uporu. Wichura rozszalała się na dobre. Odcinek drogi, który normalnie był do pokonania w cztery godziny, pokonywaliśmy przez całą dobę. Koło południa rzuciliśmy kotwicę milę od wysokiego brzegu, zasłaniającego nas od wiatru. W pobliżu stały trzy inne statki, które również oczekiwały na poprawę pogody.

Sztorm nie ustawał. Huragan wyrывał morzu tony wody, niosąc je w powietrze. Zapanowała istna zamieć wodna. Dobre do kotwiczenia piaszczyste dno, niewielkie głębokości i duży zapas łańcucha na niewiele się przydały. Mimo bardzo dobrej osłony wiatrowej przez wysoki brzegiem kotwica nie trzymała. Zaczęliśmy

ją wlec, coraz bardziej dryfując na rozszalałe otwarte morze. Nie pozostało nic innego, jak podnieść kotwicę i halsować w brzegowej osłonie. By to zrealizować, należało przejść otwartym pokładem od nadbudówki na dziób, gdzie była winda kotwiczna. Normalnie bagatela, ale teraz w szalejącym sztormie, mimo względnie niewielkiej odległości od brzegu wichura podrywała szybko tworzące się fale i przerzucała je przez pokład. Kilka metrów nad ziemią panująca zamieć wodna niosła tony wody, powodując prawie mrok, z łoskotem rozbijała je w pył o napotykaną przeszkodę, którą stwarzał nasz statek. Nie było jednak innego wyjścia. Kotwicę należało podnieść i to jak najszybciej, bo sytuacja z każdą chwilą się pogarszała. Manewry silnikiem nie pomagały, a do tego jeszcze zbliżał się wieczór.

W pasach asekuracyjnych, przypięci do linki, w trójkę udaliśmy się na dziób. Kapitan na mostku silnikiem i sterem starał się tak utrzymywać statek, by chociaż częściowo osłonić nas od wiatru. Szliśmy po zawietrznej między ładownią i relingiem bez przerwy przypinając się linkami asekuracyjnymi. Woda niesiona po klapach ładowni w większości przelatywała nam nad głowami. Wielkie jej ilości spadały jednak w dół, zalewały po pas i podrzucały nami w górę, jak piłkami miotały nami o relingi. Prawdziwe piekło zaczęło się dopiero na dziobie. Tu fałszburta nie dawała już tak dobrej osłony wiatrowej. Wichura zerwała mi kaptur z głowy i wydawało się, że przejmującym zimnem powyrywa mi włosy. Zamieć wodna przenikała wszędzie, kłuła po policzkach i niosła mrok. Na szczęście mocno złożone wcześniej przeciwpyłowe okulary ochronne pozwalały mi cokolwiek dostrzec. Zalewani wodą, przy przejmującym zimnym wicherze w końcu podnieśliśmy kotwicę.

Następne kilka godzin halsowaliśmy jak najbliżej brzegu w zatoce Moray Firth, leżącej na północny wschód od wielkiej rozpadliny Loch Ness. Gdy morze siadło na tyle, by można było rzucić kotwicę, znów stanęliśmy.

Pentlend można było forsować tylko z prądem. Prądy pływowe w Cieśninie Pentland dochodzą bowiem do dwunastu węzłów i zmieniają kierunek w rytm pływów, płynąc raz w jedną, raz w drugą stronę. Policzyliśmy dogodne na przejście okresy. Wiatr

siadał coraz bardziej, ale prognozy mówiły tylko o przejściowym osłabieniu wiatru, informując, że nadal przy Pentlandzie wieje dziesiątka.

- Już tak mocno nie wieje. Pójdziemy przy następnym sprzyjającym prądzie. Da się przejść - mówił do mnie zniecierpliwiony Norweg.

- Masz rację, da się przejść. Będziemy szli z prądem, trzymani przez dziobowy wiatr. Zapewne przejdziemy, ale przy tak silnym przeciwnym wietrze za daleko nie dojdziemy, a prąd znów się zmieni. Po zmianie będzie nas gnać z powrotem w cieśninę i pchać prosto na skały Pentlandu. Co wtedy zrobisz? Jaki manewr uratuje nas, by nie wejść na skały z tą cholerną stałą? - zapytałem.

Norweg pomamrotał coś po swojemu i powiedział:

- Pieprzona pogoda. Musimy jeszcze stać.

Następnego dnia morze siadło na tyle, że dało się płynąć. Prognozy o stanie pogody były już sprzyjające. W dziennym świetle przepływaliśmy pomiędzy dzikimi skałami złowrogiej cieśniny. Po przejściu Pentlandu zachodzące słońce oświetlało z tyłu nagie ciemne skały, na których białym kolorem odcinała się nadbudówka niedawno wyrzuconego na nie statku. Na skały wszedł niespełna miesiąc wcześniej w podobnych okolicznościach, zawrócony przez prąd i wiatr.

Moja nocna wachta za Pentlandem przebiegała spokojnie. Tylko Coast Guard z uporem nawoływał jakiś kuter rybacki. Przez radio informowali o katastrofie, jaka miała miejsce w pobliżu naszej trasy. W silnym sztormie dwa dni wcześniej zatonął statek z grecko-filipińską załogą na pokładzie. Znaleziono puste tratwy ratunkowe i porzrzucony sprzęt. Z dwudziestosiedmiosobowej załogi nikt nie ocalał. Służby ratownicze nawoływały wszystkie statki przepływające w tym rejonie do wzmożonej obserwacji. Obserwowałem bacznie dookoła, ale bez efektów.

Po zdaniu nocnej wachty, jak zwykle położyłem się spać. Niespodziewanie obudził mnie mechanik.

- Józek! Za chwilę będzie lądował helikopter ratowniczy. Będziesz miał co filmować.

Gdy z kamerą znalazłem się na mostku, nad statkiem wisiał już śmigłowiec i na linie opuszczał na pokład ratownika.

- Jesteście jednym z nielicznych statków, i pierwszym po tym dużym sztormie, który przepływał Pentland. Zaginał kuter rybacki i duży statek grecki, który też tak jak wy płynął ze wschodu, gdy zaczynał się sztorm. Czy nie zauważyliście czegoś w nocy?

Norweg spojrział na mnie.

- Ja miałem wachtę w nocy - odpowiedziałem. - Co chwilę słyszałem nawoływania Coast Guardu, by kuter się zgłosił, ale odpowiedzi nie było. Wiedząc o katastrofie, prowadziłem z marynarzem wachtowym dokładną obserwację i też nic nie zauważyliśmy.

Ratownik wypytywał nas o sytuację oraz gdzie byliśmy podczas sztormu. Kapitan informował go, gdzie i kiedy schroniliśmy się.

- Bardzo rozsądną decyzję pan podjął, kapitanie - chwalił go ratownik. - Tak, ten statek płynął wtedy, co wy. On popłynął prosto, a wy skręciliście na południowy zachód. To go zgubiło! Stary statek i ten bardzo silny sztorm - dodał jeszcze ratownik.

Popatrzyliśmy z kapitanem jeden na drugiego. Właśnie wtedy, gdy przekonywałem Norwega o konieczności skręcenia pod wiatr, by ładunek na nowo się nie przesunął, wyprzedzał nas jakiś duży statek. Była spora odległość i złe warunki, by go rozpoznać, ale prawdopodobnie był to ten sam statek, którego załoga odeszła na wieczną wachtę.

Po krótkiej rozmowie helikopter podjął ratownika i odleciał do bazy na Wyspie Levis, na Hebrydach.

...

Płynęliśmy na południe osłaniany przez wyspy od zachodniego wiatru. Morze siadło do czwórki, lecz prognozy znów ostrzegały o nowym sztormie. Tego było już za wiele. Cholerna stal częściowo przesunięta i doraźnie zamocowana, przy dużej oceanicznej fali z burty, jaka nam groziła po wychyleniu się zza Hebryd, w każdej chwili mogłaby się przesunąć. Analizowaliśmy sytuację razem z Norwegiem. Przy szkockich wybrzeżach od zachodu jest wiele wysp i wysepek. Szukaliśmy możliwości

kluczenia między nimi, by mieć falę z sektorów dziobowych lub rufowych, oraz możliwość osłony. Przyzwyczajony do pływania w fiordach i do przeciskania się pomiędzy skałami Norweg zdecydował się na trasę, na którą niewielu kapitanów by się odważyło. Nie mogliśmy jednak sobie pozwolić na duże boczne przechyły. W naszej sytuacji była to w sumie chyba najbezpieczniejsza trasa. Bezpieczniej było tylko przeczekać, ale trzeci postój w trakcie jednej podróży to dla Norwega było stanowczo za wiele. Odcinek do przejścia pozostał niewielki.

Następną nocną wachtę spędziłem przy radarze. Przez trzy godziny przeciwny prąd i wiatr trzymał mnie w wąskim przesmyku, pomiędzy odległymi o kilka kabli skałami. Mimo całej naprzód w żaden sposób nie mogłem się od nich oderwać. Groźba wejścia na skały zawisa niczym zmora, a w dodatku bardzo silne opady utrudniały obserwację radarową. Na radarze była jedna wielka plama echa od ulewy, w żaden sposób nie pozwalająca na wyodrębnienie echa od skał. Regulacje radaru niewiele skutkowały. Stary sprzęt pokazywał tylko to, na co było go stać.

Silne opady unieruchomiły też system wskazywania pozycji „Deka”, który, podobnie jak radar, również opierał się na wykorzystaniu fal elektromagnetycznych podatnych na zakłócenia przez ulewę. Systemu satelitarnego jeszcze nie było. Ściana wody i niesione wicherą bryzgi fal nie pozwalały na dostrzeżenie nawet własnego dziobu. Po omacku, częściowo na wyczucie, częściowo mając na krótko słabe zarysy ładu na radarze utrzymywałem statek w bezpiecznej odległości od złowrogich skał. Grozy sytuacji dopełniały liczne szkiery, podwodne kamienie i płycizny rozsiane dookoła. Nawet przy dobrej widoczności optycznej i radarowej ten akwen był niebezpieczny. Wymagał dużego doświadczenia, zimnej krwi i chyba jednak szczęścia. Jurek Bajer ze Szczecina, który cały czas stał za mną, po oddaleniu się od skał powiedział:

- Nie wiem, jak ty to zrobiłeś, ale już po wszystkim! Jestem po Technikum Morskim, z radarami miałem trochę do czynienia i mimo trzydziestu lat na morzu miałem cykora jak nigdy w życiu. Ja na tym ekranie prawie nic nie widziałem.

Fatalną podróż z niebezpiecznym przesuniętym ładunkiem szczęśliwie skończyliśmy. Stał zdawaliśmy w trzech kolejnych portach Irlandii, na Dublinie kończąc. Nigdy dotąd w jednej podróży morskiej nie spotkałem trzech „dwunastek” i nigdy wcześniej nie miałem przesuniętego ładunku wkrótce po wyjściu z portu. Nie wiedziałem jeszcze, że po ponownym załadowaniu w jakimś pobliskim porcie angielskim, mam przed sobą największy sztorm w życiu.

...

W Dublinie częściowo zmieniała się załoga. Z ładunkiem czerwonych kamieni, przypominających tłuczeń używany na kolei, wypłynęliśmy z terminalu przy kamieniołomie koło Liverpoolu. Bezpieczny, stabilny ładunek i dość ładna pogoda zapowiadały spokojny rejs.

Podczas przejścia morzem pogoda zaczęła się bardzo szybko psuć. Komunikaty zapowiadały zbliżający się sztorm do dziesięciu stopni. Po przeżyciach ze stałą w tak fatalnej pogodzie dziesiątka z lepszym statecznościowo ładunkiem nie budziła obaw. Gdy wokół nas stan morza odpowiadał zapowiadanej dziesiątce, rozkrzyczały się komunikaty ostrzegające statki o silnym sztormie do dwunastu stopni, a następnie o groźnym hurrikanie.

Początkowo płynęliśmy bokiem do wiatru, ale wnet stało się to niemożliwe. Morze zaczynało coraz mocniej dymić. Odrywane grzbiety fal niesione wiatrem poczęły tworzyć ponad wzburzonymi falami białą kipieli. Zamieć wodna unosiła się kilka metrów, jakby nad gotującym się na zimno morzem. Statek pracował ciężko na fali, rzucany we wszystkie strony jak łupinka. Potężne fale przewalały się przez pokład. Wyrywane z morza przez wiatr całe tony wody przelatywały od czasu do czasu nad nadbudówką.

Statek skrzypiał i trzeszczał przy gwałtownych uderzeniach rozszalałego żywiołu. Mimo zabezpieczeń przed wypadnięciem z regałów podczas sztormu, po mostku latały różne przedmioty i papiery. Wycie wichru w całej gamie tonów, jakie powstawały przy napotykanym na jego drodze przeszkodach, uzupełniał łomot roztrzaskiwanych o statek fal i niesionej wiatrem wody. Na skrzydle

strzelał porwany wichurą na strzępy brezent osłaniający jakieś urządzenia.

Powstała z bryzgów fal i piany zamieć wodna podnosiła się coraz wyżej i wyżej, przysłaniając stopniowo rozszalały żywioł. Najpierw stał się niewidoczny pokład statku. Stopniowo kipiel przysłaniała przedni maszt, którego rejka i top najdłużej był widoczny. Reszty dopełniły nasilające się opady.

Nastąpił półmrok. Widoczność jeszcze ciągle spadała, aż doszło do tego, że przedmioty na zewnątrz statku przestały być widoczne na odległość kilku metrów. Weszliśmy do jakiejś ciemnej piwnicy z upiorną, trzeszczącą muzyką. Do piwnicy zamocowanej na diabelskim młynie. Woda była wszędzie - na dole, dookoła i na górze.

Traciliśmy kolejne urządzenia jedno po drugim. Najpierw pozbyliśmy się możliwości wykorzystania automatycznego steru, który nie podołał sobie z młyncami morskiego żywiołu. Na zmianę z Norwegiem staliśmy na mostku, trzymając ster i manetki silnika. Staraliśmy się utrzymywać pod wiatr, tak by statek był tylko sterowny. Nie było żadnej pozycji. Radar pokazywał jedną wielką plamę i nic nie dało już się z niego wycisnąć. Znow przestała działać Dekka. Brak systemu satelitarnego dopełniał reszty. Płynęliśmy w ciemnej piwnicy z otaczającej nas wody, całkowicie zdani na łaskę i niełaskę żywiołu, bez możliwości kontroli, gdzie jesteśmy. Wszystko wokół trzeszczało, latało i tańczyło. Diabelski młyn wykręcał szatańskie piruety.

Mijały kolejne godziny. Hurrikan pędził nas po rozszalałym żywiole, w jaką chciał stronę. Trzeba było dobrze się trzymać, by ustać na nogach. O odpoczynku nikt nie myślał. Większość załogi, dobrze ubrana, znajdowała się na mostku kurczowo ściskając kombinezony ratunkowe. Tylko dwóch wołało pozostać niżej, gdzie przechyły były mniej dokuczliwe.

Obserwowałem Norwega. Stał błydy na próżno usiłując przeniknąć wzrokiem białą kipiel, by silnikiem i sterem łagodzić zderzenia z potężnymi falami.

Pozostało nam jeszcze jedynie radio. Przy dochodzących trzaskach udało się usłyszeć, że hurrikan przekracza prędkość 95

węzłów, nie notowaną w tym rejonie od stu dwudziestu lat. Liczyłem w pamięci - 30 węzłów to szóstka, 64 węzły dwunastka. Wynika z tego, że wiatru wystarczy na składane 18 w skali Beauforta! O Boże - pomyślałem.

Patrzyłem na zewnątrz. Panujący anormalny huragan nie dawał żadnych szans na ratunek. Została tylko nadzieja, że statek to wszystko przetrzyma. Przy prawie zerowej widoczności i pędzonej rozszałym wiatrem morskiej kipieli, żaden zbiorowy środek ratunkowy nie dawał najmniejszych możliwości do jego wykorzystania. Nie było też szans na nadejście pomocy.

Stałem zaparty nogami o szot, by w ogóle stać i wsłuchiwałem się w odgłosy pracy silnika, które trudno było wyłowić z panującego zgiełku. Z zacinającej w bulaje wody odgadywałem kierunek wiatru, starając się trzymać go w linii statku.

- Uczyłeś innych, jak się ratować, jak przetrwać w wodzie. Jakie to było wtedy proste? Co z tego zostało? Rzeczywistość nieprawdopodobnie inaczej potrafi nieraz wyglądać. Nawet w kombinezonie ratunkowym na zewnątrz chyba nie można przetrwać, bo czym oddychać w tej wodnej kipieli? - pytałem siebie w duchu.

Kombinezon ratunkowy miałem jednak koło siebie. Do plastikowego woreczka wsadziłem i szczelnie zawiązałem aż dwie czekolady, które wypychały mi trochę kieszeń z dokumentami.

Wszystko mogło się zdarzyć!

Po kilku latach prof. Holec pokazał mi mapkę synoptyczną tego hurrikanu i powiedział - Do dziś pokazuję ją studentom na zajęciach z hydrometeorologii jako ekstremalne zagęszczenie izobarów. Aż trudno uwierzyć, że mogłeś to przeżyć.

Rolnik, murarz, cieśla ...

(w 1974r. kupiłem pierwszy hektar pola, dziś mam blisko 4. Posiadam uprawnienia Wykwalifikowany Ogrodnik Warzywnik. Posadziłem tysiące drzew, sam wybudowałem dom jako murarz, cieśla, dekarz i tynkarz. Jak to się stało?)

Pierwszy hektar ziemi kupiłem w 1974 r. przypadkowo i nie dla siebie. Chyba byłem już wtedy w stopniu kapitana mar. woj. i od czterech lat wykładowcą w Wyższej Szkole Morskiej. Pomysł kupna ziemi narodził się około dwa lata wcześniej.

Gdy po ślubie wbrew woli teściów przyjechałem z żoną do Gdyni, ponad rok wynajmowaliśmy mieszkanie i od razu złożyłem podanie do Wojskowej Spółdzielni Mieszkaniowej. Wtedy oficer Marynarki Wojennej przydział na mieszkanie otrzymywał stosunkowo szybko. Po około półtora roku otrzymałem klucze do mieszkania M-4 (mieliśmy już córeczkę) w Gdyni Chyloni. Z przeprowadzką do naszego mieszkania, o dziwo, nie było nam spieszo. Wynajmowaliśmy mieszkanie u wspaniałej kobiety, wdowy Grzędzickiej w Gdyni Obłuże, *(wtedy ul Wincentego Gruny, a dziś Admirala Józefa Unruga)*. Kaszubka Barbara Grzędzicka była „pniakiem tej ziemi”. Na mieszkanie do niej trafiliśmy jako zaufani jej siostry – dużo opowiadać. Przed wojną Grzędzicy mieli tu sklep, a mąż warsztat stolarski. Z przedwojennego gospodarstwa zostało już niewiele ponad pół hektara, ale nadal było dużo drobiu, owce, a nawet prosiaki. W przydomowym ogródku drzewa owocowe, kwiaty, porzeczki. W dodatku blisko las, sklepy i dobra komunikacja. Grzędzicka nie tylko opiekowała się naszą córeczką, gdy szliśmy do pracy, ale była dla nas jak matka. Gdy córeczka jest w domu z ogrodem pod troskliwą opieką przyszywanej babci, a my z żoną ze spokojem idziemy do pracy, gdy jest pięć minut do lasu i serpentyn ulicy z których jest widoczna cała Gdynia, przeprowadzka do bloku nie była nam spieszna.

Najpierw na warsztacie stolarskim zabudowałem przedpokój, potem na wymiar zabudowałem kuchnię, a gdy już wszystko było gotowe kupiliśmy segment do dużego pokoju, kanapę i telewizor, a

do małego łóżeczko i jakieś meble. Przeprowadziliśmy się, ale „babcia Grzędzicka” nadal opiekowała się naszą pierworodną. Z teściami wtedy źle się układało. Mama i Tatuś na Podkarpaciu mieli małego synka i swoje kłopoty, a z ojcem w Warszawie niewiele nas łączyło. Rozległej rodziny za granicą prawie jeszcze nie znałem.

Bardzo boleśnie z tego okresu zapamiętałem jedną paczkę. Przyszła od rodziców żony – bochenek chleba i aluminiowe sztucce - dla biednej córki, która nie ma co jeść.

...

Ojciec Danusi przyjechał do nas na nowym mieszkaniu, by zobaczyć swoją pierwszą wnuczkę, gdy urządzenie mieszkania było zapięte na ostatni guzik. W męskiej rozmowie aż się popłakał, że nie chciał takiego zięcia. Wy tłumaczenie było krótkie i szczere:

- Danusia jest moją najukochańszą córką, a ty mi ją zabrałeś. Z nią wiązałem życie na stare lata i liczyłem, że zostanie na gospodarstwie. Tylko dlatego byłem przeciwny. I co teraz mam robić?

Zrozumiałem to i już nie miałem żalu za wszystkie wcześniejsze kłopoty i nieprzyjemności.

- Tato – odpowiedziałem równie wzruszony – przyjeżdżajcie z mamą do nas i wszystko będzie dobrze.

Pamiętam, że ta rozmowa zaczęła się na balkonie, bo wtedy obaj paliliśmy papierosy. Już na dobre przekonani do siebie dalej rozmawialiśmy w pokoju, gdzie w obecności Danusi powtórzyłem „przyjeżdżajcie z mamą do nas”.

W rozważaniu mojej propozycji teść widział tylko jeden problem:

- A co ja bym tutaj robił w tym wielkim mieście? Przecież jako gospodarz nie pójdę na stare lata za stróża.

To był argument, który do mnie trafił.

- Jaki problem, postaram się załatwić gdzieś w pobliżu kawałek pola.

Od tej rozmowy wszystko się zaczęło. By na początku lat siedemdziesiątych móc kupić grunty rolne trzeba było być rolnikiem, albo mieć uprawnienia rolnicze. Bez zwłoki złożyłem dokumenty na wieczorówkę do Zasadniczej Szkoły Rolniczej w

Redzie w filii Instytutu Ogrodnictwa i Sadownictwa profesora Pieniżka. Na zakończenie egzaminów praktyczne i teoretyczne zdałem z wyróżnieniem i otrzymałem świadectwo ukończenia Zasadniczej Szkoły Rolniczej jako wykwalifikowany ogrodnik warzywnik.

Gdy w 1974 r. kupiłem z myślą o rodzicach Danusi hektar ziemi od państwa, teściu się wycofał, a ja zostałem chłopo-oficerem. By nie być rolnikiem małorolnym, z czasem powiększyłem grunty ponad trzykrotnie i tak zostało do dziś. Posadziłem też półtora hektara lasu.

...

Zakupiony hektar w Rumi okazał się gruntami bardzo słabej klasy. Wcześniej było tu Gdyńskie lotnisko, które w czasie wojny Niemcy jeszcze powiększyli. Z tej powiększonej części najniższej położonej najpierw wywieźli torfową ziemię, nawieźli piach, zdrenowali, a na wierzchu była jedynie cienka warstwa ziemi, by na lotnisku rosła trawa. Podczas bombardowania lotniska pod koniec wojny dreny zostały poprzerywane i niedrożne. Efekt był taki, że przy dużych opadach robiło się grzęzawisko, na które nie dało się wjechać, natomiast przy suszy cienka warstwa ziemi wysychała na popiół. Po pierwszym roku gospodarowania, gdy nawet ziemniaki uschły, nadarzyła się sytuacja na poprawienie struktury gleby. Na Cisowej w Gdyni budowali fabrykę domów. Zdejmowali dobrą torfową warstwę ziemi i wywozili ją dziewięć kilometrów do wąwozu w lesie. W drodze powrotnej te same samochody brały piasek z pobliskiej żwirowni w Rumi. Do naszego pola było dwa kilometry bliżej, a po drodze była ta sama żwirownia. Gdy to sprawdziłem, poszedłem do kierownika prac ziemnych fabryki.

- Panie kierowniku, mam hektar ziemi szóstej klasy, prawie nieużytki, a pan taką dobrą ziemią zasypuje wąwóz w lesie i zatrudnia tam jeszcze trzy spychacze do wyrównywania. Do mnie jest dwa kilometry bliżej i ta sama żwirownia po drodze. Mam propozycję, udostępnię wam wysypisko. Przedsiębiorstwo zarobi, bo bliżej i spychy zatrudni pan gdzie indziej. Ja zarobię, bo będę miał

lepszą ziemię na działce. Przydałoby się, żeby pan jeszcze zarobił. Ja spychacz wynajmę sobie później prywatnie. Co pan na to?

Przy korzyściach wszystkich stron łatwo było dobić targu. W efekcie z nieurodzajnych gruntów powstało pole nadające się do uprawy warzyw. Przez następne lata, nie rezygnując z pracy wykładowcy, prowadziłem intensywną produkcję warzyw, sprzedając tony marchwi, pietruszki, czerwonych buraczków i kapusty. W miarę możliwości żona również pomagała, ale jej praca zawodowa, dwójka małych dzieci i prowadzenie domu nie pozostawiały za wiele wolnego czasu. Za zarobione z pola pieniądze kupowałem materiały budowlane.

Najpierw postawiłem zabudowania gospodarcze, pracując sam jako murarz, tynkarz i cieśla. Sam zamierzałem wybudować również dom.

- Nawet się nie wygłupiaj - mówiła żona. - Za co?

- Pieniądze będą z warzyw, a trochę da się też odłożyć, bo mamy na razie wszystko. Sam będę murował. Widziałaś, jak ładnie mi poszło z wybudowaniem pomieszczeń gospodarczych - obstawałem przy swoim.

- Czy widziałaś kogoś takiego, żeby sam wybudował cały dom, bez niczyjej pomocy i w dodatku bez pieniędzy? Kto ci pomoże? Co ja sama zrobię przy dwójce dzieci?

- Domek gospodarczy przecież sam wybudowałem i całkiem dobrze mi poszło. Przy budowie domu jest niewiele więcej roboty.

- Zabudowania gospodarcze można jakoś sklecić, ale dom to co innego.

- Ja ich nie skleciłem. Wymurowałem całkiem solidnie - upierałem się.

- Może i tak, ale dom to nie to samo. Ja jeszcze nie widziałam ani nie słyszałam, żeby ktoś sam wszystko zrobił.

- Przecież wcale nie muszę budować w jednym roku. Pomału jakoś sobie poradzę. Część materiałów już mamy – przekonywałem.

- Co masz? Trochę starej rozbiórkowej cegły, którą w dodatku dostałeś za darmo.

- Nie za darmo, dostałem za rozbiórkę. Część rozebranej cegły przecież sobie zabrali, a resztę rozjeździli i wdeptali w błoto.

- Te trochę starej cegły niewiele znaczy, to szmelc.
- Wcale nie. Jest jej sporo i jest lepsza od nowo produkowanej.

Na razie na tym się skończyło, bo każdy obstawał przy swoim.

...

Latem z dwójką dzieci wybraliśmy się na wczasy do Wisły w górach. Po dwu tygodniach miałem wrócić do Gdyni, a żona z dziećmi miała pojechać na resztę urlopu do rodziców. Było upalne i suche lato. Po tygodniu nie mogłem już usiedzieć na miejscu.

- Danusiu, wszystko nam pousycha i tyle pracy na darmo. Ogórki i pomidory przydałoby się podlewać. Za duża susza – przekonywałem.

W końcu zostało uzgodnione, że żona z dziećmi zostaje do końca turnusu, a następnie jedzie do rodziców, ja natomiast wracam do Gdyni.

Gdy Danusia z dziećmi wróciła z wakacji, czekała ich niespodzianka. Przez ten czas wytyczyłem zarys budynku i łopatą zrobiłem wykop pod fundament. Były całe sterty żwiru i dwie wywrotki płukanych kamyków, a w pomieszczeniu gospodarczym leżał cement. Właśnie kończyłem zbrojenie ławy.

- Postawiłeś mnie przed faktem dokonanym, ale nadal ten pomysł uważam za szalony. Wydałeś chyba resztę pieniędzy, a poza tym do budowy są potrzebni fachowcy.

- Znam się na tym. Murować i tynkować potrafię, siekierka i topór to jeszcze mniejszy problem, bo przecież cztery lata pracowałem przy wyrębie. Zobaczysz, będziemy mieli piękny dom!

- Wcale się nie cieszę z tej niespodzianki – stwierdziła żona.

...

Pod koniec lata, przy pomocy kolegów, fundament został zalany. W drugim roku wymurowałem parter i zakończyłem pierwsze stropy, a w trzecim zrobiłem piętro i dach. Krokwie, zastrzały i płatwie wykonałem z zakupionych okrągłaków, używając tylko topora i siekiery. Materiały budowlane dokupowałem sukcesywnie, na ile starczyło pieniędzy i według potrzeb z pieniędzy za warzywa. Pracowałem jako murarz, pomocnik i kierownik

nadzoru. Z braku pieniędzy byłem również zmuszony sam pokryć budynek blachą. Niektórzy znajomi czasem pytali skąd miałem tyle pieniędzy na wybudowanie tak pięknego domu. Często na to odpowiadałem:

- Z zaskórniaków, bo całą moją pensję oddawałem żonie na utrzymanie domu.

O polityce

(W 1993 byłem lider ugrupowania „Poza Układem” na Podkarpaciu w wyborach do Sejmu. Następnie jeszcze dwukrotne kandydowanie w wyborach parlamentarnych z ramienia PSL i PO (też jako osoba bezpartyjna) i raz w wyborach do Sejmiku Wojewódzkiego w myśl mojej zasady, że w każdym ugrupowaniu powinien być człowiek morza, by walczyć o gospodarkę morską (wtedy marginezowaną).

W 2010 byłem jednym z siedemnastu zarejestrowanych kandydatów na wybór Prezydenta RP i jednym z trzech (Lech Kaczyński, Szmajdziński i ja), który udali się do Katynia. Jako mniej ważny otrzymałem miejsce w pociągu specjalnym do Smoleńska, a nie w samolocie, i dlatego żyję.

Następnie dwukrotne kandydowanie w wyborach do Senatu, jako kandydat niezależny, przeciw dwóm konkurentom – jeden z PiS, a drugi z PO. Za każdym razem uzyskałem około 18, 5 tys. głosów, lecz wojna polsko-polska zwyciężyła, bo jedni głosowali kontra PiS, a drudzy kontra PO. Kandydat z dwóch wrogich plemion mógłby sobą nic nie reprezentować, to nie miało znaczenia. Wystarczyła spolegliwość partyjna i jej poparcie).

Skąd się wzięło moje zainteresowanie tym niewdzięcznym tematem? Przecież nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej, a wręcz odwrotnie – byłem bezpartyjny i miałem jeden język i jedną twarz, a taka postawa przysparzała mi nie tylko kłopotów, ale też straty pieniędzy i awansu.

Pokrótkie wyjaśnię poniżej:

- Uwarunkowania polityczne od dzieciństwa chyba najbardziej kształtowały moją osobowość. Nie wnikać, dlaczego po ojcu nie nosiłem nazwiska Pogoda, lecz mamy Strzelczyk – choć ten trudny okres 1945 – 1947 na Podkarpaciu dla akowca ojca nie był bez znaczenia. Nazwisko Wójcik, po skończeniu szkoły podstawowej, z polityką już nie miało nic wspólnego. Wszystko jednak zostawiło jakieś konsekwencje.

Do końca szkoły podstawowej mieszkalem u dziadków ze strony mamy, a dziadek, Ludwik Strzelczyk, był przedwojennym wojskowym (nie wiem w jakim stopniu) i instruktorem łączności w Kompaniach Akademickich Uniwersytetu Warszawskiego. Po wojnie jako „wróg klasy robotniczej” już nigdy nie pracował.

Oficjalnie był rolnikiem w podmieleckiej wsi Książnice choć ani smykałki do rolnictwa, ani zamiłowanie do tej pracy nie miał. We wsi był wręcz „dziwolągiem”, co to nie pali, nie pije, w polu nic nie umie robić, nie trzyma z władzą i na zakrapiane zabawy wiejskie też nie chodzi.

Mimo wszystko dziadek miał jednak wielki szacunek. Ludzie wiedzieli, że przed wojną z kapelanem Wojska Polskiego kapitanem ks. Grzybem był budowniczym nowego książnickiego kościoła (spalony w I Wojnie Światowej z tradycją od 1180r.) Władze PRL również przez kilka lat po wojnie korzystały z wiedzy posługiwania się dokumentami przez dziadka. Do dziś mam w pamięci niebieskawy, szeroki bloczek druczków „Akt zgonu”, które dziadek zgodnie z prawem wystawiał dla władz, również dla sąsiednich wsi. Skoro tak to pamiętam, musiały to już być początkowe lata pięćdziesiąte. Koloru bloczku o narodzinach nie pamiętam, a może go nie było. Gdy władza ludowa na tyle już okrzepla i wyszkoliła „umiejących pisać i działać w biurokracji” z usług dziadka zrezygnowano.

W 1956 z dziadkiem rozmawiał prof. Łączak, który przybył z Budapesztu i zdawał relację z węgierskiej masakry. Miałem wtedy już 9 lat, a mimo to te dyskutowane fakty poruszały mnie do głębi, choć udawałem, że rozmowy starszych staram się nie słuchać.

Dziadek, jak pamięcią sięgam zawsze miał radio lampowe, a gdy przychodziły zaufane osoby posłuchać Wolnej Europy, jako bawiący się dzieciak byłem najmniej podejrzanym na czatach.

W latach sześćdziesiątych o mało co nie zmarnowano mi życia (*perypetie z przyjęciem do WSMW*), że rodzina za granicą, bo walczyła o niepodległą Polskę. Gdy już po raz pierwszy zobaczyłem ojca, następnie dziadka Michała Pogodę i poznałem kresowe losy rodziny, doszedł jeszcze jeden powód polityczny: „Pamięć umarłych zobowiązuje”. To cytat z trylogii „Powrót na Kresy”, gdzie z najbliższej rodziny zesłano na Sybir 24 osoby, a w mordach na Ukrainie bestialsko zamordowano jeszcze 16 osób. I tylko dlatego, że byli Polakami!

I jest jeszcze jeden powód wielokrotnego kandydowania w wyborach parlamentarnych i prezydenckich, którego nie da się ani racjonalnie wytłumaczyć, ani zrozumieć. Nawet nie wiem, jak to nazwać. Najbardziej adekwatnym określeniem to „przysiężenie wewnętrzne”, które dałem sobie i Opatrzności, że jeśli przeżyję tą składaną 18 w skali Beauforta, to nie wyjdę w morze, jeśli zapomnę o polskiej gehennie rodziny i schowam głowę w polityczny piasek.

Przeżyłem, gdy po raz któryś mogłem już nie żyć. Na statku po wielkich sztormach zacząłem pisać pierwszą książkę. Stąd tytuł „Prezydent Hebryd” w nawiązaniu do polskiej rzeczywistości, choć pierwszym tytułem miała być „Benbekula”. Polityka dla mnie też była tematem niestrawnym i jako matematyk z upodobania książka została napisana słowem, symbolem, obrazem, kolorem, z mistyfikacją i ze stworzoną legendą Benbekuli i w kilku warstwach. To najszybciej napisana książka. Powstała z pobudek politycznych i dla polityki, a nie dla literatury. Napisałem ją w ciągu dwóch miesięcy wraz z nauką pisania na maszynie!

Później kandydowałem w wyborach za własne pieniądze, tyrałem bez pomocy, a gdy już były wyniki i nie otrzymałem wystarczającej ilości głosów, by zostać politykiem (Boże, chwała Ci za to) ze spokojem znów wychodziłem w morze, ufny, że wypełniłem wewnętrzne przysiężenie i nadal będę pod opieką Opatrzności.

Około dwadzieścia lat temu na mojej stronie internetowej w kolumnie pobocznej napisałem:

„Polityka i losy Ojczyzny każdego z nas dotyczą w mniejszym lub większym stopniu, decydują też o losach naszych rodzin. Polska potrzebuje wielu reform, których bez zmian w postrzeganiu polityki oraz sposobie jej uprawiania przeprowadzić się nie da. Kiedyś miałem takie marzenia: - Chciałbym w polskiej polityce dokonać wielu zmian, tak rewolucyjnych jak te, które wniósł Jan Paweł II do Kościoła, zmian opartych na miłości, dialogu i poszanowaniu drugiego człowieka. Chciałbym, by Człowiek i Ojczyzna były w Polsce ponad partyjnym partykularyzmem, bo właśnie w tych kłótniach tkwią te utrwalone na stałe złe emocje.

Zamiast politykiem zostałem pisarzem! Chyba to i dobrze, choć mi trochę żal aż tylu złudzeń i emocji!

Powyższe zostało napisane kilkanaście lat temu. Dziś co tu dodać, gdy dużo się zmieniło, a klótnie pozostały? 2020 - klótnie i agresja polityków w mediach ciągle wzrasta! (data od lat poprawiana, bo nic się nie zmienia)”.

O PIERWSZEJ KSIĄŻCE

(„Prezydent Hebryd” – wstępny tytuł „Benbekula” – została napisana dla potrzeb politycznych. Polityka to temat niestrawny dla wielu osób i nie ma nic wspólnego z kulturą, nawet można powiedzieć że obecnie to przeciwny biegun kultury, więc dlatego ta pierwsza książka została napisana niekonwencjonalnym i zakamuflowanym językiem. Poniżej fragment jej poświęcony po latach w „Siódmym morzu”. Franek Strzelczyk - moje drugie imię i pierwsze nazwisko, Józef (Węgrzyn) , w dodatku mechanik, nie mógł mieć pierwszego mojego imienia i drugiego nazwiska Wójcik).

Fragment dotyczy polityki:

„- Wiem, że książkę zrozumiałeś. A jak ją odebrałeś - pomijając politykę - jak ci się czytało?

- Oj, Franek, Franek! Jak w tej książce można pominąć politykę? Sam przecież powiedziałeś u Cisy, że morskie są tylko przerywniki, a mistyfikacja to też prawda. Powiem szczerze, twoja rzeczywistość jest nieprawdopodobna, bo prawda choć ukryta, jest tak oczywista, ale i tak nieoczekiwana, że trudno w nią uwierzyć. I mimo wszystko niemożliwa! Nawet prawdopodobieństwo twojej legendy, w której zdobycie Świętej Góry nie było realizowane przez wieki, świadczy o tym, że sam w to wątpiłeś.

- Wątpiłem, ale i wierzyłem. Józek, może to śmieszne, ale ja w głębi duszy na serio podchodziłem do zdobycia „Benbekuli”. To nie życie dopasowywałem do legendy, lecz stworzyłem legendę na potrzeby rzeczywistości. Tak bardzo szukałem racjonalnej

alternatywy. Nie dostrzegłem jej! Innej też nie widziałem, więc co miałem zrobić?

- Zaangażowałeś się bardzo mocno, chyba za mocno. I nie ma w tym nawet cienia śmieszności. Nie musisz się tłumaczyć. Sam jednak uwikłałeś wszystko, bo też nie wierzyłeś, że jest to możliwe. Nie wierzyłeś, by osobie z zewnątrz, by tobie, udało się zrobić wyrwę w tych zamkniętych - w gruncie rzeczy - strukturach. Czy mam rację?

- Wierzyłem, ale nie do końca. Uwikłanie i kamuflaż to margines błędu, to otwarta droga do podjęcia decyzji, czas na rozwagę i rozeznanie w sytuacji.

- Mocno musiałeś wszystko przeżywać – wtrącił cicho Węgrzyn.

- Tak! Bardzo mocno. Przynajmniej połowa Polaków zastanawia się, co zrobić dla poprawy sytuacji kraju. Ludzie bardzo często mówią, co by zrobili jako premier, prezydent i Bóg wie jeszcze kto. Ja też zastanawiałem się, gdzie tkwi zło. Szukałem drogi wyjścia z tych bezsensownych podziałów na my i oni, komunę i solidaruchów. Z obrzydzeniem patrzyłem na polityczne rozgrywki, gdzie naczelnym celem jest dokopać drugiej stronie, wziąć profity - a może podzielić profity – i przejąć władzę. Zresztą, nie tylko o to chodzi w tej tak bardzo pogmatwanej rzeczywistości. Jak widzisz, legenda „Benbekuli” nadal aktualna - bez uzdrowienia sytuacji politycznej nasz kraj nie czeka nic dobrego. Teraz jest okres przemian, czas, w którym można dojść wszędzie lub wejść w ślepy zaułek, ale tego czasu jest coraz mniej! I nieważne jest nawet, która ze stron ma lepszych polityków, jeśli głównym celem będzie podstawianie nogi i utrzymanie władzy. W Polsce wiele spraw zmierza w złym kierunku i wręcz zatrzaża. Wyjścia trzeba szukać od zaraz, chociaż należało zacząć już od dawna, gdy powstała legenda Świętej Góry. Wtedy jednak wrzód dopiero wzbierał.

- Tak serio to traktowałeś? Zrozumiałem, ale ...

- Józku, serio to ja analizowałem możliwości! Opierałem się o znajomość ludzi i sytuacji politycznej. Brałem pod uwagę możliwości następstw, układy, determinację i odwagę potencjalnego kandydata spoza elit politycznych, spoza partyjnych układów. Na

pewno jest wielu prawych Polaków, wielkiego serca i dużego doświadczenia, którzy by idealnie spełniali oczekiwania związane ze stanowiskiem gospodarza Polski. Problemem jest ich odkrycie - może powiem inaczej – problemem jest , by właściwy człowiek, we właściwym czasie, znalazł się, we właściwym miejscu.

- To znane powiedzenie.

- Znane! Jeżeli los nie wychodzi naprzeciw, ty wyjdź naprzeciw losowi. To też znane! Jednak problem – kto się odważy na taką determinację?

- Franek, ty mnie zaskakujesz!

- Czym? Naiwnością, poczuciem mesjanizmu – bo „Benbekula” i do tego może skłaniać - czy głupotą?

- Na pewno nie głupotą – zaprotestował Węgrzyn.

- Więc czym? W polityczny mesjanizm nie wierzę. Na życie raczej zawsze patrzyłem z realizmem, a naiwność? - No cóż, nadal wierzę w człowieka. Wierzę w człowieka, chociaż pamiętam: „jak masz miękkie serce, to miej twardą dupę”! Wielekroć tego doświadczyłem.

Strzelczyk zamilkł. Był podniecony i niezwykle wzburzony.

Węgrzyn nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Bezmyślnie kręcił szklanką whisky.

- Twoje zdrowie, Franek! – wznosił toast, dla zapełnienia ogarniającej go nicości.

- Twoje zdrowie – jak echo powtórzył Strzelczyk.

Trwała cisza, pusta i długa. Zamiast brzęku przelatującej muchy dobiegały odgłosy dźwigów. Wszystkie dźwigi Casablanki śpiewały jednak znacznie ciszej, niż polska mucha”.

O książce „Władca Hebryd”

(W pewnym sensie jest kontynuacją książki „Prezydent Hebryd” wydanej w roku, z aktualizacją do 2009. „Władca Hebryd” to literacka podbudowa i zarysy programowe kandydatury w wyborach Prezydenta RP 2010. Tu też Józek, Franek i Staszek(Stan) Swujpo (od nazwisk: Strzelczyk, Wójcik, Pogoda). Na żonę też czasem mówiłem Kasia, a więc ponownie rozmowa samego z sobą. Poniższy fragment o dalszych doświadczeniach politycznych.)

Po doświadczeniach w „Poza Układem” wiedziałem, że do parlamentu można być wybranym jedynie z listy liczącej się partii. Niestety, ja nigdy do żadnej partii nie należałem i mimo skonkretyzowanych poglądów nie mogłem się wpasować do żadnego ugrupowania. Moje przekonania umiarkowano-prawicowe w żaden sposób nie przystawały, by identyfikować się z niby prawicowym AWS-em (życie pokazało, że miałem rację i to rządzące ugrupowanie z hukiem się rozpadło). Postkomunistyczne SLD nigdy nie wchodziło w rachubę, UW lub UD też dla mnie były nie do przyjęcia. O Samoobronie i LPR nawet nie wspomnę. Niestety, mimo autentycznej chęci, by coś dobrego zrobić dla kraju w tym trudnym czasie, nie widziałem żadnych możliwości. Kanapowy system partyjny i ordynacja wyborcza wielu prawych ludzi spychały na margines.

- Ale jednak wystartowałeś w wyborach do Sejmu – wtrącił Stan.

- Prawie przypadkowo. Dziś nawet nie pamiętam, kto mi to zaproponował.

- Zaproponował? – zdziwiła się Kasia.

- Tak właśnie. Partyjne sztaby wyborcze w Polsce są swoistymi biurami werbunkowymi. Wiadomo, kto powinien w wyborach przejść, ale potrzebna jest mocna lista. Chodzi o to, by na liście ugrupowania było jak najwięcej znanych osób. Werbuje się więc piosenkarzy, znanych aktorów, sportowców, pisarzy i ludzi mediów. Ustawienie listy głównie służy partyjnym działaczom, bo to oni o tym decydują i muszą przejść w wyborach, a ludzie znani medialnie najczęściej są „króliczkami” do zdobywania głosów.

- Dlaczego tylko króliczkami? – znów zapytała Kasia.

- Powiedziałem - „najczęściej króliczkami”. Do Sejmu bądź Senatu przeszli przecież: piłkarz Lato, aktor Rewiński, znany detektyw Rutkowski, piosenkarz Cugowski itd. Ja dwukrotnie znalazłem się na liście wspólnie z wybrzeżowym reprezentantem Polski w piłce nożnej, Januszem Kupcewiczem.

- I obaj nie zostaliście wybrani – wtrącił nauczyciel.

- Ale dzięki uzyskanym głosom spełniliśmy rolę „króliczków”. Przeważnie przeszli ci, co powinni przejść.

- Nadal nic nie rozumiem – upierała się żona Franka.

- Zaraz ci to wyjaśnię, ale wróćmy najpierw do tej pierwszej propozycji. Sama niedawno podpowiadałaś – może po kolei.

- Dobrze. Lepiej po kolei – ustąpiła Kasia.

- Polskie Stronnictwo Ludowe publicznie ogłosiło, że na ich liście wyborczej są miejsca dla ludzi bezpartyjnych z różnych środowisk, a sfrustrowane pielęgniarki wręcz wzięli pod swoje skrzydła. Ja na otrzymaną propozycję szybko się zgodziłem...

- Z tego, co wiem, to partia chłopska, bazująca na elektoracie wsi – wtrącił Stanley.

- Prawda tylko po części. Z całej plejady ugrupowań PSL wyróżniała się największą stabilnością głoszonych zasad i rzeczywiście najbardziej była osadzona w chłopskiej tradycji. Ich założenia nie koniecznie do końca musiały się pokrywać z moimi przekonaniami. Moje rozumowanie było nader proste: by dźwignąć gospodarkę morską i nie dopuścić do całkowitego jej zmarginalizowania, potrzebne jest szerokie lobby morskie. Uważałem – i nadal tak myślę - że w każdym ugrupowaniu powinni znaleźć się ludzie morza. Wtedy jeszcze trochę wierzyłem, że rodacy wybierają człowieka, a nie numer na liście. Wierzyłem, że większość kieruje się rozsądkiem.

- A nie jest tak?

- Dopiero analiza dwóch kolejnych startów w wyborach do Sejmu, a w międzyczasie jeszcze kandydowanie do Sejmiku Wojewódzkiego, dały mi obraz, jak te sprawy wyglądają od kuchni. Zapewniam was, że rozsądek w wyborach jest najmniej znaczącą wartością.

- Więc co się liczy?

- Wszystko poza rozsądkiem i logicznym myśleniem.
- Niemożliwe – kręcili głowami Kasia z Frankiem.
- A jednak. Gdy kandydowałem z listy PSL, prezesem Stronnictwa był Jarosław Kalinowski, jeśli się nie mylę z Mazowsza. Na liście mojego Gdyńsko-Słupskiego Okręgu Wyborczego był starszy pan z Chojnic o nazwisku Kalinowski, ale nie Jarosław. Każda lista to ilość mandatów razy dwa. W moim głównie miejskim Okręgu, z 28 osób na liście, przeszła wtedy do parlamentu z PSL tylko jedna osoba, właśnie pan Kalinowski. Po wyborach sprawdzałem ilość uzyskanych głosów przez poszczególnych kandydatów w Obwodach Wyborczych Rumi, Gdyni i Wejherowa. Podejrzewam, że w tych miastach nikt z wyborców pana Kalinowskiego z Chojnic nie znał, ani nawet nie wiedział, ile ma lat, jak wygląda itp., a mimo to uzyskał tu znacznie więcej głosów niż inni kandydaci z tej listy. Nawet w Rumi i w Gdyni, gdzie dużo ludzi przecież mnie znało, miał kilkakrotnie więcej głosów niż ja i pozostali kandydaci. Czy ci, którzy w wymienionych miastach na niego głosowali, zupełnie nie wiedząc, kto to jest – nie widziałem tam również jego jakiegokolwiek plakatu – mogli kierować się w wyborze jakimś rozsądkiem lub logicznym myśleniem?
- Tu chyba rzeczywiście zdecydowała zbieżność nazwiska – przytaknął nauczyciel.
- W następnych wyborach w naszym okręgu była identyczna sytuacja na liście PiS. Do parlamentu został wybrany nauczyciel z Redy, Kaczyński, który poza nazwiskiem nie miał nic wspólnego ze znanymi bliźniakami.
- Może też był znany? – zastanawiał się Franek.
- Ależ skąd. Ja wtedy w wyborach nie startowałem, ale ich przebieg śledziłem i pamiętam dokładnie. Na tej samej liście PiS-u znajdował się vice burmistrz Rumi dwóch kadencji Witold Reclaf. Reclaf był dobrze znany, organizował spotkania wyborcze, miał dużo plakatów i z pewnością poświęcił wyborom wiele serca i środków, ale to i tak nic nie dało. Pokonał go mało znany Kaczyński, który bez wysiłku, bez dużej ilości plakatów, kosztów i straty czasu zdobył więcej głosów dzięki nazwisku.

- Może później sprawdził się w parlamencie? – zaciekała się Kasia.

- Oczywiście. Sprawdził się – zacząłem się głośno śmiać.

Wyspiarze patrzyli na mnie z zainteresowaniem.

- Z czego się śmiejesz, Joe – bąknął Stanley.

- Parlament dotrwał tylko do pół kadencji, a wspomniany poseł z Redy nawet tego nie przetrwał, bo wcześniej wylądował samochodem na płocie po pijanemu. Był głośny skandal i panu posłowi nazwisko już nie pomogło.

- Z tego wynika, że część wyborców nie orientuje się, na kogo głosuje – podsumował Franek.

- Dużo zależy od tego, jaka to jest część – zastanawiał się nauczyciel.

- Słusznie – nawiązałem do myśli Franka i Stana – podejrzewam, że nie jest to drobna część, lecz większość.

- Chyba nie jest aż tak źle – powątpiewał Stanley.

- Początkowo też tak myślałem. Dopiero kandydowanie i aktywny udział w wyborach pozwoliły mi przejrzeć na oczy. Na ogół liczy się nie człowiek, lecz numer na liście, układ listy, przełożenie medialne – chodzi tu o dostęp do radia, telewizji, prasy – oraz ilość plakatów, a nawet płec kandydata.

- Płec kandydata też się liczy? – z ciekawością zapytała Kasia.

- Jeszcze jak! Nawet bardzo się liczy.

- Niemożliwe, by aż tak bardzo – nie dowierzał nauczyciel.

- A jednak. Dwa lata temu byłem kandydatem Platformy Obywatelskiej w wyborach do Sejmiku Wojewódzkiego. Dostałem wysoki, 6 numer na liście, co dla niepartyjnego człowieka było pewnym wyróżnieniem. Podszedłem do wyborów z sercem. Za własne pieniądze wydrukowałem kilkanaście tysięcy ulotek i wiele plakatów. Osobiście sam wręczałem ulotki w ruchliwych miejscach Gdyni, Sopotu, Rumi, Redy, Wejherowa, Pucka, a nawet we Władysławowie i na Helu, bo uważałem, że wyborcy powinni osobiście poznawać osobę, która chce ich reprezentować.

- Słusznie. Bardzo dobrze postąpiłeś – pochwalił Stanley.

- Prawie sam powiesiłem wszystkie plakaty - kontynuowałem. - Po prostu przed wyborami tyrałem dzień i noc. Nie zauważyłem, by ktokolwiek z kandydatów wkładał tyle pracy, co ja. Partyjni działacze mieli do tego całe sztaby, a ja wszystko robiłem sam.

Nie zwracałem wtedy uwagi, ile na całej liście jest pań. Wiem, że nie było ich zbyt dużo. Na ogólnej prezentacji wszystkich kandydatów byłem w mundurze kapitana żeglugi wielkiej. Bardzo mi zależało, by poznać jedną ze startujących kobiet, ponieważ jej miejscem zamieszkania była również Rumia, więc w moim mieście była dla mnie potencjalną konkurentką. Moje zainteresowanie wynikało jeszcze z tego, że wcześniej nic o niej nie słyszałem, a nikt ze znajomych, nawet działacze samorządowych, nie był w stanie cokolwiek mi na jej temat powiedzieć. Wiedziałem o niej tylko tyle, że miała na liście nr 3 i że jest panią profesor.

- I jak? Rozmawialiście z sobą? – dopytywała się żona Franka.

- Pewnie, że tak. Nim jednak do tego doszło, nastąpiło najpierw drobne nieporozumienie.

- Jakie – ponaglała Kasia.

- Nie wiedziałem, kto to jest, więc zapytałem jednego ze sztabowych działaczy, która z pań - podałem nazwisko - jest tą panią profesor z numerem 3. Sztabowiec mi wskazał: to chyba jest ta pani, ale dokładnie też nie wiem, bo nie jest naszą działaczką.

Podszedłem i przedstawiłem się rzekomej pani profesor, dodając, że obydwójce jesteśmy kandydatami z Rumi. Moja rozmówczyni z uśmiechem sprostowała:

- Miło mi pana poznać, ale ja nie mieszkam w Rumi, lecz w Sopocie. Jestem malarką i nie panią profesor...

Rozmawialiśmy jeszcze przez pewien czas. Moja rozmówczyni miała na liście numer 14 i jako artystka po ewentualnym wygraniu wyborów zamierzała zająć się głównie sprawami kultury. Ponieważ mój galowy mundur wskazywał, że na pewno jestem człowiekiem morza, więc zaraz dodałem, że jestem też pisarzem, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i że sprawy kultury są mi równie bliskie. Jako dwie bratnie dusze ze

świata kultury zagadaliśmy się na chwilę. Aniśmy się spostrzegli, gdy dołączyła do nas jeszcze jedna pani. Szybko okazało się, że jest nią właśnie poszukiwana przeze mnie mieszkanka Rumi. Do oficjalnej prezentacji zostało jeszcze trochę czasu, więc w trójkę usiedliśmy na ławce. Teraz już rozgadaliśmy się na dobre, a obie moje rozmówczynie okazały się nie tylko miłe i ujmujące z powierzchowności, ale również mądre, kulturalne i jak na kobiety przystało, skore do rozmowy.

- Tobie też nic nie brakuje pod tym względem – uśmiechnęła się Kasia.

- Aluzję pojąłem – odparłem też z uśmiechem. – Będę się skracał.

- Ależ nie to miałam na myśli. Stwierdziłam tylko fakt – usprawiedliwiała się pani Swujpo.

- Obie moje konkurentki autentycznie miały szczerą chęć, by działać w Sejmiku i dużo dobrych pomysłów, ale do samych wyborów podchodziły z rezerwą i na luzie.

- Może jedynie stwarzały takie pozory – wtrącił nauczyciel.

- Raczej nie. Malarka stwierdziła, że swoją skromną kampanię ogranicza tylko do Sopotu i to do niewielu plakatów, bo z 14 pozycji ma niewielkie szanse. Pani profesor była bardziej pewna swego, choć też nie zamierzała prowadzić dużej kampanii wyborczej. Z rozmowy wynikało, że już wcześniej miała jakieś kontakty z komitetem wyborczym PO i wręcz stwierdziła, że z wyższym numerem na liście nie zgodziłaby się na start w wyborach.

- A jak te ich deklaracje wyglądały później w praktyce? – dociekał Stanley.

- Raczej tak, jak zapowiadały. Plakaty malarki widziałem tylko w Sopocie, a pani profesor ograniczyła się do niewielkiej liczby plakatów na głównej arterii komunikacyjnej od Gdyni do Wejherowa.

- Wiemy, że tobie zabrakło niewielu głosów. A czy te panie przeszły – zapytał Franek.

- Nie wszystko wiecie do końca. Pani z trzeciej pozycji przeszła bezapelacyjnie z dużym zapasem głosów, ale moja pozycja jeszcze była niepewna. Z niektórych obwodów protokoły docierały z

opóźnieniem. Gdy z rana udałem się do sztabu wyborczego PO w Gdyni, pierwszy z zatrudnionych tam pracowników nawet zdążył mi pogratulować wygranej w wyborach. Miałem ponad 4 tys. głosów. Właśnie nadchodziły ostatnie meldunki. Okazało się, że malarka z Sopotu otrzymała trochę więcej i to ona przeszła.

Dostrzegłem konsternację u młodych sztabowców.

- Panie Józefie, przecież tej baby sami nie znamy – zwrócił się do mnie sfrustrowany młody człowiek, który przed chwilą gratulował mi wygranej.

- Co za pech – westchnęła Kasia.

- Sprawdziałem później, gdzie i jaki był rozkład głosów. Najbardziej byłem zaskoczony stosunkowo małym poparciem w Rumi, czego do końca nie potrafiłem wyjaśnić. Prawda, że mieszkałem tu na uboczu, a wcześniej przez całe lata w Gdyni, ale pani profesor zamieszkała w Rumi jeszcze później, a mimo to miała dużo głosów. Wiedziałem, że jako pisarza lokalna prasa w Rumi od dawna mnie blokowała – pamiętacie, jeszcze od tych pamiętnych „wojen” z Urzędem – ale jednak dużo ludzi moje książki przecież czytało. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego lokalna konkurentka, której prawie wcale w mieście nie znali, uzyskała w wyborach tak dobry rezultat. Wyniki obu pań na długo pozostały dla mnie zagadką. Wygraną pani profesor wytłumaczyłem sobie tym, że miała wysoki, trzeci numer na liście. Mandat malarki z 14 pozycji podważał wprawdzie znaczenie miejsca na liście i na razie utwierdził mnie w przekonaniu, że wystarczy mieć duże poparcie w jednym mieście, np. w Sopocie, Rumi lub w Wejherowie i też można wygrać wybory. Oba te wnioski okazały się błędne. O dobrym wyniku obu pań zadecydowała po prostu pleć.

- Z tego, co powiedziałeś, wcale to nie wynika – zaprotestowała Kasia.

- Ja w tym czasie też jeszcze o tym nie wiedziałem. Wtedy moje wnioski - podobnie jak teraz twoje, Kasiu – były chybione. Niestety, właśnie na nich oparłem mój następny start w wyborach do Sejmu w 2007 r. Dopiero po nich pojąłem swój błąd i perfidne zakłamanie obowiązującej ordynacji wyborczej.

- Hmm! Nie bardzo wiem, o co chodzi – wyznała pani Swujpo.

- Nie sposób wyjaśnić to jednym zdaniem. Zrobię to po przerwie. Proponuję chwilę relaksu. Zobaczmy, co dzieje się za oknem. Może trzeba coś załatwić?

- Dobry pomysł – przytaknęli Stan i Franek.

...

Po chwili relaksu i załatwieniu paru drobnych spraw, już odprężeni, wróciliśmy do przerwane go tematu.

- Moje kandydowanie do Sejmu w wyborach 2007 od samego początku było pełne niespodzianek. Nawet nie przypuszczałem, że doświadczę tyle zaskakujących sytuacji. Zaczęło się spokojnie i normalnie. Jest czas wakacyjny. Jak zwykle o tej porze roku stoję ze swoimi książkami na bulwarze Skweru Kościuszki w Gdyni. „Autor prezentuje swoje książki” – widnieje transparent na samochodzie. Tłumy ludzi. Moja marynistyka i trylogia „Powrót na Kresy” zawsze cieszyły się tu dobrym wzięciem. Zainteresowanym przybliżam treść, sprzedaję, dedykuję z autografem. W pewnej chwili podchodzi do mnie znana mi z wyborów do Sejmiku Wojewódzkiego osoba z centrali PO. Przyjacielska wymiana grzecznościowych spostrzeżeń.

- Panie, Józefie, wszystko wskazuje na to, że kadencja Sejmu nie dotrwa do końca. Pan miał taki świetny wynik w wyborach do Sejmiku. Czy możemy liczyć na pańską kandydaturę w wyborach do Sejmu?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Grupka osób, chyba rodzina, zaczęła wypytywać mnie o „Kresy”. Starsza pani wyznała, że 10 lutego 1940 r. została wywieziona na Sybir.

Pytanie sztabowca PO na razie zawisło w próżni.

- To była główna zsyłka – odpowiedziałem starszej pani. - W tym samym czasie, z mojej najbliższej rodziny, od pradziadków w dół, pojechało na Sybir aż 24 osoby...

Podpisałem trylogię. Przy moim stoisku z książkami tłoczyły się następne osoby. W tej sytuacji trudno było rozmawiać o moim kandydowaniu do Sejmu.

- Jutro, koło południa, wpadnę do was do biura. U was o wyborach w spokoju porozmawiamy – zwróciłem się do działacza PO.

Działacz odszedł, byliśmy umówieni, ja zająłem się książkami.

- Hmm! – westchnieniem przerwał Stanley. – Nie dziwię się, że chcieli, byś kandydował. Czegoś tu jednak nie rozumiem. Dlaczego otrzymałeś tak daleki numer na liście?

- Właśnie do tego zmierzam. To jedna z niespodzianek:

Do biura PO przyszedłem w umówionym czasie.

- Panie Józefie. Wiadomo, że pierwsze numery są zarezerwowane dla obecnych naszych posłów. Dla pana do wzięcia jest szósty, siódmy numer zaraz za posłami. Startujemy?

Zgodziłem się. Prawie wygrana w wyborach do Sejmiku zachęcała i dawała nadzieję.

Dalej wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie: rozmowa w biurze była chyba we wtorek, po dwóch dniach nastąpiło rozwiązanie Sejmu, a w piątek z rana udałem się do jednego z zastępców przewodniczącego rumskiego koła PO. Chciałem dowiedzieć się, jaki jest aktualny telefon do naszego prezesa, kiedy będzie zebranie koła i poinformować zarząd o moim zamiarze kandydowania w wyborach.

- Zarząd zbiera się w poniedziałek o 19-tej i wtedy dopiero ustalimy, kiedy będzie zebranie. Z tego, co wiem, nasz prezes zamierza kandydować...

Ta informacja wprost ścięła mnie z nóg. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ktokolwiek z naszego koła zamierzał kandydować w wyborach do parlamentu, a po wyborach do Sejmiku jedynie ja informowałem o takiej ewentualności.

- Poważnie? – zapytałem z niedowierzaniem. - Przecież prezes dopiero co został vice starostą. W centrali okręgu wiedzą, że jestem z Rumi. Nic mi nie wspominali, że ktoś z Rumi startuje. Wręcz odwrotnie, zapewniali mnie, że nikt, bo nawet o to pytałem. O Boże! W co ja się wpakowałem?

Do tej chwili byłem pewny, że z PO tylko ja jestem kandydatem w moim mieście. Po tej informacji stanąłem na

rozdrożu. W tej sytuacji rozmowa telefoniczna z prezesem już nie miała sensu i o numer jego aktualnej komórki nawet nie pytałem. Uzgodziłem jedynie, że za trzy dni zgłoszę się na zebranie zarządu.

- Nieżyły ambaras – pokiwał głową Franek.

- Hmmm! – głośno zastanawiał się nauczyciel.

- Na parking LO w Rumi wjechałem kilka minut przed czasem. Przed bocznym wejściem szkoły stała już grupka członków zarządu, a dwie brakujące osoby właśnie za mną wjeżdżały. Gdy podszedłem, rozmowa ucichła. Nieprzyjazne spojrzenia otoczenia szefa nie wróżyły nic dobrego. Zdążyłem jedynie przywitać się z dyrektorem LO, bo w tym momencie prezes zarządził, by wchodzić do sali.

- Pan też wejdzie na chwilę – usłyszałem skierowane do mnie szorstkie, urzędowe zaproszenie.

I zaczęło się. Prezes koła z oburzeniem poinformował, że bez uzgodnienia z nim zgłosiłem swoją kandydaturę w wyborach. Że wszystko załatwiam poza jego plecami...

- Przecież tobie to zaproponowano – wtrąciła Kasia.

- No właśnie. Chciałem to natychmiast sprostować, nawet już wstałem z podniesioną ręką. Powstrzymał mnie trzask o stół długopisu, który wypadł z dłoni prezesa, przy wykonywanej ze złością gestykulacji. Do reszty moją chęć zabrania głosu w tym momencie pogrzebał pierwszy zastępca prezesa, właściciel jednej z firm pogrzebowych w Rumi, który moje postępowanie określił za lekceważące zarząd, nieodpowiedzialne i wręcz, że „jest to gówniażeria”. Do potoku uwag dwóch pierwszych, jak nikczemne, nieczne, niewłaściwe i niepoważne jest moje postępowanie natychmiast dołączyła trzecia osoba z zarządu z poparciem przedmówców. Teraz dodatkowo otrzymałem kilka pouczeń: nie wolno podejmować żadnych decyzji bez konsultacji z szefem, to zarząd decyduje, kto może startować w wyborach, a kto nie, oraz, że powinienem spoważnieć i zastanowić się na swoim (w domyśle – niecnym) postępowaniem.

Łajano mnie ze wszystkich stron, a ja stałem jak przed pręgierzem. Moje próby sprostowań tonęły w rzece zarzutów i pretensji.

- Czy u was jest demokracja? – nie mógł zrozumieć Franek.
- Dlaczego cię tak sponiewierano? – po mężu z wątpliwościami dołączyła Kasia.

- To chyba jest szerszy problem – zastanawiał się nauczyciel.
– Myślę, że kultura i ogłada polityczna są tu równie ważne. Niemniej jednak, wasza demokracja chyba też nie jest do końca prawdziwa.

Byłem wdzięczny Stanleyowi za to spostrzeżenie, ale na razie tego nie komentowałem. Opowiadałem dalej:

- Wreszcie dorwałem się do głosu. Po wylaniu tyłu pomyj na moją głowę i ja się zdenerwowałem. Takie postawienie sprawy jedynie mnie utwierdziło, by startować w wyborach. Członkiem PO byłem niecały rok (nieformalnie bo deklaracji o przystąpieniu nie podpisałem), bo od wyborów do Sejmiку, ale o partyjnotowarzyskich układach w rumskim kole wiedziałem od dawna. Może właśnie dlatego wcześniej deklaracji członkostwa w PO nie wypełniłem. Wiedziałem też, że początkowo w naszym mieście powstały nawet dwa zwalczające się koła PO, które zarzucały sobie nawzajem, że reprezentują kliki żadne władzy. Jedno później gdzieś przepadło. Nawet nie przypuszczałem, że to, co pozostało, aż do tego stopnia zostało zdominowane przez „samych swoich”.

- Zapewne wygrała mocniejsza klika – wtrącił Stan.

- Nie stawiałbym tak dosłownie tej sprawy, bo w rumskim kole PO poznałem też wielu ideowych ludzi, którym problemy miasta i kraju leżały głęboko na sercu. Faktem jednak jest, że władzę w kole zdominowali ludzie głównie żadni władzy.

- Tak przeważnie w życiu bywa – skomentował nauczyciel - jak ktoś w życiu słabo sobie radzi, to najlepiej wychodzi mu rządzenie.

- Zostawmy ten problem. Najpierw dokończę jednak, jaki był finał zebrania:

- Zarzuty wszystkich panów są bezpodstawne! – w zdenerwowaniu mówiłem raczej ostrym tonem. – Nie zgłaszałem swojej kandydatury poza plecami prezesa i zarządu, lecz mi to zaproponowano z Okręgu. Nie dziwię się tej propozycji, bo Okręg Gdyńsko-Słupski jest najbardziej morskim Okręgiem w Polsce, więc

wypadałoby, by na liście znalazł się przynajmniej jeden przedstawiciel ludzi morza. Ponieważ jestem jeszcze pisarzem, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a wcześniej wieloletnim wykładowcą Akademii Morskiej w Gdyni, to jest już nie dwa, a trzy w jednym. Propozycja padła we wtorek, w środę o niej rozmawiałem w Centrali, gdzie zapewniano mnie, że jestem jedynym kandydatem z Rumi. W czwartek wieczór było rozwiązanie Sejmu, a zaraz z rana następnego dnia zgłosiłem się do pana Janusza (wiceprezes koła w Rumi), by ustalić, jaki jest aktualny numer do naszego szefa, oraz, by dowiedzieć się, kiedy jest jakieś zebranie i o wszystkim powiadomić zarząd. Co mogłem zrobić więcej w ciągu tych trzech dni?

Chyba niepotrzebnie zadałem to retoryczne pytanie, bo natychmiast posypały się kontry. Najpierw z oburzeniem zaczął szef firmy pogrzebowej:

- To dziecinne tłumaczenie. Przed jakąkolwiek decyzją najpierw należało zapytać się prezesa. Przy dzisiejszej technice, to żaden problem dowiedzieć się, jaki jest numer telefonu do vice starosty, czy nawet pójść do niego.

Prezes poparł to – „no właśnie” – a kilka głosów z sali natychmiast mu zawtórowało, na powrót prześcigając się w zarzutach. Najchętniej walnąłbym pięścią w stół, lecz tylko głośno przerwałem:

- Więc jak!? Czy na pytanie człowieka z Okręgu miałem odpowiedzieć: „nie wiem, bo nie pytałem o zgodę prezesa”? A może lepiej było powiedzieć, że nie mam zdania, bo nie wiem, czy pan prezes pozwoli? Nie jestem ubezwłasnowolnionym dzieckiem! Pan prezes też nikogo o nic nie pytał, wysuwając swoją kandydaturę. Od wyborów do Sejmiku wszyscy wiedzieliście, że tamte wybory były dla mnie jedynie próbą przed kandydaturą do parlamentu. O tym stanowisku sam informowałem na tej sali. Wszyscy wiedzieliście o tym! Ponieważ gospodarka morska i sprawy kultury leżą mi głęboko na sercu, więc swojej kandydatury nie wycofam tylko dlatego, że prezes chce kandydować. Będziemy konkurentami. Nie wiem, czy jako kapitana żeglugi wielkiej i pisarz jestem na liście tylko kwiatkiem do kożucha, bo reszta to prawie

sami działacze, na pewno jednak wiem, że o nasze morze i kulturę będę walczył do końca!

- Naraziłeś się – bąknął Stan.

- To prawda. Dalej obradował zarząd, a mnie wyproszone z sali.

- Jak to, „wyproszone”? – ze zdziwieniem zapytała Kasia.

- To normalne. Nie bierz, Kasiu, tego tak dosłownie. Po prostu podziękowano mi za udział w zebraniu zarządu. Ponieważ nie byłem jego członkiem, więc nie mogłem uczestniczyć w dalszych obradach. Co było dalej, nie wiem.

- Teraz rozumiem – wyznała gospodyni. – Sprowadza się do tego samego, choć to jedynie tylko taka delikatna forma wyproszenia.

- Dobrze to ujęłaś – pochwalił żonę Franek. – „Delikatna forma wyproszenia”.

- Możliwe, ale takie są zasady – sprostowałem.

Po krótkiej chwili kontynuowałem:

- Przyspieszone wybory narzuciły wręcz zwariowane tempo całej kampanii. Jeszcze tego tygodnia wezwano mnie do komitetu PO w Gdyni, bym podpisał stosowne dokumenty, jakie są wymagane od kandydujących. Tam mnie poinformowano, że na posiedzeniu Okręgu moja kandydatura została zaakceptowana, a kandydaturę naszego prezesa wykreślono.

- No widzisz – ucieszyła się pani Swujpo.

- Nie wiem, czy to dobra informacja – zapal Kasi przygasił nauczyciel – Teraz Joe w swoim mieście dla komitetu partii stał się wrogiem na całego. Czy mam rację?

- Niestety tak – wyznałem, nabierając w płuca dużo powietrza. – Powiadomiono mnie jednak, że na liście wyborczej będę miał numer nie 6 lecz 20, zapewniając, że jest to bardzo dobry numer:

- Panie, Józefie – perswadował młody pracownik z centrali – tę liczbę łatwo zapamiętać. W pierwszej dziesiątce nie było szans. Posłowie pana atakowali, bo po wyborach do Sejmiku podobno nie pościągali pan na czas niektórych swoich plakatów. 20 to równa,

okrągła liczba, którą łatwo zapamiętać. O wiele lepsza niż jakieś tam kilkanaście.

- Ale 10 jest jeszcze lepsza – wtrąciłem.

- Nie dało się - znów przekonywał pracownik. - Najbardziej znany piłkarz na wybrzeżu, wielokrotny reprezentant Polski ma chyba 18 numer, a to jest trudniej zapamiętać. Mógł pan być na liście na 12, 14, 15 itd., ale 20 to taki okrągły numer. Chyba lepszy niż 18 Kupcewicza?

- 21 – oczko - jeszcze łatwiej zapamiętać – oponowałem. – W tym układzie najlepiej było dać mi ostatni numer na liście, 28, a wtedy byłbym z tego zadowolony.

- A czy nie pomyślałeś wtedy o rezygnacji z kandydowania? – zapytała Kasia.

- Zastanawiałem się nad tym tylko przez chwilę. Bardzo dobry wynik z wyborów do Sejmiku i przykład malarki z Sopotu, która wygrała wybory z równie odległego miejsca był argumentem, by numeru na liście nie przeceniać. Wtedy byłem przekonany, że na liście PO będę sam z Rumi, co rzeczywiście mogło dawać jakąś szansę. Nie wiedziałem, że znajdzie się ktoś jeszcze.

- Mówiłeś, że prezesa koła wykreślili – zastanawiał się Stanley.

- Prezesa nie akceptowali, ale nr 6, ten, który mi obiecywano, w ostatniej chwili otrzymała pewna pani z rumskiego koła.

- Była znana? – dopytywał się Franek.

- Ależ skąd. Nawet ksiądz z jej parafii nie wiedział, kto to jest, a co dopiero całe miasto. Dobrze za to znał ją zarząd, a w rumskim kole PO jej mąż był skarbnikiem. W Gdyni i w całym Okręgu Gdyńsko-Słupskim była wręcz osobą zupełnie anonimową.

- Więc nie miała szans, ale głosów mogła ci dużo odebrać – zawyrokował nauczyciel.

- Też tak uważam – przytaknęła Kasia.

- Jesteście całkowicie w błędzie. By znaleźć się w parlamencie, zabrakło jej niewiele głosów! Otrzymała bardzo dużo głosów w całym Okręgu.

- A to jakim cudem? – zastanawiał się nauczyciel.

- Zupełnie tego nie rozumiem – wyznała Kasia.

- Pocieszcie się, bo ja początkowo myślałem podobnie – roześmiałem się, patrząc na zafrasowane miny przyjaciół. – Wystarczyło, że była kobietą.

- Teraz to ja nic nie rozumiem – z zakłopotaniem stwierdził Stan. – Przecież w wyborach do Sejmu startuje wiele kobiet.

- Ano właśnie, jak z tym jest? Na dwudziestu ośmiu kandydatów było tylko cztery kobiety. Pani Krysia mając nr 6 była pierwszą z kobiet na liście i to wystarczyło. Dalej o wszystkim decydowała tylko pleć. W Gdyni otrzymała bardzo dużo głosów, choć jej nie znano i mimo że nie było tam jej plakatów z hasłem „Kobieta POMOże”.

- Banał, zwykły frazes. Na plakatach są tylko frazesy – zawyrokował nauczyciel. – Jeśli jej nie znano i nie miała w Gdyni plakatów, więc dlaczego na nią głosowali nie wiedząc nawet, czy jest to babcia pod osiemdziesiątkę, czy młoda panienka spod latarni...

- To jest właśnie przykład na to, że czasem, by przejść do parlamentu decyduje numer na liście, czasem pleć bądź odpowiedni układ listy. I to dla sztabów wyborczych przy obowiązującej ordynacji jest głównym obszarem manipulacji. Niekiedy mogą się jednak przeliczyć. Gdyby pani Krysia była choć trochę znana, bądź, gdyby poza Rumią miała część plakatów ze swoją w gruncie rzeczy sympatyczną buzią, na pewno byłaby w parlamencie. Widzisz, Kasiu – zwróciłem się do pani Swujpo - to jest dowód na to, że w wyborach do parlamentu również może decydować pleć.

- Hm – westchnął Stanley. – Jeśli można manipulować wyborcami na wiele sposobów, więc demokracja tak do końca wcale nie jest demokracją.

- Ano tak - przytaknałem.

- Modelu doskonałego pewnie nie ma – kontynuował nauczyciel - ale głosując na człowieka, jak to ma miejsce w ordynacji większościowej, zapewne nie wybiera się osób anonimowych.

- Słuszne spostrzeżenie. Dzięki udziałom w wyborach wiele zrozumiałem. System wyborczy został kiedyś dopasowany do partii kanapowych i rządzącym elitom nie są na rękę jego zmiany. Można

zmieniać nazwy partii, zakładać nowe, a skoro ludzie dają się manipulować, to niby dlaczego beneficjenci systemu mają z niego rezygnować. Zawsze przecież można powiedzieć, że wyborcy mają takich przedstawicieli, jakich sobie wybrali lub takich, na jakich sobie zasłużyli. Możliwość manipulacji dla rządzących elit jest sprawą niezwykle istotną...

- Czy nie jest to zbyt gorzki wniosek? – wtrącił Stanley.

- Taka jest rzeczywistość. W wyborach do Sejmiку otrzymałem dość wysoki numer na liście i o mały włos bym przeszedł. W wyborach do Sejmu mogłem już zagrazać tym, co powinni być wybrani, bo to jednak oni decydują o układzie list, więc by tak się nie stało, mój numer na liście musiał być odległy. Przydzielenie go mojej konkurentce z Rumi miało dodatkowo gwarantować rozproszenie głosów. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę dostęp do mediów i przydział czasu antenowego kandydatów, który całkowicie zależy od centrali – ja nie otrzymałem ani sekundy - to już całkowicie można zwątpić w demokrację.

- Czy tak jest we wszystkich waszych partiach – drażył dalej nauczyciel.

- Podobnie albo jeszcze gorzej.

- A jak teraz układa się współpraca z twoim kołem? Jeżeli zostało ono zdominowane przez „samych swoich” to chyba nieciekawie – zainteresował się Franek.

- Wkrótce po wyborach zamustrowałem na statek i wypłynąłem w morze. Po powrocie coś musiało się kotłować w zarządzie, ale o zebraniu członków koła nawet nie słyszałem, choć z ciekawości na pewno bym poszedł, chociażby dlatego, by z niego się wypisać. Potem wyjechałem z żoną na wczasy na Turecką Riwierę, a gdy wróciłem, dowiedziałem się, że rumskie koło zostało rozwiązane, więc nawet nie było komu tej rezygnacji złożyć. Pod koniec lata skusiła mnie niespodziewana propozycja i znów wyruszyłem na koniec świata, bo do Arktyki i Antarktyki.

- To niezwykle! Bardziej ciekawe niż ta wasza polityka – podchwyciła z entuzjazmem Kasia. - Stan pokazywał nam zdjęcia, które otrzymał emailem...

- Dla Władcy Hebryd polityka musi być ważna – z pretensją w głosie zwrócił się do żony Franek.

Pani Swujpo odruchowo przyłożyła palec do ust, jakby nakazując sobie milczenie.

- Masz rację, Kasiu, już kończę z tymi wyborami. Krótko jeszcze parę uwag. Gdy w Wigilię 2008 wróciłem z Antarktydy, czekało mnie kilka niespodzianek. Najpierw dowiedziałem się, że decyzją zarządu regionu z PO zostali usunięci: były prezes i jego zastępca – właściciel firmy pogrzebowej.

- Ten, który cię zbeształ przed startem w wyborach – głośno przypominała sobie Kasia.

- Właśnie. Potem wyczytałem w gazecie: „Tuż przed Nowym Rokiem do Rumi zawitali najważniejsi politycy Platformy Obywatelskiej w regionie. (...) Spotkanie dotyczyło przede wszystkim sprawy usunięcia 5 członków PO w Rumi ze struktur partii, (...) nazywając sytuację w Platformie Obywatelskiej w Rumi wrzodem, który trzeba jak najszybciej przeciąć”. Żał mi było, że wcześniej nie wiedziałem o tym, bo od Bożego Narodzenia byłem już w domu i na pewno poszedłbym na to spotkanie.

Wyczytałem też, że w styczniu mają się odbyć wybory zarządu w nowych kołach partii w mieście, które przeprowadzi jeden z posłów PO z Gdańska, wyznaczony do tego zadania jako komisarz.

- Więc koleżeńskie układy zostały przecięte – zastanawiał się Stan. – Zapewne sytuacja w kole stała się zdrowa i normalna.

- Wręcz odwrotnie. Powstała sytuacja znacznie gorsza. Stało się coś obrzydliwego!

- A to jakim sposobem? – zdziwił się nauczyciel.

- Z jednego miejskiego koła powstały cztery nowe, a wszystkie po to, by jeden układ towarzyski zastąpić drugim, ale znacznie silniejszym. Na wyborach w moim kole dzielnicowym nie byłem, choć chciałem być, ale z relacji wiem, że miały wilczy charakter.

- Nie rozumiem – stwierdził Stan. – Nie wiem też, dlaczego nie poszedłeś na wybory.

- Zawiadomienie o dacie zebrania otrzymałem trzy dni po czasie. Odkonanie się w sobotę, a do mnie wiadomość dotarła dopiero we wtorek. Na zebraniu było siedmiu członków z dawnego koła miejskiego i dodatkowo przyszło kilkanaście nowych osób – członków klubu sportowego. Klub sportowy oczywiście miał większość, więc dawni działacze, w tym radni miasta, nie mieli nic do powiedzenia. Tak było w dzielnicy Lotnisko. W śródmieściu prezesem został nauczyciel WF powiązany z nowymi licznymi „sportowcami” w PO, a w dwóch pozostałych dzielnicach sytuacja wyglądała podobnie. Rozbicie jednego koła na cztery i wprowadzenie nowych członków pod jednolitym przywództwem spowodowało powstanie superukładu. Nie wiem tylko, czy nadejście do mnie powiadomienia o zebraniu trzy dni po czasie było efektem zamierzonym, czy nastąpiło to z winy poczty, a przecież dobrze znali mój numer telefonu. Należy jednak przyznać, że wszystko było dobrze przemyślane i doskonale zorganizowane.

Efekt „demokratycznego lekarstwa” był taki, że na następnej sesji Rady Miejskiej siedmiu radnych z PO wystąpiło ze struktur partii i zawiązało Klub Radnych Niezależnych.

- To rzeczywiście zbójcka zagrywka – podsumował nauczyciel.

- Nie mówmy już więcej o tym – zdecydowałem.

SIEDZIEĆ W KĄCIE NIE ZAMIERZAM

(W 2019 r. jako kandydat niezależny w wyborach do Senatu miałem dwóch konkurentów - PiS i PO – którzy w swych programach i ulotkach prześcigali się w obietnicach, więc tak zareagowałem, jak poniżej. Był to i wywiad i artykuł dla „Głosu Gdyni”)

Partie prześcigają się w obietnicach wyborczych, która więcej da. Oba wrogi plemiona wprowadzie od lat toczą walkę na śmierć i życie w wojnie polsko-polskiej, ale aż tyle łupów żadne z nich nie zgromadziło, by spełnić te obietnice z partyjnych pieniędzy.

Więc z czyjej to będzie kieszeni i jakie będą tego skutki? Z kieszeni przedsiębiorców, czy społeczeństwa? Cel byśmy więcej zarabiali oczywiście jest jak najbardziej zbożny, ale na drodze obietnic i partyjnych kłótni wyborczych na niewiele się zda. Partyjni fani jednych i drugich przyjmują te „programy wyborcze” bezkrytycznie i z radością, ciesząc się z obietnic.

Ja po zarejestrowaniu się jako kandydat na senatora z Gdyni i powiatu puckiego mam w programie kwotę nie do przebicia i na pewno bardziej pewną. Zaletą tej mojej propozycji jest również to, że nie będzie to z czyjejś kieszeni, że nie spowoduje inflacji, a wręcz odwrotnie. Po prostu są same superlatywy i świetlana przyszłość dla moich wyborców! W spadku od Onufrego Zagłoby otrzymałem bowiem nie tylko Inflanty, ale również Niderlandy. Testament jest prawomocny więc po sprzedaży lub oddaniu w lenno tych bogatych ziem pieniędzy wystarczy, by każdy pracujący w Gdyni i w powiecie puckim otrzymał stały dodatek do pensji 10. 000 zł, a emeryci dodatkowo po 5.000 zł każdego miesiąca. To spowoduje, że w Okręgu Wyborczym 64 do Senatu bezrobocie będzie zerowe, bo każdy będzie chciał pracować, by takie pieniądze otrzymać. Przedsiębiorcy przy tak wielkiej chęci do pracy będą rozwijali swoje najśmielsze marzenia, bo przecież te wysokie zarobki nie będą ich kosztem. Gdynię, Puck, Władysławowo i Hel czeka okres rozwoju znacznie większy, niż było to w latach dwudziestych i trzydziestych razem wziętych. Pieniądzy wystarczy też na ściągnięcie lekarzy z Białorusi i Ukrainy, by całkowicie zlikwidować w Okręgu 64 kolejki do lekarza.

Nie wiem tylko, jak pokonać państwową biurokrację, bo to jest głównie domeną Sejmu, ale w Senacie będę o tym nieustannie monitował. Ubolewam tylko nad tym, co mówi wielu młodych i wyjeżdża za granicę: - „W Polsce po prostu żyć się nie da i nie ze względu na zarobki, ale ze względu na biurokrację. Jest absurdalne prawo, a niemal każdy urzędnik robi wszystko, by pokazać jaki on jest ważny. Po prostu mentalność „czynownika” i w tym bałaganie prawnym nadal kwitną komunistyczne nawyki”.

W swym krótkim programowym zarysie nie wspominam o gospodarce morskiej, o kulturze i o Polonii za granicami kraju, bo to

jest oczywiste i zapisane w wielu moich książkach. Nie ulega wątpliwości, że jako komandor, kapitan żeglugi wielkiej, wieloletni wykładowca i starszy wykładowca Wyższej Szkoły Morskiej (obecnie Uniwersytet Morski) w sprawach problematyki morskiej jestem bardziej obeznany od każdego posła i senatora. Jako aktualny prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Gdańsk i członek Zarządu Głównego SPP w Warszawie też mam pełne rozeznanie w bolączkach kultury. Gdy dodam do tego, że jestem świetnie rozeznanym w tematyce historycznej (napisałem sześć książek o tej tematyce, z czego po trylogii „Powrót na Kresy” była prostowana encyklopedia, posiłkowane dwie prace magisterskie, a nawet zapoczątkowana praca doktorska, z kolei po napisaniu trzech książek o tematyce kaszubskiej otrzymałem nagrodę literacką, gdzie dwie z nich zostały zakupione jako lektura do szkół) to moje spektrum kompetencji i w tych zagadnieniach jest nie do osiągnięcia dla większości polityków zasiadających od lat w Sejmie i w Senacie. Często dziwię się i nie mogę zrozumieć, dlaczego Polacy wybierają za swych reprezentantów do parlamentu numery na listach, „bilbordowych celebrytów”, którzy przez wiele kadencji oprócz „pierdzenia w stołek” i gadania frazesami żadną inną pracą się nie splamili.

Zakończę krótko parafrazując Sztaudyngera, co zawsze będę przestrzegał:

- 1. - „nie należy mieć za drania tego, który jest innego zdania”, a po drugie, w Senacie zgodnie ze swoją naturą będę zawsze kierował się rozsądkiem, dobrem Ojczyzny i Polaków,

- 2. - „siedź w kącie, przysraj cię” – ten cytat Sztaudyngera na szczęście mnie nie dotyczy, bo zawsze w swym życiu miałem odwagę i luksus własnego zdania, więc siedzieć w kącie nie zamierzam.

Pisarz, wydawca, dziennikarz

(Pierwsza moja książka „Prezydent Hebryd” została napisana i wydana w 1995 r., a więc teraz w roku 2020 jest mój jubileusz 25-lecia twórczości. Nim „Cząstka z pamiętnika” ukaże się drukiem jako czternasta z moich książek zaczne 75-ąte urodziny, a więc też jubileusz. Moje pisanie chyba było przypadkiem i jak wszystko w moim życiorysie z „kłodami pod nogi”. Do członkostwa w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w Oddziale Gdańsk odmówiono mi rekomendacji i znów musiałem walczyć o swoje. Na podstawie moich pierwszych książek wbrew decyzji Oddziału Gdańsk (bo nikt tam mnie nie znał), zostałem przyjęty przez Zarząd Główny SPP w Warszawie, chociaż tam też nikogo nie znałem. Dziś jestem prezesem SPP w Gdańsku i członkiem ZG SPP).

Z trzynastu moich książek w zasadzie tylko trzy historyczne o tematyce kaszubskiej nie są związane z moją biografią. Trylogia „Powrót na Kresy” była podczas pisania nie tylko odkrywaniem białej plamy w historii Polski, ale też odkrywaniem losów rodziny ze strony ojca – 24 osoby zesłane na Sybir 10 lutego 1940 roku, a z niezesłanych 16 osób zamordowanych w mordach na Ukrainie.

Różna narracja, forma, a nawet różny język są tylko częścią z mojego pamiętnika. W „Kresach” są niezwykle fragmenty z pamiętnika cioci Władzi, wspomnienia ojca, dziadka i innych członków rodziny zapamiętane, nagrane i zapisane – uratowane od zapomnienia. Czasem trudno było mi pisać wszystko wprost, bo nie chciałem nikomu „nadebrać na odcisk”. Właśnie dlatego pisałem jako Józek, Franek lub Staszek. Z trzema nazwiskami u mężczyzny jeszcze większy problem.

Dziś prawie nikt z rodziny ze starszego pokolenia już nie żyje, więc pewne uwagi zapisane na wstępie do opowiadań kursywą są dodatkowym wyjaśnieniem, dlaczego napisałem tak, jak napisałem wcześniej, choć nie wszystko zawoalowane jest już odkryte.

W ciągu 25-ciu lat wydałem 15 tytułów książek (tylko dwie nie mojego autorstwa) o łącznym nakładzie około 40 000 egz. Od wielu lat mam działalność gospodarczą „Sprzedaż własnych książek” i sam, bez pośrednictwa księgarni i hurtowni, sprzedałem

ich około 30 000! Książki wydawałem zazwyczaj za własne pieniądze, a sprzedana edycja finansowała następne wydanie (*Morze, saksy i Dar Młodzieży to 9 wydań, a każde nie mniej niż 1000 - 1500 egz.*).

Najbardziej jestem dumny z książek o tematyce historycznej. Trylogia „Powrót na Kresy” ukazała się, gdy min. kultury była Aleksandra Jakubowska i gdy wtedy ten temat poniekąd nadal był tematem tabu, by nie nadebrać na odcisk Ukraińcom i wielkiemu bratu ze wschodu. Po jej wydaniu żadne media nie poświęciły jej nawet kilku słów z różnych względów: - Warszawa temat tabu, - w Gdańsku szefową telewizji lokalnej od spraw kultury była żona jednego ze znanych pisarzy, a że moje książki rozchodziły się wtedy lepiej niż jej męża, to szlaban był oczywisty, - W Rumi było jednak najgorzej, bo dla urzędu byłem poczytywany jako wróg, któremu nawet na festynie miasta nie było wolno jako mieszkańcowi Rumi prezentować swoich książek!

Przetrwiałem wszystko. „Powrót na Kresy” był wydany kilka razy, a same biblioteki warszawskie zakupiły 90 kompletów. W sumie do czytelników trafiło blisko 11 000 egz.

Więcej szczęścia i uznania przyniosły mi „Kaszubskie losy”. Za pierwszy tom otrzymałem Nagrodę Literacką i statuetkę Gry Pomorskiego. Drugi tom rozchodził się jak burza. Oba tomy były też zakupione przez lokalne samorzady jako lektura do szkół. Podczas „wodowania” książki na Darze Pomorza prezes Zrzeszenia Kaszubsko Pomorskiego powiedział: „Nam Kaszubom może zabrakło śmiałości, może odwagi i dopiero Góral musiał napisać historię Kaszub”. W mediach o wodowaniu książki na Darze Pomorza pojawiły się doniesienia: „Takich tłumów na wodowaniu książki kpt. ż. w. Józefa Franciszka Wójcika nie było od czasów kapitana Borchardta”. Po kilku felietonach do „Pulsu Kaszub” wręczono mi legitymację dziennikarską, byle tylko dalej pisać jako dziennikarz.

Wiosną 2020 podczas pandemii na stronie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział Gdańsk (*stronę prowadzę od wielu lat*) założyłem folder „Nasze książki w PDF”. Wkrótce doszło do współpracy z portalem „Głos Gdyni” i to co zamieściłem na stronie sppgdansk było powielane ze wzbogaconą grafiką na Głos Gdyni-

Biblioteka kwarantanna. Wprowadzenie do folderów było następujące:

„Siedzimy w domu, więc sięgnijmy po książkę. To tak łatwo i bezpiecznie zrobić przez Internet. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Gdańsk przy współdziałaniu z portalem Głos Gdyni otwiera strony publikujące książki do nieodpłatnego pobrania. Na tej stronie publikujemy książki członków SPP Gdańsk w formie elektronicznej do bezpośredniego czytania, by w tych dniach rygorów związanych z korona wirusem pomogły Wam przetrwać ten trudny czas”.

Na powyższych stronach jest dziewięć moich książek.

Szybko ta idea przekształciła się w ogólnopolską. Dziś pod koniec listopada 2020 jest to ponad 50 pozycji autorów z całej Polski, a nie tylko członków SPP Gdańsk. Jest to już ponad 150 000 wejść czytelników (w Bibliotece kwarantanna każda książka ma swój licznik), co jest bez wątpienia ogromną popularyzacją czytelnictwa.

Poniżej fragmenty z książkowymi perypetiami po wydaniu pierwszej książki, z bardzo osobistymi wspomnieniami już mniej ukrytymi, kilka felietonów dziennikarskich i nie tylko.

Gdy napisałem pierwszą moją książkę, zupełnie nie miałem pojęcia co to ISBN, jak funkcjonuje rynek książek, a nawet co kryje się pod słowem „wydawca”. Tytuł „Benbekula” w ostatniej chwili przed oddaniem do druku zmieniłem na „Prezydent Hebryd” – to skojarzenie z polską rzeczywistością hybrydy na Hebrydach. A więc coś, czemu chciałem zaprotestować.

Zapłaciłem za druk 2 000 egz. i w ogóle nie wiedziałem, że książka by ją sprzedać i oddać do hurtowni, musi mieć numer ISBN. Dowiedziałem się, że numery ISBN dla wydawnictw przydziela Biblioteka Narodowa. Ale jak to uzyskać?

Znów musiałem walczyć. Z wydrukowaną książką w rękę udałem się do biura ISBN w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Panie tam pracujące podeszły do mnie z życzliwością. Sprawdzały dokładnie przepisy jak wybrnąć z tej sytuacji. Numer ISBN mógł być na odpowiedniej stronie naniesiony przez pieczętkę, lub być wydrukowany na obwolucie książki. Bym jednak mógł to zrobić, najpierw muszę mieć przyznaną pulę numerów ISBN jako wydawca.

Wypełniłem wszelkie dokumenty i tym sposobem stałem się wydawcą.

I znów przypadek! Kilka godzin wcześniej nie bardzo wiedziałem co to numery ISBN, a po uporczywej walce pokonania tego wymogu stałem się wydawcą z początkową pulą 10 numerów dla wydawanych książek. *(Do 2020 r. wydałem 15 tytułów książek w sumarycznej ilości 35-40 000 egzemplarzy).*

- Franek, czy ty w życiu cokolwiek osiągnąłeś bez walki i przez przypadek? – zapytał Józek.

O wiele rzeczy walczyłem i czasem bez efektów, ale o wielu sprawach pomógł mi jednak przypadek.

Od razu w Warszawie zrobiłem pieczętkę z moimi numerami wydawcy i część książek chciałem zostawić w księgarniach, ale to był dopiero początek trudności.

...

Miałem tę pieczętkę z numerami ISBN, wróciłem do Gdyni i nowe problemy. By wystawić rachunek, musi być zarejestrowana działalność gospodarcza, potrzebna pieczętka firmy, bloczek z rachunkami, dokumentacja przychodów i rozchodów, muszą być określone formy uregulowań z fiskusem i cały szereg biurokratycznych budżetów, o których nie miałem zielonego pojęcia. Książek niewiele sprzedałem, znacznie więcej rozdałem i tylko trochę zostawiłem w księgarniach z adnotacją „Płatne po sprzedaży z prawem zwrotu”. Musiałem wracać do Mielca i Warszawy.

W hurtowni w Warszawie książki były już osteplowane numerami ISBN, ale był zły rachunek, który dało mi wydawnictwo drukujące książkę. W Mielcu taki sam rachunek co prawda zaakceptowali, ale należało wszystkie egzemplarze osteplować. Wziąłem więc książki, dwie pieczętki i znów w drogę. Mówię ci, Józku, same kłopoty!

- Przecież miałeś już wszystko.

- Mnie też tak się wydawało, bo ciągle za mało jeszcze znałem tajniki dystrybucji książek. Nie wiedziałem, gdzie są hurtownie, nie znałem rynku, nie zdawałem sobie sprawy z roli reklamy. Słowa starego księgarza - „niech pan pokaże okładkę” - były jak wyrocznia i najczęściej kończyły wszelkie transakcje, które nawet gdy do tego

doszło, miały tylko jedną formę – „płatne po sprzedaży z prawem zwrotu”.

Franek wyraźnie wzburzył się i rozkręcił w mówieniu.

- W Rzeszowie wlepili mi mandat, a koło Opatowa drugi. Przy tym pierwszym, aż krew się we mnie zagotowała! Wiesz, jak to jest w obcym mieście, kiedy szukasz miejsca, które pokazano ci na planie miasta. Jadę wolno i odczytuję nazwy ulic. Wreszcie nazwa się zgadza. Skręcam zadowolony - razem z jadącym przede mną samochodem - i stopuje mnie policja. Zupełnie nie wiem dlaczego! Pokazują znak. O Boże, wjechałem pod prąd!

Dlaczego mnie zatrzymali, a poprzednika - który po następnych kilku metrach wjechał w bramę - przepuścili? – przeleciało mi po głowie.

Starszy z policjantów zaczął wypisywać mandat, taki ze średniej półki.

- Panie władzo, zagapiłem się. Przepraszam. Patrzyłem na nazwy ulicy, bo nie jestem stąd, a jak zobaczyłem, że to właściwa ta i że skręca w nią samochód, więc odruchowo za nim pojechałem. Zagapiłem się. Po co od razu taki duży mandat?

Starszy z niewzruszoną miną dalej pisał, ale włączył się młodszy:

- Ten, co jechał przed panem, ma tu sklep i jak ostrożnie wjechał te kilka metrów, żeby zaraz stanąć, to nic się nie stało. Po co ma objeżdżać za każdym razem kilometr dookoła? A pan to co innego. Pan chciał jechać pod prąd!

- Młodzian mówił to z przekonaniem, wskazującym raczej na naiwną dobroduszość.

Ponieważ, w międzyczasie, zauważyłem, że moja księgarnia znajduje się dokładnie po drugiej stronie owego sklepu, więc jeszcze raz spróbowałem nakłonić stróżów prawa, by również i mnie potraktowali z wyrozumiałością.

- Panie władzo, jadę nie dalej, jak do tego sklepu. To jest ta księgarnia. Ja chciałem zostawić tam parę książek, których cena jest kilkakrotnie mniejsza od tego mandatu.

Młodszy policjant bąknął coś pojednawczo, że ten mandat mogą cofnąć. Potakująco kiwnął głową.

Zadowolony z wyrozumiałości i ludzkiego podejścia stróżów prawa tym bardziej starałem się znaleźć prawne rozwiązanie mojego gapiostwa:

- Te kilka kroków to ja już podejść, by nie nadużywać prawa, a samochód chyba mogę tu zostawić? – mówiłem rozglądając się za znakiem „zatrzymywania i postoju”. Tak, mogę stanąć tu lub cofnąć i zatrzymać się za rogiem, bo widzę, że i tam wolno stać.

Starszy ciągle nic nie mówił, a młodszy nadał potakiwał pojednawczo.

- Panowie są tacy mili – powiedziałem całkowicie przekonany do tego, co mówię, wyciągając dwie książki. – To dla panów w dowód wdzięczności i na pamiątkę, że przydarzył się wam taki gapa.

I wtedy stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewałem!

Młodszy wziął do ręki książkę, a gdy upewnił się, że jestem autorem, poprosił o autograf. Ten starszy najpierw przekartkował, potem potrząsnął jeszcze grzbietem do góry, jakby sprawdzając, czy nie zostawiłem tam jakiegoś bonusu. Jego twarz stawała się coraz bardziej groźna, aż się zaczerwienił i ze złością ryknął:

- Patrz, Tadziu! Jakies ścierwo przyjechało z Wybrzeża i policjantów chce przekupywać! Jakąś propagandę rozwozi! Podwójny mandat! Do prokuratora, za obrażanie władzy!

Stałem jak wryty. Zamurowało mnie na amen.

Starszy miotał się – zaczął Franek, po głębokim nabraniu powietrza – coś tam jeszcze wrzeszczał ...

- Bo chciał w łapę coś konkretnego, a nie książkę – wtrącił Węgrzyn.

- Może i tak – zgodził się Strzelczyk – ale co ja miałem zrobić? Nigdy nie brałem ani nie dawałem łapówek, a co dopiero w takiej sytuacji.

- No tak. Powstała głupia sprawa – przytaknął mechanik.

Franek mówił dalej:

- Funkcjonariusz najpierw przedarł na pół – to co wcześniej napisał - potem krzyknął: „podwójna stawka”! Sumę poprzedniego mandatu pomnożył przez dwa, a jak zreflektował się, że tak wysokiego mandatu, zgodnie z prawem nie ma w swoich kompetencjach, warknął gniewnie: - najwyższa stawka!

- I co zrobiłeś? – żywo zareagował Węgrzyn.

- Nie zapłaciłem.

- Trzeba było nic nie podpisywać.

- Nic nie podpisywałem.

- I co?

- Wypisał nowy mandat, z najwyższą stawką. Rzucił książką na siedzenie samochodu, aż się rozpirzyła, a mandat położył na tablicy rozdzielczej wewnątrz.

- I co? – niecierpliwili się Józek.

- Najpierw pojechałem do hurtowni książek „Nova”, bo obawiałem się, że mogą pracować tylko do piętnastej, a potem na najbliższy komisariat policji. Dyżurny mnie wysłuchał. Potem na podstawie mandatu stwierdził, że ten funkcjonariusz nie był z tego posterunku i przyznał, że jego kolega nie powinien się tak zachować, aczkolwiek ja na mandat zasłużyłem, bo wjechałem pod prąd. Doradzał udać się na właściwy komisariat, ale jednocześnie pouczył, że za odmowę zapłacenia mandatu będzie kolegium, na którym mogą mi wymierzyć jeszcze większą karę. Z jego informacji wynikało, że komisariat, gdzie powinienem się udać, jest dość daleko i wcale nie jest mi po drodze w stronę Mielca. Dyżurny policjant był na tyle uprzejmy, że telefonicznie skontaktował się ze swym kolegą z tamtego posterunku i przedstawił mu moje żale. Otrzymałem zapewnienie, że obaj dyżurni wpłyną na „mojego przyjaciela, miłośnika książkowych wkładek”, aby mandat anulował.

- Jednym słowem, udało ci się – dokończył Węgrzyn.

- Nic się nie udało! Gdy po dwóch dniach jechałem z Mielca do Warszawy, znów policyjna przygoda. Koło Opatowa zatrzymali mnie „radarowcy”, bo zamiast 40 miałem 60, a stali tak zamaskowani, że ich nie widziałem. Nie powiem, ci byli grzeczni. Na mandat zasłużyłem, więc z opuszczonymi uszami przyjąłem kredytowy.

- To przysłali ci dwa?

- Przysłali jeden, ale nie mnie. Gdzieś po czterech miesiącach wypląnałem na pół roku. Pod moją nieobecność - chyba dwa

miesiące po wypłynięciu - ku przerażeniu żony do domu przyszedł komornik, by ściągnąć rzeszowski mandat.

- Od razu komornik?

- A tak! Też tego wcześniej nie wiedziałem, że taki jest tok postępowania. Ten mandat z Opatowa jednak nigdy nie przyszedł.

- Czyli odwrotnie niż powinno być – zauważył Józek.

- Też bym tak wolał!

...

Już po powrocie Zelenta, ale jeszcze przed obiadem, Franek opowiedział kilka dalszych szczegółów z książkowych kłopotów:

- Ten problem kolorowej okładki ciągle się powtarzał. „Niech pan pokaże okładkę” zaczęło mnie coraz bardziej wkurzać. I to nie wcale dlatego, że najczęściej na tym kończyły się moje transakcje, ale dlatego, że to było podstawowe kryterium wartości książki. A ja wtedy w „Benbekulę” wierzyłem.

- A dlaczego miałbyś nie wierzyć?

- Oj, Józek, Józek! Po tylu kłopotach odechciało mi się w cokolwiek wierzyć. Na razie jednak ciągle ich przybywało, klęska poganiała klęskę. Ja już nawet nie chcę ci opowiadać, ile musiałem znieść słownych upokorzeń, bo to nie należy do przyjemności. Chociaż niektóre przykrości z dystansu wyglądają całkiem zabawnie. Na przykład ta: - „To pana książka? Nie wygląda pan zbyt inteligentnie. Ona mnie nie interesuje”.

Franek uśmiechnął się. Chciał sobie przypomnieć inteligentną twarz swego niedosłego czytelnika, ale na próżno. Pamiętał okoliczności, sytuację, a nawet jasny, letni garnitur mężczyzny w średnim wieku. Gdy jednak skupił się na głowie, zamiast ludzkiej twarzy, widział czarną dziurę.

- Widzisz! Ja „Benbekulę” traktowałem jak swoje dziecko. Chyba tylko dlatego znośiłem z pokorą wszelkie przykrości, których ten wyrodny dzieciak mi nie oszczędzał.

Węgrzyn nie przeszkadzał w zadumie Franka.

- W Warszawie siostra Marysia doradziła mi zrobienie kolorowej obwoluty. Jako główna księgowa wydawnictwa ... wzięła na siebie wszystko, by obwoluta była wykonana profesjonalnie i tanio. Ja miałem dostarczyć projekt tekstu i kolorowe zdjęcie

niebieskiego pierwowzoru na okładce. Wróciłem do Gdyni i do Rumi.

Wtedy nieoczekiwanie nadeszła pierwsza miła niespodzianka. Przyszła, jak letnia burza, która zmywa kurz i wszystkie brudy, odświeżając powietrze. Choć jestem twardy i wytrwały w postanowieniach, nie wiem, co by było z „Benbekulą” bez „Dziennika Bałtyckiego”. Drugiego paszkwilu, podobnego do mieleckiego, chyba bym już nie zniósł. Nawet wyjątkowy upór skrzyżowania Górala z Kaszubem – jak mi ktoś kiedyś powiedział – nic by tu nie pomógł.

- Tak ci ktoś powiedział? – rozweselił się mechanik.

- No, jo! Chocież jo ani Górol, ni rychtyk Kaszeba. Po prowdze, to musioł be bec jakiś szederca. Taczi ze mnie Górol z młerza, jak Kaszebe z Małopolski – zaśmiał się Strzelczyk.

Nastrój Franka wyraźnie się poprawił.

- „Benbekulę” zostawiłem w kilku redakcjach u redaktorów zajmujących się książkami i kulturą. Nikogo z nich nie znałem, a że był to wakacyjny sezon ogórkowy, więc czas dziennikarski na czytanie jakiejś tam książki był zbyt cenny. Po prostu kłapa!

Tą ożywczą burzą, która wprowadziła w moją przestrzeń tyle ozonu, był artykuł Henryka Tronowicza w dodatku kulturalnym „Rejsy”. Już nie pamiętam, kto mi zwrócił uwagę na ten numer „Dziennika”, gdyż sam przestałem szukania czegokolwiek na temat książki. Po okropnościach „Recenzji i cenzurek” wolałem oszczędzić sobie nerwów. Człowieka jest łatwo zranić, trudno jest być człowiekiem. W artykule „Święta Góra Benbekula” było inaczej, tutaj płynął po prostu miód. Nie dziw się, Józku, że tak to nazwałem. Po długim okresie goryczy potrzebowałem choć trochę ludzkiego uczucia. W tym artykule znalazłem coś więcej. Oprócz zrozumienia i aprobaty dla moich poglądów – w co święcie wierzyłem – znalazłem również uznanie dla koncepcji książki i jej wartości literackiej.

Tronowicz wyraził to bardzo pięknie: - „jeśli na naszym globie można wyróżnić sto miejsc najbardziej zagadkowych i tajemniczych, jak Trójkąt Bermudzki czy – znana z głośnego australijskiego filmu – Wisząca Skała, to z pewnością trzeba do nich

zaliczyć też wyspę i zatokę Benbekuli”. Redaktor dostrzegł też mankamenty „zakrojona pomysłowo, ale w językowym warsztacie - amatorska” i podszedł do tego ze zrozumieniem – tak jak prawy człowiek - bez zadawania ran, a nawet z pociechą: - „toć nie tak dawno temu, takiemu Miłoszowi to również nie przeszkadzało, przeciwnie, w prostocie wyrazu dopatrywał się wartości odświeżających”.

Najszybciej, jak było to tylko możliwe, poszedłem podziękować panu Tronowiczowi, choć tak naprawdę, nie przypominałem sobie wtedy, czy go spotkałem. Musiałem się pytać w redakcji - by znaleźć - gdzie on ma swój pokój i jak wygląda, gdyż w ferworze latania po redakcjach całkowicie straciłem rozeznanie, gdzie kto jest.

Moja „Benbekula” u pana redaktora była bardzo pobazgrana. Miała zaznaczone całe fragmenty, podkreślone myśli i niektóre zdania. Nie miałem złudzeń, książka na red. Tronowiczu autentycznie wywarła duże wrażenie.

To on poradził mi i pokierował, by „Benbekulę” przesłać na konkurs „Media Książce” organizowany przez Dziennik Bałtycki, TV Gdańsk i Radio Plus.

To był przełom.

- Więc przyszedł sukces – zauważył Węgrzyn.

- O nie! To był tylko chwilowy przełom, chociaż posypało się kilka przyjemnych akcentów: red. Piotr Świąc zrobił ładny wywiad w telewizji, red Sobecka w Radiu Gdańsk, a trochę później sympatyczną audycję wyemitowało Radio Rzeszów. „Benbekula” spodobała się też w radiowej Trójce.

- A mówiłeś, że to takie wyrodne dziecko.

- Bo właśnie w sumie tak to było, mimo że nie wymieniałem kilku dalszych przyjaznych notatek prasowych z różnych gazet. Ja, Józku, odwiedziłem wtedy wiele redakcji. I to nie tylko na Wybrzeżu i w Warszawie. Sam nawet nie wiem, skąd miałem na to tyle siły.

Franek coś sobie nagle przypomniał.

- Raz byłem w Warszawie na spotkaniu z około czterdziestoma redaktorami najróżniejszych gazet.

- Aż tak dużo? Z jakiej to okazji? – zdziwił się Węgrzyn.

- To było dla mnie również interesujące – uśmiechnął się Strzelczyk.

Zbliżający się obiad i jakieś sprawy służbowe przerwały dalszą rozmowę.

- Dokończę ci to po kolacji – zaproponował Franek.

*

Chiefowie spotkali się ponownie w kabinie Węgrzyna, która była mniej rozgrzana po upalnym dniu. Gospodarz zatroszczył się, by i teraz nie zabrakło lodu, bo po poprzednim razie butelka Grant'sa nadal była pełna w trzech czwartych.

Franek popatrzy na kolegę, nalewającego whisky do szklanki i uśmiechnął się, przypominając sobie podchorążackie czasy w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej.

- Wiesz, Józku! Już drugi dzień zasiadamy do tej samej butelki i niewiele z niej ubyło ...

- Bo dużo lodu, a za mało płynu – wtrącił Węgrzyn.

- I dobrze! Ale nie o to chodzi. W wojsku miałem takiego dowódcę kompanii, upierdliwego abstynenta, który przez pół godziny mówił „dwa słowa” na temat alkoholu – kontynuował Strzelczyk. – Kiedyś, po jakiejś rozróbie któregoś z kolegów, przyznał się, że też czasem wypije. I przytoczył przykład umiaru: - „Wódkę należy umieć pić! Ja też nie wylewam za kołnierz! Np. wczoraj były imieniny mojej żony, przyszło sześć koleżanek i wypiliśmy ćwiartkę wódki. Kobiety miały już dość! Ale ja czułem się znakomicie!”. Wydaje mi się, Józku, że mój dowódca kompanii byłby z nas dumny.

- Szkoda, że nie mamy sześciu koleżanek – zażartował mechanik.

- No to, zdrowie naszych osobistych koleżanek!

Koledzy przez jakiś czas wesoło wspominali dawne czasy.

- Mówiłeś, że byłeś na spotkaniu, w którym uczestniczyło około czterdziestu redaktorów – przypomniał Węgrzyn.

- A tak! To była Giełda Wydawców w Warszawie. Mówiłem ci już, że odwiedzałem wiele redakcji. Właśnie jeden z dziennikarzy - siedzący w sprawach książek po uszy – poradził mi zainteresować

„Benbekulą” Giełdę Wydawców. Mnie zaciekało, że na prezentację, która odbywa się raz w miesiącu, są zapraszane „z urzędu” wszystkie redakcje kulturalne gazet - i to nie tylko ze Stolicy. Zakwalifikowane do Giełdy kilka książek ma miejsce na specjalnej wystawie w księgarni, stoją tam przez miesiąc i na bieżąco jest prowadzona ich sprzedaż. Podczas spotkania z dziennikarzami na sesji Giełdy, zakwalifikowane książki prezentuje ktoś z wydawnictwa, często jest to spotkanie z autorem, a czasem robi to nawet wynajęty aktor.

- To świetna możliwość promocji i chyba nie za darmo? – zainteresował się Józek.

- Coś się płaci, ale nie wiem ile.

- Już zapomniałeś ile? – zdziwił się gospodarz.

- Nie płaciłem

- Jak to? – nie dowierzał Węgrzyn.

- By książkę dopuścić do wystawy najpierw ktoś ją przegląda. Gdy oddałem „Benbekulę”, nie wiedziałem, czy ją przyjmą. Oddawałem bez przekonania. Jako pozycją „egzotycznego wydawcy i autora” zainteresował się nią sam szef dr red. Górny. I właśnie on wziął ją do czytania. Wyobraź sobie, że po jakimś czasie otrzymuję powiadomienie, że mam się zgłosić na miesięczną Giełdę Wydawców, by uczestniczyć w prezentacji.

- A jednak! Z pewnością ucieszyłeś się z tego?

- Oczywiście! Tym bardziej, gdy przeczytałem plan spotkania. Już samo towarzystwo było interesujące! Zobaczyłem, że mój kopciuszek, tak sponiewierany i opluty przez mojego rodaka, znów został doceniony.

- A widzisz! – podniecił się Węgrzyn.

- Było prezentowanych siedem książek, każda z innego wydawnictwa. Konkurenci wspaniali: Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Apus, Prószyński i S-ka, Anta, ja z moją „Benbekulą”, Ośrodek Badań Społeczno-Kulturowych Towarzystwa Zachęty Kultury w Katowicach oraz Wiedza i Życie.

- Rzeczywiście interesujące towarzystwo – potwierdził mechanik. – I jak wypadłeś?

- Szok! W zasadzie po dwakroć szok!

Twarz Węgrzyna spoważniała i przygaśla. Obawiał się najgorszego, bo Franek wypowiedział to stanowczo, z dziwną powagą i jeszcze przez chwilę w skupieniu porządkował myśli.

- Józku, głowa do góry! – zreflektował się Strzelczyk, gdy zobaczył zmartwioną minę kolegi. – Tam nie było przykrości dla „Benbekuli”, a nawet odwrotnie.

Starszy mechanik odetchnął z ulgą.

- To czego mnie straszysz! – zaprotestował.

- Sorry! To efekt czysto przypadkowy, gdyż naprawdę byłem tam zaszokowany.

Strzelczyk rozweselił się i po chwili opowiadał dalej:

- Przybyłem trochę wcześniej, ale z red. Górnym zetknąłem się dopiero tuż przed rozpoczęciem prezentacji, gdy na korytarzu roilo się już od ludzi. Redaktor zobaczył mnie pierwszy z daleka, podszedł i przyjaźnie potrząsnął za rękę: - „Gratuluję panu. Nawet nie spodziewałem się, że w Polsce ukazała się taka książka. Serdecznie gratuluję. Na dzisiejszej prezentacji z autorów będzie amerykański pisarz John Sack, który przyleciał do Polski specjalnie na promocję, i pan. Pozostałe wystąpienia przeprowadzą menedżerowie wydawnictw, w kolejności jak na planie ”.

Przyznasz, że była to miła niespodzianka.

- Franek. Ty mnie więcej bez potrzeby nie denerwuj! Jest dobrze, a ja myślałem, że wszystko się wali.

- Więc słuchaj dalej.

Węgrzyn z zaciekawieniem popatrzył na kolegę.

- John Sack zjawił się na Giełdzie Wydawców, wraz z przedstawicielami śląskiego wydawnictwa Apus, już po rozpoczęciu. W zasadzie po trzech prezentacjach, tuż przed moim wystąpieniem, chociaż miał być - zgodnie z planem - jako drugi. „Będziemy mieli zablokowane wystąpienie pisarzy” – zażartował dr Górny, ogłaszając korektę planu.

- Dla ciebie to bez różnicy – zastanawiał się Józek.

- Dla mnie była to tragedia – poprawił Franek.

- A to dlaczego!

Na twarzy Strzelczyka pojawił się grymas uśmiechu.

- Nadal było przyjemnie, a Sack okazał się całkiem miłym człowiekiem. Wprawdzie nie znał polskiego i mówił tylko po angielsku, ale robił to z dużą dozą humoru, chociaż sama treść książki była ponura. Opowiadał, jakie miał perypetie z wydaniem książki. Najpierw podpisał umowę z jakimś wydawnictwem, otrzymał sześć tysięcy dolarów zaliczki, ale wydawnictwo zrezygnowało z druku, zostawiając mu zaliczkę. Po jakimś czasie inne wydawnictwo dało mu osiem tysięcy, książkę wydrukowali i poszła na przemiał, ale pieniądze też mu zostawili. To wydanie, które teraz przetłumaczyło wydawnictwo Apus, ukazało się dopiero po kilku latach od przemiału drugiego podejścia.

- A czego dotyczyła ta książka? – zainteresował się mechanik.

- To też ciekawe. Amerykanin pisze książkę o prześladowaniu Żydów w mało znanym obozie pracy w Katowicach, chociaż nigdy tam nie był. Ten obóz wstawił się wyjątkową brutalnością.

- A w którym obozie koncentracyjnym był humanizm? – wtrącił Józek.

- Zgoda!

Franek zgubił przerwana myśl.

- Mówiłeś o tych pieniądzach – odpowiedział Węgrzyn.

- No właśnie. Wtedy przypomniały mi się moje perypetie z „Benbekulą”. Ponieważ Sack był człowiekiem kontaktowym w swoich zwierzeniach, więc i ja też do jego opowiadania – oczywiście za aprobatą pisarza - wtrąciłem swoje trzy grosze. Powiedziałem: - Ja ze swoją książką miałem w Polsce podobny problem. Odrzuciła ją jedna redakcja, druga, aż w końcu, by nie czekać tyle lat co ty, wydałem ją sam. Jest jeszcze jedna mała różnica – mnie nikt nie chciał za to dać czternastu tysięcy dolarów.

- Więc zacząłeś w dobrym stylu – zaśmiał się mechanik.

- A tak. Było wesoło i jeszcze ze dwa razy – bo i Sack też mnie zagadnął – wymienialiśmy krótkie żarty. Amerykanin pod koniec nawet podszedł do mnie, dał mi wizytówkę i zaprosił na wieczorne przyjęcie do hotelu.

- No to super! – podchwycił Węgrzyn.

- Hmm ... On mi wszystko popsuł!

- To niemożliwe – zaprotestował Józek.

Strzelczyk zbierał myśli.

- To prawda – westchnął – kto się najpierw śmieje, ten na końcu płacze. Sack skończył, a że nie znał polskiego, więc nie miał co siedzieć i słuchać dalej. Poza tym spieszył się. Powiedział, że zaprasza na bankiet do hotelu, przeprosił i wyszedł razem z przedstawicielami wydawnictwa, które w Polsce wydało jego książkę. Ja powoli zaczynałem, czekając na uśmierzenie zamieszania.

I stała się rzecz straszna!

Redaktor Górny musiał wyjść za Sackiem, by dopilnować uregulowania należności za udział wydawnictwa Apus w Giełdzie. Nie domknął drzwi i nim powiedziałem jedno zdanie, sala opustoszała. Na korytarz do Amerykanina wyszli prawie wszyscy. Pchali się po autograf, po zaproszenie do hotelu, lub ze snobizmu. Gdy kończyłem, zostało na sali ośmiu dziennikarzy, przedstawiciele Zachęty Kultury w Katowicach oraz Wiedzy i Życia. Byłem wściekły, rozczarowany i upokorzony, mimo otrzymanych braw od pozostałej na sali garstki dziennikarzy.

- Samo życie – pokiwał głową starszy mechanik.

Zapanowało milczenie.

- Ile zapłaciłeś za tą przyjemność?

- Na szczęście nic. I to też dzięki dr Górnemu. Potraktował mnie jako debiutanta pisarza, a nie wydawcę. Poradził, jak napisać odpowiednią prośbę oraz od ręki pozalałtwiał wszelkie formalności. Znow trafiłem na prawdziwego człowieka.

- I co? Poszedłeś na to spotkanie do hotelu?

- Nie! Siadłem w pierwszy pociąg, który jechał do Gdyni.

- Hmm. To mogło zaowocować dobrymi znajomościami – rozważał Węgrzyn. – W końcu dziennikarze, to też ludzie.

- Zgoda! Chyba rzeczywiście powinienem pójść. Weź jednak pod uwagę, że mnie to dotknęło nie po raz pierwszy. O tym, że w Polsce lepiej być zwykłym zagranicznym łachmytą, a nie Polakiem, chyba pisałem w „Benbekuli”. Stary księgarz mówił, że mam złe, bo popularne i polskie nazwisko. Na zagranicznych statkach wielokrotnie widziałem, jak Polacy robią z siebie durni za parę

groszy. A teraz jeszcze dziennikarze! Nie mogłem. To było tak, jakbym dostał od nich w pysk!

Franek wstał i podszedł do bulaja. Jak parę dni wcześniej znów utopił wzrok w zielonym promieniu przecinającym niebo, który wskazywał kierunek Mekki.

- Nie, Józku! Nie mogłem tam pojechać. Jeszcze wiele nie wiesz, by zrozumieć tamtą reakcję. Mimo że rozumiałeś „Benbekulę”, mimo całej naszej rozmowy, znasz zaledwie wierzchołek góry lodowej. A tak wiele się przecież wydarzyło!

...

Franek z Józkiem do ponownej rozmowy o „Benbekuli” nawiązali dopiero po jakimś czasie. Strzelczyk wspominał teraz wydarzenia z Gdańska:

- Na początku czerwca '95 w Hali Oliwia w Gdańsku był VII Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Byłem gościem tego zjazdu.

- Co?!

- Byłem gościem Zjazdu, a moja „Benbekula” była w gronie trzech książek, które oficjalnie dopuszczono do sprzedaży na holu wewnątrz Hali. Te dwa pozostałe tytuły to: - „Sternicy”, Andrzeja Geberta i „Potworki” Piotra Wierzbickiego.

- Hm. Dziwne zestawienie! Czy tu chodzi o redaktora Wierzbickiego z „Gazety Polskiej”?

- Tak.

- Wprawdzie nie czytałem tych książek, ale same nazwiska wystarczą, bym wiedział, co autorzy mają do powiedzenia. Zupełnie nie rozumiem! Skoro w „Benbekuli” piętnujesz zło zarówno z lewej, jak i z prawej strony, nie należałeś do Związku i byłeś właściwie znikąd, skąd więc nagle znalazłeś się jako gość zjazdu i w dodatku jeden z trzech eksponowanych autorów?

- Przypominasz sobie, jak w którymś z rozdziałów pisałem o tragikomicznej roli „eksperta ekspertów” przy restrukturyzacji WSK Mielec, a następnie o wyjeździe do Huty Stalowa Wola, by nakłonić do porozumienia zakładów COP-u?

- A tak! To było bulwersujące.

- No właśnie. Otóż gdy chodziłem po redakcjach w Gdańsku - zaraz po wydaniu książki - to wszedłem również do budynku Rady Krajowej „Solidarności”, myśląc głównie o ich „Biuletynie”. Przypadek sprawił, że na korytarzu spotkałem jednego ze związkowych działaczy, którego poznałem właśnie w Stalowej Woli, gdy przekonywałem do konieczności powstania porozumienia zakładów zbrojeniówki. Potoczyło się szybko. Zostałem przedstawiony Stanisławowi Alotowi - był wtedy jednym z szefów Związku, delegowany z Rzeszowa i przez zbrojeniówkę. Poznałem też pracowników Krajowej Sekcji Zakładów Zbrojeniowych NSZZ „Solidarność” i kilka innych osób. I to był początek moich znajomości w budynku koło Zieleniaka. Z Jackiem Rybickim zetknąłem się znacznie później.

- Bardzo dobry początek, bo od razu z zasługami. Teraz już zaczynam rozumieć, dlaczego znalazłeś się w Hali Olivia jako gość zjazdu. Nadal jednak nie wiem, dlaczego uszła ci na sucho twoja ostra krytyka niektórych poczynań Lecha Wałęsy, jakiej sporo jest w „Benbekuli” – zastanawiał się Węgrzyn.

- Ja pewne niuanse pojąłem też dopiero w trakcie obrad zjazdu.

- To dla mnie interesujące – rozochocił się starszy mechanik.

Strzelczyk pociągnął łyk, przez chwilę wpatrywał się w resztki złotawego płynu, w którym lód rozpuścił się do reszty. Popatrzył na zegarek.

- Jeszcze nie jest późno! - stanowczo potwierdził gospodarz, którego zerknięcie kolegi na zegarek wyraźnie zaniepokoiło.

- Muszę się mocno streszczać, bo te trzy dni, od świtu do nocy, dostarczyły mi wielu wrażeń. Sądzę, że w morzu będzie dość czasu, by wrócić do tych spraw – uściślił Franek.

- Masz rację. Powiedz tylko o tym najciekawszym, a reszta przy okazji – zaaprobował Węgrzyn.

Strzelczyk swoją opowieść zaczął od drobnej niespodzianki:

- Stoliki z książkami były w holu głównego wejścia. Mój z „Benbekulą” stał obok „Potworków”, które prezentowały i sprzedawały dwie osoby z Warszawy. Stolik ze „Sternikami” był po drugiej stronie. Red. Gebert czasem się pojawiał, ale redaktora Wierzbickiego nie widziałem. Książki rozłożyłem jeszcze przed

rozpoczęciem obrad. Zaraz z rana przywitałem się z przedstawicielami zbrojeniówki, którzy trzymali się raczej razem. Niektórych już znałem, a resztę poznałem. Gdy z nimi rozmawiałem, moją uwagę zaabsorbowała jakaś znajoma twarz obok, w grupie organizatorów z Gdańska. Nasz wzrok spotkał się przez moment. Byłem pewny, że tego człowieka bardzo dobrze znam, lecz nie mogłem zaskoczyć, skąd.

Kto to może być – zastanawiałem się, nie mogąc znaleźć odpowiedzi.

Po jakichś dwóch godzinach znów go zobaczyłem. Był blisko mnie.

- Ja pana skądś znam – zacząłem niepewnie.

- Być może. Świat jest mały.

Głos jeszcze bardziej mnie upewnił.

- Spotykaliśmy się tyle razy! Może w Szkole Morskiej lub we flocie? Sam nie wiem. Pan mi się kojarzy z flotą.

- Każdy z Wybrzeża ma jakichś znajomych marynarzy – uśmiechnął się nieznajomy.

Olśnił mnie jego uśmiech. Zaskoczyłem! Przypomniałem sobie, że z tym człowiekiem spędziłem pół roku na greckim tankowcu, z czego trzy miesiące podczas wojny na Zatoce Perskiej.

Zareagowałem spontanicznie.

- Zbyszek, ty dzwońcu! Już wiem! „Athenian!” To ta broda mnie tak zmyliła! – wykrzyknąłem uradowany i złapałem go za bary, tak jak witają się dobrzy kumple po długim rozstaniu. Długi pobyt w morzu z reguły zawsze zbliża ludzi.

W tym momencie zreflektowałem się na dobre! Mój znajomy – do którego w gruncie rzeczy nie miałem żadnych urazów – kiedyś był działaczem PZPR – takim dla pieniędzy - z drobnymi grzeszkami za kołnierzem. Być może, że PZPR też niewiele go ceniła. Widocznie to ukrywał, a brodę zapuścił dla niepoznaki. Byłem pewny, że on jednak od początku mnie rozpoznał.

Ja nigdy nie oceniałem ludzi ze względu na przynależność, czy to komuch, czy solidaruch, lecz na podstawie, jakim jest człowiekiem. Zbyszek wiedział, że ja znam jego niezbyt chlubne fakty z życiorysu, które z etyką nie zawsze były w zgodzie.

Oczywiście też się „ucieszył ze spotkania”, nawet uśmiechnął służbowo, ale jestem pewien, że wolałby mnie nie spotkać. Teraz miał inną twarz i był zupełnie innym człowiekiem. Dla odmiany szanowanym działaczem „S”. Zawsze, gdy spotykałem go przez dwa następne dni, a później w budynku koło Zieleniaka, witaliśmy się uprzejmie, ale już nigdy wylewnie.

Strzelczyk chwilę odsapnął.

- To normalne, chorągiewka dla kariery – spuentował Węgrzyn.
- A jak przyjęli „Benbekulę” twoi znajomi ze zbrojeniówki?

- Chyba nie sądzisz, Józku, że mieli czas i chęci na czytanie podczas zjazdu. Ten fragment o spotkaniu w Hucie Stalowa Wola jednak w hotelu wieczorem przeczytali, bo któryś z delegatów – chyba Gargas, ale nazwisko mogłem pomylić – na trzeci dzień zastanawiał się, czy przytoczone w książce słowa on wypowiedział, czy ktoś inny. Dyskutowaliśmy o tym w całej grupie ze zbrojeniówki.

- Nadal niewiele powiedziałeś – zachęcał mechanik.

- Z delegatami Małopolski rozmawiałem najczęściej, ale już pierwszego dnia znalazła się dogodna sposobność podzielenia się moimi poglądami z Maciejem Jankowskim (Przewodniczący Solidarności z Mazowsza) i redaktorem Piotrem Semką.

- Semka, to ten, który prowadził kiedyś w telewizji cykl programów publicystycznych razem z Kurskim? Takich dwóch młodych, gniewnych prezenterów?

- Tak – zgodził się Strzelczyk. – W pierwszy dzień Zjazdu nie była jeszcze przesądzona sprawa kandydata związku w wyborach prezydenckich. Lech Wałęsa miał w Olivii wielu przeciwników, co śledziłem dokładnie z rozmów w kularach. Właśnie z Jankowskim i Semką rozpocząłem dyskusje o nadchodzących wyborach i szansach kandydatów. Zresztą, nie szanse były najważniejsze, lecz koncepcja uzdrowienia sytuacji politycznej, a przecież ta decydowała o wszystkim. Ja - jak wyczytałeś - nie widziałem możliwości, by ktokolwiek z kandydatów elit politycznych sprostał wyzwaniu chwili. Legenda „Benbekuli” obrazowo to przedstawiała i dawała odpowiedź, co się stanie, jeśli „świętej góry politycznych elit” nie pokona osoba z zewnątrz.

- Franek! I to się sprawdziło! Do dziś partykularne sprawy partii i elit politycznych są ponad dobrem kraju, a większość Polaków zupełnie zagubiła się i poczuła oszukana. Boże, to nie legenda! Benbekula nie została zdobyta, więc jest stagnacja, kłótnie, swary, pomieszanie celów nadrzędnych z prywatą i nadal nie widać spokojnej drogi. To nie legenda, lecz rzeczywistość - podchwycił Węgrzyn.

- O tym rozmawiałem z Jankowskim i Semką. Dałem im też „Benbekulę”. Obaj mnie zaskoczyli. Przeczytali książkę! Semka mówił, że zajęło mu to pół nocy, a z rozmowy z Jankowskim - następnego lub trzeciego dnia zjazdu – wynikało, że też to zrobił „od dechy do dechy”.

- I co?

- Trzeciego dnia przyjeżdżał Wałęsa. W kuluarach ważyła się decyzja o ponownym poparciu jego kandydatury. Ja nie widziałem dla niego szans w pokonaniu Kwaśniewskiego, a wygrana Kwaśniewskiego też nie leczyła ani politycznej, ani moralnej zapaści. Spadek totalitarny całkowicie to wykluczał, nawet przy idealnej metamorfozie, gdyż zachwiana wiarygodność i bolesne doświadczenia u wielu ludzi nadal pozostają.

- Jak w legendzie – wtrącił mechanik.

- Dokładnie! Dobiły mnie jednak rozmowy w kuluarach o powołaniu nowej partii „Solidarność”. Ja już straciłem rachubę, czy będzie to partia trzysta druga w Polsce, czy pięćset pierwsza. Koniecznie chciałem przeciw temu zaprotestować! O ile się nie mylę, to referendum w tej sprawie miało się odbyć w tym samym dniu, co przyjazd Wałęsy.

- I co?! – dopytywał się Węgrzyn.

- Nie wytrzymałem. Wziąłem kartkę papieru i odręcznie napisałem (*było napisane Józef Franciszek Wójcik, autor „Prezydent Hebryd”*):

*Franciszek Strzelczyk
Autor „Benbekuli”*

Gdańsk 09.06 95r.

**VII KRAJOWY ZJAZD DELEGATÓW
NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” GDAŃSK**

*Zgłoszenie zamiaru uczestnictwa w kandydowaniu na
Prezydenta RP*

Panie Przewodniczący, Szanowni Państwo!
Zjazd „Solidarności” jest ogólnopolskim forum delegatów reprezentujących wszystkie zawody i zakłady pracy. Właśnie na tym poważnym forum pragnę zgłosić swoją gotowość do udziału w wyborach prezydenckich.

Nie proszę o poparcie związku, gdyż uważam, że „Solidarność”, by być silną, winna dążyć do apolityczności. W kampanii prezydenckiej pragnę się oprzeć na młodzieży, której problemy czuję i rozumiem, na załogach zakładów zbrojeniówki, których obawy podzielam oraz na tej części społeczeństwa – szacowanej na 60% - która nie identyfikuje się z żadnym ugrupowaniem politycznym.

Autobiografię, poglądy polityczne i koncepcję władzy prezydenckiej zawarłem w książce „Benbekula”.

Mając na uwadze dobro Związku i nawiązując do jutrzejszego referendum w sprawie powołania partii politycznej, uważam, że jest to pomysł na powstanie partii postsolidarnościowej drugiej emisji, jeszcze bardziej dzielącą polską scenę polityczną.

Życzę owocnych obrad. Dziękuję za uwagę.

Podpis.

Na pierwszej przerwie w obradach podszedłem do Macieja Jankowskiego. Najpierw przedstawiłem zastrzeżenia do powołania nowej partii, a następnie udzielenia poparcia Wałęsie. Byłem rad, że przewodniczący regionu podzielał większość moich tez. Następnie zakomunikowałem: - „wiem, że zjazd nie jest miejscem, gdzie zgłasza się chęć kandydowania w wyborach prezydenckich, ale jak pan sądzi, czy istnieje możliwość odczytania tego pisma? Czy w następstwie istnieje możliwość przywołania mnie przed trybunę? Może to w jakiś sposób przyczyniłoby się do zmiany nastawienia niektórych delegatów.

Jankowski przeczytał uważnie i zareagował z powagą. Powiedział, że nie ma takiej możliwości, by na zjeździe odczytywać czyjeś pisma z zewnątrz i że nie jest to miejsce, gdzie zgłasza się zamiar kandydowania w wyborach.

- Chyba miał pod tym względem rację? – zastanawiał się Józek.

- Oczywiście, że miał! Nie to mnie jednak zmartwiło, bo ja sam też nie za bardzo w to wierzyłem. Bardziej zasmuciło mnie przekonanie Jankowskiego – bo i do tego się ustosunkował - o nierealnej możliwości wygrania wyborów, przez kandydata, bez poparcia elit politycznych. Powiedział, że „Benbekula” to jedynie książkowa legenda. To mnie najbardziej przybiło. Szukałem dalszych opinii i jeszcze intensywniej rozważałem.

- Franek, szokujesz mnie! Ja już sam nie wiem, co o tym sądzić. Mówisz wszystko poważnie? – powątpiewał Węgrzyn.

- Myślisz, że mam ochotę do śmiechu w tak poważnych sprawach? Wręcz odwrotnie. Na Zjeździe „Solidarności” czułem się jak zbity pies.

Na twarzy Strzelczyka pojawił się gniew i zacięty upór.

- Postanowiłem sprawdzić reakcję innych:

Semka powiedział – „bez szans” – a uśmiechając się dodał – „ale ta książka, to dobry początek”.

Zbrojeniówka podeszła bez entuzjazmu, a dr Kołowrocki i Lubowiecki ze Szkoły Morskiej popatrzyli z wyrozumiałością i współczuciem.

Święta Góra to mit – myślałem gorzko - ale co do legendy, nadal nie wątpiłem.

- Skrzyżowanie Górala z Kaszubem – bąknął Węgrzyn.

- Może miałem machnąć ręką? Powiedzieć: to nieprzemysłana pomyłka?! Jestem przekonany, że miałem rację!

Strzelczyk wstał z miejsca i zamilkł.

- Wybacz. Nie miałem na myśli nic, poza wytrwałością i uporem. Przepraszam cię, Franek. Ja bym nie był do tego zdolny, więc dla mnie jest to dziwne. Górala z Kaszubem wymieniłem z uznania, a nie z ironią. Nie gniewaj się – przepraszał starszy mechanik.

- O co miałbym się gniewać! Myślę tylko, co tu dodać, by wreszcie doprowadzić ten wątek do końca.

- Więc siadaj. Przecież ma to być jedynie spokojna rozmowa – uspokajał Józek.

Franek usiadł zrezygnowany.

- Wiesz, Józku, jak sprzedawałem książkę podczas Zjazdu? – zapytał retorycznie. – Napisałem: „Cena 5 zł – samoobsługa. Jestem przy stoliku na każdej przerwie w obradach – autor”. Postawiłem nieduży kartonik, by wrzucać do niego pieniądze, a na zachętę włożyłem jeszcze pięć złotych. To mi pozwoliło większość czasu poświęcić przysłuchiwaniu się obradom.

- Całkiem oryginalnie – uśmiechnął się Węgrzyn.

Na dobre zapanowała spokojna atmosfera.

- Warszawiacy Wierzbickiego zapewnili mnie dodatkowo, że zwrócą uwagę na mój stolik - i w razie potrzeby – udzielą klientowi niezbędnych informacji.

- Też dobrze – przytaknął mechanik.

- Trzeciego dnia w hali zapanowała istna burza. Nowa partia nie powstała, ale prezydent Wałęsa znów był kandydatem „Solidarności” na drugą kadencję! Widziałem, jak to się rodziło. Ilu delegatów przeżywało rozczarowanie, porażkę, a nawet osobisty dramat! Niestety – co słuszne i sprawiedliwe – demokracja to większość. I tak się stało.

- Czy mogło być inaczej? – zapytał gospodarz.

- Hmm. W sprawie powołania nowej partii zdecydowali po mojej myśli, a z kandydatem – no cóż – odpowiedź dały późniejsze wybory. Na sali wielu tego się obawiało. Niektórzy przeżywali wręcz dramat.

Franek podparł ręką brodę i na krótko się zadumał.

- Najbardziej utkwiło mi w pamięci wystąpienie pewnej pani. Nie zapamiętałem nazwiska, bo moją uwagę przykuło dopiero jej wystąpienie. Odważnie przedstawiała swoje myśli, nie szczędząc słów krytyki w stosunku do prezydenta. Wałęsa chyba ze dwa razy wchodził jej w słowo, nim na dobre się rozzłościł: - Panią chyba kusi jakiś diabeł! Kobieta nie dała się speszzyć. Odparowała szybko:

- „Panie prezydencie! Ja nie jestem biblijną Ewą, kuszoną przez szatana” - i dalej kontynuowała.

Ktoś bił jej brawo, przy stole prezydiálním zamieszanie. Mikrofon, do którego mówiła „jakoś się zepsuł” i jej głos przestał docierać na salę.

Zdenerwowana delegatka - jak się nie mylę prawnik z Dolnego Śląska – wybiegła zrozpaczona, bliska płaczu, w stronę tunelu pod trybuną, na której siedziałem. Trzęsącymi się rękami zapalała papierosa.

Podszedłem do niej i wręczyłem jej „Benbekulę” z dedykacją: - Dla Tej, która „nie jest biblijną Ewą, kuszoną przez szatana”.

Kobieta smutno się uśmiechnęła. Jeszcze raz przeczytała dedykację i mocno mnie uściśnęła. „Będzie to dla mnie jedyna miła pamiątka dzisiejszego dnia” powiedziała, mocno zaciągając się dymem papierosa.

Strzelczyk podniósł się z miejsca.

- Dałem jeszcze kilka książek z dedykacjami za rzeczowe i odważne wystąpienia. Dla mnie też była to jedyna przyjemność tego dnia, chociaż z innego powodu niż „kuszonej Ewy”. Z rana usłyszałem bowiem, jak ktoś, witając się z redaktorem Markiem Ponikowskim, powiedział: - „Znalazł się jeszcze jeden nawiedzony, który chciałby startować w wyborach”.

Na redaktorze prowadzącym „Gdański Dywanik” wywarło to niewielkie wrażenie. Informację skwitował uśmiechem i poszedł w stronę hali obrad. Stałem koło obu panów i chyba byłem jedynym, który głęboko przeżywał te słowa. Sam nie wiem, co mnie podkuśiło, by ci to opowiedzieć.

Franek uśmiechnął się i skierował w stronę drzwi.

Burza i tęsknota

W drodze i z Agadiru

(Tak było w rzeczywistości. Mirek Zelent nigdy nie był oficerem, lecz A/B z którym pływałem chyba na trzech statkach. Bardzo go szanowałem jako solidnego marynarza, na którym zawsze mogłem polegać. Może dlatego „awansowałem” go na drugiego oficera. Dalem mu też trzecie swoje imię, Staszek, i obdzielilem własnymi wspomnieniami. Sylwetka Koeniga jest prawdziwa, podobnie jak wspomnienie burzy i spaceru z Mirkiem Zelentem w Agadirze. W 2020 roku czytam te zapiski z rozrzewnieniem, jak wtedy naprawdę było. Tak było!)

Gdy Staszek przyszedł na pierwszą popołudniową wachtę, poniżej szerokości Gibraltaru, niebo w znacznej mierze było zaciągnięte chmurami. Nisko nad widnokregiem, ciągle niewidocznych marokańskich brzegów, chmury stawały się coraz bardziej ciemne. Ich granatowo ołowiany kolor od czasu do czasu szarpały zygzaki błyskawic. Stojąc na skrzydle Staszek przyglądał się niebu. Kłębiące się chmury na obrzeżach tej ciemnej, wiszącej nisko nad horyzontem, przesuwały się w jej kierunku.

To dziwne - pomyślał - ta chmura, jakby z ołowiu, przyciąga do siebie wszystkie inne, które są na zewnątrz. Jak magnes. Całe kołujące się niebo pędzi w jej kierunku.

Cyklon? Huragan? Orkan? - Jak to chief określił, gdy zdawał mi wachtę?

Na pewno powiedział: „Tu, przy Afryce, o tej porze roku może gwałtownie dmuchnąć. Uważaj Stasiu, bo w powietrzu coś się kręci”.

Chyba na to się zanosi - stwierdził.

Drugi oficer z niepokojem obserwował coraz groźniejszy obraz na niebie. Podobnego nie oglądał nigdy dotąd. Chmura na wschodzie potężniała, coraz częściej szarpana zygzakami błyskawic, podczas gdy na zachodzie nisko zawieszona słońce, jaskrawą czerwienią podświetlało kłębiący się nieboskłon. Z każdą chwilą czerwień na zachodzie i granat na wschodzie stawały się coraz bardziej jaskrawe.

Sunące w górze chmury, podświetlane zachodzącym słońcem, jak kalejdoskop mieniły się różnorodnością barw. Najpierw

pojawiły się niewielkie, ledwo zarysowane ciemniejszym odcieniem na tle rozległej czerwieni, która powstała wokół przymglonego, prawie niewidocznego słońca. Podnosząc się na nieboskłonie chmurki powoli pęczniały rozjaśniając swój środek. W miarę przesuwania się na wschód rozrastały się coraz bardziej, ich środek znów ciemniał, zmieniał kolor przechodząc przez wszystkie odcienie szarości do niebieskiego i granatu.

Tylko wypiętrzenia i obrzeża dążących na wschód chmur zdawały się być nieposłuszne, będącej tam, tajemnej mocy groźnego kotła z błyskawicami. Zewnętrzne pasemka kłębiły się, przesuwały we wszystkie strony, w górę i w dół i przybierały przeróżne kolory; - od białych i srebrzystych na wierzchołkach wypiętrzeń, zapewne mocniej oświetlanych przez słońce, przez żółte, złociste, pomarańczowe i wszelkie odmiany czerwieni przechodząc stopniowo do niebieskich kolorów. A wszystko było w ciągłym ruchu, mieszane w dół i w górę i przyciągane do burzowego worka, który różne barwy obrzeży i same chmury zamieniał w jedną coraz potężniejszą, której ołów i granat coraz bardziej się rozrastał i przybliżał do statku.

A może powiadomić chiefa, że coś nie tak z pogodą. Zadzwońię do niego - pomyślał Zelent.

Zaczął wybierać numer, gdy na mostku pojawił się Franek.

- Właśnie do ciebie dzwoniłem. Ta chmura wygląda tak niezwykle i groźnie, iż pomyślałem sobie, by cię o tym powiadomić - powiedział Zelent odkładając słuchawkę.

- Zauważyłem to i dlatego do ciebie przyszedłem - odparł Strzelczyk, wychodząc na skrzydło, by lepiej ocenić sytuację. Szybko jednak zawrócił.

- Stasiu. Ogłoś przez statkową rozgłośnię: „Spodziewane silne uderzenie wiatru. Proszę sprawdzić i umocować ruchome przedmioty”. Dodaj jeszcze: „A/B w sztormiaku ma zgłosić się do chiefa”. Ja też idę ubrać sztormiak - mówił Franek, szybko przechodząc przez mostek skierował się w stronę zejścia.

- Sprawdź mostek! - krzyknął jeszcze na odchodne, zamykając za sobą drzwi.

Drugi niezwłocznie ogłosił polecenie chiefa i zabrał się za zabezpieczanie wszystkiego, co było ruchome i mogłoby latać przy przechyłach statku.

Morze wciąż jednak było spokojne, kołysane martwą falą. Niebo na zachodzie traciło swoją czerwień i robiło się coraz ciemniejsze.

Słońce już chyba zaszło - pomyślał Zelent. - W tropiku szybko zrobi się ciemno.

Do uszu młodego oficera doleciał szum, który pogłębiał się z każdą chwilą, aż przekształcił się w głośne dudnienie. Zobaczył ścianę nadciągającej ulewy. Spojrzał na pokład. Chief i A/B jeszcze coś na dziobie mocowali, gdy ulewa zaczęła zakrywać ich sylwetki.

Dobrze, że nie jest zimno - pomyślał drugi oficer, na próżno starając się dostrzec powracających do nadbudówki kolegów.

Strugi wody uderzyły gwałtownie o statek, przysłaniając wszystko. Zrobiło się prawie ciemno, ale tuż przy szybie widać było dokładnie ogrom ulewy. Woda lała się ciurkiem, niczym z gigantycznej konewki o dużych otworach w sitku. Na dodatek nasilał się wiatr, który dając dodatkową energię spadającym strugom powodował dudnienie nie do opisanego. Woda dudniła o pokład, waliła po szybach mostka, po ścianach nadbudówki, a miliony jej strumieni spadających wokół do oceanu, grzmiało niczym gigantyczny wodospad.

Na mostek wszedł Koenig.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał przekrzykując odgłosy dochodzącej z zewnątrz burzy.

- Tak, panie kapitanie! Nie wiem tylko, czy chief i A/B zdążyli już wrócić do nadbudówki. Gdy zaczynała się ulewa, widziałem ich na dziobie, chyba... Nie dokończył. Z tyłu za kapitanem pojawił się Strzelczyk.

- Na pokładzie wszystko zabezpieczone! Ale ulewa! - krzyczał, zamykając za sobą drzwi.

- Chief! Co tam jeszcze robisz na pokładzie? - pytał zaniepokojony Niemiec.

- Dodatkowo mocowaliśmy z A/B ściągacze i łańcuchy od laszingu, które załoga przeglądała i konserwowała przy okazji

malowania magazynka. Dlatego musiały pozostać na pokładzie, tym bardziej iż jeszcze po południu nic nie zapowiadało, że pogoda tak się zmieni - wyczerpująco i z ochotą odpowiadał chief, jakby ulewa i dodatkowo wykonana przed chwilą praca dodały mu nowej energii.

- Czy wszystko dobrze zabezpieczone?

- Oczywiście kapitanie! W stu procentach! Sprawdziałem nawet w deszczu - odkrzyknął uśmiechnięty Polak.

- Z czego się cieszysz, Franek? - z powątpiewaniem zapytał Niemiec.

- Bo lubię burze! Zawsze, od dziecka lubiłem oglądać letnie ulewy z błyskawicami i piorunami - odpowiadał podekscytowany Franek. - Ta burza jest wspaniała, inna niż nasze polskie. Pojedyncza struga deszczu wygląda tak, jakby ktoś ją lał z przechylonej konewki, a błyskawice prawie nie gasną.

Kapitan i drugi odruchowo spojrzeli w szyby mostka, sprawdzając, czy aby słowa chiefa są prawdziwe.

Burza rzeczywiście była wspaniała. Błyskawice prawie nieustannie rozświetlały ledwo co nastaly wieczór. W zasadzie to ciemność była krótkim mgnieniem w nieprzerwanej jasności błyskawic, które odbijając się, rozpraszając i po tysiącokroć załamując w grubych strugach wody, iluminowały przestrzeń wokół statku. Wodna ściana zdawała się świecić własnym światłem. Gdyby nie to, że strumienie wody spadają pod kątem i uderzają gwałtownie w lewą burtę statku, mogło się wydawać, że wiatru w ogóle nie ma w tym gąszczu ciasno upakowanych, deszczowych strug. Wydawało się, że spadające masy wody powinny wcisnąć w ocean i zatopić każdą próbę powstania wiatru. Tak jednak nie było. Coraz większe kiwanie statku niezbitnie dowodziło, iż wieje coraz silniej.

- Sztormu chyba nie da - pierwszy odezwał się Niemiec.

- Też tak myślę. Wiatr siądzie po przejściu chmury - uzupełnił Strzelczyk.

- Wracam do siebie, tym bardziej, że zaraz mam wachtę - zawyrokował Koenig. - A burzy to ja nie lubię podziwiać tak jak chief - stwierdził mrugając do drugiego.

Franek i Staszek pozostali na mostku sami.

- Pierwszy raz widzę taką ulewę. Oberwanie chmury do kwadratu. Czy oglądałeś kiedyś podobną sytuację? - dopytywał się Zelent.

- O tak! Kiedyś, chyba w Gwinei, po podobnej ulewie mieliśmy masę problemów. W podobnych strumieniach deszczu na statek spadły miliony potopionych owadów. Był to istny horror. Pozapychało szpigaty i waterwejsy. Szczątki potopionych owadów pokryły cały statek warstwą grubą na około kilkanaście centymetrów, a w niektórych miejscach, naniesione przez wodę, potworzyły istne zasy. Po ulewie nie sposób było wtedy wyjść na pokład. Pod stopami tylko chrzęściło, a nogi wpadały w ciała przeróżnych owadów aż po kostki. Niektóre osobniki jeszcze żyły. W grubiej warstwie owadów dostrzegłem czarnego świerszcza. Żył, lecz nie miał jednej nogi. Wziąłem go do swojej kabiny, a potem przez ponad miesiąc pływał zemną na mostku. Miał domek pod gretingami i wszyscy oficerowie i cała załoga z pokładu wiedzieli, że to moje zwierzę. Pięknie cykał i wychodził z kryjówki na mój głos po okruszki chleba. Śpiew go zgubił. Na mostek na siódmym piętrze przyszedł mnie odwiedzić czwarty mechanik. Ufny świerszcz zacykał i nim się zorientowałem mechanik rozdeptał go jak natrętnego owada. Byłem tak wściekły, że o mało nie wyrzuciłem kolegi z maszyny za burtę. Cóż, musiałem się pogodzić ze stratą śpiewającego przyjaciela.

Franek po tym wspomnieniu kontynuował;

Czy wiesz, Stasiu, ile potem było roboty, by uprzątnąć statek po tej ulwie z zasp potopionych owadów na pokładzie?

- Mogę sobie tylko wyobrazić, a i to nie wiem, czy całkiem dobrze - przyznał Staszek.

- Zupełnie zwyczajnie. Pompa pożarowa, wąż, szczotka na kiju i kilka godzin pracy dla załogi. Może niezwyklej, ale niezbyt przyjemnej - wyjaśnił Franek.

Zelent podszedł do szyby wyjścia na skrzydło, jakby sprawdzał, czy na pokładzie nie widać owadów. Nic jednak nie dojrzał i po chwili zapytał:

- A czy wtedy też było tyle błyskawic? Przecież jest jasno jak w dzień.

- Nie! Ale było jasno, bo wtedy był dzień - z uśmiechem odparł chief.

- Ja pytałem całkiem poważnie - obruszył się drugi.

- Zgoda! Ja całkiem poważnie odpowiedziałem. Rzeczywiście błyskawice prawie nie gasną.

- Niesamowite - westchnął Staszek.

- To się zdarza. Raz podobną sytuację oglądałem niedaleko stąd. Płynęliśmy wtedy z Almerii do Gibraltaru w podobnej porze roku - opowiadał Franek. - Chyba z dwie godziny było tak samo jasno od błyskawic. Tylko jedna różnica, wtedy chmura szła razem z nami, ale z boku i nie lało. Teraz też już przechodzi. Deszcz zrobił się całkiem normalny, więc mogę wracać do siebie - stwierdził po chwili.

Zelentowi niewiele już czasu zostało do końca wachty. Ulewa przechodziła i rzeczywiście wiatr siadał. W jego dotychczasowym pływaniu nie stykał się z tymi rejonami. Wyciągnął mapy, by sprawdzić, co go jutro czeka.

Z Agadiru jest całkiem niedaleko do Wysp Kanaryjskich – pomyślał, patrząc na mapę. - Jeszcze zostało około dzień drogi i będzie wejście do portu.

Przypuszczenia drugiego jednak się nie sprawdziły. Wprawdzie „Coral Sea” wpłynął następnego dnia na redę, ale stał tam jeszcze trzy dni.

Przechodzące ulewy, w tak spragnionej wody, marokańskiej ziemi, poczyniły istne spustoszenia. Zdezorganizowały pracę większości portów zachodniego wybrzeża, od Kenitry do Agadiru łącznie.

Stojąc na redzie, załoga statku mogła oglądać w telewizji ogrom skutków nie notowanej od lat nawałnicy. Na co dzień prawie pustynny krajobraz, wyglądał teraz jak po potopie. Każde zagłębienie terenu wypełniała woda, tworząc tafle szerokich rozlewisk i dziesiątki rwących potoków, niszczących wszystko na swej drodze. Skutki ulewy telewizja pokazywała jeszcze przez kilka dni:

W Casablance zostały zalane całe dzielnice. Wielu mieszkańców slumsów zostało bez dachu nad głową i kilka osób zginęło w nurtach gwałtownie utworzonych potoków.

- To ta chmura, która była nad naszym statkiem, narobiła tyle spustoszenia - komentowali marynarze z „Coral Sea”.

Postój na redzie skończył się i statek wszedł do portu. Usuwanie skutków ulewy wróżyło jednak, że rozładunek też się przeciągnie. Po pierwszym dniu było już wiadomo, że przeciągnie się co najmniej do trzech, czterech dni.

- Jeśli będziemy stać dłużej w Agadirze, to bardzo dobrze, Stasiu. Jest to urocze miejsce, z piękną, niekończącą się plażą i dziesiątkami luksusowych hoteli. Wszystkie są otoczone wspaniałymi, tropikalnymi ogrodami. Miasto, w którym europejskich turystów jest więcej niż tubylców przez cały rok. Ponieważ Koenig nie lubi za dużo wychodzić, więc skorzystamy z tego i któregoś dnia, zaraz po obiedzie, możemy się wybrać razem - przypominał sobie Zelent słowa chiefa, wypowiedziane jeszcze na redzie i pomyślał w duchu:

Przypomnę mu o tym. Niech załatwi to z Niemcem zaraz na jutro.

Nie było żadnych problemów. Koenig pozostał na statku, mając pieczę nad wszystkim, a chiefa i drugi wybrali się do miasta następnego dnia.

- Na poprzednim statku miałem rower, ale teraz pojedziemy dwa przystanki autobusem - proponował Strzelczyk. - Do miasta jest ponad kilometr nieciekawej drogi wzdłuż muru ogradzającego port. Szkoda na to czasu i sił. Lepiej później pochodzić po ciekawszych miejscach, których jest co najmniej na dwa dni intensywnego zwiedzania - wyjaśniał chiefa swojemu młodszemu koledze.

- Prowadź Franek! Ty tu jesteś przewodnikiem - powiedział Zelent zaraz po wyjściu z autobusu, rozglądając się wokół. A był to dla niego bardzo ciekawy widok.

Z tyłu wznosiła się wysoka góra, prawie pozbawiona roślinności, z jakąś rzeźbą wyrytą na zboczu, a może mozaiką poukładaną z kamieni lub wysadzoną kaktusami, która ogromnymi rozmiarami górowała nad portem i miastem.

Rzeźba na wysokiej górze swoją formą przypominała Zelentowi słynnego osła i sportowca w Dardanellach, ale tam wzniesienia nie były tak wysokie. Góra w Agadirze była znacznie wyższa, tak że przychepione do niej porty, rybacki i handlowy, wyglądały jak małe zabawki.

Suche wzniesienia, ciągnące się od góry, zakręcały w prawo aż po horyzont, jakby osłaniając sobą od piasków Sahary oazę, która leżała w dole. Długą bez końca, o intensywnej tropikalnej zieleni, z wyszukaną ozdobną roślinnością i dziesiątkami odmian najprzeróżniejszych kwiatów, widać, że pieczołowicie pielęgnowanych i dobieranych przez człowieka, by fascynować turystów.

Nowoczesne hotele i budowle centrum miasta zdawały się tonąć w tej wypieszczonej naturze, posegregowanej wprawdzie, ale tym bardziej wpadającej w oko cudzoziemców.

Jeszcze niżej leżał łuk żółtej plaży, bardzo szerokiej w czasie odpływu z nowoczesnymi budynkami infrastruktury plażowej, której nawet rzymska plaża w Ostii mogłaby pozazdrościć, a które stanowiły zaledwie małe plamki, na tym żółtym wachlarzu ciągnącym się po widnokrąg.

Pas nagich wzgórz, tropikalnej roślinności z białymi budowlami, żółtej plaży uzupełniał jeszcze pas białej kipieli przyboju, odgradzający z prawej bezkresny, niebiesko-granatowy ocean.

Drugi stał jak zauroczony. Przystanek autobusowy na zboczu wyraźnie pokazywał niezwykłą perspektywę, która wewnątrz okazała się jeszcze bardziej fantastyczna.

- Prowadź, chief. Ty tu jesteś przewodnikiem - powtórzył cicho Zelent, zafascynowany widokiem, jaki roztaczał się przed nim.

Schodzili w dół palmową alejką. W niewielkim wężymie z lewej woda z ostatniej ulewy tworzyła jeszcze rwący potok, który przechodząc pod alejką rozlewał się wypływając na plażę, zostawiając wiele śmieci i gałęzi. Jakby w naturalny sposób odgradzając czyste, kolorowe plaże, od tej z grającą w piłkę wrostków z pobliskiej dzielnicy slumsów.

- Teraz możemy zejść na piasek. Tu jest już wszystko strzeżone przez hotelowe służby i raczej tylko dla turystów - wyjaśniał Franek.

Szli plażą coraz bardziej zaludnioną, z przyległymi do niej tarasami barów, na których czujnie krzątali się kelnerzy, wśród kolorowych stolików osłoniętych słonecznymi parasolami lub werandą. Infrastrukturę każdego kąpieliska zaznaczały hotelowe barwy, różnorodnie komponowane dla podkreślenia swej przynależności. Hotelowe flagi powiewały na wysokich masztach, zaznaczały plażowe i barowe parasole, kosze do opalania i rowery wodne. Były malowane na kabinach plażowych, deskach surfingowych, motorówkach, koszach na śmiecie i na całym bogatym wyposażeniu plażowym. Było wszystko. Kolorowe ręczniki, parawany by się odgradzić, kajaki, sprzęt do nurkowania, a nawet sprzęt do podwodnych polowań - oczywiście z instruktorem i łódką wraz z załogą.

Daleko na plażę wychodziły betonowe ścieżki, wykafelkowane lub z kolorową terakotą, prowadzące do centrum kąpieliska, gdzie z placyku, czasem z fontanną, wśród palm i kolorowych klombów, wysadzanych ciekawymi roślinami o przepięknych kwiatach, można było wejść pod prysznic, do WC, usiąść na tarasie lub wejść do baru na chłodnego drinka, czy do restauracji na posiłek.

Przy niektórych kąpieliskach Arab w tradycyjnym stroju ze swym wielbłądem kusił chętnych do przejażdżki i robienia zdjęć. Bardzo szeroką plażę suchego piasku powiększał jeszcze odpływ, pozostawiając za sobą kilkanaście - a nawet kilkadziesiąt metrów w bardziej płaskich miejscach - dopiero co opuszczonego przez wodę terenu. Stwarzało to wrażenie wielkiej swobody, przestronności, a gdzieś tam plaża świeciła prawie pustką.

Jakiś jeździec w stylizowanym stroju rycerza pustyni, na koniu z kolorową uprzężą, z lancą i całym arsenałem broni siecznej, przemierzał dumnie mokrą część piasku.

- Może tu się zatrzymamy? - zapytał Zelent, widząc całą gromadę jeżdżących na deskach surfingowej, po wysokiej fali przyływu, dalej za jeźdźcem.

- Dobrze, Stasiu! - odpowiedział Franek, rozglądając się za dogodnym miejscem.

Wybrał je przy kilkunastoosobowej grupie wesoło rozmawiających Niemców, którzy raz po raz wybuchali głośnym

śmiechem, reagując żywo na opowiadanie jakiegoś wesołka, dzielnie wspieranego przez przekrzykującą go blondynę bez biustonosza. Panie i panowie z sąsiedztwa, w średnim wieku lub w świeżo emerytalnym, z bogatym ekwipunkiem plażowym, najbardziej budzili zaufanie i wyglądało na to, że pozostaną na miejscu zawsze pilnując swego dobytku.

- Dobrego popołudnia! Czy możemy zostawić koło was swoje rzeczy? Chcemy trochę popływać dla ochłody, a nie chcielibyśmy później wracać tylko w majtkach - zagadnął do sąsiadów po angielsku Strzelczyk

- A jak my coś zwiniemy? - żartowała pyskata blondyna.

- Tego się nie obawiamy! Na sąsiadów zawsze można liczyć! - odkrzyknął śmiejąc się Franek.

- Skąd jesteście? Jakiej narodowości? - zapytał jakiś Niemiec.

- Naprawdę jesteśmy sąsiadami, z Polski!

- Dzień dobry! - odezwał się po polsku jakiś starszy pan.

Jak się okazało później w rozmowie, był to Niemiec, którego matka była Polką. Franek ze Staszkiem spokojni o swoje rzeczy poszli popływać. Pluskali się beztrósco w dużych falach przyboju, przyglądając się akrobacjom na deskach surfingowych i nurkującym pod fale turystom. Ochłodzeni wracali do swych ciuchów susząc się w słońcu.

- To był dobry pomysł na zostawienie swych rzeczy - pochwalił Zelent, gdy dochodzili do grupki Niemców.

- Wypróbowana metoda. Kiedyś na tej plaży podobnej grupce bez obawy zostawiłem rower i kamerę - odparł Strzelczyk.

Po serdecznym pożegnaniu z wesoło usposobionymi sąsiadami szli jeszcze długo pograniczem suchego i mokrego piasku. Wśród plażowiczów tylko niekiedy dostrzegali ciemną karnację tubylców, najczęściej młodych Arabów, podglądających opalające się gdzieśgdzie, skąpo ubrane Europejki bez biustonoszy.

- Zobacz Franek w lewo, jakaś czarna też się opala po europejsku - zauważył Zelent. - Jej opalanie niepotrzebne. Powinna raczej leżeć w cieniu, żeby się wybielić.

- To też niewiele by zmieniło, nawet gdyby codziennie kąpała się w mleku i tak będzie czarna - odpowiedział Franek, przerzucając wzrok na budowle widoczne z lewej strony plaży.

- Właśnie dochodzimy do kąpieliska francuskiego. Zobacz tam! - wskazał na okazały budynek wynurzający się z zieleni palm i dużych tropikalnych drzew. - Tam będziemy wychodzić, a potem będziemy wracać ulicą biegnącą przez tę zielen, pomiędzy hotelami, przez medinę i centrum handlowe, aż do naszej góry.

Drugi popatrzył we wskazanym kierunku i obejrzał się za siebie. Góra pozostała daleko z tyłu, a przyczepiony do niej port i ogromna rzeźba dawno przestały być widoczne.

- Kawał drogi! Może jeszcze raz wejdziemy do wody, nim opuścimy plażę? - zaproponował niezbyt zdecydowanie.

- Czemu nie! - odpowiedział Franek. Trzeba to wykorzystać, bo nie wiadomo kiedy znów nadarzy nam się taka sytuacja i tak ładne miejsce.

Nie kąpali się jednak długo. Nim całkiem obeschli, weszli w alejkę francuskiego kąpieliska z zespołem hotelowym, która - jak mówił Franek - prowadziła do głównej ulicy. Póki co, ulicy nie było jednak widać.

Szli alejką wyłożoną dużymi płytami ładnego kamienia, wyszlifowanymi prawie jak marmur, która wiła się wśród bujnej roślinności. Różne gatunki palm, krzewów poplątanych pnączami jaskrawych kwiatów, dziwaczne tropikalne drzewa ze zwisającymi lianami, kępy bananowców lub bambusa, czasem wysokie na kilka metrów kaktusy lub inne ich odmiany przyczepione do niewielkich skałek, pooddzielane przystrzyżonymi trawnikami z całą gamą kwitnących klombów, tworzyły niezwykle kompozycję roślin i kwiatów wzdłuż alejki.

Rzeźby i fontanny przed budynkiem, kolorowe ławeczki, oczka wodne z bogatą roślinnością z której często wystrzelały ponad wodę wielkie kwiaty, z pstrokatymi rybkami pluskającymi się wśród pływających liści, bez przerwy przyciągały wzrok. Zapach tysięcy kwiatów, jakim było przesycone ciepłe powietrze, uzupełniały jeszcze odgłosy ptaków zanurzonych gdzieś w zieleni, bądź pozakrywanych tęczowymi kobiercami.

- Jesteśmy jak w raju - westchnął Zelent. - Gdybym miał zaprojektować raj, to nic lepszego bym nie wymyślił - dodał chłonąc wzrokiem widok, jaki go otaczał. - Ale, ale ... - nie dokończył i widać było, że gwałtownie posmutniał.

- Co ci Stasiu? - zapytał łagodnie Strzelczyk.

- Nic. Nic chief. Tylko pomyślałem sobie o mojej żonie i córeczce...

- Nic na to nie poradzisz. Nie rozklejaj się - cicho dokończył Franek. - Głowa do góry! - dodał głośno, klepiąc w ramię młodego przyjaciela.

Szli krótko w milczeniu.

- Tak! To prawda. Tu jest jak w raju. Ten ośrodek najbardziej mi się spodobał, chociaż niemiecki, na górze koło medyny, też jest wspaniały i ma przepiękne baseny w różnych kształtach, z murzyńskimi chatkami wokół ukrytymi wśród palm - mówił Strzelczyk pragnąc odwrócić uwagę Zelenta od wspomnień.

- Wiesz co, Stasiu, myślę, że już nie będziemy tam wchodzić. Nie zdążymy.

- Gdzie nie będziemy wchodzić - zapytał Zelent, jakby dopiero się budząc.

- Jak to gdzie? Do tego niemieckiego ośrodka!

- A tak! Przepraszam.

- Nie szkodzi! Mówiłem, że tam nie zdążymy. Tu i tak bardziej mi się podobało. Szkoda tylko, że te cuda natury, posegregowane ludzką ręką, pokazałem ci na wstępie, bo teraz już nic cię nie zaszokuje.

Tak jednak nie było. Wartkie opowiadanie Franka i obrazy wokół zagłuszyły nostalgię. Idąc zacienioną stroną ulicy Staszek co rusz podziwiał wyszukane kompozycje roślin i kwiatów, wystroje budynków i całe bogactwo architektoniczne nowoczesnych hoteli, wkomponowanych w tropikalną roślinność.

Najczęściej słyszało się rozmawiających Niemców, którzy mieli tu większość ośrodków, ale słychać też było angielski i francuski. W tej części Agadiru tylko niekiedy można było spotkać idących ulicą Arabów, a jeszcze rzadziej Arabki w swych charakterystycznych strojach i zakrytą twarzą.

Słońce chyliło się do zachodu, gdy po wyjściu z centrum handlowego znaleźli się przy przystanku autobusowym. Trudy całego popołudnia mocno dawały im się we znaki. Weszli do pobliskiej knajpki, by ugasić pragnienie. Popijając zimne piwo, od którego rosa osadzała się na szklance, w spokoju spoglądali z wysokiego tarasu na rozciągającą się w dole plażę i miasto. Niedawne, obfite opady i zbliżający się wieczór sprawiły, że zieleń zrobiła się czysta i jaskrawa, a wieczorne powietrze bardziej rześkie. Słońce opadające do granatowego oceanu przemykało pomiędzy wysokimi palmami naprzeciw tarasu, stając się coraz większe i bardziej czerwone. Ostatnie jego promienie jeszcze igrały w liściach najwyższych palm, dając jaskrawe czerwone refleksy świetlne na coraz bardziej ciemnych pniach i długich, zwisających liściach.

Jeszcze siedzieli niewiele z sobą rozmawiając, jakby chłonąc widoki zapadającego tropikalnego wieczoru.

Twarz Franka była spokojna, nieprzenikniona i trudno było odgadnąć, gdzie błądzą jego myśli. Równie dobrze mógł dokładnie śledzić zachodzące wieczorne zmiany w przyrodzie, rozwiązywać jakieś własne problemy, czy też zastanawiać się, co nurtuje jego przyjaciela, siedzącego obok.

Zelent obracał swoją szklankę w rękę, przyglądał się jej, również przerzucał wzrok na zachodzące słońce i wyglądał coraz bardziej markotnie.

- Pójdziemy już, Stasiu, bo może trzeba będzie poczekać na autobus, a jak autobusu nie będzie, to pójdziemy pieszo - zaproponował Strzelczyk.

- Tak, dobrze - przytaknęła Zelent,

- Co tobie? Nie rób z siebie płacziwej baby. Życie jest jakie jest i tego nie zmienisz, a sam wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Głowa do góry, Stasiu! - głośno pocieszał go Franek, robiąc przy tym wesołą minę.

- Czasem przychodzi taka chandra, tęsknota, i nie powiesz chyba, że ty jesteś wolny od tego. Sam na początku też gdzieś odlatywałeś myślami.

- To inna sprawa, zupełnie inna sprawa - odpowiedział chief cicho i jakoś dziwnie poważnie.

Po krótkiej chwili mówił już zupełnie normalnie:

- Do tęsknoty można się przyzwyczaić, trzeba umieć z nią żyć, ona tylko umacnia związki, oczywiście, gdy się nie załamiesz i nie dasz ponieść zgubnej - jak powiedziałeś - chandrze. Takie jest życie i nic na to nie poradzisz. Nie jesteś, Stasiu, pierwszy i ostatni, który na kilka miesięcy zostawia swoich najbliższych i wychodzi na parę miesięcy w morze.

- To na pewno...

- Jeśli chcesz żyć, lepiej żyć, kupić sobie mieszkanie, dorobić się, to nie masz innego wyjścia i idziesz na ten kontrakt. Tylko na ten jeden, no, co najwyżej dwa. Ale później okazuje się, że jeszcze czegoś brakuje, wynikną nieprzewidziane wydatki, ktoś z rodziny potrzebuje pomocy i znów idziesz, bo też nie masz wyjścia. Łudzisz się, że to się zmieni i ani się spostrzeżesz, a ty się zmienisz, nawet tego nie odczujesz kiedy. Masz taki zawód, nie możesz znaleźć odpowiedniej pracy na lądzie, która by cię satysfakcjonowała i jako tako płatnej. Trzeba zmienić meble, może samochód, coś się popsuje i znów nie masz wyjścia.

Ale jedno ciągle pozostaje. Pozostaje ci nadzieja, na skończenie z tymi wyjazdami. Nadzieja, że osiądziesz na twardym gruncie, na lądzie wśród żony i dzieci, wśród znajomych. Tak zwyczajnie, po ludzku, do czego stworzyła cię natura.

Mówią: - „navigare necesse est” - jest koniecznością - i to jest prawda. Niech nawet będzie też i przyjemnością. To dobrze, to jest normalne, że człowiek to, co robi, powinien robić z zaangażowaniem i satysfakcją. Mimo wszystko, pływanie jest wbrew naturze człowieka, bo człowiek jest stworzony do życia na lądzie. To na lądzie, w domu, jest twoja kotwica. Zawsze będziesz tęsknił za żoną, dziećmi, za najbliższymi.

Teraz, Stasiu, musisz wiedzieć, że masz jeszcze kilka miesięcy do odsiedzenia na tym statku. Nie wolno za mocno brać sobie tego do serca. Nie masz liczyć dni ani tygodni, nie zamartwiać się. Przyjdzie na to czas przed samym powrotem. Ta druga strona też ma rozum i musi sobie jakoś poradzić.

Twojej żonie czas szybciej zleci. Ma dziecko, z którym może się cieszyć i martwić, ma nawał pracy, zakupy, dziesiątki normalnych

trosk i problemów. Wbrew pozorom, to kobiety bardziej są dostosowane do życia. Na pewno nie jest tak wyobcowana jak ty. Nie musi całymi dniami oglądać te same gęby, nie jest ograniczona przestrzenią, tą samą kabiną, w której zawsze coś warczy, szumi i wibruje, a przy złej pogodzie wszystko trzeszczy, skrzypi, zgrzyta, kiwa się i spada. O domu musisz myśleć ciepło, z nadzieją, i jak najmniej. Może nawet często, ale tak krótko, jak to jest tylko możliwe.

- Może to i racja - przytaknął drugi.

- Nie może, lecz na pewno! - zdecydowanie poprawił go Franek - Zobaczysz, jakoś się ułoży.

- Oby tak! Masz rację, nic nie jest za darmo. Nie było innego wyjścia. Ja w poprzedniej pracy miałem jeszcze całkiem przyzwyczajenie, zawsze mogę tam wrócić, ale niestety muszę mieć gdzie mieszkać. Zastrzyk pieniędzy z kontraktu na pewno mi to przyspieszy. A może z żoną przyzwyczajamy się do tej rozłąki?

- Navigare necesse est, vivere non est - powiedział jakby do siebie Strzelczyk.

- Co mówiłeś? Nie bardzo zrozumiałem - dopytywał się Zelent.

- To teraz nieważne. Dołożyłem tylko drugą część łacińskiego powiedzenia, która zawsze jest pomijana - odpowiedział posępnie Franek. - Mamy już autobus, chodź. Szybko! - ponaglał energicznie.

Autobus przerwał dalszą rozmowę. Zelent zauważył ponury nastrój chiefa, nadal nie mogąc zrozumieć kontekstu przysłowia. Próbował jeszcze kontynuować temat, gdy wysiedli z autobusu, ale nic już się nie kleiło. Po wejściu na statek drugi słuchał jeszcze rozmowy Franka z kapitanem. Dzielili się uwagami odnośnie wyładunku i wrażeń z miasta. Nim poszedł do swojej kabiny, usłyszał, że następnego dnia statek nadal będzie stał w porcie i że Niemiec wybiera się na plażę. Zjadł zimną kolację i poszedł do swej kabiny.

TEŚKNOTA

(Jeśli kiedyś tęskniłeś za ukochaną osobą, to zrozumiesz tęsknotę marynarza, który na miesiące opuszczał najbliższych, gdy nie było Internetu i telefonów komórkowych, gdy nie było możliwości jakiegokolwiek kontaktu. Nie jestem polonistą, to było pisane sercem, więc niech na kartce i w sercu pozostanie).

Przyjemnie spędzone popołudnie przyniosło Zelentowi wiele wrażeń. Zrelaksował się po kilkunastu dniach spędzonych na statku, poleżał na plaży, popływał w morzu i pooglądał normalnie wypoczywających ludzi.

Byłem na luzie, jak na urlopie w domu – pomyślał, porządkując rzeczy z plaży i układając pamiętki, które kupił w mieście, wracając z Frankiem na statek.

Ten wielbłąd ze skóry i te afrykańskie bębny na pewno będą się podobać mojej Danusi. Tak, to będzie ładna i oryginalna pamiątka z Afryki – myślał, przyglądając się swoim zakupom.

Posegregował widokówki, którą gdzie wysłać i zabrał się za pisanie. Tę najładniejszą zostawił dla swojej żony.

Napiszę ją w spokoju, razem z długim listem, ale najpierw szybko załatwię kartki do rodziny i przyjaciół - pomyślał w duchu . Spoglądając na zdjęcie wiszące nad biurkiem powiedział głośno:

- Nie gniewaj się moja kochana, to tylko korespondencja, uprzejmości i pamięć, a do Ciebie chcę napisać sercem, z całego serca.

Przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny, która jakby uśmiechała się do niego, jakby była blisko. Tak bardzo lubił, jak się uśmiechała. I spojrzął na zdjęcie obok.

- Ty, dzidziu, też się nie gniewaj, że tatuś najpierw mówił do mamusi. Musisz to zrozumieć, że ona jest starsza i ma pierwszeństwo, ale ty jesteś tak samo ważna, całkiem ważna - mówił prawie głośno patrząc to na jedno, to na drugie zdjęcie.

Jestem wariat! Ktoś może pomyśleć, że gadam sam do siebie - pomyślał z niepokojem i spojrzął w stronę drzwi. Szum pracującego agregatu uspokoił go jednak i dodał głośno w stronę zdjęć:

- Macie takiego wariata, który mówi sam do siebie. Prawda? - Nie, nieprawda! On rozmawiał z wami. Może pozwolicie jednak, że dokończę z tymi kartkami - dodał po chwili.

Pisanie poszło mu dość sprawnie, ale najładniejsza kartka i list nadal zostały nietknięte.

Zacznę od kartki, bo tu generalnie też trzeba zachować standard - myślał. - Po co ktoś ma później za dużo czytać, gdy kartka będzie leżała na wierzchu? Jest taka ładna, że Danusia na pewno będzie trzymać ją pod telewizorem, nim nadejdzie nowa. Wszystkie serdeczności zostawię do listu. Napiszę wszystko. Że kocham, że tęsknię, że mi jej bardzo brak. Tak intymnie, od serca. Tylko dla niej.

Wyciągnął z szuflady mały albumik ze zdjęciami i zaczął go przeglądać. Najpierw tak pobieżnie, gdzie mu się otworzył, na chybił trafił, prawie od środka, zatrzymując się przy ciekawszych ujęciach. Długo przyglądał się zdjęciu podobnemu do tego nad biurkiem.

Tu chyba wyglądasz jeszcze ładniej. Prześlizgnij! Może zamienimy te zdjęcia, co? - pytał w myślach patrząc to na jedno, to na drugie zdjęcie.

Nie, tak jest dobrze, jak było. Nad biurkiem ładniej się uśmiechasz - zdecydował.

Hmmm! Ale tu mam prawie całą sylwetkę, taką bardzo kobiecą i kuszącą - myślał, wpatrując się w zdjęcie w albumiku. - Jednak nie! Za bardzo kuszącą.

Mimo to, jakby podświadomie, przerzucał cały albumik szukając sylwetki, ubioru i pozy podkreślającej figurę i kobiece kształty.

- Moja kochana, moja najdroższa. Żebyś ty wiedziała, jak bardzo mi teraz ciebie brak, jak bardzo cię pragnę - szeptał do fotografii. - Mówił żarliwie i z takim przejęciem, jakby to było pierwsze, najprawdziwsze i czułe wyznanie składane dziewczynie będącej tuż obok, w jego ramionach.

- Czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham? - pytał całując zdjęcie. - Żebyś ty wiedziała?

Jakiś czas siedział jeszcze nieruchomo, zagłębiony w swych myślach. Dopiero dudnienie opuszczanych klap i stuk zamykanej ładowni przywołało go do rzeczywistości.

Jest już późno! Ale się rozkleiłem - zauważył spoglądając na zegarek. - Ten list napiszę jutro, bo dziś za bardzo jestem rozstrojony. Pójdę spać - zdecydował.

Trudy całego dnia, kąpiel w morzu i wiele doznanych wrażeń był mocno męczący. Poczł się senny. Położył się wygodnie i pragnął jak najszybciej zasnąć. Mimo, że powieki prawie mu się kleiły, to sen jednak nie nadchodził. W głowie czuł jakiś szum, płątały mu się myśli, przychodzące wbrew woli i kotłowały różne obrazy. Te z dzisiejszego dnia - uliczny bazar, gdzie kupował skórzanego wielbłąda, fala przyboju, góra nad portem, czarna dziewczyna opalająca się bez biustonosza, palmowa alejka, i kwiaty, dużo kwiatów - przeplątały się z obrazami spod Wieżycy. Pola, łąki i lasy nad Jeziolem Ostrzyckim stawały się coraz bardziej ostre i wyraźne. Był dom rodzinny, ogród u teściów i park, gdzie często spotykał się ze swą narzeczoną.

Zasypiał na krótko. Płatanina osób, nieskładnych myśli i sennych majaków budziła go z coraz większym szumem w głowie. Przewracał się spocony, próbując na powrót zasnąć.

Sen jednak nie nadchodził. Męczył się usiłując „liczyć barany”. Odczuł wyraźną ulgę, gdy myśli skierował do swojej Danusi, pod Wieżycę i do Gdyni. Powrócił myślami do zdjęć w albumiku i do wspomnień. Układał w głowie wszystko po kolei, tak jak było, zaczynając od zdjęcia włożonego w okładkę albumiku, od początku:

- wczesna wiosna, ledwo stopniał śnieg, wtedy ją poznałem. To dlatego na pierwszym zdjęciu, które jest w okienku okładki, ma na sobie płaszczyk z taką futrzaną obwódka - przypominał sobie. - Jeszcze parę razy w nim chodziła, nim zrobiło się ciepło.

Miłość od pierwszego wejrzenia? Czy tak było? - zastanawiał się leżąc na koi i coraz mocniej zagłębiając się we wspomnienia.

Przecież kiedyś już ją widywałem. Tak, na pewno widywałem. Ale dziewczyny chyba nie interesowały mnie wtedy na poważnie. Bo jak to wytłumaczyć?

Pierwsze spotkanie, trochę sztywne, jak sztubak. Zaraz na drugi dzień, po przyjeździe na urlop z pracy na urlop do rodzinnego domu. Czy tak musiało być? - I dobrze.

Gdy wróciłem do domu po tym spotkaniu, to myślałem już tylko o niej. Jak nigdy dotąd! Jak teraz - pomyślał i uśmiechając cicho przytulił się do poduszki.

Na to spotkanie następnego dnia w mieście czekałem jak na rozpalonych węglach. Byłem z pół godziny przed czasem. Ona była punktualna. - Nie, też przyszła wcześniej, pięć minut.

Po powitaniu przysły wszelkie obawy, byliśmy jak starzy znajomi. Tak bardzo chcieliśmy ze sobą rozmawiać, być blisko, a ten czas tak szybko leciał. Za szybko.

A potem odprowadziłem ją pod sam dom. Szliśmy powoli, boczną ścieżką, jak najwolniej. Już prawie w ogrodzie zatrzymaliśmy się, żeby się pocałować i objąć na pożegnanie. Boże! Tego nie zapomnę! – rozmyślał. Wygodnie wyciągnął się w koi i położył sobie ręce pod głowę.

Aż zadrżałem, gdy się do mnie przytuliła. Jak dzieciak! Chyba oboje czuliśmy się tak samo. Mimo zimnego wieczoru tak mocno czułem żar jej policzków. Wydawało mi się wtedy, nam obojgu, że możemy tak stać przytuleni do siebie całą wieczność. Ale cóż, trzeba było się pożegnać i znów rozstać do następnego dnia.

Tak trudno było się rozejść. Jeszcze jeden pocałunek na pożegnanie, i w policzek, i we włosy podkreścone koło ucha, i w szyję.

To wtedy po raz pierwszy poczułem ten jakiś niezwykły zapach bijący z jej ciała. Ten jej zapach, który aż zakręcił mi w głowie. Niesamowite! Ten zapach był przyjemniejszy od zapachu wszystkich kwiatów. Taki mocny i niezwykły. Nieporównywalny.

Zelent przewrócił się na bok wtulając w poduszkę. Pociągnął nosem, jakby tym chciał przywołać zapach spod Wieżycy, by móc z nim zasnąć. Mimo ciepłej marokańskiej nocy zrobiło mu się jakoś zimno. Był spocony, ale czuł dreszcze na ciele. Chciał zasnąć. Przewracał się z boku na bok, ale na próżno. Przeszkadzały mu dolatujące odgłosy agregatu prądotwórczego.

Przecież agregat na „Coral Sea” pracuje tak cicho w porównaniu do hałasu silnika głównego i śruby, gdy płyniemy, a mimo to nie mogę zasnąć - zastanawiał się, przewracając na drugi bok.

Sen jednak nie nadchodził. By sprawić sobie ulgę, nie słysząc agregatu, na nowo myślni wrócił pod Wieżycę.

Przez całe dwa tygodnie spotykaliśmy się codziennie, gdzie się dało. Boże, jak ten czas szybko leciał, gdy byliśmy razem, a jak mi się dłużyło, nim skończyła pracę - przypominał sobie. - Dobrze, że chodziła do pracy, to przynajmniej mogliśmy się spotykać w różnych miejscach, daleko od domu. Mogłem ją potem długo odprowadzać. - Koło jej domu było już ciemno.

Przytulaliśmy się na powitanie spacerując po parku w mieście. Tak na luzie. Nie widząc nikogo dookoła, tylko siebie. Jak dwoje skowronków zapowiadaliśmy szybkie nadejście wiosny. - Tak, na pewno nie było jeszcze liści na drzewach. I było błoto na bocznych ścieżkach. - Ale zimna nie pamiętam.

Przystawaliśmy idąc ścieżką wśród pól nie opodal jeziora. By się przytulić, objąć, popatrzeć na srebrną wodę, gdy wcześniej wschodził księżyc. Ale najczęściej by się zatrzymać. Wiatr niósł zapach i szum jeziora. Jak bardzo pragnąłem czuć jej zapach. Jak bardzo! Później, już w Gdyni, gdzieś się ulotnił, gdy urodziła się córeczka. - Szkoda, że się ulotnił.

Jak mi ciężko było wracać z urlopu. Strasznie ciężko! Tak jak teraz na „Coral Sea”. Zupełnie tak samo! - Te rozstania.

Ale przed wyjazdem powiedzieliśmy sobie wszystko. - Że zawsze będziemy razem, aż do końca! Boże, kiedy ja zasnę?

- Śpij, moja kochana, śpij. Musimy już spać, bo jutro wcześniej muszę wstać do pracy - mówił cichutko i tak łagodnie, jakby ją usypiał. Jakby była blisko niego.

Znów przewrócił się na bok.

To już chyba dzisiaj muszę wstać do pracy. Dlaczego nie mogę zasnąć? - Zastanawiał się coraz bardziej zmęczony. - Muszę zasnąć! Jak to mówił Franek? Już wiem! „O domu trzeba myśleć często, ale jak najkrócej” – łatwo powiedzieć.

Leżał jakiś czas, próbując nie myśleć o niczym. Wydawało mu się, że już prawie zasypiał, gdy jakieś skrzywienie zaczęło dolatywać

do jego ucha. Zlokalizował je wstępnie w okolicy szafy. Dobiegało jednostajnie w rytm pracy dudniącego cicho agregatu.

Ach to drobnostka. Musiałem niedokładnie domknąć drzwi i skrzypią teraz od wibracji - pomyślał.

Wtulił mocno jedno ucho w poduszkę, a na drugie położył rękę próbując spać dalej. Odgłos pracy agregatu przestał być słyszalny, ale skrzypienia nie wyeliminował. W dalszym ciągu dolatywało jednostajnie i monotonnie, po pięć skrzypnięć w rytm wibracji silnika. Czuł jak coraz głębiej przewierca mu głowę.

- Muszę domknąć te cholerne drzwiczki, bo nie dadzą mi zasnąć.

Wstał z koi i zapalił światło nasłuchując, skąd dolatuje skrzypienie. Doszedł do szafy i przyciskając kolejne drzwiczki próbował ustalić, co wibruje i skrzypi. Na próżno. Szafa okazała się dobrze domknięta. Chwilę nasłuchiwał. Skrzypienie dolatywało gdzieś z góry. Dotykał kolejnych płyt laminatu, przykręconych do sufitu. I nic! Zaczął dociskać obudowę oświetlenia. Ucichło, znalazł przyczynę.

To ten cholerny wkręt poluzował się od wibracji i skrzypi obudowa. Muszę podłożyć coś miękkiego w szczelinę i dokręcić, by nie wibrowało - doszedł do wniosku.

Gdy to zrobił, znów się położył, chcąc szybko zasnąć. Sen jednak nie przychodził.

To pieprzone skrzypienie całkiem wybiło mnie ze snu, a dawno jest już po pierwszej - myślał, starając się uspokoić. - Zasnąć! Muszę zasnąć. Spokojnie muszę zasnąć.

A może zacznę odmawiać zdrowaśki, zamiast „liczyć barany”? - zastanawiał się przez chwilę.

Dobry pomysł. Za moje panny w Gdyni. Dużą i malutką - zdecydował.

Zdrowaśki odmawiał monotonnie, coraz wolniej, prawie tak jak się śpiewa „aaa, ko-tki dwa” zasypiającemu dziecku. Dziecko z pięć razy zdążyłoby już zasnąć od tej monotonii, ale na Zelenta i to nie skutkowało.

- Co za francowata noc! - zaklął zdenerwowany, przerywając zdrowaśki.

Położył się na brzuchu, rozwalając na całą szerokość koi z jedną ręką założoną na poduszkę koło głowy, a drugą wyciągniętą wzdłuż ciała.

Za was się modliłem - pomyślał łagodnie, prawie całkiem uspokojony.

Westchnienie w modlitwie, krótka intencja, przy braku snu na powrót skierowały myśli Staszka do żony i nad Jezioro Ostrzyckie, nad które wracał na urlop. Przyjeżdżał regularnie co dwa tygodnie od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Przypominał sobie, jaki był szczęśliwy, gdy znów mogli być razem i jak bardzo było mu ciężko bez niej wracać.

Przecież już przed pierwszym wyjazdem ustaliliśmy oboje, że weźmiemy ślub. Najpierw chcieliśmy, by był w lecie, potem pod koniec lata, a potem ciągle się przesunęło, prawie w nieskończoność. A jak wszystko się gmatwało? - przypominał sobie Staszek.

Boże! Ile myśmy przeszli. Ile przykrości! I jaka byłaś dzielna, moja rybko? - zastanawiał się.

Oboje byliśmy dzielni. Dlaczego ludzie robią sobie tyle kłopotów? Szkoda o tym myśleć, szkoda nocy.

Odsuwał z myśli niedobre wspomnienia. Chciał je wymazać, zresetować jak komputer i przywrócić dobry program. Tym dobrym programem była jednak jego Danusia.

Zamknięty krąg, błędne koło - myślał. - Wszystkie troski i radości to Ty. Wolę to przyjemne. Ale czy ja w końcu dzisiaj zasnę? Muszę próbować.

Ale tak nam było fajnie. Zawsze było fajnie. Chodziłem wtedy jak zauroczony, jak lunatyk. I taki inny! Niekiedy dziwiłem się sam sobie. Nawet śmiałem się sam do siebie, do całego świata. Albo jak patrzyłem na zakochane pary? Na pewno może nie zawsze zakochane tak jak my, ale idące pod rękę, gdy spacerowały lub tańczyły. Będąc daleko, lubiłem patrzeć na tańczących. Zdarzało się niekiedy, że miałem czas. Siedziałem i patrzyłem, i widziałem wtedy nas dwoje. Razem tańczyliśmy, nawet w myślach. Mówiłem wtedy do Ciebie, że jak się pobierzemy, to będziemy często chodzić

tańczyć. Dlaczego później po ślubie, już w Gdyni, tak mało chodziliśmy na tańce? Dlaczego?

No tak! Już wiem. Później nie było kiedy. Cięża, wynajęte mieszkanie, nasza córeczka. A teraz ja jestem w morzu daleko od Ciebie. Jak wrócę z „Coral Sea”, to pójdziemy potańczyć. Obiecuję Ci to, moja kochana - przyrzekał jej w myślach. - I nie sądz, że mniej o Tobie myślę.

Jakiś czas leżał ze skaczącymi myślami, pomiędzy dzisiejszą rzeczywistością w dalekiej Afryce i tą sprzed lat.

A wiesz, moja kochana, jak patrzyłem na świat, gdy wyjeżdżałem od Ciebie? - pytał ją w duchu.

Gdy opuszczałem Cię na te dwa tygodnie, to uśmiech każdej dziewczyny przypominał mi Ciebie. Czuję do nich tyle ciepła i życzliwości. Tyle sympatii! Jak do jakichś niebiańskich istot. Niebawym wtedy przychylił dla całego świata. Patrzyłem na ładne dziewczyny, pary zakochanych i cieszyłem się. Śmiałem!

Śmiałem się wtedy do Ciebie, moja kochana. Ty byłaś też z tego grona niebiańskich stworów. Na pierwszym miejscu! Byłaś głównym niebiańskim stworem.

Patrzyłem tak bez żadnej rywalizacji, bez porównania, bez najmniejszego cienia zazdrości czy jakiegokolwiek pożądania. Zupełnie odwrotnie. One przypominały mi Ciebie, oni nas, a wszystko razem, że byłaś jakby bliżej mnie. Widziałem tylko Ciebie. Do Ciebie się uśmiechałem i nawet patrząc z daleka na jakieś dziewczyny, obojętnie jakie, widziałem tylko Ciebie. A najlepiej, jak dostrzegałem uśmiech podobny do Twojego. Przeszywał mnie wtedy czasem taki przyjemny dreszcz, jakbyś była blisko. A chciałem być blisko. Wszystkimi myślami, w każdej wolnej chwili, byłem przy Tobie.

Byłaś dla mnie świętością, o której nawet źle pomyśleć było grzechem. Już następnego dnia po wyjeździe do Gdyni pisałem do Ciebie list. Codziennie je pisałem. Czasem nawet obawiałem się, żeby ktoś nie pomyślał, że jestem wariatem. Nie, nie Ty. Wiedziałem, że Ty chciałaś tych listów. Ale ludzie, twoi rodzice? W małej miejscowości wszyscy o wszystkim wiedzą. Czasem jest tyle

bezinteresownej zawiści, tyle głupoty. Tak jak w stosunku do nas. W ramach miłości bliźniego.

Niektóre rzeczy można zrozumieć. Teraz nawet niektóre da się usprawiedliwić. Ale nie wszystkie, chociażby jak te jadowite anonimy. Brr! Takie wstrętne! Ile ktoś może mieć podłości, żeby coś takiego wymyślić i zrobić? Ile podłości!

Zelent aż się otrząsnął na samo wspomnienie. Tak bardzo odsuwał wcześniej na bok te złe wspomnienia, a one przyszły same. Nie chciał ich. Myśli o Danusi były ukojeniem, a tak gwałtownie teraz mu się przypomniały te przykrości. Podwójnie nieprzyjemnie, bo i tak męczył się, nie mogąc zasnąć.

Położył się na wznak z rękami pod głową, tak spokojnie, jak leży się czasem dla relaksu. Starał się odprężyć i nie myśleć o niczym, nim się uspokoi. Leżał tak chwilę z odpływającymi myślami, oddalając się coraz bardziej od rzeczywistości, prawie zasypiał. A może rzeczywiście na krótko zasnął. Po jakimś czasie tworzył oczy, jakby się budził po twardym śnie w obcym sobie miejscu, nie bardzo wiedząc, gdzie jest.

Ach tak! To moja kabina na „Coral Sea”. Tak długo nie mogę zasnąć. A może trochę spałem? - zastanawiał się, wracając do świadomości.

Zamknął spokojnie oczy i skoncentrował myśli na wydarzeniach sprzed lat:

Dziwne, że tak długo odsuwałem na bok te wspomnienia. Bardzo dziwne - westchnął.

To dlatego moja kochana, że blisko Ciebie nawet nie chciałem myśleć o niczym złym, co ma jakikolwiek związek z Tobą. Nie z tobą, źle mówię, ze mną. Też nie! Już wiem! To dlatego, że myśli o Tobie wiązałem tylko z dobrem, z przyjemnością i szczęściem. Nie chciałem, by nawet najmniejsza rysa mogła to zakłócić.

Ale jestem głupi. To nie jest żadna rysa. To tylko przykrości, które dotknęły nas bez naszego udziału. Zwykła ludzka głupota i nic więcej. To tylko dobrze o nas świadczy. A Ty byłaś taka dzielna moja rybko i taka zdecydowana. Tak samo jak ja.

Zelent poprawił się w koi i nadal porządkował myśli:

Tak na spokojnie, to teściów całkowiec można zrozumieć. Kochali cię przecieź tak samo jak ja i z tobą wiązali swojĄ przyszłość. Nie chcieli, żebym cię zabierał z ich rodzinnego domu. To ludzka rzecz. Mieli przecieź dość duże gospodarstwo i chcieli je oddać w gospodarskie ręce razem z tobą. Tobie je chcieli zostawić. Ojcowizna dla Kaszuba święta rzecz.

A ja co? Marynarz, który zabiera cię daleko do miasta, wśród obcych, na niepewne życie i na ciągle rozłąki. Chyba obawiali się tego dla twojego dobra i robili to za ciebie.

- A może mieli trochę racji?

To ich trochę usprawiedliwia. Faktycznie to ten kawaler, który do ciebie przychodził, nadawał się na solidnego gospodarza. Nie powiem, niczego nie można mu było zarzucić. Byłem nawet dumny, że mnie pokochałaś, nie dając mu żadnych złudzeń. Widziałem to i nie tylko ja to widziałem. Tak, moja kochana. To co do siebie czuliśmy nawzajem, było widać z daleka.

- Czy wiesz, że początkowo wydało mi się to nawet zabawne? Bo pomyśl. Przyjeżdża do ciebie kawaler, rozmawia z twoimi rodzicami ze dwie, trzy godziny, a my siedzimy w zasięgu wzroku lub spacerujemy po ogrodzie jak dwie papużki nierozłączki. Czasem przywoływali cię pod jakimś pretekstem, chyba żebyś się z nim przywitała. Obserwowałem cię. Szłaś służbowo, tak niechętnie i natychmiast do mnie wracałaś.

Chyba ze trzy razy spotkałem go u ciebie, właściwie u twoich rodziców, a nawet zamieniłem z nim kilka słów. Takich ogólnych, o niczym, bo nigdy wcześniej nie znaliśmy się. Zobaczyłem smutek w jego oczach. Taki przyzwoity smutek bez złości i zrobiło mi się go trochę żal. Moja najdroższa, on cię też kochał. Być może nie tak mocno jak ja, ale na pewno tak. On nie miał złudzeń, co do siebie czujemy.

Rozmawiał z twoimi rodzicami o sprawach gospodarskich. Długo z nim rozmawiali i czułem koło siebie coraz większy chłód. Może niechęć?

Nie ukrywaliśmy naszej miłości, cieszyliśmy się nią i chcieliśmy się pobrać. Tylko my tego chcieliśmy. A tak naprawdę, to nawet nie mogliśmy oficjalnie się zaręczyć.

A potem zaczęły przychodzić te anonimy. Do ciebie, do mnie i do twoich rodziców. Wredne, parszywe anonimy, o których nie warto by nawet bąknąć, bo takie były podle, gdyby teściom nie dołały oliwy do ognia.

- Moja najdroższa, moja kochana - szeptał cicho Staszek, na powrót wtulając głowę w poduszkę. - Najbardziej ty ucierpiałaś. Podziwiałem cię wtedy za to i kochałem jeszcze mocniej. Zaczęliśmy walkę o siebie i dla siebie, nawet gdyby miała być z całym światem.

- Jaka byłaś dzielna, moja kochana. Jaka dzielna! - wzdychał Zelent, czując ciepłe i wilgotne pieczenie w oczach. Coś ścisnęło go za serce.

Zaszlochał cicho ze wzruszenia, mocno poruszony wspomnieniami spod Wieżycy. Wzruszenie przenikało go do głębi, do szpiku kości.

- Moja kochana! A teraz jesteś sama! Sama jak palec i z małym dzieckiem, z naszą córeczką, o którą tak walczyliśmy - szeptał.

Szeptając tak, w końcu zasnął. Sen Zelenta nie był jednak tym snem twardym jak kamień, po którym człowiek budzi się wypoczęty i zrelaksowany, lecz półsnem pełnym majaków i poszarpanych myśli, które same przychodzą i nękają bez końca. Czasem były to półrealne obrazy, jakieś skojarzenia pełne strachu i grozy, lub nieoczekiwane przyjemne impresje.

Senne mary zaprzęgały umysł Staszka do półświadomego rozwiązywania problemów, w takt zmieniających się widziadeł lub zmuszały go, by przypominał sobie wydarzenia spod Wieżycy. Zlany potem przewracał się w koi, zrywał w półśnie z krzykiem, po czym natychmiast zasypiał, na powrót zapadając w świat sennych obrazów.

Śniąc, wracał na skróty od swej ukochanej. Szedł ścieżką wśród pól. Łagodnie szumiało dorastające zboże i pachniały łąki pełne kwiatów. Pola skąpane w słońcu rozbrzmiewały muzyką tysięcy cykad i świerszczy. Schodził w dół nad jezioro o czystej wodzie i tafli gładkiej jak lustro.

Był już blisko, prawie tuż, tuż. Trzciny dochodzące do samej wody kołysały się łagodnie, podrygując w takt muzyki cykad. Coraz

bardziej pachniała łąka zmieszana z zapachem tataraku. Zelent schodził ścieżką i podskakiwał z radości. Uśmiechał się do każdej roślinki i całego świata.

Nad brzegiem jeziora skręcił w prawo, w stronę zaczynającego się zagajnika młodych sosen i kęp leszczyny. Nagle coś zazgrzytało nieprzyjemnie, przenikając go dreszczem. Ucichły cykady. Zerwał się wiatr. Poszarzało.

Jezioro zrobiło się jakieś inne. Pomarszczyło się i zmętniało. Młode sosny i leszczyny zastąpiła płatanina głógów i akacji. Nie wiadomo skąd pojawiły się grube pnie, które stały połamane bez konarów i gałęzi. Zza grubych pni czarne, owłosione łapy machały do niego listami. Przeróżliwy chichot rozlegał się dookoła. Jakaś maskara, wykrzywiając w uśmiechu swój kosmaty łeb, wciskała mu przed oczy kartkę papieru.

Dobrze się znamy - czytał Zelent we śnie. - Jesteś porządnym facetem i szkoda mi Ciebie. Ta dziewczyna, do której chodzisz, to cichodajka i puszczałka, jakich mało. Niejednemu już zawróciła w głowie. Wiesz, że... A dlaczego nie przyszła na spotkanie... Wiesz, z kim była i co robiła ... Ona udaje świętą i śmieje się z Ciebie, jaki jesteś naiwny. Tylko czeka, kiedy wyjedziesz, a wtedy... Tu ją wszyscy znają, ale nikt nie chce Ci tego powiedzieć. Z nią zawsze można się wesoło zabawić. Bardzo to lubi... A wiesz... Gdybyś nie był fajnym kumplem, to bym Ci wcale nic nie pisał. Ale... W podpisie: - Życzliwy!

- Życzliwy! Życzliwy! - zachichotała kosmata maskara.

- Życzliwy! Życzliwy! Życzliwy! - zawtórowały jej jakieś upiory, kryjące się za każdym pnem, a echo powtarzało to w nieskończoność. Przeróżliwy chichot, zmieszany z echem, dobiegał ze wszystkich stron. Upiory kryły się za drzewami, nie było ich dokładnie widać. Tylko na chwilę wystawiały swoje czarne, przeraźliwe pyski, powykrzywiane w szyderczym uśmiechu. Czasem przemykały pomiędzy drzewami, przeraźliwie się śmiejąc i zza grubych pni ciągle machały nowymi listami.

Kosmaty stwór zakręcił się, uniósł w powietrze i poleciał w stronę jeziora. Leciał wolno nad mętną wodą do jakiejś osoby daleko na jeziorze, której nie można było jeszcze rozpoznać. Zbliżał się do

niej coraz bardziej i obraz stawał się ostrzejszy. Staszkiem w śnie aż podrzuciło. Tą osobą na jeziorze była jego Danusia!

Stała po kolana w trzęsącym się bagnistym mule i zapadała się coraz bardziej. Błoto bulgotało wokół, dając straszliwy smród przy każdym pęknięciu błotnistej bańki. Maszkara zawisła koło niej z przeraźliwym, szyderczym uśmiechem i podsunęła pod nos kartkę papieru z wielkim, czarnym napisem:

„Dziewczyno, z kim to się zadajesz! Zelent ma dziecko w Trójmieście z taką jedną, która go rzuciła, jak okazało się, że miała kiłę, gdy je spłodził. Dziecko jest ułomne. To jest dziwkarz i pijak, jakich mało. Teraz tylko zgrywa przyzwoitego, bo się leczy. Otwórz oczy. To lump, który nawet nie ma pracy. Te jego wyjazdy to czysty bluff. Jesteś zaślepiona. Jeździ na leczenie i by trochę poszaleć, bo jak długo może udawać, że jest przyzwoity. A dowody to...”.

Staszek stał nad mętным jeziorem, patrząc, jak kosmata łapa wyciąga z koperty jakieś zadrukowane świstki i macha nimi przed oczami dziewczyny, coraz bardziej zapadającej się w błoto, które sięgało jej już do pasa. Patrzył na jej smutną twarz, widoczną daleko na jeziorze. Powoli tonęła.

- Ratuj mnie, Stasiu - usłyszał cichy szept, ledwo słyszalny wśród dzikiego chichotu upiórów, kryjących się za połamanymi pniami.

Rzucił się co sił na ratunek. Głogi i ciernie raniły go, nim wskoczył do mętnej wody jeziora. Płynął prosto do swej ukochanej, ale mętna woda coraz bardziej gęstniała, osadzała się grubym kożuchem na jego brodzie. Było coraz ciężej. Broda z osadzonego mułu ciążyła tak, że trudno mu było utrzymać głowę ponad wodą. Z całych sił przebierał rękami i nogami.

- Jeszcze tylko parę metrów i będę przy Tobie, moja ukochana!
- krzyczał przez sen, widział ją, jak pogrążała się w cuchnącym błocie.

Widział, jak ponad bagnem unosi się jeszcze jej śliczna twarzyczka, taka smutna i dziwnie czysta na tle brudnego jeziora. Patrzyła na niego z ufnością, a po policzkach spływały jej strumienie łez. Złapał ją za rękę.

- Nie płacz, moja najdroższa. Nie płacz. Jestem przy tobie - szeptał we śnie.

Oboje płakali, trzymając się za ręce. Byli szczęśliwi, że są razem. Każda kropelka łez podnosiła ich do góry ponad grzęzawisko i spłukiwała z nich warstwy mułu. Woda koło nich jakoś się przeczyszciała i zupełnie czysti wyszli na małą wysepkę pośrodku mętnego jeziora. Tylko wąski pasek wody wokół ich wysepki był czysty i świecący.

- Stasiu! Mój kochany!

- Co, moja najdroższa? - pytał ją, mocno przytulając do siebie.

- Tak się o ciebie martwiłam.

- Ja też moja Dusieńko, bo, bo widzisz - wyciągnął z kieszeni list.

- Najdroższy ty mój! Ja też martwiłam się o ciebie z tego samego powodu - to mówiąc wyciągnęła z torebki podobny list i podała go Staszкови.

Przytuleni do siebie coraz mocniej, razem przeglądali trzymane kartki. Czarny łeb maskary krążył z niepokojem wkoło ich wysepki, unosząc się nad obrzeżem mętnej wody i szczekał ze złości zębami. Duża torba listów zwisała z kosmatej szyi, zasłaniając cały korpus.

- Stasiuniu, kochany! Nie mogłam uwierzyć w te paszkwile, ale tak się niepokoiłam. Tak się bałam, bo tak bardzo cię kocham!

- Ja też, Dusieńko, nie mogłem uwierzyć w te gryzmoły! Ktoś chce nas rozdzielić. Moja najdroższa! Ja tak bardzo cię kocham! Tak bardzo ... Nawet nie wiem, jak to wyrazić. Tak bardzo... Brakuje mi słów.

- Nikt nigdy nas nie rozdzieli - szeptała, wtulając się coraz mocniej w jego ramiona.

- Nikt nigdy! Zawsze będziemy razem, moja kochana - mówił czule, przyciskając ją do siebie.

- Zawsze będziemy sobie ufać i wierzyć!

- I będziemy dla siebie dobrzy!

- I zawsze będziemy się kochać!

- Zawsze, Dusieńko i ze wszystkich sił.

- Zawsze będę cię kochać, Stasiu! Tak mocno! Bardzo mocno! – powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

Zelent przytulał ją do siebie, obejmował, pieścił i całował czule. Cała ich wysepka zapachniała jej zapachem, tym jedynym i niepowtarzalnym zapachem, takim mocnym i przyjemnym, jak nigdy wcześniej. Przyłgnęli do siebie, serca biły jednym rytmem. Ich gorące ciała plątały się w rozkoszy, tak do końca, do spełnienia. Wysepka szczęśliwości drgała w miłosnym tańcu.

Krążący wokół kosmaty łeb zawył wściekle. Maszkara podwinęła pod siebie ogon, zakręciła się i poszybowała nad mętną wodą jeziora w stronę domu dziewczyny. Leciała i gniewnie szarpała swoją torbę z listami. Na jezioro wysypywały się całe ich pliki. Spadały powoli, lądując na wodzie. Staszek i Danusia przytuleni do siebie, tak spokojni i szczęśliwi jak nigdy dotąd, spoglądali na opadające kartki.

Wyłowili z wody po jednej dla każdego z nich i zaczęli je wspólnie czytać.

- O Boże, co za oszczerstwa! Tego nie można czytać! Co za okropności - mówiła dziewczyna. Aż zarumieniła się i zasłoniła sobie oczy.

- To prawda. Nawet nie przypuszczałem, że mogą być takie przekleństwa i tyle złorzeczeń - odpowiedział Staszek i oburzony przedarł kartki na drobne kawałeczki.

Popatrzyli na jezioro. Na brudnej wodzie pływało jeszcze wiele listów, a nisko nad horyzontem, gdzie znajdował się dom Danusi, widać było jeszcze upiora, który wysypywał z torby resztę anonimów.

- Mój kochany! To nic dobrego dla nas nie wróży - szeptała z trwogą dziewczyna, wciskając się głęboko w ramiona Zelenta.

- Wiem, najdroższa. Wiem! Ale na pewno nic nas nigdy nie rozdzieli! Nie ma takiej siły. Czy mam rację?

- Tak Stasiu. Nikt nigdy nas nie rozdzieli. Nigdy! Na pewno nigdy!

I znów padli sobie w objęcia. Wysepka zadrgała w rozkoszy i zapachniała ciepłem ich ciał.

Zelent we śnie przewracał się w koi, jakby szukając rękami koło siebie swojej ukochanej. Obudził się zaszokowany i uprzytomnił sobie, że jest na „Coral Sea”.

- O Boże! Co za sen. Gdzie jesteś moja Dusieńko? Czemu tak daleko? – jęknął, próbując na powrót zasnąć.

Udało mu się to dopiero po jakimś czasie, ale nie na długo. Senne mary powróciły i znów przeniosły go pod Wieżycę, skąd wracał i wyjeżdżał do pracy. Jednak myślał tylko o Niej. Była częścią każdej jego chwili i treścią wszystkiego.

Chcieli się pobrać. Pragnęli to zrobić już! Wkrótce! Jak najszybciej! Ciągłe jednak na próżno. Nawet oficjalnie nie mogli się zaręczyć, bo i na to nie dostali zgody. Słyszeli: a to jeszcze nie czas, a to roboty w polu, jak ktoś kocha, to poczeka, co nagle to po diable a później wszystko się zmienia, lub że z pieniędzmi na wesele krucho.

- A jak może być ślub bez wesela? Co by ludzie powiedzieli? - Może w następnym roku?

Senne marzenia przeniosły go nad jezioro. Wyraźnie widział we śnie, jak siedzieli razem na grubym pniu mocno pochylonego drzewa, które wystawało z brzegu ponad wodę. Gładka tafla kryształowo czystego jeziora rozpoczynała się tuż pod ich nogami. Kolorowe liście ubarwione jesienią leniwie lądowały na wodzie.

- Stasiu, co z nami będzie? W domu nawet nie chcą słuchać, gdy próbuję o nas mówić. Co mamy robić? - pytała dziewczyna. Miała taki smutny i jakoś dziwnie poważny wyraz twarzy.

Zelent patrzył na nią zatroskany.

- Myślę, Dusieńko, że nasza przyszłość należy tylko do nas. Nie możemy w nieskończoność czekać, aż się zgodzą. I myślę, że nie patrząc, czy to się podoba twoim rodzicom, czy nie, musimy im to twardo powiedzieć.

- Chyba będzie z tego wielka kłótnia - powiedziała ze smutkiem i po twarzy poleciały jej kropelki łez.

- Nie płacz, moja kochana. Nie pozwolę, byś płakała! Czekałem, że może jakoś ich przekonasz, że może zmienią nastawienie do nas, ale teraz sam im to powiem. Twardo i po męsku! Nie zniosę

więcej, jak płaczesz. Wszystko będzie dobrze! Zobaczysz, moja najdroższa!

- Tak się boję awantury, Stasiu, tak się boję – szeptała, wtulając głowę w jego ramiona.

- Nie bój się! Zobaczysz Dusieńko, że wszystko będzie dobrze! Przecież całe życie przed nami. Na pewno się do nas przekonają. Oby to były nasze jedyne kłopoty w życiu. Nie martw się, moja kochana.

Zelent przyciskał ją do siebie, głaskał jej włosy, całował i pocieszał dobrotliwie jak tylko potrafił, z całego serca.

- Stasiu! Mój Stasiu! Ja tak się czuję przy tobie bezpieczna. Naprawdę! – mówiła, patrząc na niego z takim przekonaniem i takim oddaniem, aż Zelenta ścisnęło za serce. Poczuł, jak wzbiera w nim wielka siła, że jest gotów ponieść wszystko, byle ona czuła się bezpieczna. Dla niej mógł ponieść każdy ból i każdą przykrość.

To uczucie we śnie było tak głębokie i tak ostre, jak kiedyś nad Jeziorem Ostrzyckim. Zupełnie takie same. Zelent nawet nie był pewny, czy to sen, czy powracające bezwiednie wspomnienia. Był to jednak sen, bo miejsce w Ostrzycach było tak oddalone od rzeczywistego znad dalekiej Wisłoki.

W oczach swej ukochanej zobaczył jakieś zakłopotanie, jakby patrzyła na niego badawczo.

- Stasiu - szepnęła niepewnie.

- Co kochana? Co mój ty jedyny skarbie całej Ziemi? - pytał miękko i łagodnie.

- A gdybym była w ciąży? - zapytała cicho i nadal patrzyła pytającym wzrokiem.

Chwycił ją w objęcia z radością i przytulił do siebie.

- To dobrze, to bardzo dobrze - mówił spokojnie. Przycisnął ją z całych sił do siebie i całował po twarzy. - To wspaniale! Teraz już nikt nie będzie próbował nas rozdzielić. Dusieńko najdroższa! Moja kochana, bardzo się cieszę. Bardzo...

- Naprawdę się cieszysz, Stasiu? - zapytała z uśmiechem szczęścia, który zastąpił niedawną troskę na jej twarzy.

- Tak! Tak! Tak! Bardzo się cieszę! - krzyczał Zelent, skacząc koło niej z radości.

Dziewczyna zaniepokojona jego głośnym krzykiem, zakryła mu usta rękami.

- Ale nie musisz tak głośno się wydziierać, żeby wszyscy słyszeli - strofowała go, udając naburmuszoną.

- To jak mam cię przekonać, że się cieszę?

- Rób, co chcesz, ale żeby nie było głośno, bo jeszcze ktoś usłyszcy i będą plotki.

- Ale mnie chce się krzyżeć! Już wiem! Wykrzyczę to rybom pod wodą, a one nie zrobią plotek.

To mówiąc, rozpędził się i dał nurka w zimną wodę jeziora.

Obudził się na dobre, czując chłód zimnej wody wokół. Otworzył oczy, wyciągnął ręce spod kołdry i macał, czy wszystko jest suche.

To był tylko sen - stwierdził w duchu.

Co ze mnie za idiota? - zastanawiał się, już całkiem rozbudzony.

- Przecież Danusia mogła się wtedy mocno przestraszyć. Całe szczęście, że natychmiast wyskoczyłem z wody i zacząłem koło niej skakać z radości. Miała rację, gdy powiedziała:

- Ale ty jesteś wariat, Stasiu! Aż się boję o ciebie.

Rybacy dziś

(Felieton opublikowany w „Pulsie Kaszub”)

Tak był zatytułowany spektakl teatru faktu, który odbył się w holu Filharmonii Kaszubskiej w Wejherowie. Wiedziałem wcześniej, że będzie to sztuka reżyserowana przez Jolantę Juszkiewicz, zgodnie z tytułem poświęcona problemom dzisiejszych rybaków, w której to pani Jolanta będzie też odtwórczynią głównej roli. Długo zastanawiałem się, czy to w ogóle możliwe, by jedna zawodowa aktorka i kilku amatorów „rybaków” było w stanie przedstawić ten trudny problem tak, by spektakl był interesujący i

trzymał w napięciu. Jakich środków wyrazu, słów, scenerii i dźwięków użyje pani Juskiewicz do budowy dramaturgii i wrażenia? – zastanawiałem się kilkakrotnie. - Czy da się zrobić sztukę ze współczesnych uwarunkowań polityczno-ekonomicznych rybaków i w dodatku przedstawić to wszystko w interesujący sposób w filharmonii? Jak Jolanta Juskiewicz to zrobi? – rozmyślałem, jadąc samochodem do Wejherowa.

Parking przyległy do Wejherowskiego Centrum Kultury był już zastawiony, więc z trudem zaparkowałem samochód trochę dalej i przy padającym deszczu pobiegłem w stronę wejścia. Do czasu rozpoczęcia spektaklu brakowało siedem minut, ale prawie wszystkie miejsca na siedzeniach ustawionych w podkowę w obszernym holu były już pozajmowane. Dla siebie znalazłem jeszcze jedno wolne na samym skraju.

Rozpoczęło się. Zabrzmięła muzyka i wkomponowane w nią różne dźwięki, pojawiła się główna bohaterka. Była boso, w dziwnym szaro-ciemny stroju, z przyczepionymi kłębkami zwiniętych sznurów. W wyszukanych ruchach i gestach od razu przykuła uwagę widzów. Z boków wkroczyło kilkunastu starszych mężczyzn, w czarnych spodniach i białych koszulach i jakaś młoda kobieta ubrana w biel, z charakterystyczną ducha lub Białej Damy. Mężczyźni brali kłębki sznurów i rozwijali je rozchodząc się na schody po jednej i drugiej stronie od głównej aktorki przedstawienia. Weszli na taras powyżej, a część pozostała na schodach dzierżąc promieniście rozchodzące się białe linki, które niczym sznury rybackiej sieci opasywały uwięzioną w niej aktorkę. Poruszające słowa, niezwykle gesty, dziwna muzyka całkowicie mnie zaabsorbowały. Z uwagą i z wielkim napięciem śledziłem rozwój sytuacji. Czy Jolanta Juskiewicz utożsamia sytuację gospodarki morskiej? Czy jest symbolem dzisiejszego losu rybaków? Może jest głosem sumienia? A może jest po prostu rybą złapaną w sieć – pośpiesznie rozważałem, całkowicie pochłonięty śledzeniem narastającej dramaturgii.

Z tarasu na górze rozwinęły się w dół dwie plastikowe płachty, takie jakich używa się do zakrywania brudów podczas malowania.

Hm! – do zakrywania brudów – przemknęło mi przez myśl.

Z jednej strony usidłonej w sznurach aktorki ciemna folia, z drugiej jasna i przeźroczysta. Folie potrząsane na górze drgają i szumią, falują niczym morze. Dlaczego ta woda morska z jednej strony jest czarna, a z drugiej jasna? – znów przemknęło mi przez myśl. Kobieta w bieli podeszła do falującej jasnej folii i w rytm dźwięku i słów uderzała w nią rękami, jakby przeorać morskie fala. Jasna folia dudniła przy uderzeniach, pękała. Rozdzierała się jasna strona morza. Tylko ta ciemna, po drugiej ręce Jolanty Juskiewicz łopotała bez przeszkód i spokojnie falowała.

Z boku głównego miejsca spektaklu, gdzie pani Jolanta ciągle zaskakiwała ruchem, gestami i słowem, dostrzegłem trzecią kobietę, która grała, obsługiwała jakąś aparaturę i czasem coś śpiewała z niewielkim chórkim. Na scenę – taką umowną, bo faktycznie była to przecież tylko część holu – wychodził niekiedy jakby „człowiek z ulicy”, narrator.

Kobieta w bieli rozmawiała z narratorem, z krzykiem rozpaczony, co da jeść dzieciom, gdy łodzie nie wypłyną w morze, pobiegła w stronę schodów. Dla rybaków nie ma limitów połowowych, jak żyć, gdy rybackie łodzie uwięzione w portach. Rozbrzmiała rzewna pieśń kobiety w bieli o cięciu na pół rybackich łodzi.

Jaki piękny i wzruszający wokół tej Białej Damy – rozważałem dogłębnie poruszony. - Słowa świadczą, że jest to żona rybaka. A może jest to dobry duch wszystkich rybackich żon? – zadawałem sobie pytanie. – Szkoda, że akustyka jest tu taka słaba i dużo słów trudno zrozumieć.

Opadły folie morskich wód. Zwolniły się promieniste linki. Jolanta Juskiewicz leżała na granitowej posadce niczym ryba wrzucona z sieci. Przyłgnęła do zimnych kamieni. Potem owinęła się w spadnięte z góry morze z folii.

Boże takie ziąb, przeziębienie. Jest boso i tak zwiewnie ubrana – martwiłem się w duchu. – Co za determinacja i zacięcie aktorskie – nie mogłem wyjść z podziwu.

Dojrzałym wiekiem mężczyźni w białych koszulach i czarnych spodniach zeszli ze schodów. Teraz już wszyscy aktorzy byli na

dole. Rozlegały się słowa rybaków jak ludzi z ulicy. Nie były to narzekania lecz wygłaszane odczucia płynące prosto z serca. Były to zwykłe słowa jakie możemy usłyszeć wśród znajomych zatroskanych stanem naszej gospodarki morskiej i rybołówstwa: - czasem szorstkie, czasem wypowiedane z oburzeniem, a czasem drwiące.

Tak, to są prawdziwe rozmowy naszych rybaków – potwierdzałem w myślach z przekonaniem.

Jedni rybacy dalej wypowiadali swoje kwestie, a inni podchodzili do widzów i wręczali wąskie zadrukowane skrawki papieru. Otrzymałem dwa. Na jednym było napisane:

„Raport wspólnotowej agencji kontroli rybołówstwa 2007 – 2011

Polska	10.832 kontroli	790 statków	123 uchybień
Dania	1.719 kontroli	2.789 statków	76 uchybień
Szwecja	1.580 kontroli	1.390 statków	117 uchybień
Niemcy	884 kontroli	1.584 statków	28 uchybień
Finlandia	51 kontroli	3.332 statków	8 uchybień

Na drugim pasku było:

„Program operacyjny nie pozwala wykorzystać dopłat na podniesienie stanu technicznego polskiej floty jak i innych krajów wschodnich, zachęca natomiast likwidować jednostki pływające bez względu na ich stan. Sytuacja wygląda inaczej wśród krajów zachodnich. Te floty były już na wyższym poziomie technicznym i sukcesywnie wzbogaca się je ze środków europejskich.”

Wymieniłem się karteczkami z widzami obok, bo na paskach papieru były różniące się treści dotyczące dzisiejszych problemów rybołówstwa.

Tymczasem spektakl trwał dalej. Marmurowe czworokątne oczko wodne znajdujące się w holu Filharmonii Kaszubskiej do połowy było wypełnione wodą. Obok w wielu miejscach stały litrowe słoiki też pełne wody. „Ryba wyrzucona z sieci” wczołgała się do wodnego oczka. Odżyła. Jolanta Juszkiewicz brodząc po sadzawce rozpoczęła jakieś płąsy. Rybacy przysiedli na krawędziach

marmurowej sadzawki. Gdy aktorka w dziwnym tańcu jakby opadała z sił, biały duch rybackich kobiet, Biała Dama, nakazywała gestem i dotykiem, by tańczącą polewali wodą.

Znów gesty, ruch, słowa, muzyka i rzewna pieśń. Pani Jolanta leży i trzepocze się. Rybacy owijają ją w czarną i białą folię, które na początku spektaklu falowały jak morze.

O Boże, przecież takie zimno – znów westchnąłem pełen podziwu dla tak wielkiego poświęcenia. - Może chociaż podgrzali wodę w tej sadzawce.

Końcowa dominanta spektaklu chyba u wszystkich wywołała jeszcze większe napięcie i zainteresowanie. Gdy nasi rybacy dzielili się swoimi troskami, gorzkimi uwagami, a nawet szyderstwem z gospodarczych poczynań władz dotyczących ich losu, powstała nasza rybka. Zaskakujące gesty aktorki, mimika, słowa, okrzyki lub śmiech niczym głos sumienia przenikał wypowiedzi dotyczące rybackich trosk i bolączek.

Spektakl się skończył. Ludzie wstali z miejsc. Rzęsiste i długie brawa. Pani dyrektor Wejherowskiego Centrum Kultury, Jolanta Rożyńska, dziękuje aktorom, wręcza kwiaty Jolancie Juskiewicz. I znów bardzo rzęsiste i długie brawa.

- Wspaniałe i piękne przedstawienie - komentują sąsiedzi z tyłu i z boku.

Ktoś krzyknął:

- Dajcie odetchnąć dziewczynie, niech się przebierze, bo cała jest mokra! Jeszcze się rozchoruje. Wszyscy byli poruszeni.

Gdy pani dyrektor Rożyńska przechodziła obok, pani na wózku inwalidzkim, sąsiadka obok, zawołała:

- To przedstawienie zasługuje na najgłośniejsze sceny w Polsce. Dlaczego daliście na nie tylko hol filharmonii o tak słabej akustyce.

- Pani Juskiewicz została potraktowana tak jak nasi rybacy – dodałem z goryczą.

Dyrektor zatrzymała się i zapewniała, że dawała dla spektaklu główną scenę, ale hol został wybrany przez samą Juskiewicz i że była to jej suwerenna decyzja. Twierdziła, że

akustyka dalej i na wprost sceny była znacznie lepsza, niż u nas na samym skraju.

Gdy pani dyrektor oddaliła się, zrobiło mi się trochę głupio, za ten mój pochopny osąd. Najpierw podszedłem do marmurowego oczka z wodą i po włożeniu tam ręki stwierdziłem, że woda jest całkiem zimna. Odszedłem dalej. Sceneria schodów i widoczna konstrukcja Filharmonii przypominająca dziób statku w rzeczywistości bardzo pasowała do całości przedstawienia.

Przy szumie morza też często trudno jest coś dosłyszeć. Całość spektaklu po mistrzowsku została wyreżyserowana dla tej właśnie scenerii – rozważałem. - Ta słaba akustyka to też swoisty prezent dla rządzących notabli, bo przynajmniej będą mieć wymówkę, że znów nie słyszeli głosu rybaków i zwykłych ludzi. Na pewno jednak poruszy ich sumienie i zdopinguje do troski o los rybaków i wszystkich pracujących dla morza – rozmyślałem dogłębnie poruszony wracając do samochodu.

...

Schron dla władzy teatr dla ludzi.

(Felieton dla „Pulsu Kaszub”)

Nie wszyscy wiedzą, że w podziemiach Dworca Gdynia Główna od jesieni 2013 ma siedzibę Teatr Gdynia Główna. Dziwne i tajemnicze lokum. Dziwne jest też to, że dziś teatry często się zamyka, a w Gdyni otwiera. Teatr na dworcu kolejowym to już zupełny ewenement. Nie wiem, czy jakkolwiek dworzec kolejowy może poszczycić się w świecie tym, że jest też siedzibą teatru? Proszę mnie oświecić, jeśli ktoś zna taki przypadek. Nim przejdę do podstawowej funkcji teatru, jego programu, indywidualności i ducha – czy może nie być ducha teatru – parę słów o samym lokum. Przyznam, że mnie to bardzo zafrapowało. Dobrze poinformowany kolega – pracował w telewizji Gdynia – powiedział:

- Gdy robili remont dworca, skuwano posadzki. Młot pneumatyczny nagle gdzieś wpadł. Okazało się, że pod dworcem był tajny schron dla władzy, nie wiadomo hitlerowców czy władz

radzieckich. Podobno są też jeszcze niższe poziomy, ale żadnej dokumentacji nie ma.

To tyle o tajemniczym miejscu. Nie jest jednak przesadą, że dawny tajny schron dla władzy, jest dziś lokum teatru dla zwykłych ludzi.

A teraz trochę o Teatrze Gdynia Główna. Światowy Dzień Teatru dla naszego Teatru zapewne też był wyzwaniem. 28 marca byłem tam pierwszy raz. Repertuar zachęcający - „Zasmakuj teatru!”. I dalej „słodko-gorzki, kwaśno-słony, z nutą goryczy, ostry, delikatny, wykwintny, zniewalający, łechcący podniebienie – taki jest teatr”.

Hm – pomyślałem – nic dodać, nic ująć. A co będzie w rzeczywistości?

Przybyłem trochę wcześniej, by znaleźć wejście do „podziemi” i w miarę możliwości rozeznac się w sytuacji. Po zejściu na poziom -1 od razu zaskoczenie. Podziemie, czy piwnica, najczęściej kojarzy się z niskim sufitem, a tu pomieszczenia są całkiem wysokie, jakby były zaprojektowane dla wielkoludów chodzących na szczudłach. Szeroki korytarz z afiszami teatralnymi utwierdził mnie, że idę we właściwym kierunku.

- Pan z zabukowanym biletem, czy na zaproszenie? - uprzejmie zapytał mnie jakiś młody człowiek stojący obok stolika na końcu korytarza.

- Z zaproszeniem, dziennikarz Pulsu Kaszub...

Już zamierzałem wyciągnąć zaproszenie, ale młody pan i jakaś dziewczyna, która podeszła z boku, wcale tego nie żądali.

- Tam jest szatnia, gdzie można zostawić płaszcz, a tu można poczekać, nim zacznie się spektakl.

Obszedłem w koło poczekalnię, a przez uchyloną kotarę w rogu utwierdziłem się, gdzie będzie odbywał się spektakl. Ludzi przybywało, więc usiadłem na jeszcze wolnym miejscu.

Coraz więcej widzów. Zza kotary wyszedł młodzieniec na wysokich szczudłach i zwiewnie ubrana tancerka. Tańczyli wśród ludzi, a wielkolud nawet unosił w górę tą małą istotę i brał ją w ramiona. Taka ciekawa scenka taneczno sentymentalna na zabawienie nadchodzącej publiczności. Po chwili ta sama para prezentowała

krótki taneczny utwór bez szcudeł, by zakończyć czas oczekiwania pokazem żonglerki.

Ciekawy sposób na zapewnienie czasu oczekiwania przed spektaklem – pomyślałem.

W międzyczasie otrzymałem kartę: - Menu - Zasmakuj teatru.

Dziewczyna, która mi ją wręczała zażartowała:

- Dziś wszystkie nasze dania są lekkostrawne i gwarantujemy, że żadnych dolegliwości żołądkowych nie będzie. Lekarz nie potrzebny.

Zerknąłem do menu: aperitif - Virginia Woolf, przystawka – Stanisław Ignacy Witkiewicz, zupa – Sofokles, pierwsze danie – Serge Kirbeau, Hainrich Boll, Drugie danie – Ryszard Kapuściński, Luis Paul Boon, deser – Wiliam Szekspir, Marian Pankowski.

A więc jakaś składanka – zastanawiałem się.

Pani w sukni w odcieniach czerwieni (zawsze miałem problem w precyzyjnym określaniu kolorów) zdecydowała, że można już wchodzić i zajmować miejsca. Rozpoznałem ją, bo była to Ewa Ignaczak (parę dni wcześniej w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku Renata Wierchołowska, pracownica Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego, powiedziała mi, że była na premierze w Teatrze Gdynia Główna u Ewy Ignaczak i stąd moje zainteresowanie główną reżyserką). Zgłębiłem problem, bo trochę było mi wstyd, że ja, człowiek kultury, niewiele wiem o Teatrze Gdynia Główna.

Wszedłem na widownię spektaklu jako jeden z pierwszych. Nie bardzo wiedziałem, gdzie zająć dobre miejsce. Te pierwsze były tuż przy bardzo długim stole, na którym w dziwnych pozach leżało oddalonych od siebie pięć osób. Wybrałem drugi rząd, na podwyższeniu, by mieć lepszą perspektywę.

I zaczęło się. Z leżących na stole podniosła się kobieta. Choć była w halce zaczęła rozważania o stroju, który charakteryzuje ludzi. Przechadzała się pośród nadal leżących na stołach i mówiła. Mówiła dużo i sugestywnie, tak jakby mówiła do mnie i do ciebie, tak z bliska i bezpośrednio. Myśli i słowa chyba trafiały do wszystkich, bo do mnie na pewno. Aktorka jakby chodziła wśród widzów,

bezpośrednio zdawała się zaglądać każdemu w twarz. Jej słowa i wypowiedane kwestie zmuszały do refleksji i zastanowienia. Do takich naszych refleksji.

Słynna ze swoich mów Virginia Woolf ustami aktorki, Izy Bocian, wygłaszała najbardziej znane stwierdzenia: „Mężczyzna ma dłoń swobodną, by w każdej chwili chwycić za miecz, kobieta używa swojej, by nie zsunęły się jej z ramion satyny. Mężczyzna patrzy światu prosto w twarz, jakby świat ten został stworzony ku jego potrzebom i urobiony ku jego upodobaniom. Kobieta zerka na świat z ukosa, pytająco, a nawet podejrzliwie. Gdyby nosili te same stroje, możliwe że i spojrzenie na świat mieliby to samo”. Aktorka przytaczała też inne powiedzenia Virginii, ale chyba słynna pisarka nigdy tak sugestywnie nie trafiała w serca Polaków, jak zostało to zaprezentowane w Teatrze Gdynia Główna. Ten aperitif chyba był najmocniejszą nalewką z ziół i korzeni zebranych z ogrodu Virginii Woolf, a na pewno było w nim więcej % destylatu, bo aż zaszumiało mi w głowie. Przystawkę, zupę, dania i deser, gdy ze stołu wybudzali się inni aktorzy, łykałem jednym tchem.

Słowa aktorów były inspiracją bym spieszył się by dorosnąć, bym rozmyślał do jakiego świata należę, bym rozważał czy mam się wstydić, że jestem człowiekiem. Było dużo pytań. Nawet takich prozaicznych: - Dlaczego Paulina jest ładna, a Marysia nie? Były też inne: - Co to jest intelekt i czy upadek może stać się twórczym zwrotem naprzód?

Dużo kwestii: - połowiczna demokracja, snob wyższego rzędu, rozmowy zaczynają się ale nie kończą, nie ważne jaki cel ale ja pracuję. Mężczyzna jest jak księga, błogosławiona nie garnie się do rozmowy. Ja również należę do tego świata, ja nie mam wyboru! A wy?

Po zakończeniu spektaklu długie stoły nakryto białymi obrusami i poproszono do nich widzów. Obsada Teatru Gdynia Główna i widownia świętowali Światowy Dzień Teatru. Była kawa, ciasta, tort i lampka wina. Ewa Ignaczak i Iza Bocian kameralnie, na żywo i sympatycznie, przedstawiły wszystkich aktorów i współpracowników.

Każdy teatr ma swego ducha – pomyślałem. – Dla Teatru Gdynia Główna duchem jest pasja i zaangażowanie. Bezinteresownego zaangażowania nie zastąpi żaden pieniądz. To możliwe tylko w Gdyni!

...

Czas Orwella

(Mój głos w ramach dyskusji wirtualnej Zarządu Głównego SPP latem 2020, po tym, jak część członków SPP wystąpiło ze Stowarzyszenia w ramach bojkotu nagród z Instytutu Literatury i od PiS. Następnie felieton w Głosie Gdyni).

Plemienna walka polityczna w opluwaniu się nawzajem nie ma nic wspólnego z kulturą, a wręcz odwrotnie. Nie zamierzam się do tego włączać po żadnej ze stron. Na szczęście żyjemy już w demokratycznym państwie, gdzie społeczeństwo wybiera władze i te państwowe, i te lokalne, więc trudno obrażać się na wybór większości. Największym złem dla Polski jest fanatyzm partyjny, który dzieli ludzi, rodziny i jest medialnie intensywnie podsycany. Podczas zaborów pisarze podtrzymywali ducha narodu, potem przeciwstawiali się (choć niektórzy afirmowali) zniewolenie systemów totalitarnych, a jakie zadanie jest na dziś? Myślę, że należy przypomnieć słowa Bismarcka – „Dajcie Polakom rządzić, a sami się wykończą”.

Nie popadajmy w absurdy i nie chowajmy głowy w piasek. Statut SPP jasno określa poszanowanie poglądów drugiego człowieka, a nie narzucanie drugiemu preferencji politycznych. Dziś podstawowym zadaniem twórców kultury i polskiej inteligencji jest zasypywanie podziałów, a nie odwrotnie. Czy zadaniem pisarzy ubiegających się o wsparcie wydania swego dzieła, a następnie branie udział w konkursach literackich bądź promocji, jest sprawdzanie i kontestowanie wyborów władz w miastach, sejmikach wojewódzkich i w Polsce? To jakiś absurd!!!. Nigdy nie powinniśmy sprawdzać, wstydić się, czy też oburzać, z mandatu obecnie jakiej partii jest władza dająca wsparcie finansowe twórcom

lub nagrodę literacką. Np. – na Wybrzeżu od lat funkcjonują nagrody literackie „Costerina” w Kościerzynie i „Gryfa Pomorskiego” w Wejherowie, a władze w tych miastach przez te wiele lat pochodziły z wyborów większości różnych partii. Nigdy tego wcześniej nie śledziłem i w ogóle, choć jest blisko, nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda to dziś. Czy to nie absurd, że ktoś uważa, że nie należy przyjmować nagrody tam gdzie z wyboru rządzi aktualnie PiS, lub PO, a jeszcze ktoś inny jest fanatycznym wrogiem PSL, lewicy, lub Wiosny? I to jest właśnie czas Orwella. Nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej, zawsze miałem luksus swojego zdania, więc teraz tym bardziej nie zamierzam tego zmieniać. Nie obawiam się, że ktoś mnie posądzi o wspieranie przez OG SPP jakiegokolwiek opcji politycznej, bo moje stanowisko w tej sprawie – „Kultura nas łączy” – jest znane, również prominentnym politykom wszelkiej maści. Najwymowniej potwierdza to fakt, że podczas dwóch kolejnych wyborów byłem kandydatem niezależnym do Senatu mając za każdym razem tylko dwóch konkurentów – jeden z PO, drugi z PiS. To, że za każdym razem bez żadnego plakatu lub billboardu, bez wydawania pieniędzy pozwoliło mi uzyskać 18 705 głosów i blisko 18,5 tys. najlepiej świadczy o tym, że społeczeństwo jest już zmęczone wojną polsko-polską. Dziś zadaniem twórców kultury jest odcinanie się od fanatyków politycznych, zasypywanie podziałów, a nie chowaniem głowy w piasek.

Z poważaniem, J.F. Wójcik

Beznadziejna beznadziejność.

(Moje stanowisko w sprawie „strajków kobiet” wystosowane do Zarządu Głównego SPP w ramach wirtualnej dyskusji. Jako felieton zamieszczone w Głosie Gdyni).

Aborcja nie jest tylko sprawą kobiet, bo nie żyjemy w filmowej „Seksmisji” lecz w realu i ten problem, szczególnie w rodzinie, generalnie dotyka zarówno kobiety jak i mężczyzn.

Trzy ustawy aborcyjne wypracowane w tej sprawie w kompromisie społecznym obowiązywały blisko trzydzieści lat i nie powinny być procedowane. Już wcześniejsi prezesi Trybunału to zauważyli (zarówno Zoll jak i Rzepliński), ale tego tematu nie ruszali. Obecny TK – szczególnie w sytuacji pandemii – rozpatrując ustawy w zgodności z Konstytucją wykazał się brakiem wyobraźni następstw tej decyzji. Uważam, że tych ustaw, choć może ułomnych, nie należało roztrząsać. Trudno jest się pogodzić z tym wyrokiem, a przede wszystkim z jego konsekwencjami w sytuacji obciążenia płodu ciężkimi wadami. To usprawiedliwia protesty, ale nie usprawiedliwia agresji, wulgaryzmu, ataków na kościoły, postulatów do obalenia rządu, niszczenie pomników, a przede wszystkim w okresie pandemii nie upoważnia do narażania życia innych na wielką skalę.

Obserwując przebieg demonstracji odnoszę wrażenie, że prawa aborcyjne (artykułowane jako prawa kobiet) w tych protestach są coraz mniej ważne i zostały zdominowane przez rozgrywki polityczne. Cały partyjny konglomerat wykorzystuje gniew i frustracje ludzi głównie do zbijania kapitału politycznego. Gniew kobiet i młodzieży, umiejętnie podsycany i manipulowany medialnie, jest też przykrywką zadymy światopoglądowej. Gdyby politykom chodziło o dobro kobiet i całego społeczeństwa, zgodnie szukaliby rozwiązań prawnych do usankcjonowania aborcji wynikającej z badań prenatalnych, bo nie ma innej drogi w rozwiązaniu tego problemu.

Postulaty **„Wypier....ć”, „To jest wojna”, „Będziemy demonstrować aż ta władza upadnie”** pokazują główny cel tych zamieszek. **„Chcemy dymisji rządu i powołujemy radę Konsultacyjną jak na Białorusi”** – to jakaś farsa, gdy porównuje się Polskę do Białorusi. Jarosław Kaczyński jako prezes partii PiS, która delegowała do TK osoby o kontrowersyjnych poglądach w pełni ponosi odpowiedzialność za sprowokowanie protestów. Z kolei podsycanie, eskalacja i brutalność to już głównie interes partii opozycyjnych i innych środowisk.

Z oburzeniem potępiam ataki na kościoły. Niszczenie świątyń świadczy o całkowitym upadku moralnym i

cywilizacyjnym. Okrzyki „to jest wojna” i podrygiwanie przy tym w takt Poloneza świadczy o całkowitym braku zrozumienia czym jest wojna. Brakuje też wyobraźni, bo dążenie do politycznej „rozpierduchy” w tych trudnych czasach może dla Polski zakończyć się tragedią. Nie zgadzam się też z postulatem „**Aborcja na życzenie**”, bo aborcja nie może być środkiem antykoncepcyjnym.

Media poinformowały, że prezydent Andrzej Duda złożył projekt ustawy o dopuszczeniu aborcji letalnej. Wreszcie! Projekt trafi do Sejmu i obawiam się, że partyjne walki plemienne nadal będą ważniejsze od słusznych protestów kobiet i społeczeństwa.

Mając na uwadze napiętą sytuację, jaka powstała po wyroku TK, dobro kobiet i kraju, ale też sytuację gospodarczą związaną z rygorami sanitarnymi - pisarze i twórcy kultury powinni wzywać środowiska polityczne do współpracy parlamentarnej w celu pilnego wypracowania rozwiązań prawnych przywracających aborcję letalną. Takie pismo wystosowała już Naczelna Rada Lekarska.

Postscriptum:

Ja ze swej strony części fanatycznych polityków partyjnych, dla których doktryny partyjne są ważniejsze od dobra Polski i Polaków (zaznaczam - tylko części, a nie ogółowi uczciwych parlamentarzystów) dla przypomnienia dedykuję balladę barda „Solidarności” Jacka Kaczmarskiego:

"Cyrk robicie w parlamencie tyle lat, i klóćcie się zawzięcie w masie braw, ja nie jestem demokratą, mam wspianą radę na to – a wykopać was do mniej państwowych spraw! Może w kraju będzie lepiej, gdy się skóry wam przetrzepie, konstytucja konstytucją - batem bat!"

JF. Wójcik, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Gdańsk

Epilog

„Cząstka z pamiętnika” jest nie tylko książką biograficzną osoby, której los został uwikłany przez wydarzenia II wojny światowej, ale przede wszystkim jest zapisem polskiej rzeczywistości po wojnie do 2020 r. Jest dopełnieniem trylogii „Powrót na Kresy” obejmującym okres od wojny bolszewicko-polskiej 1920 do lat 1950–tych. Niezwykłe dokumenty, naoczne relacje i zapisana niepowtarzalna prawda historyczna. Z pokolenia zesłańców na Sybir do dziś żyje jedynie ciocia Władzia. 10 lutego (zesłana w dniu jej 12-tych urodzin) w staram się ją odwiedzać w Anglii. Pomimo sędziwego wieku jest niezwykle sprawna umysłowo i całkiem dobrze funkcjonuje fizycznie. Mam ponad 120 stron jej pamiętników z zesłania, zapisanych ręcznie przepiękną polszczyzną, choć od 1940 r. tylko raz była w Polsce, bo w jej paszporcie ostatnia pieczętka z 1971r. to – wszystkie kraje świata z wyjątkiem Polski! Poniżej dwa krótki fragment z relacji siostry ojca i cioci Władzi (kuzynka ojca) z brutalnego zesłania i Wigilii w 1941 r. „Cząstka z pamiętnika” jest dopełnieniem interesującej sagi Pogodów, Strzelczyków i Skowronów, zapisanej w kilku książkach Józefa Franciszka Wójcika, która jest też dokumentacją trudnych losów Polaków.

Zsyłka na Sybir

(Krótka, kto jest kto: - Helena i Michał Pogoda to dziadkowie autora Józefa Franciszka Wójcika, Stefcia – siostra ojca. Dopiero w 1990 r. autor po raz pierwszy poznał w Anglii większość swojej rodziny. Oprócz tego niezwyklego zdjęcia swej babci przywiózł do Polski wiele innych wręcz niewiarygodnych rodzinnych dokumentów oraz książkę wydaną w Londynie, której współautorem i sponsorem był stryjek Jan Pogoda. Pamiętniki cioci Władzi Pogody(kuzynka ojca) zamieszczone w trylogii zostały przywiezione później.

Babcia z książką na zdjęciu z 1925 r. (takie ustalenie ojca i cioci Stefci), stryjek też pisał! Czy to miało wpływ, by autor zaczął pisanie w trzecim pokoleniu??? Z najbliższej rodziny 10 lutego 1940 r. zostało zesłanych na Sybir aż 24 osoby, 9 osób Syberii nie przeżyło. Poniżej dopełnienie z życiorysu najbliższej rodziny autora, które być może wpłynęło na to, co stało się po wojnie)

„Naraz rozległo się straszne walenie do drzwi i okien. Dobijają się i dobijają (...) Stefcia ocknęła się na dobre. Zobaczyła, że ojciec kłęczy w kalesonach na podłodze, a nad nim stoi enkawudzista i wymachuje pistoletem. Potem przystawił mu go do głowy i zaczął wrzeszczeć:

- Dawaj arużje! Dawaj zbroju!

Do córki jeszcze nie bardzo dotarło, o co tu chodzi z tą bronią, ale tak samo jak reszta domowników szybko zaczęła się ubierać. Odpowiedzi ojca, że nie ma broni, ledwo do niej docierały.

- Wszyscy ubierajcie się ciepło, pakujcie, co dacie radę wziąć do rąk, bo zaraz wyjeżdżacie! – zakomunikował starszy z Rosjan, najwyraźniej dowódca żołnierzy, na pewno najważniejszy po komenderującym ubeku.

- Jak to? Gdzie wyjeżdżać? Za co? – niewyraźnie labiedziła matka, ciągle w nocnej koszuli.

- Tam gdzie pozostali Polacy. Będziecie przesiedleni na północny wschód.

Teraz nie było już żadnych wątpliwości. Mimo że o zsyłce na Sybir od dawna przebąkiwano, teraz te słowa czerwonoarmisty zmroziły do szpiku kości. Nagle cały świat zdawał się pogrążyć w białą otchłań.

...

Helena coś tam zarzuciła na siebie i z niepokojem patrzyła, co żołdak zrobi z Michałem. W dalszym ciągu wymachiwał nad nim pistoletem, odgrażał się i nadal wypytywał, gdzie ukrył broń. Na polecenie enkawudzisty żołdaci zaczęli przewracać wszystko, zaglądnijac do każdej dziury.

Stłoczona izba zaczęła wyglądać, jakby przez nią przeszedł największy tajfun. Trzeba pakować się i ubierać, a tu wszystko wywrócone do góry nogami, tajniak poszturchuje Michała i pogania swoich żołnierzy do jeszcze większej aktywności.

Helena nic nie wiedziała o żadnej broni, była tylko pewna, że nie ma jej w domu. W rozpaczę sama zaczęła błagać rozwścieczonego tajniaka, byle tylko zostawił męża w spokoju.

- Paszła, blad’! – warknął enkawudzista i gwałtownie machnął w jej stronę ręką z pistoletem, ale zamiast pchnięcia wyszło z tego głucho uderzenie stali w skroń.

Kobieta zachwiała się i zaczęła osuwać. Z pewnością runęłaby jak długa, ale w locie zdążyła ją złapać pomocna dłoń jednego z żołdatów. Amortyzując upadek, Rosjanin położył delikatnie nieprzytomną Helenę na podłodze.

Michał zerwał się na równe nogi. Już chciał skoczyć na oprawcę, ale drogę zagroził mu inny żołdat z pepeszą. Dostrzegł również, że tajniak wodzi pistoletem to po żonie, to po dzieciach. Złowrogie syknięcie: - budu strielat’ - unieruchomiło go do reszty. Po chwili ponownie pokornie usiadł na ziemi, błagając, by pomogli żonie. Starszy z żołdatów nachylił się nad kobietą, której strużki krwi sączyły się z nosa i ucha.

Izba Pogody przedstawiała teraz jeszcze bardziej makabryczny widok. Wszystko powywalane i porzrzucone, nieprzytomna matka, struchlałe ze strachu dzieci i nadal trzymany na muszce ojciec, ciągle jeszcze w gaciach i koszuli siedzący w kucki na podłodze.

- Broń i tak nikomu się już nie przyda. Wszystkich za pół godziny na drogę, a ta niech tu zdycha – lodowatym głosem zakomenderował enkawudzista.

Oburzenie, rozpacz, wściekłość i gniew niemocy szarpnęły sercem Michała.

Dowodzący akcją zostawił do wykonania polecenia dwóch żołdatów i Ukraińca, a sam z pozostałymi poszedł do Wojciecha, Franka i dalej, „by im również obwieścić ranną nowinę”. Właśnie nastawał dzień, już dniało.

...

Helena jakby odyskiwała przytomność, ale nic nie powiedziała, ani nie mogła się ruszać, a po chwili znów leżała bezwładnie. Starszy z żołdatów, który pozostał do egzekwowania polecenia, zapominając o rozkazie, jak mógł pomagał Michałowi, byle tylko ocucić jego żonę, która w tak bestialski sposób została potraktowana. Dopiero gdy kobieta na dobre otworzyła oczy, delikatnie przenieśli ją do łóżka.

Budiet żyt’ – głęboko odetchnął Rosjanin.

Pogodzie jakby kamień spadł z serca i dopiero teraz zaczął się ubierać. Gorączkowo rozglądał się za swą odzieżą, ale wszystko było tak porzucane, że z trudem mógł cokolwiek znaleźć. Gdy nachylił się po marynarkę, na podłodze dostrzegł kilka zdjęć rozsypanych z wywalonej szuflady. Wśród nich na wierzchu było stare zdjęcie Heleny. Podniósł je i ze wzruszeniem schował do kieszeni.

– Pakujcie się - ponaglał żołdat. - Ubierajcie się ciepło, bo czeka was ciężka droga. Żoną zajmie się ktoś ze znajomych, pomogę to załatwić lub powiadomić. Adiewajties’, takoj prikaz!

Wstrzymywana długo niepewność o matkę i zastraszenie dopiero teraz znalazło ujście. Łkanie Stefci pociągnęło za sobą rzęsite łzy pozostałych domowników.

Rosjanin podszedł do dziewczyny i zaczął ją pocieszać.

- Mat’ budiet zdarowa, nie wałnujsa. Kak tiebia zawut?

Dziewczyna nie była w stanie nic odpowiedzieć.

- Stefania, Stefcia – podpowiadał Ukrainiec.

- Znaczit Steszeczka. Steszeczka nie płacz. Adiewajsa, idti nada.

- Nie zostawiaj mamy! – z rozpaczą krzyknął ojciec.

Stefcia błagalnie spojrzała na rosyjskiego żołnierza. Zobaczyła, że po jego twarzy również spływają łzy.

...

Przygotowanie do zsyłki w domu Michała trwało już znacznie dłużej, niż przykazał kamandir enkawudzista i niewiele posunęło się do przodu. Spocony Rosjanin chyba ze trzy razy nakładał na dziewczynę futrzany płaszcz, próbując ją ubrać i przygotować do strasznej drogi, ale ta ciągle odrzucała go z powrotem na czerwonoarmistę.

- Steszeczka, adiewajsa – prosił żołdat. – Tak nie nada.

Po każdej szamotaninie z ubieraniem Stefcia natychmiast ściągała płaszcz, a po chwili ponownie lądował on na głowie Rosjanina.

- Steszeczka, takoj prikaz. Mienia nielzia jewo mieniat’ - prawie błagał.

Stefcia jednak z zapamiętaniem realizowała krzyk rozpaczyny ojca - „ Nie zostawiaj mamy!”

Ocierając pot z czoła Rosjanin pytająco spojrział na Ukrainca.

- Szto dziełat’? U mienia prikaz jejo wziat’.

- Niech zostanie. Przy takich tłumach ludzi komandir nie zamietit. Jakoś przemycimy – wahanie sołdata rozwiązał miejscowy urzędnik z gminy.

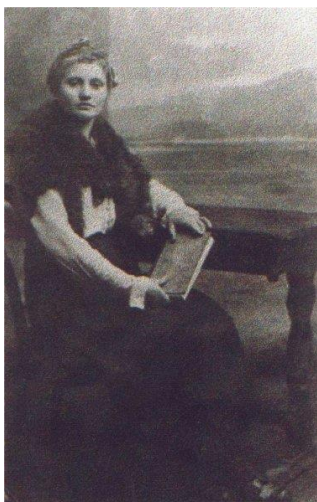
...

Po wyjściu z tobołkami na drogę Michał po raz ostatni spojrział na swój dom, ale zamiast swoich bliskich zobaczył przy nim jedynie dzieci Bondychy. Trzej synowie stali obok niego, tak samo jak on przygniecenii straszliwym ciężarem niepewności i tak samo zdruzgotani.

- Bieri wieszci. Idiom – zabrzmiało polecenie jak z zaświatów.

Przez moment mignęła w szybie zapłakana twarz Stefci.

Co z Heleną? – przemknęło przez myśl Michała i kilka gorzkich kropel potoczyło się z nieskorych do płaczu oczu. Prawie odruchowo dotknął kieszeni, jakby chciał się jeszcze upewnić, czy jest w niej zdjęcie ukochanej żony.



Zdjęcie zostało zrobione przed rokiem 1925. Przewędrowało zmarzłą północy, stepy Uzbekistanu, piaski pustyni i dopiero w 1991 roku ponownie wróciło do Polski. Zostało przywiezione z Anglii przez wnuka Heleny, Józefa Franciszka Wójcika, który nigdy nie nazywał się Pogoda. Autor odnalazł je wśród starych zdjęć u wnuczki dziadka Michała Pogody, kuzynki Helen Crutchfield.

...

Piętrowa szkoła w Jasionowie pękała w szwach, co rusz pod strażą żołdatów doprowadzano nowych Polaków. Najczęściej były to całe rodziny, nawet matki z niemowlętami. Tobołki na plecach, torby i walizki w ręku były wszystkim, co można było zabrać z dorobku całego życia. Ludzie na ogół zabierali jednak żywność, odzież i najpotrzebniejsze rzeczy, które mogą być użyteczne na zesłaniu.

Ścisk, natłok pakunków, płacz dzieci i krzyki matek stworzyły niesamowite zamieszanie. Po doprowadzeniu wszystkich wytypowanych do zsyłki miał się odbyć ostateczny spis, a potem wyjazd. Po zesłańców zaczęły podjeżdżać furmanki i sanie, by odtransportować ich na oddaloną o 10 km stację w Zabłoścach.

- Teraz jest dobra sytuacja do ucieczki. Spróbujcie - zachęcał Michał swych najmłodszych synów Adasia i Stefana. - Powiedzcie, że do ubikacji, a jeśli się uda, to nie do domu, ale schrońcie się u Ukraińców.

Chłopcy posłuchali ojca, lecz wyjście do ubikacji, która mieściła się na szkolnym podwórku o kilkanaście kroków od budynku, nie było proste. Szkolnych drzwi strzegli żołdaci, a do „przybytku” można było przejść tylko pod strażą. W dodatku był on teraz zastrzeżony wyłącznie dla dorosłych. Dzieci mogły załatwiać się zaraz pod ścianą, na widoku pilnujących. Z dwójką braci wyszedł również ruski żołnierz i gdy sikali, stanął zaraz za nimi.

Adaś i Stefan wrócili bezradnie rozkładając ręce.

- Spróbujcie przemycać się pojedynczo, bez pytania, gdy będzie jakieś zamieszanie lub dogodna sytuacja – nie rezygnując pouczał Michał Pogoda.

Sprzyjające okoliczności nadarzyły się wkrótce. U wyrwanych ze snu ludzi, zabieganych i wystraszonych błyskawicznym pakowaniem, coraz częściej zaczęły się odzywać potrzeby fizjologiczne. Uczniowskie ubikacje stawały się za ciasne dla zatłoczonego po brzegi budynku. Prowadzenie wszystkich z „aniołem stróżem” stwarzało niesamowite zamieszanie i napięcia.

- Teraz – szepnął Stefan do młodszego brata. – Najpierw za róg, a potem do Drzeków.

Gdy Adaś przekradał się poza plecami jakiejś kobiety, Stefan z niepokojem śledził sytuację, gorączkowo rozważając, jak w razie czego odwrócić uwagę strażnika. Po chwili był pewny, że bratu się udało, jednak powrót żołdaka, który niedawno wyprowadzał ich razem, zmusił go do czasowego odłożenia własnej próby. Pojawienie się większej ilości żołdaków z bronią na razie całkowicie ją wykluczyło. Koncentracja środków transportu zapowiadała szybki odjazd.

Ledwo Stefan wrócił i powiadomił ojca o ucieczce Adasia, zaraz zaczęli sprawdzać listy obecności i pod eskortą wyprowadzać do wozów i sań.

- Pogoda, jeśli jeszcze jeden twój rebionok stąd ucieknie, mocno pożałujesz – przy sprawdzaniu listy odgrażał się ukraiński aktywista.

Przed opuszczeniem szkoły upewnili się, czy każdy ma swój bagaż, a rzeczy Adasia na wszelki wypadek zabrali po połowie Michał z Jankiem.

- Musimy trzymać się razem i cały czas zwracać uwagę, by być blisko dziadków i wujków – przestrzegał ojciec.

...

(Babcia Helena Pogoda po tym brutalnym uderzeniu w głowę przez enkawudzistę została sparaliżowana. Nie mogła mówić i nie chodziła. Wyniesiona na rękach z płonącej Ukrainy i przetransportowana w okolice Mielca na Podkarpaciu przez syna Stefana (ojca autora), któremu jednak udało się uciec przed załadunkiem do wagonu na Sybir, zmarła 15 sierpnia 1945 r. w Książnicach. Gdzie znajduje się jej grób, wnuczek dowiedział się mając kilkanaście lat).

Z pamiętnika Cioci Władzi

(Część pamiętnika zeskanowałem, reszta przepisana bez jakiegokolwiek ingerencji w ortografię i interpunkcję. To wręcz niewiarygodne, że po zesłaniu w dniu swych dwunastych urodzin Ciocia nigdy nie mieszkała w Polsce i była tylko raz, gdy weszliśmy do Unii Europejskiej, a tak piękną polszczyznę zachowała ! To też tylko cząstki z Jej ponad stu dwudziestu stron pamiętnika, które od Niej

otrzymałem. W trylogii „Powrót na Kresy” jest znacznie więcej fragmentów z Jej pamiętnika)

Nadszedł dla nas wymarzony dzień, jesteśmy wolni, w drodze ale dokąd? Teraz jedę gdzie chcesz, mamy „papiery”, bez picimędzy, głodni, brudni, zarszawieni, „schonorami, stabi. Ojciec mój zajmował się tym co robicie obalej. Wymuszony z „posiołka” Priwodino. Dla tych ocalołych przysięga określona „amnestia”, wolność, za niepopelnione winy, za te wszystkie nieczymne, pozosta-
= wione groby. My wolni. Omi zostają tu spać snem nieczymnym na zarsze, zo co, czym zarobili, co ztego zrobili, zrtasza dzieci. Bardzo to smutne. Nypędzon, i ich z domu rodzinnego i za to nikogo jak widac nie spotka żadna kara.

Po opuszczeniu Priwodino, tego obozu przymusowej pracy nie było nam łatwo. Teraz stanęliśmy jeszcze w bardziej trudnych warunkach. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Gdzie, którądy, jak i za co, było pytanie, nie zawsze była odpowiedź. Głowa rodziny zwykle decydowała co robić. Podróżowaliśmy, a była to bardzo długa podróż, daleka i makabryczna. Bez biletu, bo nie mieliśmy pieniędzy. Musieliśmy podróżować w takich warunkach jakie się zdarzyły i szukać chleba, jak tylko pociąg stanął, ale niestety chleba nie było, mimo że mieliśmy kartki. Znow w tych bydłych wagonach, różnica ta, że nie zamknięci, jesteśmy wolni.(...)

Wszyscy co opuścili „posiołek” mają jeden wybrany – wyznaczony sobie cel – na południe do polskiego wojska. Wszyscy mówią „modlitwy nasze były wysłuchane”. I naprawdę Bóg wejrzał na nasze łzy i ból. Ruszamy z Bozi pomocą, bardzo liczymy na to. Każdy z wygnańców ma swoje własne pomysły i plany. Wymieniają różne miejscowości gdzie organizuje się polskie wojsko, a koło nich gromadzą się cywile i dzieci. Było tych placówek kilka. Główne były w Buzułuku i w Kujbyszewie. Na Uzbekistanie było też kilka:

Buchara, Guzar, Taszkient. My dotarliśmy do Guzar, ale zanim tu dojechaliśmy było jeszcze dużo okropności.

Drogą z Priwodino, musimy dostać się do miasta Kotłas, na stację kolejową. Pierwsze, trzeba przez Dzwinę na drugą stronę rzeki. Było to na razie niemożliwe. Saniami ruskie nie mogli i bali się, bo już lody na rzece pękały. „Parachodem” też nie do pomyślenia, bo było jeszcze dużo zamrożone. Pomimo że kalendarzowo była już późna wiosna, tu trwała jeszcze zima. Nie pamiętam jaki był to miesiąc. Co tu robić, zatrzymujemy się w wiosce Manastyrok, mała przystań nad Dzwiną. Tu pozwoliła nam u nich zamieszkać rosyjska rodzina, byli biedni ale wyrozumiali. Zrobili to za wymianę ubrań, jeszcze trochę mieliśmy. Za mały srebrny łańcuszek i parę kopiejek dzielili się z nami tym samym pożywieniem, co oni sami jedli, pieczona brukiew i duże „pierochy” z kapustą, pieczone w piecu i oczywiście słynny ruski „kipiatok” z samowaru, ale było to za mało.

Oni żyli bardzo skromnie. Narzekali bardzo na swój własny system, na „rząd” w kraju, na tzw. „sprawiedliwość sowiecką”. Bardzo po cichu, bo bali się aresztu.

Nie pamiętam jak długo byliśmy tu. Pewnego dnia moja Mama, jeszcze jedna pani i ja wybrałyśmy się, by pójść na drugą wioskę, aby zamienić znów coś z ubrania na chleb. Nasze zapasy z ubrań już coraz to zmniejszały się. Jeść nie mamy co. Zostaliśmy już prawie w tym co mieliśmy na sobie, było brudne i zawszawione. Idziemy na tą wioskę, padał śnieg, zaczęło kurzyć, zamieć, widoczność była bardzo słaba, prawie żadna, aż tu w dali coś widać, myślałyśmy, że idą dwie osoby. My trzymamy się pod rękę, aby wiatr nas nie przewrócił, ale o Boże, strach nas ogarnął, gdy zbliżyły się do nas, okazało się że były to wilki. Co tu robić, uciekamy, jak tylko było to możliwe w stronę wioski, było już blisko. Nie wiem co było dalej, nie oglądałyśmy się. Dzięki Ci o Boże, jesteśmy we wiosce.

Od chaty do chaty, zdobyłyśmy trochę mąki i chleba. Wyglądałyśmy jak żebraki. Teraz jak to piszę, to przypomina mi się, jak do naszego domu na Kresach przychodził „żebrak” i prosił o coś. Mama dała mu albo chleba, albo mąki, albo coś do ubrania. Boże,

jak to się wszystko zmieniło, my teraz jesteśmy w tej okropnej sytuacji, ale nie moja to wina. Przecież nic nam w domu nie brakowało, nam dzieciom, mojej siostrze i mnie, a teraz jesteśmy żebrakami. (...)

Jesteśmy w Kotłasie. Znow Tatuś ulokował nas u jakiejś rosyjskiej rodziny, znow za wymianę czegoś, nie wiem za co. Były wypadki, że ludzie wymieniali ślubne obrączki, złote kolczyki, łańcuszki, medaliki za kawałek chleba.

Tu w Kotłasie ciągle leży śnieg i trzyma mróz. Odczuwaliśmy to bardzo, bo byliśmy niedożywieni. Troszkę pamiętam ten drewniany budynek. Byliśmy dość blisko stacji, na której „koczowało” bardzo dużo ludzi. Nikt nie wiedział kiedy będzie pociąg, by znow wejść do tych bydłych wagonów, bo to tylko mogli nam dać.

Ledwo żyjemy, ale żyjemy już teraz nadzieją, że będzie lepiej, jesteśmy wolni. My polegałyśmy co Tatuś załatwiał. Chodził na stację dwa albo trzy razy dziennie, a ja z nim, było bardzo blisko. Mama i siostra Irenka zostawały z rosyjską rodziną, bo Mama chorowała, a siostra Irenka była bardzo wątła. Gdy dowiedział się, że pociąg będzie jutro, byliśmy zaraz gotowi i na stacji. Dla wszystkich, którzy czekali na pociąg w Kotłasie, była wielka radość. Gdy pociąg przyjechał wstępowała otucha, nikt sobie nie wyobrażał, jak długo będziemy podróżować. Podróż ta, jak się potem okazało, trwała aż ponad 4-y do 5 miesięcy. Nie do uwierzenia, ale jest to prawda.

Pociąg posuwał się żółtym krokiem, więcej stał, jak jechał, często zostawiali wagony na bocznych torach, nawet na kilkanaście dni, bo nie było lokomotywy, tak przynajmniej tłumaczyli się ruskie, mówili „muszą dowieźć wojsko i żywność na front”.

Z tej podróży są momenty co pamiętam i co nie pamiętam. Tych pociągów z wymizerowanymi i chorymi ludźmi było bardzo dużo. Każdy transport był kierowany inną trasą, przez inne miejscowości. Powoli zostawialiśmy Sybir za sobą. Mijaliśmy nieraz przez kilka dni stepy, nieużytki, gdzie nie było widać żyjącej istoty, ani żywej ludzkiej duszy, ani domu, ani lepianki, same pustkowia. Bliżej Uzbekistanu było już ciepło, gdy pociąg stawał

gdzieś na stacji, to ludzie sprzedawali ostatnie ciepłe i brudne „kufajki”, byle zdobyć parę groszy na chleb, jeżeli był, bo często go nie było. Pociągów było dużo, a nas w pociągach tysiące. Mimo głodu, niewygód, brudu na ustach wszystkich wygnańców było „jedziemy do wolnej Polski”, choć o Boże, było to jeszcze tak bardzo daleko. W jednym z pociągów zmarł mój kochany Dziadziu Wojciech Pogoda. Wiem o tym z opowiadań od naocznych świadków w tym samym wagonie i zwłoki jego jeszcze przez dwa, trzy dni jechały dalej, byle szybko nie oddać kartki, na którą przysługiwał dzienny kawałek chleba. Przypomnę, że nas rozłączyli zaraz po przyjeździe do Rosji, a potem już nigdy jego nie widziałam.

Osoba, która nam to opowiadała mieszkała na Kresach w Gniewoszówce, nazwisko W. Delikowska, jej brat Wojciech pomagał Tatusiowi w sklepie „kółko rolnicze”, które Tatuś prowadził. Delikowski już jako emeryt wrócił do Polski i tam zmarł, a jego siostra wstąpiła do zakonu i po zamknięciu słynnej polskiej szkoły w Pifsford, gdzie też uczyła jako zakonnica, teraz mieszka gdzieś w Londynie w klasztorze. Tak opowiadała o kochanym Dziadziu p. Delikowska, a teraz siostra zakonna Jadwiga:

- „Babcia Maria Pogoda i twój stryj Włodek tak bardzo rozpaczali, ale dłużej zwłok nie mogli trzymać w wagonie, bo było już ciepło. Babcia Maria ubrała go w takie ładne ubranie, jeszcze miała, bo twój Dziadziuś był dumnym człowiekiem. Zawsze dbał o wygląd i mówił „,mogę nie dojeść, ale zawsze muszę wyglądać na człowieka, żebraka nigdy ze mnie nie zrobią”. Jakie to wszystko przykre i smutne. Wszyscy mówili, że rusczy to ubranie z niego zdejmą, ale Babcia powiedziała, że ma tę satysfakcję, że dała mu ładne ugranie, że ładnie wyglądał, ale był bardzo chudy. Babcia płakała, bo nie wiedziała gdzie i jak będzie pochowany bez trumny”.

Nie wiemy gdzie jego grób. Jest to straszne. Dziadziuś przed zesłaniem, mimo wieku tryskał zdrowiem i był muskularnym mężczyzną. Przypuszczam, że gdzieś go zakopali, ale jak? Wspomniałam już, że cała Rosja od północy na południe jest usłana polskimi grobami, nie wszyscy zdołali dołączyć do szeregów armii gen W. Andersa. Mój kochany Dziadziu Wojciech, płacząc gdy o tym

piszę, tak bardzo pragnął wrócić na swoje, jak mówił „ranczo”, które kupił za „wywalczone” po swoim ojcu pieniądze z Ameryki.

Po drodze, gdy pociąg stanął na jakiejś stacji, trzeba było uważać, bo nikt nigdy nie wiedział, czy będzie to dłuższy, czy krótki postój. Jak lokomotywa była odczepiana, to znaczyło że dłużej, a jak nie, to za chwilę mógł gwizdnąć, para buchnęła i ruszał. Wiele osób tak zostało rozłączonych od rodziny, bo nie zdążyli dobiegnąć. Przeszli nędzę i ciężką pracę, a teraz rozłąka. (...)Mego Tatusia też to spotkało. Pociąg odjechał, Tatuś nie wrócił, my w wagonie rozpaczamy, już go nie zobaczymy, nie jestem w stanie opisać naszego płaczu. „Opatrzność Boża”, jak opowiadał potem „dodała mu sił”. Jak zobaczył, że pociąg ruszył, zaczął biec, dogonił ostatni wagon, uczepił się ręką, trochę podciągnął się i kurczowo się trzymał. Prosił Boga, żeby choć wkrótce pociąg stanął, bo nie miał siły na dłuższą podróż w takiej pozycji. Wiaderko z wodą rzucił, ale ten zdobyty chleb, który kupił, trzymał mocno. Co to była za radość, gdy przy następnym postoju Tatuś przyszedł do naszego wagonu. Nie mogliśmy mówić ze wzruszenia, w dodatku Tatuś miał wszystkie nasze kartki na chleb. Byliśmy znów razem.

Mijaliśmy po drodze dużo miast, takich jak Kirów, Kujbyszew, Buzułak, Buchara, my dotarliśmy do Guzar na Uzbekistanie. Była to podróż bez końca. O Boże, co to była za podróż.

Proszę sobie wyobrazić, wyjechaliśmy z Kotlasu 1941, poiring wiosną - latem a dotarliśmy do Guzar tuż przed Bożym Narodzeniem 1941 rok. Więcej pociąg stał jak, jechał, bo już zaczęła się wojna Niemcy - Rosji. Nic nowego, głośni, brudni, zmęczeni. Higiena osobista nie istniała. Byliśmy wolni, ale załamani, jak długo będziemy w tych wagonach. Nareszcie po tyłu miesiąc = cach (45) jechaliśmy w małym mieście Guzar. Była tu mała polska placówka, ale wojska jeszcze tu nie było, tylko zjeżdżali się tu, niezliczone grupy polskiej ludności, cywile. Aby się z nimi uporać rozsyłają, po trasie - certyfikaty rodzinny ma uzbeckie koczowizny, w góry około Guzar. Zostajemy skierowani do koczowizny Jaskro 30 km od Guzar. Dostaliśmy trochę żywności, chleb - uzbeckie lepioszki" (nasze podpłomyki) i trochę konserw puszek i to co mieliśmy, resztki naszych Kochmanów, załadowano na konie i osły, a my szliśmy na piechotę, niektórzy jechali.

Taki był nasz początek w Guzarze. Wędrujemy na kołchoz, znów zrozpaczeni, jedni jadą na koniach, inni na osłach, a inni pieszo. Pocieszamy się, że to nie na długo, tak nam powiedziano na placówce. Było - jechało nas tu 3 rodziny i dwóch samotnych chłopaków. Wędrujemy, idziemy pieszo, jedziemy na koniach i osłach. Raptem ktoś zapytał: „Czy wiecie, jaki dziś jest dzień?” Na to padła odpowiedź „Wigilia Bożego Narodzenia 1941 rok”. Jak to ktoś pamiętał, nie wiem, ja na pewno nie. Jak też nie wiedziałam, jaki to był dzień tygodnia. Może ktoś wiedział. Żeby dodać sobie trochę otuchy, opowiadali podczas podróży, że Matka Boska też szukała w tę noc schronienia. Narodziny Jezusa były w stajence w Betlejem. My teraz rozumieliśmy to wszystko tym lepiej, bo byliśmy w tragicznej, wygnańczej sytuacji. Polacy, dorośli i dzieci,

wypędzeni z domu i z kraju, tym razem nie mogli śpiewać kolęd, bo płacz na to nie pozwalał.

W drodze Uzbegy zabłądzili, to też spowodowało nasze opóźnienie dojścia na miejsce. Zbliżał się wieczór, a oni nie wiedzieli gdzie są. Zrobiło się ciemno, my dalej w drodze. Oni się naradzają. Uzbegy niby natrafili na dobrą drogę, jest okropnie ciemno, jedni na koniach, my dzieci na osłach. Złapał nas okropny deszcz - ulewa. Mój osiołek zaprotestował, uparł się „jak osioł” i nie chce dalej iść, ukląkł na przednie nogi, ja spadłam mu przez głowę. Było to tak raptownie, nie spodziewałam się tego, nastraszyłam się, narobiłam płaczu, bo też uderzyłam się w głowę. Nie siadam więcej na niego, boję się. Przyszedł Uzbek, zaczął osła szturchać, żeby wstał. Po pewnym odpoczynku osiołek wstał, bo dostał kilka pałek

Przemocem do mitki, wchodzimy do szopy, bez okien, tylko otwór siewny za drzwiami, tu zwykle spory barany-orce, bo Uzbegy zajmowali się chodowłą owiec. Nie pamiętam, oni chyba mieli ze sobą jakieś latarki. Wiem, że w nocy, było trochę śniegu, każde rodzinie wzięła sobie trochę na postanie. Wzieliśmy się do spania. Nie wiem, czy doroshi spali, my owcei napewno, po takiej podróży i przygodach. Rano Boże Narodzenie, nie innego taki sam dzień, jaki był wczoraj tylko że na karczozie Jaskro. Przyszedł Uzbek „predsedniatel”, mówią bardzo mało po rusku, bo ich język jest trochę inny, porozumiewali się chwila ma „migi”. Przypomniał żelazny piec, trzeba było go wstawić, Tatus i pan Bielecki wybili dziurę w ścianie, czy w dachu już nie pamiętam, teraz wiem że dziurę się to o Bora nie do pomyslema, w Dzień Bożego Narodzenia.

w tyłek od Uzbeka. Mimo perswazji Tatusia, on siedział na koniu i trzymał Irenkę, ja już bałam się wsiąść i szłam z innymi pieszo. Byliśmy podobno blisko, tak zapewniali Uzbekcy.

(...) coś okropnego, wszystko aby przeżyć, Pan Bóg nam wybaczy. Musieliśmy się osuszyć i ogrzać, ale jak kiedy nie ma tu drzwi? Na otwór który służył za drzwi, zawiesili koc, bo przed podróżą dali nam w „opiece” koc do nakrycia się, bo było jednak tu trochę zimno. Za kilka dni spadł śnieg. Silnego mrozu nie było, a szopa stała na zboczu góry. W dole w wąwozie płynął mały strumyk, miejscami był szerszy to znów zwężał się. Z niego trzeba było przynieść wody, która służyła do picia i do mycia. Jak leżał śnieg i było ślisko by zejść na dół, to topiliśmy śnieg. Jest nam smutno i nadal trudno nam żyć. Wszy gryzą nas niesamowicie, mydła nie ma, by się umyć i wyprać ubranie i żadnej ubikacji. Higiena zerowa. (...) Niedaleko mieszkali tubylcy – Uzbekcy. Ubrani byli w dziwne ubrania, siedzieli w kucki, my dzieci baliśmy się ich. Kobiety i miejscowe dzieci były takie dzikie, uciekały od nas. Do palenia w piecu zbieraliśmy, jak śnieg zginał, takie cierniste gałązki, różne łodygi zielska i suchą trawę. Trzymaliśmy to w kącie szopy.

Jesteśmy ciągle głodni. Konserwy, które nam dano, już zjedliśmy i zostały nam po nich tylko ładne okrągłe puszkki. Tatus i pan Bielecki, który też miał rodzinę, pokazali na migi do „priedsiedatiela”, że mogą z tych okrągłych puszek zrobić kubki, ale potrzebują do tego narzędzia. Pomału znalazło się wszystko i my i oni mieliśmy kubki z przylutowanym uchem. Oni cieszyli się z tego bardzo, szkoda że nie zatrzymałam jeden na pamiątkę, ale kto wtedy myślał o takich rzeczach. Każdy myślał, by zdobyć coś do jedzenia. Teraz gdy to piszę, to często myślę, jak myśmy to wszystko przeżyli, nie wszyscy oczywiście. Za te zrobione kubki, za pracę, dostaliśmy trochę mąki z czego Mamusia ugotowała na wodzie zacierki. Było to za mało.

Pewnego dnia zjawił się ładny uzbecki pies. Tatus i p. Bielecki jakoś go złapali, był oswojony. My dzieci na straży, pilnujemy za szopą czy ktoś nie idzie. Daliśmy sygnał, że nikogo nie widać. We dwóch zabili psa. O Boże, ile mieliśmy strachu, bo za chwilę przybiegł Uzbek, chyba właściciel psa, pytał czy go nie

widzieliśmy, na migi określał jak on wyglądał, słyszał jak pies krzyczał. Tak to prawda pies krzyczał, było to straszne. Schowaliśmy zabitego psa pod te różne łądygi i trawę, co było zebrane na opał w piecyku. Nie wiem co by się stało gdyby przyszli i zaczęli szukać pod tą stertą gałązek w rogu szopy. Teraz ogarnął wszystkich lęk. Co będzie dalej? Wszyscy mieliśmy nasze serca, jak się to mówi „na ramieniu”. Myślę teraz, co w tym czasie przeżywali nasi rodzice. Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. Ale na tym jeszcze nie koniec.

Jesteśmy w strachu, co teraz zrobić i kiedy. Aby nie było podejrzeń, co my gotujemy, trzeba było wszystko zrobić w nocy, kiedy Uzbeki spali. Oskórowali psa, lepsze mięso zostawili dla nas, a odpadki, wnętrzności i skórę zakopali za szopą, gdzie była nasza „toaleta”. Jak teraz myślę o tym, to robi mi się niedobrze, ale wtedy tak nie mówiłam. Ugotowane w nocy mięso było podzielone na wszystkich, a niby „rosół”, taka polewka z jakimś korzonkami podobnymi do pietruszki, bardzo wtedy wszystko smakowało.

Ciągle żyliśmy w strachu. Przygnębieni pocieszaliśmy się nawzajem, że będzie lepiej, że przyjdzie czas i dadzą nam znać, że w Guzarze formuje się wojsko. Nie było żadnych wiadomości, więc Tatuś mówi „trzeba jechać do Guzar i dowiedzieć się, co się tam dzieje”. Zażądali koni od Uzbeków i z przewodnikiem oczywiście, pojechali do Guzar, aby sprawdzić i prosić o jakąś pomoc, coś z żywności. My truchlejemy, co będzie z nami, jak oni Tatuś i p. Bielecki nie wrócą. Jadą rano, mają wrócić na wieczór. Z Bożą pomocą wrócili. Tatuś mówi „wracamy, uciekamy z kołchozu, my tu umrzemy z głodu. W Guzarze jest już dużo wojska, cywilów i dzieci”. Przywieźli trochę żywności, ale to nie starczyło na długo. Znowu zamykamy nasze tobołki. Przed nami znowu mozolna droga przez góry, ale czeka nas tam lepsze jutro, tak przynajmniej każdy o tym myślał i marzył. Opuszczamy kołchoz Jaskro (...).

(Gdy czytałem pamiętniki Władzi w wielu wątkach trudno było powstrzymać się od łez. Popłakałem się też czytając wpisy do sztambucha jej koleżanek w drodze do Afryki i w obozie Dzieci Polskich w RPA z 1943 roku. Niektóre z tych wpisów zamieściłem w III tomie książki „Powrót na Kresy”. Szkoda, że z powodu pandemii nie mogłem odwiedzić Cioci ani w ubiegłym roku, ani teraz w 2021. W trzecim tomie trylogii „Powrót na Kresy” starałem się też odtworzyć losy dziadka Michała Pogody i brata ojca Jana Pogody podczas zesłania na Sybir, następnie walk w Armii Andersa, za co zostali odznaczeni Krzyżami Walecznych. Walczyli o Polskę, do której potem nie mogli wrócić, a ja w następnym pokoleniu nie mogłem być legalnie przyjęty do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. Tak więc „Cząstka z pamiętnika” jest jakby częściowym dopełnieniem losów pokoleń Kresowiaków i ich hartu ducha w pokonywaniu trudności. Czy jest to też moje zachowanie charakteru kresowej tożsamości? Nie wiem, ale życie nauczyło mnie walki o wszystko, a rodzina przyzwoitości „bym zawsze mógł spojrzeć sobie w lustro, że niczego nie muszę się wstydzić”).

KONIEC